

Urzekający epos
sprzecznych lojalności
i niebezpiecznej
ambicji.

ANTHONY RYAN

DŁOŃ KRÓLA SŁOŃCA

J. T. GREATHOUSE

fabryka słów®
WYDAWNICTWO



J. T. GREATHOUSE

DŁOŃ
KRÓLA
SŁOŃCA

Przełożył
Marcin Mortka

Ilustracje
Paweł Zaręba

fabryka słów®
Lublin – Warszawa



KRONIKI OLCHY

Dłoń Króla Słońca
The Garden of Empire

*Dla Hannah. Mówiłem Ci, że chcę zostać pisarzem,
a Ty mimo wszystko zgodziłaś się za mnie wyjść.
Trudno mi wyobrazić sobie większy dowód oddania.*



UCZENI

I

Babcia obudziła mnie w środku nocy i kazała być cicho. Prowadziła mnie przez las na wpół zapomnianymi ścieżkami, których sienieńscy żołnierze nie mogli znać. Pod podeszwami moich sandałów trzaskały cicho gałązki, a o łydki ocierały się szorstkie, wilgotne liście. W chłodnym mroku niesły się pokrzykiwania lisów i sów. Blask księżycy i gwiazd rozlewał się po bezchmurnym niebie, sprawiał, że noc wydawała się jeszcze zimniejsza. Rozespanie i dezorientacja ustąpiły miejsca lękowi.

Czy matka wiedziała, że zostałem zabrany przez babcię? No i dokąd byłem prowadzony? Chciałem spytać o to wszystko, ale nie znalazłem w sobie odwagi. Babcię zawsze otaczała aura tajemniczości. Miałem wrażenie, że ta żyjąca pod naszym dachem staruszka jest istotą z owianych cieniami mitów.

Kilka nocy temu leżałem w łóżku pod nakryciem z jedwabiu i bawełny i przysłuchiwałem się kłótni matki z babcią, wyraźnie dającej się słyszeć przez nasączoną olejem papierową ścianę. Mój ojciec wyjechał rankiem w interesach i babcia zdawała się wypełniać przestrzeń, jaką po sobie zostawił. Ostro krytykowała Sienieńczyków, a matka, która sama wyszła za jednego z nich, usiłowała wybić jej z głowy uprzedzenia i nienawiść.

Nie zadałem sobie wówczas pytania, dlaczego babcia w ogóle postanowiła zamieszkać z nami, pod sienieńskim dachem, z córką, którą pogardzała, oraz zięciem, którego nienawidziła. Ale byłem tylko małym chłopcem. Nie wiedziałem wiele o Sienie, a o przodkach babci czy jej bóstwach nie miałem zgoła pojęcia. Nigdy bym też nie przypuszczał, że stanę się bronią w długiej, zacieklej wojnie między światami babci i matki.

„Ty i twój brat otrzymaliście imiona, gdy mieliście po sześć lat! Tymczasem twój syn skończył już osiem, a imienia nadal nie ma!” – powiedziała babka. Papierowa ściana tłumiła jej głos.

„W naszych czasach to nie było przestępstwo” – odparła matka. „I nie stanowiło wówczas niebezpieczeństwa”.

Ich rozmowa nie miała dla mnie wielkiego sensu. Miałem przecież imię. Ojciec ochrzcił mnie mianem Wen Olcha wedle tradycji nadawania imion w jego klanie. Sam nazywał się Wen Róża, a więc moje imię stanowiło przedłużenie jego własnego. Po co miałbym otrzymać jeszcze jedno?

„Jeśli nie teraz, to nigdy” – warknęła babcia. „A wtedy jedynym, co mu pozostanie, będzie służba najeźdźcom. Chciałabyś, żeby został jakimś cesarskim biurokratą i zajmował się wyliczaniem odsetek zaległych podatków, których głodujący wieśniacy nigdy nie będą w stanie zapłacić? Tę właśnie drogę kariery wytycza dla niego twój mąż”.

„Nie pošlesz mojego syna na swoją wojnę” – w głosie matki słyszałem żal.

„A więc lepiej, żeby stał się wrogiem bogów? Wrogiem własnej rodziny?”

Muzyka świerszczy wypełniła ciszę w rozmowie. Senność odeszła na dobre, rozproszona prowadzoną szeptem rozmową o bogach i wojnie. Jedynym bogiem, jakiego znałem, był sienieński cesarz, którego rytuały zacząłem studiować w zeszłym roku pod okiem prywatnego nauczyciela. Widziałem demonstracje potęgi władcy podczas festiwalu na cześć Nowego Roku, kiedy to sienieńscy czarodzieje – Dłonie cesarza – ciskali ku niebu kule mieniących się płomieni, które później tańczyły między gwiazdami. Wyznawałem cesarza i czciłem mędrców tak jak mój ojciec, który szedł w ślady własnego ojca i tak dalej, aż do początków dziejów naszego klanu, niknących w mrokach historii. O jakich bogach mówiła babcia?

„Nie wyślę go do walki” – kontynuowała. „Ale czy zataisz przed własnym synem połowę jego dziedzictwa?”

Nie usłyszałem odpowiedzi matki, ale teraz, gdy szedłem rozespany za babcią w głąb lasu, potykając się o wysokie trawy, uświadomiłem sobie, że chyba wiem, co wówczas powiedziała.

Spośród gałęzi wyłoniły się wsporniki dachu i sufitu. Ścieżka doprowadziła nas do wysłużonej wiklinowej bramy, sypiącej się po wielu latach zaniedbania, strzeżonej przez trzy kamienne wilki. Jeden z nich stał na środku ścieżki, a pozostałe dwa siedziały po obu stronach bramy.

– Oto Świątynia Płomienia – rzekła babcia, po czym gestem wskazała dwa siedzące wilki: – A to Okara i jego siostra Tollu. A to ich matka, wilczyca Ateri, poślubiona ogniewi. Zapamiętaj ich imiona, chłopcze.

Zawsze zwracała się do mnie w ten sposób. Nigdy nie nazywała mnie po sieneńsku.

Mijając wilki, wzdrygnąłem się odruchowo, choć zgodnie z życzeniem babci zapamiętałem ich imiona. Ateri stała z pochylonym łbem, jakby była gotowa do skoku. Na obliczu Tollu malowały się spokój oraz duma, a ślepi nad krótkim pyskiem wydawały się przeszywać na wylot. Najbardziej przerażającym z wilków był jednak Okara. Jego pysk znaczyły wyraźne blizny, z których jedna przecinała prawe oko. Wilk odślaniał we wściekłym grymasie kły. Później babcia miała mi opowiedzieć wiele historii o tych dziwnych wilczych bogach – o mądrości Ateri, szlachetności Tollu oraz dzikości i przebiegłości Okary – ale tej nocy przeprowadziła mnie jedynie obok nich, okazując zarówno stanowczość, jak i łagodność, i powiodła ku bramie, a potem do świątyni.

Blask księżyca tłumił czerwień i żółć farb, którymi pokryto Świątynię Płomienia. Okna już dawno temu zasłonięto płachtami papieru pokrytymi licznymi dziurami. Jedna z płacht została przedarta przewracającą się tyczką bambusa. Do wsporników sufitu przyłgnęła cała kolonia lisoperzy, które przyglądały nam się błyszczącymi ślepiami. Wszędzie unosił się zapach ich guana.

Babcia poprowadziła mnie po schodach do ołtarza znajdującego się w samym sercu świątyni. Rozpuściła włosy i jej rudawobrazowe loki, przyprószone siwizną przy skroniach, rozsypały się na ramionach. Ja, podobnie jak wszystkie sieneńskie dzieci, miałem głowę wygoloną po bokach. Babcia zmarszczyła brwi i rozsypała mi rzemyk spinający włosy na czubku, jakże podobne do jej własnych, choć prostowane na życzenie ojca. Kosmyki opadły na boki i połaskotały mnie w koniuszki uszu.

Babcia ruchem dłoni wytarła kurz gromadzący się w świątyni od dekad, ale na tym jej wysiłki się skończyły. Panujący tu nieporządek stanowił ostry kontrast z rytualną czystością Sieneńczyków, której nauczył mnie ojciec. Nasz kult obracał się wokół kadzidełek, pięknie rzeźbionych i malowanych posążków oraz pieczołowicie zamiatanych, mytych i odnawianych świątyń, nad którymi pieczę sprawowali służący mnisi. Wedle Sieneńczyków żaden rytuał nie miał prawa się zacząć, jeśli mędrcy nie zostali należycie uhonorowani i powitani w świętej przestrzeni.

Religia mojej babci nie opierała się na znanych mi rytuałach – jej sednem były ogień i krew. Kazała mi usiąść na kamiennym ołtarzu, a potem wyjęła z sakwy nóż z czarnego szkła. Wyczuwając mój lęk, zacisnęła mocno usta i ułożyła nóż obok mnie na ołtarzu.

Świadomość, że zajmujemy się czymś niestosownym, cisza nocy oraz osobliwy wygląd innych artefaktów, które babcia wyciągnęła z sakwy – glinianej miski, pędzelka do pisania, arkusza papieru ryżowego, zaczopowanej tykwy oraz garści drewnianych listewek oplecionych rzemieniem – obudziły we mnie niepokój. Znów zadałem sobie w myślach pytanie, po co mnie tu sprowadziła, i zatęskniłem za moją pościelą. Oddałbym wiele, żeby ta osobliwa wyprawa okazała się tylko snem.

Babcia przeszła na tył ołtarza i otworzyła drzwiczki z mosiądzu, jedyne metalu, jaki znajdował się w świątyni. Przez chwilę wpatrywała się w ciemność za drzwiami, a w jej oczach pojawiła się mgła. Staruszka wyteżała wzrok, jakby chciała wejrzeć w jakieś odległe wspomnienie.

– Dawno temu – powiedziała cicho – ognia w tym palenisku przez dzień i noc pilnowałyby wyznaczona wiedźma. Dawno temu, gdy nadal płonął tu Pierwszy Płomień, odpalony od niego ogień był tym, co odróżniało ludzi od zwierząt. Teraz mamy tu jedynie zimne węgle i popiół.

Upchnęła kilka szczap drewna w palenisku, a potem wsunęła rękę w mrok. Wychyliłem się zza ołtarza, nie chcąc stracić jej z oczu.

Babcia strzeliła palcami. Nie mam pojęcia, jaką ścieżką życia podążałem, ale w tym momencie uległa ona zmianie. Po raz pierwszy w życiu poczułem upajające, ekscytujące działanie magii. Miałem wrażenie, że łapie mnie za pierś i wtacza w nią gorące tchnienie, które rozlewa się po moich żebrach i ramionach, a potem spływa w dół po kręgosłupie. Niespodziewanie ujrzałem wyraźnie ziarnistość drewna i kamienia, która wydała mi się pismem starożytnego boga.

Oszałamiające wrażenie przypomniało mi jedną z pierwszych lekcji z Koro Ha, moim nauczycielem. To było w zeszłym roku. Analizowaliśmy moje pochodzenie, a ściślej mówiąc, długą listę przodków ojca, ciągnącą się aż do początków naszego rodu. Był to jeden z wielu tekstów, których musiałem nauczyć się na pamięć przed egzaminami cesarskimi.

Choć mój ojciec był zwykłym kupcem i nie wyróżniał się pozycją, to wśród założycieli naszego rodu było wielu znaczących, potężnych ludzi, a najwybitniejszym pośród nich był Wen Dąb – Dłoń cesarza, czarownik i generał, który wydatnie przyczynił się do pokonania plemion konnych wojowników ze stepów girzańskich. Nie mogłem uwierzyć, że ja, syn zwykłego kupca, mam tak wybitnych i wysoko sytuowanych przodków.

„Czy ja też mogę być Dłonią cesarza?” – spytałem wówczas Koro Ha.

„Być może” – odparł, zaskoczony moją dziecięcą ambicją. „Jeśli będziesz wytrwale pracował. Ścieżka prowadząca ku przyszłości jest niepewna”.

„A ty? Ty też mogłeś zostać Dłonią cesarza?”

Rozbawiło go to pytanie.

„Nie, nie sądzę. Zresztą odmówiłbym, gdyby zaproponowano mi ten zaszczyt”.

Zdziwiło mnie to. Mój ojciec zawsze mówił o naszych przodkach, stawiając ich jako wzór do naśladowania, a jego celem życiowym było ponowne doprowadzenie naszej rodziny do utraconej pozycji. Owo zadanie wymagało zgromadzenia majątku, czemu ojciec poświęcał całe dnie, oraz prestiżu, który miałem zdobyć dzięki wykształceniu i służbie dla cesarza.

„Dlaczego nie chciałbyś zostać Dłonią cesarza?” – zapytałem nauczyciela. „Czy istnieje większy zaszczyt?”

„Za moc i potęgę zawsze trzeba zapłacić” – odparł Koro Ha. „Obiło mi się o uszy, że w zamian za dar rzucania czarów cesarz zyskuje możliwość spoglądania oczami swoich Dłoni, choć nie wiem, czy to prawda. Niektórzy mówią nawet, że słyszy echa każdej ich myśli. Tak czy owak, wolę wybierać własną ścieżkę przez świat, bo moc to brzemię, którego nie chcę dźwigać”.

„To jedynie wymówka” – oznajmiłem. „Bo gdybyś miał taką możliwość, na pewno nie pozwoliłbyś, żeby taka okazja przeszła ci koło nosa. Nie udało ci się, a więc teraz udajesz, że na żadnej mocy ci nie zależy. Ja nie mam zamiaru ponieść porażki. Przywrócę rodzinie Wen dawną chwałę i stanę się największym czarownikiem w historii cesarstwa”.

„Czyżby?” – spytał Koro Ha, rozbawiony oskarżeniami swojego siedmioletniego ucznia. „Więszym od samego cesarza?”

To dało mi do myślenia.

„No dobra, drugim po nim” – odpowiedziałem.

Koro Ha zachichotał i rzekł:

„Dobrze, a zatem wróćmy do nauki”.

Z paleniska dobiegał trzask płomieni pochłaniających suche szczapki, a ołtarz pode mną zaczynał się rozgrzewać, co kazało mi wrócić myślami do chwili obecnej. Dzieje mojego rodu skupiały się głównie na linii ojca, ale teraz widziałem, że w linii matki również gromadziła się moc. Moja babcia nie była Dłonią cesarza, ale władała magią. Porządne sieneńskie dziecko uciekłoby na widok takiej herezji i wydało babcię ojcu.

Ojciec zdążył zaszczepić we mnie silną ambicję, ale jego pragnienie przywrócenia rodzinie dawnej chwały na razie do mnie nie przemawiało. Plany, jakie czynił wobec mnie, ciążyły mi, odkąd dorosłem na tyle, by zdać sobie sprawę z wagi jego oczekiwań. Robiłem, co w mojej mocy, żeby im sprostać, ale tylko z synowskiego obowiązku.

Niemniej widok babci wzniecającej ogień pstryknięciem palców całkiem mną zawładnęła. Pragnąłem takiej mocy równie mocno jak następnego oddechu. Gdy babcia wyczarowała język ognia, poczułem przez moment, że cały świat łączy się i spaja, a sam czar przeszył mnie niczym tchnienie wolności. Nie natknąłem się w swoim młodym życiu na nic, co kryłoby w sobie takie pokłady prawdy oraz potęgi, i wiedziałem już, że nigdy niczego podobnego nie odkryję, nawet podczas lektury najświętszych tomów sieneńskiego kanonu wiary. Czy może istnieć coś bardziej godnego zgłębienia niż magia?

Babcia wyciągnęła korek z tykwy i wlała do miski trochę czystego alkoholu o mocnym smaku i intensywnym, uderzającym do głowy zapachu, a potem rozwinęła zwitek drewnianych deseczek. Jej usta poruszały się, gdy wymawiała nieznanne mi słowa. Widziałem teraz, że na każdej deseczce wygrawerowano dziwne symbole, drobniejsze i mniej skomplikowane od sieneńskich logogramów, których uczyłem się pod okiem Koro Ha. Na ostatnich trzech nie było grawerów.

– Podaj mi rękę – rzekła babcia. – Tę, którą piszesz.

Blizny rozbiegające się na jej prawej dłoni jaśniały lekko, niczym blask księżyca na spokojnej wodzie. Nigdy wcześniej ich nie widziałem. Bez namysłu zacisnąłem ręce na kolanach.

– Uspokój się, chłopcze – powiedziała. – Nie zrobię ci nic, czego dawno temu nie zrobiono mnie, a potem twojej matce.

Nadal bałem się noża, ale babcia właśnie dała mi szansę zerknąć za zaslonę tajemnicy, za którą skrywała się przez całe życie. Co więcej, pozwoliła mi posmakować magii i rozpałała we mnie pragnienie, by dowiedzieć się więcej. To właśnie pragnienie miało kiedyś zaprowadzić mnie zarówno na wyżyny prestiżu, jak i prosto w czeluść zagłady.

Podąłem jej prawą dłoń. Zacięła mnie raz. Pisałem z bólu, ale babcia nie puszczała mojego nadgarstka i pozwalała, by krew ściekała prosto do miseczki z alkoholem. W końcu mnie puściła, a ja cofnąłem rękę, by przyjrzeć się skaleczeniu. Było płytkie i przebiegało wzdłuż głównej linii papilarnej. Blizna nie będzie widoczna, chyba że ktoś będzie wiedział, czego szukać.

– Spójrz tutaj, chłopcze – powiedziała babcia. – Wiem, że boli, ale musisz się teraz skupić. Twoja matka cię tego nie nauczy. Kiedyś będziesz miał własne dzieci. Nie mogę cię zmusić, żebyś nadał im imiona tak, jak należy, a zresztą wątpię, czy tych chwil dożyję, ale dołożę wszelkich starań, żeby zachować naszą tradycję, i niech Okara pożre moją wątrobę, jeśli zawiodę. Patrz więc i zapamiętaj.

Oderwałem wzrok od rany. Babcia z powagą pokiwała głową i zaczęła, aż również odpowiem jej skinieniem. Wtedy przecięła własny kciuk ostrzem noża i zakręciła pędzelkiem w misce, by zmieszać naszą krew z alkoholem. Gdy uzyskała idealną zawiesinę, maznęła jedną z czystych deseczek. Krew zmieszana z alkoholem wsiąkła w słoje drewna. Babcia przycisnęła do deseczki papier ryżowy, po czym oderwała go z powrotem i rozpląszczyła na ołtarzu. Pochyliłem się, próbując dojrzeć, czego babcia szuka.

– Tu. – Stuknęła palcem w jeden kanciasty kleks, a potem w drugi. – Oto twoje imię.

Zakrwawionym czubkiem noża wyryła na desce dwa symbole przypominające nieco plamy na papierze. Powiedziała kilka słów w jakimś obcym języku, pozbawionym zauważalnej intonacji, a potem kazała mi je powtórzyć. Nie rozumiałem ich, ale czułem, jak rozchodzą się echem po moim ciele, podobnie jak moc, którą poczułem, gdy wyczarowała płomień.

– Oto twoje prawdziwe imię, chłopcze. Nazywasz się Głupi Kundel. Bogowie mają jednak poczucie humoru.

Pokazała mi inne deseczki.

– Spójrz, to moje imię. Złamana Kończyna. Mam wrażenie, że okazało się proroctwem. Tu zaś znajdowało się imię twojej matki, choć straciła prawo do noszenia go, z chwilą gdy poślubiła tego człowieka.

Symbole na tej desce zostały wydrapane.

– A tu mamy imię twojego wujka. Wredny Lis.

Wpatrywałem się w trzecie imię, które obudziło mgliste wspomnienia z wczesnego dzieciństwa. Pewnego dnia, gdy mój ojciec wyjechał w interesach, w naszym domu pojawił się dziwny rozczochny mężczyzna. Moja matka często odprawiała żebraków uprzejmym słowem, kilkoma monetami albo kubkiem ryżu, ale na widok tego mężczyzny ogarnął ją gniew tak potężny, że nie mogła zrobić kroku.

„Jak śmiesz przychodzić do mojego domu?” – warknęła, podczas gdy ja przyglądałem się scenie z wejścia do sali przyjęć. „Co, zmęczyło cię spanie po jaskiniach i krzakach? Masz dość, że polują na ciebie jak na lisa, którym zresztą jesteś?”

Mężczyzna uśmiechnął się, pokazując zepsuty ząb.

„Zawsze mi się wydawało, że oddanie wobec rodziny to najważniejsza z cnót sieneńskich. Nie kochasz już swojego brata?”

„Nie ma tu nic dla ciebie” – powiedziała matka. „Idź stąd, zanim pošlę gońca do garnizonu”.

Przybysz uniósł obie dłonie, po czy wyciągnął zwitek papieru z rękawa.

„Przekaż to matce”.

„Nie mam zamiaru wyświadczać ci przysług!” – odparła moja matka i zacisnęła usta tak mocno, że przypominały teraz cienką linię.

„No to przynajmniej przekaż jej, żeby się nie wychylała” – powiedział przybysz. „I niech wie, że przegrupowujemy się na północy, niedaleko Twierdzy Szarego Mrozu, gdyby chciała do nas dołączyć”.

„Ani mi się śni”.

„A więc narażasz się na niebezpieczeństwo” – warknął obcy, w którym nagle wezbrał gniew. Jego spojrzenie padło na mnie. „Zarówno siebie, jak i swojego syna, bo oni zaczną mnie szukać i tu przyjdą. Być może chcesz zapomnieć, że jestem twoim bratem, ale Sieneńczycy będą pamiętać”.

Mężczyzna odwrócił się i odszedł, a matka przytuliła mnie do siebie i szeptła do ucha słowa otuchy, choć to ona się bała, a nie ja.

Trzy dni później przybył sieneński patrol i gruntownie przeszukał naszą posiadłość. Matka oparła dłoń na moim ramieniu i wbijała w nie palce, kiedy żołnierze otwierali kufry i rozrzucaли ich zawartość po komnatach.

„Czy utrzymujesz kontakt z buntownikiem zwanym Wrednym Lisem?” – spytał ostro dowódca patrolu.

Matka zaprzeczyła, po czym oficer zapytał, czy zna miejsce pobytu uciekinierki znanej jako Złamana Kończyna. Matka znów zaprzeczyła, tym razem zgodnie z prawdą, bo babcia zniknęła tego samego dnia, gdy odwiedził nas ów rozczołochaniec, i pojawiła się dopiero tydzień później, długo po tym, jak żołnierze opuścili naszą posiadłość i pozostawili matce surowe wytyczne. Miała ich poinformować, gdy tylko dowie się o jakichkolwiek poczynaniach członków rodziny.

Byłem tylko małym chłopcem i nie rozumiałem, dlaczego ktoś może polować na mojego wujka i babcię. Nie pojmowałem również, dlaczego matka pozwalała babci mieszkać z nami, ale nie chciała pomagać bratu. Wiedziałem tylko tyle, że to wszystko nie podobało się ojcu. Gdy wrócił do domu i usłyszał od swojego zarządcy, do czego doszło pod jego nieobecność, groźby wyrzucenia babci na ulicę długo rozbrzmiewały echem po posiadłości.

„Ona się starzeje!” – błagała go matka, a ja chowałem się w kącie, próbując powstrzymać łzy, bo te tylko podsyciłyby gniew ojca. „Opiekowanie się nią to mój obowiązek. Ona nie stanowi dla nikogo żadnego zagrożenia! Żołnierze ścigają ją za przestępstwa, które popełniła dawno temu!”

Ojciec ustąpił, ale obiecał, że jeśli żołnierze ponownie przeszukają jego dom, studnia z miłosierdziem okazywanym teściowej wyschnie na dobre. Przez kolejne cztery lata nie doszło do ponownej wizyty i czasami można było odnieść wrażenie, że ojciec zapomniał, iż pod jego dachem mieszka uciekinierka. Ba, zapomniał bądź udawał, że zapomniał.

Babcia milczała przez moment, przyglądając się imionom syna i córki, po czym zwinęła rulon z deseczkami i rzekła:

– Musimy zrobić jeszcze jedno.

Ułożyła splamiony krwią papier ryżowy na powierzchni alkoholu, a potem podpaliła go cienką świeczką, odpaloną od płomienia na ołtarzu. Czekwała, aż popiół ze spalonej kartki osiadzie na dnie miseczki, a potem upiła łyk mieszaniny krwi, popiołu i spirytusu. Następnie wręczyła miseczkę mnie. Wypiłem resztę, a wtedy babcia nauczyła mnie hymnu towarzyszącego rytuałowi nadawania imienia. Nie rozumiałem słów w obcym języku, którego jeszcze nie zacząłem się uczyć.

Nie miałem wówczas pojęcia, że nasze mało znaczące imiona, wryte w drewnie i przypieczone krwią, któregoś dnia będą rozbrzmiewać echem w ogromnych, obramowanych kolumnami korytarzach imperium.

Przez kolejne cztery lata babcia uczyła mnie kultury swojego ludu, a właściwie to naszego ludu, po tym jak ogień wybrał mi imię. Uczyła mnie nayeńskiego, rodzimego języka naszego kraju, i nalegała, byśmy na osobności posługiwali się tylko nim. Pod osłoną ciemności trenowaliśmy Żelazny Taniec, trzymając w rękach kijki zamiast mieczy. Nauczyła mnie, jakie imiona noszą gwiazdy i jak odczytywać strużki wody w lesie po deszczu. Całymi nocami przyswajałem jej tajne nauki.

Nauka z Koro Ha okazała się natomiast żmudną harówką. Mój nauczyciel pochodził z Toa Alon, odległej i ubogiej prowincji, leżącej na południowym skraju imperium. Mój ojciec, na którym wysoka pozycja nauczyciela oraz listy polecające zrobiły wielkie wrażenie, ściągnął go do naszej posiadłości, by przygotował mnie do imperialnych egzaminów, do których miałem przystąpić w siedemnastym roku życia w Nayenie. Nauczyciel podszedł do swojego zadania z entuzjazmem i wykazywał się wielką skrupulatnością. Po dwóch latach pod jego okiem potrafiłem odczytać dziesięć tysięcy sieneńskich logogramów i nakreślić połowę z nich z pamięci. Po trzech latach wystarczyło mi podać stronę i wers, bym zacytował dowolny aforyzm mędrca Wędrującego Wąskim Traktem. Po czterech latach nauki sam pisałem wypracowania inspirowane klasykami poezji i przepisywałem je dziesiątki razy, by spełnić surowe oczekiwania Koro Ha.

– To pracowity chłopiec – powiedział kiedyś mojemu ojcu. Miałem wówczas dwanaście lat. – Choć często bywa śpiący.

Zgromadziliśmy się w pawilonie, z którego roztaczał się widok na skromne ogrody w naszej posiadłości. Ojciec wrócił do domu, żeby odpocząć na moment między swoimi kupieckimi wyprawami i wykorzystał okazję do sprawdzenia moich postępów. Wraz z Koro Ha zasiedli przy niskim stole, podczas gdy ja klęczałem w pobliżu. Bolały mnie kolana, ale przy ojcu nie mogłem narzekać. Zależało mi na jego aprobacie, bo gdybym dobrze wypadł w jego oczach, byłby dla mnie miły i nie traktowałby mojej matki tak ostro podczas swojego krótkiego pobytu.

Ojciec pogładził cieniutkie warkocze na brodzie i przyjrzał mi się uważnie, a ja ze wszystkich sił powstrzymałem ochotę, by zerknąć na Koro Ha, co dodałoby mi otuchy. Zapach tytoniu z fajki ojca mieszał się z delikatnym zapachem chryzantemowej herbaty. Mój nauczyciel uniósł fajansowy imbryk i napełnił najpierw filiżankę ojca, potem własną, a na końcu odstawił naczynie, żeby służący mógł napełnić je gorącą wodą. Trzecia filiżanka na tacy nadal stała pusta.

– Wymień trzy filary społeczeństwa – rzekł ojciec.

– Związek między ojcem i synem, żoną i mężem oraz starszym bratem i młodszym bratem – wyrecytowałem. Był to fundamentalny aforyzm i początek każdego egzaminu.

– Czym jest cesarz dla swoich poddanych?

– Cesarz jest ojcem nas wszystkich.

– Co jest obowiązkiem cesarza, jeśli lud głoduje?

– Ma nas nakarmić.

– Co jest obowiązkiem ludu, jeśli cesarz znajdzie się w niebezpieczeństwie?

– Mamy wówczas go bronić.

– Jeśli ludzie sami narażają się na niebezpieczeństwo, co powinien uczynić cesarz?

– Powinien pokazać im właściwą ścieżkę.

Ojciec pokiwał głową i napełnił moją filiżankę. Upiłem łyk i ujrzałem aprobatę w jego oczach.

– Dobrze zna podstawowe zasady – oznajmił ojciec.

– Jeśli pan pozwoli, panie Wen – uklonił się lekko Koro Ha. Odwrócił się w moją stronę i przybrał wyniosłą postawę, jaką sieneński nauczyciel powinien zachować przed swoim uczniem, stanowiącą odzwierciedlenie fundamentalnej relacji między starszym i młodszym bratem. – Do pytań

zadanych przez twojego ojca chciałbym dodać własne – rzekł. – Opisz stosunki między cesarzem i jego ministrami.

– Cesarz ma rozkazywać ministrom jak mąż, a ci powinni mu doradzać jak żony – odpowiedziałem.

– A co powinien zrobić minister, gdy martwi go postępowanie cesarza?

– Podobnie jak żona, której wolno delikatnie ofuknąć męża, minister może pouczyć cesarza.

– A jeśli cesarz odrzuci radę?

– Minister musi się podporządkować woli cesarza.

– A jeśli cesarz się myli?

O mało nie zakrzuszyłem się herbatą. Wbiłem wzrok w Koro Ha, na moment zapominając o zasadach uprzejmości. Wystrzegaliśmy się takich zagadnień na naszych lekcjach. Mój nauczyciel wymyślał dla mnie rozmaite eksperymenty, podczas których wcielałem się w rolę żony rozpitego idioty, młodszego brata winnego lojalność starszemu, słynącemu z okrucieństwa, lub ministra zmuszonego przez cesarza do wypełniania ohydnych zadań. Były to najbardziej fascynujące elementy zajęć Koro Ha, ale nie wydawało mi się, by spodobały się ojcu.

– Wen Olcho? – ponaglił mnie Koro Ha. – Jeśli potrzebujesz konkretnego przykładu, powiedzmy, że cesarz nałożył zbyt surowe podatki na jedną z prowincji. Co poczniesz, jeśli nie spełnił swojego zadania jako ojciec ludzi zamieszkujących tę prowincję i skazał ich na głód? Co poczniesz, jeśli cesarz, powiadomiony o swoim błędzie, nadal nie chce zmniejszyć podatków? Co w takiej sytuacji powinien zrobić minister?

Zadanie całkiem mnie zaskoczyło. Koro Ha był światowym człowiekiem i z pewnością zdawał sobie sprawę z tego, że na północ od Nayenu ludzie cierpieli głód i biedę. Często wspominała o tym babcia, gdy zebrało jej się na pomstowanie na imperium. To tam nadal walczył mój wuj oraz inni buntownicy. Czyżby Koro Ha dowiedział się o moich nocnych lekcjach? Czyżby zrozumiał, skąd się biorą opuchnięte oczy i siniaki na ramionach? Może zauważył, jak wraz z babcią wymykamy się z ogrodu w blasku księżyca? Może wykrył jakąś nieprawidłowość w niuansach mojego rozumowania, powtarzając się w rozmowach i wypracowaniach?

– Jedyne wieczne bóstwa wiedzą, czy cesarz postępuje właściwie, czy też popełnia błąd – odpowiedziałem, spoglądając mu w oczy. – Tylko one, z uwagi na swoją ojcowską relację z cesarzem, mają prawo go upomnieć. Strofowanie cesarza nie należy do zadań ministra, tak jak żonie nie wolno buntować się wobec męża.

Koro Ha zadarł podbródek i obdarzył mnie uśmiechem pełnym zadowolenia. Odwrócił się do ojca, ponownie przyjmując rolę podwładnego.

– Sposób myślenia chłopaka jest idealny, jak na jego wiek.

– Tak – zgodził się ojciec. Poklepał krzesło po prawej, a ja usiadłem i wziąłem łyk herbaty, przez cały czas powstrzymując się od wbicia wrogiego spojrzenia w Koro Ha. Ojciec pytał o różne rzeczy: o moją matkę oraz o lekturę dzieł klasycznych i historycznych, do których zdaniem nauczyciela miałem smykałkę. W ten sposób wypełniał obowiązki głowy rodziny mimo długich i częstych nieobecności.

Gdy byłem młodszy, ojciec okazywał mi mnóstwo czułości. Wciąż pielęgnowałem niewyraźne, niemalże mityczne wspomnienia chwil, kiedy sadzał mnie na ramionach i chodził ze mną po ogrodzie w ciepłym słońcu lata. Pamiętałem, jak jego bokobrody łaskotały mnie w policzki, gdy huśtał mnie na kolanach i opowiadał głupekowate historyjki pełne zabawnych rymów. Ale jego interesy zaczęły się rozrastać i te wesołe, szczęśliwe popołudnia stawały się coraz rzadsze, a po przybyciu Koro Ha sympatia ojca stała się czymś, na co trzeba było sobie zapracować.

Gdy wypiliśmy herbatę, ojciec kazał nam odejść. Wraz z Koro Ha ukłoniliśmy się i wyszliśmy z jego gabinetu, a gdy znaleźliśmy się na ścieżce ogrodowej, gdzie ojciec nie mógł już mnie zobaczyć, wbiłem w nauczyciela chłodne spojrzenie.

– Och, nie bocz się, Wen Olcho – rzekł Koro Ha. – Przecież ojciec był zadowolony z odpowiedzi, nieprawdaż?

– Ale nie sądzę, żeby był zadowolony z pytań – odparłem. – Bo mnie się nie podobały.

– Czy rolą ucznia jest okazywanie niezadowolenia z nauczyciela?

– Co by się stało, gdybym powiedział, że minister powinien się zbuntować wobec cesarza? Myślisz, że udałoby ci się utrzymać posiadłość?

– Przypuszczalnie tak – odrzekł. – Trafiłem tu dzięki doskonałym rekomendacjom. Gdybyś udzielił kiepskiej odpowiedzi, twój ojciec byłby bardzo niezadowolony, a ja musiałbym dopilnować, żebyś już więcej tak źle nie wypadł.

Skrzyżowałem ramiona na piersi i zwolniłem, by nauczyciel mógł mnie wyprzedzić. Widziałem, jak Koro Ha wsunął dłonie w obszerne rękawy szaty. Blask letniego słońca przenikał przez liście żeńszczenia, znacząc ścieżkę plamkami słońca i cieni. Ptaki ćwierkały wśród gałęzi drzew. Szemranie strumienia płynącego przez ogród zakłócił plusk karpia, który wyskoczył z wody, by pożreć nartnika.

– Próbowalesz mnie upokorzyć? – spytałem.

Koro Ha pokręcił głową.

– Przez całe życie będziesz musiał odpowiadać na takie pytania, Wen Olcho, bez względu na to, ile razy zdołasz udowodnić swoją wiedzę. Takie pytania sprawdzają nie tylko wiedzę, ale również lojalność. Zdobędziesz odpowiednie wykształcenie i zasłużysz sobie na ludzki szacunek, co ci na pewno pomoże, ale ludzie zawsze będą widzieć złą karnację i zły kolor włosów i zawsze będą pamiętać, że twoja matka pochodziła z niewłaściwej rodziny. Chcę ci pomóc w odniesieniu sukcesu pomimo tych przeszkód. Czasami ceną tego sukcesu jest upokorzenie lub zdrada we własnym sercu. Twój ojciec doskonale to rozumie.

Przebiegłem obok niego, wpadłem do własnego pokoju i zamknąłem się w środku na resztę popołudnia. Babcia uczyła mnie, żebym odczuwał dumę z powodu wszystkich tych rzeczy, które Koro Ha przedstawiał jako przeszkody i wady. Co więcej, byłem przekonany, że gdzieś między nimi odnajdę sekrety magii, płynącej zarówno we krwi matki, jak i ojca. Magia była moim dziedzictwem, narzędziem, za które chciałem pochwycić, by zapewnić sobie pozycję i odzyskać prestiż rodziny. Ponadto nadal pamiętałem tę oszałamiającą chwilę, gdy moja babcia wyczarowała płomień, a ja zrozumiałem strukturę świata. Cztery lata później nadal tęskniłem za tą chwilą, tak jak żebrak, co noc dręczony snami o ostatnim posiłku, marzy o tym, by napełnić żołądek.



Tej nocy babcia obudziła mnie, stukając w okno. Podniosłem się i założyłem spodnie oraz koszulę z ręcznie tkanej bawełny – proste ubranie, które przepuszczało tchnienie chłodnego letniego wiatru – a potem przekradłem się przez korytarze i spotkałem się z nią w ogrodzie. Jak zwykle wróciliśmy do Świątyni Płomienia.

Opowiedziała mi tej nocy o pierwszych bohaterach Nayenu, którzy rządzą swoimi małutkimi królestwami przed nastaniem Królów Słońca. Odczytywałem zapisaną runami opowieść o Kruchej Sowie, który nie potrafił polować ani walczyć, ale oszustwem skłonił smoka, by ten podzielił się z nim sekretem pisma. Dowiedziałem się o Płowym Psie, który zaprzyjaźnił się z lisim demonem i nauczył się zamieniać w zwierzę, oraz o Żelaznym Szponie, który spotkał we śnie wilczych bogów i z ich pomocą scalił rozmaite miasta Nayenu w królestwo obejmujące całą naszą wyspę.

W przeciwieństwie do zajęć z Koro Ha lekcje babci były fascynujące. Moje dotychczasowe doświadczenie wskazywało, że literatura sieneńska jest pełna moralizmu i analogii, w opowieściach nayeńskich natomiast znajdowałem mnóstwo przygód, pasji, a co najważniejsze – magii. Czytając historie sieneńskie, można było domyślić się zakończenia dzięki właściwemu rozumieniu doktryny i moralności, podczas gdy opowieści babci trzymały w napięciu, obfitowały w nieoczekiwane zwroty akcji, a ich bohaterowie byli zawzięci i pełni życia. Mimo to nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że są właściwie puste w środku. Wydawały się stratą czasu i tylko zaostrzały mój apetyt na magię.

Po przeczytaniu opowieści o Żelaznym Szponie babcia schowała książki w skrzyni obok ołtarza i kazała mi ćwiczyć Żelazny Taniec. Nadal korzystaliśmy z kijów zamiast stępionego żelaza, gdyż przypadkowego siniaka na twarzy czy dłoni dało się wyjaśnić o wiele łatwiej niż złamaną rękę. W powietrzu rozbrzmiewały trzaski naszych ciosów. Stawałem się powoli młodym mężczyzną, pełnym energii i dzikości. Uwielbiałem ćwiczenia fizyczne, w których mój umysł mógł się skupiać jedynie na

kolejnym ciosie, a ręce i nogi zachowywały się, jakby miały własne życie.

Skończyliśmy złani potem. Opatrzyłem tradycyjną kolekcję siniaków, a babcia przyjrzała się łokciowi, w który udało mi się ją trafić. Kazała mi usiąść na skraju ołtarza i podała tykwę z wodą.

– Robisz postępy – powiedziała zdyszana.

Uśmiechnąłem się szeroko i wypiąłem pierś. Duma była kolejną cechą surowo piętnowaną przez zasady sienneńskiej moralności.

– Kiedyś będę lepszy od ciebie.

– Doprawdy? – Babcia uśmiechnęła się.

– Tak! – Otarłem usta i oddałem jej tykwę. Siateczka jasnych blizn na dłoni babci była przez moment wyraźnie widoczna w ciemnościach. – A wtedy będziesz musiała nauczyć mnie magii, czy tego chcesz czy nie.

Spodziewałem się, że mnie ofuknie. Praktycznie co noc błagałem ją, by nauczyła mnie najbardziej sekretnej z jej umiejętności, i wskazywałem któreś ze swoich mało istotnych osiągnięć jako dowód na to, że zasłużyłem sobie na to prawo. Jednak tej nocy babcia upiła łyk wody i przyjrzała mi się z uwagą, jakby po raz pierwszy w życiu wzięła moją prośbę na poważnie.

– Nie jesteś gotów, żeby się tego nauczyć – powiedziała w końcu i postawiła tykwę między nami, a potem, gdy poczułem, jak ogarnia mnie doskonale znane mi rozczarowanie, dodała: – Ale może jesteś gotów na to, żeby się magii przyjrzeć.

Poczułem przypływ ekscytacji zalewającej całe ciało. Zdusiłem w sobie pokusę, żeby zerwać się i wyprzedzić babcię, która poprowadziła mnie na zarośnięty dziedziniec za Świątynią Płomienia. Bluszcz porastał tu każdą możliwą przestrzeń, łącznie z fontanną w samym środku dziedzińca, ongiś zasilającą wyschnięty już strumyk. Obok fontanny wznosił się samotny pawilon. Babcia uklękła w jego cieniu i dała mi znać, żebym zrobił to samo, ale w oddali. Była teraz tylko niewyraźną sylwetką po drugiej stronie strumienia, widoczną w nikłym blasku księżyca.

– Przyglądaj się uważnie, Głupi Kundlu – rzekła. – Nie pokażę ci tego znów aż do chwili, gdy będziesz mógł sam podjąć naukę, a że jesteś tępakiem z łbem wypchanym sianem, jedynie sami bogowie wiedzą, kiedy to nastąpi.

W mojej wypchanej sianem głowie rodził się już plan, który potwierdzał zasadność mojego imienia. Przypomniałem sobie ten przypływ mocy, który poczułem, gdy babcia rozpałała ogień w palenisku i nadała mi imię. Dobrze pamiętałem ciepło przesywające ciało, przenikliwą świadomość rzeczywistości, uniesienie oraz wolność. Babcia ukryła wówczas przede mną swoją moc, a teraz schowała się wśród cieni, ale wydawało mi się, że wystarczy podświadome wrażenie, by przejąć sekret magii.

Powietrze przepęłniła woń palonego cynamonu. Moje zmysły nagle się wyostrzyły, przez co każdy kamień bruku, każdy słój drewna i każda gałązka bluszczu wydały mi się tworam i nieskończonymi, niebywale złożonymi i jakże istotnymi. Na moich oczach kości babci spowiła moc, która przepęłniła jej ciało, a potem zaczęła je przekształcać. Zacisnąłem powieki i skupiłem się na wrażeniu towarzyszącym rzucanym czarom, z jakiegoś powodu przywodzącym na myśl żelazo natarte olejem, oraz na zmianach, które babcia narzucała strukturze świata.

Wnet owionęła mnie moc jej czarów, wywołując dreszcze i skurcze mięśni idealnie zsynchronizowane z jej przemianą. Gdy ta dobiegła końca, poczułem nagły chłód, zupełnie jakby ktoś oblał mnie zimną wodą. Później usłyszałem trzepot skrzydeł.

Rozchyliłem powieki i ujrzałem jastrzębia siedzącego na spróchniałych belkach dachu. Wiedziałem, że to babcia, bo nadal wyczuwałem bijącą od niej moc, ale zwykły człowiek, niewtajemniczony w nasz sekret, ujrzałby jedynie ptaka.

Uniosłem głowę i spojrzałem na jastrzębia, przepęłniony nabożnym zachwytem. Przyszło mi do głowy, że być może babcia czyta mi w myślach lub wyczuła moje skupienie w trakcie analizy jej magii. Nie miałem pojęcia, jak wielką mocą dysponuje. Przyglądała mi się uważnie, a potem sfrunęła na ziemię i zniknęła wśród cieni.

Powrót do naturalnej postaci okazał się o wiele szybszym procesem, bo przecież wszystkie rzeczy chcą pozostać takie, jakimi były, a co dopiero ludzie. Babcia ukazała mi się w zwykłym ciele, otoczona

zapachem spalenizny i niepokojącą aurą mocy, przywodzącą na myśl chmurę dymu tytoniowego.

– Widziałeś już dość, jak na jeden dzień, chłopcze – powiedziała. – Wredny z ciebie młokos, skoro masz takie oczekiwania wobec starej kobiety. Kolana mnie boją. Zanieś mnie do domu.



Kilka dni później, siedząc z Koro Ha w pawilonie nad stawem, gdzie często pobierałem nauki, zajmowaliśmy się ponownie „Klasyką prawej wiary”, fundamentalnym tekstem sienneńskiej religii. W przeciwieństwie do opowieści mojej babci, w których moralizm oblekany był w mity, Sien przekazywał duchową stronę życia tak jak inne rzeczy – przez aforyzmy i nakazy. Istotą najbliższą bogu był cesarz, którego miano nigdy się nie zmieniało i który zbudował imperium z drobnych, skłóconych ze sobą królestw dzięki pomocy pierwotnych bóstw. Przed nastaniem Sienu światem rządził chaos, z którego mędrzy, pierwsze Głosy cesarza, musieli wykuć cywilizację.

Gdy byłem dzieckiem, udawało mi się pogodzić ze sobą obie mitologie, które mi przekazywano – zarówno tę pochodzącą od babci, jak i sienneńską – w ten sposób, że łączyłem wilcze bóstwa z pierwotnymi bogami cesarza. Sądziłem, że wszyscy bogowie byli cesarskimi przodkami, a nie dbano o nich dziś tylko dlatego, że cesarz zajął ich miejsce, tak jak syn, który kiedyś musi przejąć miejsce ojca.

W trakcie dorastania uświadomiłem sobie, że religia babci nie jest ekscentrycznym wyborem, ale przestępstwem w oczach rządzących Sieniem, a jej świątynia przetrwała tylko dlatego, że Sieneńcy jakoś dotąd jej nie znaleźli. Bogowie babci zaś nie byli tymi, którzy wsparli cesarza, ale jego wrogami.

Pewnego popołudnia natknąłem się w „Klasyce prawej wiary” na następujący fragment autorstwa mędrca Yu Noszącego Ogień:

Gdy natrafisz na wierzenia ludowe, wiedz, iż wyrosły one tylko z nabożnej trwogi przed istotami niebiańskimi, z braku wiedzy o silach natury oraz z panicznego lęku przed dzikimi istotami. Przenieś do prawej wiary wszystko to, co da się z owych wierzeń ocalić, ale zniszcz wszystko, co podkreśla rozbieżności. W ten oto sposób ignorant otrzyma wiedzę, a człowiek żyjący w sprzeczności z zasadami nauczy się funkcjonować wedle woli cesarza.

Odłożyłem książkę, a w mojej głowie pojawiło się pytanie, które bardzo chciałem zadać, ale nie miałem pojęcia, jak zareaguje Koro Ha. Miałem wtedy dwanaście lat i uważałem siebie za bystrego dzieciaka. Zastanawiałem się więc, jak ubrać pytanie w słowa, by ukryć źródło mojej ciekawości.

– Nie chcę zarzucić wielkiemu mędrcomu braku konsekwencji – powiedziałem – ale jeśli wierzenia ludowe to tylko bezwartościowe mity, to jak można z nich cokolwiek uratować?

Oczy nauczyciela rozbłysły niczym węgielki wrzucone w ogień.

– Interesujące pytanie – odparł. – Czy byłbyś usatysfakcjonowany, gdybym ci powiedział, że Yu Niosący Ogień przejmuje się głównie ustanawianiem kontroli nad niewykształconymi masami, a mniej zwraca sobie głowę wprowadzaniem czystej praktyki duchowej?

Taka odpowiedź bynajmniej satysfakcjonująca nie była, bo nauczyciel nie powiedział tego, czego tak naprawdę chciałem się dowiedzieć.

– Ale nadał swojej rozprawie tytuł...

– Znam tytuł jego rozprawy, Olcho – rzekł Koro Ha. – Nawet klasyka może kryć w sobie dwa cele. Religia to polityka, literatura, filozofia i tak dalej. Umiejętność postrzegania i objaśniania owych związków okaże się kluczem do twojego sukcesu na egzaminie imperialnym. – Postukał palcem w kolejną stronę. – Czytaj dalej – nakazał. – Chyba że jesteś już gotów, żeby odłożyć ten tekst na bok i przeanalizować jego niuanse w wypracowaniu?

– Pytam, ponieważ nie rozumiem – odparłem.

– W porządku – powiedział Koro Ha. – Czy chciałbyś zapytać o coś więcej?

Babcia nauczyła mnie sztuki powolnego nabierania tchu przed rozpoczęciem Żelaznego Tańca. Sięgnąłem po tę umiejętność teraz i przyjrzałem się uważnie Koro Ha, a wtedy przypomniał mi się pewien fakt, o którym często zapomniałem. Przecież mój nauczyciel również nie był Sieneńczykiem czystej krwi. Zdobył wielkie wykształcenie i po mistrzowsku opanował cesarską doktrynę, ale ciemna skóra i gęste loki zdradzały, że miał dzieciństwo podobne do mojego.

– Babcia opowiadała mi różne historie – zacząłem.

– Ach – stwierdził Koro Ha i odłożył filiżankę, a potem splótł palce i pochylił się do przodu, jakby przygotowywał się na cios. – Zastanawiałem się, czy i kiedy uda nam się o tym porozmawiać. Cóż to za historie?

Wzdrygnąłem się, próbując udawać odprężenie lub w najgorszym wypadku zawstydzenie. Miałem nadzieję, że nauczyciel nie zauważy mojego niepokoju. Niektóre z opowieści babci z pewnością zostałyby skazane na zapomnienie, gdyby Yu Niosący Ogień postawił na swoim.

– O bohaterach i innych takich – powiedziałem. – To głównie opowieści przygodowe, ale występują w nich bogowie. Wilki, które mówią, i tak dalej.

– Podobają ci się te historie?

– Są... – Dobrze się zastanowiłem nad doborem słownictwa. „Fascynujące” zdradzałoby nadmierne zaangażowanie, a „zabawne” mogłoby wydać się marnotrawstwem czasu. – Są dziwne, ale intrygujące.

– A ty się zastanawiasz, czy należałoby je zniszczyć, czy może udałoby się z nich coś wynieść?

– Kończą się morałami, które nie zawsze są niezgodne z cesarską doktryną – odparłem, ale zbyt szybko, jakbym się bronił. – Ciekaw jestem, czy może być w nich choć trochę prawdy.

Takiej prawdy, jaką czułem w ciele i kościach, gdy babcia uwalniała swoją moc.

– Czyli intryguje cię magia – rzekł Koro Ha.

Po plecach spłynął mi zimny dreszcz, a ciepły uśmiech nauczyciela bynajmniej nie przegnał chłodu, który nagle poczułem.

– Pamiętam takie opowieści, Olcho – ciągnął. – Mieliliśmy podobne w Toa Alon, choć imperium rządziło u nas z jeszcze większą surowością niż tu. Na tym się nie kończyło. Były opowieści z girzańskich stepów, a nawet z serca Sienu. Wygląda na to, że opowieści zawsze jakoś przetrwają, a w większych miastach imperium można nawet kupić księgi, w których są spisane. Nie jest to lektura godna polecenia, ale przynajmniej nie oznacza łamania prawa.

– A więc są nieszkodliwe? – spytałem.

– Nie użyłbym tego słowa. Już ustaliliśmy, że literatura to polityka i tak dalej, ale większość tych, którzy sięgają po te księgi, nie szuka ukrytej głębi.

Nabrałem znów tchu, zaskoczony, że w ogóle prowadzimy tę rozmowę. Miałem nadzieję, że nauczyciel nie wciąga mnie właśnie w jakąś skomplikowaną zasadzkę.

– A magia?

– Większość ludzi również nie szuka magii – odparł. – Niektóre z mocy opisanych w legendach mogą właściwie istnieć albo mogły kiedyś istnieć, ale któż może stwierdzić, co jest faktem, a co mitem? Tak czy owak, poza Dłómi i Głosami w imperium nie ma ludzi, którzy dysponowałiby takimi darami. – Uśmiechnął się szeroko. – O ile pamięć mnie nie myli, chciałeś kiedyś zostać drugim największym czarownikiem imperium. Uznałem to za dziecięce marzenie.

Najeżyłem się, przeświadczony, że Koro Ha drwi ze mnie.

– Uważasz, że nie dam sobie rady?

– Och, nie, Olcho. Jesteś bardzo zdolny, ale jeśli w istocie chcesz opanować magię, czeka cię długa, bardzo długa droga. – Pochylił się i postukał w sąsiednią stronę. – Droga, której możesz nigdy nie pokonać, jeśli nie skupisz się na nauce.

Tej nocy, co powtórzyło się później wielokrotnie, leżałem w łóżku i wspominałem moc babci. Magia mogła nadać światu inny kształt. Jej potęga była niepodważalna. Nie potrzeba było żadnych argumentów, żeby to udowodnić, i nie potrzeba było wiary, by magia zaczęła działać. Bez względu na to, czy przyjąłem sieneńską doktrynę, czy też mity Nayenu, moja babcia nadal potrafiła wyczarowywać płomienie i przeistaczać się w ptaka.

Była to jedyna rzecz na świecie, którą chciałem zgłębić dla siebie, a nie dlatego, że ktoś z rządzących uznał to za mój obowiązek. Gdybym opanował magię, mógłbym korzystać z niej wedle własnej woli, obojętny zarówno na pragnienia ojca, który chciał przywrócić rodzinie Wen dawną świetność, jak i marzenia babci, która chciała, by Nayen oderwał się od imperium.

W mojej rodzinie istniały dwie rywalizujące ze sobą gałęzie, którym byłem winien tyle samo,

a których nie byłem w stanie pogodzić. Gdybym postanowił służyć jednej, zdradziłbym tym samym drugą. Magia jednakże stwarzała drogę ucieczki przed tą duszącą mnie sprzecznością. Mógłbym dzięki niej wyciąć sobie własną drogę przez świat. Przez cztery lata jakoś znosiłem pragnienie zawładnięcia magią. Jak długo miałem jeszcze czekać, zanim cesarz wybierze mnie na swoją Dłoń lub babcia uzna za gotowego do podjęcia nauki?

Zdecydowałem, że nie mam aż tyle czasu w życiu.

Następnej nocy moja cierpliwość ostatecznie się wyczerpała. Leżałem w łóżku i czekałem na wezwanie babci, ale gdy księżyc znalazł się wysoko na niebie, a ja wciąż nie słyszałem stuknięcia w okno, wymknąłem się na zewnątrz w ciepłą noc.

Nigdy wcześniej sam nie zbliżałem się do Świątyni Płomienia. Odślonięte kły pilnujących jej wilczych strażników napełniły mnie grozą. Uniknąłem ich spojrzeń i zdusiłem w sobie myśl, że w jakiś sposób przekażą babci, że przyszedłem tu bez niej. Oczywiście były jedynie rzeźbami z kamienia, ale po tym, jak widziałem transformację babci, nie miałem już pewności, czy cokolwiek, co widzę, jest wyłącznie tym, czym się z pozoru wydaje.

Uklęknąłem w tym samym miejscu co wcześniej, obok pawilonu przy korycie wyschniętego strumienia. Zacisnąłem powieki, uspokoiłem oddech i otworzyłem się na świat. Słyszałem cykanie świerszczy i rechot żab wszędzie dookoła. Ziemia pod moimi stopami i kolanami była chłodna i mokra. Oddychałem głęboko i wnet poczułem słabe, ledwie wyczuwalne echo osobliwego, kojarzącego się z żelazem i olejem wrażenia towarzyszącego magii mojej babci. Fale mocy oddalały się i przybliżały, a jedna rzecz przeistaczała się w drugą. Jedna chwila dawała początek kolejnej. Możliwości i szanse zmieniały się w każdej chwili zgodnie z wzorem, na którym opierał się świat, a mnie przesywały dreszcze idealnie zsynchronizowane z rytmem tego falowania.

Zawładnęła mną ekscytacja i nagle uświadomiłem sobie, że wyzwoliłem się ze struktury świata i wszystkiego, co się w nim znajdowało, łącznie z własnym ciałem. Niespodziewanie wszystko mogłem kształtować wedle własnego uznania, jakby świat stał się kartką papieru ryżowego, a wszystkie przedmioty i wydarzenia jedynie wypisaną na niej historią. Ja zaś pochylałem się nad nią z pędzelkiem do pisania.

Nie wiedząc, co właściwie robię, sięgnąłem do swojego wnętrza i wpisałem własną wolę w kształt świata, naśladując znaki, które wykonała moja babcia, zanim stała się jastrzębiem.

Podczas gdy magię babci można by przyrównać do kaligrafii, moja była mniej więcej tak wyszukana jak dziecięca taplanina w błocie.

Każdy miesiąc w moim ciele przeszył ból. Umysłem zawładnęła czysta zgroza, bo uświadomiłem sobie, że czeka mnie śmierć. Miałem wrażenie, że skoczyłem z krawędzi klifu w otchłań. Pamiętałem jedynie strumień bólu, który ściągnął mnie, przerażonego i wrzeszczącego, do bezkształtnego ciała stworzonego przez mój nieudolny czar. Miałem kończyny, które nie wiedziały, czy powinny stać się skrzydłami, ramionami, stopami, czy szponami. Miałem puste kości, które pękały i skręcały się pod naporem potężnych mięśni wymagających silnego kościca. Co jakiś czas uświadamiałem sobie, że pełnię po zarośniętej ścieżce z powrotem do domu. Nie mam pojęcia, jak zdołałem tego dokonać z połamanymi kośćmi.

Odzyskałem przytomność w ramionach babci. Znajdowałem się we własnym ciele i we własnym pokoju. Jej twarz majaczyła nade mną, blada i ściągnięta. Babcia przytuliła mnie do piersi i kołysząc się w przód i w tył, szeptała modlitwy dziękczynne do bóstw. Nigdy dotychczas nie okazała mi aż tyle czułości.

– Ty mały durniu! Ty głupcze! – wyszczała. – Nie powinnam była niczego ci pokazywać! Jak ci się to udało... Przecież to nie powinno być możliwe! Przecież nie znasz jeszcze wiedźnich znaków!

Próbowałem ją przeprosić, ale język przysechł mi do podniebienia. Babcia puściła mnie i wcisnęła do rąk filiżankę letniej czerwonej herbaty. Była gorzka, a smak przywodził na myśl jakieś lekarstwa. O mały włos nie wykaszlałem pierwszego łyku, ale zmusiła mnie, żebym wszystko wypił, i niebawem poczułem, jak ciepły płyn rozlewa się po moim podrażnionym, obolałym brzuchu, łagodzi ból mięśni i kości.

– Przez kilka dni będziesz cierpieł jak nigdy wcześniej – powiedziała, nalewając kolejną

filiżankę. – Będziesz też potwornie głodny, ale twój żołądek nie przyjmie nic poza herbatą i lekkim rosółem, a więc trzeba to będzie jakoś przecierpieć.

– Przepraszam – wybełkotałem, odzyskawszy swój głos. – Ja tylko myślałem...

– Nie, wcale nie – warknęła babcia. – Wcale nie myślałeś. Spryt i ambicja wzięły górę nad zdrowym rozsądkiem. Nie pozwól, żeby znów do tego doszło.

W jej głosie słyszałem chłód, jednak pomagała mi usiąść. Płakałem i wzdragałem się na myśl o poczwarniej istocie, którą się stałem.

– Powinam być uważniejsza – szeptała babcia. – Nie powinnam była nic ci pokazywać. Na bogów! Nawet twój wujek nie był tak wrażliwy na magię. – Spojrzała przez okno. Księżyc zniknął, a na niebie rozlewała się czerń zwiastująca nadejście świtu. – Muszę już zniknąć. Twoja matka i twój nauczyciel będą się wystarczająco martwić tą nagłą dolegliwością. Po co dokładać im problemów i zmuszać do zastanawiania się, co robiłam u ciebie w środku nocy?

Złapałem ją za ramię. Babcia wbiła we mnie wzrok, a jej twarz stężała. Przeszedłem tej nocy istny koszmar, ale i tak najbardziej bolało mnie, że przez własną głupotę zaprzepąciłem szansę na to, czego pożądałem najbardziej – na sekretną wiedzę i zakazaną moc. Nigdy nie pragnąłem ich posiadać bardziej niż dziś. Jak dotąd byłem uwięziony między dwoma jakże rozbieżnymi wizjami, należącymi do ojca i babci, ale przez chwilę czułem strukturę całego świata, a moja wola wzniosła się ponad nim, wolna i gotowa, by dokonywać wszelkich zmian. Pierwsza próba zawładnięcia magią o mało nie zakończyła się tragedią, ale gdybym dał sobie więcej czasu i przeszedł szkolenie, byłem przekonany, że opanowałbym tę moc i zgłębił ją aż po samo dno. Mój młody umysł musiał jedynie przygotować się na wyzwanie, któremu na razie nie mógł sprostać.

– Będziesz mnie nadal uczyć? – spytałem, nie mogąc ukryć desperacji.

Babcia strząsnęła moją dłoń.

– A mam jeszcze jakiś wybór?

Podczas pierwszego dnia rekonwalescencji, kiedy budziłem się i znów zapadałem w sen, matka czuwała przy moim łóżku, ustawicznie sprawdzając gorączkę wierzchem dłoni. Nie miałem z nią aż tyle bezpośredniego kontaktu od czasu wczesnego dzieciństwa, kiedy to, zgodnie z zasadami sieneńskiej etykiety, opuściłem jej komnaty i zamieszkałem we własnej, we wschodnim skrzydle domu. Wedle sieneńskiej filozofii matki i synowie nie powinni być sobie bliscy, bo zbyt dużo czułości może wypaczyć młodego mężczyznę i doprowadzić do tego, że nie będzie potrafił zarządzać gospodarstwem domowym jako ojciec. A przecież powinien nim władać jak cesarz małym królestwem. Względy przyzwoitości nakazywały, by matka dowiadywała się o moim stanie zdrowia od służących, które przynosiły mi z tace z herbatą i imbirowymi słodyczami. Moja matka jednakże, co uświadomiłem sobie wówczas w pełni, nie była Sienenką.

Spędziła cały pierwszy dzień oraz większość kolejnego obok mnie. Wraz z babcią pozbyły się sieneńskiego kucharza, który zarządzał naszą kuchnią. Zamiast bogatych w smaki potraw, na jakich się wychowywałem, babcia przygotowała mi takie samo jedzenie, jakie podawała matce i wujowi, gdy oni chorowali jako dzieci – jałowy, słonawy rosół z wodorostów i suszonej ryby, lekką herbatę z dzikich kwiatów, które sama uzbierała w lasach wokół naszej posiadłości, kilka kęsów kleistego ryżu oraz suszone daktyle zawinięte w liście bambusa i ugotowane na parze. Były to nayeńskie potrawy, których nigdy wcześniej nie jadłem, ale matka i babcia wierzyły, że dzięki nim wyzdrowieję.

Koro Ha w międzyczasie przejmował się nie tyle moim zdrowiem, co szkodami, jakie długi okres rekonwalescencji mógł poczynić w mojej edukacji. Babci udało się go odegnąć pierwszego dnia, ale drugiego w jakiś sposób przekonał ją, żeby wpuściła go do środka, po czym zajął moje biurko w rogu pokoju. Stamtąd zaczął mnie bombardować sieneńskimi odami i wierszami, klasycznymi dziełami religijnymi i różnymi rozprawami na temat rządzenia i filozofii, czym zmusił matkę do wycofania się. Nie miała w sobie na tyle odwagi, by przebywać w jednym pokoju z mężczyzną, który nie był jej mężem, co z jej strony było największym ustępstwem na rzecz nakazów przyzwoitości.

Trzeciego dnia Koro Ha zawładnął już moim życiem całkowicie. Spędziłem resztę rekonwalescencji na nauce, choć lekcje raz na jakiś czas były przerywane przez omdlenia. Otrząsałem się z nich zdezorientowany, jakby moje ciało nagle się rozrosło i nie pasowało już do mojej duszy.

Po sześciu dniach nayeńska dieta wygasła ogień w kościach, ale nadal nie byłem w stanie się podnieść. Siódmego dnia straciłem parokrotnie przytomność, a w nocy usłyszałem kłótnię między matką i babcią, tak samo jak się to często zdarzało, gdy byłem mały.

– Co się z nim stało? – spytała ostro matka. W jej głosie dało się słyszeć mnóstwo zatroskania.

– Wygnanie złego wiatru z ludzkiego ciała zabiera sporo czasu – odparła babcia. – Je więcej, a gorączka ustąpiła...

– Jest oszołomiony i słaby! – krzyknęła matka. – Nie wiem, na co on zapadł, ale nie radzimy sobie z tym.

– Radzimy sobie. Bądź cierpliwa.

– Powiesz mi czy nie? – spytała matka na tyle głośno, by usłyszano ją w całej posiadłości, a potem dodała ciszej, lecz głosem wciąż pełnym gniewu: – Pozwoliłam ci go naznaczyć. Zgodziłam się, żeby poznał nasze historie, ale nie powiedziałam ani słowa o nauce twojej magii.

– Twojej również, jeśli chodzi o ścisłość.

– Co. Się. Z nim. Stało.

Nigdy dotąd nie słyszałem takiej zaciekłości w głosie matki. Nie przemawiała tym tonem nawet podczas wizyty wujka przed ośmiu laty, niepożądanego i nieoczekiwanej. Moja babcia najwyraźniej również była tym zaskoczona, bo minęła długa chwila, zanim wreszcie się odezwała:

– Zaczął grzebać w magii, której w ogóle nie powinien mieć prawa tknąć, a co dopiero nią władać. Nikt, nawet Wredny Lis...

– Nie mów o moim bracie! – Usłyszałem, jak matka ostro wciąga powietrze, a potem powoli wypuszcza je z płuc, jak ktoś szykujący się do Żelaznego Tańca. Gdy przemówiła ponownie, była już spokojna i skupiona, a jej głos przypominał wycelowane ostrze. – On potrzebuje lekarza i mam zamiar go tu sprowadzić. A ty milcz. Jeśli ci się to nie podoba, masz prawo opuścić mój dom.



– Nic mu nie mów – ostrzegła mnie babcia ósmego dnia mojej rekonwalescencji. – Ani słowa o tym, co robimy w świątyni, ani tym bardziej o tym, co spowodowało tę... cóż, nazwijmy to chorobą. Jeśli już będziesz musiał mu coś powiedzieć, powiedz coś niejasnego o chłodnym wietrze i pociąganiu nosem. Coś, co każda babcia leczy zupą i herbatą.

Gdy wypilem napar, który mi przyniosła, babcia zebrała puste filiżanki i wyszła pospiesznie z pokoju, mrużąc coś pod nosem o sienneńskich lekarzach, ich pustych łbach, dziurawej wiedzy i leczeniu metodą prób i błędów.

Byłem już wcześniej badany przez sienneńskich lekarzy, którzy podczas niekończących się wędrówek po imperium często przejeżdżali przez leżące w pobliżu miasto Popielna Polana. Gdy miałem sześć lat, zaraziłem się ospą, na którą często chorowały tamtejsze dzieci. Do miasta przybył wówczas lekarz, ale mój ojciec potroił jego gażę i ulokował go w pokoju gościnnym, żeby zajmował się mną, aż odzyskam pełnię sił. W międzyczasie w Popielnej Polanie umarła szóstka dzieci.

Nie pamiętam zbyt dobrze tamtego lekarza. Doktor Sho, ze swoim przenikliwym spojrzeniem i sękatymi dłońmi, zrobił na mnie o wiele większe wrażenie, zarówno gdy przybył, żeby zajmować się mną po nieudanym magicznym eksperymencie, jak i później, gdy moje pragnienie rozgryzienia tajemnic świata doprowadziło do tego, że nasze ścieżki znów się zetknęły.

Bose pięty doktora Sho były zrogowaciałe i popękane. Swoje długie, zmierzwione włosy wiązał na wysokości karku, a jego wąskie usta okalały pasemka brody. Choć każdego Sieneńczyka powinny cechować dystans i rozważa, pełne wyrazu oczy doktora błyszcząły energią. Jego przenikliwe spojrzenie napełniało mnie przerażeniem. Gdyby domyślił się przyczyn moich dolegliwości, tajemnice babci wyszłyby na jaw, matka i ojciec zostaliby oskarżeni o ukrywanie wiedzy, a Sieneńczycy skazaliby nas na śmierć.

Lekarz zacisnął palce na moim nadgarstku, by sprawdzić puls. Oddychałem miarowo, żeby uspokoić bijące mocno serce, w nadziei, że pozostanie to niezauważone. Sho puścił moją dłoń, przycisnął mocniej i puścił ją znowu, a potem mruknął coś pod nosem, napisał parę słów na skrawku papieru i otworzył kufer, który przytaszczył ze sobą. Znajdowało się w nim mnóstwo szufladek, z których każdą, niewiele większą od mojej dłoni, opatrzył logogramem oznaczającym dane zioło lub minerał. Boki kufra znaczyły ryty przedstawiające winorośle albo leśne stworzenia. Lekarz otwierał i zamykał szufladki, napełniając kilka papierowych torebek szczyptami rozmaitych składników.



Dwie największe postawił na moim biurku.

– To zupy ziołowe – powiedział. – Zmieszaj je z rosółem. Wypij jedną porcję jutro, a następną trzy dni później. W trakcie trzydniowej przerwy między jedną porcją a drugą – ciągnął, unosząc dwie mniejsze torebki – pij tę herbatę rano, a tę wieczorem. Drugiego dnia, jeśli nie zdołasz wyjść z łóżka, będziesz potrzebował akupunktury i masażu. Jeśli później twój stolec będzie cuchnąć zgnilizną, natychmiast po mnie poślij. Jeśli zaś będziesz w stanie wyjść z łóżka, udaj się na spacer po ogrodzie. Czwartego dnia nie jedz nic rano, a wieczorem posil się chlebem z mięsem. Potem wrócisz do pełni sił.

Przez cały czas wypisywał instrukcje na kartce, którą mi wręczył.

– Wyjaśnię to również twojej matce. Jeśli sami się nie odezwiecie, wrócę po sześciu dniach po

drugą część zapłaty.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem. Wyczuł to wszystko w moim pulsie? Szybkość jego dedukcji i pewność, z jaką mówił, wydawały mi się równie oszałamiające jak magia. Patrzyłem, jak zamykał swój kufer, i zastanawiałem się, co powiedzieć. Obawiałem się, że odgadł przyczynę mojego stanu, a milczenie mogło tylko potwierdzić jego podejrzenia, więc zebrałem się na odwagę i podziękowałem mu. Zdusiłem w sobie pokusę, by zapytać, co takiego właściwie zdiagnozował.

– Podziękowania nie są potrzebne – odparł. – Dostaję zapłatę.

Po tych słowach zarzucił sobie kufer na plecy, zamocował trzymające go ramię i nałożył swój szeroki stożkowy kapelusz. Na progu zatrzymał się jednak, spojrzał przez ramię i zmierzył mnie surowym spojrzeniem.

– I nie bierz się już za tak niebezpieczne rzeczy, bo czekają cię konsekwencje o wiele poważniejsze od mojej wizyty – ostrzegł mnie i wyszedł.

Dokładnie wypełniałem wszystkie instrukcje, nie chcąc narazić się na gniew człowieka, który przejrzał mnie z taką łatwością. Niektóre z jego lekarstw okazały się przesłodzone, inne były kwaśne, herbaty ziołowe smakowały równie słono jak morze, ale już drugiego dnia zdołałem się podnieść. Babcia z niechęcią wyburczała kilka pochwał pod adresem starego lekarza.

Koro Ha zabrał mnie na powolny spacer wokół ogrodu. Na Księżycowym Moście spotkaliśmy matkę, która nie posiadała się z radości, widząc, że odzyskałem pełnię sił. Ucisnęła mnie z pasją przeczącą wszystkim zasadom zachowania matki wobec syna.

Doktor Sho powrócił szóstego dnia, zbadał mnie bez emocji, skinął raz głową, odebrał od matki rulon ze srebrnymi monetami i wyszedł bez słowa.



Gdy tylko mogłem zacząć chodzić, Koro Ha na poważnie powrócił do naszych lekcji. Obaj wiedzieliśmy, że przez następne cztery lata nie będzie cesarskich egzaminów, ale mój nauczyciel najwyraźniej wierzył w to, że każdy dzień, który spędzimy na czymś innym niż nauka, będzie bolesny w konsekwencjach. Rankiem zajmowaliśmy się dziełami klasycznymi i dialektyką, a popołudniami ćwiczyłem kaligrafię, pisałem wypracowania i układałem wiersze.

Nocą zaś leżałem z szeroko otwartymi oczami w nadziei, że usłyszę pukanie do okna, ale nic takiego się nie wydarzyło. Zamiast tego usłyszałem wiele prowadzonych szeptem dyskusji między matką i babcią. Nigdy już nie odzywały się tak głośno jak tamtej nocy przed przybyciem doktora Sho, a więc teraz udawało mi się wychwycić jedynie kilka stłumionych słów, które przenikały przez ściany z drewna i papieru. Wyobrażałem sobie, że nadal kłóca się o moje potajemne nauki. Babcia obiecuje, że przekaże mi sekrety magii, ale matka jest nadal wstrząśnięta moją chorobą i, jak zakładałem, nie ma ochoty na to pozwolić.

Przez ten wyobrażony konflikt jeszcze bardziej znienawidziłem matkę. Nadal ją kochałem w ten niejasny, ale niepodważalny sposób, wyniesiony z najwcześniejszego dzieciństwa, ale mimo to irytował mnie sam jej widok. Gdy gratulowała mi sukcesów z Koro Ha, jej pochwały parzyły niczym pokrzywa.

Poczucie wyobcowania narastało, aż przeniknęło do mojej podświadomości i zaowocowało koszmarami sennymi, w których wracałem do pamiętnej nocy w lesie. Znowu pełzałem po ziemi, zniekształcony i koślawy, odpychając się poskręcanymi kończynami, z trudem nabierając tchu za każdym razem, gdy chciałem wrzasnąć, prześladowany z każdego kąta przez kamienne ślepia wilczych bogów.

W trakcie jednego z takich koszmarów przebudziłem się nagle, odrzuciłem mokrą od potu kołdrę i w panice obmacałem kończyny, sprawdzając, czy na pewno są ludzkie. Gdy dziki łomot serca wreszcie ustał, usłyszałem znajome pukanie do okna.

– Głupi Kundlu... – szepnęła babcia, stojąca po przeciwnej stronie nasączonego olejem papierowego arkusza. – Spotkajmy się w ogrodzie. Mamy sporo do omówienia, a tylko jedną noc.



Po raz ostatni poszliśmy ścieżką przez las do Świątyni Płomienia, gdzie babcia raz jeszcze zatrzymała się obok posągu Okary. Czekałem z niepokojem, chcąc zrozumieć, dlaczego miała to być nasza ostatnia wspólna noc i czego miała mnie nauczyć.

Nadal nosiłem w sobie świadomość wzajemnego powiązania wszystkich rzeczy. Nie sięgałem po magię od nocy, w której przeobraziłem się w potwora, ale moja tęsknota za osiągnięciem biegłości w tej sztuce tylko się wzmożła. Uświadomiłem sobie, że jedna noc nie wystarczy, by nauczyć mnie wszystkiego, co chciałem pojąć, a ta myśl sprawiła, że mój umysł zasnuła czarna chmura.

Wreszcie dotarliśmy do schodów prowadzących do świątyni. Babcia usiadła i gestem dała mi znać, żebym zrobił to samo.

– Muszę wyjechać – powiedziała w końcu, a w jej oczach pojawiła się mgła, jakby babcia spoglądała na swoje przeznaczenie. Zmarszczki na jej twarzy i dłoniach wydawały się głębsze niż kiedykolwiek wcześniej, a w kącikach oczu pojawiła się typowa dla starych ludzi szklistość. – Na północy wciąż toczą się walki – ciągnęła babcia. – Twój wuj Wredny Lis został przyparty do muru. Jutro udam się do niego.

Wuj był dla mnie obcym człowiekiem. Znałem jedynie jego imię i reputację i pamiętałem niechlujną postać. Ale mimo to raz czy dwa, gdy nauka pod okiem Koro Ha nie przynosiła postępów, a wizja cesarskich egzaminów oplatała mnie na podobieństwo niepokonanego potwora, wyobrażałem sobie, że uciekam z rodzimej posiadłości, porzucam obowiązki wobec rodziny Wen i dołączam do niego w górach. A teraz moja babcia właśnie to planowała.

– Nie idź za mną – nakazała, przypuszczalnie wyczuwając moje pragnienie. – Nie umiesz niczego, co mogłoby się nam przydać. Czytaj książki, które tu ukryłam. Ucz się naszej historii. Ucz własne dzieci. To będzie twoja ostatnia lekcja. Bez niej nie mogę wyjechać.

Weszła do świątyni i wróciła z obsydianowym nożem, którym posłużyła się podczas rytuału nadawania mi imienia. Wyciągnęła dłoń, a ja podałem jej własną. Delikatnie przycisnęła ostrze noża do blizny, która pozostała mi jako pamiątka po rytuale.

Zduśłem okrzyk bólu, gdy babcia nacięła mi skórę wzdłuż trzech głównych linii papilarnych. Niespodziewanie poczułem przypływ mocy, jakby strukturę świata przeszło pojedyncze uderzenie serca, a w rezultacie wszystkie moje zmysły nagle stępiały. Zaciśnąłem powieki w nadziei, że znów doznam falowania energii i poczuję strukturę wszechrzeczy, którą pojąłem na chwilę przed transformacją, ale pozostało mi jedynie wrażenie gorąca i mocy jarzących się pod ranami, które babcia wykroiła w mojej skórze. Brakowało mi rozumienia struktury świata – czułem się, jakbym stracił kończynę. Spoglądałem na babcie, obrabowany i zdradzony. Próbowałem zamaskować panikę, jednocześnie rozpaczliwie usiłując odnaleźć w sobie choć cząstkę mocy.

– Te wiedznie znaki będą świadectwem twojego paktu z bogami – powiedziała. – Bez nich nie powinieneś w ogóle móc korzystać z magii. Próbowałeś wyrzeźbić figurkę z jadeitu, a wybrałeś do tego topór drwala. Gdybyś spróbował wyczarować płomień, pewnie spaliłbyś cały las.

Jej słowa, choć zapewne miały mnie uspokoić, wywołały odwrotny efekt. Nie rozumiałem tego, co właśnie zrobiła, ale wiedziałem, że całkowita wolność, którą poczułem, gdy po raz pierwszy sięgnąłem po magię, nagle została ograniczona przez pakt z bogami. Być może to ograniczenie, jak właśnie dała mi do zrozumienia, miało mnie ochronić, ale nawet gdyby to była prawda, to nie ja się na taką ochronę zdecydowałem. To ona ją dla mnie wybrała. Znów, tak jak zawsze, ktoś podjął decyzję za mnie. Chciałem wrzeszczeć, chciałem chwycić za nóż i pociąć znaki, które babcia zostawiła mi na skórze, w nadziei, że odzyskam w ten sposób wolność.

Ale skoro miałem nauczyć się magii – jakiegokolwiek magii – potrzebowałem babci jako nauczycielki. Któż inny mógłby temu podołać? Musiałem więc, nie po raz pierwszy w życiu i na pewno nie po raz ostatni, przełknąć gniew, frustrację oraz świadomość zdrady. Postanowiłem, że nauczę się od niej wszystkiego, co może mi się przydać, i wykorzystam tę wiedzę, by dotrzeć do jeszcze większych mocy niż te, których posmakowałem, a które babcia odebrała mi kilkoma cięciami noża.

Poląła mi ranę czystym alkoholem i obwiązała bandażami, aż moja ręka zaczęła przypominać zakrwawiony gałgan. Następnie weszła do świątyni, by odłożyć obsydianowy nóż do skrzyni obok

ołtarza, razem z księgami i zwojami, stanowiącymi pozostałości jej kultury. Gdy wróciła, na pomarszczonej twarzy malowały się wszystkie nadzieje, jakie wobec mnie żywiła, i wszystkie lęki.

– Gdy przyszedłeś na świat – powiedziała, przerywając ciszę – musiałam zdusić w sobie pokusę, żeby cię znienawidzić, tak jak ciągle walczę z ochotą, żeby znienawidzić twoją matkę. Była zbyt młoda, gdy nadeszli Sieneńczycy. Szybko zapomniała, co zrobili twojemu dziadkowi. A może nigdy w to nie uwierzyła? Ale Wredny Lis, twój wujek... On pamięta. Sieneńczycy przybyli, obiecując nam bogactwa i kulturę. Jedwabie, operę, frykasy z dalekich krain. Mieli cudowną broń, jak choćby falowaną stal, która rozbijała nasze miecze na kawałki, i granaty zamieniające palisady w sterty spalonych szczap. Sprzedawali to wszystko tanio, a w zamian spodziewali się nie srebra, ale naszych dusz.

Tuliłem do siebie opatrzoną dłoń, ale szybko zapomniałem o cierpieniu, pochłonięty słowami babci. Nawet ból jej zdrady po chwili osłabł. Nigdy dotąd nie mówiła tak wiele o sobie, a już na pewno nie o moim dziadku.

Jej palce, twarde jak u rolnika czy żołnierza, bawiły się rąbkiem rękawów, gdy mówiła:

– To twój dziadek był głównym czarownikiem w naszej wioskowej świątyni, a nie ja. Ja zajmowałam się gospodą. Ludzie przychodzili do niego, żeby się modlić, a do mnie, żeby pić, śpiewać i słuchać starych opowieści. Bo byłam również gawędziarką.

Pokręciła głową i milczała przez moment, aż jej spojrzenie na powrót nabrało ostrości.

– Ważne jest coś innego: przybyli Sieneńczycy. Najpierw była ich garstka, głównie wędrowni kupcy, jak twój ojciec, którzy odwiedzali wielkie miasta. Z czasem zaczęli również zajeżdżać do małych miasteczek, a w końcu również do wsi. Pytali o wiele rzeczy, ale z początku uznaliśmy ich zainteresowanie za niegroźne. Ciekawiły ich nasze opowieści i nasza przeszłość. Szukali map naszych dróg. Twój dziadek spędził wiele nocy w gospodzie, odpowiadając na ich niekończące się pytania o naszych bogów, ale był mądrym człowiekiem i utrzymywał magię w tajemnicy. W tamtych czasach Nayenem wstrząsała wojna domowa. Trzech lordów rywalizowało ze sobą o tron Króla Słońca, co nas, zwykłych ludzi, niezbyt obchodziło. Obawialiśmy się jedynie podwyższonych podatków i przymusowego poboru do wojska. Sieneńczycy jednak zwracali na ten konflikt baczną uwagę. Wkrótce do naszego miasteczka przybyli kolejni kupcy, a wraz z nimi żołnierze, którzy mieli bronić ich karawan. Dotarły też do nas plotki, że Sieneńczycy już nie odwiedzali północy i zachodu kraju, gdzie rządili rywale naszego pana. Zaproponowali pomoc militarną i swoją znakomitą broń, żeby jak najszybciej zakończyć feralny konflikt, a nasz władca – niech płonie po wsze czasy! – skorzystał z propozycji. Jego rywale wkrótce zostali pokonani, ale sieneńskie legiony wcale nie zakończyły podboju.

Ramiona babci unosiły się i opadały, gdy oddychała ciężko, chcąc odnaleźć spokój.

– Niosły się plotki o tym, że nasi czarownicy i nasze wiedźmy znikają. Ponoć plądrowano i palono świątynie. Zaczęliśmy się szykować do ucieczki, ale było już za późno. Sieneńczycy przybyli po twojego dziadka, gdy pakowaliśmy kufry. Wraz z Wrednym Lisem patrzyliśmy, jak ich czarownicy zakuwają go w kajdany światła.

Przełknęła ślinę, zamrugnęła i znów nabrała tchu.

– Nie chciał pozwolić, żeby go pojmali. Zamiast tego zdecydował się zrobić to, co każda wiedźma i każdy czarownik zrobiliby w sytuacji bez wyjścia. Zgromadził swoją moc i wezwał ogień, który wypełnił świątynię. Spalił cały budynek aż po fundamenty, wraz ze sobą.

Głos babci zadrżał i znów musiała przełknąć ślinę.

– Trzy miesiące później urodziłam twoją matkę w jakiejś wiejskiej gospodzie daleko od domu. Wycięłam tam własne wiedźmie znaki i próbowałam wychować dzieci tak, jak życzyłyby sobie tego ich ojciec, człowiek jednocześnie bardzo mądry, jak i skrajnie głupi.

Potarła twarz krawędzią dłoni i mówiła dalej:

– To kłamcy, Głupi Kundlu, a więc żeby przetrwać, sami staliśmy się kłamcami. Zarabiałam na utrzymanie naprawianiem sieci, a Wredny Lis był przez jakiś czas rybakiem, aż wybuchło powstanie. Nigdy nie czułam takiej dumy, a zarazem tak wielkiego przerażenia jak w chwili, gdy mój syn przyłączył się do walczących. – Ostrzem noża wskazała moją obandażowaną dłoń. – No, może jeszcze wtedy, gdy sięgnąłeś po magię bez tych znaków. Jeśli możesz, trzymaj się od niej z daleka. Już poznałeś jej moc i wiem, że ona kusi równie mocno jak silny alkohol. Ktoś taki jak ty, przepełniony ciekawością

i wrażliwy na tyle, żeby móc uczyć się jej samemu, jest w jeszcze gorszej sytuacji. Uważaj, proszę cię. Dzięki tym znakom nie przeobrazisz się znów w potwora, ale istnieją moce równie niebezpieczne i trudne do okiełznania. Wystrzegaj się ich, ale przede wszystkim dołóż wszelkich starań, żeby nikt nie odkrył twojego talentu. Jeśli Sieneńczycy rozpoznają w tobie czarownika, będą cię torturować, aż zdradzisz im wszystkie sekrety, a potem pozwolą ci umrzeć.

Spojrzała na gasnące już gwiazdy i znikający księżyc. Nadchodził świt, a wraz z nim zbliżał się koniec lekcji.

– Prawie żałuję, że zaczęłam cię uczyć – mruknęła i podniosła się, a ja wstałem w ślad za nią. Babcia dotknęła mojego ramienia i spojrzała na zakrwawione bandaże. – Wymyśl coś – poradziła mi. – Powiedz, że coś strugałeś i nóż ci wypadł.

Wracaliśmy w ponurym milczeniu, a gdy znaleźliśmy się w ogrodzie, babcia przytuliła mnie, przygniatając moją zakrwawioną dłoń, którą przyciskałem do piersi. Zacisnąłem zęby, by powstrzymać okrzyk bólu, ale nie cofnąłem ręki.

Nagle poczułem strach przed rozstaniem z babcią. Była przecież filarem mojego życia, oknem, z którego rozciągał się widok na połowę mojego dziedzictwa, nauczycielką, bez której nie umiałbym zrozumieć świata. Jediną osobą, która mogła nauczyć mnie magii, nawet jeśli właśnie ograniczyła mój potencjał.

– Nie musisz nas opuszczać – powiedziałem przez ściśnięte gardło.

Uśmiechnęła się do mnie i w rzadkim dla niej akcie czułości ucałowała mnie w czubek głowy.

– Nie pozwól, żeby nasze tradycje umarły – szepnęła, a potem wypuściła mnie i szybkim krokiem ruszyła w stronę swoich komnat w kobiecym skrzydle. Ja zaś stałem nieruchomo w ogrodzie, aż jej sylwetka znikła za papierowymi ścianami.



Nie posłuchałem rady babci, bo przecież nigdy w życiu niczego nie strugałem, ale za to stłukłem jeden z porcelanowych talerzy na mojej tacy śniadaniowej i rozsmarowałem krew z kciuka na okruchach. Służąca matki załamała ręce, widząc taką stratę, a Koro Ha zbeształ mnie krótko, ale tak naprawdę przejął się tym, że zraniłem się w rękę, którą pisałem.

– Dlaczego jesteś tak nieostrożny! Jeszcze się okaleczysz na dobre i już nigdy nie będziesz mógł pisać! – Jedna z jego brwi drgała z frustracji. – Wszystkie moje trudy pójdą na marne, jeśli nie będziesz mógł przystąpić do egzaminów imperialnych!

Koro Ha przejmował się nie tylko zmarnowanym wysiłkiem. Gdybym wypadł dobrze na egzaminie, mój nauczyciel mógłby zwrócić na siebie uwagę wysoko sytuowanych rodzin, być może nawet rodu któregoś z Dłoni lub Głosów. Wiele takich rodzin oferowało pensje oraz zakwaterowanie nauczycielom, którzy prowadzili ich synów w stronę sukcesu. Gdybym nie mógł pisać, Koro Ha straciłby szansę na taki awans i ewentualną emeryturę.

– Będziemy musieli mieć oko na proces gojenia – rzekł w końcu. – A w międzyczasie zajmijmy się dyskusjami i recytacją.

Byłem właśnie w połowie recytowania „Pisma o strumieniach i dolinach”, gdy nad naszym ogrodem przemknął jastrząb. Brązowe pióra mignęły w słońcu. Urwałem, a wersy poematu umknęły mi z głowy. Patrzyłem, jak ptak niknie za koronami drzew, i zastanawiałem się, czy to moja babcia i czy przyjdzie mi ją jeszcze kiedyś zobaczyć. Koro Ha kazał mi zacząć od początku, ale nie mogłem się już skupić i zwolnił mnie z dalszych zajęć na długo przed kolacją.

Moja babcia znikła, a ja straciłem szansę, by ruszyć wymarzoną ścieżką. Zachęcała mnie, żebym uczył się sam, ale ja miałem przeczucie, że bez jej pomocy Koro Ha i mój ojciec zdobędą przewagę i przeciągną mnie ku ich własnej wizji mojej przyszłości. Wszystko, co mogłbym wymyślić, i tak zniknie z czasem.

Wieczorem usiadłem na łóżku, żeby przyjrzeć się swojej dłoni. Babcia mówiła prawdę i moje rany już zdążyły się zasklepić. Krew plamiąca bandaże była sucha i poczerniała, ale blizny okazały się cienkie i wyblakłe. Swędziały i paliły, gdy zaciskałem dłoń, ale nie było na nich żadnych strupów. Nagle

uświadomiłem sobie, że Koro Ha nigdy mi nie uwierzy, że naprawdę się skaleczyłem.

Wpadłem w panikę. Wiedziałem, że matka i nauczyciel będą się spodziewać poszarpanego rozcięcia pozostawionego przez okruch porcelany, a nie tych rytualnych znaków. Nie mogłem stłuc kolejnego talerza, bo to pociągnęłoby za sobą zbyt wiele pytań, a nie trzymałem w pokoju noża. Oczywiście było ich pełno w kuchni, ale dziedzic majątku, który w środku nocy włóczy się w skrzydle dla służby, również wzbudziłby mnóstwo uwagi i wywołał sporo plotek.

Istniał tylko jeden nóż, po który mogłem sięgnąć, nie powodując zamieszania. Wyślizgnąłem się do ogrodu i ruszyłem po znajomej ścieżce w głąb lasu. Moja poprzednia samotna wędrówka o mało nie zakończyła się tragedią, a teraz, gdy moja babcia znikła, nie było już nikogo, kto mógłby mnie uchronić przed moją własną głupotą.

Wilczy bogowie przyglądali mi się, gdy wchodziłem po schodach do świątyni. W ich kamiennych oczach nie widziałem ani ciepła, ani nagany. Jeśli pamiętali moją ostatnią samotną wizytę, nie dali tego po sobie poznać.

Musnąłem dłonią górę ołtarza. Ogień rozniecony przez moją babcie w palenisku wciąż nie zgasł. Nóż leżał tam, gdzie go zostawiła, wśród ksiąg i zwojów bambusowych listewek w niewielkiej skrzynce obok ołtarza. Już dwukrotnie widziałem, jak to obsydianowe ostrze zostało wykorzystane podczas rytuału magicznego, ale w tej chwili był to dla mnie jedynie nóż.

Rękojęść owinięto starą skórą, przetartą w miejscach wskazujących, że noża używał człowiek o dłoni szerszej od mojej. Złapałem go niezdarnie lewą ręką i przyglądałem się prawej, zastanawiając się, gdzie wykonać nacięcie. Górna część dłoni, pod kciukiem i nad blizną, która nadała mi imię, była czysta i miałem wrażenie, że właśnie tu bym się skaleczył, gdybym próbował na próżno złapać rozbijający się talerz.

Zacisnąwszy zęby, ciąłem się po dłoni na tyle głęboko, by móc udokumentować kłamstwo, ale na tyle płytko, by nie uszkodzić sobie ręki. Rana była długa i nierówna. Zaczynała się pod kciukiem i wijąc się, wiodła aż do środkowego palca. Miałem wrażenie, że zasłużyłaby sobie na krzywy uśmiech współczucia ze strony nawet najbardziej doświadczonego i poblížnionego weterana wojennego, a z całą pewnością odciągała uwagę od drobniejszych blizn, pozostawionych przez babcie. Owinałem dłoń na powrót w stare bandaż, odłożyłem nóż na miejsce i opuściłem świątynię. Gdy wychodziłem, poczułem, jak włosy na grzbiecie stają mi dęba, ale gdy się odwróciłem, ujrzałem jedynie kamienne ślepie wpatrzonych we mnie wilczych bogów.

Następnego dnia rano Koro Ha wpadł w panikę na widok świeżej krwi. Zdjął bandaż i obłożył ranę okładem z ziół i olejów mineralnych, po czym obandażował ją ponownie. Jeśli spostrzegł rytualne blizny pozostawione przez babcie, nie skomentował ich ani słowem, a gdy zakończył pracę, w lewą dłoń wsunął mi pędzelek do kaligrafii.

– Mam nadzieję, że lubisz pisać, chłopcze – rzekł. – Bo przez najbliższe dni czeka cię tego całkiem sporo.

O zniknięciu babci przypominała mi jedynie cisza w nocy, dotychczas zakłócana sprzeczkami z matką. Ani rodzice, ani Koro Ha nie wspomnieli o tym słowem. Być może uwierzyli, że jeśli nie będą mówić o babci, Sieneńczycy nigdy się nie domyślą, że ukrywaliśmy ją tak długo.

Przez kolejne trzy lata nauczyłem się o magii wszystkiego, co mogłem, ale wiedźmie znaki ograniczały moje możliwości. Nie potrafiłem już wznieść się nad świat i zawisnąć nad nim niczym pędzelek nad czystym arkuszem, gotów napisać, cokolwiek przyszłoby mi do głowy. Teraz, gdy tylko sięgałem po moc, byłem w stanie wydobyć jedynie taką, która pozwalała na wyczarowanie ognia i zmianę kształtu. Bez instrukcji babci nie miałem odwagi, by wyjść poza próbę rozpalenia świeczki.

Czy zaskoczyłoby kogoś to, że perspektywa zbliżających się egzaminów wypchnęła nauki babci z mojej głowy? Wszak pozostała tylko jedna ścieżka, która mogłaby mnie kiedyś doprowadzić do opanowania magii, a była nią mało prawdopodobna kariera Dłoni cesarza.

Gdyby babcia kiedykolwiek dowiedziała się, że moje myśli w ogóle zabłądziły w tym kierunku, nie mówiąc już o tym, że zrodziła się we mnie taka nadzieja, eksplodowałyby gniewem tak wielkim, że pewnie zacząłbym bać się o swoje życie. Niemniej marzyłem o magii od lat i niewiele w tej sprawie osiągnąłem, a do tego czułem obecność ograniczających mnie znaków, którymi zostałem obdarzony. Szczerze powiedziawszy, z wolna przestawałem dbać o zdanie babci i nie przejmowałem się już nadziejami, które ze mną wiązała, ani zamiarami, jakie wobec mnie żywiła. Gdy nadszedł czas, bym wyruszył do stolicy naszego regionu, żeby przystąpić do egzaminów, uświadomiłem sobie, że nie odwiedzałem Świątyni Płomienia od ponad roku.

Ojciec tak poukładał swoje obowiązki, żeby być w domu w dniu, gdy będę wyjeżdżał. Nie sprawdzał już mojej wiedzy, co czynił często, gdy byłem młodszy. Zamiast tego zaprowadził mnie do małej kapliczki rodzinnej w rogu ogrodu.

Omiotliśmy ołtarzyki postawione ku czci mędrców, wypolerowaliśmy ich złociste twarze olejem różanym, zapaliliśmy kadzidełka u ich stóp i ustawiliśmy owoce oraz słodki ryż na stole, a potem uklękliśmy przed pokrytą lakierem tablicą, na której widniały starożytne imiona najwybitniejszych członków naszej rodziny. Ojciec wezwał ich na pomoc i poprosił, by baczyli na mój język oraz dłoń trzymającą pędzelek. Ja również oddałem im cześć i poprosiłem Wena Dęba, by wskazał mi ścieżkę prowadzącą do kariery Dłoni cesarza. Gdy wstaliśmy, ojciec uściśnął mi ramię, a jego dotyk był ciepły i pełen uczucia. Takim dotykiem nie obdarzył mnie od najwcześniejszych lat dzieciństwa.

– Dobrze, że masz w sobie tyle ambicji – powiedział. – Ale odbudowanie reputacji naszej rodziny to praca dla wielu pokoleń. Nasi dziadkowie, niech spoczywają wśród najwybitniejszych przodków, rozpoczęli tę pracę, z chwilą gdy sprzedali swoje żałosne gospodarstwo i kupili pierwszy statek. Ja już wypełniłem swój obowiązek i dopilnowałem, żebyś zdobył wykształcenie. Pora, żebyś teraz ty wykonał swoje zadanie. Potrzebujesz objąć jakieś stanowisko, które pozwoli ci wynająć naprawdę wybitnego nauczyciela dla twoich synów. Być może któryś z nich albo z twoich wnuków znów osiągnie wielkość.

– Oczywiście – odparłem. – Ale zacytuję Wędrującego Wąskim Traktem, który mówił: „Czy nie lepiej brnąć w stronę szczytu góry, niż osiąść u jej podnóża?”

Ojciec uśmiechnął się z aprobatą, bo cytowanie mędrców uważał za oznakę dobrego wykształcenia, a potem zaprowadził mnie do pawilonu ogrodowego. Tej nocy po raz pierwszy napiliśmy się razem wina. Nie zdradziłem mu, że mamy rozbieżne cele i nie zadowoli mnie rola kamienia brukowego na ścieżce ku wielkości naszej rodziny. Ukryłem przed nim zdecydowanie, by przeć naprzód, aż dotrę na szczyt góry, i przekonanie, że dopiero tam zdołam zrozumieć moc, którą władałem – moc, która o mało mnie nie zniszczyła.

Rankiem mój ojciec wrócił na swoje statki, a ja i Koro Ha wyruszyliśmy w stronę stolicy regionu.

Jako kupiec ojciec podróżował często w interesach, ja natomiast nigdy wcześniej nie opuszczałem naszego zakątka świata, dlatego perspektywa wyprawy do Wschodniej Fortecy wydawała mi się bardzo ekscytująca. Podróż jednak wcale nie okazała się przyjemna.

Wielki Trakt, łączący północ Nayenu z południem, nadal nosił ślady sienneńskiej inwazji. Podczas trwającej trzy dni podróży słudzy niosący palankin musieli radzić sobie z głębokimi koleinami i nierównym brukiem. Próbowałem czytać, ale tekst skakał mi przed oczami, a gdy Koro Ha chciał przetestować ustną część egzaminu, zęby szczękały mi na każdym wyboju. Raz nawet ugryzłem się w język i poczułem smak krwi.

Pod koniec trzeciego dnia wędrówki nasz palankin zwolnił i posuwał się w ślimaczym tempie. Otworzyłem oczy, spodziewając się, że jesteśmy na miejscu, ale choć przedostaliśmy się już przez bramy Wschodniej Fortecy, nie dotarliśmy szczególnie daleko. Nasi tragarze przedzierali się teraz przez bezkresne morze młodych twarzy, zarówno pokrytych pyłem traktu, jak i zerkających z okien innych palankinów.

Koro Ha wyczuł mój niepokój. W miarę jak nasi tragarze brnęli przez tłumy, opowiadał mi o wspaniałych potrawach, występach operowych i wycieczkach po mieście, na które miał nadzieję czas po egzaminie. Nigdy dotąd nie widziałem opery, ani też nie próbowałem delikatesów z odległych krańców cesarstwa, ale nauczyciel zapewniał mnie, że będę miał taką okazję na rządowej uczcie dla kandydatów, którzy odnieśli sukces. Dzięki jego opowieściom mogłem na moment zapomnieć o nerwach, ale niepokój i tak nie przestawał zżerać mnie od środka.

Ojciec ustalił wcześniej ze swoim partnerem handlowym, że ten nas ugości. Pan Yat był właścicielem kopalni miedzi, a kupiecka flota mojego ojca często transportowała jego towary. Powitał nas serdecznie i kazał swojemu zarządcy zaprowadzić nas do pokojów, a potem do łaźni. Gdy się wykąpaliliśmy i przebraliśmy, pan Yat dołączył do nas na skromnym dziedzińcu. Razem zjedliśmy wieczerzę składającą się z podsmażanego łososia w sosie ostrygowym, duszonych warzyw, ryżu jaśminowego i marchewek smażonych w oliwie z czerwonej papryki.

– Pamiętam, jak Oset, mój drugi syn, podchodził do egzaminu – powiedział pan Yat. Złoty ząb trzonowy błysnął w jego ustach, gdy wsuwał w nie kęs ryby. – To było dziewięć lat temu. Osobiście zawiozłem go do Fortecy Centralnej, bo chciałem mieć pewność, że nie zapomni o egzaminie i nie przepuści pieniędzy na luksusy i przyjemności. Biedak o mało nie posrał się z nerwów, ale zdał, a teraz służy jako skryba pod rozkazami jakiegoś generała w Toa Alon. Twój ojciec to jeden z najsprytniejszych drani, jakich znam. Jeśli masz choć pół jego rozumu, zdasz ten egzamin, nawet jeśli druga połowa mózgu jest zmacona obcą krwią.

Najeżyłem się, słysząc obelgę, ale krytyka postawy gospodarza byłaby pogwałceniem zasad uprzejmości. Pan Yat nalał nam śliwkowego wina, które okazało się słodkie i delikatne, a do tego cudownie łagodziło stres. Szybko wypilem całą czarkę. Yat poruszył się, by ją napełnić, ale Koro Ha odwrócił własną i spojrzał na mnie znacząco.

– Jutro będziesz potrzebował czystego umysłu – rzekł.

– Niech się chłopak trochę zabawi! – Yat postawił czarkę nauczyciela i napełnił ją. – Umysł odprężony to umysł bystry. Nie mam pojęcia, który mędrzec powiedział coś takiego, ale jestem pewien, że któremuś przyszło to do głowy.

Koro Ha odsunął naczynie.

– Proszę o wybaczenie, panie Yat. Dziękuję ci za gościnność, ale młody panicz Wen zostanie kimś bardziej znaczącym od byle skryby u zesłanego na prowincję generała, nawet jeśli jego krew nie jest czysta.

Następnie wstał, uklonił się gospodarzowi i spojrzał na mnie wyczekująco. Wino już uderzało mi do głowy, ale wiedziałem, że okazywanie nieposłuszeństwa nauczycielowi nie jest dobrym pomysłem, zwłaszcza gdy przybierał taką minę. Pan Yat wymamrotał coś o tym, że pomaganie mojemu ojcu to dla niego zaszczyt, i życzył mi szczęścia na egzaminie, a potem sam nalał sobie więcej wina.

Gdy znaleźliśmy się na korytarzu skrzydła gościnnego, Koro Ha się zatrzymał, a we mnie obudził się lęk, że chce mnie przeegzaminować po raz ostatni. On jednakże ujął skrzynkę na pędzelek, którą podarowała mi matka na pamiątkę egzaminów. Piękną, pomalowaną czarnym lakierem i ozdobioną

gałązkami olchy. Podał mi ją, a ja, trzymając skrzynkę w ręce, czułem tę samą doniosłość chwili jak wtedy, gdy babcia nadała mi imię.

– Będziemy z ciebie dumni, Wen Olcho! – rzekł Koro Ha. – Mam nadzieję, że się wyśpisz.

W nocy leżałem jednak z otwartymi oczami, powtarzając w myślach setki wyuczonych na pamięć dyskursów i aforyzmów, rozmyślając nad strukturami wypracowań i zastanawiając się, czy któryś z nauczycieli pilnujących przebiegu egzaminu rozpozna blizny na moich dłoniach. W końcu udało mi się zasnąć, ale wtedy dopadły mnie koszmary. Choć pragnąłem zapomnieć o nocy, kiedy to wciąż wolny od wiedźnich znaków, nagiąłem magię do swojej woli i przeistoczyłem się w potwora, mój śniący umysł wywłócił wspomnienia długiej, bolesnej drogi, którą pokonałem, czołgając się po zarośniętej ścieżce. W koszmarze czułem na sobie spojrzenia wilczych bogów podążających za mną wśród drzew. Wszeptywane przez nich słowa docierały do mnie z cieni spowijających skraj lasu.

„Ten?”

„Niegodny”.

„Porażka”.

W chwili gdy Koro Ha się przebudził, ja piłem już czwartą filiżankę czarnej herbaty. Od razu zauważył sińce pod moimi oczami. Nie mógł ujrzeć niczego równie złowróżbnego w dniu egzaminu. Obawiałem się, że poczęstuje mnie reprimendą albo spróbuje pocieszyć z udawaną szczerością.

Zamiast tego położył mi dłoń na ramieniu i uśmiechnął się.



Niedługo po tym stałem wraz z innymi kandydatami na marmurowym placu przed wielką salą audiencyjną w pałacu gubernatora. Na długich masztach łopotały proporce, a z brązowych mis na kadzidłach ustawionych na podwyższeniu przed nami spływał bogaty zapach. Nasze szaty i szpiczaste filcowe czapki przesiąkały potem.

Gubernator w towarzystwie swoich asystentów wyszedł pomiędzy dwóch kolumn obramowujących wejście do sali audiencyjnej. Na tę okazję sam również przywdział strój uczonego – szpiczastą czapkę i powłóczystą szatę – choć do rękawów i z przodu czapki miał przyszyte dwa złote skrzydła, co wyróżniało go jako tego, który najlepiej zdał egzaminy imperialne. Na jego czole pod otokiem czapki widniał symbol, który wydawał się namalowany srebrnym atramentem. Nawet z oddali natychmiast rozpoznałem w nim cesarski tetragram – cztery ułożone w kwadrat logogramy, które razem tworzyły wieczne, nigdy niezmiennające się imię cesarza. Gdy gubernator omiół mnie mrocznym spojrzeniem, miałem wrażenie, że zatrzymał się na moment, jakby chciał mi się przyjrzeć osobiście. Czyżby dostrzegł w mojej twarzy coś, co przypomniało mu mojego owianego złą sławą wujka? Odruchowo wstrzymałem oddech, a kiedy gubernator przeniósł wzrok na innych, słyszałem, że reagowali tak jak ja.

– Młodzi ludzie z Nayenu! – zawołał, a jego głos odbił się echem od ścian dziedzińca. – Dziś spotka was największy zaszczyt i jednocześnie największe wyzwanie znane ludzkości! Po raz pierwszy najbystrzejsze młode umysły w waszej prowincji otrzymają możliwość podjęcia pracy w prześwietej służbie cywilnej naszego imperium, a jeden spośród nich zostanie wyniesiony do najwyższej godności – zostanie Dłonią cesarza.

Uniósł prawą rękę i pokazał blizny identyczne z tetragramem, który nosił na czole.

– Wszystko, co czyni ta dłoń, dzieje się w wieczne imię cesarza! Dłonią naznaczoną tym symbolem cesarz wymierza sprawiedliwość. Mogą go nosić gubernatorzy, generałowie i uczeni, i nadszedł czas, aby jeden z was, chłopiec z Nayenu, najmłodszy z synów adoptowanych przez cesarza, dostąpił tego zaszczytu. Jeden z was otrzyma tę oto pieczęć i niech ta świadomość zmotywuje was do jak największych starań.

Tetragram na dłoni gubernatora zapłonął srebrem. Wokół czubków palców zakręciły się białe ogniki. Mężczyzna zacisnął dłoń, a ogień rozbłysnął niczym błyskawica i znikł. Młodzi chłopcy wokół mnie wiwatowali, bo wszyscy nawykli do podobnych pokazów na festiwalach z okazji Nowego Roku i przywodziły one wspomnienia radości i zabawy. Tylko ja milczałem. Ja również byłem świadkiem

podobnych popisów, ale nigdy dotąd nie znajdowałem się na tyle blisko, by poczuć je tak jak magię babci. Gdy wyczarowywała płomień, moja skóra czerwieniała, jakbym walczył z gorączką. Gdy babcia się przeistaczała, każdy mięsień w moim ciele przeszywał ból. Tymczasem jedyną cechą wspólną jej magii i czarów gubernatora był ulotny zapach palonego cynamonu oraz nagłe wyostrenie zmysłów. Czary babci wydawały się bardziej abstrakcyjne, ale zarazem cięższe, jakby z nieba spadały kamienne mury, by utknąć w strukturze świata.

Jakiś skryba wezwał mnie po nazwisku, a ja na powrót skupiłem uwagę na otaczającej mnie rzeczywistości. Udałem się za nim razem z siedmioma innymi kandydatami. Prowadzili ożywioną rozmowę, a ja rozmyślałem o czarach gubernatora.

– Cóż to był za widok! – powiedział chłopak idący obok mnie. Uśmiechał się szeroko, aż na jego nakrapianych piegami policzkach pojawiły się dołeczki. Miał długie czerwonobrazowe kędziory, które wymykały się spod czapki. – Niedługo jeden z nas zdobędzie taką moc! Co ty na to?

Zanim zdołałem odpowiedzieć, dotarliśmy do szerokiego pawilonu stojącego nad stawem z lotosami. Ustawiono tam w kręgu osiem biurków, z których każde skierowane było na zewnątrz. Skryba kolejno wyczytywał nasze imiona i wskazywał miejsca. Rozsiadaliśmy się, sprawdziliśmy kamienie pisarskie oraz ciężarki do papieru, a potem w napięciu czekaliśmy na nauczycieli nadzorujących.

Drżały mi dłonie. Wziąłem głęboki oddech, żeby uspokoić płuca, i zabrałem się do układania pędzelków i nawilżania kamienia pisarskiego. Chrząst ugniatanego tuszu wydał mi się niebywale irytujący, podobnie jak szelest papieru, gdy rozprostowywałem zwój i przygniatałem go ciężarkami. Zanurzyłem pędzelek zakończony włosiem z łasicy i odkryłem ku swojej wielkiej uldze, że palce przestały mi drżeć, choć nadal czułem wizję nadciągającej porażki. Ucisk w piersi nie ustępował, a myśli wirowały chaotycznie.

Polecono nam, byśmy rozpoczęli egzamin od spisania swojego rodowodu. Przez następnych kilka godzin miałem klęczeć w pawilonie i opisywać moich przodków, kładąc szczególny nacisk na Wena Dęba oraz innych jemu podobnych, którzy zdali cesarskie egzaminy. Choć miałem się chwalić pochodzeniem, musiałem posługiwać się powściągliwym językiem i z pokorą dobierać środki artystycznego wyrazu.

Zdradziła mnie dłoń. Nagle zadrżała i zepsułem zapis pojedynczego znaku. Niezdarny zawijas zdawał się ze mnie drwić. Nie zmienił znaczenia tego, co napisałem, ale przecież oceniano nie tylko treść, lecz również pismo.

Rozejrzałem się, upokorzony tym, że potknąłem się na tak prostym zadaniu. Przecież ćwiczyłem kaligrafię bez końca! Byłem przekonany, że ta wpadka przypieczętuje mój los, a kontynuowanie egzaminu mija się z sensem. Zgromadziło się tu przecież wielu innych młodych chłopaków, o wiele zdolniejszych ode mnie. Na pewno byli wśród nich tacy, którzy nie zaprzepaściliby swojej przyszłości byle bohodem pozostawionym przez trzęsącą się z nerwów rękę, a któryś z nich zostanie Dłonią cesarza. Ja zaś traściłem swoją szansę na wolność raz na zawsze.

Skądś dobiegł stłumiony okrzyk. Nauczyciel nadzorujący wpadł do pawilonu jak piorun i rozejrzał się z miną równie ostrą jak katowski miecz.

– Co to za hałas! – syknął.

Powoli spojrzałem przez ramię. Nauczyciel pochylał się nad kandydatem, który siedział ze spuszczoną głową. Jego ramiona drżały od wstrzymywanego szlochu.

– Wytłumacz się! – rozkazał nauczyciel.

Szelest pracujących pędzelków ucichł, gdy wszyscy odwróciliśmy się ku zamieszaniu.

– Ja... Ja... – szlochał chłopak, a potem zerwał się bez słowa i wybiegł z pawilonu, zostawiając za sobą pędzle, tusz i nadzieje na przyszłość.

Nauczyciel omiół nas surowym spojrzeniem.

– Liczę, że reszta z was znajdzie w sobie dość hartu ducha, żeby powrócić do pracy. Czy może mam zapisać, że wszyscy odwracaliście głowy, być może po to, żeby odnaleźć inspirację w zapiskach sąsiada?

Zrobiłem, co mi kazano. To, że sam nie wybiegłem w panice, dodało mi odwagi, a więc wróciłem myślą do pustej przestrzeni obok gryzmoła. Jedyna droga stąd wiodła naprzód.

Zacisnąłem powieki i skupiłem się najpierw na czubkach palców, potem na ścięgna i kościach dłoni, a na końcu na żyłach nadgarstka. Skoncentrowany, wędrowałem myślami w górę, aż do łokci, skąd dotarłem do barków, żeber i w końcu do serca. Słuchałem jego powolnego bicia, co stanowiło zwieńczenie rytuału wyciszającego odbywanego przed bogami Nayenu na początku Żelaznego Tańca. Myślałem tylko o kolejnym słowie, kolejnym zdaniu i kolejnej stronie. Niedługo później pisanie pochłonęło mnie całkowicie.

Przedstawiłem zwięzły opis interesów mojego ojca, a potem wyczyściłem pędzelek i odłożyłem go do skrzynki, co było sygnałem dla nauczyciela, żeby odebrał mój zwój. Kiedy ucichł szelest pozostałych pędzelków i inni kandydaci również skończyli pracę, ogarnął mnie spokój. Gdzieś wysoko nad ogrodem zakrzyknął jastrząb.



Egzaminy ciągnęły się przez resztę tygodnia, a ja nabierałem pewności, że poniosę porażkę, i powoli traciłem nadzieję na to, że zostanę Dłonią cesarza i otrzymam możliwość uczenia się magii bez lęku, bez konieczności ukrywania się.

Przez resztę pierwszego dnia oraz cały drugi pisałem w pośpiechu wypracowania i komentarze, zawsze kończąc przed moimi sąsiadami. Za każdym razem byłem przekonany, że pominąłem jakiś ważny element, który okazał się oczywisty dla całej reszty. Dnia trzeciego i czwartego, podczas egzaminów ustnych, sparaliżowały mnie wątpliwości. Parokrotnie wyrzuciłem z siebie odpowiedź dopiero po tym, jak egzaminator powtórzył pytanie po raz trzeci.

Piątego i ostatniego dnia egzaminów trafialiśmy pojedynczo do niewielkiego pawilonu, oddzielonego od reszty ogrodu bazaltowymi kolumnami od północy i gajem bambusowym od południa. Gdy wszedłem do środka, ujrzałem czekających na mnie dwóch egzaminatorów. Jeden z nich, pyzaty eunuch z różowawą skórą, wskazującą na pochodzenie z południa Sienu, egzaminował mnie już wcześniej. Drugiego z mężczyzn nie rozpoznawałem, ale złote pióra wyhaftowane na brzegu rękawów świadczyły, że swego czasu zdobył pierwsze miejsce podczas własnego egzaminu. Miał rzadką brodę, typową dla uczonych. Uśmiechnął się i gestem kazał mi usiąść, a gdy to zrobiłem, ujrzałem błysk tetragramu na jego dłoni.

Moja prawa dłoń, schowana głęboko w rękawie, zacisnęła się w pięść. Musiałem wyteńczyć wszystkie zasoby siły woli, żeby zmusić się do zajęcia miejsca, bo instynkt nakazywał mi wybiec z ogrodu i szukać szczęścia w górach. Miałem przed sobą Dłoń cesarza! Czy to możliwe, by zwrócił na mnie uwagę? Czy to możliwe, że zna mojego wuja albo babcię? A może zobaczył znaki wycięte na mojej skórze?

– Witaj, Wen Olcho – powiedział egzaminator, którego rozpoznałem. – Pozwól, że przedstawię ci Dowa Przewodnika, Dłoń cesarza ostatnio przydzielonego do tej prowincji. Poprosił o przywilej obejrzenia twojego egzaminu ustnego.

Ukloniłem się nisko, niemalże dotykając czołem stołu.

– To dla mnie zaszczyt, o wielka Dłoni. Obyś przeżył tysiąc lat w pokoju, a nasz cesarz jeszcze dziesięć tysięcy!

Czarownik skinął głową w podzięcie, a potem rozsiadł się na krześle i złożył ręce na kolanie. Wyglądał jak ktoś, kto śni na jawie, ale jego oczy były bystre i czujne. Zauważyłem, że nie mruga.

– Z pewnością świetnie sobie poradzisz – rzucił, jakbyśmy byli bliskimi przyjaciółmi, po czym zwrócił się do nauczyciela: – Zaczynaj, jeśli łaska.

Egzaminator wyciągnął zwój z rękawa i zaczął go rozwijać.

– Młody paniczu Wen – oznajmił – ta część egzaminu ma sprawdzić twoją znajomość analizy literackiej oraz ideologii cesarskiej. Odczytam krótką przypowieść, a twoim zadaniem będzie jej ocena. Najpierw skomentujesz jej przekaz i zalety literackie, a później jej wartość jako dzieła literackiego rozprowadzanego po cesarstwie.

Egzaminator zaczął czytać, ale moja uwaga skupiona była na Dłoni. Znałem system oceniania nauczycieli, ale jaką skalą posłuży się Dłoń Przewodnik, by mnie ocenić? Byłem przekonany, że

podejrzewa mnie o coś – być może o uprawianie zakazanej magii lub kontakty z wyjętymi spod prawa krewnymi – a moja odpowiedź potwierdzi bądź oddali jego podejrzenia.

Historia odczytana przez nauczyciela była zwykłą opowieścią dydaktyczną o kupcu, jego żonie, interesach prowadzonych z dala od domu, długich okresach rozłąki, po których następowały romanse i skandale. Dla kogoś, kto rozumiał doktrynę cesarską, analogie nie były wcale trudne do rozgryzienia.

– Ach – wtrącił Dłoń Przewodnik, gdy zacząłem formułować odpowiedź. – Czy ktoś naprawdę przejmuje się niewiernością kupieckich żon? – Pochylił się ku mnie z błyskiem w oku i z ledwie zauważalnym uśmiechem. – Ja mam w głowie o wiele lepszą historię i jestem pewien, że nigdy wcześniej jej nie słyszałeś. Panie kolego, nie obrazi się pan? – zwrócił się do eunucha.

– Ależ skąd, wielka Dłoni! – wymamrotał egzaminator. – Jeśli cię uraziłem...

– W żadnym wypadku – zapewnił Dłoń Przewodnik. – Skoro już mam tu siedzieć, równie dobrze mogę się nieco zabawić. Jesteś gotów, paniczku Wen?

Moje myśli zawirowały, gdy próbowałem przewidzieć, cóż za opowieść przygotował dla mnie Dłoń Przewodnik. Nabrałem głęboko tchu, by się uspokoić.

– Jestem gotów – powiedziałem.

– Doskonale! – Przewodnik klasnął w dłonie i rozpoczął opowieść.

Oto historia, którą od niego usłyszałem.

Dawno temu na dalekich krańcach imperium przyszedł na świat kot, który potrafił odginać jeden z palców i używać go jak kciuka. Był ulubionym zwierzęciem miejscowego sędziego i pracował na swoje utrzymanie, łowiąc myszy.

Kot jednak był bardzo sprytny, jak wiele innych stworzeń w jego czasach, a podrzędna rola, jaką pełnił, wcale nie przypadła mu do gustu. Dla własnego rozwoju przysłuchiwał się więc lekcjom, które syn sędziego pobierał u swego nauczyciela. Chłopiec nie był zbyt bystry, więc kot często odgadywał prawidłowe odpowiedzi jako pierwszy.

Jakież to niesprawiedliwe, że chłopak będzie kiedyś cesarskim urzędnikiem, a ja marnuję swój potencjał, polując na myszy, pomyślał kot pewnego dnia. Gdybym był bardziej wykształcony i mógł przystąpić do egzaminów, jestem pewien, że bym je zdał.

Dzięki temu, że potrafił odginać kciuk, kot mógł trzymać patyk, tak jak chłopiec trzymał pędzelek, i obserwując jego lekcje, szybko nauczył się pisać.

Pewnego dnia chłopak zauważył kota gryzmołającego coś na ziemi i podniósł się zza biurka, by mu się przyjrzeć.

„Skup się, chłopcze!” – zawołał nauczyciel.

„Ale niech pan spojrzy! Kot nas naśladuje!” – powiedział chłopak.

Nauczyciel spojrział karcąco na kota, który zadziornie machnął ogonem.

„Ależ on tylko coś tam maże bez ładu i składu!” – stwierdził nauczyciel. „Nie ma pojęcia, co pisze”.

„Ale jego litery wyglądają lepiej od moich” – uznał chłopak.

Nauczyciel przepędził kota, a potem ruchem stopy zmasał wszystko, co było napisane na ziemi.

„Kot nigdy nie będzie mógł przystąpić do egzaminów” – powiedział do chłopaka.

„W przeciwieństwie do ciebie. I przysięgam na mędrców, dołożę wszelkich starań, żebyś zdał”.

Kot umknął i schował się wśród krzaków na skraju ogrodu, gdzie przykucnął i spojrział pochmurnie na zniechęconego nauczyciela.

„Cóż za niesprawiedliwość!” – jęknął ku niebu.

„A co to za wrzaski?” – rozległ się jedwabisty głos. Mignęło rude futro i na ogrodowym murze nagle pojawiła się lisica. Błysnęła zębami i stwierdziła: „Przerwałeś mi poobiednią drzemkę!”.

Kot był zbyt wzburzony, by poczuć lęk, i opowiedział lisicy o tym, co się zdarzyło.

„Gdybym mógł przystąpić do egzaminu, udowodniłbym wszystkim, że się mylą!” – stwierdził. „Muszą pogodzić się z tym, że koty też mogą służyć cesarstwu”.

„Aha” – powiedziała lisica. „Z moją pomocą będziesz miał taką szansę”.

Kot zjeżył się, nie zapominając o ostrożności. Lisice były samolubnymi istotami, ale dysponowały magią – potrafiły zamieniać jedną rzecz w drugą.

„Nie masz powodu, żeby mi pomagać” – oznajmił. „Czego chcesz w zamian?”

„Prostej rzeczy” – odparła lisica. „Gdy zdobędziesz pozycję w imperium, zaaranżujesz mój ślub z jakimś arystokratą. W zamian zamienię cię w człowieka, ale miej się na baczności! Mój czar przestanie działać, jeśli zdradzisz swoją prawdziwą naturę”.

Kot zastanawiał się. Po wszystkim chciał ujawnić, że jest kotem, żeby udowodnić, jaką głupotą jest kształcenie samych tylko młodych ludzi. Mógł to jednak odwlec do chwili, gdy wypełni własną część umowy.

„Dobrze więc” – zdecydował. „Zamień mnie w człowieka”.

Wiatr o zapachu cynamonu natychmiast powalił go na ziemię. Kot przetoczył się i poderwał szybko, ale wtedy odkrył, że nie stoi na czterech łapach jak zawsze, ale na dwóch! Co więcej, miał na sobie sandały młodego arystokraty. Lisica również zmieniła postać – zamiast rudego futra miała teraz jasną jedwabną szatę, a zamiast szpiczastego pyska okrągłą, ładną buzię.

Znana ze swego sprytu lisica przekonała sędziego, że jest trzecią żoną odległego, dawno zapomnianego kuzyna, świeżo owdowiałą i niemającą gdzie się podziać. Udała, że przyprowadziła swego syna – tak naprawdę kota! – żeby schronić się w domostwie hojnego krewniaka. Pod koniec tygodnia została konkubina sędziego, a kot i syn sędziego zaprzyjaźnili się i rozpoczęli razem naukę.

Kot nie cierpiał chłopaka, ale uznał, że ze względu na przyświecający mu cel znieśie mękę, jaką było jego towarzystwo. Z zapalem zabrał się do czytania i pisania. Wkrótce prześcignął syna sędziego, czym zasłużył sobie na dziesiątki pochwał, a swojego kolegę okrył wielkim wstydem.

„Uczę twojego kuzyna od zaledwie miesiąca” – mówił nauczyciel. „A spójrz tylko, jak cię przegonił”.

Gdy ogłoszono termin egzaminów, nauczyciel nie zgłosił syna sędziego, który potrzebował jeszcze trzech lat na przygotowanie, ale zczarowanego kota. Zwierzak poczuł próżną satysfakcję i zastanawiał się, jak bardzo nauczyciel będzie zażenowany, gdy okaże się, że jego ulubiony uczeń tak naprawdę jest kotem, i to tym, którego kaligrafię kiedyś wyśmiał. Kusiło go, by ujawnić swoją prawdziwą naturę, ale pamiętał ostrzeżenie lisicy i trzymał język za zębami.

Zbliżał się pierwszy dzień egzaminu. Uczeń i jego nauczyciel udali się do stolicy, gdzie przez pięć ciężkich dni kot walczył obok innych przepelnionych nadzieją młodych umysłów. Nie dość, że zdał, to jeszcze zajął pierwsze miejsce.

Pełen radości i usatysfakcjonowany obrotem wydarzeń kot czekał w ogrodzie gubernatora, by przyjąć posadę. Teraz musiał jedynie wspiąć się w hierarchii na tyle wysoko, by móc wybrać odpowiedniego męża dla lisicy. Głupotą byłoby ujawnienie swojej prawdziwej tożsamości przed wywiązaniem się z tych zobowiązań.

Jednak widok tetragramu na czole gubernatora obudził w kocie ambicję. Urzędnik był przecież Głosem, a co za tym idzie wszystko, co gubernator widział i słyszał, było widziane i słyszane również przez cesarza. Bez wątplenia łaskawy cesarz uznałby talent i umiejętności zwyczajcy, ale gdyby kot ujawnił swoją tożsamość, z pewnością wspiąłby się na sam szczyt w cesarskich szeregach, a satysfakcja byłaby o wiele większa.

Kot wstał, uklonił się trzykrotnie przed gubernatorem, jakby stał przed samym cesarzem.

„Nie musisz okazywać tak wielkiej pokory” – rzekł Głos. „Już udowodniłeś swoją wartość”.

Serce kota biło jak młot. Po co miał tracić czas, skoro jego cel znalazł się w zasięgu ręki?

„Jeśli to prawda, nie powinno więc mieć znaczenia, kim naprawdę jestem” – powiedział. „Bo wyglądam na człowieka, ale tak naprawdę jestem kotem”.

Czar lisicy znikł z błyskiem, a w powietrzu rozszedł się zapach cynamonu. Wokół niewielkiego kota spłynęły na ziemię szaty.

„Na mędrców, to demon!” – krzyknął jeden z egzaminatorów.

Ogród wypełnił zapach strachu. Kot położył po sobie uszy.

„Nie!” – krzyknął. „Ja mogę to wszystko wyjaśnić!”

Ale cesarski Głos usłyszał tylko przeraźliwy wrzask kota i jednym machnięciem dłoni uwięził go w promieniu czarodziejskiego blasku. Straże zamknęły kota w klatce stojącej w odległym kącie ogrodu. Gdy zatrzaśnięto drzwiczki i rozległ się szcęk zamka, kot popadł w rozpacz. Tyle godzin ciężkiej pracy

i jego umowa z lisicą poszła na marne.

„I jak teraz zdobędę męża arystokratę?” – spytała lisica. Jej bursztynowe ślepią zajaśniały na szczycie muru okalającego ogród.

„Proszę, uwolnij mnie!” – zawołał kot, zrywając się na równe łapy. „Możemy spróbować raz jeszcze! Z całą pewnością uda mi się ponownie zdać egzaminy!”

„Nie sądzę” – rzekła lisica. „Nie wystarczy zamienić cię w człowieka, bo ty nie chcesz być człowiekiem, chcesz być kotem, który zajmuje się rzeczami ludzi, a tego świat nie zniesie”.

Machnęła rudym ogonem i znikła.

Kot został zabity o świcie, a jego serce oraz łapę oddano uczonym zajmującym się demonologią. Głos osobiście udał się, by aresztować konkubinę sędziego, ale sprytnej lisicy już nigdy nie znaleziono.

Dłoń Przewodnik złożył ręce i rozsiadł się wygodnie na krześle. W kącikach jego ust czał się delikatny uśmiech.

– I co sądzisz o mojej opowieści, młody paniczu Wen?

Egzaminator przyglądał nam się ze zdumieniem, bo historia opowiedziana przez Dłoń była bardzo nietypowa. Wydawała się bliższa opowieściom ludowym i bajkom przekazywanym przy ognisku niż wysokiej literaturze sienneńskiej.

Miałem wrażenie, że stoję na krawędzi przepaści. Byłem przekonany, że wynik egzaminu zależy od tego, co teraz powiem. Nie miałem pojęcia, jak wyglądała dotychczas moja sytuacja, ale na skutek interwencji Dłoni Przewodnika znalazłem się poza systemem oceniania. Zamiast tego miałem teraz do pokonania jedną przeszkodę. Ale dlaczego była nią akurat ta historia?

Opowieść nie pasowała do sienneńskiej doktryny jako alegoria, ale przywodziła na myśl rozmaite dziwne eksperymenty umysłowe, jakie często przedstawiał mi Koro Ha. Przypomniały mi się również jego ostrzeżenia, że moja lojalność zawsze będzie podawana w wątpliwość wyłącznie dlatego, że miałem mieszaną krew. Czekало mnie wiele sprawdzianów i jeśli miałem zostać Dłonią cesarza, musiałem zdawać każdy śpiewająco, bo przecież cesarstwo nigdy nie przekaze potencjalnemu wrogowi bronii tak potężnej jak magia. To jeden z testów, uświadomiłem sobie, i nagle cel tej opowieści stał się dla mnie jasny.

– Ta historia powinna być znana w całym cesarstwie – powiedziałem. – Ułożono ją dla dzieci, żeby w prostych słowach poznały surowe prawdy rządzące światem. Nie ma wielkiej wartości literackiej, ale jej przekaz zostanie łatwo zrozumiany przez tych, którzy nie wiedzą, komu okazać lojalność. Żaden kandydat z prowincji nie powinien przystępować do egzaminów bez znajomości tej historii.

Egzaminator prychnął, ale zasłonił palcami usta i zarumienił się z zażenowania.

Uśmiech Dłoni Przewodnika pogłębił się nieznacznie.

– Egzaminatorze Lin, proszę odnotować, że młodego panicza Wena cechuje nieomyślność, jeśli chodzi o cesarską doktrynę – rzekł. – Proszę też dopisać, że jest literackim pragmatykiem, który doskonale rozumie napięcia w odległych prowincjach imperium. Załączy pan także moją najwyższą rekomendację, podobnie jak pańską.

Egzaminator zmarszczył brwi i rozdziawił usta, ewidentnie zaskoczony, ale posłusznie sporządził notatkę. Dłoń cesarza powstał, złożył dłonie w rękawach i uklonił się.

– Mam bardzo wysokie oczekiwania, jeśli chodzi o twoją przyszłość – rzekł.

Są momenty, które na zawsze zapadają w pamięć i później wielokrotnie o sobie przypominają. Zapach lawendy już zawsze miał mi przypominać pierwsze prawdziwe zauroczenie, a huk pioruna i smród rozgrzanego gruzu po wybuchu granatów miał się kojarzyć z pierwszą prawdziwą trudnością. Na zawsze zapamiętałem również noc, gdy babcia nadała mi imię, albo tę, podczas której podjąłem próbę zmiany postaci, albo gdy babcia nazaczyła mnie wiedźmimi znakami. Chwila, gdy zobaczyłem uśmiech Dłoni Przewodnika i jego znikającą w oddali sylwetkę, stała się kolejnym takim wspomnieniem.

Wisząca latarnia

Zaproszenie na przyjęcie w pałacu gubernatora dotarło do domu pana Yata przede mną. Nie było jeszcze oficjalnego oświadczenia, a Koro Ha wyjaśnił, że wyniki wpisano dopiero w tabelę.

– Mimo to od razu wiadomo, którym kandydatom poszło najlepiej – dodał z błyskiem dumy w oku, czytając raz za razem moje zaproszenie.

Po niecodziennym teście Dłoni Przewodnika spodziewałem się, że zdobędę wysoką ocenę, jednak widok mojego imienia na kopercie z gubernatorską pieczęcią przyniósł mi wyraźną ulgę.

O zmierzchu stanęliśmy z Koro Ha przy bramie skromnego dziedzińca pana Yata, żeby poczekać na przybycie palankinu. Założyliśmy eleganckie, kolorowe ubrania, ozdobione skomplikowanymi haftami. Nauczyciel nalegał, żebym rozpuścił włosy na ramiona, tak jak robił to Dłoń Przewodnik, podług nowej mody panującej w centralnym Sienie. W drodze do posiadłości gubernatora szcztokował wściekle moje loki, żeby jakoś je rozprostować, jednak własne ciemne włosy ukrył pod czapką uczonego.

Przez ostatnich pięć dni w posiadłości panowała pełna powagi cisza, a teraz zagościła tam radość i tysiące kolorów. Między bramą i salą przyjęć rozwieszono setki lampionów, dzięki którym marmurowa posadzka dziedzińca mieniła się czerwonym i złotym światłem. Wzdłuż ścian ogrodu rozmieszczono brązowe misy z kadzidłem. Jego mocny zapach zlewał się z wonią śliwkowego wina i ostrych frykasów.

Służący wskazał nam miejsca, w których mieliśmy zasiąść – ja na czele stołu, wśród reszty szczęśliwców, którym się powiodło, a Koro Ha przy końcu, między egzaminatorami i innymi nauczycielami. Na stole stały już miseczki z orzeszkami skropionymi octem i z kiszoną kapustą z ostrymi papryczkami, a wino i inne alkohole podawano bez ograniczeń.

– Witaj znowu! – powiedział chłopak siedzący po prawej i uśmiechnął się szeroko. Jego wydatne policzki były upstrzone piegami, a kasztanowe włosy skręcały się w loki.

– Eee... cześć? – odparłem, nie rozpoznając go.

– Siedzieliśmy naprzeciwko siebie podczas ceremonii otwarcia! – przypomniał. – Cóż za szczęście, że obaj zdaliśmy! Jestem Lu Czysta Rzeka.

– A ja Wen Olcha. – Ukłoniłem się lekko.

Natychmiast zauważyłem, że mój rozmówca miał na sobie strój z gorszej tkaniny, w dodatku od dawna niemodny, a jego cera przypominała bardziej babciną niż moją. Zastanawiałem się w duchu, jak w ogóle doszło do tego, że przystąpił do egzaminu. Zapytałem, czym zajmuje się jego ojciec.

– Och, jest tylko rolnikiem – odparł Lu Czysta Rzeka. – Gdy byłem dzieckiem, nasza wieś złożyła się, żeby wykształcić najbystrzejsze z miejscowych dzieciaków. – Wskazał sam siebie i uśmiechnął się.

– Nie zmarnowali swoich pieniędzy, co?

– Masz szczęście – powiedziałem. – Co by było, gdybyś zawalił?

– Ha! Pewnie już bym się rzucił z klifu!

Obaj wybuchnęliśmy śmiechem, a napięcie, które wzbierało we mnie od lat, wreszcie odpuściło. To wszystko działo się naprawdę. Podszedłem do egzaminów i zdałem. Za jakiś miesiąc mogłem przystąpić do nauki magii jako uczeń Dłoni cesarza.

– Za to, żebyśmy już nie musieli tak harować! – powiedziałem wesoło i uniosłem czarkę ze śliwkowym winem.

Pozostali chłopcy, a było nas piętnastu, zaczęli wiwatować i wspólnie się napiłiśmy.

Na stołach pojawiało się danie za daniem, a były to delikatesy sprowadzane z całego imperium, o wiele bogatsze i smaczniejsze od wszystkiego, co jadałem w domu. Dla mnie, człowieka z ograniczonym doświadczeniem, ale ciekawego smaków, wszystkie te potrawy wydawały się egzotyczne i ekscytujące. Próbowałem duszonych węgorków w gęstym sosie z cukru, soi i soli, bulw pokrojonych cieniutko i usmażonych w oleju z chili, smażonej koziny ociekającej sokami, ryb

podawanych na surowo na ryżu, gruszkowego wina tak słodkiego, że miód wydawał się przy nim trącić goryczą, alkoholu z jabłek, śliwek i słodku jęczmiennego, sorgo i nawet mleka kłaczy.

Posiłkowi towarzyszyły rozmaite rozrywki. Jako pierwsza wystąpiła śpiewaczka operowa, której wibrujący głos wzbił się aż po belki sufitu. Wszelkie rozmowy ucichły, a my siedzieliśmy i wpatrywaliśmy się w nią z zachwytem. Potem pojawili się tancerze, którzy powiewali wstęgami i wirowali do rytmu wygrywanego przez bębny i cytry. Po nich na scenę wszedł wysoki mężczyzna w długiej pelerynie, obszytej czarnym filcem na zewnątrz i białym jedwabiem od środka. Nosił złotą, najeżoną ostrymi drutami koronę, która przypominała poroże, a jego twarz zasłaniała czerwono-żółta maska. Ukłonił się nisko, a czerń i biel peleryny złożyły się na podłodze w grabne fale.

– Zmieniający Twarze! – szepnęła Czysta Rzeka. – Mój nauczyciel mówił mi o nich. Widział ich po swoich własnych egzaminach w Fortecy Centralnej. Występują jedynie na życzenie cesarza!

Muzycy zaczęli wygrywać wysokie, powolne dźwięki na trzciniowych fletach i rebabach. Zmieniający Twarze kroczył ciężko w stronę krawędzi sceny, wymachując peleryną i kiwając głową z każdym krokiem. Jego korona połyskiwała w blasku oświetlenia sceny.

Nagle strzepnął materiałem, przesunął dłoń przed maską, która znikła, a w jej miejsce pojawiła się błękitno-srebrna z namalowanym wyszczerzonym pyskiem lisoperza. Wśród widzów poniosło się westchnienie zachwytu. Przecież tylko machnął ręką i mignął peleryną. Oszołomiony winem, zacząłem się zastanawiać, czy Zmieniający Twarze włada jakąś magią, ale nie czułem skurczy czy mrowienia na skórze, ani też przytłaczającego wrażenia towarzyszącego czarom. Była to jedynie sztuczka, choć na tyle szybka i dobrze przygotowana, że zacząłem się w niej doszukiwać ingerencji sił nadprzyrodzonych.

Muzyka nabrała tempa i mocy, a kroki Zmieniającego Twarze stały się szybsze i bardziej złożone. Pod koniec występu zmieniał maski tak szybko, że zdołałem zarejestrować zaledwie jedną na trzy, a pozostałe zlewały się w płataninę kształtów i kolorów. W końcu znikła ostatnia maska i wykonawca stanął przed nami z odsłoniętą twarzą. Złożył głęboki ukłon, a potem zszedł ze sceny pośród aplauzu, który wstrząsał salą jeszcze długo po jego odejściu.

Zmieniający Twarze okazał się tego wieczoru gwoździem programu, a gdy oddalił się po występie, dołączyła do nas elita świata naukowego Nayenu. Dostojnicy obchodzili stół i witali każdego z uczniów w swojej społeczności. Jako pierwsi pojawili się skrybowie, z których wielu okazało się niewiele starszymi od nas, po nich urzędnicy niższego szczebla, sędziowie wiejskich okręgów oraz sędziowie Fortecy Zachodzącego Słońca i Fortecy Morskiego Muru, dwóch innych głównych miast Nayenu.

W końcu dołączyli do nas również czterej sędziowie, którzy sprawowali pieczę nad samą Wschodnią Fortecą. Każdy z nich obejmował jurysdykcją czwartą część miasta i każdy nosił cesarski tetragram na prawej dłoni. Oddychałem głęboko, żeby przegonić mgłę w głowie i zrobić dobre wrażenie. Gdybym nie zdobył pierwszego miejsca, zatrudnienie w którymś z ich biur byłoby szczytem moich marzeń, bo gdybym się wyróżnił, mój pracodawca mógłby zacząć wprowadzać mnie w magiczne arkana.

Jeden z tych luminarzy, Dłoń Nefryt, ukłonił się nisko podczas prezentacji.

– Słyszałem o tobie plotkę – szepnął mi do ucha. – Służący szemrają między sobą, że Dłoń Przewodnik przeprowadził część twojego egzaminu, tak?

– To nic takiego – zbagatelizowałem sprawę, gdyż wedle nauk Koro Ha tak należało się zachowywać w kontaktach z lepiej urodzonymi. – Być może się nudził i miał nadzieję, że moje beznadziejne wypowiedzi dostarczą mu rozrywki.

– Dowcipniś z ciebie – oznajmił Dłoń Nefryt. – Kto był twoim nauczycielem, chłopcze?

Skinieniem głowy wskazałem Koro Ha. Dłoń Nefryt obdarzył mnie konspiracyjnym uśmiechem, oznajmił, że jego bratanek wkrótce rozpocznie naukę, i oddalił się w kierunku Koro Ha. Inni nauczyciele wpatrywali się w niego szeroko otwartymi oczami, a Koro Ha o mało nie zemdlał, widząc zbliżającego się dostojnika.

Czysta Rzeka klepnął mnie w plecy.

– Nie zapomnij o nas, gdy staniesz obok Tronu Tysiąca Ramion.

Zaśmiałem się skromnie, choć w głębi duszy zacząłem sobie wyobrażać, że jeśli udam się złotą ścieżką wytyczoną dla mnie, te słowa być może okażą się prorocze.

W końcu przybył gubernator Głos Złota Zięba, a wraz z nim Dłoń Przewodnik. Ukłonili się nisko, jakbyśmy już byli zacykami cesarza.

– Nadszedł czas, abym ogłosił, że wasza piętnastka została uznana za gotowych podjąć służbę cywilną – rzekł Głos. – Musimy podziękować waszym nauczycielom za niezliczone godziny, jakie upłynęły na polerowaniu waszych umysłów, żebyście stali się skrzącymi klejnotami cywilizacji.

Odwrócił się w stronę drugiego końca stołu i ukłonił nauczycielom, a ja i pozostali chłopcy poszliśmy za jego przykładem. Puchnący z dumy Koro Ha spojrzał mi w oczy.

– Niektórzy z was – ciągnął gubernator – jak dotąd wiedli życie chłopskich synów w tej rozwijającej się prowincji. Wiedźcie, że bez względu na to, skąd pochodzicie, droga do Północnej Stolicy i podnóża Tronu Tysiąca Ramion stoi przed wami otworem, o ile będziecie pilnie pracowali i nie zbozycie z obranych ścieżek.

Rozległy się oklaski, a gubernator cofnął się, by zrobić miejsce dla Dłoni Przewodnika.

– Mówią, że zwierzęciem, które sprawuje pieczę nad Nayenem, jest wilk – zaczął Dłoń. – W dawnych czasach królestwa leżące na waszej wyspie toczyły zaciekle wojny, niczym zwalczające się watahy wilków w ciemnym lesie. Współzawodnictwo, jak zauważył filozof Zachodni Trud ze szkoły ascetów, wyzwala wielkość w zwykłych ludziach. Być może wojownicza natura waszych przodków, wykuwana przez setki lat walk, pozwoli wam teraz osiągnąć wielkie sukcesy w służbie cesarza. Być może. Ale pamiętajcie, młodzi uczeni z Nayenu, że nie jesteście już wilkami. Jesteście psami gończymi, okiełznanymi i wyszkolonymi przez imperium, gotowymi okazać tę jedną cnotę, której wilk nie posiada. Tą cnotą jest lojalność.

Urwał. Wpatrywał się we mnie zmrużonymi oczami.

– A teraz – ciągnął, wreszcie odrywając ode mnie spojrzenie – przypomnijmy sobie słowa mędrca i poety Wzdychającej Wierzby:

*Droga do zwycięstwa brukowana jest łzami,
A złoty most nie zwykł przebaczać,
Twa krew wnet wytoczy ci ścieżkę,
Lecz teraz, przyjacielu, raduj się przy winie!*

Wiwatowaliśmy, piliśmy i napychaliśmy brzuchy. Gdy służba wyniosła nasze talerze, Głos Złota Zięba oraz Dłoń Przewodnik życzyli nam dobrej nocy. Chwilę później opuścili nas również czterej sędziowie ze Wschodniej Fortecy, a niedługo potem w sali pozostała jedynie nasza piętnastka wraz z nauczycielami.

Koro Ha podszedł i dotknął lekko mojego ramienia.

– Powinniśmy już udać się na spoczynek, młody paniczku Wen – rzekł. – Wypada dobrze się zaprezentować w chwili, gdy otrzymasz swoją posadę.

– Ale ja nie jestem zmęczony! – zaprotestowałem.

– Jesteś – zapewnił mnie Koro Ha. – Ale wino...

Jego głos stał się monotonnym bełkotem, który rozplynał się w gwarze rozmów i muzyki wokół nas. Marszcząc brwi, spojrzałem na rękę, w której trzymałem puchar z winem. Stałem na początku złotej ścieżki, skąd blisko było – jakże niewiarygodnie blisko! – do kariery Dłoni cesarza, do nauki magii, do pochwycenia mocy, dzięki której będę mógł zmieniać świat wedle własnej woli.

Na szczęście starczyło mi zdrowego rozsądku, by odprowadzić Koro Ha na bok i tam dokończyć rozmowę.

– Mam teraz ten sam status co ty, o ile nie wyższy, prawda? – spytałem. – Nie jestem dzieckiem, któremu trzeba mówić, kiedy powinno spać, jeść i pić.

– To prawda – odrzekł Koro Ha, siląc się na spokojny ton. – Ale myślę, że w takich chwilach powinieneś okazać wstrzemięźliwość.

Nie byłem na tyle pijany, by nie poczuć zawstydzania, ale szybko przeobraziło się ono w gniew. Sala wirowała wokół Koro Ha, jakby był osią wielkiego koła.

– Nie zgadzam się – odparłem. – Jutro mogę zostać Dłonią cesarza. Dlaczego więc mam przejmować się radami byle nauczyciela?

Kilku innych rówieśników przerwało swoje rozmowy, żeby posłuchać naszej kłótni, ale ja wróciłem na swoje miejsce i otworzyłem kolejną butelkę gruszkowego wina. Koro Ha przyglądał mi się przez moment, a potem wyszedł bez słowa.



– Olcha, musisz pójść z nami! – zawołał Lu Czysta Rzeka z szerokim uśmiechem, klepiąc mnie po plecach.

Zatoczyłem się kilka kroków i zamachałem rękami, żeby nie stracić równowagi. Główna brama zdawała się kołysać nad moją głową. Uczta dobiegła końca, ale Hu Żółty Kamień, pulchny chłopak, który zaprezentował nam całą kolekcję sprośnych ludowych piosenek, zachęcił mnie i Czystą Rzekę do wyprawy ku uciechom miasta.

– Powinienem wracać do pana Yata! – wybełkotałem.

Żółty Kamień przewrócił oczami, a Czysta Rzeka złapał mnie za ramiona i pokręcił głową.

– Olcha, Olcha, Olcha! Wiesz dobrze, że już nigdy nie będziemy tak młodzi i przystojni!

– Według mojego kuzyna śpiewaczki we Wschodniej Fortecy są najpiękniejsze w całym Nayenie – dodał Żółty Kamień, klepiąc się po sakiewce przy pasku. Pod koniec uczty każdy z nas otrzymał trzydzieści miedziaków, co stanowiło równowartość miesięcznej wypłaty dla zwykłego robotnika. Ja schowałem swoją sakiewkę w lewym rękawie, gdzie mogłem zacisnąć na niej dłoń, żeby nie pobrzękiwała. Byłem pijany, ale zachowałem odrobinę zdrowego rozsądku.

Nowi przyjaciele zaproponowali mi pokusę, jakiej mój młody, nasiąknięty winem umysł nie mógł się oprzeć. Śpiewaczka operowa, która wystąpiła podczas uczty, oszołomiła mnie swoim pięknem i talentem, a teraz Żółty Kamień i Czysta Rzeka napełnili moją głowę wizjami komnat, w których unosi się woalki, a szaty rzuca na podłogę. Mój zdrowy rozsądek ugiął się wreszcie pod ciężarem młodzieńczych żądź.

Jeden ze strażników przy bramie – szlachetny człowiek, bez dwóch zdań – próbował nas przekonać, żebyśmy zaczekali na palankiny. Żółty Kamień roześmiał się i wykonał wulgarny gest, a potem zarzucił jedną rękę na barki Czystej Rzeki, a drugą na moje, po czym wyprowadził nas na ulicę.

Lampy olejne rzucały na bruk migotliwy blask. Wszędzie widać było grupy młodych ludzi, snujących się od jednej knajpy do drugiej. Rozpoznawałem wielu z ceremonii otwarcia. Żartowali, wykrzykiwali i przechwalali się, gojąc w ten sposób rany zadane im przez strzaskane marzenia. Była to atmosfera zarówno szalona, jak i przygnębiająca, potęgowana oparami alkoholu i oleistym dymem.

– Tędy – oznajmił Żółty Kamień i pociągnął mnie i Czystą Rzekę za sobą. – W Domu Motyla pracują najpiękniejsze dziewczyny w całym Nayenie.

Ulica, którą nas prowadził, zakręciła, a potem nasz przewodnik zboczył w wąską uliczkę, gdzie lamp było mniej i paliły się słabiej.

– Nie ma żadnych dobrych miejsc bliżej pałacu gubernatora? – spytał Czysta Rzeka.

– Dom Motyla jest porządnie ukryty – nalegał Żółty Kamień. – Co tylko dodaje mu powabu! Jeszcze kawałek!

Zajrzał do zaułka, gdzie nie było lamp, a jedynie głębokie cienie i sterty odpadków.

– A może trzeba było skręcić w lewo?

– Wracajmy – zdecydował Czysta Rzeka i próbował wyciągnąć Żółtego Kamienia z zaułka, ale ten nagle zachwiał się, zatoczył i padł na niego. Czysta Rzeka stęknął pod ciężarem kolegi. – Całe to wino z jego brzuszyska wreszcie dotarło do głowy. Cholera, nie patrzyłem, dokąd idziemy. Gdzie my właściwie jesteśmy?

Rozglądając się w poszukiwaniu jakiegokolwiek punktu orientacyjnego, zobaczyłem trzech ludzi zmierzających w naszą stronę. Jeden z nich przekroczył płamę światła rzucanego przez samotną latarnię, a wtedy coś błysnęło w jego dłoni.

Chciałem wrzasnąć, ale panika odebrała mi mowę. Szarpnąłem Czystą Rzekę za ramię. Odwrócił się.

Człowiek z nożem zbliżał się ku nam, a jego towarzysze okrążali nas z obu stron w wejściu do

zaułka.

– Trudno było nie usłyszeć brzęku monet w waszych sakiewkach, chłopcy – powiedział nożownik do Czystej Rzeki. – Oddajcie nam pieniądze i te wasze wspaniałe jedwabne ciuszki, a może okażą hojność i oszczędzę wam życie.

Myśl o tym, że miałbym stanąć nagi i bez grosza przed Koro Ha po tym, co mu powiedziałem na przyjęciu, sprawiła, że mój lęk przeszedł w złość. Z całej siły zacisnąłem palce lewej dłoni na sakiewce.

– Szybko! Rozbierajcie się i oddawajcie pieniądze!

Puściłem Żółtego Kamienia i skoczyłem naprzód. Wystarczyły trzy kroki Żelaznego Tańca, żebym znalazł się przy nożowniku. Chlasnął swoją bronią, ale zrobiłem unik i wystrzeliłem w górę. Trzymaną w dłoni sakiewką grzmotnąłem go w policzek jak maczugą. Zatoczył się, z nosa trysnęła mu krew, a z mojej rozdartej sakiewki potoczyły się monety.

Czyjaś dłoń złapała mnie za prawe ramię i wykręciła je do tyłu. Zawyłem i szarpnąłem, ale nic mi to nie dało. Byłem pijany i doprowadzony do ostateczności, a w takim stanie nie myśli się wcale. Sięgnąłem po jedyną broń, jaka mi pozostała.

Przeszyło mnie ostre gorąco, które odparowało cały alkohol. Stworzyłem płomień – buchnęło światło, a po ulicy rozszedł się smród przypalonego ciała. Rabuś wrzasnął i puścił mnie. Odwróciłem się w porę, by dojrzeć dwie uciekające postacie. Szaty jednej stały w ogniu.

Czysta Rzeka spoglądał na mnie zaskoczony. A może przerażony?

– Wynośmy się stąd – powiedziałem drżącym głosem.

Czysta Rzeka pokiwał głową, ale nie kwapił się do zrobienia kroku. W oczach mojego towarzysza pojawiły się pytania, ale unikałem jego wzroku, bo nie umiałem na nie odpowiedzieć.

Wspólnie postawiliśmy Żółtego Kamienia na nogi. Jakimś cudem przespał cały atak, ale kilka policzków szybko go rozbudziło. Wybełkotał coś niezrozumiałego, a potem rozejrzał się.

– O, gdzie ja jestem... Aha! Śpiewaczki! To tylko kawałeczek...

– Niech szlag trafi ciebie i twoje śpiewaczki! – warknął Czysta Rzeka. – Zawlecemy cię do domu, ty pijaku!

Zarzuciliśmy sobie jego ręce na ramiona i ruszyliśmy naprzód najszybciej, jak się dało. Każdy krok budził w moim żołądku atak bólu, wywołanego alkoholem, strachem i świadomością, że jednym słowem skierowanym do Dłoni Przewodnika, któregośkolwiek z naszych nauczycieli lub obojętnie kogo Czysta Rzeka mógłby zmienić ścieżkę mojego życia. Ta zaś poprowadziłaby mnie od tej pory do celi więziennej, jeśli nie prosto na szafot.



Żółty Kamień nie był wystarczająco przytomny, by powiedzieć nam, gdzie właściwie mieszka, a więc złożyliśmy go w ciasnym pokoju zajmowanym przez Czystą Rzekę i jego nauczyciela. Mój towarzysz zaoferował, że odprowadzi mnie do pana Yata, a ja się zgodziłem. Gdy wyszliśmy z gospody, złapałem go za rękę i przyciągnąłem do siebie.

– Uratowałem ci dziś życie – powiedziałem z przekonaniem. – Gdyby mnie tam nie było, ty i Żółty Kamień wykrwawilibyście się na bruku albo zostalibyście porwani dla okupu, którego twoja wieś nigdy by nie zapłaciła. Po tym, jak uderzyłem pierwszego mężczyznę, pozostali dwaj uciekli. Nic innego się nie wydarzyło. Rozumiesz?

Czysta Rzeka pokręcił głową, udając oszołomienie.

– Olcho, wszystko pokręciłeś. Jeden z nich ze strachu strącił wiszącą latarnię.

Wpatrywałem się w niego intensywnie, jakbym mógł w ten sposób nabrać pewności, że naprawdę ma zamiar zachować mój sekret dla siebie.

– To dlatego jego ubranie się zapaliło! – ciągnął Czysta Rzeka. – Nie pamiętasz?

Puściłem go.

– Oczywiście. – Udało mi się lekko uśmiechnąć. – Co za niezdamny głupek.

– Mieliliśmy z Żółtym Kamieniem sporo szczęścia, że byłeś z nami – powiedział Czysta Rzeka, a ja poczułem ucisk w żołądku. – Spryciarz z ciebie. Nie wpadłbym na to, żeby rąbnąć kogoś sakiewką!

Byli prawdziwymi tchórzami, skoro na wpół pijany chłopak wymachujący workiem z monetami zdołał ich wystraszyć.

– Wielkimi tchórzami – zgodziłem się. – Cóż, mój nauczyciel będzie się martwić. Trafie stąd do domu. Bywaj, Czysta Rzeka. Mam nadzieję, że twoje imię znajdzie się jutro wysoko na liście.

Pochylił głowę w płytkim ukłonie.

– Ja zaś jestem pewien, że twoje będzie na czele, Olcho.

Na końcu ulicy zatrzymałem się i odwróciłem. Czysta Rzeka stał w drzwiach gospody i patrzył na mnie. Miałem wrażenie, że mój sekret rozciągnął się między nami niczym lina.

Koro Ha oczywiście miał rację. Upijanie się i włóczenie nocą po nieznanym mieście to skrajna głupota. Wiedziałem, że będzie na mnie czekał, a kiedy zauważy moje brudne ubranie i brak sakiewki, domyśli się od razu, co zaszło. Spodziewałem się wykładu, który nie skończy się przed świtem.

Jeden ze służących pana Yata czekał na mnie przy bramie i zaprowadził mnie do środka z miną wyrażającą wielką ulgę.

– Obawiałem się, że coś się panu stało, paniczu Wen! – powiedział. – Już miałem budzić twojego nauczyciela!

– Koro Ha śpi? – spytałem.

– Powiedział, że jest zmęczony po tak długim tygodniu. Poprosił, żeby go obudzić dwie godziny po świcie, ciebie również.

Służący spojrział na okno, za którym już rozlewał się blady poblask świtu.

– To dobry pomysł – rzekłem.

Położyłem się i długo leżałem, nie mogąc zapaść w sen. Słuchałem odgłosów domu i pozwalałem, żeby mój umysł odpłynął pośród ciszy. Koro Ha poszedł spać. Czyżby chciał w ten sposób okazać mi zaufanie, choć wcześniej nalegał, żebym opuścił przyjęcie razem z nim? A może teraz, gdy zdałem egzaminy, nie przejmował się już tak moim bezpieczeństwem, a nasza relacja nauczyciel – uczeń powoli dobiegała końca?

Służący wrócił, żeby mnie obudzić, a ja zszedłem na śniadanie. Gdy usiadłem przy stole, Koro Ha uniósł brew. Służba przyniosła tace z parującymi bułkami z wieprzowiną i świeżo pokrojonymi owocami. Bolała mnie głowa i czułem nudności w żołądku. Poprosiłem o kleik ryżowy i mleko sojowe.

– Jak ci minęła noc? – spytał Koro Ha.

Wziąłem do ust nieco kleiku. Był bez smaku, ale dokładnie tego teraz potrzebowałem. W mojej głowie krążyły dziesiątki słów, które tylko czekały, żebym ułożył je w zdania i wyrzucił z siebie. Chciałem opowiedzieć mu o tym, co się wydarzyło poprzedniej nocy. Przecież Koro Ha był jedynym człowiekiem na całym świecie gotowym okazać mi współczucie, a raczej mógłby nim być, gdybym nie potraktował go tak okropnie na przyjęciu, gdybym nie wysmiał jego rady, a potem, pod wpływem alkoholu, nie naraził na szwank wszystkiego, co próbowaliśmy razem osiągnąć.

– Koro Ha... – zacząłem, spoglądając znad talerza kleiku.

– Tak? – Nauczyciel zerknął na mnie, odstawiając filiżankę.

Urwałem. Mogłem go przeprosić, ale czy to zasypałoby wyrwę między nami? Obawiałem się nieuniknionej reprimendy. Gdyby potraktował mnie ostrymi słowami, z pewnością odpowiedziałbym tym samym, a to tylko oddaliłoby nas od siebie jeszcze bardziej. Nie wiem, co właściwie chciałem powiedzieć, ale teraz zdusiłem w sobie wszystkie pomysły.

– Już nigdy więcej nie będę tyle pił – mruknąłem.

Koro Ha upił łyk herbaty.

– Przypuszczam, że są lekcje, jakich nie udzieli ci żadna książka ani żaden nauczyciel – stwierdził i tymi słowami zamknął temat.

Po kilku filiżankach herbaty równie ciemnej i gęstej jak atrament przebraliśmy się z Koro Ha w stroje uczonych – białe koszule oraz głęboko wycięte szaty z czarnego jedwabiu. Koro Ha narzucił sobie na ramiona szal z własnym tetragramem – czterema symbolami ułożonymi w kwadrat, będącymi insygniami jego rangi. Pierwszym symbolem był człowiek klęczący nad biurkiem, co oznaczało „uczony drugiego stopnia”. Wielu ludzi tej rangi pracowało jako urzędnicy w regionalnym rządzie, ale Koro Ha zdecydował, że będzie zarabiał na utrzymanie jako nauczyciel.

Pozostałe trzy symbole nie były prawdziwymi logogramami, ale fonetycznymi runami, stosowanymi do nauki czytania w dzieciństwie. Za ich pomocą zapisywano obce imiona, choć większość uczonych, którzy je nosili, wołała, układając tetragramy, przełożyć własne miano na sienneński. Koro Ha był więc rzadkim wyjątkiem.

Nigdy nie pytałem go, dlaczego podjął tak ekscentryczną decyzję. Indagowanie o czyjąś przeszłość zawsze wydawało mi się nieuprzejme, ale teraz żałowałem, że tego nie zrobiłem. Wiedziałem bowiem, że po otrzymaniu przydziału nasze relacje się zmienią. Gdybym również osiągnął drugi stopień, stalibyśmy się rówieśnikami, braćmi w nauce. Gdybym go prześcignął i zdobył pierwszy stopień, Koro Ha musiałby odpowiedzieć na wszystkie moje pytania, nawet te nieuprzejme.

Gdy o tym myślałem, po raz pierwszy uświadomiłem sobie, jak bardzo moje życie miało się zmienić. Nie będę już młodym paniczem Wenem, synem zwykłego kupca. Będę teraz uczonym, kimś zasługującym na szacunek i godność, a jeśli Dłoń Przewodnik wybierze mnie na czeladnika, stanę się jednym z najważniejszych ludzi cesarstwa.

Pokręciłem głową, by rozpędzić te wzniosłe, głupie marzenia. Pragnąłem stać się Dłonią cesarza, ale z pewnością komuś ten egzamin poszedł lepiej. Na pewno ktoś nie popsuł pierwszego logogramu w opisie swojego rodu i ten ktoś bez wątpienia nie podpalił człowieka na ulicy.

Służący powitali nas przy bramie i wprowadzili na dziedziniec. Posadzono nas tak jak podczas ceremonii otwarcia, ale zawahałem się, gdy wskazano mi miejsce obok Czystej Rzeki, który przybył przede mną. Napięcie między nami wcale nie osłabło, choć zdołałem przybrać przyjazną minę.

– Dzień dobry, Czysta Rzeka – powiedziałem, siadając. – Dobrze spałeś?

Spojrzał na mnie z życzliwym uśmiechem.

– Olcha! Dzień dobry! Cóż, spałem na pewno lepiej niż Żółty Kamień, jak sądzę. Nieszczęsny głupiec obudził się w ataku paniki. Darł się i domagał wyjaśnień, kim jestem i dokąd go zabrałem. Gdy się wreszcie uspokoił, wybiegł z gospody i pognał ulicą. Mam nadzieję, że dotarł na miejsce i miał czas, żeby się przebrać.

– Sam się o to prosił – oznajmiłem.

– Och, nie bądź taki oschły! – rzekł Czysta Rzeka. – Na ulice miasta poprowadziła nas młodzieńcza głupota i tylko cudowna interwencja mędrców pomogła nam wrócić bezpiecznie do domów.

Uśmiechnął się niewinnie, ale jego słowa błędziły niebezpiecznie blisko prawdy.

– Ten człowiek zderzył się z latarnią, pamiętasz? – spytałem.

Czysta Rzeka trzepnął rękawami i odchrząknął.

– W ogóle nie znasz się na żartach, wiesz?

Nim zdążyłem się odciąć, rozległy się dźwięki cymbałów i cytry. Grupa egzaminatorów wyszła z sali przyjęć i wkroczyła na marmurowy podest. Z balkonu nad nimi sfrunęły tysiące płatków chryzantem. Procesji przewodnili Głos Złota Zięba i Dłoń Przewodnik. Obaj zarzucili sobie szale z dwoma tetragramami odpowiednimi dla ich urzędów. Z lewej nosili osobiste pieczęcie – wzniesioną dłoń pozdrawiającą logogram oznaczający króla, w przypadku Głosu umieszczony w otwartych ustach

– a po prawej niezmiennie imię cesarza. Z tetragramu na czole gubernatora padało srebrne światło, a ja czułem ciężar jego magii. Świadkiem ceremonii był więc sam cesarz, który patrzył na nią oczami gubernatora.

Czysta Rzeka pochylił się w moją stronę i szepnął:

– Jak ci się podobała opowieść o ambitnym kocie, Olcho?

Powoli odwróciłem ku niemu głowę. Opanowałem emocje, żeby z mojej twarzy można było odczytać jedynie lekkie oszołomienie.

– Nie ty jeden ją usłyszałeś – ciągnął Czysta Rzeka. – Było nas trzech, ale z tego grona Dłoi Przewodnik wybierze tylko jedną osobę. Jeśli wybór ograniczy się do mnie i do ciebie, myślę, że powinieneś podziękować mu za ów zaszczyt, ale grzecznie odmówić.

– Czyżby? – odpowiedziałem szeptem. – Jak? Przecież nikt o zdrowych zmysłach nie odrzuci takiej propozycji.

– Oni i tak wszystkiego się w końcu dowiedzą, nawet jeśli ja nie powiem ani słowa – mówił Czysta Rzeka, jakbym się wcale nie odezwał. – Podobno cesarz zna myśli swoich Dłoi i każdy ich sekret. – Wbił we mnie wzrok, nie przestając się uśmiechać. – Jeśli cię złapią, a prędzej czy później i tak do tego dojdzie, ucierpi cała prowincja. Myślisz, że cesarstwo przeprowadzi znów egzaminy w Nayenie, jeśli pierwszy z nas, który został Dłonią, okaże się zdrajcą?

– Nie jestem zdrajcą!

– Na tej ulicy nie było żadnych wiszących latarni. Zdradziłeś cesarstwo, z chwilą gdy zacząłeś się uczyć magii i nie wydałeś swojego nauczyciela. Z drugiej strony być może zdradziłeś nauczyciela tym, że zdecydowałeś się na służbę cesarstwu. – Wzruszył ramionami. – Tak czy owak, kogoś zdradziłeś.

Mój gniew eksplodował. Czysta Rzeka oczywiście miał rację. Gdybym przyjął cesarską posadę, zdradziłbym babcię, która porzuciła mnie, rzecz jasna, ale ja nie wybrałem sieneńskiej ścieżki dlatego, że wątpiłem w opowieści babci o brutalności i bezwzględności Sieneńczyków, ani też dlatego, że uwierzyłem – jak utrzymywała cesarska doktryna – iż sieneńska inwazja przyniosła nam cywilizację. Nawet mój nauczyciel w to nie wierzył, jeśli brać za dowód subtelne pytania Koro Ha, ocierające się lekko o zdradę.

Gdybym zdecydował, że będę służył Sieneńczykom, odrzuciłbym wszystko, czego z narażeniem własnego życia uczyła mnie babcia. Udowodniłbym w ten sposób, że jej nauki były dla mnie równie nieistotne jak pył na drodze. Jednak służba cesarstwu była jedyną ścieżką, jaką miałem przed sobą, a na pewno jedyną prowadzącą do magii.

Zduśiłem w sobie winę oraz wstyd, które usiłował we mnie wzbudzić Czysta Rzeka, i patrzyłem w podwyższenie przed nami. Służący zamocowali na złotym stojaku szeroki, misternie haftowany zwój, ale nie ruszali wstążki, którą go opasano. Gubernator oraz Dłoi Przewodnik podeszli do skraju podwyższenia, a muzycy zagraли finalną tryumfalną nutę.

– Najlepsi i najbystrzejsi chłopcy z najmłodszej prowincji naszego wielkiego imperium! – zawołał nosowo Głos Złota Zięba. – Dziś świętujemy sukces garstki spośród was, ale jednocześnie przypominamy, że imperium z wyrozumiałością traktuje tych, którzy podejmują drugą próbę.

Przez moment zapewniał nas, że wszyscy ci, których nazwiska nie znalazły się na liście, będą mogli przystąpić do egzaminu za trzy lata. Następnie tym samym monotonnym nosowym głosem przedstawił opowieść o młodym człowieku, który poległ na egzaminie aż trzy razy z rzędu, aż zdał za czwartym i został uczonym członkiem Wschodniej Dzielnicy Akademickiej, najwybitniejszej grupy naukowej cesarstwa.

Jego słowa odbijały się echem w mojej głowie. Nie dostrzegałem w nich sensu. Siedziałem nieruchomo i zaciskałem pięści z taką siłą, że paznokcie wbijały mi się w skórę dłoni. Nie miałem żadnego argumentu, który mógłbym wykorzystać przeciwko Czystej Rzece, gdyby ten zagroził, że mnie wyda.

– Ocaliłem ci życie – powiedziałem w nadziei, że zdołam obudzić w nim moralną przyzwoitość.

– Jasne. – Uśmiech Czystej Rzeki stał się jeszcze szerszy. – Mógłbym od razu cię wydać, ale powstrzymałem się właśnie z tego powodu. Teraz proponuję, że ocalę twoje. Zostaniesz stracony, kiedy władze poznają twoją tajemnicę, a poznają ją w chwili, gdy naznaczą cię tetragramem, a cesarz spojrzy

w owiane mrokiem zakamarki twojego umysłu. Jeśli zaproponują ci naukę u boku Dłoni, odmów, a ja niczego nie powiem.

Gubernator machnął ręką w stronę zwoju.

– Poznajmy więc wyniki egzaminu!

Zwój rozwinął się z furkotem. Większość nazwisk została wypisana czarnym atramentem, czternaście czerwonym, a jedno złotym.

Czysta Rzeka znalazł się na szczycie czerwonych nazwisk. Tuż pod moim.

– Dowiedzą się – szepnął. – A wtedy cię zabiją.

Gubernator przystąpił do odczytywania czerwonych nazwisk. Pierwszym był Żółty Kamień, który najwidoczniej pokonał już kaca, a teraz wszedł na podwyższenie, by odebrać jedwabny szal oraz srebrny medalion, insygnia kandydata, który zdał egzamin. Spojrzałem przez ramię i ujrzałem Koro Ha, który uśmiechał się do mnie z dumą. Nie mogłem zrobić tego, czego chciał ode mnie Czzysta Rzeka. Jak bym to wszystko wytłumaczył mojemu nauczycielowi? Jak wyjaśniłbym to ojcu czy komukolwiek innemu?

Trzydzieści lat temu imperium przetrząsnęło nasz dom w poszukiwaniu bandyty zwanego Wrednym Lisem. Być może przez ten czas władze przestały się już doszukiwać związku między mną i tym wydarzeniem, ale gdybym odrzucił możliwość nauki pod okiem Dłoni Przewodnika, znów zwrócono by uwagę na moją rodzinę. Może i udałooby nam się uniknąć kary, ale kto zechciałby handlować z moim ojcem, gdyby wyszło na jaw, że poślubił siostrę przywódcy buntowników?

Gubernator odczytał siódme nazwisko.

– Kończy ci się czas, Olcho – syknął Czzysta Rzeka. – Ustąp.

W mroku lasu babcia pozwoliła mi posmakować magii, ale potem mnie porzuciła. Teraz imperium dawało mi możliwość poznania tego sekretu. Przywrócenie dawnej chwały rodzinie było mi obojętne – nie było rzeczy, której pragnąłem bardziej od prestiżu potęgi. Uznałem, że marzę o tym tak bardzo, że jestem gotów zgodzić się na ryzyko i zlekceważyć groźby tego aroganckiego, przebiegłego chłopca.

– Nie – powiedziałem.

Gubernator wyczytał dwunaste nazwisko. Czzysta Rzeka nabrał tchu i wzruszył ramionami.

– Cóż, a więc udowadniasz mnie i sobie, że na to nie zasługujesz – stwierdził. – Przecież lekcja o ambitnym kocie miała nam pokazać, że powinniśmy pogodzić się z własną pozycją i nie sięgać po więcej, niż możemy unieść. Myślę, że niebawem zobaczymy się podczas twojej egzekucji.

– Magii nie praktykowano w Nayenie otwarcie od chwili naszych urodzin – powiedziałem, tłumiąc złość. – Czy w twojej wsi mieszka jakaś czarownica? A może macie kogoś, kto umie ubłagać starych bogów? Och, ty jesteś zbyt wykształcony, żeby godzić się na takie rzeczy, ale co z twoimi rodzicami? Jeśli mnie wydasz, sam również staniesz się podejrzanym.

– Ha! – parsknął Czzysta Rzeka.

Siedzący w pobliżu nauczyciel spojrzał na niego gniewnie. Chłopak uklonił się przepaszająco, a potem popatrzył na mnie krzywo.

– To pusta groźba, oparta na zwykłej spekulacji. Poza tym nie muszę już nic mówić. W chwili gdy cię naznaczą, cesarz pozna prawdę.

– A to z kolei tylko plotka – odpowiedziałem z całym przekonaniem, na jakie było mnie stać. – Cóż chłopski syn może wiedzieć o tym, co zachodzi między cesarzem a jego Dłoni?

– Nawet jeśli pogłoski okażą się fałszywe, naznaczą ci prawą dłoń, prawda? – szepnął Czzysta Rzeka, pochylając się ku mnie. – Nacięli ją, gdy przekazali ci dar rzucania czarów, czyż nie? Dłoń Przewodnik walczył z wiedźmami. Rozpozna te blizny. Musisz odmówić, Olcho, bo zginiesz.

I wtedy odkryłem błąd w jego rozumowaniu. Przypomniało mi się, co babcia mówiła o dziadku, który zginął w wyczarowanych przez siebie płomieniach. Skoro każda wiedźma w Nayenie wołała śmierć od niewoli i w beznadziejnej sytuacji decydowała się na samospalenie, to charakterystyczne blizny wciąż pozostawały dla imperium tajemnicą, podobnie jak nayeńska magia.

Istniała więc szansa, choć nieduża, że Dłoń Przewodnik nie rozpozna moich blizn. Że żaden z Dłoni nie będzie potrafił tego zrobić.

– Być może. – Spojrzałem rywalowi w oczy. – Niemniej przypomnę ci – zacząłem, pochylając się ku niemu, a Czysta Rzeka zeszytywniał, słysząc chłód w moim głosie – że to była jedynie wisząca latarnia. Nic ponadto.

Gubernator wywołał imię Czystej Rzeki. Ten zamrugał, jakby budził się ze snu, a potem szybkim krokiem udał się w stronę podwyższenia. Czy wyszeptał Dłoni oskarżenie, gdy kłaniał się, by odebrać szal? Uznałem, że to bez znaczenia. W razie wątpliwości jego słowo miało się zmierzyć z moim. Pochodziłem z lepszego rodu i osiągnąłem wyższy wynik, jednak moje blizny i pochodzenie przemawiały przeciwko mnie.

Czysta Rzeka wrócił na swoje krzesło. Usiadł sztywno i wbił wzrok przed siebie.

– I w końcu z prawdziwą radością witam tego, który jako pierwszy w Nayenie zostanie Dłonią cesarza – oznajmił gubernator. – Wen Olcha, syn Wena Róży, potomek wielkiego generała Wena Dęba, który sam służył cesarzowi jako Dłoń.

Oczy wszystkich zebranych podążyły za mną, gdy wchodziłem na podwyższenie z całym zdecydowaniem, jakie zdołałem w sobie znaleźć. Na górze ukloniłem się trzykrotnie – najpierw gubernatorowi, potem Dłoni, a na końcu zgromadzonym. Oblicze Koro Ha jaśniało niczym słońce. Wyraz twarzy Czystej Rzeki był nieodgadniony.

– Wypadłeś olśniewająco i wzniosłeś się ponad swoich kolegów – ciągnął gubernator, a z jego czoła nadal emanowało światło. Poczułem moc magii, która wiązała jego umysł z umysłem cesarza i pozwalała mu wzmocnić przemowę autorytetem władcy. – Dłoń Przewodnik w swojej hojności uznał cię za godnego, abyś stał się jego uczniem. Od tej pory będziesz poznawał sekrety magii i pod jego okiem zaczniesz wykorzystywać swoje ogromne talenty, żeby wspomóc administrację i obronę imperium.

Dłoń Przewodnik wystąpił. Trzymał pieczęć ze złota, ozdobioną wizerunkiem zwiniętych źmij.

– Wraz z tą pieczęcią otrzymasz pozycję i przywileje – oznajmił z powagą. W jego głosie nie było śladu fałszywej skromności ani rozbawienia, z jakim opowiadał historię o ambitnym kocie, ale mimo to kącik jego ust drgnął lekko, gdy dodał: – Będziesz nosił wieczne imię cesarza, które jest kluczem do poznania sekretów magii. Podaj swoją dłoń, żebym mógł przekazać ci ten zaszczyt.

Zacisnąłem prawą dłoń w pięść. Wyobraziłem sobie Czystą Rzekę, jak patrzy na mnie z dołu i spodziewa się mojej klęski w momencie, gdy Dłoń zobaczy blizny.

W tejże chwili tknął mnie nowy niepokój. Znaki, które pozostawiła babcia na mojej skórze, wpłynęły na to, jak odbierałem magię, i okiełznały ją. Co się wydarzy, gdy Dłoń nakreśli na nich cesarski tetragram? Dobrze wiedziałem, czym mogą się skończyć eksperymenty z mocą. Spojrzałem Dłoni w oczy, po czym zrobiłem najbardziej szczerą minę, na jaką było mnie stać, i wyciągnąłem lewą rękę.

Uśmiech Dłoni Przewodnika przygasł.

– Co robisz? – syknął. – To musi być twoja prawa dłoń!

– Ale ja umiem pisać lewą – zapewniłem go.

Dłoń otworzył usta. Zaskoczony spojrzał na gubernatora, a ja naciskałem:

– Wasze Ekscelencje, dlaczego Dłonie cesarza noszą znanie na prawej dłoni, a nie na tej, którą piszą? Tworzą wszak edykty i wymierzają sprawiedliwość pociągnięciem pędzelka, a imperium bronią swoją magią. To ręka, która trzyma pędzelek, powinna zostać naznaczona, żeby działania Dłoni były potęgowane mocą imienia cesarza!

Miałem nadzieję, że Dłoń Przewodnik ujrzy sens w moim niekonwencjonalnym sposobie myślenia.

– A ty piszesz lewą ręką? – zapytał.

– Tak – potwierdziłem.

Dłoń Przewodnik zwrócił się ku egzaminatorom, którzy klęczeli w równych szeregach na skraju podwyższenia. Poczułem ucisk w żołądku.

– Który z was miał baczenie na pisemną część egzaminu młodego pana Wena? – zapytał.

Trzech nauczycieli podniosło ręce, a Dłoń Przewodnik skinął na najmłodszego z nich.

– Ty! Którą ręką panicz Wen trzymał pędzelek?

Młody egzaminator przyglądał mi się uważnie.

– Wasza Ekscelencjo, nie przypominam sobie, żeby którykolwiek z kandydatów korzystał

z lewej ręki.

– A zwróciłbyś uwagę, gdyby tak było? – spytał Dłoń Przewodnik. – Nie przeoczyłbyś tego szczegółu?

– To niecodzienna cecha, Wasza Ekscelencjo.

– Dziękuję.

Młody egzaminator uklonił się, a Dłoń Przewodnik zwrócił się w moją stronę. W jego oczach jaśniała podejrzliwość. Zachowałem obojętną minę, nadal wyciągając naprzód lewą rękę. W tłumie, który do tej pory zachowywał spokój, rozległy się szmery.

– Ty! – warknął Dłoń Przewodnik, wskazując kolejnego egzaminatora, starego uczonego z łysiejącą głową i rzadką brodą. – Którą dłonią posługuje się panicz Wen?

Egzaminator odkaslnął.

– Nie pozwoliłbym na żadne odstępstwa od rytuału i kodeksu, a młody mężczyzna piszący lewą ręką z pewnością do nich należy. Jak rzekł wielki filozof zajmujący się moralnością Hu Zięba w Szuwarach...

– Dziękuję – odparł Dłoń Przewodnik.

Stary nauczyciel odkaslnął z oburzeniem, ale znów ukląkł. Dłoń Przewodnik zrobił kolejny krok naprzód. Czuję zapach herbaty, przypraw i mięsa w jego oddechu. Mój umysł pracował gorączkowo, ale był pusty niczym oko sztormu.

– Ty! – Dłoń Przewodnik odezwał się wysokim głosem i wskazał trzeciego egzaminatora. – To samo pytanie.

Nauczyciel spojrział na mnie surowo.

– Pisał prawą ręką.

– Dziękuję. – Dłoń Przewodnik uklonił się całej trójce i odwrócił gwałtownie ku mnie.

– Czy chcesz podważyć zeznania trzech nauczycieli, którzy przyglądali się twojemu egzaminowi z uwagą jastrzębia patrzącego na mysz?

W tłumie zapadła śmiertelna cisza.

– Nie, Wasza Ekscelencjo – odparłem. – Nie powiedziałem, że napisałem egzamin lewą ręką. Chciałem dać do zrozumienia, że mogę się nią posługiwać równie biegle jak prawą i że moja lewa dłoń jest lepiej przystosowana do służby imperium!

– Historia robi się coraz ciekawsza. Czyli piszesz obiema rękami? To rzadki talent.

– Nie talent, ale umiejętność – powiedziałem, kłaniając się. – Opanowałem ją dzięki mojemu nauczycielowi, choć kosztowało mnie to wiele godzin ciężkiej pracy.

– Dlaczego twój nauczyciel miałby marnować czas na coś nowego i mało potrzebnego?

– Żebym mógł służyć cesarzowi nawet po utracie jednej z dłoni, do czego o mało nie doszło, gdy byłem dzieckiem.

Mina Dłoni Przewodnika zmieniła się nieco. Zamiast pełnego niedowierzania gniewu widziałem teraz zaintrygowanie.

– Wyjaśnij mi to.

– Gdy byłem chłopcem, źle zrobiony talerz pękł mi w prawej dłoni – rzekłem. – Nie chcąc, żebym leżał beczynnym i czekał, aż rana się zagoi, mój oddany, wspomniały nauczyciel poświęcił mnóstwo czasu, żeby nauczyć mnie korzystać z lewej ręki. Rana uświadomiła mi, że w tym chaotycznym świecie przyda się umiejętność kontynuowania pracy po utracie jednej z dłoni. Gdy skaleczenie się zagoiło, zmusił mnie, żebym przepisywał każde ćwiczenie dwukrotnie – raz prawą, a raz lewą dłonią, aż mój własny ojciec nie wiedział, którą ręką piszę.

W tłumie znów rozległy się szepty i szmery. Zastanawiałem się, co sobie myśli Koro Ha. Pewnie przeklinał mnie w duchu jako samochwałę i durnia.

– Moim obowiązkiem jest oddać cesarzowi najlepsze, co mam – ciągnąłem. – Mając wybór między zdrową, nietkniętą lewą dłonią i pobliznioną prawą, oddaję lewą.

– Cóż za idiotyczna historia – zawołał Głos Złota Zięba i zatrzepotał rękawami z irytacją. – Prawa dłoń jest dla człowieka tą, która z natury służy do pisania, a lewa podtrzymuje prawą, władającą pędzelkiem. Potwierdza to każda rozprawa na temat kaligrafii.

– Może to dziwne – rzekł Dłoń Przewodnik – ale ten młodzieniec włada rzadką umiejętnością.

– Umiejętnością? – spytał ostro gubernator. – Moim zdaniem próbuje uzasadnić odchylenie od normy!

– Czy syn nie powinien odstępować najlepszych kąsków ojcu podczas rodzinnego obiadu? Czy nie należy wylać pierwszego imbryka herbaty, który zawsze okazuje się gorzki, zamiast podawać go gościom? Panicz Wen okazał ten właśnie rodzaj szacunku – oznajmił Dłoń Przewodnik, a na jego usta powrócił cień uśmiechu. – O ile historia jest prawdziwa.

– Jest, Wasza Ekscelencjo – powiedziałem. – A mój nauczyciel może to potwierdzić.

– Moje oczy również. – Dłoń Przewodnik chwycił mój prawy nadgarstek i szarpnął z taką siłą, że straciłem równowagę. Zdusiłem okrzyk bólu i zaskoczenia, gdy Dłoń złapał mój rękaw i odsłonił rękę, a potem uważnie przyjrzał się dłoni.

Byłem przekonany, że natychmiast ogłosi mnie zdrajcą i ukrywającym się czarownikiem. Czy miałem w sobie tyle męstwa, żeby wywołać płomień i zabić samego siebie na tym podwyższeniu? A może pozwolę, by cesarstwo zagarnęło tajemnicę, której mój dziadek bronił do ostatniej chwili życia?

Dłoń Przewodnik machnął do jednego ze służących.

– Przyniesz papier, pędzelek i atrament – rozkazał. – Oraz wypracowania panicza Wena.

Wypuścił mnie. Sługa pospieszył do sali przyjęć i powrócił ze stolikiem do pisania, a Dłoń Przewodnik nakazał mi uklęknąć. Jeden z egzaminatorów wyjął polakierowaną skrzyneczkę, zapieczętowaną woskiem, w którym odcisnięto moje imię.

– Pierwszym dokumentem jest historia rodziny – rzekł, muskając palcami wieko. – Odtworzysz ją teraz lewą dłonią. Jeśli to, co mówisz, okaże się prawdą, nie ujrzę żadnej różnicy między tym, co napisałeś sześć dni temu, a tym, co stworzysz teraz.

Służba przygotowała stół. Znalazła się na nim grudka tuszu, kamień pisarski, dzbaneczek z wodą oraz kilka pędzelków – narzędzia, z których korzystałem przez całe życie. Opanowałem drżenie ręki i wylałem nieco wody na kamień, po czym zacząłem ugniatać tusz. Palce ślizgały mi się na pędzelku, jakbym trzymał go po raz pierwszy w życiu.

Dłoń Przewodnik splótł palce w rękawach, a ja zacząłem pisać. Skupiłem się na stronie, na każdej linii każdego logogramu, a wtedy odzyskałem wypracowaną przez lata płynność. Tworzyłem bez trudu słowa, które wypisywałem tysiące razy. Włosie na końcu pędzelka sunęło płynnie po stronie, zatrzymywało się i prostowało, gdy unosiłem pędzelek, by stworzyć kolejny znak.

Dłoń Przewodnik spoglądał mi przez ramię. Czytał, oddychając coraz szybciej, a potem skinął na służącego, który podał mu zapieczętowaną skrzyneczkę z wcześniejszymi pracami. Wosk pękł, zgrzytnęły otwierane zawiasy, a potem usłyszałem, jak Dłoń wciąga powietrze.

– Wybacz mi, paniczu Wen – rzekł. – Nie powinienem był wątpić w słowa tego, który okazał tak wielką doskonałość.

Rzucił pierwszy opis rodu – ten z błędem, który moim zdaniem miał zadecydować o porażce – na ziemię, a potem złożył ten, który właśnie stworzyłem, i umieścił go w skrzyneczce.

– Możesz podać lewą dłoń. Jest lepsza od prawej.

Uklęknął po drugiej stronie biurka i uśmiechnął się do mnie. Miał nadal zmarszczone brwi, ale bez wątplenia był to uśmiech. Potem uklonił się przede mną, ani na moment nie zrywając kontaktu wzrokowego.

– Okażesz się godnym, a zarazem intrygującym uczniem. – Wyciągnął pieczęć z imieniem cesarza, ujął mnie za lewą dłoń, odwrócił ją i rzekł: – Wen Olcho, mianuję cię Dłonią cesarza.

Następnego dnia przygotowałem się do wizyty w domu, żeby podziękować rodzicom, pożegnać się z nimi i spakować swoje rzeczy przed powrotem do stolicy, gdzie miałem mieszkać i pobierać nauki pod okiem Dłoni Przewodnika w posiadłości gubernatora. Zanim wyjechałem, Dłoń Przewodnik przekazał mi dwa ostrzeżenia:

– Magia pozostawia ślad w strukturze świata, podobnie jak łódź sunąca po spokojnym jeziorze. Zacziesz niebawem odczuwać takie właśnie ślady, kotłujące się pod powierzchnią twojej świadomości. Wystrzegaj się ich. Nie sięgaj po nie. Nie jesteś na to gotowy. Jeśli spróbujesz teraz skorzystać z magii, staniesz się równie niebezpieczny dla siebie i innych jak dzieciak z mieczem w dłoni.

Czułem podobne zaburzenia, odkąd ukończyłem osiem lat, ale tetragram sprawił, że doznawałem czegoś nowego – wyczuwałem źródło mocy. Swoją siłą przypominało raczej strumień aniżeli gejzer, ale poczułem jego obecność już w chwili, gdy złota pieczęć dotknęła mojego ciała.

– Po drugie, muszę cię ostrzec, że sukces na cesarskich egzaminach wcale nie oznacza, że nie musisz się już bać porażki. Otrzymałeś moc, bo wierzymy, że jesteś jej godzien, ale jeśli popełniłszy błąd, zostanie ci odebrana. Karą będzie utrata lewej dłoni i zesłanie na daleką prowincję imperium. Masz wielkie szczęście, że umiesz pisać obiema rękami.

Kontrast między jego słowami a łagodnym wyrazem twarzy wywołał u mnie zimny dreszcz. Ukłoniłem się, podziękowałem za ostrzeżenie i wsiałem do palankinu, żeby wrócić do domu. Miała to być moja ostatnia wizyta na przestrzeni wielu lat.



Cesarscy kurierzy krążyli po imperium, niosąc wieści o wynikach pierwszego egzaminu w Nayenie, więc mój ojciec dotarł do domu zaledwie kilka dni po mnie i Koro Ha. Promieniejąc dumą, ścisnął mnie za ramiona i wykrzykiwał polecenia służbie, która miała przygotować wielką ucztę.

– Nie powinienem był w ciebie wątpić ani przez chwilę, Olcho – powiedział. – Gdy tylko dotarły do mnie wieści, sprzedałem wszystko, co mogłem, i to – dla twojej wiedzy! – za ułamek ceny, której mógłbym zażądać w Północnej Stolicy, i postawiłem żagle, żeby wrócić do domu. – Podziwiał przez moment tetragram, migoczący srebrem na mojej lewej dłoni. – To nie do wiary – dodał. – Mój syn jest Dłonią cesarza?

Zadałem sobie w myślach pytanie, czy ruszyłby w takim pośpiechu do domu, gdybym nie sprostał tak zaskakująco jego oczekiwaniom. W końcu ojciec wypuścił mnie i zwrócił się ku Koro Ha. Objął go i oświadczył, że nie żałuje ani miedziaka z wypłacanej mu przez dziesięć lat pensji.

Matka zaś roniła ciche łzy szczęścia. Wychwalała mój sukces, ale jej spojrzenie co chwila umykało w stronę tetragramu. Również słyszała plotki, jakimi usiłował mnie zastraszyć Czysta Rzeka, i dobrze wiedziała o lekcjach udzielanych mi przez babcię. Chciałem dodać jej otuchy i powiedzieć, że nie czułem, by ktoś spoglądał przeze mnie ani też przeglądał moje myśli, a jedyną nowością była tętniąca fontanna mocy. Ale matka nigdy nie powoływała się na moje nayeńskie pochodzenie i nigdy nie wspominała ani słowem o mocy babci. Istniały rzeczy, które oboje chcieliśmy powiedzieć, ale nie mogliśmy tego zrobić, więc po tym, jak matka mi pogratulowała, zapadła między nami niezręczna cisza.

Przez kilka kolejnych dni próbowałem się spakować, co nie było łatwe, bo przez naszą posiadłość przewijały się tłumy przyjaciół i partnerów handlowych ojca. Dom pękał w szwach, goście wypełnili wszystkie pokoje, a ojciec przechwalał się, że gospoda w sąsiednim mieście – Popielnej Polanie – została w całości zajęta przez tych, którzy dotarli zbyt późno, by załapać się na kąt do spania pod naszym dachem. Na dzień przed moim powrotem do Wschodniej Fortecy i rozpoczęciem nauki służący z pomocą

kilku nayeńskich dziewcząt zatrudnionych w mieście ustawili długie stoły w ogrodzie z krzesłami dla pięciu tuzinów gości. Ojciec wyniósł z piwnicy skrzynie oraz zakurzone butelki i wynajął kobiety, żeby uplotły wieniec z dzikich kwiatów. W jego centrum znajdowało się moje imię ułożone z żółtych jak złoto chryzantem.

W południe goście zajęli miejsca, wypełniając naszą posiadłość gwarem rozmów i śmiechów. Ojciec posadził mnie przy stole na podwyższeniu ustawionym obok pawilonu ogrodowego, a sam przedzierał się przez tłum i prowadził ku mnie każdego gościa z osobna. Ci uśmiechali się, pochylali głowy i podziwiali srebrne linie na mojej dłoni. Ojciec zaś mówił:

– Chciałbym, żebyś poznał mojego syna Dłoń Olchę!

Imiona i twarze tych obcych ludzi szybko rozplywały się w mojej głowie, gdy tylko ojciec odprowadzał ich do stołu, uginającego się pod ciężarem posypanych cukrem ciastek uformowanych na podobieństwo dłoni i naznaczonych cesarskim tetragramem. Rozglądałem się w poszukiwaniu Koro Ha lub choćby pana Yata, którego przynajmniej znałem, choć wiedziałem, że nie należy do moich przyjaciół. Niestety, nie wypatrzyłem żadnego z nich. Doceniałem koszt i wysiłek włożony przez ojca w zorganizowanie tego przyjęcia, stanowiącego dowód jego ojcowskiej dumy, ale czułem się tu samotny i wykorzystywany. Miałem wrażenie, że ojciec chwali się mną jak klejnotem w skarbcu.

Być może gdybym podchodził do mojego osiągnięcia tak jak on i widział w nim jedynie pierwszy krok ku odbudowaniu pozycji rodziny, nie byłbym aż tak zniesmaczony instrumentalnym traktowaniem. Ja jednakże uważałem naukę u boku Dłoni cesarza jedynie za środek do celu. Chciałem tylko przystąpić do nauki magii, co jak ostrzegał mnie Dłoń Przewodnik, miało nałożyć na mnie kolejne ograniczenia. Byłem jednak gotów na to przystać, bo perspektywa zrealizowania tego marzenia była o wiele bliżej niż kiedykolwiek wcześniej. Wiedziałem jednak, że gdy tylko opanuję magię, to nie kiwnę nawet palcem, by realizować ambicje mojego ojca, rozwijać imperium czy wspierać rebelię babci.

Przyjmowałem gratulacje, spoglądałem na kłaniających się przede mną gości i ścisnąłem ich dłonie, łaskawą miną maskując narastającą frustrację, ale w duchu czułem, że rodzi się we mnie nowe, silne postanowienie. Wiedziałem już, że gdy tylko opanuję magię na tyle dobrze, by móc z niej korzystać, sięgnę po wolność, którą mi przyniesie, i wykorzystam ją, by wytyczyć dla siebie trzecią ścieżkę.

Gdy przedstawiono mnie ostatniemu z gości, nad ogrodem zapadał już zmierzch. Skrzynie i butelki oświetlane były setkami wiszących latarni ozdobionych złotym cesarskim tetragramem. Ojciec dowiedział się, jakie potrawy podano na przyjęciu dla najlepszych kandydatów, i zaserwował takie samo menu. Oczywiście nasze kuchnie bledły w porównaniu z kuchnią mistrzów na usługach Głosu Złotej Zięby i aż zarumieniłem się ze wstydu, odsuwając na bok talerz z niedogotowanym węgorem. Próbowałem utopić swój smutek w alkoholu, co niestety, tylko ten smutek rozbudzało i skłaniało, bym napełniał kolejne czarki. Gdy ojciec, który nadal puchł z dumy i nie przestawał pretensjonalnie gestykulować, wręczył mi pokrytą lakierem tabliczkę z rodowodem naszej rodziny, z moim imieniem dopisanym wyraźnie na końcu, byłem już porządnie pijany.

Uśmiechnąłem się i pokiwałem głową, próbując przypomnieć sobie chwilę, gdy po raz pierwszy uczyłem się rodowodu razem z Koro Ha. Pamiętałem Wena Dęba, mój wzór do naśladowania, człowieka, którego osiągnięcia zaszczepiły we mnie pomysł, że któregoś dnia sam będę władał magią. Siedmiolatek, którym wówczas byłem, z całą pewnością czułby zachwyt na widok własnego imienia wyrytego wśród znamienitych przodków. W istocie poczułem przyływ dumy, ale szybko przyćmiło ją pragnienie, by ta noc jak najszybciej się zakończyła. Chciałem wracać do Dłoni Przewodnika i rozpocząć naukę.

Czekało mnie jednak jeszcze kilka rytuałów, które miały mi schlebiać, ale tylko pogłębiły moje zażenowanie. Ojciec poprosił mnie na przykład, żebym wstał i z pamięci wyrecytował cytaty słynnych mędrców. Potem kazał mi przeczytać moje wypracowania egzaminacyjne, które sprowadził ze stolicy. Spełniłem jego prośbę, ale wszelka przyjemność zgasła we mnie w chwili, gdy uniosłem głowę znad zwoju i zobaczyłem, że połowa gości prowadzi półgłosem rozmowy, a druga wpatruje się we mnie ze znudzonymi minami, niczego nie rozumiejąc.

Nie miałem przed sobą odczytanych ludzi, z jakimi spotkałem się na przyjęciu we Wschodniej Fortecy. Ojciec zgromadził tu swoich przyjaciół, kupców i miejscowych właścicieli ziemskich, ludzi

zamożnych, ale najmniej przyczyniających się do zdrowia imperium wedle rozumowania Wędrującego Wąskim Traktem. Wywodzili się z zapadłych zakątków Nayenu, w których ojciec zapuścił korzenie wyłącznie dlatego, że mógł tutaj tanio zbudować imponującą posiadłość. Odnalazłem go wzrokiem – siedział z jakimś kupcem i rozmawiali o czymś szeptem.

Moje zażenowanie przerodziło się w niesmak i przerwałem czytanie w pół zdania. Ojciec poderwał się wówczas i skłonił gości do niemrawych braw, a potem powrócił do rozmowy. Ja zaś usiadłem z powrotem na podwyższeniu i dopiłem wino. Potem wstałem, po czym bez słowa ruszyłem do swoich komnat.

Dopiero wtedy ujrzałem Koro Ha. Stał na brzegu płytkiego stawu ogrodowego z fajką w jednej dłoni i czarką wina w drugiej. Gwar przyjęcia był tu o wiele mniej dokuczliwy, a staw opromieniał jedynie blask księżyca. Koro Ha jeszcze mnie nie dostrzegł. Popijał wino i pykał z fajki, wydychając obłoczki dymu. Nigdy wcześniej nie widziałem, by palił. A może skrywał to przyzwyczajenie przed swoim uczniem?

W końcu odwrócił się i ze zdziwieniem zarejestrował moją obecność.

– Olcho! – wykrzyknął, a potem zakaszał i zasłonił usta, a gdy doszedł do siebie, ukrył fajkę w dłoni, być może w nadziei, że jej nie zauważę. – Twój ojciec zadał sobie mnóstwo trudu, organizując dla ciebie to przyjęcie. Powinieneś być razem z nim!

– Nie zrobił tego dla mnie – odpowiedziałem. – Jestem tylko pretekstem, żeby mógł się popisać. Podczas gdy czytałem moje wypracowania, on dopinał umowy handlowe.

Sięgnąłem po fajkę. Koro Ha uniósł brwi. Nigdy wcześniej nie pozwoliłby mi folgować takim nałogom, ale teraz nie mógł mi niczego zabronić. Byłem przecież Dłonią cesarza.

– Uznałeś to za obrazę? – stwierdził rzeczowo Koro Ha, unosząc fajkę do ust.

– Tak – powiedziałem. – Ale być może nie powinienem. Ojciec nie jest należycie wykształcony. Nikt z nich nie jest.

Pyknąłem z fajki i prychnąłem, gdy ostry dym wypełnił mi płuca. Koro Ha zasłonił usta i zakaszał, by zatuszować swoją wesołość. Odkaszałem parokrotnie, splunąłem i wepchnąłem fajkę w ręce Koro Ha.

– Wykształcenie nie ma tu znaczenia – odparł. – Tak czy owak, jest twoim ojcem. Znasz pierwszy aforyzm. Wiesz, co jesteś mu winien.

– Moja nowa pozycja wszystko zmieniła – powiedziałem. – Jestem Dłonią cesarza. Czy nie stałem się teraz jego starszym bratem w wielkiej hierarchii imperium?

Koro Ha westchnął i podał mi swoją czarkę z winem. Upiłem łyk. Alkohol był łagodny i przemieszany z wodą. Szybko ukoił pieczenie w gardle.

– Jesteś ambitny, Olcho, i dobrze to wykorzystujesz – rzekł Koro Ha. – Ale spróbuj cieszyć się swoimi sukcesami na bieżąco. Ten, kto spogląda w kierunku kolejnego zakrętu, nigdy nie doceni piękna lasu.

– Który mędrzec to powiedział?

– Koro Ha – uśmiechnął się mój nauczyciel.

Roześmiałem się i oddałem mu czarkę.

– Solidna wiedza z wiarygodnego źródła.

– Och, nie byłbym tego taki pewien – odparł. – Jestem jedynie nauczycielem, a ty Dłonią cesarza, który niebawem ma zacząć pobierać tajne nauki.

– Ale mimo to muszę ci podziękować za moje sukcesy – rzekłem. – Bez twojego nadzoru stałbym się jedynie głupkowskim synem niewykształconego kupca.

– Wcale nie – zaprzeczył Koro Ha. – Nawet doskonały rzemieślnik niewiele osiągnie, jeśli będzie mieć kiepskie surowce. Jak mawiał Wędrujący Wąskim Traktem, wspaniała rzeźba zawdzięcza swoją sławę jakości jadeitu.

Jego słowa przepęłniły mi serce i rozeszły się po ciele. Przez całe życie próbowałem spełnić oczekiwania Koro Ha. Naciskał bez ustanku, próbując mnie zmusić, żebym stał się kimś lepszym, ganił za błędy i prawił mi morały, gdy wykazywałem się głupotą. Nigdy dotąd nie usłyszałem od niego takiego komplementu.



Czas, który spędziliśmy razem, dobiegał końca, a ja właśnie miałem utracić człowieka, który stał mi się bliższy niż własny ojciec. Nagle zapragnąłem spleść z nim serce i umysł. Chciałem mieć pewność, że zrozumiał w pełni, ile dla mnie znaczył. Chciałem, żeby był świadomy moich frustracji i mojej wdzięczności, zanim udam się na naukę, a on zajmie się kolejnym uczniem. Ale mimo wszystko nadal czułem przepaść, którą wykopały między nami słowa wypowiedziane przeze mnie po pijanemu.

Od jednego z filarów mojego dzieciństwa już się odciąłem na zawsze. Babcia porzuciła mnie jako pierwsza. Ale co takiego zrobił mi Koro Ha, że tak go potraktowałem? Okazywał mi surowość, lecz powodowała nim troska oraz szczerą wiarą w to, że sukces na egzaminie jest dla mnie najlepszą szansą na dobre, dostatnie życie w imperium. Oczywiście zapłacono mu za jego trud, ale przecież mógł do

swoich obowiązków podchodzić mniej uważnie i bardziej bezdusznie. Opowieść o ambitnym kocie okazałaby się zwykłym nonsensem, gdyby Koro Ha nie wyczulił mnie na to, że kolor skóry i włosów może prowokować innych.

Te myśli krążyły wraz z winem w mojej głowie, aż w głębi czaszki obudziło się dziwne bolesne napięcie, które bezskutecznie szukało sposobu, by się uwolnić. Staliśmy tak, a niezręczna cisza między nami przedłużała się niemiłosiernie.

Niech to szlag, pomyślałem nagle. Nie dopuszczę, żeby mnie teraz zatkało. To ostatnia szansa, żeby przeprosić Koro Ha. Przecież ten człowiek traktował mnie z większą godnością i życzliwością niż ktokolwiek inny.

– Przepraszam – wypaliłem.

Dłoń Koro Ha trzymająca czarkę wina zamarła w połowie drogi do ust. Nauczyciel zmarszczył brwi, a ja ciągnąłem:

– Źle cię potraktowałem na przyjęciu u gubernatora. – Pozwalałem, by słowa wytaczały się ze mnie jedno po drugim. Bałem się, że jeśli się zawaham, stracę resztki odwagi. – Miałeś rację. Byłem pijany i dopuściłem się idiotycznego czynu, który o mało nie skończył się źle dla nas obu. Nie powinienem był lekceważyć twojej rady, a już na pewno nie dlatego, że wypadłem na egzaminie lepiej od ciebie.

Znów zaległa niewygodna cisza. Koro Ha patrzył na mnie, a zmarszczka na jego czole powoli się wygładzała.

– W porządku, Olcho – powiedział łagodnie. – Ja też kiedyś byłem młody i głupi.

– Nie, nic nie jest w porządku – zaprotestowałem. – Jesteś moim nauczycielem. Widziałeś we mnie to, co najlepsze, a ja w odpowiedzi potraktowałem cię jak byle sługę i wydrwiłem twoją radę.

– Tak było, ale ci wybaczam. – Koro Ha uśmiechnął się i wsunął cybuch do ust. – Będziesz miał innych nauczycieli, Olcho. Wiem, że ujrzą to, co ja. Teraz jednak napij się ze mną. Musimy jakoś przecierpieć resztę przyjęcia twojego ojca.



ADEPT

II

Pierwsze lekcje

Wprowadziłem się do domku gościnnego we wschodniej części ogrodu Głosu Złotej Zięby, przekazanego Dłoni Przewodnikowi na czas jego pobytu w Nayenie. Nasze okna wychodziły na sztuczne jezioro, nad którego brzegiem obok wielkiego porowatego kamienia gniazdowały zimorodki, polujące w jeziorze na małe rybki. Południowy kraniec ogrodu porastały gaje bambusowe, tam też wznosiły się sztuczne klify, stanowiące tło cesarskiego egzaminu. Trawiaste pola, przypominające girzańskie stępy, rozciągały się na północy, i tam właśnie synowie gubernatora, Wilga i Lotka, codziennie szkolili się w jeździe konnej. Zachodnią i najmniejszą część zajmowała płaska piaszczysta równina usiana gładzami, na których Głos uprawiał medytację. W sercu ogrodu wznosił się wielki, drogi dom gubernatora i jego rodziny. Nawet Dłoń Przewodnik oraz ja nie mieliśmy tam wstępu bez zaproszenia.

Dłoń nie tracił czasu i od razu zagonił mnie do nauki. Kazał mi studiować mapy tak długo, aż będę potrafił nakreślić granice każdej prowincji i opisać jej wartość dla imperium. Poznałem geografie górzystej wyspy Nayen, osłaniającej wschodnie brzegi imperium. Poznałem Toa Alon, bogaty w złoto kraj, którego dżungle porastały marmurowe wyżyny Boskich Słupów, gór tworzących południowy skraj Sienu. Poznałem ciągnące się na północy rozległe równiny, idealne dla wypasu koni i bydła, sięgające tundry, po której nadal wędrowały plemiona Girzan. Poznałem rozlewające się na zachodzie Pustkowie Batir i leżące w jego sercu miasto-oazę An-Zabat, które stanowiło pomost między Sieniem i odległymi krainami. An-Zabat, jak się dowiedziałem, było źródłem wspaniałych, luksusowych towarów, ale ustawicznie cierpiało ze względu na najazdy niepokornych wiatromistrzów. Poznałem też wszystkie tajniki wnętrza kraju, gdzie wznosiły się porośnięte lasem wzgórza z kopalniami siarki oraz równiny z polami pszenicy i prosa.

Gdy opanowałem mapy, Dłoń Przewodnik zaczął mi zadawać zagadki ekonomiczne. Tak jak Koro Ha uczył mnie struktur klasycznej aluzji i bogactwa wyszukanego języka, mój nowy nauczyciel wprowadzał mnie w prawa i taktykę handlu. Pokazywał, jak manipulować pożyczkami, jak sprzedać nadwyżkę, która zalega w magazynach, jak manewrować podatkami i taryfami, by wzmocnić wybrany fragment rynku i zminimalizować pozostałe.

– Masz do tego smykałkę – powiedział pewnego dnia, obejrzawszy moją pracę. – Wystawię ci dobrą opinię w Zarządzie Gospodarki. Być może, gdy zakończysz naukę, będziesz chciał zostać ministrem handlu w którejś z odległych prowincji.

Nie udało mi się zamaskować rozczarowania, a wtedy na ustach Dłoni pojawił się jakże często u niego widywany lekki uśmieszek.

– Nie podoba ci się ten pomysł? – spytał mistrz.

– Nie wolno mi wygłaszać komentarzy – odparłem.

Dłoń Przewodnik machnął lekceważąco ręką.

– Olcho, jesteś Dłonią cesarza. W całym Sieniu zbierałoby się jedynie około kilkuset ludzi, którzy przewyższają cię statusem.

– Ale ty jesteś moim zwierzchnikiem. Zrobię to, co uznasz za najlepsze dla mnie.

– Cóż, a więc uważam, że najlepiej zrobisz, jeśli podzielisz się swoim zdaniem na temat kariery ministra handlu.

To była dla mnie nowość. Nikt wcześniej – ani ojciec, ani Koro Ha, ani też moja babcia – nie pytał mnie, co sądzę na temat cudzych pomysłów na moje życie. Lekki uśmiech, który pojawił się na ustach mistrza, nie dotarł jednak do oczu, przez co wyraz jego twarzy stał się dla mnie całkowicie nieodgadniony.

– Wydawało mi się, że moje obowiązki jako Dłoni cesarza okażą się... – zastanowiłem się, szukając odpowiedniego słowa – czymś bardziej wyjątkowym.

– Wyjątkowym? W jakim sensie? – spytał mistrz. Miałem osobliwe wrażenie, że usłyszałem w jego głosie echo rozbawienia.

Przez dwa miesiące próbowałem ignorować tetragram na mojej dłoni i głębię mocy, która otwierała się teraz przede mną. Liczyłem na to, że Dłoń Przewodnik zacznie mnie uczyć czarów, gdy nadejdzie odpowiedni czas. Teraz jednak zadreślał mnie przyziemnymi sferami życia. Czyżbym był nazbyt ostrożny? Jak powinien zareagować człowiek, któremu po raz pierwszy w życiu powierzono moc?

– Jesteśmy jedynymi sługami cesarza, którzy władają mocą – powiedziałem. – Sądziłem, że przyjdzie mi się nią posługiwać, a nie wypełniać jakieś biurokratyczne zadania, którym mógłby podołać każdy kandydat.

– Proszę! – wykrzyknął Dłoń Przewodnik i wstał od stołu w naszej wspólnej izbie. – Chodź, Olcho. Muszę ci coś pokazać.

Byłem nieco zaskoczony, ale nie miałem najmniejszego zamiaru protestować, bo najwyraźniej w moich układach z nowym nauczycielem wreszcie coś drgnęło i zacząłem przybliżać się do spełnienia mojego marzenia. Bez słowa podążyłem więc za Dłonią, a ten poprowadził mnie ścieżką, która okrążyła sztuczne jezioro. Gdy wyszliśmy z za porośniętego sosnami wzgórza wznoszącego się przy północnym brzegu, w nozdrza uderzył mnie zapach siana, obornika i końskiego potu. Zobaczyłem synów gubernatora, którzy pod okiem instruktora jeździectwa układali młodego ogiera.

Dłoń Przewodnik wskazał zwierzę.

– Przedstawiam ci cały świat pod rozważę – rzekł.

Wilga, starszy z chłopaków, popędził konia, który przeszedł z klusa w galop. Spojrzałem na nauczyciela pełen sceptycyzmu.

– Oczywiście nie traktuj dosłownie tego, co mówię – oznajmił Dłoń. – Pomnij jednak, że świat, podobnie jak ten młody ogier, jest pełen energii, która przemieszcza się to w jedną, to w drugą stronę i nigdy nie zamiera w bezruchu, a jeśli się ją pozostawi, po prostu eksploduje. Będzie wzbierać, aż przeobrazi się w chaos i zniszczenie.

Ogier zarżał i stanął dęba. Wilga zmienił pozycję, ściągnął wodze i zapanował nad zwierzęciem.

– Ten, kto trzyma wodze, jest w stanie ową energię skupić i skierować tam, gdzie zechce – ciągnął Dłoń Przewodnik. – Oczywiście świat to wielogłowa bestia z dziesiątkami wodzy. Jedną z nich jest armia, inną handel i gospodarka, a jeszcze innymi kultura, struktura społeczna i magia. Co więcej, istnieje wiele par dłoni, które sięgają ku poszczególnym wodzom, tak wiele, że świat nie ma pojęcia, w którą stronę biec. Panuje więc ogromny chaos, tak wielki, że w zasadzie moglibyśmy puścić zwierzę wolno. Historia zaś to opowieść o wielu królach i wielu bogach, którzy łapali za wodze świata i ciągnęli za nie to w jedną, to w drugą stronę. Nie dbali o słabych, którzy ginęli pod kopytami, nie dbali o chaos, który szerzył się z każdym podbojem. Wizja powstania imperium była wszak wizją rychłego porządku. Miał tam być jeden król, jeden bóg, jeden cesarz, a do tego my, wiele Dłoni trzymających wodze w jego imieniu.

– I dlatego muszę się uczyć ekonomii? – spytałem.

– Oprócz wielu innych rzeczy. – W głosie Dłoni Przewodnika znów pojawiła się żartobliwa nuta.

– Jak na przykład jazdy konnej.

Nie czekając na moją reakcję, ruszył przez pole, ciągnąc szatę po zabłoconej trawie. Popędziłem za nim, próbując zdusić w sobie frustrację.

Wilga był w tym samym wieku co ja, ale przez pierwsze miesiące nauki pod okiem Dłoni nie spędziłem z nim wiele czasu. Podczas gdy ja studiowałem geografię i ekonomię, Wilga ćwiczył strzelanie z łuku, walkę na miecze oraz zapasy z mężczyznami z osobistej straży ojca, a każdą wolną chwilę spędzał na końskim grzbiecie. Rzadko kiedy widziałem go z książką, a i wtedy była to najczęściej biografia jakiegoś wielkiego generała, rozprawa na temat taktyki i sztuki dowodzenia lub, co zdarzało się najczęściej, romantyczna opowieść o mitycznych bohaterach Sienu.

Gdy nas zobaczył, zatrzymał ogiera.

– Och, nasz zacny gość wreszcie wyszedł na słońce – powiedział. – Jak mogę ci służyć, o Dłoni cesarza?

W jego głosie pojawiła się kpina, ale nie miałem pewności, czy to dobroduszne przekomarzanie się, czy może autentycznie ze mnie drwi.

– Bądź pozdrowiony, panie Wilgo! – odezwał się Dłoń. – Zastanawiałem się, czy nie pomógłbyś mi w jednej sprawie. Dłoń Olcha, jak widzisz, nigdy wcześniej nie jeździł konno i musimy temu zaradzić.

– Ojciec sam dosiada konia, gdy prowadzi armię – rzekł Wilga z zadumą – ale sądziłem, że większość Dłoni wyrusza na pole bitwy w palankinach i walczy w jedwabnych szatach.

Dłoń Przewodnik zaśmiał się, ale ja poczułem się nieco urażony.

– Nie jesteśmy tylko uczonymi – powiedziałem. – Właśnie o tym rozmawialiśmy.

– Otóż to. Musimy być tym, czego zażyczy sobie cesarz – zauważył mądrze Dłoń Przewodnik. – Czasami jesteśmy żołnierzami, a czasami uczonymi.

Nadal się uśmiechał, co tylko pogłębiło moje rozdrażnienie.

Wilga przyjrzał mi się uważnie.

– Żaden z ciebie jeździec. Przynajmniej na razie. Zaczniemy od kucyka.

Dłoń Przewodnik pożegnał się z nami, a Wilga zaczął mnie uczyć jazdy konnej. Nie żartował i pierwsze lekcje rzeczywiście odbyłem na grzbiecie kuca, wałacha z szarą grzywą, nazwanego Pszenicą. Staruszek stał cierpliwie, gdy Wilga pokazywał mi, jak go szczotkować, ale gdy przyszło do zakładania siodła oraz ogłowia, bestia parskła i wierciła się niespokojnie. Gdy kuc wierzgnął gwałtownie, zeskoczyłem bez namysłu na ziemię. Wilga parsknął śmiechem.

– Budzi większy respekt od stosu książek, co? – spytał.

Ignorując go, wlałem na grzbiet Pszenicy i złapałem za wodze. Zwierzę prychnęło, zarzuciło łbem i ruszyło przed siebie. Spanikowany, złapałem za lęk, robiąc wszystko, żeby nie spaść.

– Odpręż się! – zawołał Wilga. – Siedzisz zbyt sztywno. Nic dziwnego, że zwierzak nie chce mieć z tobą nic wspólnego.

– Jak mam się odprężyć, gdy ten kuc się tak wierci?

– Nabierz tchu i pozwól mu iść – poradził Wilga. – Przynajmniej na początku, aż się przyzwyczaisz, że na nim siedzisz.

Poczułem się całkowicie bezradny i rozluźniłem chwyt. Pszenica zrobił jeszcze kilka kroków, ale wkrótce się zatrzymał. Prychał przez nozdrza i przyglądał się trawie, jakby udawał, że wcale na nim nie siedzę.

– Pamiętaj, żeby siedzieć swobodnie i nie napinać mięśni – powiedział Wilga.

Przejął wodze i poprowadził kucyka powoli przed siebie. Przemawiał do niego łagodnym głosem, a mnie od czasu do czasu przypominał, żebym się wyprostował, rozluźnił mięśnie i przestał się tak przejmować. Nie minęła nawet godzina, gdy zaczęły mnie boleć nogi i dół pleców.

– Dość już tego – rzekłem. – Daj mi zejść.

– Już się poddajesz? – spytał Wilga.

– Dłoń Przewodnik tylko żartował – odparłem.

– Naprawdę? Nigdy nie wiem, kiedy ten człowiek mówi poważnie.

– Po co niby miałbyś chcieć, żebym nauczył się jeździć konno?

– A skąd to możesz wiedzieć? Jesteś jego uczniem. Może uważa, że niedługo pojedziesz na wojnę.

– Albo żartuje.

– Na twoim miejscu nie byłbym tego taki pewien – uśmiechnął się szeroko Wilga.

Nie chciałem tego przed sobą przyznać, ale wiedziałem, że chłopak ma rację. Nie miałem pojęcia, czym kierował się Dłoń, ale takie oto powierzył mi zadanie. Gdybym sprzeciwił się jego woli... Zacisnąłem lewą dłoń i odepchnąłem od siebie drugie ostrzeżenie, które wygłosił w dniu naznaczenia. Moja porażka oznaczałaby utratę dłoni i mojego miejsca w cesarstwie.

Pszenica zataczał kolejne kręgi, aż nadszedł zachód słońca. Wilga pomógł mi zejść i stłumił wybuch śmiechu, gdy stęknąłem.

– Śmiejesz się z Dłoni cesarza? – warknąłem, walcząc z pokusą, by rozmasować obolałe, zeszywniałe uda. – Zdajesz sobie sprawę, że każda moja porażka obciąży także ciebie? Dłoń Przewodnik może i ma prawo, żeby marnować mój czas, ale ty nie.

Wilga zmrużył oczy.

– Dobrze – powiedział. – Zajmę się więc Pszenicą, jeśli twoim zdaniem wyszczotkowanie go jest poniżej twojej godności.

Jego kąśliwy ton nie umknął mojej uwadze, ale nie miałem ochoty pogłębiać mojego upokorzenia kłótnią z rozpieszczonym, głupim synem arystokraty. Odwróciłem się, by odejść.

– No i przyda ci się poduszeczka pod pupę, gdy będziesz jadł obiad – zawołał w ślad za mną. Wbiłem w niego wściekły wzrok i zdusiłem ripostę, po czym pokuszyłem przed siebie.



Po dwóch tygodniach miałem wszystkiego dosyć. Może i zrobiłem jakieś postępy, ale moim zdaniem nie było to wcale warte moich cierpień. Mogłem znieść chód kuca, ale spinałem się natychmiast, gdy zaczynał kłusować. Spadałem z siodła przynajmniej raz dziennie, a Wilga najwyraźniej nie potrafił pomóc mi wstać bez jakiegoś sarkastycznego żarciku.

– Rozchmurz się, Dłoni Olcho – powiedział kiedyś, gdy włąziłem z powrotem na siodło. – Nie ma nic złego w tym, że ciągle spadasz. Co prawda przegrałbyś w wyścigu z pięcioletnim Girzaninem, ale ten za to nie miałby z tobą szans podczas konkursu poetyckiego.

– Wolę mieć palce stwardniałe od trzymania pędzelka niż dupę od siodła – mruknąłem. – Umiejętność jazdy konnej nie jest oceniana podczas cesarskiego egzaminu!

– I w ten sposób chcesz decydować o tym, kto jest ile wart? – Głos Wilgi nagle stał się chłodny. – Ważne jest tylko to, co stanowi część egzaminu?

Jego ton sugerował, że Wilga poczuł się urażony, co tylko podsyciło mój gniew. Moja pozycja w hierarchii imperialnej czyniła mnie jego starszym bratem, a mimo to niemalże bez ustanku zasypywał mnie drwinami, a teraz jeszcze obrażał się o to, jak go traktowałem? Czyżby uważał, że zasługuje na więcej szacunku i godności ode mnie? Z całą pewnością było to najbardziej absurdalne i bezczelne ze wszystkich jego zachowań.

Do końca lekcji nie powiedziałem już ani słowa, pozwalając, żeby płonący we mnie gniew przygasł i zamienił się w syczący żar. Wilga również ograniczył się do kilku słów, korygując moją postawę, pozycję stóp w strzemionach czy sposób trzymania wodzy. Miałem wrażenie, że wychwytuje wszystkie, najdrobniejsze nawet nieprawidłowości w mojej jeździe, jakby chciał udowodnić swoją wyższość. Gdy skończyliśmy, zsiadłem i rzuciłem mu wodze.

– Wyszczotkuj dla mnie wierzchowca – poleciłem. – Mam sprawy do omówienia z Dłonią Przewodnikiem.

Wilga spojrzął na wodze w swojej dłoni.

– Prędeż czy później będziesz musiał nauczyć się dbać o konia.

– Ale nie dziś – powiedziałem i ruszyłem w stronę wyjścia. – I nie ty będziesz mnie tego uczył – mruknąłem pod nosem.

Zastałem Dłoni Przewodnika, gdy popijał wino z sorgo i szkolił się w kaligrafii. Jego pokój był zastany dziesiątkami arkuszy papieru ryżowego. Na każdym z nich wypisał ten sam logogram – archaiczną wersję słowa „koń” – w pięknym, zamaszystym stylu.

Uniósł głowę, gdy wszedłem do pokoju, i kazał mi usiąść naprzeciwko siebie. Musiałem usunąć stos papierów, zanim odnalazłem poduszkę.

– Jak ci idą lekcje z Wilgą? – spytał.

Nie czekając na odpowiedź, zanurzył pędzelek i przycisnął go do świeżego arkusza, a potem pojedynczym płynnym ruchem nakreślił ćwiczony logogram. Podniósł kartkę, by spojrzeć na nią pod światło, i skrzywił się, a potem odrzucił ją na bok.

– Nie dogaduję się z Wilgą – powiedziałem, zwalczywszy pokusę, by nazwać go nieznośnym chamem. – Myślę, że nauka z innym instruktorem okazałaby się bardziej produktywna.

– Bardziej produktywna czy przyjemniejsza? – spytał mistrz, sięgając po kolejny arkusz.

– Gdyby zajęcia były przyjemniejsze, mógłbym się lepiej skupić i szybciej uczyć. Ciągle przykrości wytrącają mnie z równowagi.

– Hmmm. – Dłoni Przewodnik rozpostarł arkusz na biurku i przygniótł go ciężarkami. – A kogo byś wolał?

– Gubernator ma girzańskiego nomadę, który szkoli jego synów.

– Ach, tak. Yul Pekora – rzekł Dłoń Przewodnik. Wyglądany przez niego papier zaszeleścił, a on sam sięgnął po pędzelek. – Dowódca kawalerii prowincji Nayen. Nie sądzisz, że marnowanie jego czasu to niestosowny pomysł?

Miałem ochotę wskazać piętrzące się naokoło arkusze i powiedzieć, że Dłoń Przewodnik najwyraźniej nie ma nic przeciwko marnowaniu czasu, ale zatrzymałem rękę na kolanach. Mój nauczyciel przycisnął pędzelek do arkusza, nakreślił logogram i wyrzucił pracę równie lekko jak wcześniejsze.

– Tak czy owak, nie dogadujemy się z Wilgą i tyle – powiedziałem.

– I to jego wina? – Dłoń Przewodnik rozprostował inny arkusz.

– Oczywiście! – parsknąłem. – Okazuje mi wyłącznie wzgardę.

– A co ty okazujesz jemu?

Dłoń Przewodnik nakreślił logogram, odłożył pędzelek i podniósł arkusz do światła. Nie umiałem odpowiedzieć na jego pytanie. Fakt, okazywałem Wildze chłód i wyniosłość, ale czy ktoś mógł mnie za to winić? Przecież rozpoczął rozmowę ze mną od kpin!

– Wiesz, dlaczego umiejętność pisania jest oceniana podczas egzaminu? – rzekł Dłoń Przewodnik, przyglądając się symbolowi.

– Bo odzwierciedla charakter piszącego – odparłem.

– Odzwierciedla jego temperament – poprawił mnie nauczyciel. – Mędrzec Szuwary w Wodzie mawiał, że ruch pędzelka odzwierciedla energię obecną w ciele i umyśle w chwili pisania. Dokładna ocena próbki pisma oraz właściwe zrozumienie kontekstu, w jakim powstało, mogą zdradzić wiele o osobowości piszącego. Ludzie o wiele gorzej panują nad pismem niż nad wyrazem twarzy, tonem głosu czy nawet językiem ciała, ale wyszkolony kaligraf operuje pędzelkiem tak dobrze, że może oddać każdy temperament. Ja dla przykładu próbuję oddać twoje lęki i niepokoje w tym oto logogramie.

Pokazał mi arkusz. Miałem wrażenie, że linie są dokładnie takie same jak te, które napisał wcześniej, swobodne, nakreślone szybko i z wdziękiem. Nie wyczuwałem w nich żadnego elementu, który mógłby oznaczać niepokój. Nie widziałem w logogramie niczego, co miałyby związek ze mną.

Dłoń Przewodnik wyrwał mi arkusz.

– Phi! Wciąż nie wygląda to tak, jak powinno. – Odrzucił go na bok i sięgnął po kolejny. – Znak musi być perfekcyjny, sam rozumiesz.

– A w czym tu tkwi błąd? – zapytałem zaskoczony. Usilnie zastanawiałem się, czego Dłoń Przewodnik próbuje mnie nauczyć.

– W precyzji. – Nauczyciel zanurzył pędzelek w tuszu. – Podobnie jak każdy wcześniejszy, symbol był technicznie doskonały w każdym aspekcie, ale brakowało mu pewnej trudnej do sprecyzowania cechy. To samo można powiedzieć o tobie, Olcho. Okazywana przez ciebie doskonałość maskuje jakąś wadę. Zachowujesz się z taką ostrożnością, że na myśl o napiciu się z tobą zaczynam ziewać z nudy. – Nakreślił kolejny logogram, a potem z frustracją uniósł obie dłonie. – Więcej zabawy miałbym, pijąc z tym koniem.

Cały czas odczuwałem wielkie napięcie i teraz, gdy Dłoń nagle zaczął mówić o sekretach, poczułem przyływ paniki. Wykrywał we mnie wadę? A co nią jego zdaniem było?

– Jeśli rozczarowałem cię w jakiś sposób...

– Jesteś ostrożny, Olcho, a to cecha godna pochwały – rzekł Dłoń Przewodnik. – Musisz jednak być bardziej ludzki. A teraz wybaczone, ale jeśli mam w ogóle nakreślić ten znak jak należy, muszę więcej pić, a mniej myśleć.

Wycofałem się, uważając na każdy swój gest i wyraz twarzy, które przecież można odczytać na różne sposoby.

W półmroku i zaciszu własnego pokoju opadłem na łóżko i zacisnąłem prawą dłoń. Czułem, jak skóra naciąga się na starych bliznach. Dłoń Przewodnik bawił się ze mną od chwili naszych pierwszych interakcji. Opowieść o ambitnym kocie poruszyła najgłębsze z moich niepokojów, a opowiedział ją przecież zaraz po tym, jak mnie poznał. Nie mogłem się oprzeć, by nie postrzegać wszystkiego, co mówił, wszystkiego, o co pytał, i wszystkiego, co robił, jako serii ezoterycznych testów, ukrytych wśród

metafor. Jego opowieść o kocie okazała się dla mnie przejrzysta niczym woda, ale upór, z jakim kazał mi się uczyć jazdy konnej pod okiem Wilgi, był równie trudny do przeniknięcia jak kamień.

Uważnie rozpatrzyłem każde jego słowo, ale niczego w ten sposób nie odkryłem. Może miało to jakiś związek z magią? Przecież skierował mnie na naukę tuż po tym, jak poprosiłem go, żeby nauczył mnie rzucania czarów. Znałem cesarską magię, ale tylko przez zmiany, jakie odciskała na świecie, a to nie wystarczało, żebym mógł odcyfrować zakodowany przekaz ze strony Dłoni, o ile jakiś w ogóle istniał.

Przypomniałem sobie noc, kiedy przekroczyłem granice nakreślone przez nauki babci i zamieniłem się w poskręcaną miazgę z kości i mięsa. Ale teraz byłem już starszy i miałem więcej doświadczenia związanego z magią. Wydawało mi się, że jest go na tyle dużo, że mógłbym dotknąć tej mocy tak, by mnie nie przytłoczyła.

Zerknąłem na dobrze mi już znany tetragram na lewej dłoni. Składał się z czterech logogramów, przedstawiających topór, zwój, koronę oraz wagę, a ułożonych w kwadrat otoczony grubą kreską. Wszystkie razem tworzyły wieczne imię cesarza. Wydawały się wypisane srebrną nicią, a pod nimi szemrała magia. Ostrożnie zanurzyłem się w rzekę mocy w nadziei, że mnie olśni.

Moc przemknęła przeze mnie, potężna, ale ograniczona. Jakby ktoś zawczasu wykuł w kamieniu kanały, przez które teraz płynęła niczym rzeka rtęci. Wypełniła kanały i z szumem uderzała w śluzy, grożąc przepelnieniem.

Wycofałem się, z trudem łapiąc oddech. Magia wyciekła ze mnie i pozostawiła wrażenie niedotrzymanej obietnicy. Uczucie powoli osłabło, a w jego miejsce pojawiło się nowe rozumienie.

Raz jeszcze sięgnąłem po czary. Magia ruszyła ku mnie, ponownie grożąc, że wyleje się z kanałów wydrążonych w kamieniu, ale tak się nie stało. Kanały zdołały ją powstrzymać, a ja, władając tą mocą, uświadomiłem sobie, że nie stanowi ona dla mnie zagrożenia.

Magia bez zawarcia paktu czy ujęcia w kanon zasad była dzika i kapryśna. Podczas mrocznej nocy wiele lat temu, kiedy idiotyczny eksperyment o mało nie zamienił mojego ciała w pokraczny zewłok, magia przytłoczyła mnie, gdy tylko po nią sięgnąłem. Blizny, które babcia wycięła w mojej prawej dłoni, zapewniały jakąś kontrolę, ale nie na tyle, bym poczuł się naprawdę bezpiecznie, gdy sięgałem po moc.

Wiedziałem już teraz, że rzucanie czarów jest niebezpieczną umową, zawieraną z nieokiełznaną mocą. Jest wilkiem podążającym przy nodze myśliwego, posłusznym i niegroźnym dopóty, dopóki jest regularnie karmiony. Rzucanie czarów jest mistrzostwem, jest udomowieniem, a ten, kto opanowuje tę sztukę, zakłada magii kaganiec i trzyma ją na smyczy.

Czułem, jak moc znów ze mnie wypływa, ale tym razem przyniosło mi to satysfakcję. A więc o to chodziło w nauce jazdy konnej. Musiałem zrozumieć, że magię, choć jest potężna, da się okiełznać, a zatem może stać się bezpieczna.

Choć byłem zadowolony z rozgryzienia zagadki Dłoni Przewodnika, odpowiedź stanowiła rozczarowanie równie silne jak to, które czułem w chwili, gdy babcia naznaczyła mnie wiedźmimi znakami. Cesarska magia była więc równie ograniczona i okiełznana jak czarnoksiężstwo, które panowało tu wcześniej. To, którym władali babcia z dziadkiem. Ale z drugiej strony gdzie jeszcze mógłbym się o niej czegoś nauczyć?

Z całą pewnością cesarz opanował ją tak, jak ja bym sobie tego życzył, i wykorzystał tę wiedzę, by stworzyć imperium. Bez wątplenia istniały więc w cesarskim kanonie wiedzy wskazówki, które choć doskonale ukryte, mogły mnie doprowadzić do owej nieograniczonej, uwalniającej i przerażającej mocy, którą raz posiadałem. Postanowiłem więc, że będę się uczyć cesarskiej magii ze wszystkimi jej ograniczeniami i wykorzystam wszystko, co będę mógł, żeby rozwijać czarnoksiężstwo babci. W ten oto sposób stworzę własną teorię magiczną i wybiorę sobie własną ścieżkę przez świat.

Ale dlaczego Dłoń Przewodnik chciał, żebym uczył się tego od Wilgi? I o co mu chodziło, gdy powiedział, że musiałbym się nauczyć, jak być człowiekiem?

Przyszło mi wtedy do głowy, że niektóre lekcje należałoby przekazywać ostro i bez ogródek, zamiast ubierać je w metafory.

Dwa kubki i gra w kamyki

Główny dom, w którym mieszkał gubernator wraz z rodziną, był niejako posiadłością w posiadłości. Działek w typowym sienieńskim stylu oddzielony był od reszty ogrodu niskim murem, z którym stykały się tylnymi ścianami prywatne rezydencje gubernatora i jego rodziny. Fronty zaś zwracały się w stronę prywatnego ogrodu rodzinnego, stanowiącego serce całej posiadłości i symbolizującego centrum imperium. Bramy łączącej prywatną przestrzeń gubernatorskiej rodziny z resztą świata przez cały czas strzegło dwóch strażników. Ich oczy, ledwie widoczne spod krawędzi hełmów, przyglądały mi się uważnie, gdy zmierzałem do środka. Lampy migotały nad naszymi głowami.

– Mam się tu spotkać z paniczem Wilgą – powiedziałem, przekazując jedną z dwóch zabranych butelek. – Gdy je kupowałem, przyszło mi do głowy, że szkoda, żebyśmy my, młodzi ludzie, spędzili wieczór na popijaniu wina, podczas gdy wspaniali żołnierze marzną w mroku bez kropli czegoś dobrego do picia.

Jeden ze strażników uniósł butelkę i przyjrzał się etykietce. Było to zwykłe, ale mocne wino, preferowane przez mojego ojca. Mężczyzna burknął i podał butelkę towarzyszowi, po czym otworzył bramę.

– Wielkie dzięki, Dłoni Olcho – rzekł. – Miłego wieczoru.

Wszystko w rezydencji gubernatora było lepszej jakości niż w domu mojego ojca, rzecz jasna. Zabudowania wzniesiono z drewna cedrowego, stopnie zbudowano z marmuru, a karpie w stawie, równie głębokim jak naturalne jezioro, dorównywały zapewne swoją długością mojemu wzrostowi. Jednak posiadłość zaprojektowano w znajomy mi sposób. Rezydencja Wilgi znajdowała się więc oczywiście we wschodnim skrzydle, podobnie jak kiedyś moja.

Za jego drzwiami migotała lampa. Zawahałem się na moment i wziąłem kilka głębszych oddechów. Wiedziałem, że z początku rozmowa będzie bardzo niezręczna, ale planowałem wypić kilka kubków, a potem wciągnąć go w przyjacielską pogawędkę, by polepszyć nasze układy i sprawić, żeby lekcje jazdy konnej stały się znośniejsze. Czy istnieje młody mężczyzna, który mógłby się oprzeć czarce wina? Zapukałem i usłyszałem w środku szelest papieru oraz pisk przesuwanego po podłodze krzesła.

– Chwila! – zawołał Wilga, a potem, przypuszczalnie sądząc, że drzwi zatrzymają jego słowa, mruknął: – Czas najwyższy! Prosiłem o tę herbatę, gdy słońce było jeszcze na niebie.

Otworzył drzwi w wymiętym ubraniu. Na dłoniach miał plamy atramentu.

– Dłoń Olcha! – zawołał, gapiąc się na mnie. Marszczył brwi ze zdumienia, próbując jakoś przewyciężyć swoją niechęć.

– Wilga – powiedziałem, kłaniając się przed nim lekko. Uniosłem butelkę i potrząsnąłem nią. – Mogę wejść?

– Ach. – Wilga zerknął za siebie, na biurko zasłane książkami. – Cóż, oczywiście. Ja... No, nie spodziewałem się ciebie.

Stałem w progu i czułem, jak opuszczają mnie resztki wiary w mój plan. Czy nie tak zachowują się ludzie, którzy próbują sprawić wrażenie życzliwych?

– Nie chciałem ci się narzucać – powiedziałem.

– Oczywiście, że nie – mruknął. – Wtedy gdy wprowadziłeś się do mojego domu i praktycznie zmusiłeś mnie, żebym nauczył cię jeździć konno, też nie chciałeś się narzucać.

– To była decyzja Dłoni Przewodnika i ja również nie miałem w tej sprawie nic do powiedzenia.

– Najeżyłem się. – Mogę wrócić kiedy indziej, gdy nie będziesz zajęty.

– Kimże jestem, żeby zamknąć drzwi przed Dłonią cesarza? – rzekł Wilga.

Wbiłem w niego wzrok, nie wiedząc, czy mówi poważnie, czy też znów drwi z mojego statusu. Ale zignorowałem urażoną dumę i potrząsnąłem butelką.

– To przynajmniej się napijmy – powiedziałem. – Przegadamy frustrację, jaką w nas obu obudził mój mentor.

Nie miałem pojęcia, czy naprawdę zarzucał mi arogancję, czy też nie, ale prawdą było to, że gdyby odrzucił moje zaproszenie bez dobrego powodu, wyszedłby na kiepskiego gospodarza w domu swojego ojca. A to mogło być postrzegane jako obraza samego cesarza. W końcu wpajana od dziecka presja społeczna – a być może również nadzieja na kilka czarek czegoś mocniejszego pod koniec najwyraźniej długiego wieczoru – pomogła Wildze pokonać niechęć do mnie. Wyciągnął rękę po butelkę i otworzył drzwi szerzej, żeby mnie wpuścić.

– Wiedziałem, że Dłoń cesarza potrafi wyczuć rzucane w pobliżu czary – powiedział. – Ale nie wiedziałem, że potraficie też wyczuwać uczniów w niedoli.

Wszedłem za nim do pokoju. Wilga zepchnął książki na bok biurka i postawił butelkę z głośnym stuknięciem.

– Mam gdzieś tu czarki. – Przetrzasał biblioteczkę, na której stało znacznie więcej rozmaitych drobiazgów niż książek. W końcu zajrzał za niewielką figurkę konia z brązu i malowaną maskę z twarzą Lina Dwunastu Wołów, bohatera starożytnej legendy oraz wielu słynnych sztuk. Znalazł tam dwie czarki z dwóch różnych zestawów, jedną z białej porcelany, a drugą z szorstkiej terakoty w girzańskim stylu.

– Nie chcę ci przeszkadzać – powiedziałem, wciąż zaskoczony tym, że zastałem go na nauce. Byliśmy w podobnym wieku, a więc Wilga powinien już podchodzić do cesarskiego egzaminu, ale mimo to poznałem go, dopiero gdy wprowadziłem się do posiadłości gubernatora.

Spojrzał w ślad za mną na biurko i przybrał neutralną minę, by zamaskować zażenowanie. Po chwili jednak uśmiechnął się głupkowato.

– W sumie to przydałaby mi się chwila przerwy – rzekł.

– Chciałem ci w ten sposób podziękować za pomoc. – Wskazałem butelkę.

Wilga otworzył ją, napełnił czarki i podał mi tę porcelanową.

– A więc na zdrowie.

Spróbowałem się nie skrzywić, gdy alkohol zapiekł mnie w gardle. Wilga syknął przez zęby.

– Uch! Widzę, że lubisz ostre rzeczy.

– Nie, niezbyt – przyznałem. – Ale pomyślałem, że może tobie smakują.

– Cieszę się, że masz o mnie tak dobre zdanie. – Potrząsnął butelką. – Szkoda, żeby się zmarnowało.

Podsunałem mu czarkę. Za drugim razem nie zapiekło tak mocno jak za pierwszym. Wilga podsunał mi krzesło, a sam usiadł na skraju łóżka, ustawivszy między nami skrzynię, która odgrywała rolę stołu.

– Nie wiem, ile jeszcze uda mi się tego wypić tak po prostu – rzekł Wilga. – Jeśli mamy opróżnić całą flaszkę, będziemy potrzebowali jakiegoś pretekstu. Jakiejś pijackiej zabawy.

Tylko nie to, pomyślałem. Moim celem stanowczo nie było opróżnienie całej flaszki.

– Nie musimy przecież...

– Mam! – zawołał Wilga.

Zerwał się na równe nogi i znów zaczął przetrząsać zawartość swoich pótek, aż znalazł drewniane pudełko. Na wieku widniały rozmieszczone w identycznych odległościach małe punkciki, a w środku znajdowały się dwa zakryte kubeczki z niewielkimi kamykami, białymi w jednym i czarnymi w drugim.

– Grałeś kiedyś w kamyki? – spytał Wilga.

Nigdy wcześniej o tej grze nie słyszałem, ale zasady były proste i Wilga szybko mi je przedstawił. Celem gry było doprowadzenie do sytuacji, w której jeden z graczy miał więcej kamyków na planszy niż przeciwnik. Każdy gracz umieszczał na planszy po jednym kamyku na turę i mógł usuwać pionki przeciwnika, jeśli otoczył je własnymi.

– Zagrajmy, ale dodajmy dodatkową zasadę. – Wilga podał mi kubek z białymi kamykami. – Trzeba się napić za każde pięć przejętych kamyków.

Zamarłem w niepewności. Miałem wrażenie, że zanosi się na niezłe picie.

– W porządku – powiedziałem powoli, obiecując sobie, że bez względu na to, ile wypiję, nie pozwolę, żeby Wilga zaprowadził mnie do miasta, i nie będę słuchał o żadnych przygodach, które mi

obieca.



– Cholera! – powiedział Wilga, gdy zamknąłem pułapkę i przejąłem sześć jego kamyków. – Cóż, przynajmniej musisz się teraz napić.

Nalał mi czarkę. Wychyliłem ją, stłumiłem czkawkę i skinąłem na niego, żeby rozpoczął własną turę. Gra z początku szła szybko, ale wnet okazało się, że jest wewnętrznie skomplikowana. Rozgrywka zwolniła też ze względu na alkohol, który przytępił nasze strategiczne talenty. Wilga zdecydowanie prowadził, co oznaczało również, że był o wiele bardziej pijany ode mnie, ale ja przygotowywałem się do odwetu.

– Oczywiście dogodna okazja często sprawia, że zapominamy o niebezpieczeństwie. – Wilga trzymał kamyk nad planszą i uśmiechał się szeroko. Jego oczy błyszczały sprytem nawet pomimo wypitego alkoholu. Gdy w końcu położył kamyk, uzupełnił nim długie, silne natarcie w głąb mojego terytorium.

– Jak ja mogłem to przegapić? – wybełkotałem.

Wilga zebrał siedemnaście przejętych kamyków, a potem sięgnął po butelkę.

– Możesz mnie przechytrzyć, w czym tylko chcesz, o wielka Dłoni cesarza, ale w tej grze jestem podstępny łajdakiem.

Zadany cios obudził we mnie wielką złość, a cyniczna uwaga tylko ją rozjątrzyła.

– Nie musisz się przechwalać jak ostatni dupek, Wilga.

– Jestem po prostu zaskoczony tym, że dajesz ci popalić. – Mój przeciwnik osuszył czarkę i napełnił ją ponownie. – Nie każdy z nas przyszedł na świat z talentem, Olcho.

– O czym ty gadasz? – Wypity alkohol uczynił mnie wojowniczym. Pamiętałem zazdrość Czystej Rzeki oraz jego groźby. – Przecież nawet nie przystąpiłeś do egzaminu!

– A właśnie że tak! – Wilga rąbnął pięścią w kufer między nami. Kamyki wzbiły się w powietrze i spadły na ziemię. – Przystąpiłem do niego i zawałem! Ale jakie to ma znaczenie, prawda? Przecież ja chyba nie potrzebuję cesarskiej posady, co? Mój ojciec już zapowiedział, że ufunduje mi firmę, a nasz nauczyciel w międzyczasie przeniósł uwagę na Lotkę. Coś mi mówi, że młodszy brat ma otaczać starszego czią tylko wtedy, gdy ten nie okaże się osłem i nieukiem.

Spojrzałem na książki na biurku Wilgi, pospiesznie odsunięte na bok, by zrobić miejsce na butelkę i czarki.

– Planujesz drugie podejście – powiedziałem.

– Oczywiście, że tak! – warknął Wilga. Spojrzał na roztrąconą grę, a potem pochylił się, żeby podnieść leżące na ziemi kamyki. – Nie wszyscy przychodzimy na świat jako geniusze, którzy zdają to pieprzone cholerstwo w pierwszym podejściu i w jednej chwili przeskakują z nizin na wyżyny władzy i prestiżu. Są tacy, którzy od dziecka noszą na plecach ciężar czyichś oczekiwań i przez całe życie próbują im sprostać.

Rzucił garść kamyków na planszę.

– Cholera, to nie twoja wina. Powinniśmy być przyjaciółmi. Albo przynajmniej ja powinienem okazywać ci szacunek. Ale za każdym razem, gdy na ciebie patrzę, wyobrażam sobie, jak stoisz na scenie z Dłonią Przewodnikiem. Wyobrażam sobie, jak realizujesz marzenia, o których ja mogę zapomnieć.

Wpatrywałem się w niego z zaskoczeniem. Wilga chciał zostać Dłonią cesarza? Barczysty, bezpośredni Wilga, który wolał mityczne romanse od klasyków literatury? Nie miałem pojęcia, co nim kierowało, wyjąwszy chwałę płynącą z sukcesu.

Ale jego ojcem był przecież Głos cesarza. Wtedy wszystko poukładało mi się w głowie, a myśli powędrowały w kierunku jego rodu. Jak bym zareagował, gdybym poniósł porażkę, a potem musiał żyć we własnym domu? Ukłąłem, by pomóc mu pozbierać kamyki.

– Przepraszam – powiedziałem.

– Za co? – Wilga zamarł.

– Wiem, co to znaczy mierzyć się z ciężarem oczekiwań – odparłem. – Mój ojciec był jedynie

kupcem, ale wydał większość swojej niewielkiej fortuny na mojego nauczyciela. A do tego pojawiły się... inne naciski. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak ty dostajesz w kość.

Wilga opadł na krzesło i zaczął rozdzielać kamyki między kubkami.

– Nie wiem, czy umiałbyś to sobie naprawdę wyobrazić. Jestem pierwszym najstarszym synem od dziesięciu pokoleń, który zawałił ten egzamin. Nazwiska tamtych opatrzone są w rodzinnej kronice wpisem: uzyskał rangę taką a siaką podczas pierwszego podejścia do egzaminu. Nie każdy z nich został Dłonią czy Głosem, ale mój ojciec, dziadek i pradziadek doznali tego zaszczytu. A ja będę byle kupczykiem, zaledwie przypisem na drzewie genealogicznym mojego brata, podczas gdy powinienem zostać generałem!

– Nie, wcale nie! – zapewniłem. – Przecież podejdziesz po raz drugi!

Wilga wrzucił ostatni kamyk do kubka.

– Taki jest plan. Będę próbował co trzy lata, aż zdam albo umrę, choć wydaje mi się, że prędzej skończy się tym drugim. Zwłaszcza bez nauczyciela.

– Ja go zastąpię – powiedziałem.

Napięcie między nami, które słabło, w miarę jak zbieraliśmy kamyki i rozmawialiśmy o ojcach, nagle powróciło. Wilga przyjrzał mi się uważnie, jakby doszukiwał się oznak drwiny czy podstęp.

– Powiedzmy, że w ten sposób chcę doprowadzić do równowagi między nami – dodałem. – Ty nauczysz mnie jeździć, a ja pomogę ci w nauce. Wyrównamy rachunki.

Nagle odniosłem wrażenie, że w zasadzie nie wiedziałem wiele o równości. Wszystkie znane mi układy z ludźmi były w jakiś sposób ograniczone rangą i wymuszonymi tradycją zależnościami między mężem i żoną, ojcem i synem, starszym i młodszym bratem.

Czyżby Wilga również poszukiwał wytchnienia od reguł i norm w zwykłej, swobodnej przyjaźni? Być może, ale o wiele ważniejsze – i bardziej niepokojące – było to, czy dostrzegał we mnie potencjał na przyjaciela.

– Nie chcę marnować twojego czasu – wymamrotał.

– Chcę ci pomóc – powiedziałem stanowczo i choć zaraz zapragnąłem zdusić kolejną myśl, zdobyłem się na to, by ją wygłosić. – I nie będzie to wcale żadna strata. Coś mi mówi, że to z tego powodu Dłoń Przewodnik chciał, żebyś zaczął mnie uczyć konnej jazdy.

– Żebyś stał się moim nauczycielem?

– Żebyśmy zostali przyjaciółmi.

Wilga wydawał się zakłopotany, ale na jego twarz powoli wypłynął uśmiech.

– Nie mam bladego pojęcia, co ten człowiek sobie myśli.

– Ja w zasadzie też. Ale nie będziemy dziś rozgryzać tajemnic umysłu Dłoni – stwierdziłem i podałem mu kubek z kamykami. – Zostało nam jeszcze coś w butelce, a ja zaczynam powoli łapać zasady tej gry.

Kanon magii

Kilka tygodni później Dłoń Przewodnik bez zapowiedzi przybył, by przyglądać się mojej lekcji jazdy. Zajęcia dobiegały końca i chciałem już wyciszyć Pszenicę. Skłoniłem go więc, żeby obiegł powolnym truchtem zagrodę, ale stary wałach miał jeszcze w sobie mnóstwo energii, więc skorzystałem z okazji do pokazania Dłoni Przewodnikowi, czego się nauczyłem.

Zachęciłem kuca do galopu, a gdy był już rozpędzony, uniosłem się w strzemionach. Pszenica polubił galop, który i dla mnie stał się czymś naturalnym. Bez trudu wychwytywałem rytm jego pracujących mięśni i uderzających w ziemię kopyt. Zatoczyliśmy dwa kręgi, po czym wyhamowałem go do klusa i zatrzymałem przy Dłoni i Wildze.

– Widzi pan? – spytał Wilga. – Nie przesadzałem! Jeździ, jakby się urodził na koniu!

Dłoń Przewodnik pogładził kark Pszenicy.

– Dobra robota, Wilgo – rzekł. – Dziękuję ci. Jeśli to dla ciebie nie problem, czy mógłbyś zabrać Pszenicę do stajni? Ja również chciałbym pokazać coś Olsze.

Wilga złapał kuca za wodze i uśmiechnął się do mnie szeroko.

– Wreszcie zmusiłem Olchę, żeby brał się za szczotkowanie i rozsiodływanie kucyka, ale myślę, że jeden dzień bez tych obowiązków raczej go nie zaboli.

Wywróciłem oczami, ale również się do niego uśmiechnąłem. W głębi serca czułem uniesienie na myśl, że zdałem test Dłoni Przewodnika. Gdy patrzyłem, jak Wilga odprowadza kuca, postanowiłem w myślach, że kupię mu butelkę porządneho ryżowego wina, takiego, jakie by nam smakowało, a nie zmuszało do sięgnięcia po grę. Musiałem mu jakoś podziękować za pomoc, która wiele go kosztowała.

Trudno mi było zamaskować ekscytację. Nadal studiowałem ekonomię, historię i politykę, ale Dłoń Przewodnik od początku dawał mi dużo swobody. Wybierał lektury i czasami angażował mnie w dyskusje na ich temat, ale nigdy nie wciągał w długą dialektykę, jak czynił to Koro Ha, ani też nie zadawał mi prac pisemnych. Teraz, zamiast wręczyć mi książkę, przedstawiał zadanie osobiście, co oznaczało, że wreszcie zaczniesz uczyć mnie magii. A przynajmniej taką miałem nadzieję.

Brukowana ścieżka wiła się to w jedną, to w drugą stronę niczym meandrujący górski potok, wiodąc dookoła sztucznego jeziora niedaleko domu dla gości. Wąski pomost prowadził do niewielkiego pawilonu znajdującego się na wodzie za wielką, porowatą skałą na środku jeziora, całkiem go maskującą. W klatkach zawieszonych pod okapem podskakiwały barwne ptaki śpiewające.

– Dogadujesz się z Wilgą – rzekł Dłoń. – To dobrze.

Nie skomentował ani słowem jazdy konnej, co potwierdziło moje domysły odnośnie do prawdziwego celu tej lekcji. Ciekawiło mnie, czy wszyscy adepci uczestniczą w tak nieoczywistych zajęciach, czy też tylko ci, którzy uczyli się pod okiem Dłoni Przewodnika.

– Wiem, że maczałeś palce w magii – powiedział, przyglądając się jastrzębiowi, który uwił sobie gniazdo w którymś z drzew. – Nocą wyczułem poruszenie twojej mocy. Nic z nią nie robisz, co jest mądrym wyborem, ale nie możesz się oprzeć pokusie.

Jego wyniosła poza sprawiała, że było go dwakroć trudniej rozszyfrować niż dotychczas, ale natychmiast nabrałem przekonania, że te słowa są kolejnym testem.

– Czy nie jest mądrze obejrzeć konia i uprząż, zanim się go dosiadzie? – zapytałem.

Dłoń Przewodnik obdarzył mnie ledwie zauważalnym uśmiechem.

– To zabrzmiało niemal jak cytat jakiegoś mędrca.

– A czy byłoby lepiej, gdybym kulił się ze strachu na samą myśl o magii? – naciskałem.

– Nie byłoby lepiej – odparł nauczyciel po chwili. – Choć może bezpieczniej. Zostałeś jednak wybrany, żeby władać mocą, i musisz się do niej przyzwyczaić.

Przywołał mnie gestem, więc stanąłem obok niego przy balustradzie. Wiatr znad jeziora poruszył

jego szatami i kosmykami brody. Wyczułem zapach przypalonego cynamonu, a po plecach spłynął mi dreszcz. Mistrz otworzył prawą dłoń i skierował ją ku niebu. Moc tetragramu pchnęła falę, która pomknęła po powierzchni jeziora. Srebrne linie na dłoni nauczyciela stanęły w płomieniach, a te zbiły się w kulę przypominającą opalizujące szkło.

Wreszcie miało się spełnić marzenie mojego dzieciństwa. Miałem nauczyć się władać mocą i ją rozumieć. Mogłem już zapomnieć o zalanych blaskiem księżyca ruinach dawnej świątyni i o naukach pod okiem wyjętej spod prawa wiedźmy. Moim nauczycielem był teraz Dłoń cesarza, a pracować mieliśmy tu, w ogrodzie gubernatora. Przeszyło mnie podekscytowanie, a w głowie zakręciło mi się od magii. Złapałem za balustradę, żeby nie upaść.

– Oto magia w najczystszej postaci – oznajmił Dłoń Przewodnik. – Sam potencjał. Nici, z których starożytni bogowie utkali świat, jeśli wierzyć mitom i legendom. Te same opowieści mówią o bohaterach i tyranach, którzy oddawali tym bogom cześć, a ci w zamian obdarzali ich drobnymi cząstkami swoich mocy, przez co świat pogrążył się w chaosie, powstrzymanym, dopiero gdy powstało imperium. – Zacisnął pięść. Kula znikła, a wraz z nią uniesienie, bystrość umysłu i ostrość zmysłów. – Sięgnij po tę moc – rzekł. – Wiem, że to potrafisz.

Zacisnąłem prawą dłoń na balustradzie i raz jeszcze przypomniałem sobie, że to wcale nie jest nic zakazanego. Dłoń Przewodnik naprawdę chciał podzielić się ze mną tym, czego zawsze pożądałem.

Wyciągnąłem lewą dłoń nad wodę i sięgnąłem po moc, która zawsze kotłowała się pod tymi migotliwymi liniami. Pieśni ptaków stały się delikatne jak kryształ, a ich pióra lśniły niczym gwiazdy. Wcześniej dotykałem mocy jedynie w nocnym mroku, zamknięty w starożytnej świątyni albo w swoim pokoju, a nawet wówczas moc sprawiała, że stawałem się wyczulony na każdy szczegół rzeczywistości. Każdy aspekt piękna i brzydoty zostawał wzmocniony tysiącokrotnie. Teraz gdy padały na mnie promienie południowego słońca, cały świat wydawał się załamywać jak w gigantycznej soczewce.

– Pamiętaj o oddychaniu, Olcho – poradził mi Dłoń Przewodnik.

Wciągnąłem powietrze, natychmiast napełniając płuca, ale nadal nie mogłem się zmusić do niczego głośniejszego od szeptu:

– I co teraz?

– Wyczuwasz kanały? – zapytał Dłoń Przewodnik.

Pokiwałem głową. Otaczały mnie ze wszystkich stron. Były wzorami odcisniętymi w mojej magii przez jakąś zewnętrzną potęgę, kamiennymi kanałami, dzięki którym cesarz udomowił i okiełznał moc kształtującą świat. Wiły się i zakręcały we wszystkie strony, a ja tkwiłem w samym środku tego labiryntu.

Energia falowała i kipiała wokół mnie tak jak wcześniej w Świątyni Płomienia. Teraz jednak niezliczone możliwości zostały ograniczone przez nieprzeniknione mury kanonu. Labirynt więził moją wolę i wytyczał kres potencjałowi.

– Wkrocz do pierwszego kanału – rzekł Dłoń Przewodnik.

Zdumienie ustąpiło miejsca rozumieniu. Kanały łączyły się ze sobą niczym drogi wodne ze śluzami, a ja, jakbym odrzucał jedną myśl i przywoływał drugą, wniknąłem w pierwszy kanał. Mój tetragram zajaśniał, a potem zaczął migotać.

– Oto magia transmisji, pierwsza moc kanonu – powiedział Dłoń Przewodnik. – Za jej pomocą cesarz stworzył resztę kanonu, łapiąc i gromadząc moce, którymi bogowie obdzielali śmiertelników, żeby ci toczyli niekończące się wojny. Oto prawdziwy cel powolnego podboju świata prowadzonego przez Sien: cesarz chce uczynić te moce podporządkowanymi woli śmiertelników, a w ten sposób uwolnić ludzi od tyranii bogów.

Z mojego tetragramu płynęła prosto na świat czarodziejska moc, tworząc na dłoni opalizującą kulę. Czuję jej wagę, jakby była wciągnięty w płuca oddechem lub pełnym wahania momentem przed podjęciem ważnej decyzji.

– Dzięki transmisji cała moc trafia do nas, wysyłana przez cesarza do jego Głosów, a od nich do jego Dłoni – wyjaśnił nauczyciel.

– A jak się jej używa? – zapytałem.

– Opuść ten kanał i wejdź do mojego – odparł Dłoń Przewodnik.

Spełniłem jego polecenie i poczułem ulgę, gdy magia ze mnie wyciekła. Miałem wrażenie, że moc – a przynajmniej ów pierwszy rodzaj – była brzemieniem, które należało dźwigać, a nie nieskrępowaną radością i cudem, jak zapamiętałem sobie z pierwszego, nieudanego eksperymentu.

– Nie można władać mocą transmisji – ciągnął nauczyciel. – Jedyne cesarz jest w stanie ją kontrolować, bo w przeciwnym razie każdy z nas czy każdy z Głosów mógłby uformować własny, konkurencyjny kanon. Może istnieć tylko jeden. Jeden kanon i jeden cesarz, bo tylko w ten sposób można powstrzymać chaos. Niemniej reszta kanonu jest do naszej dyspozycji.

Rozumiałem już labirynt kanałów, a więc mogłem podążyć za wolą Dłoni Przewodnika, gdy sam sięgał po moc. Opuścił pierwszy kanał i wcisnął się w drugi. A gdy zalało mnie nowe wrażenie, otworzyłem szeroko usta. Czułem nieco inny zapach cynamonu, ciepło opromienionej słońcem skóry, chłód wiatru w płucach.

Z tetragramu Dłoni strzeliła błyskawica. Z miejsca, w którym trafiła w taflę wody, buchnęła para. Dłoń Przewodnik zacisnęła pięść.

– Kiedyś girzańscy władcy jeźdźców wyli do wieloskrzydłych bogów burzy swoje modły i ciskali świętymi błyskawicami we wrogów – mówił. – To magia, którą zwiemy bitewną, jedna z sześciu, oprócz transmisji, które tworzą kanon.

Łatwo było go naśladować i wejść z pierwszego kanału w drugi. Rozcapierzyłem palce, a wtedy wpłynęła we mnie magia bitewna.

Istniało wiele rodzajów sztyletów z błyskawicy czy ostrzy z opalizującego światła, którymi ciskał Dłoń Przewodnik, ale ograniczenia kanonu były jasne i czytelne. Czar został już uformowany i Dłoń musiał jedynie nadać mu odpowiedni kierunek.

Ekscytacja, która kipiała w moich żyłach, nagle mnie opuściła. Czułem pustkę i ociężałość, a w moim gardle pojawiła się włochata kula. Oczy wezbrały mi łzami, jakbym był dzieckiem, które skaleczyło się w kolano. Dłoń Przewodnik opowiadała o rzekach, stadach, wiecznych błyskawicach i grupach gwiazd, ale wszystko to były jedynie metafory. Zrobiłem, co w mojej mocy, by stać prosto i udawać, że słucham, a jednocześnie powstrzymywałem wybuch wściekłego gniewu albo bezsilnego płaczu. Nie było nic, czego mógłbym się od tego człowieka nauczyć. Nie widziałem niczego prawdziwego, niczego, co miałyby odpowiednią wagę i znaczenie, niczego, co czułem, gdy dotknąłem magii w czystszej formie, niewięzionej kanonem, wolnej nawet od ograniczeń czarnoksięstwa.

Tyle czasu upłynęło od owej straszliwej nocy na zarośniętej ścieżce, a nie zrobiłem żadnych postępów. Wiedziałem wszystko, co Dłoń Przewodnik opowiedział mi podczas tego pierwszego wykładu. Wiedziałem, że każda istota, każdy kamień oraz każda kropla wody jest jedynie obrazem przedstawiającym pojedynczy moment w wiecznej wymianie energii składającej się na wzór świata. Ten właśnie wzór, tę strukturę czułem, gdy klęczałem w Świątyni Płomienia i próbowałem odtworzyć moc mojej babci. Magia we wszystkich formach łamała naturalne struktury i narzucała im własne.

My, Dłonie cesarza, nie przekształcaliśmy struktury wedle własnego uznania. Mogliśmy jedynie zdecydować, gdzie i kiedy narzucić światu wolę cesarza przekazywaną przez jego kanon.

Zacisnąłem pięść z taką siłą, że czułem, jak paznokcie przebijają skórę. Wbiłem własną frustrację w mięso dłoni. Pragnąłem pojąć magię i nauczyć się jej. Chciałem poznać samą strukturę i dotrzeć do zagadkowej, cudownej i przerażającej mocy, której dotknąłem tamtej nocy w świątyni. Chciałem osiągnąć mistrzostwo, ale kanon, stworzony właśnie w tym celu, stał mi na drodze. Czy uwolniłbym się z tych ograniczeń, gdybym zniszczył symbol cesarza na lewej dłoni? Czy mógłbym wówczas zacząć się uczyć głębszej, rozleglejszej magii, która obiecywała trzecią ścieżkę i kreowanie własnej przyszłości?

Z pięści wyciekła kropla krwi. Rozluźniłem palce. Nie było sposobu, by wrócić do przeszłości. Nie było szansy, bym ruszył w góry i odnalazł wujka oraz babcię. Nie, musiałem zacisnąć zęby, uczyć się i mieć nadzieję, że dotrę do większych prawd przez mgłę nauk Dłoni Przewodnika.



Następnego dnia powróciliśmy do pawilonu na jeziorze. Dłoń Przewodnik przyniósł kosz z kamieniami rozmaitych kształtów.

– Oto struktura świata – wskazał niezmaconą powierzchnię jeziora. – Spokojna i kształtująca się wedle własnych prawideł.

Wziął kamień i cisnął nim w wodę, a potem wskazał na rozchodzące się fale, docierające do sitowia przy brzegu.

– Kamień był zaklęciem – powiedział. – Widziałeś, jak wzburzył wodę. Fale nie były wszak kamieniem, a jedynie dowodem na to, że wpadł do wody. Jesteś trzcina. Widzisz, jak poruszają nimi fale?

Wrzucał do wody kolejne kamienie, różnych rozmiarów i kształtów. Celował w inne części jeziora i kazał mi obserwować różnice między falami, miejsca, w których się zbiegały, i ruchy trąconych trzcin.

– Każdy czar pozostawia po sobie inny ślad – mówił. – Twój tetragram, który daje dostęp do kanonu, obdarza cię również umiejętnością wyczuwania tych śladów. Gdy osiągniesz mistrzostwo w ich odczytywaniu, będziesz wiedział, jaką mocą włada wróg i jak odpowiednio zareagować na jego posunięcia, jeszcze zanim ciśnie swój czar. Odczytując, skąd padł czar, możesz odkryć, kto go rzucił.

– O ile kamień upadnie należycie blisko – zauważyłem i rzuciłem małym kamykiem, który upadł przy przeciwnym brzegu jeziora. Fale uspokoiły się, na długo zanim dotarły do trzcin.

A więc to wraz z magią transmisji musiało dać początek plotkom, którymi groził mi Czysta Rzeka. Cesarz nie mógł zajrzeć do umysłów swoich Dłoni, gdyż łączyła go więź jedynie z Głosami, ale przekazywał nam kanon magii. Być może więc zawsze czuł, gdy ktoś z niego korzystał, bez względu na odległość.

Spytałem o to Dłoń Przewodnika, a ten w odpowiedzi uniósł kamień i wręczył mi go.

– Jesteś dłonią, on jest umysłem, a Głosy są mięśniami, które was spajają – rzekł. – Gdybym uznał, że nie rzucę tym kamieniem, ale ci go wręcę, czy moja dłoń mogłaby mi się sprzeciwić?

Wbiłem w niego wzrok, zastanawiając się, czy kiedykolwiek udzieli jasnej odpowiedzi na jakiegokolwiek pytanie.

– Gdyby tak się stało, powinienes wezwać lekarza – odparłem.

– Ha! Ale przecież cesarstwo jest zdrowe, a magia to życiodajna krew! Zajmijmy się więc praktycznymi umiejętnościami. – Podał mi kamień, a potem odwrócił się i ruszył w stronę serca ogrodu.

– Zostań tu, aż poczujesz efekt rzuconego przeze mnie czaru.

– I co mam wtedy zrobić?

Uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie.

– Znajdź mnie.

Pół godziny później poczułem chłód w płucach i ciepło na skórze, co zwiastowało użycie magii bitewnej. Dłoń Przewodnika znalazłem jednak dopiero długo po zapadnięciu zmroku. Siedział w schowku dla służby i czytał książkę przy świecy. Między jego palcami przeskakiwała błyskawica. Z początku mogłem opierać się tylko na tym, że oznaki towarzyszące rzuceniu czaru przybierały na sile, gdy się zbliżałem, i słabły, gdy się oddalałem. Ale gdy nazajutrz powtarzaliśmy to ćwiczenie, nauczyłem się wychwytywać fale przenikające strukturę świata, jakby były mapą. Bywało, że budziłem się rano, czując ciepło na skórze i zimno w płucach, a Dłoń Przewodnik już chował się gdzieś w posiadłości, a później i w mieście. W miarę jak się oddalał, zawsze sięgał po mocniejsze czary, a potem czekał, żebym go znalazł.

W końcu, po sześciu miesiącach podobnych ćwiczeń, wyszedłem za mury miejskie, podążając śladami pozostawionymi przez jego czar. O zmierzchu zastałem go na opuszczonym polu, choć w pierwszej chwili miałem wrażenie, że to płonąca gwiazdka, która spadła z drzewa. Z jego piersi, pleców i ramion strzelały łuki błyskawic, które ryły głębokie bruzdy w ziemi i pozostawiały grudy parującego szkła. Zbliżyłem się na tyle, na ile wystarczyło mi odwagi. Ciało pulsowało gorącem, a moje płuca zamieniły się w dwie grudy lodu. Był to jednocześnie najpiękniejszy, jak i najbardziej przerażający spektakl, jaki widziałem od chwili, gdy moja babcia przeobraziła się w jastrzębia.

Dłoń Przewodnik zobaczył mnie i rozproszył czar. Ostatnia błyskawica zasyczała i znikła, a ja przestałem odczuwać ślady pozostawione przez jego magię, przez co poczułem zarówno groźbę, jak i przyływ otuchy. Kanon magii nie dawał mi wiedzy i możliwości pozwalających na swobodne

korzystanie z mocy, ale nie mogłem już kwestionować potęgi, którą miałem władać jako Dłoń. Ta sama moc miała zresztą zostać skierowana przeciwko mnie, gdyby odkryto tajne znaki wyryte na mojej prawej dłoni.

– Nieźle – rzekł Dłoń Przewodnik i przeszedł obok mnie, kierując się ku Wschodniej Fortecy. – Tropisz równie dobrze jak ogar myśliwski. Jesteś gotów na kolejną lekcję.



Im lepiej zapoznawałem się z kanonem magii, tym częściej roztrząsałem istotę czarnoksięstwa oraz głębszej mocy, której doświadczyłem tamtej pierwszej nocy, gdy magia zdawała się wypełniać cały świat wokół i tylko czekała na moją wolę. Jeszcze zanim babcia naznaczyła mnie wiedźmimi znakami. Coraz większa świadomość ograniczeń narzucanych przez kanon pozwoliła mi zobaczyć babcie w nowym świetle. Jej znaki ograniczyły moją moc, to prawda, ale nie tak surowo jak kanon. Wyglądało na to, że nikt na całym świecie – być może z wyjątkiem samego cesarza – nie władał magią bez jakichś ograniczeń narzucanych przez pradawny pakt czy prawo imperium.

Byłem coraz bardziej skłonny wybaczyć babci owe wiedźmie znaki – o zniknięcie dalej miałem do niej pretensje – i marzyłem o okazji do zgłębienia czarnoksięstwa uprawianego przez jej lud. Chciałem zanurzyć się w nim i dotrzeć do jego granic, tak jak przetrząsałem kanon w poszukiwaniu jakichkolwiek skrawków wolności. Nie mogłem sobie jednak pozwolić na eksperymenty. Dłoń Przewodnik mieszkał przecież w sąsiednim pokoju, na tyle blisko, by wyczuć ślad wyczarowanego płomyka świecy.

Zbliżała się już jesień, gdy Dłoń Przewodnik zaczął uczyć mnie kolejnego rodzaju magii w kanonie. Znów stanęliśmy na skraju jeziora, niedaleko lotosów, które zgubiły już swoje płatki. Mój nauczyciel trzymał ptaka poturbowanego przez włóczące się po posiadłości koty. Błękit jego skrzydeł odcinał się od bieli jedwabiu, którym został owinięty. Leżał nieruchomo, odurzony kroplą oleju makowego, ale oddychał szybko, z przestraczem.

– Gdybyśmy go zostawili samemu sobie, biedaczek umarłby z pewnością – rzekł Dłoń Przewodnik. – Stracił zbyt wiele krwi, a jego ciało nie jest w stanie odzyskać sił na tyle szybko, żeby przeżył. Ale dzięki magii leczenia możemy przyspieszyć ten proces i uratować mu życie.

Rozpostarł dłoń nad ptakiem i wkroczył do trzeciego kanału. Z jego tetragramu buchnęły takie same szkliste płomienie, ale tym razem ślad, który przeszył świat, był o wiele łagodniejszy od magii bitewnej. Była to fala spokoju, która sprawiła, że kolory złagodniały, a dźwięki przycichły. Wrażenie przypominało pierwszy łyk herbaty w chłodny zimowy poranek.

Rana ptaka zasklepiła się, a jego oddech się uspokoił. Bliznę zasłoniły nowe pióra. Dłoń Przewodnik umieścił go w klatce zwisającej pod okapem pawilonu, gdzie czekał nań spodeczek z ziarnami prosa i słonecznika. Ptak przyskoczył do jedzenia i zaczął je pracowicie dziobać, zupełnie jakby jeszcze przed chwilą nie znajdował się na skraju śmierci.

– Magia jedynie uzupełni zdolności uzdrowicielskie kryjące się w jego ciele – wyjaśnił Dłoń Przewodnik. – Jeśli ciało okaże się zbyt słabe, jak to bywa w przypadku osobników starych bądź bardzo chorych, magia uzdrowicielska może doprowadzić do śmierci. Temu małemu rana już nie zagraża, ale musi jeść, żeby odzyskać siły. W przeciwnym razie umrze z głodu.

Naraz ujrzałem zwiastun odpowiedzi na jedno z moich najstarszych pytań. Zawsze intrygowało mnie, jak babcia odwróciła skutki mojego największego błędu. Ja też leżałem słaby, bezsilny, na skraju śmierci. Jedynie lekarstwa doktora Sho pomogły mi stanąć na nogi. Na widok ptaka odzyskującego zdrowie ciekawość pokonała moją samokontrolę.

– Nie chcę cię urazić, Dłoni Przewodniku, ale... – Zawahałem się. – Ta magia wydaje się graniczyć z cudem. Łatwo było zrozumieć magię bitewną, ale to? Jakie tu są ograniczenia? Gdybyśmy obcięli temu ptaszкови nogę, czy dzięki magii zdołałaby odrosnąć? A może udałoby się przeszczepić mu nową? Czy można oszukać ciało i wyhodować sobie drugą parę nóg czy skrzydeł?

Czułem na sobie badawcze spojrzenie Dłoni Przewodnika i wiedziałem, że przesadziłem.

– O wiele lepszym pytaniem, które zdradziłoby współczucie i troskę o innych, byłoby, dlaczego

Dłonie nie poświęcają całego życia na wędrówkę po kraju, żeby leczyć rany i uzdrawiać chorych – napomniał mnie. – Odpowiedź jednak zabrzmiałaby identycznie. Cesarz ma zadania dla nas wszystkich, tak jak ma cele dla magii uzdrowicielskiej. Być może barbarzyńscy bogowie i ich wyznawcy potrafili robić to, co opisałeś, ale cesarz nie życzy sobie takich wynaturzeń, a jego wola wytycza dla magii ograniczenia.

W takim razie co z moją lekcją jazdy konnej? Co z moją przyjaźnią z Wilgą? Czyż nie miałem się nauczyć, że czasami należy poluzować wodze? Raz na jakiś czas zerwać z zasadami? Być może Dłoń Przewodnik pokazał mi, że czasem można rozciągać granice tylko po to, żeby sprawdzić, czy będę chciał je przekraczać? Czy nawet i w tej chwili zawałałem najważniejszy ze wszystkich testów?

– Poszukuję wiedzy tylko po to, żeby móc stać się lepszym sługą cesarza – rzekłem.

– Twoja ciekawość jest zaletą, Olcho, ale gdy słyszysz odpowiedź na swoje pytanie, musisz ją zaakceptować – odparł Dłoń Przewodnik. – Niech to będzie twoja lekcja na dziś. Gdy się z nią pogodzisz, możemy powrócić do rzucania czarów.

Nie byłem w stanie opanować frustracji, która powodowała napięcia mięśni barków i pleców oraz ucisk w żołądku. Tęskniłem za babcią i za Koro Ha, za nauczycielem, który mówił mi dokładnie to, co miał na myśli, i nie rozpoczął naszej znajomości od groźby.

Gdy nadszedł zmierzch, odnalazłem Wilgę. Często jadaliliśmy razem między jedną partyjką kamyków a drugą lub podczas pracy nad sienneńską klasyką. Tej nocy nie miałem ochoty na grę czy naukę, ale gdybym zaczął się dąsać w pokoju, poczułbym się później jeszcze gorzej.

– O, Olcha! – powitał mnie Wilga. – Przychodzisz we właściwym momencie. Właśnie skończyłem esej i miałbym parę...

– Zrobimy to jutro, obiecuję ci – powiedziałem.

Jego pokój przeszedł gruntowną przemianę, by móc pomieścić naszą przyjaźń. Łóżko zostało przesunięte pod jedną ze ścian, żeby dało się tu wstawić dwa krzesła i stół. Mieliliśmy więc miejsce na grę w kamyki czy osuszenie butelki w naszych dwóch niepasujących do siebie czarkach.

Napełniłem własną. Wilga odłożył pędzelek i usiadł przy mnie. Podałem mu miskę z czarnymi kamykami i wykonałem pierwszy ruch. Zgrzyt przesuwanego na planszy kamyka zadziałał mi na nerwy.

– Wyglądasz, jakby szerszeń wleciał ci do rękawa – stwierdził Wilga.

– Twój ruch – powiedziałem surowiej, niż zamierzałem.

Wilga uniósł ręce, jakbym zagroził, że zaraz go uderzę.

– Jeśli to nie moja sprawa, w porządku, pogodzę się z tym, ale nigdy dotąd nie widziałem cię równie wzburzonego.

Jak ja mogłem mu cokolwiek wyjaśnić? Wiedział coś niecoś o moim wypaczonym, wypełnionym surową nauką dzieciństwie, w którym nie było miejsca na grę w kamyki, ale jak dotąd nie powiedziałem mu nic o magii czy lekcjach babci.

Wilga umieścił na planszy swój kamyk.

– O co chodzi, Olcho? Uczysz się magii, prawda? A może Dłoń Przewodnik postawił jakąś absurdalną przeszkodę na twojej drodze?

Ułożyłem własny kamyk, wpatrując się ponuro w planszę. Ile mogłem mu powiedzieć? Wiedziałem o frustracjach, jakie budził w nim własny ojciec, egzaminy oraz struktury społeczeństwa sienneńskiego. Czy mógł więc usłyszeć o moich? Czy zdołałby przejrzeć mnie na tyle, żeby odkryć to, co zaszczepiła we mnie babcia?

– Zawołam, niech przyniosą nam coś do jedzenia – powiedział i wstał.

Ja natomiast uświadomiłem sobie, że muszę opowiedzieć mu o wszystkim. Musiałem zostać szczerze wysłuchany i zrozumiany przez drugą osobę. Musiałem poczuć się trochę mniej samotny w świecie, w którym zostałem odizolowany granicami mojego dwutorowego wychowania. Komu mógłbym powierzyć takie myśli, jeśli nie Wildze?

– Zaczynam myśleć, że ekscentryczne techniki nauczania Dłoni Przewodnika nie są do końca zamierzone – oznajmiłem.

Wilga rozmościł się na krześle, nagle zapominając o jedzeniu.

– Założyliśmy się z Lotką, kiedy wreszcie będziesz miał go dosyć – rzekł. – Wygrałem, rzecz

jasna. Lotka twierdził, że pęknieś miesiąc temu.

– Myślałem, że będzie chciał, żebym sam doszedł do prawidłowych wniosków, zamiast podawać mi je na tacy – powiedziałem. – Teraz wydaje mi się, że po prostu powtarza te same mętne bzdury po własnym nauczycielu. Co więcej, wcale nie chodzi tu o jego niechęć do omawiania istotnych kwestii czy też o ignorancję. Mam wrażenie, że jego kompletnie nie interesują moje odpowiedzi.

Opisałem Wildze lekcję magii uzdrowicielskiej i to, jak Dłoń Przewodnik zbył moje pytania, choć pomiąłem milczeniem wspomnienia rozbudzone przez lekcję. Wilga był moim przyjacielem, ale też Sieneńczykiem, a do tego synem Głosu. Nie liczyłem na to, że zrozumie albo wybaczy mi moje sekrety.

– Może magia nie jest zdolna dokonać tych rzeczy, które opisałeś – rzekł Wilga. – Może to jedyne wyjaśnienie.

– A niby czemu nie miałyby być zdolna? – spytałem. – Nic, co powiedziałem, nie wydaje się odbiegać od tego, co mi pokazał, tylko inaczej się to stosuje.

– Albo jest to możliwe, tylko cesarz nie podzielił się z tobą takimi mocami.

– Dlaczego miałyby tego nie zrobić? – spytałem. Byłem rozczarowany tym, że Wilga nie rozumie, skąd bierze się moja frustracja.

– Równie dobrze mógłbyś spytać, dlaczego istnieje cesarska doktryna – rzekł Wilga. – Albo dlaczego w skład egzaminu wchodzi literatura klasyczna, a nie mityczne romanse, które są o wiele ciekawsze, a sensu kryje się w nich niewiele mniej.

– Egzamin nie mogą sprawdzić wszystkiego – powiedziałem. – W przeciwnym razie całe życie zesłoby ci na nauce.

– Ale magia wygląda podobnie, prawda? – spytał Wilga. – Musisz się nauczyć, jak z niej korzystać, zanim zaczniesz służyć cesarzowi jako Dłoń. Magia, podobnie jak wszystko w Sienie, jest uporządkowana i wyselekcjonowana. Rzeczy najlepsze i najbardziej użyteczne dla cesarstwa są wyniesione ponad rzeczy takie jak opowieści przygodowe albo wyrastanie dodatkowej pary skrzydeł u ptaków czy coś tam.

Miałem wielką ochotę roztrząsnąć ten temat, wykorzystując życie Wilgi jako przykład. Przecież wypadł poza ten uporządkowany system, gdy zawałił egzamin. Czy to oznaczało, że nie był cesarstwu do niczego potrzebny? Ugryzłem się jednak w język. Nie musiałem przecież go ranić, żeby udowodnić swoją rację.

– To coś większego od książek – odpowiedziałem zamiast tego. – Chodzi mi o moc, która mogłaby zmienić kształt świata. Dlaczego imperium miałoby zrezygnować z korzyści, którą mogłaby przynieść mu magia?

Wilga przyjrzał mi się uważnie. Ułożył kamyk i rozparł się w krzesło.

– Może są takie części świata, których imperium nie chce przekształcać – powiedział. – A może chce, ale to nie będzie twoje zadanie.

Jego słowa przypomniały mi historię o ambitnym kocie oraz pierwszą i najważniejszą lekcję Dłoni Przewodnika: jeśli chciałem przetrwać na służbie imperium, musiałem wiedzieć, kim jestem.

A kim byłem? Dłonią cesarza. Sługą jego woli. Człowiekiem, który nie miał prawa do żadnej wiedzy czy mocy poza tą, którą cesarz uznał za stosowne mu powierzyć.

Następnego dnia, po tym jak ukoilem kaca kaszką z prosa, czarną herbatą i smażonymi ciastkami, dołączyłem do Dłoni Przewodnika w pawilonie za porowatym kamieniem. Między klatkami z ptakami kłębiła się mgła, która przechwytywała promienie słońca, przez co pawilon zdawał się nasycony złocistym światłem. Dłoń Przewodnik spojrział na mnie znad czytanej książki. Nie usiadłem obok niego, ale uklęknałem na drewnianej podłodze.

– Jesteś gotów się uczyć, Dłoni Olcho? – spytał.

– Zachowałem się jak głupiec – odparłem. – Czy są w cesarstwie ludzie, którzy mają prawo wiedzieć to, o co pytałem?

Przez twarz mego mentora znów przemknął ledwie zauważalny uśmiech.

– Oczywiście sam cesarz, a także jego Głosy.

– Tylko oni? – pytałem rozczarowany.

Zostałem Dłonią jako pierwszy mieszkaniec Nayenu. Jakie miałem szanse, by zostać również pierwszym Głosem?

– Jest kilku ludzi w Akademii Cesarskiej – powiedział Dłoń Przewodnik, a we mnie wezbrała nadzieja. – To badacze, którzy analizują magię podbitych prowincji.

– A więc zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby kiedyś do nich dołączyć – rzekłem.

– Ambitny zamysł – odparł Dłoń Przewodnik. – A do tego pasujący do twojego temperamentu. Najpierw jednak musisz opanować sześć typów magii. Wróćmy do lekcji.

W miarę jak słońce wypalało mgły, ćwiczyłem magię uzdrawiania. Naprawiłem rozdarty liść żeń-szenia, a potem wyleczyłem złamaną łapkę pochwyconej myszy i skaleczenie na palcu Dłoni.

Nauka magii uzdrawiania przychodziła mi wolniej niż nauka magii bitewnej. Nie była wcale tak prosta, jak się z początku wydawało. Niektóre obrażenia – skaleczenia, sińce czy drobne pęknięcia kości – można było zaleczyć dzięki bezpośredniemu zastosowaniu magii. Bardziej złożone rany czy dolegliwości wymagały zręczniejszej dłoni i większej znajomości medycyny i anatomii.

Po tym jak trzeci ptaszek pod moją opieką wyzionął ducha, Dłoń Przewodnik przerwał lekcje magii i kazał mi skupić się na studiowaniu nauk przyrodniczych. Miesiąc, a potem rok upłynął mi na tym, co było najłatwiejsze i najwygodniejsze – na pochłanianiu książek. Nie przestawałem uczyć Wilgi, który z tygodnia na tydzień i z miesiąca na miesiąc robił coraz większe postępy, aż nabrałem pewności, że zda kolejny egzamin.

Spędziłem dwa lata w ogrodzie Głosu Złotej Zięby, przyswajając nauki Dłoni Przewodnika i przyjażniąc się z Wilgą. Wspominałem ten czas z sentymentem, ale też z bólem i frustracją. Chwile te jednak dobiegły końca, gdy rebelia tłąca się na północy Nayenu wreszcie eksplodowała z pełną siłą, a gubernator wysłał mnie na wojnę.

Strategia i taktyka

Miałem dziewiętnaście lat i była wiosna, gdy do Wschodniej Fortecy dotarły wieści o powstaniu na północy Nayenu. Miejscowi bandyci zeszli z górskich kryjówek, żeby atakować cesarskie patrole i wtykać swoje flagi w wioskach i miastach u stóp gór. Niedługo po tych wydarzeniach sługa gubernatora przyniósł do mojego pokoju list opatrzony tetragramem Głosu Złotej Zięby. Wypisane staranną kaligrafią znaki głosiły, że mam objąć stanowisko zastępcy dowódcy kompanii, która miała za zadanie zapędzić ośmielonych rebeliantów z powrotem w górskie ostępy lub zlikwidować, jeśli będzie to możliwe. Z rozkazem dostarczono także wezwanie do sali audiencyjnej, gdzie miałem się stawić tego samego dnia po południu.

W głowie mi się zakręciło. Ja miałem zostać oficerem? I to w oddziale walczącym z Nayeńczykami? Przeszyła mnie zgroza na myśl, że być może przyjdzie mi walczyć z oddziałem mojego wujka! Z buntownikami, do których przyłączyła się babcia!

Ale przecież ona opuściła nas siedem lat temu. Być może oboje już dawno odeszli z tego świata.

Tak czy owak, czułem się zupełnie nieprzygotowany do dowodzenia ludźmi. Czytałem „Podstawy sztuki wojennej” oraz „Rozprawę na temat analizy logistycznej”, co było jednym z wymogów egzaminacyjnych, ale nie miałem żadnego doświadczenia wojskowego. Za żalosną namiastkę przeszkolenia mogłem uważać nayeński Żelazny Taniec, którego nie ćwiczyłem od lat, oraz grę w kamyki z Wilgą. Ta przynajmniej zmuszała do strategicznego myślenia i dawała przedsmak taktyki wojennej. Oczywiście przegrywałem cztery partie na pięć.

Nie miało to jednak znaczenia. Bez względu na to, czy byłem przygotowany, czy też nie, otrzymałem rozkazy od Głosu, którego w imperialnej hierarchii przewyższał jedynie cesarz. Mogłem tylko mieć nadzieję, że Głos Złota Zięba wyjaśni mi co nieco, gdy stawie się na wezwanie.

Szedłem przez ogród, ubrany w najlepszy strój i czapkę uczonego, ale żołądek miałem ściśnięty. Czułem się bardzo niepewnie, lecz nie byłem w stanie powiedzieć Głosowi – a więc właściwie cesarzowi – że nie nadaję się do zadania, które mi przydzielili. Pęd myśli pochłoniął mnie na tyle, że idąc ścieżką, o mało nie wpadłem na Wilgę.

– Olcho! – zawołał, łapiąc mnie za ramię, żebym nie upadł. Był pogrążony w myślach, ale spochmurniał, widząc mój rozbiegany wzrok i pot na czole. – I znów dostałeś to, o czym ja marzyłem!

Skrzywił się, odepchnął mnie i ruszył przed siebie z furją.

– Wilgo! – zawołałem, próbując go dogonić. – A więc wiesz o wszystkim. Domyślasz się zapewne, że ja nie chcę tego dowództwa! Nigdy tego nie chciałem. Gdybyśmy mogli zamienić się miejscami, gdybym mógł wysłać cię na wojnę, a sam zostać tutaj, żeby uczyć się do egzaminów, nie zawahałbym się ani chwili i sam dobrze o tym wiesz! Ty nadajesz się lepiej do walki! Przeczytałeś wszystkie ballady o bohaterach, podręczniki taktyki, rozprawy o wszystkich bitwach...

– To bez znaczenia – odparł Wilga, wpatrując się w bruk. – Bo zawałem egzaminy.

– Tym razem będzie inaczej – zapewniłem go. – Kolejny egzamin przypada za rok i w sumie to dobrze, że nie wybierasz się na wojnę. Masz mnóstwo czasu na przygotowania. Ucz się, a...

– Nie jestem tobą, Olcho! – Wilga zatrzymał się niespodziewanie. Zaciskał pięści i oddychał chrapliwie, a w jego oczach połyskiwał gniew. – I mam już dość udawania, że mógłbym stać się tobą, gdybym tylko się przyłożył.

Wiedziałem, że ma jeszcze wiele do powiedzenia, a w jego sercu kłębi się nieskończona złość na świat, który wznosił przeszkody na drodze do tego, o czym marzył, i tego, co powinien był odziedziczyć. Słowa jednakże nigdy nie były jego mocną stroną.

Z bólem serca próbowałem zasypać wyrwę między nami.

– Nie musisz być mną, Wilgo – powiedziałem.

– Muszę! – warknął z furją, jakiej nie słyszałem, nawet zanim nasza rywalizacja przeobraziła się w przyjaźń. – Muszę, żeby zostać kimkolwiek godnym szacunku! Muszę być tobą, z księgami, tuszem i cytatami mędrców!

Usłyszałem w jego słowach echo własnego pragnienia, aby odnaleźć trzecią ścieżkę, pragnienia, które nosiłem w sercu od dziecka. Czy to również nas łączyło? Był to śliski temat do rozmowy, krążący zbyt blisko kwestii mojego wychowania, zdrady i najgłębszych sekretów. Mimo to wydawało mi się, że mogę Wildze zaufać. Był jedynym człowiekiem, z którym mogłem podzielić się swoimi uczuciami, choć ich źródło wolałem zachować w tajemnicy. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu doszedłem do wniosku, że powinienem jakoś go pocieszyć, nawet jeśli ryzykowałem ujawnienie najlepiej ukrytych i najbardziej niebezpiecznych sekretów.

– Nie, nie musisz – powiedziałem. – Masz mnóstwo do zaoferowania nawet bez cesarskiej posady. Twój ojciec wyobraża sobie ciebie jako Dłoń albo drobnego kupca. Widzi w tobie sukces albo porażkę. Ty tymczasem mógłbyś stać się kimś innym, Wilgo. Znajdź inną, trzecią ścieżkę, po której ruszysz przez świat. Znajdź własną drogę. Znajdź coś, z czego wszyscy będziecie dumni. Trzeba będzie wyteńczyć wyobraźnię, to jasne, ale razem możemy...

– Co ty wygadujesz? Jakże razem? – prychnął. – Mówisz, jakbyś sam musiał znaleźć jakąś trzecią ścieżkę, ale dla ciebie ścieżka do sukcesu i prestiżu zawsze była jasna i wyraźna, Olcho. Nie sądzę, żebyś chciał ze mnie drwić, ale brzmi to jak dowcip. Nie odzywaj się już do mnie w ten sposób.

– Nie wiesz o mnie wszystkiego – warknąłem. – Który z nas miał łatwiejsze życie, jak sądzisz? Ten, który przez dziesięć lat zakuwał przez dwanaście godzin dziennie, żeby znaleźć się w tym pałacu, czy ten, który się tu urodził?

Mięśnie na jego szczęce zadrżały, ale Wilga pokonał gniew i odszedł, pozostawiając mnie samego z pustką w sercu. Ten zaskakujący przydział może i był dla mnie okazją do zdobycia sławy oraz zbliżenia się do celu, którym było miejsce w akademii, ale serce bolało mnie na myśl o klinie, który wbił się między Wilgę a mnie.

Mój przyjaciel miał rację. Szansa, że zostanie Dłonią po zawałonym egzaminie, była mizerna jak pasemko jedwabiu. Już samo zadanie było wyzwaniem, choć wierzyłem w to, że mu podoła, ale pierwsza lokata była prawie niemożliwością.

Niemniej nie każdy oficer w armii cesarskiej był Dłonią czy Głosem. Było to zasadą, jeśli chodziło o generałów, ale nawet dowódcą batalionu mógł zostać zwykły człowiek, który nie władał magią. Gdyby więc Wilga zdał i wyróżnił się w walce za młodu, z pewnością mógłby rozpocząć karierę wojskową, o jakiej marzył. Nie była to żadna trzecia ścieżka, ale okrężna droga wiodąca ku ścieżce, której pragnął.

Odwrociłem się w stronę sali audiencyjnej, a w głowie miałem już własne zadanie.



Podczas mojej ostatniej wizyty w sali audiencyjnej Głosu Złotej Zięby pomieszczenie przystrojono na cześć kandydatów, którzy zdali egzaminy. Teraz zamiast długich stołów, krzeseł i świątecznych lampionów widziałem otwartą przestrzeń z lampami olejnymi, tacami z kadzidłem i wielkimi lakierowanymi tablicami przedstawiającymi sceny pełne rodzinnej pobożności z „Rozprawy o układach w rodzinie”. Na pojedynczym tronie z wysokim oparciem zasiadał Głos Złota Zięba, ubrany w czarne jedwabie, ozdobione powtarzającym się wzorem żółtych piór. Na jego głowie znajdowała się czapka z identycznym wzorem, odsłaniająca czoło z widniejącymi na nim srebrnymi kreskami tetragramu. Po jego prawicy stał Dłoń Przewodnik, który pochylił głowę na powitanie.

Uklęknąłem przed Głosem i dotknąłem czołem płytek podłogi.

– Powstań, Dłoni Ochlo – rzekł Głos. – I przyjmij rozkazy.

– Tak uczynię, Wasza Eminencjo – powiedziałem. – Ale wcześniej chciałbym w pokorze zapytać, dlaczego zostałem wybrany do tego zaszczytnego zadania. Zdobyłem biegłość zaledwie w dwóch z sześciu typów magii. Nie mam doświadczenia w dowodzeniu ludźmi, a moja wiedza na temat sztuki wojennej jest w najlepszym razie pobieżna.

– Otrzymałeś ten przydział właśnie dlatego, żebyś mógł uzupełnić dwa ostatnie braki – rzekł gubernator. – Dłoń cesarza ma wiele zadań, ale przede wszystkim stanowi broń. Zazwyczaj nie potrzeba Dłoni, żeby poskromić bandytów, czy też buntowników, jak się sami nazywają, ale meldunki wskazują, że ci mają wiedźmy i czarowników, którzy ciskają barbarzyńskimi czarami.

Gardło ścisnęła mi panika. Barbarzyńskie wiedźmy i czarownicy, jak babcia i wujek. Jeśli to oni dowodzili tym powstaniem, rozpoznają mnie, gdy dostaną się do niewoli. Czy babcia ujawniłaby moją przeszłość, żeby zemścić się za to, że zdradziłem wszystko, czego próbowała mnie nauczyć? Gdyby tak się stało, szybko znalazłbym się w kajdanach, a potem uklęknąłbym obok niej przy pieńku katowskim.

Oczywiście nie mogłem dać po sobie poznać, że bałem się takiej możliwości. Zdusiłem panikę w zarodku i skupiłem się na słowach Złotej Zięby.

– Dłoń Przewodnik zaproponował nam swoje usługi – ciągnął gubernator. – Zażyczył sobie, żebyś towarzyszył mu jako uczeń oraz porucznik.

Uniosłem głowę, spodziewając się, że zobaczę ledwie zauważalny uśmiech, ale Dłoń Przewodnik wpatrywał się we mnie surowo, z rozczarowaniem.

– Mam nadzieję, że twoje wahanie wypływa z autentycznej pokory, a nie z tchórzostwa – powiedział.

– Przypomniała mi się lekcja o ambitnym kocie – odparłem. – Jestem świadom tego, że jako czarodziej będę musiał walczyć i będę też musiał poznać sztukę dowodzenia. Nie jestem jeszcze oficerem, Dłoni Przewodniku, ale chcesz, żebym się nim stał. Tymczasem pod ręką masz człowieka, który jest do tej roli wręcz stworzony.

– Czyżby? – Usta Dłoni Przewodnika drgnęły. – Kogo masz na myśli?

– Panicza Wilgę – odparłem.

Na wargach mojego mentora rozkwitł leciutki uśmiech.

– Ha! – Gubernator trzepnęła rękawami. – Ten głupiec nie zdał egzaminu, a ty sugerujesz, żeby zajął pozycję nad tobą? Nad Dłonią?

– Sztuka wojenna jest jego pasją – oznajmiłem. – Nauczył się na pamięć każdej książki o strategii i każdej rozprawy o taktyce. Jest dwa razy lepszym kandydatem na oficera ode mnie.

– Osobliwe obsesje mojego syna to jego słabość, Dłoni Olcho – odciął się Głos Złota Zięba.

– Nawet jeśli przewyższa cię kwalifikacjami, ty jesteś Dłonią, a on nie – wtrącił się Dłoń Przewodnik. – Ty będziesz dowodził armiami, rozpoczynając od tej, a stanowisko równe tobie bądź nad tobą może objąć jedynie człowiek naznaczony przez cesarza.

Zastanawiałem się przez chwilę.

– A więc zabiorę go ze sobą jako doradcę – oznajmiłem.

– Doradcę? – zadrwił Złota Zięba. – Chcesz przydzielić zadanie uczonego chłopcu, który przez całe życie unika nauki?

– Tak – powiedziałem. – Doradcę albo nauczyciela. Będzie uczył mnie sztuki wojennej, tak jak nauczył mnie jazdy konnej.

– To absurd! – oświadczył Głos. – Wilga otrzyma flotę kupiecką i zarządcę, który będzie się nią zajmował. To jedyne zadanie odpowiednie dla niepoważnych ludzi, zainteresowanych jedynie romantycznym heroizmem i próżną rozrywką. Już wystarczająco zszargał reputację naszej rodziny i nie życzę sobie, żeby przeszkadzał w kampanii wojennej swoimi bezużytecznymi radami, które mogą skutkować śmiercią wielu ludzi!

– Myślę, że sam również mogę do tego doprowadzić – odparłem. – Jeśli Wilga zawiedzie, nie stracisz wiele. Jeśli odniesie sukces, powróci w tryumfie. Daj mu tę szansę, Wasza Eminencjo! Być może uda mu się zmazać plamę, która plugawi waszą reputację.

Kłęczałem na posadzce, czując na sobie wściekły wzrok Głosu Złotej Zięby. Wszak nie tylko zakwestionowałem jego mądrość, odnosząc się do wydanego mi polecenia, ale jeszcze zasugerowałem, że rozumiem jego syna lepiej od niego, co było bezpośrednim zamachem na ojcowski autorytet.

– Czy wszyscy Nayeńczycy są tak bezczelni? – spytał w końcu. – Najpierw chwalisz się oburęcznością w dniu, kiedy zostajesz Dłonią, a teraz to? – Przeniósł wzrok na Dłoń Przewodnika. – Co ty na to? Zabierzesz mojego syna idiotę na tę małą wojnę?

– Dobór personelu należy do obowiązków Dłoni. – Dłoń Przewodnik wzruszył ramionami. – Jeśli Olcha uważa, że Wilga się na coś przyda, zabierzemy go ze sobą.

Raz jeszcze dotknąłem czołem posadzki.

– Dziękuję – powiedziałem z nieskrywaną głęboką wdzięcznością. – Jestem przekonany, że bardzo nam się przyda.

– Cóż, dobrze, mniejsza już o to – rzekł Złota Zięba. – I wstań. Ośmieszasz się.

Głos Złota Zięba przystąpił do przedstawiania szczegółów naszej kampanii, a moje myśli popłynęły ku przyszłości. Wyobrażałem sobie, jak szczęśliwy i wdzięczny będzie Wilga, gdy mu powiem, że mimo wszystko będzie miał okazję, by zdobyć sławę. Cieszyłem się również z tego, że pomoże mi przebrnąć przez wahania i rozterki mojego pierwszego dowództwa, a nasza przyjaźń znów odżyje.



Wyruszyliśmy ze Wschodniej Fortecy na czele trzech tysięcy sienneńskich żołnierzy. Nasi ludzie, spośród których wielu uczestniczyło już w podobnych wyprawach, mających na celu zdławienie niewielkich powstań, najwyraźniej wierzyli w to, że wrócimy przed rozpoczęciem sezonu tajfunów, przypadającego na późne lato, kiedy to ściany wiatru i wody uderzały w północne i zachodnie brzegi wyspy. W końcu mieliśmy przeciwko sobie jedynie bandytów.

Wilga mówił o nadciągającej kampanii z ekscytacją. W końcu miał okazję zobaczyć na własne oczy prawdziwą bitwę. Wyobrażał sobie, że zachowa się jak bohaterowie mitycznych opowieści, które tak bardzo uwielbiał. Jak walczący u boku cesarza w jego pierwszych wojnach o zjednoczenie królestw Sienu przebiegły Su Biały Nóż, który oszukał króla Bliźniaczej Góry i zmusił go, by poddał się oddziałowi liczącemu trzystu ludzi. Albo jak potężny Lin Dwanaście Wołów, który osobiście prowadził każde natarcie i walczył włócznią grubą niczym pień dębu.

– Potrafię zrozumieć to, że nie interesują cię romanse, Olcho – rzekł Wilga, gdy jechaliśmy na czele kolumny wojska przemierzającej równiny na północ od Wschodniej Fortecy. Przyłapał mnie na tym, że przestałem go słuchać, gdy zaczął opowiadać o Renie Zimorodku, który potrafił rozgryzać teren i pogodę równie łatwo jak logogramy. – Od dwóch lat nie czytam niczego oprócz klasyki literackiej, a te książki są suche jak stare kości. Tu, na świeżym powietrzu, czuję się jak bohater z dawnych czasów.

– Umysł Olchy krąży wokół jego dwóch największych obsesji, kariery oraz magii – wtrącił Dłoń Przewodnik, który jechał przed nami. – Kanon magii został stworzony dopiero po pierwszych podbojach, gdy imperium zwróciło uwagę na girzańskie stopy. Gdyby któryś z twoich bohaterów władał magią, Olcha być może by cię wysłuchał.

– Znajdziesz we mnie znacznie więcej niż tylko ambicję – odciąłem się, rozdrażniony jego dobrodusznym żartem. – Mityczne romanse być może inspirują i ekscytują, ale nie interesowałem się nimi w dzieciństwie i pewnie nigdy się do nich nie przyzwyczaję tak jak ty.

– A na jakich historiach się wychowałeś? – spytał Wilga.

Z zapomnianego kącika mojego umysłu wypłynęły echa opowieści snuty przez babcię w Świątyni Płomienia – o Kruchej Sowie, Płowym Psie i Żelaznym Szponie. Każda z nich była nie lada historią, równie interesującą jak te o bohaterach z czasów założenia imperium. Byłem Dłonią Sienu, ale mity mojego dzieciństwa pochodziły z Nayenu. Miałem ochotę podzielić się nimi z Wilgą, tak jak on opowiedział mi o historiach, które uformowały jego. Odsłonić tę część mojej osobowości, którą skryłem przed Koro Ha, ojcem i wszystkimi innymi ludźmi w życiu. Jeśli jednak nie chciałem zostać oskarżony o bunt, przestępstwo równoznaczne ze zdradą, musiałem je pozostawić tylko dla siebie. Wepchnąłem więc wspomnienia do zakurzonego zakamarka umysłu. Miałem nadzieję, że kiedyś będę mógł zaufać Wildze na tyle, żeby powiedzieć mu o wszystkim, a nawet uchylić rąbka tajemnicy co do mojego dwoistego dzieciństwa, ale za żadne skarby nie powierzyłbym tego sekretu Dłoni Przewodnikowi.

– Na klasyce – powiedziałem z goryczą. – Już ci mówiłem, że w dzieciństwie nie miałem czasu na nic poza nauką.



Gdy wkroczyliśmy na nayeńskie wyżyny, nasza wyprawa padła ofiarą najbardziej podłego wroga każdej armii – logistyki.

Przesunięcie trzech tysięcy ludzi w trakcie wojny nie było łatwym zadaniem, ale wyprawa ze Wschodniej Fortecy do Fortecy Zachodzącego Słońca, największego miasta w północnym Nayenie, skąd mieliśmy poprowadzić atak na bandytów, powinna zabrać trzy tygodnie. Spodziewaliśmy się dróg z głębokimi koleinami i pokruszonego bruku, blizn pozostawionych przez podboje w całym Nayenie, i w istocie na nie natrafiliśmy. A także na górskie szklaki zarośnięte jeżynami i paprociami lub zniszczone przez wiatr, deszcze i dekady zaniedbań. Wozom zaczęły pękać koła i osie, co dodatkowo spowolniło nasz postęp. Tuzin ludzi zginęło, a drugie tyle odniosło rany, gdy zawalił się pod nami most. Dotarliśmy na miejsce po sześciu tygodniach.

Podczas gdy ludzie rozbijali obóz pod murami Fortecy Zachodzącego Słońca, Przewodnik, Wilga i ja zajęliśmy pokoje gościnne urzędu miejskiego. Zjedliśmy pierwszy przyzwoity posiłek od opuszczenia posiadłości gubernatora, a potem przejrzelśmy długie i liczne raporty zgromadzone przez sędziego i jego zwiadowców.

– Wróg maszeruje pod sztandarem Wścieklej Wilczycy – powiedział Dłoń Przewodnik z nutką zaskoczenia w głosie. – Sądziłem, że ona od dawna nie żyje.

– Kto to? – spytałem. W sercu kryłem ulgę na wieść o tym, że bandytom nie przewodzi mój wuj Wredny Lis. Nie musiałem się już przejmować, że podczas tej ekspedycji natrafię na niego czy na babcię.

– Wiedźma – powiedział Wilga, spoglądając znad niewielkiej planszy do kamyków, którą zabrał ze sobą. Pokonałem go w rozgrywce na ostatnim postoju i przez cały dzień nie mógł się doczekać rewanzu. – Jedna z przywódczyni Nayenu, która walczyła jeszcze długo po tym, jak poddał się król i ostatnie miasta.

– Młoda już nie jest, a zatem to jej ostatnia próba wszczęcia buntu – oświadczył Dłoń Przewodnik, odkładając raport i ujmując kolejny. – Choć nie dziwię się, że rekrutacja tutaj przyszła jej z taką łatwością. Na północy walki trwały najdłużej i wielu miejscowych nigdy nie pogodziło się naprawdę z rządami cesarza.

Studiowaliśmy raporty, z których wiele opisywało wypadki na małe miasta i doliny u stóp wzgórz. Bandyci uzbrojeni byli w lemieszce przekute na ostrza włócznie, topory drwali, myśliwskie łuki i narzędzia rolnicze. Raporty wnet zaczęły się powtarzać i wraz z Wilgą zrobiliśmy sobie z tego zabawę – umieszczaliśmy kamyki na planszy za każdym razem, gdy skończyliśmy czytać kolejny dokument. W międzyczasie Dłoń Przewodnik rozwinął mapę okolic i zaczął zaznaczać każdą napadniętą wioskę.

– Co o tym sądzicie? – spytał, studiując nietypowy schemat ruchów bandytów.

Unieśliśmy głowy znad planszy. Nasza rozgrywka dotarła do emocjonującego momentu, kiedy to wciągałem Wilgę w pułapkę, i od dłuższej chwili żaden z nas nie sięgnął już po nowy dokument. To, co ujrzałem na mapie, nie miało dla mnie sensu. Bandyci najpierw napadali na jedną wieś, ignorując sąsiednie, a potem przenosili się do jakiejś doliny, którą pustoszyli.

– Czy są jakieś różnice między tymi wioskami? – spytałem. – Może ignorują bardziej zubożałe osiedla? Po co mieliby napadać na te, w których nie ma nic do zrabowania?

Przewodnik potarł dłonią kosmyki brody.

– Moglibyśmy poprosić o raporty podatkowe, żeby nabrać pewności, ale bogatsze wsie są przecież bronione o wiele lepiej.

– Coś mi przyszło do głowy – powiedział Wilga, nachylając się nad stołem. W jego oczach załśniła iskierka zrozumienia. – W „Podboju zachodnich królestw” Lin Dwanaście Wołów stanął przed bramami Fortecy Glinianej Rzeki i zaproponował, że pójdzie dalej i nikogo nie zabije, ani też niczego nie zniszczy, jeśli ludzie złożą przysięgę na wierność cesarzowi. Miasto postanowiło stawić opór, a więc zabił każdego mężczyznę, każdą kobietę, każde dziecko oraz każde zwierzę, a potem spalił wszystkie budynki i posypał solą pola. Później poddawali mu się już wszyscy, nie licząc najbardziej upartych królów zachodnich.

– Myślisz, że Wściekła Wilczyca naśladuje starożytnego sienieńskiego bohatera? – spytał Dłoń Przewodnik.

Wilga pokręcił głową.

– Wątpię, czy kiedykolwiek o nim słyszała, ale to, że wieś nie została splądrowana, nie oznacza, że nie zadbała o to, żeby ją zająć.

– Wedle zwiadowców sędziego przywódcy wiosek pozostają lojalni wobec imperium – zauważyłem.

Wilga wzruszył ramionami, najwyraźniej rozkoszując się w duchu tym, że wpadł na ten pomysł przed oboma Dłońmi.

– Nie wykluczam tego. Wiedźma mogła przecież dogadać się bezpośrednio z mieszkańcami wioski za plecami ich przywódców, a ci mogli jej obiecać wsparcie w chwili potrzeby.

– A kiedy, mój wielce mądry doradco, nastąpi ta chwila? – spytał Dłoń Przewodnik, a na jego twarzy pojawił się słynny ledwie dostrzegalny uśmiech. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby obdarzył nim kogoś oprócz mnie.

Wilga oglądał mapę ze splądrowanymi wioskami. Marszczył brwi i przygryzał wargę, a potem wbił palec w jeden punkt na mapie.

– Żelazne Miasto – powiedział z taką samą pewnością siebie, z jaką kładł zwyczajski kamyk na planszy.

– Dlaczego? – spytałem, przetrząsając pamięć w poszukiwaniu czegokolwiek, co wiedziałem o tym małym punkciku na mapie. – Wiem, że kiedyś znajdowała się tam kopalnia, swego czasu główne źródło żelaza na północy Nayenu, ale straciła na znaczeniu. Jest tam garnizon, kuźnie, kamienny mur...

– Który już raz wytrzymał napór sienieńskiego legionu przez dwa lata – wtrącił Dłoń Przewodnik.

– Dokładnie. – Wilga uniósł głowę znad mapy. – Żelazne Miasto padło podczas naszego podboju jako jedno z ostatnich. Dla tych ludzi to symbol. Jeśli Wściekła Wilczyca zajmie je i utrzyma, zyska możliwość wyposażenia swoich wojowników w lepszą broń i schronienie dla mieszkańców podległych sobie wiosek. Lada moment zamiast kilku setek uzbrojonych bandytów będziemy mieć na karku prawdziwy bunt.

Dłoń Przewodnik musnął palcami brodę, zastanawiając się nad słowami Wilgi. Jego rozumowanie miało dla mnie mnóstwo sensu, ale byłem daleko od pewności. Z naszej trójki jedynie mój mentor kiedykolwiek osobiście prowadził działania wojenne.

– Cóż, Olcho – powiedział w końcu Dłoń Przewodnik. – Mam pewne wątpliwości, ale ten twój doradca chyba wreszcie zaczął się do czegoś przydawać.

Wilga uśmiechnął się szeroko, jakby Dłoń Przewodnik właśnie mianował go Dłonią cesarza. Ja zaś poczułem przyływ dumy z powodu komplementu, jakim mój mentor obdarzył przyjaciela, ale w sercu odezwał się bolesny i całkowicie nieoczekiwany żal. Wiedziałem, że Wilga nadaje się do prowadzenia wojny lepiej ode mnie, ale źle zniosłem to, że wyciąga wnioski, które mnie umknęły, a jego zalety uwypuklają moje słabości. Napomniałem się, że to właśnie dlatego go tu ściągnąłem. Miałem dzięki niemu możliwość nauczenia się czegoś nowego, bo strategia i taktyka nigdy nie należały do moich szczególnych zainteresowań.

– A więc jak powinniśmy odpowiedzieć? – ciągnął Dłoń Przewodnik.

– Powinniśmy udać się do Żelaznego Miasta – odparłem, próbując ubiec odpowiedź Wilgi. – Przewyższamy liczebnie wojska Wściekłej Wilczycy. Bez trudu obronimy twierdzę.

– To prawda – rzekł Dłoń Przewodnik. – Ale jeśli to oni nas ubiegną i zajmą miasto, będziemy musieli rozpocząć oblężenie, i to na początku sezonu tajfunów.

– Mamy inne możliwości? – spytałem, czując się skarconym.

– Jeśli pozwolimy jej zająć Żelazne Miasto, jej siły będą rosnąć – zauważył Wilga z niepokojem. – Czekaloby nas długie oblężenie, które przeciągnęłoby się na jesień, a nawet zimę.

A być może nawet wiosnę i lato, kiedy to we Wschodniej Fortecy miały się odbyć kolejne egzaminy. Gdyby przez tę przygodę Wilga nie mógł do nich podejść, musiałyby czekać następne trzy lata. Młodzi ludzie, którzy przystępowali do egzaminów w takim wieku – zwłaszcza ci, którzy pochodzili z bogatych rodzin i nie musieli ich zdawać, by osiągnąć sukces – spotykali się z drwinami. W najlepszym

razie nazywano ich darmozjadami, a w najgorszym durniami.

– Wilga ma rację – powiedziałem. – Jak rzekł Wędrujący Wąskim Traktem, trzeba łapać upuszczony kamień, żeby ten nie spowodował lawiny. Powinniśmy uderzyć pierwsi. Może uda nam się dotrzeć do Żelaznego Miasta przed Wściekłą Wilczycą, a jeśli nie, przynajmniej nie pozwolimy jej sojusznikom dotrzeć z pomocą.

Wilga pokiwał głową i spojrzał na mnie z wdzięcznością.

– Być może uda nam się nawet przyprzeć ją do murów, gdy sama będzie oblegać miasto.

– Albo jeśli opuści nas szczęście, droga okaże się trudniejsza, niż sądzimy, albo tajfuny nadejdą szybciej i będziemy musieli dodatkowo zmagać się z pogodą – zauważył Dłoń Przewodnik. – Jeśli zaczekamy, będziemy mogli wysłać wiadomość do twojego ojca i poprosić o posiłki, które wyruszą, gdy my będziemy zmierzać do Żelaznego Miasta.

Założył ręce na piersiach i zakołysał się na piętach. Wydawał się zrelaksowany, co kłóciło się z powagą decyzji, którą musieliśmy zaraz podjąć.

– Jeśli ruszymy teraz, mamy szansę zakończyć tę batalię w miarę szybko – naciskałem. – Jeśli będziemy zwlekać, ryzykujemy, że po prostu oddamy Żelazne Miasto. Moim zdaniem powinniśmy skorzystać z okazji, choć oczywiście to ty jesteś dowódcą.

– Jestem – rzekł Dłoń Przewodnik. – Ale myślę, że masz rację. Poświęćmy jeden dzień na odpoczynek i uzupełnienie zapasów. Wyślemy też raport do Głosu Złotej Zięby i poinformujemy go o naszym planie i ewentualnej potrzebie przysłania posiłków. Za dwa dni wyruszymy do Żelaznego Miasta z nadzieją, że fortuna i pogoda nie obrócą się przeciwko nam.

Wilga, któremu ewidentnie ulżyło, na powrót skupił uwagę na grze. Spojrzał na planszę, a ja, czekając na swoją kolejkę, zdusiłem w sobie pokusę, by okazać tryumf. Wiedziałem, że osiągnę zwycięstwo w trzech ruchach. Wilga spoglądał przez moment na dobrze zamaskowany atak, który prowadziłem w głąb jego terytorium, a potem nagle z błyskiem w oku podniósł głowę.

– Chyba już pora, żebym przestał się powstrzymywać – oznajmił.

I wtedy położył na planszy nowy kamyk, wykonując manewr, który nigdy nie przyszedłby mi do głowy. W pierwszej chwili wydał mi się całkowicie przypadkowy, ale wybiegłem myślą naprzód i uświadomiłem sobie, że ten jeden ruch wystarczy Wildze, by całkowicie zablokować moją pułapkę i przejąć inicjatywę.

Dłoń Przewodnik zachichotał, widząc moje zmieszanie, a potem zerknął na planszę.

– Dobra robota, paniczu Wilgo – rzekł. – Miejmy nadzieję, że plany buntowników uda się pokrzyżować równie łatwo.

Żelazne Miasto

Nasze proporce zwisały ciężko, ociekając deszczem, ledwie poruszając się pod naporem wiatru, który świstał wśród wiecznie zielonych drzew i szarpał naszymi płaszczami. Mury Żelaznego Miasta wyłoniły się przed nami w strugach deszczu. Brama została zatrzaśnięta na głucho, a z pojedynczej strażnicy zwiślał sztandar z nijakiej tkaniny, przedstawiający czerwonego wilka na czarnym polu. Pod murami widzieliśmy zakopane latryny, zapomniane śledzie po namiotach i resztki ognisk.

Dłoń Przewodnik, Wilga i ja kuliliśmy się pod konarami starego dębu, uspokajając konie i drżąc z zimna. Wokół nas uwijali się żołnierze, którzy budowali obóz pośród tego, co pozostawili po sobie buntownicy Wściekłej Wilczycy. Mlaskanie butów w błocie mieszało się z brzękiem młotów i zgrzytem noży. Wiedziałem, że ostrzą łodygi bambusów, by na nierównym terenie wznieść z nich palisadę.

– Gdyby nie te deszcze i ta przekłeta lawina błota, przygwoździlibyśmy ich do muru – narzekał Dłoń Przewodnik, garbiąc się pod płaszczem i wpatrując w bramę. Z szerokiego ronda stożkowej czapki ściekały mu na twarz strużki wody. Na jego szczęce pulsował mięsień.

– Wedle raportów zwiadowców mamy naprzeciwko siebie najwyżej pięć setek zbrojnych, podczas gdy sami mamy prawie trzy tysiące – powiedziałem. – Możemy zniszczyć bramę granatami chemicznymi, a ja mogę omieść blanki i wieże błyskawicą. Nasi ludzie są zmęczeni, ale nadal możemy rozbić wroga.

– Potrzeba nam więcej informacji – rzekł Wilga. – Ta brama wcale nie wydaje się uszkodzona. Skoro ludzie z Żelaznego Miasta wpuścili do siebie buntowników, będziemy mieli do czynienia nie tylko ze zgrają Wilczycy, ale również z mieszkańcami. Czekają nas rzeź.

Miałem wrażenie, że w moim żołądku osiadł ciężki głaz. Byłem Dłonią cesarza, ale na myśl o zabiciu setek ludzi, których jedyną zbrodnią było ustąpienie wobec napastnika, zrobiło mi się sucho w ustach.

– Czyli mamy postąpić tak jak Lin Dwanaście Wołów z Fortecą Glinianej Rzeki – powiedział Dłoń Przewodnik. – Rzeź w rzeczywistości wcale nie wydaje się taka atrakcyjna, prawda, Wilgo?

Mój przyjaciel zacisnął zęby i wbił w Dłoń twarde spojrzenie, a ten nadal wodził z niechęcią wzrokiem po kamiennych murach, które zasłoniły naszych wrogów.

– Tak czy owak, muszę coś zjeść – rzekł w końcu Dłoń Przewodnik. – I się ogrzać. Nie podejmę żadnej decyzji, dopóki nie zgromadzimy kolejnych informacji.



Deszcz siekł w płócienny dach namiotu dowodzenia, a my zgarbiliśmy się nad miseczkami z owsianką z prosa i suszoną rybą. Potrawa wyglądem przypominała papierową masę i cuchnęła wodą morską, ale nam po wielu dniach bez gorących posiłków smakowała jak pokarm bogów.

W trakcie jedzenia Dłoń Przewodnik rozwinął na stoliku mapę Żelaznego Miasta oraz jego okolic. W obrębie murów miejskich umieścił niewielki żeton, na którym znajdowała się wilcza głowa.

– Buntownicy są tu – powiedział. – Bez względu na to, ilu ich tam jest.

Przed bramą umieścił stosik dwunastu miedziaków, które następnie rozłożył w łuk.

– A to my. Trzy tysiące żołnierzy podzielonych na oddziały po pięćdziesięciu ludzi. Gdybyśmy przybyli podczas dobrej pogody, w pełnej sile i z całym taborem, moglibyśmy ich otoczyć i przycisnąć ostrzałem z kusz, granatami i magią bitewną.

Postukał palcem w ostatniego miedziaka, a potem przykrył go kciukiem.

– Ale natknęliśmy się na lawiny błotne.

Miedziak potoczył się po stole i znieruchomiał pod moją miską.

– Ze względu na tajfuny i trudne do przebycia górskie szlaki nie możemy liczyć na dostawy.

Drugi miedziak zderzył się z pierwszym.

– A czwarta część naszych ludzi odniosła obrażenia lub cierpi na choroby.

Dłoń Przewodnik trącił kolejną monetę, a potem zabębnił palcami po mapie. Poczułem, jak twarz oblewa mi gorący rumieniec. Zacisnąłem pięści, a Wilga uderzył dłonią w stół, aż wszystkie monety podskoczyły. Założył ramiona na piersi i wbił wzrok w mapę, jakby była to plansza do kamyków, a on właśnie stracił połowę pionków.

– To moja wina – powiedziałem. – Gdybym nie zachęcał nas do zdecydowanego działania...

– Jesteś moim podwładnym – rzekł Dłoń Przewodnik. – Cała wina spoczywa na mnie, ale mam wrażenie, że postąpiliśmy rozsądnie. Działaliśmy agresywnie, ale tajfuny nadeszły wcześniej. Wygląda na to, że bogowie Nayenu stanęli po stronie Wściekłej Wilczycy.

– Ta brama wydaje się mocna, ale nie wytrzyma bombardowania granatami i magią bitewną – stwierdził ponuro Wilga.

– Jestem przekonany, że na myśl o rzezi wszystkim nam robi się niedobrze – powiedział Dłoń Przewodnik. – Nie wiem, czy uda się jej uniknąć, może tak, a może nie. Ukaranie mieszkańców Żelaznego Miasta za otwarcie bram przed buntownikami wydaje się logicznym rozwiązaniem, ale nie po to tu przybyliśmy. – Postukał palcem w drewniany żeton za murami. – Wściekła Wilczyca powinna była zginać lub zostać pojmana podczas naszego podboju. Jestem zdumiony tym, że przetrwała, żeby wszcząć ten drobny bunt. Nie sądzę, żeby bez niej tym malkontentom udało się zdziałać coś więcej poza obrabowaniem kilku kupieckich wozów. To cierń w boku imperium, a naszym zadaniem jest przede wszystkim pozbycie się jej.

– Jeśli natrzemy na bramę, rozbijemy ją i wytniemy ludność, Wilczyca nadal może nam uciec, chyba że zdołamy zestrzelić każdego ptaka, który przeleci nad murami – zauważyłem, pocierając prawym kciukiem o bliznę na dłoni.

– Wiedzmy i czarownicy z Nayenu wielokrotnie wymykali się z cesarskich obław i porzucali swoich żołnierzy na śmierć – zauważył Dłoń Przewodnik. – Skrzydlatą wiedźmę można śledzić dzięki zmianom, jakie jej magia pozostawia w strukturze świata, ale te nikt nie widzi, w miarę jak uciekiniarka się oddala. Trudno zresztą trafić lecącego jastrzębia, nawet za pomocą magii bitewnej.

– Wiedziała, że imperium wyśle wojsko – powiedział Wilga. – Będzie gotowa na oblężenie, nawet jeśli wie, że nie może wygrać. Samo utrzymanie Żelaznego Miasta przez zimę może się dla niej okazać wystarczającym sukcesem. Będzie to wszak kolejna historia, która wzmocni legendę i pomoże jej bądź jej następcy w poderwaniu chłopstwa do walki.

– Co więc robimy? – spytałem.

– Otoczmy miasto i rozpocznijmy oblężenie, tak jak się spodziewa – rzekł Wilga. – A w międzyczasie spróbujmy znaleźć sposób, żeby ją dopaść i zabić, zanim wpadnie w panikę i ucieknie. – Postukał palcem w rejon mapy na południowy zachód od murów miejskich. – Ciągną się tu stare szyby kopalniane. Możliwe, że buntownicy z nich korzystają, choć nie mamy pewności. Jeśli nie, sami możemy zacząć kopać i wyłonimy się jak krety w samym środku ich rynku.

Dłoń Przewodnik pogładził kosmyki brody.

– Warto się temu przyjrzeć.

Wilga uśmiechnął się szeroko. Plan, który właśnie zarysował – wykorzystanie zapomnianego fragmentu terenu, by zaskoczyć przeciwnika i przyprzeć go do muru – idealnie pasował do strategii, jaką stosował mityczny bohater Su Biały Nóż, o ile dobrze rozumiałem niekończące się opowieści Wilgi z naszej podróży na północ. Część z jego historii utkwiała mi w głowie już na dobre i zajmowała miejsce, które mogłoby zostać wykorzystane na... Cóż, na cokolwiek innego.

– Chciałbym sam obejrzeć te szyby – rzekł Wilga. – Oczywiście po to, żeby lepiej służyć radą tobie, panie, oraz Dłoni Olsze.

Dłoń Przewodnik obdarzył mojego przyjaciela cieniem uśmiechu.

– Oczywiście. Jutro wieczorem weźmiesz pieszy oddział zwiadowców i przeprowadzisz rozpoznanie. A teraz powinniśmy udać się do łóżek.

Wilga wstał, uklonił się Dłoni Przewodnikowi i opuścił namiot. Ja chciałem pójść za nim, ale

nauczyciel zatrzymał mnie przy klapie.

– Dostrzegłeś jego wartość, co się chwali – rzekł. – Ale nie wolno usuwać się w cień własnego doradcy. To nierozważne postępowanie. Jesteś Dłonią cesarza i moim zastępcą, Olcho, a mimo to milczysz ponuro i pozwalasz, żebyśmy wraz z Wilgą układali wszystkie plany.

Przeszył mnie dreszcz zażenowania, a w gardle poczułem ucisk.

– Mówiłem już, że nie nadaję się do wojowania.

– Ale musisz się tego nauczyć – oznajmił Dłoń Przewodnik i wskazał moją lewą rękę. – Wszak to broń, którą powierzono ci w zaufaniu.

Przypomniał mi się Żelazny Taniec. Pomyślałem o swoich dłoniach, teraz miękkich, lecz niegdyś stwardniałych od walki, o udach i żebrach niegdyś poznaczonych siniakami i o mięśniach obolałych po całonocnym treningu z babcią. Ona również próbowała nauczyć mnie sztuki prowadzenia walki, ale nigdy mnie to szczególnie nie zainteresowało. Brałem jej nauki za sposobność, by udowodnić swoją wartość i zasłużyć na lekcje czarowania.

W ten sam sposób postrzegałem oblężenie Żelaznego Miasta. Jeśli musiałem odbyć służbę wojskową, żeby zasłużyć na miejsce w Akademii Cesarskiej i dołączyć do tych, którzy poświęcili swoje życie, by pojąć największe moce tego świata, byłem gotów na to wyrzeczenie, choć nie umiałem obmyślać kolejnych strategicznych forteli tak jak Wilga.

– Oczywiście, Dłoni Przewodniku – powiedziałem i wyszedłem z namiotu.

Wilga czekał na mnie na zewnątrz. Narzucił na głowę kaptur, by osłonić się przed deszczem.

– O co chodziło? – spytał.

– Jestem jego uczniem – rzekłem, mijając go i kierując się do własnego namiotu. – Mielśmy do omówienia sprawę, którą nie powinieneś zwracać sobie głowy.

– Jasne. – Wilga zrównał się ze mną. – Co powiesz na krótką rozgrywkę przed snem? Nie graliśmy od czasu opuszczenia Fortecy Zachodzącego Słońca i prawie mnie...

– Myślę, że powinniśmy wypełnić rozkaz Dłoni i udać się na spoczynek.

– Och – powiedział Wilga, a po chwili dodał: – Dobrze więc. Zobaczą, jak mają się ludzie. Dobrej nocy, Olcho.

– Dobrej nocy – odparłem, nie patrząc na niego.

Leżałem tej nocy długo i wsłuchiwałem się w deszcz, zanim wreszcie poczułem senność.



Nad ranem ulewa przeistoczyła się w mżawkę, ale ciemne, skłębione chmury nad nami ostrzegały przed kolejnymi deszczami, robiliśmy więc, co w naszej mocy, żeby wykorzystać chwilę łagodniejszej aury. Dłoń Przewodnik powierzył mi nadzór nad budowaniem umocnień i otaczaniem miasta, a Wilga spędził dzień na dobieraniu zwiadowców i planowaniu wieczornej ekspedycji do kopalni. Cieszyło mnie, że mogę się wykazać bez konieczności konkurowania z kimkolwiek.

Moja ignorancja wkrótce wyszła na jaw. Mielśmy wystarczająco dużo ludzi, by otoczyć miasto luźnym kręgiem, ale nie tylu, by prowadzić oblężenie bez palisad i patroli. Wysiłki naszych ludzi paraliżował górski teren, zbyt nierówny, by cokolwiek zbudować, a do tego błotnisty i rozmokły po tygodniowej ulewie. Jeździłem od jednej partii umocnień do drugiej i rzucałem sugestie, ale dowódca pododdziału zawsze uprzejmie się sprzeciwiał. Tak, palisada ochroniłaby namioty przed łucznikami na murach, ale zważywszy na to, ile wody zgromadziło się u dołu zbocza, kopanie mogłoby naruszyć strukturę całej skarpy. O wiele łatwiej i lepiej było rozstawić namioty nieco dalej i zaryzykować rozciągnięcie linii patrolowych o kilkadziesiąt kroków.

Po trzeciej takiej rozmowie postanowiłem, że będę akceptował wszystko, co oficerowie sami wymyślili, choć zmuszałem ich, by wyjaśniali swoje powody. Udawałem następnie, że zastanawiam się nad ich pomysłami i podejmuję decyzję. Czułem się jak idiota, ale jeszcze większym głupstwem było ignorowanie ludzi bardziej doświadczonych, choć niższych rangą. Nie chciałem nikogo narażać na śmierć.

Po południu, gdy wracałem już do głównego obozu, leżącego naprzeciwko wrót Żelaznego

Miasta, natknąłem się na Dłoń Przewodnika, chwalącego umocnienia, których budowę nadzorowałem. Walcząc z poczuciem winy, wstydem i frustracją, przyznałem się, że nie zrobiłem w zasadzie nic, ograniczyłem się jedynie do aprobowania przedstawionych mi planów. Moje wyznanie zostało nagrodzone lekkim uśmiechem na twarzy mentora i skinieniem aprobaty.

– Nie każdy dowódca musi być równie bystry jak Su Biały Nóż – rzekł. – Większości wystarczy utrzymanie dyscypliny i ułożenie strategii. Kto będzie znał się na kopaniu latryn lepiej od ludzi, którzy z nich korzystają?

Słońce zaczynało zachodzić i las wypełniły cienie. Gdy wraz z Dłonią Przewodnikiem wróciliśmy do obozu, w powietrzu unosiła się wibrująca pieśń lelków kozodojów. Wilga i jego zwiadowcy szykowali się do wymarszu. Byli ubrani na czarno, a do ramion i kapturów przymocowali sobie gałęzie drzew. Uzbroili się jedynie w krótkie miecze i łuki myśliwskie, bo o wiele lepiej było chować się przed napotkanymi Nayeńczykami, niż zdradzać nasze zainteresowanie ich kopalniami.

Wilga powitał nas lekkim ukłonem.

– A więc ruszamy. Wrócimy przed wschodem słońca, bez względu na to, czy kopalnie okażą się dla nas użyteczne, czy też nie.

– Uważajcie na siebie – powiedział Dłoń Przewodnik. – Wróg może mieć zwiadowców w lasach.

– Oczywiście – odrzekł Wilga z nutką entuzjazmu w głosie. – Każde zauważone przez nas stworzenie może być zamaskowaną wiedźmą.

– A więc może należałoby zabrać Dłoń Olchę ze sobą? – zadumał się Dłoń Przewodnik. – On potrafi wyczuć zmiany wywołane użyciem magii i będzie w stanie was ostrzec.

Wilga spojrzał na mnie.

– Jeśli zechce dołączyć, miejsce się znajdzie.

– Decyzję pozostawiam jemu. – Dłoń Przewodnik wzruszył ramionami.

Czyżby był to kolejny test? Dlaczego zeszłej nocy usłyszałem reprimendę o tym, jak ważne jest zaakcentowanie własnej pozycji jako dowódcy i wynurzenie się z cienia Wilgi, skoro teraz Przewodnik był skłonny wysłać mnie jako podwładnego? Jaką zresztą rolę mógłbym pełnić, skoro plan został stworzony przez Wilgę, a ja miałbym jedynie towarzyszyć mu na wszelki wypadek, co wydawało się doprawdy mało potrzebne?

– Czy Dłonie cesarza często biorą udział w misjach rozpoznawczych? – spytałem. – Gdyby którykolwiek z ptaków w gnieździe czy którekolwiek ze zwierząt w norze było zamaskowaną wiedźmą, Dłoni Przewodniku, już dawno bym ją wykrył. To twój plan, Wilgo, i nie mam zamiaru odbierać ci chwały.

Wilga zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał, czy powinien poczuć się urażony. Ukłuło mnie poczucie winy, ale zignorowałem je. Trzeba było wytyczyć granice, by spełnić oczekiwania Dłoni Przewodnika. Tego, że nasza przyjaźń przetrwa, byłem pewien.

– W porządku – rzekł Wilga i skinął głową do sierżanta. – Ruszamy.

– Czekamy na wasz meldunek – rzuciłem i odjechałem.



Tej nocy, gdy leżałem na koi i przyglądałem się tańczącym na płótnie namiotu cieniom rzucanym przez ognisko wartowników, myślałem o wszystkich upokorzeniach, których doświadczyłem mijającego dnia. Rezygnacja z udziału w misji Wilgi była dobrym wyborem i tego byłem pewien. Nasze role powinny zostać dobrze zdefiniowane. Był moim doradcą oraz żołnierzem, a więc to on powinien zbierać informacje. Moim zadaniem zaś było przeanalizowanie dostarczonych przez niego danych i zdecydowanie, jak je wykorzystać.

W końcu ogarnął mnie sen, zmuszając, żebym opuścił powieki. Wnet stałem na ścieżce przed Świątynią Płomienia tej potwornej nocy, do której lubił powracać mój umysł, gdy czułem lęk i upokorzenie. Tym razem jednak nie zostałem uwięziony w koszmarnym ciele powstałym na skutek błędnego wykorzystania magii. Byłem sobą w zdrowym ciele, ale co dziwne, moją lewą dłoń zdobiły migoczące srebrne linie tetragramu. Gdy spojrzałem na znamię, poczułem, jak gryzie mnie poczucie

winy, jakbym zdradził sekret lub wniósł coś niestosownego do świętej przestrzeni.

Las dookoła mnie wydawał się prawdziwy. Liście miały ostre krawędzie, kora była chropowata, a wiatr, który trącał gałęziami i owiewał mi policzki, zdawał się chłodny. Gdzieś zahukała sowa, gdzieś krzyknął lis, a potem zaszurał wśród zarośli. Nad lasem wisiał księżyc w pełni, a wokół niego migotały gwiazdy. Kamienne oczy wpatzonego we mnie Okary, najmłodszego i najmądrzejszego z wilczych bogów, płonęły straszliwym ogniem, rodem z najgorszego koszmaru.

– Zapomnij o nim. To strata czasu – zagrzmiała Ateri. Stała między swoimi dziećmi, tak jak ją zapamiętałem, choć w jej postaci było coś dziwnego. Futro wokół karku wilczycy wyglądało inaczej, jakby było zjeżone ze strachu.

– Być może to czarownik z dawnych lat – odezwał się inny głos, męski, ale wysoki. Ślepie Okary rozbłysły. – Macie mnie za głupca, który pozwoliłby Doktrynie zawładnąć taką bronią, a potem o tym zapomniał?

– Teraz ogranicza go pakt – warknęła Ateri. – Niczym się nie różni od innych narzędzi Doktryny.

– Być może – powiedział Okara. – Ale powraca tutaj, do nocy, kiedy dotknął struktury, i czyni to sam. Wraca do chwili, w której się ujawnił, kiedy wszystkie nasze oczy powinny być zwrócone na niego. Nie wykluczam, że jest monetą, którą ciśnięto na planszę z kamykami, roztrzaskając je wszystkie i zakłócając przebieg gry.

– W tej rozgrywce żaden gracz nie wykonał ruchu od tysiąca lat.

– Doktryna wykonywał ruchy.

– Masz na myśli te jego małe podboje? – prychnęła Ateri. – Będzie władał śmiertelnikami, bo zagroiliśmy mu drogę do krain, których pożąda. Niech sobie rządzi ludźmi. Co wilki obchodzi to, co robią mrówki?

– Te mrówki kiedyś nas czcili, a teraz jest ich z dnia na dzień coraz mniej. Nie doceniłaś Doktryny, tak jak nie doceniasz tego młodzieńca.

Nagle dotarło do mnie, powoli, jak to bywa we śnie, że to ja byłem ową monetą, tą bronią, tym czarownikiem z dawnych lat.

– O co wam chodzi? – spytałem, czując, jak ogarnia mnie dziwna panika. Miałem przed sobą bóstwa Nayenu, które mówiły. Ba, rozmawiały o mnie! – I kim jest Doktryna? – dodałem.

Oczy Okary znów rozbłysły.

– Widzicie? – spytał.

Ateri warknęła, a ja poczułem nagły skurcz w ramionach, nogach, piersiach i plecach. Każdy mięsień przeszył spazm, jakbym przeobrażał się w coś, czym nie byłem. W głowie mi się zakręciło, a w powietrzu rozszedł się zapach palonego cynamonu.

– Musisz zdawać sobie sprawę z tego, czym jesteś – rzekł Okara.

W tym samym momencie przebudziłem się zlany potem. Ręce i nogi drżały mi, przesywane skurczami, a w gardle narastał jęk, w miarę jak sen uchodził, pozostawiając po sobie szok i ból. Znów przeszył mnie skurcz, słabszy od poprzedniego i rozchodzący się z lewego ramienia, które – jak podsunął mi zaspany, rekonstruujący wydarzenia umysł – skierowane było ku Żelaznemu Miastu.

Nie były to jednakże byle skurcze. Moje ciało właśnie wykryło efekt czyichś czarów, choć nie czułem nic takiego od czasów dzieciństwa. Jakaś wiedźma w Żelaznym Mieście zmieniła postać.

Zerwałem się z koi, narzuciłem płaszcz na ramiona i pobiegłem na poszukiwania Dłoni. Zostałem go przed namiotem. Stał w koszuli nocnej i wpatrywał się w mury miasta. Jego oczy migotały w blasku księżycy.

– Też to wyczułeś? – wysapałem.

Znów rozniósł się lekki zapach cynamonu, a po mojej skórze rozeszło się ciepło. Wiedźma wyczarowała ogień. Nie mieliśmy do czynienia z nayeńską zwiadowczynią, która powróciła do ludzkiej postaci. Nie, w Żelaznym Mieście toczyła się walka.

Nie, nie w mieście, ale pod nim. Skupiłem się, próbując odkryć miejsce, w którym został rzucony czar, tak jak wtedy, gdy lokalizowałem Dłoń Przewodnika w ogrodach Głosu Złotej Zięby. Od razu byłem pewien, że doszło do tego pod murami.

– Wilga – szepnąłem.

– Nie mamy pewności – stwierdził Dłoń Przewodnik.
– Zostali wykryci! – zawołałem. – Nie widzę innego wyjaśnienia!
– Nie wiemy tego! – warknął mój mentor. – A w każdym razie jeszcze nie.
– Przecież on walczy z wiedźmą! Jeśli się pospieszymy, zdołamy...
– Nie wydarzyło się nic, co miałoby strategiczne znaczenie – rzekł Dłoń Przewodnik. – Nawet jeśli twoje obawy się sprawdzą, znaczy to tylko tyle, że Wściekła Wilczyca będzie się mieć bardziej na baczności.

– A więc zabicie jej jest dla ciebie ważniejsze od ocalenia życia Wilgi? – spytałem zszokowany.
– Tak.

Czekaliśmy w milczeniu: na kolejną falę magii oraz na słowa mentora, które miały przynieść mi ukojenie i zapewnić, że zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by ocalić mojego przyjaciela.

– Dowiemy się wszystkiego jutro – powiedział Dłoń Przewodnik. – Bez względu na to, czy zwiad powróci, czy też nie.

A potem oddalił się do namiotu.



O świcie nadal nie było ani śladu Wilgi i jego ludzi. Nie zasnęłam już tej nocy i byłem gotów czekać w głównym obozie choćby i przez cały dzień na jakąkolwiek wieść o losie przyjaciela, ale Dłoń Przewodnik nalegał, żebym powrócił do nadzorowania budowanych fortyfikacji.

Skontrolowałem umocnienia, jeżdżąc konno najszybciej, jak się dało, i bez słowa wahania aprobowałem propozycje oficerów. Stan naszych umocnień i linii patroli nie miał dla mnie znaczenia. Wilga być może zginął, a ja umierałem z niepokoju.

Na pewno przeżył. Uciekł albo trafił do niewoli. Nie mogłem uwierzyć w to, że zginął z wrzaskiem wśród płomieni, a może wiedźma przeistoczona w wilka rozszarpała mu gardło. Podobne koszmarnie realistyczne sceny wciąż stawały mi przed oczami, ale nie chciałem w nie wierzyć. Nie mogłem w nie wierzyć. Przecież ostatnie słowa, które do niego skierowałem, były takie szorstkie i bezduszne!

Dopadło mnie poczucie winy. Gdyby nie ja, byłby bezpieczny w domu we Wschodniej Fortecy i uczyłby się do egzaminów. Gdybym poszedł z nim na zwiad do kopalni, być może wyczułbym poruszenia magii i ostrzegłbym go, co wystarczyłoby do ucieczki przed wiedźmą.

Gdy zbliżyłem się do głównego obozowiska, usłyszałem krzyki i ujrzałem grupki żołnierzy, pogrążonych w ożywionych dyskusjach. Poczulem ogień w żyłach. Popędziłem konia i pognałem przez obóz.

Zastałem Dłoń Przewodnika przy namiocie szpitalnym. Stał nad żołnierzem, któremu bandażowano ramię i zakładano temblak. Mężczyzna coś mówił, ale zamilkł, gdy zeskoczyłem z siodła i rzuciłem wodze wartownikowi.

– Co się stało? – spytałem mentora, a potem skierowałem spojrzenie na rannego. – Gdzie jest Wilga?

Żołnierz spojrzął na Dłoń Przewodnika, który gestem nakazał mu mówić.

– Wzięli nas z zaskoczenia – rzekł. – Szliśmy korytarzem kopalnianym na północ, w kierunku miasta, aż zobaczyliśmy nowy tunel, świeżo wykopany, prowadzący na wschód. Kilku z nas chciało wracać, bo znaleźliśmy to, czego szukaliśmy, ale panicz Wilga chciał iść dalej i sprawdzić, dokąd w mieście dotrzemy. Postąpiliśmy zgodnie z rozkazem. Oszczędnie korzystaliśmy z latarni i zasłoniliśmy twarze kapturami, ale... – Nabrał tchu, skrzywił się i potarł opatrzone ramię. – Coś nas zdradziło. Z ciemności wypadł jakiś dzik, rozszarpał dwóch z nas, a potem zamienił się w kobietę, która wypełniła tunel płomienia. A ja... uciekłem.

– Słusznie postąpiłeś – powiedział Przewodnik. – Wróciłeś z cenną informacją, a ręka, którą władasz mieczem, i tak uległa poparzeniu. Nie ma co się wstydzić, że postanowiłeś przetrwać.

Żołnierz pokiwał głową, ale nadal miał posępną minę.

– A panicz Wilga? – spytałem. Miałem wyschnięte gardło i kręciło mi się w głowie. – Widziałeś,

jak umiera?

– Nie – odparł żołnierz. – Tunel wypełniły płomienie.

– Sam zdołałeś się wyrwać. Jemu też mogło się to udać. – Odwróciłem się ku Dłoni Przewodnikowi. – Jeśli ruszymy do ataku, być może zdołamy go ocalić.

– Albo też Wściekła Wilczyca zabije go razem z resztą więźniów, a potem ucieknie – rzekł mój dowódca. – Przy założeniu, że nadal żyje.

– Nie mam zamiaru zakładać, że zginął.

– Ja niczego nie zakładam – odparł sucho dowódca – ale naszym priorytetem pozostaje zglądzenie Wściekłej Wilczycy.

– A więc ja ją zabiję. – Dreszcz spłynął mi po plecach, gdy uzmysłowiłem sobie, co właśnie powiedziałem. Wciąż paraliżował mnie lęk o Wilgę, ale w ciemnych zakamarkach mojego umysłu powstawał już plan.

– Jak? – Dłoń Przewodnik zmrużył oczy.

Podciągnąłem rękaw i pokazałem mu moją zaczerwioną skórę.

– Jestem w połowie Nayeńczykiem. Wyglądam tak jak oni. Będę umiał wnikać w ich społeczność, odszukać Wilgę, a potem znaleźć Wściekłą Wilczycę i zabić ją za pomocą magii bitewnej. Gdy wyczujesz moją magię, ruszysz do szturm i w ten sposób ocalimy Wilgę.

Dłoń Przewodnik nabrał głęboko tchu.

– Posługujesz się ich mową?

– Babcia mnie nauczyła – odparłem, nieco za późno zdając sobie sprawę, że ujawniłem więcej, niż zamierzałem. Dłoń Przewodnik nie miał jak dotąd pojęcia o mojej nielegalnej wiedzy, ale teraz podsunąłem mu pewną wskazówkę, o ile zważywszy na okoliczności, w ogóle zwrócił na to uwagę.

Pokiwał powoli głową, bawiąc się kosmykami brody.

– A gdy zobaczą twój tetragram?

– Daj mi bandaż – warknąłem do jednego z lekarzy, który wręczył mi zwój płótna. – Widzisz? – Owinąłem sobie bandaż wokół lewej ręki i nadgarstka. – Przebiorę się za chłopca i będę udawał, że chcę do nich dołączyć. Mogę przejść kopalnię.

– To ryzykowne, Olcho! – zaprotestował Dłoń Przewodnik. – Co, jeśli cię złapią?

– Wściekła Wilczyca zapewne ucieknie – powiedziałem – ale zdołam się przebić, gdy zaatakujecie. Masz lepszy plan?

Mój mentor westchnął.

– Nie – przyznał. – Jeszcze nie.

– A więc ruszam o zmroku.



Postanowiłem zbliżyć się do miasta od południa. Leżało tam kilka wiosek, z których część nie została jeszcze spustoszona, a więc ktoś spośród mieszkańców mógł wcześniej odwiedzić Żelazne Miasto i wiedzieć więcej o kopalniach. Tak czy owak, taka historia brzmiała bardziej wiarygodnie niż opowieść o tym, że natknąłem się na szyby przez przypadek.

Miałem na sobie podarty płaszcz, brudne od błota spodnie, starą koszulę i parę chłopskich sandałów. Przedzierałem się przez zarośla, kierując kroki na zachód i południe, by dotrzeć do wejścia do kopalni. Drogę oświetlałem sobie tylko sfatygowaną latarnią. Było ciemno i śiało bez ustanku, mimo to brnąłem naprzód, korzystając z wiedzy na temat okolic i opierając się na orientacji w terenie, choć tę ostatnią zakłócał mi stres i huk krwi w uszach.

Za drugą próbą odnalazłem znaczoną koleinami drogę, która według opowieści zwiadowcy miała mnie doprowadzić do kopalni. Brnąłem w górę, powtarzając sobie w głowie historyjkę, którą chciałem opowiedzieć strażnikom. Miałem nadzieję, że mi uwierzą, bo musiałem jak najszybciej zacząć szukać Wilgi, a później, gdy moje poszukiwania zakończą się sukcesem, planowałem odnaleźć Wściekłą Wilczycę i ją zabić. Sama wizja napełniała mnie przerażeniem, bo nigdy wcześniej nikogo nie zabiłem. Później planowałem powrócić do Wilgi i chronić go do chwili, gdy Dłoń Przewodnik uderzy na mury

i przebije się do środka.

Wejście do jaskini otwierało się w ścianie klifu niczym wielkie usta, a nierówna droga przypominała wywalony język. Drewniane stemple przywodziły na myśl ogromne zęby. Wyteżyłem wzrok, szukając ukrytych sylwetek przy okolicznych drzewach i w czeluści wejścia, ale nie zobaczyłem nikogo. Nie czułem również skurczu mięśni, który oznaczałby, że wśród konarów czuwa przeobrażona wiedźma. Jeśli więc wejścia bronili jacyś strażnicy, ukryli się gdzieś głębiej.



Korytarz skręcał lekko w dół, ale nie widziałem już drzew ani nieba, dlatego tylko zmysł orientacji mówił mi teraz, że teren opadał. Bijące szybko serce oraz nieodstępujące mnie przerażenie wypaczyły poczucie upływającego czasu. Nie mam pojęcia, jak długo szedłem, ale zaśmiałem się z ulgi,

gdy ujrzałem przed sobą niedawno zrytą ziemię i świeży tunel, wspomniany przez zwiadowcę.

A więc dotarłem do punktu krytycznego. Jeśli Nayeńczycy nie wykryli jeszcze mojej obecności, bez wątpienia miało to nastąpić lada chwila. Raz jeszcze odtworzyłem sobie w głowie kłamstwa, które miałem zamiar wcisnąć wartownikom, i ponownie przypomniałem sobie wszystkie potrzebne mi nayeńskie słowa. Zdania brzmiały chropowato i ciężko niczym zardzewiała stal, która zbyt długo spoczywała w pochwie.

Nabrałem głęboko tchu, jakbym miał przystąpić do Żelaznego Tańca, i wkroczyłem do odnogi tunelu, który okazał się wąski, ciasny i nierówny, ale szedł ku górze. Powietrze było ciężkie i duszne. Wyobraziłem sobie nayeńskich bandytów idących tędy wąskim szeregiem, uzbrojonych po zęby. Czy oni również musieli zdusić w sobie panikę, gdy schodzili na sam dół? A może wizja bitwy pomogła im przekuć strach w furję? Uznałem, że lepiej jednak wyobrazić sobie, że są tacy jak ja – drobni i przerażeni zarówno ciężarem ziemi nad głowami, jak i niebezpieczeństwem czekającym na nich na końcu tunelu.

Owionęło mnie lekkie tchnienie powietrza. Świadomość, że lada chwila znajdę się na powierzchni i wciągnę w płuca świeże powietrze, przyniosła mi ulgę, ale wtedy wyczułem niesiony przez powiew zapach – palone ciała oraz krew. Smród niedawno zadanej śmierci.

Światło mojej latarni prześlizgnęło się po szerniałej masie, skłębionej niczym człowiek zwinięty z boleści w kłębek. Potem zobaczyłem czaszkę z kilkoma pasemkami zwęglonego ciała, przylegającego do oczodołów. Wciągnąłem ostro powietrze w płuca i z największym trudem powstrzymałem nudności, mimo to nie mogłem oderwać wzroku od trupów. Ruszyłem naprzód, uważając, by nie nadepnąć żadnego z nich. Czy Wilga też gdzieś tu był, zamieniony w stertę kości i popiołu?

– Ręce do góry! – warknął ktoś w ciemnościach po nayeńsku. – Chyba że chcesz dołączyć do zmarłych!

Byłem tak wystraszony, że upuściłem latarnię, a ta potoczyła się z gruchotem i z otwartym wieczkiem zatrzymała gdzieś za mną. W jej świetle ujrzałem mężczyznę, który celował we mnie z łuku. Światło odbijało się od grotu, ale oczy tonęły w plamach cienia. Uniosłem dłonie.

– Na... nazywam się Zwinny Kot! – wyjąkałem. Miałem suche gardło i spierzchnięty język. – Słyszałem o waszym buncie i chciałem się przyłączyć.

– Odwróć się! – rozkazał inny głos.

Wypełniłem polecenie i w tej samej chwili usłyszałem czyjś ruch i poczułem silne uderzenie w tylną część nóg. Ze stęknieniem osunąłem się na kolana. Mocne dłonie złapały mnie za łokcie i wykręciły ręce do tyłu.

– Ropucho, spójrz na jego dłoń! – powiedział drugi głos.

Czyżby zsunął mi się bandaż? Albo się rozdarł? Zwalczyłem w sobie ochotę, by odwrócić głowę. Wokół moich nadgarstków zacisnęła się szorstka lina.

– Nadano mu imię ogniem – ciągnął drugi głos, w którym słychać było teraz szacunek i zaskoczenie. – I naznaczono wiedźmimi znakami. Kim jesteś?

Przekląłem się w myślach za głupotę. Wydawało mi się, że przemyślałem wszystko, ale przeoczyłem najbardziej oczywistą rzecz – Sieneńczycy nigdy nie rozpoznali wiedźmich znaków, ale nayeńscy buntownicy w służbie wiedźmy z pewnością wiedzieli, o co chodzi.

– Masz bystre oczy, skoro widzisz takie rzeczy w ciemności – powiedziałem, w pośpiechu rozbudowując historię, którą chciałem im wcisnąć. Nie było przecież niemożliwością, żeby jakieś wiejskie dziecko na północy przygotowywano do roli wiedźmy czy czarownika, choć wydawało się logiczne, że Wściekła Wilczyca będzie o nim wiedzieć.

– Kto cię naznaczył? – warknął pierwszy głos.

– Moja... moja babcia... Ona... No, była wiedźmą świątynną przed nadejściem Sieneńczyków. Niczego w życiu nie żałowała tak jak tego, że nie mogła dołączyć do walk. Nie pogodziła się z tym do śmierci. Ja nie mam zamiaru umrzeć z podobnym żalem.

Czy pojawienie się kogoś obdarzonego mocą, nawet i niespodziewanie, nie powinno być powodem do świętowania? Tymczasem więzy na moich nadgarstkach zaciśnięto mocno i bez pardonu. Zawiązawszy linę, żołnierze postawili mnie szarpnięciem, obrócili i pchnęli w głąb tunelu, co podsunęło mi nowy, nieoczekiwany wniosek – nie wszystkie nayeńskie wiedźmy były sojuszniczkami.

Tunel, który stopniowo prowadził w górę, nagle stał się bardziej stromy, a zakończył się drabiną. Wspiąłem się po szczeblach, ponaglany przez jednego z wartowników, aż wylazłem na ulicę przy południowym murze, gdzie czekało na nas więcej straży, w tym młoda kobieta uzbrojona jedynie w sztylet na biodrze. Wartownik uklonił jej się z szacunkiem, ale kobieta ani na moment nie spuszczała ze mnie przenikliwego wzroku czarnych oczu.

– Coś ty tam znalazł, Ropucho? – spytała. – Kolejnego parszywego cesarskiego sługę, z którego trzeba będzie wyciągać informacje dla mojej siostry?

Zdusiłem w sobie mieszaninę ulgi i lęku. A więc mieli już więźnia. Miałem nadzieję, że to Wilga, nawet jeśli poddawano go torturom. Lepiej, by cierpiał, niż stygł w grobie.

– Twierdzi, że jest czarownikiem – rzekł Ropucha.

Młoda kobieta otworzyła szerzej oczy.

– Coś podobnego – mruknęła, a potem stanęła za mną, złapała mnie za prawą dłoń i przekręciła ją ostro. Musnęła palcem grubą bliznę, którą wyciąłem sobie na dłoni.

– Ten, kto cię nazaczył, spartolił robotę – stwierdziła. – Jak masz na imię, chłopcze?

– Zwinny Kot.

– Ja się nazywam Płonący Pies – powiedziała. – Jestem córką Wściekłej Wilczycy. Po co przybyłeś do Żelaznego Miasta? Szukasz śmierci w chwale?

Opowiedziałem jej wymyśloną historię. Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę, a potem puściła mnie i odwróciła się ku Ropusze.

– Na co tu czekasz? – spytała ostro. – Chcesz, żeby sienneński batalion wlał nam w dupę?

Ropucha pochylił głowę i znikł w tunelu.

– Proszę! – odezwałem się. – Gdy usłyszałem, że Wściekła Wilczyca zajęła Żelazne Miasto, poczułem, jak budzi się we mnie duch babci i nakazuje mi dołączyć do was.

– Babci, co? – rzekła Płonący Pies. – Jak miała na imię?

Słowa zamarły mi na języku. Ile zyskam, jeśli powiem prawdę? Nie miałem pojęcia, czy między Wściekłą Wilczycą oraz moim wujem i babcią istniał jakikolwiek związek.

– Co? – Płonący Pies podeszła bliżej. – Zapomniałeś?

Nie dała mi szansy, bym udzielił jej odpowiedzi – bez ostrzeżenia grzmotnęła mnie w żołądek. Skuliłem się, rżęząc, a dziewczyna uklękła nade mną, złapała za włosy i uniosła mi głowę. Walczyłem o oddech.

– Te beznadziejnie wykonane wiedzmię znaki nie zmyliłyby pijanego idioty – powiedziała. – Następnym razem spróbuj wymyślić bardziej przekonującą historyjkę.



Dwóch spośród jej ochroniarzy postawiło mnie szarpnięciem na nogi i powlekło za sobą, obolałego i dyszącego, po ulicach Żelaznego Miasta. Każda mijana ściana była pocięta ciosami mieczy i naszpikowana strzałami, a wiele domostw spłonęło do szczytu, pozostawiając jedynie ruiny. W alejkach nadal zalegały stopy częściowo spalonych trupów, co napełniało powietrze obrzydliwym smrodem.

Widok mieszkańców Żelaznego Miasta robił równie przygnębiające wrażenie. Dzieci wychudzone jak upiory, z błyszczącymi od gorączki oczyma chowały się przed patrolującymi żołnierzami w ruinach spalonych domów. Ci spośród mężczyzn i kobiet, którzy nie otrzymali broni, pracowali do późna w nocy, zwożąc trupy i budując na ulicach zaimprovizowane barykady. Poruszali się powoli, wyczerpani do granic.

Ci ludzie wytrzymali już jedno oblężenie. Jak długo wytrzymają kolejne, zapytałem się w myślach na chwilę przed tym, jak żołnierze Płonącego Psa wrzucili mnie do ciasnej, pustej klatki i zatrasnęli drzwi.

Zapadła noc, a ja nie miałem ani lampy, ani świecy, przez co ciemności wokół mnie wydawały się nieprzeniknione. W pierwszej chwili ośmieliłem się mieć nadzieję, że straż zabierze mnie tam, gdzie trzymają Wilgę, ale wnet przekonałem się, że byłem sam.

Brawo, spryciarzu, pomyślałem gorzko. Tak łatwo uporałeś się z podejrzeniami Dłoni Przewodnika czy Głosu Złotej Zięby, a teraz co? Płonący Pies przejrzała cię w okamgnieniu.

Wyglądało na to, że wiedźmy i czarowników Nayenu dzieliły konflikty, o jakich nie miałem pojęcia, a być może imperium również o nich nie wiedziało. Owe spory były tak istotne, że nieoczekiwane przybycie kogoś, kto władał mocą, postrzegane było nie jako błogosławieństwo, ale zdarzenie co najmniej podejrzane.

Udało mi się obrócić i usiąść pod ścianą. Siedziałem i zamartwiałem się, a czas biegł. Wyruszałem w pośpiechu tak wielkim, że nie uzgodniliśmy z Dłonią Przewodnikiem, kiedy ten ma atakować. Zastanawiałem się teraz, jak długo zaczeka ze szturmem. Co gorsza, Wilga przebywał w rękach buntowników przez cały dzień. Na ile jeszcze wystarczy mu sił, zanim ugnie się na torturach bądź jego prześladowcy znudzą się i po prostu poderzną mu gardło?

Widziałem dwie możliwości. Miałem do dyspozycji dwa rodzaje magii i uwolnienie się nie powinno nastręczyć mi szczególnych trudności. Przebiecie się przez miasto wydawało się już trudniejszym wyzwaniem, bo nie miałem pojęcia, gdzie trzymają Wilgę i z iloma wiedźmami przyjdzie mi się zmierzyć. Gdybym tylko sięgnął po magię bitewną w obrębie murów miejskich, Wściekła Wiedźma rzuciłaby się do panicznej ucieczki, zapewne nakazując po drodze egzekucję więźniów.

Drugą opcją było czekanie. Być może mógłbym wymyślić lepszą historyjkę, co podpowiedziała mi Płonący Pies, a potem spróbować wkupić się na audiencję u Wścieklej Wilczycy lub przynajmniej dowiedzieć, gdzie trzymają i torturują Wilgę.

Przez całą długą noc próbowałem obmyślić przekonujące, wiarygodne kłamstwo, by Płonący Pies zaprowadziła mnie przed oblicze matki. Byłem przecież obcym i utrzymywałem, że jestem czarownikiem, przez co mogłem zostać uznany za osobę niebezpieczną, a więc zadanie łatwe nie było. Co więcej, byłem wyczerpany, przerażony i zamartwiałem się o przyjaciela. Każde kłamstwo, które wymyśliłem, zaczynało się rozpadać, gdy lepiej je przemyślałem. Dłoń Przewodnika po egzaminie przekonałem dlatego, że w zasadzie przekazałem mu wersję prawdy, historyjkę opartą na faktach, którą można było poprzeć dowodami, jak choćby moje blizny, lekcje oburęczności udzielane mi przez Koro Ha czy skaza podczas pracy nad rodowodem.

Takiego kłamstwa potrzebowałem. Musiałem jakoś nagiąć prawdę.

Usłyszałem głosy po drugiej stronie drzwi. Jeden z nich należał do Płonącego Psa. Kończył mi się czas. W zamku przekręcono klucz, po czym otwarto drzwi na oścież. Do środka wpadł chłodny blask wczesnego poranka.

– Dobrze spałeś? – spytała Płonący Pies, górując nade mną. – A może zmarnowałeś całą noc na próby wymyślenia kolejnego kiepskiego kłamstewka?

Najlepsze kłamstwa wydają się przekonujące dzięki temu, że opierają się na faktach nie do obalenia. Czerpią siłę z tej części, która stanowi prawdę, dzięki czemu element fałszywy zyskuje wiarygodność. A czy istniało coś bardziej przekonującego od magii?

Wniknąłem w drugi kanał kanonu i przez chwilę między moimi palcami przesłaskiwała błyskawica. Czar był tak słaby, a wywołane przezeń zmiany tak nieistotne, że zapewne nie poczuł go nikt poza Płonącym Psem i mną. Mocy wystarczyło, by przeciąć więzy. Stałem między dymiącymi sznurami, które leżały teraz wokół moich stóp, a Płonący Pies cofnęła się, przywołując ogień. Patrzyła otwartymi szeroko oczyma, jak idę ku niej, unosząc dłonie w geście poddania się. Obdarzyłem ją najbardziej rozbajającym uśmiechem, a potem stworzyłem płomień, by zyskała namacalny dowód, że jestem czarownikiem.

– Nazywam się Głupi Kundel, jestem wnukiem Złamanej Kończyny i siostrzeńcem Wrednego Lisa – powiedziałem. – Sieneńczycy zwą mnie Wen Olcha. Być może o mnie słyszałaś.

Wściekła Wilczyca

Płonący Pies zaprowadziła mnie do skromnej sali urzędu sędziowskiego niedaleko głównego rynku Żelaznego Miasta. Wokół palców kobiety nadal unosiły się płomienie i wiedziałem, że jest gotowa mnie zaatakować, gdy tylko poczuje, że sięgam po magię bitewną. Wśród kolumn, na których do niedawna wisiał tetragram urzędującego tu sędziego, stali kolejni strażnicy. Ktoś się zatroszczył, by tetragram zniknął, i w istocie zostały po nim jedynie ślady złotej farby i głębokie szczyrby w drewnie. Zamiast niego wisiał czarny proporzec z czerwonym wilkiem. Miałem przez moment rozpaczliwą nadzieję, że w biurze sędziego znajduje się również więzienie, jak to bywało w wielu osadach na prowincji.

Przeszliśmy przez bramę i ruszyliśmy krętą ścieżką przez skromny ogród. Podążałem za Płonącym Psem i rozglądałem się bacznie dookoła, ale wśród kęp bambusa i niskich sztucznych pagórków nie widziałem niczego, co przypominałoby strażników, kraty czy kajdany, o więźniach nie wspominając.

Ścieżka doprowadziła nas do wąskich schodów, prowadzących do sporego, otwartego pomieszczenia, będącego skromną imitacją sali przyjęć Głosu Złotej Zięby. Na podłodze leżały polakierowane płytki, popękane i nadpalone. Ze ścian pozrywano pejzaże, które trafiły do samotnego piecyka. Resztki aksamitnej tapicerki na tronie sędziego, porąbane i rozwłócone po podłodze, nosiły ciemne ślady krwi. W miejscu tronu stał teraz prosty stół zavalony mapami miasta, a dookoła niego zasiadało troje Nayeńczyków – wśród nich kobieta o włosach barwy żelaza i równie surowej twarzy jak u Płonącego Psa. Do kołnierza jej koszuli doszyto czerwonego wilka.

Rozmowa przy stole urwała się, gdy nas dostrzeżono. Wściekła Wilczyca podniosła głowę. Jej oczy zdawały się chłostać niczym bat. Miałem wrażenie, że zdołałaby przejrzeć każde z moich kłamstw. Po kilku uderzeniach serca przeniosła spojrzenie na córkę.

– Chłodne Szczenię cię zwolniła?

– Zajmuje się jeńcem – powiedziała Płonący Pies. – Okazał się twardym draniem, jak na kogoś rozpuszczonego przez bogactwo i arystokratyczne pochodzenie.

Z pewnością miała na myśli Wilgę. Jak ciężkie odniósł rany podczas starcia? Co mu zrobili, że musiał okazać się „twardym draniem”? A co najważniejsze, gdzie go trzymali?

– Skoro Chłodne Szczenię przebywa z więźniem, a ty tutaj, to kto strzeże tunelu? – Głos Wściekłej Wilczycy był ostry jak smagnięcie wiatru.

– Nikt, ale...

– Och, więc wszystko w porządku, tak? – warknęła Wściekła Wilczyca. – Myślisz, że ci chłopcy z łukami zdołaliby choć spowolnić Dłoń cesarza, gdyby postanowił wdrzeć się przez ten tunel, siekąc naokoło błyskawicami?

Poczułem swędzenie lewej ręki. Wystarczyło sięgnąć po ten pulsujący gejzer mocy, który tętnił we mnie od chwili, gdy zostałem Dłonią, wkroczyć w drugi kanał i wycelować palec. Nie znałem pełni mocy Wściekłej Wilczycy – tak niewiele dowiedziałem się o czarnoksiężstwie od chwili, gdy opuściła nas babcia – ale wydawało mi się, że nie zdoła przeistoczyć się tak szybko, by uciec przed błyskawicą.

Ale gdybym ją zabił, wszystkie inne wiedźmy w Żelaznym Mieście poczułyby efekt działania moich czarów, podobnie jak Dłoń Przewodnik, dla którego byłby to sygnał do ataku na bramy. Powstałby koszmarny chaos.

Zmusiłem się więc do tego, żeby czekać. Nadal nie miałem pojęcia, gdzie szukać Wilgi, a wiedziałem tylko tyle, że najpewniej poddano go torturom. Istniała co prawda szansa, że znalazłbym go na czas i zdołał obronić w samym środku bitwy, ale nie miałem przecież pewności, że tak będzie w istocie. Wiedźma, którą zwano Chłodnym Szczeniciem, mogła go zabić w chwili, gdy powaliłbym

jej matkę, a Dłoń Przewodnik przebiłby się przez bramę. Powstrzymał mnie lęk przed taką ewentualnością.

– A więc wyślij gońca z rozkazami dla Chłodnego Szczenięcia, żeby przejęła pilnowanie tunelu – powiedziała Płonący Pies. – Bo ja mam coś o wiele ciekawszego od sienneńskiego książątka, które bawi się w żołnierzyka. I zarazem coś bardziej niebezpiecznego!

Zapadła cisza. Wściekła Wiedźma przyglądała się mojej twarzy.

– Przypominasz go z wyglądu – odezwała się w końcu, a w kącikach jej ust pojawił się okrutny uśmiech. – Mam na myśli twojego wuja Wrednego Lisa. Nie udawaj zaskoczonego. Niegdyś walczyliśmy ramię w ramię, aż w jego czasce załęgła się ambicja, po czym zwrócił się przeciwko mnie. Dotarły do mnie plotki, że Złamana Kończyna uczyniła czarownikiem swojego skundlonego wnuka, a ten zdradził ją, żeby służyć imperium. Miałam nadzieję, że to nieprawda.

Poczułem nagle ochotę, żeby cisnąć w nią ogniem i błyskawicą i wypalić ją z tego świata. Chciałem już zakończyć to oblężenie wraz z tą rozmową.

Wściekła Wilczyca gestem nakazała mi podejść.

– Pokaż mi tetragram.

Ku mojemu zaskoczeniu odkryłem, że moje palce ani drgnęły, gdy zacząłem ściągać bandaże owijający lewą rękę. Wiedźma zaś nachyliła się nad stołem i gwałtownie wciągnęła powietrze na widok pierwszych srebrnych linii na mojej skórze.

– Widzisz, matko? – powiedziała Płonący Pies.

– Cicho, dziecko – rzekła Wściekła Wilczyca, ale nie kazała córce wyjść. Wszak dwie wiedźmy wspólnie miały szansę pokonać Dłoń cesarza. Przywódczyni buntu znów przyjrzała się mojej twarzy, lecz tym razem nie szukała podobieństwa do wuja, ale odpowiedzi na swoje wątpliwości. – Nie zabiłam cię tylko dlatego, że jesteś wnukiem Złamanej Kończyny. Ucieszyłabym się, i to bardzo, gdyby twoja zdrada jej dopiekła, ale nie zapomniałam o tym, że to przebiegła kobieta. Myślę, że to nie przypadek, że spędziła tyle czasu w ukryciu z twoją matką, a teraz stajesz tu przed nami, naznaczony zarówno tetragramem, jak i wiedźmimi znakami.

– Moja babcia przyswoiła sobie jedną lekcję ze strategii cesarza – powiedziałem. – Władca imperium kradnie magię podbitych ludów i przekazuje ją swoim Dłoniom. Babcia zaś, widząc ambicję mojego ojca, postanowiła wykraść mnie cesarzowi i stworzyć ze mnie czarownika.

Miałem nadzieję, że wiedźma nie zdaje sobie sprawy z tego, że gdyby nie transmisja cesarza, za pomocą której przekazywał moc Głosom, a ci Dłoniom, nie miałbym dostępu do kanonu.

– Przez ostatnie dwa lata pobierałem nauki pod okiem Dłoni Przewodnika – ciągnąłem. – Zostaliśmy wysłani, żeby zdławić waszą rebelię, a ja dostrzegłem w tym szansę, żeby zbiec. Miałem nadzieję, że babcia będzie wśród was.

– A mimo to z początku się ukryłeś – powiedziała Wściekła Wilczyca.

– Wojna może podzielić nawet tych, którzy mają wspólne cele – odparłem. – Ty i mój wuj oboje pragnęliście zasiąść na tronie Króla Słońca, ale tylko jedno z was mogłoby zjednoczyć Nayen, tak jak on tego dokonał. Nie miałem pewności, czy mogę zaufać tobie i twojej córce, aż okazało się, że nie mam wyboru.

Płonący Pies parsknęła dziko, ale zignorowałem ją. Patrzyłem bowiem w oczy Wściekłej Wilczycy i widziałem w nich błyski mówiące, że zaczyna mi wierzyć. Musiałem owe błyski rozniecić tak, by zapłonęły ogniem.

– Nayen to mój dom – powiedziałem, a wtedy w mojej piersi odezwał się dziwny ból, dławiący w gardle. – A Nayeńcy to mój lud. Wolę walczyć u waszego boku, nawet jeśli nie dogadujesz się z moją babcią, niż przeciwko wam u boku cesarza, który zamordował mi dziadka, poluje na wuja i stłamsił matkę, która wie gdzie teraz życie tchórza.

Najlepsze kłamstwa to te, które wspierają się na fundamencie prawdy, napomniałem sam siebie. I tyle. Nie byłem zdrajcą, choć kiedyś mogłem za niego uchodzić. Służyłem wszak cesarzowi. Myśl ta zabrzmiała nagle nieprzekonująco, jakby została wypisana na papierze, podczas gdy słowa, które powiedziałem Wściekłej Wilczycy, wydawały się wykute w kamieniu. Czy jakaś część mnie, od dawna tłamszona, nagle zapragnęła pójść w ślady babci? A może ten wniosek zrodził się z paniki, a umysł

wsparł kłamstwo fałszywym przekonaniem, robiąc wszystko, by Wściekła Wilczyca mi uwierzyła?

Kobieta przygryzła wargę, zastanawiając się nad moim kłamstwem. Teraz gdy ujawniłem, że jestem wnukiem Złamanej Kończyny, byłem w jej oczach zarówno kimś bardzo niebezpiecznym, jak i potencjalnym sojusznikiem. W końcu skoro służyłem cesarstwu, po co miałbym wymyślać to kłamstwo? Powinienem być wykorzystać pierwszą nadarzącą się okazję, by móc ją wyeliminować. Czy istniało ważniejsze zadanie od zniszczenia najgroźniejszej broni przeciwnika?

Czy wyczuwała we mnie niepewność? Czy szykowała się, by zdemaskować moje kłamstwo?

Rozległy się kroki na schodach, a zgrzyt zawiasów sprawił, że Wściekła Wilczyca oderwała ode mnie wzrok. Spojrzałem w ślad za nią i ujrzałem kobietę, którą w pierwszej chwili wziąłem za Płonącego Psa. Miała bardzo podobną twarz, ale nosiła krócej przycięte włosy, a jej policzek przecinała blada blizna.

A więc była to jej siostra, Chłodne Szczenię, kobieta, która torturowała więźnia. Na jej widok moje rozbiegane myśli uformowały się w pewność. Bez względu na wszystko znalazłem się tu po to, żeby ocalić Wilgę.

– Kto to? – spytała ostro Chłodne Szczenię. Zobaczyłem, jak otwiera szeroko oczy na widok mojego tetragramu, a potem szybko przenosi spojrzenie na matkę.

– Wnuk Złamanej Kończyny – wyjaśniła Wściekła Wilczyca. – Twierdzi, że zbiegł z armii cesarskiej. Jest tworem jednej z wielu intryg jego babci. Jak się miewa więzień?

– Znow stracił przytomność – odparła Chłodne Szczenię. – I nie udało mi się go ocucić.

Płonący Pies cisnęła przekleństwem.

– Zbyt wiele przyjemności ci to sprawia – stwierdziła.

– Twoja siostra ma rację – oznajmiła Wściekła Wilczyca. – Chcemy, żeby mówił, a nie tylko krwawił.

Chłodne Szczenię wzruszyła ramionami, a ja zdusiłem oburzenie i lęk. Miałem realną szansę na ocalenie Wilgi, ale wiedziałem, że wpadnę, jeśli okażę zbyt wielkie zainteresowanie jego samopoczuciem.

– Kiedy cesarstwo uzna, że należy wydobyć jakieś informacje z więźnia, przesłuchaniu zawsze towarzyszy Dłoń – powiedziałem. – Ich magia uzdrowicielska pozwala na stosowanie bardziej wyrafinowanych tortur, dzięki czemu ofiara nie opada zbyt szybko z sił.

– Oferujesz pomoc? – spytała Chłodne Szczenię. Miałem wrażenie, że się zastanawia. – Przecież ty należałeś do ich armii. Możesz nawet znać tego człowieka.

– To, kim był dla mnie wcześniej, jest bez znaczenia. – Wzruszyłem ramionami. – Teraz jest moim wrogiem.

W myślach obiecałem sobie, że gdy zapewnię Wildze bezpieczeństwo, spalę je obie na popiół.

Wściekła Wilczyca machnęła lekceważąco ręką.

– Cóż mógłby wiedzieć, czego ty nie wiesz, Dłoni cesarza? Musisz znać wszelkie plany!

– Znam – powiedziałem, choć żołądek znow mi się wywrócił. – Przynajmniej ich ogólny zarys. Najważniejszym celem armii cesarskiej nie jest zajęcie Żelaznego Miasta, ale zabicie ciebie i twoich dwóch córek. Uważają, że bez was bunt szybko zgaśnie. Mogę wam powiedzieć, że w nocy przez mury mogło się przedostać kilku zabójców, a Dłoń Przewodnik nie zaatakuję, dopóki nie będzie miał pewności, że znalazłyście się w potrzasku lub zostałyście zabite. Nie wtajemniczono mnie jednak w szczegóły taktyczne i jeśli mam być szczerzy, zawsze miałem wrażenie, że Dłoń Przewodnik powątpiewa w moją lojalność. Nie sądzę, żeby podzielił się tym, co ważne.

– Zatrzymałyśmy więźnia, który przekradał się tunelami – powiedziała Płonący Pies. – On i jego ludzie byli w strojach zwiadowców, ale mogli być zabójcami lub szpiegami.

– Być może – rzekła Wściekła Wilczyca z namysłem.

Nie miałem odwagi, by naciskać.

– Nie jestem ekspertem w torturach – odwróciłem się ku Chłodnemu Szczenięciu – ale chętnie ci pomogę, jeśli zechcesz.

– Będę o tym pamiętać – odpowiedziała oschle i odwróciła się w stronę wyjścia. – Zaraz, a czy ty nie powinnaś przypadkiem pilnować tunelu, siostrzyczko?

Płonący Pies wbiła w jej plecy wściekłe spojrzenie, a gdy Chłodne Szczenię wyszła, skinęła na mnie ręką i spytała:

– A co z nim?

– Wróć do swoich zadań, córko – rozkazała Wściekła Wilczyca. – A ja zajmę się naszym nowym... cóż, sojusznikiem.



Wściekła Wilczyca uznała mnie teraz za swojego gościa i nawet przydzieliła mi pokój w urzędzie sędziowskim, gdzie podano mi posiłek, składający się z cienkiej owsianki. Jednak gdziekolwiek się udałem, zawsze towarzyszyła mi grupa strażników. Niemalże czułem, jak ich broń wbijała mi się w plecy. Sama Wściekła Wilczyca zabrała mnie też ze sobą na inspekcję umocnień miasta. Uznałem to za osobliwą manifestację zaufania, ale poczytałem też za znak, że moja intryga zadziałała i wiedźma uwierzyła w kłamstwo.

Widziałem już, w jak rozpaczliwym stanie znajdowali się mieszkańcy Żelaznego Miasta. Teraz gdy nie musiałem już walczyć o oddech i miałem chwilę, by się rozejrzeć dookoła, nabrałem pewności, że Wściekła Wilczyca bez względu na powód, który pchnął ją do ataku na miasto, nie zdoła utrzymać go przez zimę. Zagłodziłaby mieszkańców, próbując jakoś wyżywić swoich żołnierzy, którzy i tak wyglądali na obdartych i wygłodniałych. Ostre rysy twarzy Wściekłej Wilczycy również zdawały się jeszcze ostrzejsze ze względu na niedożywienie.

Miałem nadzieję, że w trakcie obchodu trafimy także do więzienia, gdzie trzymano Wilgę, a wówczas będę mógł zabić Wilczycę i uwolnić przyjaciela. Jednak kobieta nałożyła hełm, podała mi drugi i ruszyła na mury, z których jej łucznicy nękali Sieneńczyków. Ich strzały więzły jednak w koronach drzew bądź spadały na ziemię na długo przed osiągnięciem celu. Sieneńczycy zaś nie odpowiadali na ostrzał, bo nawet ich oprawione w żelazo kusze nie zdołałyby osiągnąć murów Żelaznego Miasta z takiej odległości. Wściekła Wilczyca przyglądała się trasom patroli, które wytyczyłem poprzedniego dnia.

– Co myślisz o naszych szansach, Głupi Kundlu? – zapytała. – Znasz sytuację naszego wroga, wiesz, jakich ludzi i jaki sprzęt ściągnęło tu cesarstwo. Jak długo utrzymają oblężenie?

– Tyle, ile będzie trzeba – odparłem. – Zagłodzą nas przed końcem zimy, a sami przy tym będą jeść dostatnio, o ile utrzymają swoje linie zaopatrzenia.

Wściekła Wilczyca splunęła nad murem, a potem odwróciła się do Sieneńczyków i wskazała miasto.

– Spójrz. Widzisz te wieże niedaleko placu garnizonowego?

Zerknąłem tam, gdzie wskazywało jej ramię. Przy północnym murze wznosiły się dwa kopce – były to spichlerze na ziarno, zdolne pomieścić tyle prosa, by wyżywić ludność Żelaznego Miasta przez całą zimę. Spojrzałem też dalej, na sam garnizon. Mury wokół placu były o jedną trzecią niższe od tych, które okalały miasto. Z miejsca, w którym staliśmy, widziałem więźniów przywiązanych do pali – niedobitki z sieneńskiego garnizonu.

Oraz Wilgę. Nie widziałem go co prawda, ale gdzie indziej mógłby się znajdować?

– Wiesz, co zrobili Sieneńczycy, gdy wyszliśmy z tunelu? – ciągnęła Wściekła Wilczyca. – Otworzyli spichlerze, zalali ziarno olejem z lampy i podpalili je. A wiesz, co my zrobiliśmy, gdy przejęliśmy kontrolę nad miastem?

Pokręciłem głową, nie mogąc oderwać spojrzenia od placu garnizonowego w poszukiwaniu dowodów, że trzymają tam Wilgę. Gdybym je wypatrył, natychmiast zabiłbym Wściekłą Wilczycę, wpadł biegiem na plac i bronił go do końca szturm.

Ale musiałem mieć pewność.

Nagle uświadomiłem sobie, że Wściekła Wilczyca czeka, aż się odezwę, a moje milczenie oraz fascynacja dziedzińcem mogą wzbudzić podejrzenia. Zmusiłem się, by oderwać spojrzenie.

– Co takiego zrobiliście? – zapytałem.

– Wydaliśmy racje z naszych zapasów każdej rodzinie w mieście – odparła.

– To miło z waszej strony – powiedziałem. – Choć jeśli chcecie wygrać bitwę, decyzja do mądrych nie należała.

– Myślisz, że powinniśmy skazać ludzi na głodowanie? Albo uciec w chwili, gdy zjawi się cesarska armia, bo i tak nie zdołamy utrzymać miasta? – Wściekła Wilczyca pokręciła głową i wyszczerzyła zęby w uśmiechu. – Są bitwy, których wygrać się nie da, Głupi Kundlu. Są bitwy, które toczy się tylko po to, żeby przypomnieć wrogowi o naszym istnieniu oraz o tym, że nadal możemy ugryźć.

– I żeby przypomnieć ludziom o okrucieństwie imperium – dodałem. – Żeby rozniecić ich nienawiść, zanim znów pogodzą się z rządami Sieneńczyków.

– O to też tu chodzi – przyznała Wściekła Wilczyca i znów skierowała uwagę na cesarskie obozowisko. – A teraz powiedz mi, Głupi Kundlu, w którym namiocie mieszka Dłoń Przewodnik.

Milczałem przez chwilę.

– Dobrze go strzegą – powiedziałem.

– Mnie też – odparła. – A mimo to wysyła zabójców. Moi, jak sądzę, okażą się równie zdolni.

Wskazałem namiot w armii sieneńskiej – ten, który należał do mnie.

– To tamten. Choć Dłoń Przewodnik często go opuszcza, żeby przeglądać fortyfikacje.

Wściekła Wilczyca poklepała mnie po ramieniu, a potem poprowadziła ku schodom.

– Straż odprowadzi cię do pokoju. Być może jutro będziemy mogli świętować śmierć Dłoni, dzięki czemu zyskamy czas, żeby nadać temu oblężeniu większe znaczenie.



Przez resztę dnia miotałem się po pokoju, który przydzieliła mi Wściekła Wilczyca. Wiedziałem już, gdzie szukać Wilgi, i mógłbym przebić się do niego przez ulice miasta, ale co zrobię, jeśli się mylę? Nie miałem jak rozejrzeć się na placu garnizonowym bez wzbudzania podejrzeń, a zabójcy od Wścieklej Wilczycy mogli się zorientować, że okłamałem ich w sprawie lokalizacji namiotu Dłoni Przewodnika, i powiadomić ją po powrocie. Wówczas nie miałbym już wyboru – musiałbym ją zabić i mieć nadzieję, że Wilga nadal gdzieś żyje.

Zaczekałem na zmierzch, a potem, tak jakbym nie był pilnowany i miał możliwość swobodnego przechadzania się po mieście, otworzyłem drzwi i wyszedłem na korytarz. Dwóch żołnierzy natychmiast sięgnęło po broń, ale ja uniosłem ręce i uśmiechnąłem się głupkowato.

– Muszę się załatwić – powiedziałem. – Możecie mi pokazać drogę do latryny?

– Masz nocnik – rzucił jeden z nich.

– A który z was ma chęć go opróżnić? Nie mam ochoty spać tuż obok własnego łajna. A może to tak właśnie Wściekła Wilczyca traktuje swoich sojuszników?

– Ktoś chyba zbyt długo mieszkał w cesarskim pałacu – jeden ze strażników zwrócił się do towarzysza.

Założyłem ramiona na piersi, czując, jak wali mi serce. Próbowałem wymyślić jakiś inny plan, gdyby pierwszy okazał się porażką.

– Rety, wyprowadźcie mnie na uliczkę czy gdzieś – powiedziałem. – I to szybko.

Jeden ze strażników przewrócił oczami, ale rozluźnił się i ruszył przodem.

– Dziękuję – mruknąłem i udałem się za nim, a jego towarzysz podążył jako trzeci.

Wyszliśmy z budynku i skierowaliśmy się do sąsiedniego zaułka, bezludnego i koszmarnie cuchnącego. Było ciemno, a jedyne źródło światła stanowił pobliski kosz z żarem.

– To nazywamy tutaj latryną – powiedział strażnik przede mną. – Nie liczysz chyba na to, że odwrócimy się, gdy...

Wykonałem dwa układy Żelaznego Tańca – pochyliłem się, cofnąłem i wbiłem łokieć w gardło strażnika za mną. Ten złapał za własną szyję i przewrócił się, a ja lewą ręką odnalazłem rękojeść jego miecza i wyszarpnąłem go z pochwy. Strażnik przede mną zawirował i wznosił własną broń, ale ja byłem szybszy. Wykonałem kolejny krok i dźgnąłem go w oko. Kości oczodołu zazgrzytały niczym pękająca porcelana, a strażnik wydał z siebie ostatnie, drżące tchnienie i padł bez życia na brudną ziemię. Miecz

nadal tkwił w jego czaszce.

Twarz drugiego ze strażników stała się fioletowa. Patrzył na mnie wytrzeszczonymi, przekrwionymi oczami, a gdy wstrząsnął nim spazm, zrobiło mi się niedobrze, bo nagle zrozumiałem, że właśnie uchodzi z niego życie. Usiłowałem nie patrzeć na krew i mózg rozlewające się po ziemi.

Drżąc, wciągnąłem powietrze, ale opanowałem nerwy i ruszyłem w stronę placu garnizonowego. Wiedziałem, że ciała strażników zostaną niebawem odnalezione, a mój plan odkryty. Nie miałem więc wiele czasu, by odnaleźć Wilgę.



Czterech strażników przy drzwiach garnizonu wpatrywało się we mnie z podejrzliwością. Ja natomiast szedłem w ich stronę, robiąc wszystko, by nie zdradzić pośpiechu czy nerwowości. Byłem wdzięczny za mżawkę, która splukała krew ofiar z mojej twarzy.

– Chłodne Szczenie poprosiła mnie o pomoc w przesłuchiowaniu – powiedziałem, zanim ktokolwiek zdołał odezwać się choć słowem. – Dowiedziałem się od niej, że macie tu więźnia na skraju śmierci, który być może mimo jej starań nadal ukrywa ważne informacje.

– A jak niby miałbyś pomóc? – spytał jeden z mężczyzn. – Lekarzem jakimś jesteś czy co?

– Na pewno już o mnie słyszeliście. – Pokazałem im lewą dłoń. Cała czwórka znieruchomiała na widok tetragramu. – Nazywam się Głupi Kundel – ciągnąłem – i jestem czarownikiem, który przez jakiś czas pełnił funkcję Dłoni cesarza. Kradłem sieneńską magię dla powstania.

Kłamstwo wzmocnione elementami prawdy okazało się przekonujące. Czy istniał bowiem inny powód, by Dłoń cesarza podszedł do nich i zdradził swoją obecność? O wiele łatwiej byłoby spalić ich na popiół za pomocą magii bitewnej. Strażnicy, machając dłońmi, wpuścili mnie do środka bez słowa.

Kwadratowy plac, na którym garnizon Żelaznego Miasta zbierał się i ćwiczył musztrę, został wybrukowany i ciągnął się na jakieś sto kroków. Bruk był w kiepskim stanie, a między kamieniami wyrastały kępy trawy. Niektóre wydawały się poplamione krwią, co mogło być pamiątką ostatniej, rozpaczliwej walki między obrońcami a siłami Wściekłej Wilczycy. Lub tortur.

Tuzinowi niedobitków związano nadgarstki, łokcie i kolana, a potem posadzono ich w rzędach. Przyjrzałem im się w świetle pochodni, ale nie dojrzałem Wilgi. Dopiero po chwili zauważyłem słupy wbite w ziemię na przeciwnym krańcu placu. Zwisiał tam młody mężczyzna, nagi i poznaczony sińcami. Jego mokre włosy opadały w strąkach, palce były połamane i poczerniałe, kończyny powykręcane pod nienaturalnym kątem. Pozycję pionową utrzymywał tylko dzięki temu, że na nadgarstkach zaciśnięto mu kajdany.

W pierwszej chwili go nie rozpoznałem, bo Wilga, którego znałem, był zawsze rozentuzjasmowany i pełen wigoru, gotów posmakować wojny. W tym strzępie człowieka nie widziałem wiele znajomego, ale z przejmującym chłodem uświadomiłem sobie, że to musiał być Wilga.

Ogrom przemocy, którą widziałem i do której się przyłożyłem przez ostatnie dwa dni, w połączeniu z głodem i niewyspaniem nagle zwałił się na mnie i poczułem się słaby i przerażony. Niespodziewanie, choć graniczyło to z absurdem, zateęskniłem za doktorem Sho, którego lekarskie praktyki wyprowadziły mnie z koszmaru. Zapragnąłem, by zrobił to samo dla Wilgi.

Mój przyjaciel nadal żył, choć jego krótki, spłycony oddech z trudem przedostawał się przez spuchnięte wargi. Sińce na klatce piersiowej sugerowały, że złamano mu większość żeber. Istniało prawdopodobieństwo, że płuca, żołądek, a nawet jelita zostały podziurawione przez popękane kości.

– Wilgo! – szepnąłem, ujmując jego twarz. Marzyłem o tym, by otworzył oczy. Tak bardzo chciałem usłyszeć jego głos. – To ja, Olcha. Jestem tu. Wszystko będzie dobrze.

Jedyną odpowiedzią był ciężki oddech, zagłuszony szumem deszczu i szcękaniem łańcuchów.

– Wilgo, powiedz coś – szepnąłem. W moim głosie zagościła panika. – Otwórz oczy. Zamrugaj, jeśli boli cię za bardzo, żebyś mógł się odezwać.

Nie było reakcji. Nawet jeśli usłyszał mój głos, nie mógł się przebić przez barierę bólu.

Magia uzdrowicielska wymagała wskazówek. Gdybym wlał w niego moc bez zastanowienia, nie wiedząc, co chcę wyleczyć, jego ciało doznałoby szoku, podobnie jak doznały go tamte ptaszki, które

umierały pod moją opieką. Chłodne Szczenię wyrządziła mu straszliwą krzywdę i Wilga mógł lada moment umrzeć z powodu ran, a więc musiałem podjąć ryzyko i ustabilizować sytuację, a potem spróbować zabrać przyjaciela z Żelaznego Miasta. Wraz z Dłonią Przewodnikiem moglibyśmy wówczas przystąpić do normalnego leczenia. Sięgnąłem do kanonu i położyłem dłoń na piersi Wilgi.

– A więc rzeczywiście go znasz.

Zerwałem się na równe nogi i odwróciłem w stronę głosu. W tej samej chwili przeszył mnie skurcz towarzyszący bliskiej przemianie magicznej. Ciemny pierzasty cień przemknął nad moją głową, a gdy odwróciłem się ku niemu, zobaczyłem Chłodne Szczenię klęczącą za Wilgą. Przyciskała nóż do boku jego szyi.

– Chłodne Szczenię – zacząłem, przetrząsając umysł w poszukiwaniu jakiegoś kłamstwa, jakiejś linii ataku, czegokolwiek, co skłoniłoby ją do odsunięcia noża od szyi mojego przyjaciela. – Wystała mnie twoja matka. Chciała, żebym się upewnił...

– Nie, wcale nie – powiedziała Chłodne Szczenię. – Śledziłyśmy cię na zmianę z Płonącym Psem od chwili, gdy się rozstaliście. Szłam za tobą od tej alejki. Byłam... cóż, ciekawa, co poczniesz. Chciałam wiedzieć, po co wkradłeś się do Żelaznego Miasta, skoro nie chciałeś zabić matki.

Czubek noża wbił się w skórę Wilgi. Po jego karku pociekła strużka świeżej krwi, znajdując drogę wśród plam tej już zaschniętej. Pochyliłem się naprzód, próbując odzyskać panowanie nad sytuacją. Czy zdołałbym przebić jej serce błyskawicą tak, by nie trafić Wilgi? Nie było to niewykonalne – widziałem o wiele trudniejsze popisy magii bitewnej w wykonaniu Dłoni Przewodnika – ale powstrzymał mnie lęk.

– A więc kim on jest dla ciebie? – spytała Chłodne Szczenię. – Dlaczego jest tak cenny, że jesteś gotów zaryzykować własne życie i poświęcić szansę na uśmiercenie straszliwej Wściekłej Wilczycy, żeby móc go ocalić?

– To syn gubernatora – powiedziałem.

Pokręciła głową.

– A ty jesteś Dłonią cesarza, co czyni cię osobą o wiele ważniejszą od niego, nawet jeśli chłopak pochodzi z dobrej rodziny. No, dalej, Głupi Kundlu – zachęciła, wbijając nóż głębiej w skórę mojego przyjaciela. Pocięła większy strumyk. – Powiedz prawdę.

Z ust Wilgi wyrwał się jęk, a ja sięgnąłem do drugiego kanału i cisnąłem w ziemię błyskawicę, roztrzaskując bruk i wywołując jęki przerażenia wśród pozostałych więźniów.

– Matka to wyczuje – powiedziałem. – I przybędzie tu, bojąc się o twoje życie. W chwili, gdy przekroczy tę bramę, przebiję jej serce!

– Nie, wcale nie. – Oczy Chłodnego Szczenięcia patrzyły hardo. Zaciśnęła zęby, a blizna obok ust zafalowała. – Ucieknie i podejmie walkę kiedy indziej, bo właśnie odsłoniłeś swoje zamiary i groźba zamachu na jej życie stała się realna.

– Wspaniała z niej matka – warknąłem. – Gotowa porzucić swoje dziecko. Jestem mistrzem kłamstwa, Chłodne Szczenię. Wychodzi mi to znacznie lepiej niż tobie. Pozwól mi go zabrać i opuścić Żelazne Miasto, a oszczędzę życie tobie, matce i siostrze.

– Nie słyszałeś, co ci mówiła, Głupi Kundlu? – Chłodne Szczenię napięła mięśnie. – Celem walki wcale nie jest zwycięstwo, a z całą pewnością nie jest nim ocalenie życia. Walczymy po to, żeby pokazać, że nadal możemy skrzywdzić imperium i jego sługi.

– Zaczekaj! – krzyknąłem. – Nie zabijaj go! To mój przyjaciel!

Uśmiech Chłodnego Szczenięcia był powolny i okrutny.

– Wreszcie wyznałeś choć odrobinę prawdy – powiedziała i rozcięła Wildze gardło.

Zamarłem, patrząc na scenę z niedowierzaniem. A wtedy Chłodne Szczenię skoczyła w moją stronę. Owionęła mnie fala jej mocy, przywodząca na myśl chorobliwą gorączkę.

Otworzyłem dłoń. Dziewczyna stworzyła chmurę ognia, ale moja błyskawica przecięła ją i pchnęła Chłodne Szczenię na ziemię. Kolejny impuls magii bitewnej rozrząbał bruk pod nią, a trzeci zamienił ją w zwęglony zewłok.

Wycie w mojej głowie zagłuszyło wszelkie myśli o celu misji, o zabiciu Wściekłej Wilczycy i obłączeniu. Istniała dla mnie jedynie ogromna rana ziejąca w szyi Wilgi i krew zbierająca się w kałużę

u jego stóp. Złapałem nóż Chłodnego Szczenięcia i rozrąbałem nim zamek kajdan, a potem objąłem Wilgę i ułożyłem go na ziemi. Jego skóra nadal była ciepła, ale nie oddychał.

– Nie, nie... – wyjąkałem i sięgnąłem do trzeciego kanału.

Wykorzystanie mocy przyćmiło mi zmysły i blade ciało Wilgi wydało mi się niemalże zdrowe. Uniosłem tetragram nad jego gardło i zmusiłem okropną ranę, by się zamknęła. Naraz przypomniały mi się ptaki, które umierały na moich dłoniach, i skupiłem się bardziej, ale krew na bruku oraz na piersi i szyi Wilgi mówiła wprost, że niepotrzebnie siłę się na ostrożność.

Gdzieś z południa nadbiegł huk przypominający uderzenie pioruna. Była to pierwsza z wielu eksplozji sienneńskich granatów. Poczułem, jak moje płuca wypełnia chłód, a skórę powleka gorąco, gdy Dłoń Przewodnik cisnął błyskawicą. A więc wyczuł ostrzeżenie, które skierowałem do Chłodnego Szczenięcia, a potem efekty naszego starcia i ruszył wreszcie do ataku.

Za późno.

Sięgnąłem głębiej do kanonu, pobierając z trzeciego kanału, ile się dało. Moc obmyła mnie niczym spieniony strumień, zalewając moje zmysły, aż świat zamienił się w płataninę kolorów i niewyraźnych dźwięków. Przycisnąłem dłoń do rany Wilgi, jak gdyby zamknięcie tak drobnej przestrzeni pustego powietrza mogło uczynić jakkolwiek różnicę, i wlałem w niego moc.

Jego serce przestało pracować. Rany pozostały.

Sięgnąłem po całą moc, jaka mi została, ale natrafiłem na kamienne ściany kanonu. Dotknąłem granic mocy, którą cesarz przeznaczył swoim poddanym. Waliłem o nią z wściekłością, a z moich ust wyrwał się wrzask desperacji. Gdy jako dziecko dotknąłem magii po raz pierwszy, nie natrafiłem na takie ograniczenia. Moja wola unosiła się nad strukturą świata i mogłem dowolnie kształtować rzeczywistość. Zasklepienie ran Wilgi, nawet teraz, gdy już nie żył, przywrócenie życia jego sercu i ponowne uruchomienie płuc byłoby błahostką, gdybym nadal władał taką mocą. Kanon jednakże nie pozwalał nikomu wykroczyć poza to, czego chciał cesarz. A cesarz nie podzielał mojego pragnienia, by przywrócić Wildze życie.

Dysponowałem jednak inną magią.

Uchwyciłem się ostatniej nadziei i sięgnąłem po sztukę czarnoksięską uprawianą przez babcię, która przywróciła mnie do życia tej nocy, gdy przeobraziłem się w potwora.

Poczułem tchnienie ognia, a mięśnie unieruchomił skurcz towarzyszący przemianie. I nic ponadto. Nie natrafiałem na żadną tajną sztukę leczenia.

Jak ona tego dokonała? Moja frustracja przeobraziła się w wyjący wściekle gniew. Wiedziałem tak mało! Odebrano mi wszystkie możliwości, by naprawdę się czegoś nauczyć! Ograniczyły mnie zamysły i plany innych ludzi, odcięto mnie od mocy, która mogła ocalić mojego przyjaciela.

Rozpacz wyszarpnęła we mnie bezdenną otchłań. Mogłem tylko wtlaczać coraz więcej uzdrowicielskiej magii w ciało Wilgi, co przypominało wlewanie wody do przepaści. Świat rozmazał się, aż pozostał z niego jedynie Wilga, jego rany oraz ta żałosna magia. Nadal z niej czerpałem, wciąż wierząc, że rany w końcu się zasklepią, sińce zbledną, płuca wypełnią się powietrzem, a serce znów zabije.

– Olcho! – odezwał się znajomy głos, zniekształcony i złagodzony, jakby dobiegał spod wody.

Poczułem czyjaś dłoń na ramieniu, a potem druga dłoń objęła moją twarz i odciągnęła spojrzenie od Wilgi. Dłoń Przewodnik wpatrywał mi się w oczy. Jego oblicze było rozmazane i niewyraźne, ale mimo to ujrzałem na nim panikę.

– Zostaw go, Olcho! – nalegał. – Zostaw go. On nie żyje!

Słowa Dłoni Przewodnika przebiły się przez mój niedowierzający umysł. Wyrwałem mu się, przypadłem do Wilgi i znów natarłem na ściany kanonu, choć wiedziałem, że nigdy się nie przebiję. Mimo to uderzałem w nie raz za razem. Moja jedyna nadzieja – oraz nadzieja Wilgi – leżała w większej, głębszej mocy, której dotknąłem, zanim mój świat został zawężony paktem i kanonem.

– Olcho!

Nie słuchałem go, a więc znalazł inny sposób, by do mnie dotrzeć.

Poczułem jego magię nawet mimo tego, że moja własna moc mnie ogłuszyła. Uderzyła we mnie ciężka fala, przywodząca na myśl zatrzymany oddech, a na ramionach poczułem ogromny ciężar. Magia

transmisji. W kącikach moich oczu rozbłysły światła, a potem coś unieruchomiło mi ręce i nogi. Jakaś siła przycisnęła moje dłonie do boku i zwarła mi kolana. Opadłem na ziemię obok Wilgi. Nadal próbowałem wyszarpnąć jakąś niemożliwą moc spoza kanonu, ale moja wola słabła, jakby naraz stała się ociężałą, nieczułą kończyną.

– Przestań, Olcho! – Głos Przewodnika przeistoczył się w szorstki rozkaz, któremu nie można było się oprzeć. – Już nic dla niego nie zrobisz!

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie prawdę. Gdy odzyskałem panowanie nad sobą, ujrzałem, że moje nogi i ramiona zostały skrępowane pasmami opalizującego światła. Wpatrywałem się w nie z oszołomieniem, aż magiczne twory zamigotały i znikły.

– Olcho! – Dłoń Przewodnik uklęknął przy mnie i wyciągnął rękę. – Już nic ci nie grozi.

– Co... co ty mi zrobiłeś? – spytałem trzęsącym się głosem.

Jego twarz na moment nabrała surowego wyrazu.

– To, czym się zajmowałeś, było bardzo niebezpieczne. Nie można wskrzeszać martwych, Olcho.

W ten sposób tylko sam byś się zabił.

– Co zrobiłeś? – naciskałem.

– Wykorzystałem rodzaj magii, który również kiedyś poznasz. – Złapał mnie za rękę, by pomóc mi wstać. – Ale póki co opowiedz mi, co tu się działo.

Próbowałem odzyskać równowagę i zdołałem się podnieść, ale gdy spojrzałem na ciało Wilgi, pochwyciły mnie spazmy rozpacz. Pustym żołądkiem targnęły nudności.

– Zrobiłeś wszystko, co było możliwe. – Przewodnik trzymał mnie za ramiona, bym nie upadł.

– Nie – warknąłem i wyrwałem się z uścisku. Moja rozpacz zapłonęła i przeistoczyła się w gniew. – Nie, wcale nie, a ty nie pomogłeś! Mogliśmy zaatakować dziś rano! Mogliście go uratować!

Na twarzy Przewodnika widać było gniew, ale nie zareagował na zarzut. Jego wzrok odnalazł zwęglone szczątki Chłodnego Szczenięcia, leżące pośród strzaskanych kamieni bruku w kałuży błota i brudu.

– Czy to...

– To była jej córka – powiedziałem. – Nie wiem, gdzie jest Wściekła Wilczyca. Ma jeszcze jedną córkę, która pewnie broni teraz tunelu.

Dłoń Przewodnik miał na tyle taktu i przytomności umysłu, by nie zareagować na moją porażkę. Znowu spojrzał na Wilgę, a przez jego twarz przemknął żal.

– Mogliśmy go uratować – powtórzyłem.

Mój mentor otworzył usta, jakby chciał odpowiedzieć, ale szybko je zamknął. Deszcz mieszał się z krwią Wilgi, spływającą czerwonymi strużkami.

– Uporam się z Wściekłą Wilczycą, jeśli nadal przebywa w Żelaznym Mieście – powiedział i gestem wskazał resztę więźniów, członków cesarskiego garnizonu. Uwijało się wśród nich kilku żołnierzy, którzy otwierali im kajdany czubkami sztyletów. – Zaprowadź ich do naszego obozu – polecił. – Nayeńczycy nadal stawiają opór, ale poddadzą się bez swoich wiedz.

– Mogliśmy...

– Mogliśmy – powtórzył Dłoń Przewodnik stanowczo. – Ale stało się inaczej i teraz będziemy musieli żyć ze świadomością tego błędu.

– Błędu? – Głos mnie zawiódł. – Nasz błąd kosztował Wilgę życie. Kosztował życie wielu ludzi...

– Śmierć jest nieodłączną towarzyszką wojny.

– Jakiej wojny? – wykrzykiwałem swój gniew ochryplym głosem. – Nie ma żadnej wojny! Mamy tylko kilku malkontentów, którzy opanowali miasto na skraju śmierci głodowej! Mogliśmy ich zmusić do poddania się zaraz po naszym przybyciu! Wściekła Wiedźma i tak by uciekła, a Wilga nadal by żyła!

– A cóż takiego zrobiłeś, żeby go ocalić, skoro spędziłeś aż dwa dni w towarzystwie naszych wrogów? – parsknął mój mentor.

Uspokoilem się, czując swędzenie wiedzniczych znaków. Jedna tarcza kłamstw została strzaskana podczas starcia z Chłodnym Szczenięciem. Pora zasłonić się inną.

– Naprawdę wierzysz w to, że pozwoliliby ochotnikowi ze wsi, który zresztą przybył w trakcie oblężenia, pilnować ich najcenniejszego więźnia? – spytałem ostro. – Dali mi pozycję na murze!

Porzuciłem ją przy pierwszej dogodnej okazji, zabiłem dwóch ludzi, którzy próbowali mnie zatrzymać, i dotarłem do Wilgi, gdy ten jeszcze żył. I to tylko po to, żeby zobaczyć, jak Chłodne Szczenie podrzyna mu gardło. Zdaje mi się, że dokonałem więcej od ciebie.

Jego oblicze znów nabrało surowego wyrazu. Miałem tylko nadzieję, że dzięki mojej bezczelności owe półprawdy, wyrzucone bez szacunku czy dbania o normę społeczną, zabrzmiały bardziej przekonująco.

– Twój żal jest zrozumiały – odparł w końcu, choć chłodno. – Dlatego nie skomentuję twojego braku szacunku. Zrobisz jednak to, co ci każe, Olcho.

Z tymi słowami opuścił plac garnizonowy, a ja stałem nieruchomo i w odrętwieniu spoglądałem na kotłujące się chmury. Czekałem, aż moi ludzie oswobodzą wszystkich więźniów. Chwilę później poczułem efekty uwolnionej magii bitewnej oraz skurcz w ramionach, co oznaczało, że Dłoń Przewodnik odnalazł Płonącego Psa lub Wściekłą Wilczycę, a te zmieniły postać i uciekły. Ku mojemu zaskoczeniu przyjąłem to odkrycie z gorzką satysfakcją. Choć Wściekła Wilczyca być może przeżyła i nadal będzie cierniem w boku imperium, zapłaciła za powstanie życiem córki i poniosła porażkę, która może źle wpłynąć na jej legendę. A Dłoń Przewodnik mimo swojej oschłości i zawziętości nie zdołał jej zabić.

Dostrzegalem potworną sprawiedliwość w tym, że tych dwoje wojowników bez końca zataczało wokół siebie kręgi, zadawało sobie drobne rany i wykrwawiało się nawzajem, ale wciąż nie było zdolnych zadać decydującego ciosu. Żałowałem, że nie mogą stoczyć swojej walki gdzieś na uboczu, poza strukturami świata, gdzieś, gdzie ich wojna nie kończyłaby się oblężeniami i głodem i gdzie romantyczne opowieści o wojnach z przeszłości nie skłoniłyby młodych ludzi do poszukiwania chwały tylko po to, by zaciągnąć ich ku śmierci.

Rozpacz i tłumaczenie

Nie straciliśmy wielu ludzi. Pochowaliśmy ich z wszystkimi honorami na cmentarzu Żelaznego Miasta. Ciała Nayeńczyków zostały spalone. Dłoń Przewodnik poprosił naszych lekarzy, by przygotowali ciało Wilgi do długiej podróży powrotnej w samym środku lata. Wóz, w którym go ułożono, pachniał solą, piaskiem i drewnem cedrowym. Zrobiono coś, by zachować jego ciało, choć nie chciałem wiedzieć, co dokładnie.

Wczesne tajfuny przeszły i niebo się roz pogodziło. Wraz z Przewodnikiem i większością naszych sił opuściliśmy Żelazne Miasto w nadziei, że uda nam się zejść z gór przed kolejnym cyklem burz. Spędziliśmy tam dwa tygodnie, które spowodowały spustoszenie w mojej psychice. Wyjeżdżałem struty, załamany i zniechęcony do wojny po rozlaniu pierwszej krwi.

Nie rozmawiałem wiele z Dłonią Przewodnikiem podczas powrotu do Wschodniej Fortecy. Nasze rozmowy dotyczyły głównie pogody – o wiele łagodniejszej po burzach, które spowolniły nasz marsz do Żelaznego Miasta – lub miejsca na kolejny obóz. Żaden z nas nie wspominał o Wildze, choć wyraźnie odczuwaliśmy pustkę po jego utracie, a wóz z jego ciałem, osłonięty pogrzebową bielą z tetragramem ojca, zawsze zamykał kolumnę. Nie wracaliśmy też do mojego wybuchu na placu garnizonowym ani do magii wiążącej, którą spętał mnie Dłoń Przewodnik. Miałem wrażenie, że nasza więź uległa zerwaniu, a rany wciąż się nie zagoiły. Żelazne Miasto miało być krokiem naprzód, jednym z wielu na drodze ku Akademii Cesarskiej, a tymczasem zapłaciłem za tę wyprawę życiem przyjaciela i resztką nadziei.

Pod koniec lata, gdy Nayen znów nawiedziły tajfuny, dotarliśmy wreszcie do Wschodniej Fortecy. Wysłaliśmy przodem posłańców, dzięki czemu przygotowania do pogrzebu Wilgi zostały już poczynione. Jego namiot nie pachniał już tak bardzo przyprawami i ludzie zajmujący się ciałem zmarłego zasłaniali nosy i usta wonnymi chustkami.

Mimo to Głos Złota Zięba, który powitał nas w bramie cytadeli w białym stroju, zgoliwszy włosy i brodę na znak żałoby, rzucił się na wóz. Targany szlochem, przycisnął naznaczone tetragramem czoło do mokrego od deszczu płótna kryjącego karawan.

– Mój syn – jęknął. – Och, mój głupi syn...

Po chwili podniósł się i spojrzał na mnie. W jego oczach dojrzałem błysk nienawiści, zanim przeniósł wzrok na Przewodnika.

– Czeka nas rozmowa – rzekł.

– Gdy twój syn zostanie oddany ziemi i zakończy się żałoba, będę... – zaczął Dłoń Przewodnik z ukłonem, ale Złota Zięba przerwał mu ochrypłym głosem:

– Nie. Teraz porozmawiamy. A potem go pochowamy.

Na jego znak strażnicy ujęli wodze mułów ciągnących karawan i odprowadzili zwierzęta na bok. Gubernator skinął na mojego mentora, a ten udał się za nim. Żaden z nich nie zwrócił uwagi na mnie. Ja zaś, zapomniany przez starszych rangą, dałem znać zarządcy, by rozładował mój bagaż i zaniósł go do pokoju, a potem udałem się do odosobnionego pawilonu za wielką skałą, gdzie Dłoń Przewodnik przekazał mi wiele spośród swoich lekcji.

Musiałem pokonać trawiastą łąkę, gdzie Wilga uczył mnie jazdy konnej. Jakiś stajenny, który na znak żałoby owinął sobie dłoń białą tkaniną, układał właśnie młodego ogiera.

Dotarłem do pawilonu, usiadłem i przyglądałem się zimorodkom, które nurkowały w poszukiwaniu jedzenia, nie zważając na lekki deszcz. Usiadłem w tym cichym miejscu, sam jeden, wyobcowany w ogrodzie, który przez ostatnie lata był moim domem, a wtedy pustka we mnie nagle się wypełniła, zupełnie jakby woda wdarła się w pęknięcie w tamie.

Straciłem Wilgę. Straciłem wszystko. Płakałem bez końca. Zapewne też podświadomie

odszukałem najbardziej pocieszające z moich wspomnień, bo nagle zacząłem myśleć o matce, która siedziała u mojego boku, co nie przystoi żadnej Sienence, karmiąc mnie lepkiem ryżem i jałowym rosołem.

Żałowałem, że nie mogę powrócić do tej chwili, kiedy to matka z babcią wspólnie się mną zajmowały. I wtedy po raz pierwszy w życiu doznałem koszmarnej izolacji, jaką przynosi ze sobą dorosłość.



Dwa dni później Głos Złota Zięba poprowadził swoich domowników w procesji pogrzebowej. Wraz z bratem Wilgi, Lotką, odbyli zeszłej nocy czuwanie, układając wiersze ku pamięci zmarłego i ryjąc je w surowym drewnie trumny. O świcie służący przenieśli ją na wewnętrzny dziedziniec, a Głos i Lotka udali się za nimi. Dalej podążała ich matka, ubrana w wielowarstwową szatę z ciężkiej białej gazy, zawodząc i drżąc, co chwila wspierając się na kimś i okazując rozpacz, jakiej spodziewano się po kobiecie w żałobie. Ja i Dłoń Przewodnik szliśmy obok siebie bez słowa. Za nami zawodowe płaczki wyły i rozdzierały szaty, a trubadur grał na flecie pieśń przywodzącą na myśl wycie duchów.

Przeszliśmy przez ogród, mijając drzewa i pawilony przystrojone modlitwami za zmarłych, aż dotarliśmy do miejsca, które Głos Złota Zięba wyznaczył na pochówek syna. Służba wykopała już komorę w zboczu pagórka, na którego szczycie rosła młoda śliwa. Trumnę umieszczono w środku, a służący zaczęli ją zasypywać. Następnie Głos ujął pierwszą ze stu białych cegiełek, które miały oznaczyć grób jego syna. Zważył ją w dłoni i spojrzał na śliwę, której gałęzie były ciemne od listowia, choć jeszcze wolne od kwiatów.

– W swoim „Przesłaniu dla żywych i martwych” Wędrujący Wąskim Traktem pisze, że całe życie sprowadza się do krótkotrwałego objawienia w wielkiej strukturze świata. Radzi też, by opłakiwać zmarłych, ale tylko tak, jak się opłakuje koniec pieśni czy tańca. „Tak jak spieniona fala musi powrócić do oceanu, tak też zmarli wracają do struktury”, dowodzi. Taki los spotkał mojego syna Wilgę.

Położył cegielkę, która miała się stać kamieniem węgielnym bramy upamiętniającej przejście Wilgi ze świata żywych do świata zmarłych. Lotka umieścił następną, jego matka kolejną, a pozostali żałobnicy poszli w ich ślady. Ja również chciałem wziąć udział w tym rytuale zamknięcia, ale dobrze pamiętałem spojrzenie, jakim obdarzył mnie Głos podczas swojej mowy. Poczulem wówczas taki wstyd, że nie zdobyłem się na to, by wystąpić i podnieść cegielkę.

Dłoń Przewodnik również się zawahał. Drgnął, dopiero gdy podszedł do niego sam Głos i wręczył mu cegielkę. Wówczas, być może zachęcony przykładem ojca, to samo zrobił Lotka.



Jego widok obudził we mnie ból. Lotka był trzy lata młodszy od Wilgi, ale przypominał go we wszystkim. Miał takie same ciemne włosy i taką samą jasną skórę, może nieco węższy nos, ale identyczną mocno zarysowaną szczękę oraz bystre oczy.

– Weź – nalegał, wciskając mi cegielkę do rąk, gdy się zawahałem. – Bez względu na to, co się stało, byliście przecież przyjaciółmi.

Jego życzliwość wstrząsnęła mną i przez moment myślałem, że stracę panowanie nad sobą, ale nabrałem tchu i wziąłem białą, szorstką cegłę, przyjmując wraz z nią przebaczenie. Umieściłem ją na kolumnie po lewej i cofnąłem się.

Kiedy rytuału dopełnił ostatni z żałobników, Głos Złota Zięba poprowadził procesję do sali

audiencyjnej, gdzie mieliśmy spożyć prosty, niewyszukany posiłek, by uczcić życie Wilgi. Ja zostałem z tyłu i patrzyłem, jak służba kończy budowanie niewielkiej, sięgającej talii bramy. Łącząc cegły zaprawą, zamknęli trumnę. Surowe drewno miało z czasem zgnić i oddać jego ciało ziemi i strukturze świata.



Podczas gdy Głos Złota Zięba zamknął się, by na osobności odbyć żałobę, jego obowiązki przejął Dłoń Przewodnik. Wysyłał mi kurierów z dokumentami i księgami z Urzędu Handlu i z poleceniem, żebym zaznaczał wszystko, co wydawało się niecodzienne lub godne jego uwagi. Wykonywałem zajęcie najlepiej jak mogłem, ciesząc się za każdym razem, gdy udało mi się dojrzeć jakąś skazę w polityce handlowej. Przez całe godziny pisałem analizy bądź listy argumentujące sugerowane zmiany, dzięki czemu mogłem zapomnieć o żałobie.

Rozpacz jednak pojawiała się, gdy tylko odkładałem pędzelek.

Nie wróciłem do nauki magii. Zastanawiałem się, czy w ogóle jeszcze kiedyś do tego dojdzie i czy naprawdę tego chcę. Magia nie pomogła mi w uratowaniu życia Wilgi, a po prawdzie wszystkie kroki, które miały mnie doprowadzić do większej mocy – zarówno wiedźmie znaki, jak i cesarski tetragram – w efekcie tylko mnie ograniczyły. Jedyne Akademia Cesarska, gdzie mogłem pofolgować własnej ciekawości, obiecywała mi jeszcze szansę na prawdziwe zrozumienie magii. Aby tam dotrzeć, musiałem udowodnić swoją przydatność jako Dłoń cesarza, jako broń w bezcelowej wojnie podobnej do tej, która kosztowała Wilgę życie.

Spędziłem większą część jesieni i zimy w pawilonie, z którego widziałem grób Wilgi. W wolnym czasie czytałem mityczne romanse, które mój przyjaciel tak bardzo kochał. Gdy zbliżał się koniec zimy, na rosnącej nad grobem śliwie pojawiły się czerwone i żółte kwiatki, mimo że wszystkie inne drzewa i krzewy tkwiły wciąż w zimowym śnie. Wtedy to wreszcie odwiedził mnie Dłoń Przewodnik. Od powrotu z Żelaznego Miasta rzadko się widywaliśmy, a rana, jaką otworzyła w naszych stosunkach śmierć Wilgi, nadal się jątrzyła. Mentor przyniósł imbryk z jaśminową herbatą i napełnił dwie filiżanki.

– Dobrze sobie radziłeś przez ostatnie dwa miesiące – powiedział, podając mi herbatę. – Zawsze mówiłem, że masz głowę do ekonomii.

Odłożyłem książkę, ale nie wziąłem od niego filiżanki. Dłoń Przewodnik postawił ją na stole i splótł ręce.

– Głos Złota Zięba i ja omówiliśmy sytuację i poradziliśmy się cesarza – rzekł. – Wspólnie ustaliliśmy, że powinieneś dokończyć studia nad magią z dala od Nayenu.

Poczułem się niepewnie na myśl o tym, że Dłoń Przewodnik i Głos Złota Zięba przedstawili moją porażkę cesarzowi i rozmawiali o mnie, co mimo wielu mil dzielących Nayen od Północnej Stolicy było możliwe dzięki magii transmisji. Wspólnie uznali, że należy mnie przenieść. Czy Dłoń Przewodnik wstawił się za mną? Choć tak naprawdę powinienem się martwić tym, czy akademia kiedykolwiek otworzy swe podwoje przed Dłonią odrzuconym przez własnego nauczyciela. Z drugiej strony być może powinienem się cieszyć, że nie odrąbano mi lewej ręki w ramach kary za porażkę.

– Dokąd mnie wyślecie? – spytałem.

Zamiast odpowiedzi Dłoń Przewodnik wyciągnął z kieszeni szaty trzy małe książeczki. Jedna była oprawiona w skórę, a wzdłuż grzbietu ciągnęły się dziwne litery, których nie rozpoznałem. Druga, oprawiona w zwykłe płótno, nosiła tytuł: „Język handlowy ludu An-Zabat. Podręcznik podstawowy”. Trzecia, stara księga z drewnianą okładką, nazywała się: „Folklor i legendy Pustkowia Batir”. Jej tytuł wypisano archaicznymi logogramami.

– Niebawem w mieście An-Zabat na zachodnim skraju naszego imperium zwolni się posada ministra handlu – powiedział Dłoń Przewodnik, gdy oglądałem książki.

– Chcesz mnie mianować ministrem handlu? – Oderwałem wzrok od podręcznika. – Przecież jestem jedynie adeptem! Znam tylko dwa kanały kanonu i...

– W ciągu ostatnich kilku miesięcy trzykrotnie znalazłeś błędy popełnione przez nayeńskie Ministerstwo Handlu, a nowe strategie handlowe, które zaproponowałeś, zostały wprowadzone w życie

i uznane za skuteczne – przerwał mu Dłoń Przewodnik. – W An-Zabat powrócisz do nauki kanonu pod okiem stacjonujących tam Dłoni. An-Zabat to centrum naszego handlu na zachodzie, a więc siłą rzeczy to oaza dla tajemnej wiedzy i nauki z innych krajów. To miejsce z pewnością cię zafascynuje.

– Przewodniku, ja... To nie jest przypadkiem kara za moją klęskę w Żelaznym Mieście?

Nigdy dotąd nie widziałem, by jego twarz tak złagodniała.

– Dłoń cesarza może przemierzać świat wieloma ścieżkami – oznajmił. – Cesarstwo to wielki projekt i znajdzie się w nim dla nas wiele zastosowań. Wojna to tylko jedno z nich. Wykonałeś już pierwsze kroki na dwóch takich ścieżkach: zaznałeś wojny i sprawdziłeś się w bardziej biurokratycznej, ministerialnej roli. Myślę, że obaj się zgodzimy, że ta druga bardziej ci odpowiada.

– Wydaje mi się, że w ten sposób Głos wysyła mnie jak najdalej od siebie. – Czułem, jak opada ze mnie napięcie. – Po tym, co stało się w Żelaznym Mieście. Z jego synem.

Przewodnik parsknął śmiechem.

– Mogło być tak, że zgodził się na moją sugestię właśnie z tego powodu, ale propozycja umieszczenia cię w An-Zabat wyszła ode mnie, a nie od niego. To naprawdę najlepszy krok w drodze ku akademii. Jeśli się wyróżnisz, skupisz na sobie uwagę cesarza i zdobędziesz to, czego pragniesz. – Wskazał książki na stole między nami. – An-Zabat leży daleko stąd i to niedawno podbite terytorium. Wielu spośród miejscowych nie mówi po sienieńsku. Dzięki tym książkom przed dotarciem na miejsce będziesz mógł poznać nieco ich język i kulturę.

Raz jeszcze zerknąłem na książki, a potem na twarz Przewodnika, pełną otwartości i sympatii. Nigdy nie doznałem od niego aż tyle życzliwości. Myślam cofnąłem się do naszego powrotu z Żelaznego Miasta i do ostrego, nienawistnego spojrzenia Głosu Złotej Zięby. Skoro gubernator zgodził się na ten przydział, w mojej nowej misji zapewne ukryty był jakiś kolec, na który prędzej czy później miałem się nadziać. A może wystarczy, że zniknę mu z oczu i opuszczę zarówno dom, jak i prowincję?

Nie chciałem jednak tego roztrząsać. Obaj z Dłonią Przewodnikiem doskonale wiedzieliśmy, że przeżycia w Żelaznym Mieście zniszczyły więź między nami. Byłem gotów opuścić Nayen nie dlatego, że cesarstwo potrzebowało tam nowego ministra, lecz dlatego, że przestałem się rozumieć z moim mentorem.

– Dobrze – powiedziałem, podnosząc przyniesione mi książki. Przynajmniej nie będę już zmuszony do odgrywania roli żołnierza i układania życia i śmierci na szalach strategii. – Kiedy wyjeżdżam?



Ostatnim zadaniem Dłoni Przewodnika miało być przedstawienie mnie cesarzowi w Północnej Stolicy. Miałem osobiście stanąć przed Tronem Tysiąca Ramion i otrzymać oficjalny przydział na ministra handlu. Aby móc wypełnić to zobowiązanie, Dłoń Przewodnik musiał poczekać, aż Głos Złota Zięba zakończy żałobę i powróci do zadań gubernatora. Ja w tym czasie błąkałem się po należących do niego ogrodach niczym duch, przesiadywałem w pawilonie, z którego miałem widok na grób Wilgi, i myślałem o nowym zadaniu.

Zabatański z początku mnie oszołomił. W przeciwieństwie do znanych mi sienieńskich logogramów i nayeńskich runów to pismo opierało się na znakach przedstawiających pojedyncze dźwięki, a nie całe idee. Uplętnęło sporo czasu, nim przyzwyczaiłem się do tej różnicy, a potem borykałem się ze składnią i gramatyką zabatańskiego na tyle długo, by powoli zacząć z nich korzystać. Następnym krokiem było już tylko przyswajanie słownictwa.

Przez resztę zimy pochłonałem trzy książki polecane mi przez Przewodnika. Ta napisana po zabatańsku okazała się oryginałem przełożonej na sienieński opowieści o tamtejszych wierzeniach i zwyczajach ludowych. Wykonałem własny przekład, by przećwiczyć niuanse języka, i dałem się pochłonać opowieści o pustynnych demonach, konfliktach między klanami i drażliwym bogu powietrza.

Najbardziej fascynująca wydała mi się opowieść o Naphenie, najbardziej czczonej bogini Zabatańczyków. W niczym nie przypominała ona bóstw nayeńskich, które przybierały formy zwierząt i nie dawały swoim wyznawcom niczego, choć domagały się żarliwości i ofiar z krwi. Nie była też

podobna do cesarza – nieosiągalnego, potężnego i domagającego się czołobitności – mimo że tak jak on posiadała ludzkie ciało. Boginię cechowało bowiem samopoświęcenie. Gdy rok w rok Pustkowie Batir nawiedzały susze, przez co trawiaste równiny zamieniły się w pustynię, Naphena oddała swoje życie, by zmienić strukturę świata, i stworzyła oazę, którą ludzie nazwali An-Zabat. Słowo „an” oznaczało wodę, „za” tłumaczyło się jako odpoczynek, a „bat” rozumiałem jako krainę pod bezkresnym niebem.

Bogini przepisała świat na nowo i stworzyła wodę tam, gdzie jej nie było. Dla mieszkańców An-Zabat był to cud lub akt potężnej, wyzwolonej magii. Skoro jej moc pozwoliła na stworzenie oazy pośród pustyni, być może mogła wyrwać człowieka z grobu.

Chłodne wichry zimy wreszcie ustąpiły czystemu niebu wczesnej wiosny. Głos Złota Zięba na powrót podjął obowiązki gubernatora, a Dłoń Przewodnik poinformował mnie, że opuścimy Nayen za miesiąc, gdy tylko zakończą się przygotowania do cesarskich egzaminów. Zasady dobrego wychowania nakazywały, żebym spędził trochę czasu w domu i pożegnał rodziców przed odbyciem tak długiej i niebezpiecznej podróży.

Rankiem w dniu wyjazdu odwiedziłem grób Wilgi. Na gałęziach śliwy nadal widać było ostatnie zimowe kwiaty. Pod drzewem, wciąż ubrany w białą żałobną szatę, krzątał się Lotka, zajęty zmiataniem kurzu i opadłych liści z nadproża niewielkiej bramy. Nie chciałem mu przerywać, ale Lotka chyba usłyszał moje kroki i odwrócił się, a potem pochylił głowę na powitanie.

– Witaj, Dłoni Olcho – rzekł. – Wydawało mi się, że już wyjechałeś.

Choć z twarzy niepokojąco przypominał brata, nosił się z powagą przywodzącą na myśl Koro Ha. Odstawił miotłkę i gestem zaprosił mnie bliżej siebie.

– Nie chcę ci przeszkadzać – powiedziałem.

– Nie przeszkadzasz – odparł. – Byłeś jego przyjacielem. Tak naprawdę w ostatnich latach życia byłeś mu bliższy ode mnie.

– A mimo to przeze mnie umarł.

Lotka zmarszczył brwi.

– Tak czy owak, nie przeszkadzasz – oznajmił i przesunął się na bok.

Jego słowa obudziły we mnie wstyd – wszak nie zaprzeczył – ale nie mogłem odrzucić takiego zaproszenia. Stałem obok Lotki i musnąłem dłonią skośną krawędź nadproża, wyczuwając pod palcami szorstkość cegieł.

– Nie sędzę, żeby cię o coś obwiniał – powiedział w końcu Lotka. – Dobrze pamiętam, w jakim nastroju wyjeżdżał do Żelaznego Miasta. Dawno nie widziałem go tak szczęśliwego. Jestem pewien, że podziękowałby ci, gdyby mógł, nawet mimo tego, że wszystko się źle skończyło.

– Mylisz się. – Czułem, że coś we mnie wzbiera, coś gęstego i czarnego jak atrament. – Nie widziałeś, jak cierpiał.

– A ty zapominasz, ile to dla niego znaczyło – rzekł Lotka.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Staliśmy więc w milczeniu, słuchaliśmy wiatru, który prześlizgiwał się między gałęziami śliwy, i spoglądaliśmy na wróble, wijące sobie gniazda.

– Chciał służyć imperium i napełnić ojca dumą – odezwał się wreszcie Lotka. – A ty dałeś mu szansę, żeby się wykazał. Mam nadzieję, że również zdołam znaleźć takiego przyjaciela, jeśli nie zdam egzaminów.

W jego głosie pojawiła się gorycz, a ja przypomniałem sobie własne egzaminy, towarzyszące im napięcie oraz przekonanie, że poniosę porażkę.

– Jestem pewien, że zdasz – powiedziałem.

– Ale żałuję, że muszę! – wyrzucił z siebie Lotka. Jego gorycz nagle przeobraziła się w gniew. – Wilga chciał zostać Dłonią cesarza, a mnie nigdy na tym nie zależało. Co gorsza, nie wiem już nawet, czym mógłbym się zająć. Jako dziecko uwielbiałem malować, ale była to jedynie dziecięca fantazja, czy raczej coś, co mógłbym robić, gdyby Wilga odniósł sukces, a ja miałbym możliwość skrycia się w jego cieniu. – Wziął głęboki wdech i zacisnął powieki. – Nie powinienem ci tego wszystkiego mówić. Tylko...

Urwał, a ja zadałem sobie w głowie pytanie, czy powinienem zakończyć rozmowę w tym momencie, czy też podzielić się własnymi frustracjami i odsłonić tak jak on. Pojawiła się przede mną szansa na zasianie ziarna nowej przyjaźni i pokazanie Lotce, że nie tylko on pogrąża się wśród

wątpliwości.

– Ja też nie mam żadnej pewności – powiedziałem w końcu. – Dla mnie egzaminy były ścieżką wybraną przez ojca. Próbowałem być dobrym synem i poradziłem sobie na tyle, żeby znaleźć nową ścieżkę, choć okazało się, że ogranicza mnie ona jeszcze bardziej niż poprzednia. Niemniej taka jest również natura życia w imperium. Mnóstwo decyzji zostaje podjętych za nas.

– Syn zawsze musi być posłuszny woli ojca – stwierdził gorzko Lotka. – A cesarz jest ojcem nas wszystkich.

– Czy mamy jakiś wybór? Musimy robić to, co jest uważane za słuszne – przyznałem. – Myślisz, że słuszne jest, żebyś zajął miejsce brata i został Dłonią cesarza?

– Tak – odparł. – Ale ciekawi mnie dlaczego. Czyżby rzeczywiście tak było? A może to ścieżka, na którą pcha mnie każdy logogram imperialnej doktryny?

– Dobre pytanie – powiedziałem.

– A ty? Wyprawa do An-Zabat wydaje ci się słuszna?

W pierwszym odruchu chciałem zaprzeczyć. Chciałem powiedzieć, że decyzja o wyjeździe do An-Zabat, podobnie jak do Żelaznego Miasta, została podjęta za mnie, a potem przypomniałem sobie opowieść o Naphenie i jej oazie, o cudzie osiągniętym dzięki magii. Naphena umarła w trakcie aktu stworzenia, ale być może pozostawiła po sobie jakieś dziedzictwo lub przynajmniej wskazówki co do tego, jak dokonała tego cudu. Sama myśl obudziła we mnie dreszcz ekscytacji i oczekiwania po raz pierwszy od powrotu z Żelaznego Miasta.

– Tak – powiedziałem. – Ale dlatego, że znalazłem własne powody, żeby się tam udać.

– Cóż – rzekł Lotka z uśmiechem. – Bywaj więc, Olcho. Niech nasze ścieżki okażą się równie złociste, jak się wydają.

Wziął motylek i odszedł, zostawiając mnie samego przed grobem Wilgi. Ja zaś stałem i wyobrażałem sobie cuda, które ujrzę w An-Zabat – ogromne kopuły, wyniosłe wieże, nowych ludzi, którzy nie będą ani Nayeńczykami, ani Sieneńczykami, a przede wszystkim zrodzoną z magii oazę. Marzyłem o tym, by okazała się wskazówką, która pozwoli mi rozwikłać tajemnicę dręczącą mnie przez całe życie.



Spędziłem w domu raptem parę chwil, ale przez cały ten czas ojciec wtajemniczał mnie w swoje rozmaite interesy i nalegał, bym miał oko na kupców sprzedających towary z krain leżących na zachód od Pustkowie. Na oliwkach, muślinie i pewnym rodzaju fioletowego barwnika mógł zbić niezłą fortunę. Prosił mnie również, żebym zwrócił uwagę na nabywców jedwabiu i cynobru. Wysłuchiwałem go cierpliwie i przejrzałem księgi rachunkowe, ale przypomniałem mu, że jako minister handlu nie będę mógł zajmować się interesami rodziny.

Ojciec zacisnął wówczas usta i machnął ręką lekceważąco.

– Cały ten moralizm przydał się podczas egzaminu, ale nie zapomnij o fortunie, którą wydałem na twoją naukę. Cóż to było, jeśli nie inwestycja? – oznajmił. – Staniesz się cesarskim biurokratą. Korupcja będzie częścią twojej pracy.

Uznałem, że nie ma sensu reagować na taką wypowiedź, która tylko pogłębiła rozdźwięk między nami.

Tak naprawdę nie wiedziałem, czego się spodziewać po wizycie w domu. Być może miałem nadzieję na nieco wygod. Być może chciałem na moment powrócić do prostoty dzieciństwa, zanim pojawił się Koro Ha, a mnie naznaczono ogniem. Kiedy życie było podróżą między jedną przyjemnością a drugą, wolną od skomplikowanych kwestii, napięcia i żalu, przerywaną jedynie przez nieczęste anomalie, takie jak niezapowiedziana wizyta wujka czy szukających go żołnierzy.

Odkryłem jednak, że nie umiem odłożyć na bok brzemienia, które dźwigałem. Marzyłem o prostej, nieskomplikowanej przeszłości, ale wiedziałem, że niebawem dopadnie mnie przyszłość. Termin wyjazdu do An-Zabat zbliżał się, a narastający we mnie niepokój przywoływał stare, powtarzające się koszmary, w których znów widziałem schody przed świątynią, moje wypaczone ciało,

lśniące oczy wilczych bogów, przyglądających mi się leśnych cieni. Znałem te sny, ale mimo to przerażały mnie do granic.

Poza tym moja przeszłość, jeśli miałem być szczery, nigdy w zasadzie nie była prosta. Po wydarzeniach w Żelaznym Mieście nauki babci, które do tej pory w sobie tłumiliem, znów we mnie wezbrały i unosiły się w mojej głowie, budząc pytania, które od dawna uważałem za nieistotne.

Wilga, mój jedyny przyjaciel, zginął z rąk rebeliantów, ale żaden z nas nie ruszyłby na wojnę, gdyby cesarz nie postanowił wzmocnić kontroli nad Nayenem. Co gorsza, magia oferowana mi przez cesarstwo – ta, której udało się sprowadzić mnie ze ścieżki wytyczonej przez babcię – nie zdołała ocalić Wildze życia. Po co więc miałem się uczyć magii tak ograniczonej i jakże bezużytecznej, kiedy musiałem przekształcić świat?

Koszmary nie odpuszczały, ale teraz równie często trafiałem w nich na zbryzgany krwią dziedziniec, jak i do Świątyni Płomienia. Zacząłem więc unikać snu i włóczyłem się nocą po ogrodach ojca, aż dopadało mnie wyczerpanie, a wtedy układałem się do snu na kilka krótkich, pozbawionych marzeń godzin przed wschodem słońca.

Podczas jednego z takich nocnych spacerów dziwnym zbiegiem okoliczności trafiłem pod bramę ogrodową, skąd ruszyłem ścieżką do Świątyni Płomienia. Wśród popękanych dachówek wyrosły nowe chwasty, a kamienne wilki wydawały się mniej groźne niż dekadę temu i przynajmniej połowę mniejsze. Ale gdy przechodziłem obok nich, znów poczułem mrowienie na plecach, jakby mi się przyglądały. Zignorowałem to uczucie. Przecież były tylko kamiennymi posągami, a to, że w snach mówiły ludzkimi językami, a ich ślepia płonęły ogniem, nie miało żadnego znaczenia.

W kurzu na posadzce świątynnej odkryłem ślady pozostawione przez lisy lub dzikie psy, ale nie było śladu ludzkich odwiedzin. Ogień w palenisku pod ołtarzem wygasł już dawno i jego powierzchnia była chłodna.

Zdradliwa nostalgia obudziła przyjemne wspomnienia. Nikt nie znał mnie lepiej od babci. Nigdy nie mogłem podzielić się z nikim tym, co tu robiłem, pod tymi krzywymi ze starości okapami i wśród spłowiiałych malowideł na ścianach. Nawet Wilga nie poznał mnie do końca. Czy mogłem już na zawsze przedstawiać jedynie okrojona wersję siebie samego, dopasowaną do potrzeb i wymogów cesarstwa?

Przez chwilę żałowałem, że babcia nie zabrała mnie ze sobą, gdy ruszyła na północ, by dołączyć do powstania.

Uczucie to jednak minęło tak szybko jak smak pysznego kaska na języku czy odgłos cichnącej nuty. Babcia również nie doprowadziłaby mnie swoją ścieżką do wolności. Podążając za nią, znalazłbym się jedynie w innym równie ograniczonym świecie, a mojej przyszłości nałożono by inne kajdany. Zależało jej na mnie i była gotowa zrobić dla swojego wnuka wszystko, co w jej mocy, ale wiedziała o mnie dokładnie tyle, co Dłoń Przewodnik, a mogła mi dać jeszcze mniej.

Odkryłem w sobie potrzebę znalezienia jakiejś pamiątki tej ostatniej wizyty w Świątyni Płomienia. Czegoś, co będzie mi przypominać, że kiedyś władałem mocą swobodnie, bez ograniczeń narzucanych przez znaki czy kanon. I że kiedyś mogę do tego wrócić.

Pomyślałem nagle – zupełnie jakby tę myśl wepchnęła mi jakaś obca, zewnętrzna moc – o skrzyni za ołtarzem. Nadal spoczywały tam księgi, ale one rzucałyby się w oczy i ciężko byłoby je ukryć. Jednak obok, owinięty płótnem, leżał obsydianowy nóż. Podniosłem go, nie mogąc się nadziwić, że ta mała, prymitywna broń wyrządziła mi taką krzywdę. Nóż nadawał się na pamiątkę wprost idealnie. Przywodził wiele wspomnień, a u kogoś, kto nie został wprowadzony w rytuały czarnoksięskie, nie budził żadnych skojarzeń.

W drodze powrotnej z zaskoczeniem dostrzegłem postać ubraną w zwiewną szatę i ciężki szal, trzymającą latarnię, która roztaczała w ciemności aureolę światła.

– Słyszałam, jak chodzisz po ogrodzie – powiedziała matka, a jej wzrok umknął w stronę lasu za moimi plecami. – Wydawało mi się, że zostawiłeś to już za sobą.

– Nie mogłem spać – odparłem. Czułem dziwny wstyd, zupełnie jakbym był dzieckiem przyłapanym na kradzieży słodyczy z kuchni. Wsunąłem obsydianowy nóż do rękawa.

– Olcho, od dawna chciałam ci coś powiedzieć – rzekła matka niepewnie. – Ale nigdy nie było dobrej okazji. Zawsze byliśmy... Cóż, sienneńskie matki tak rzadko mają okazję, żeby zostać sam na sam

z synami.

– Z wyjątkiem chwil, gdy synowie chorują – zauważyłem.

Matka uśmiechnęła się, ale na jej twarz szybko wróciła powaga.

– Wiem, czego uczyła cię babcia. Przekazała te same nauki mojemu bratu i wciągnęła go w tę rozpaczliwą, nienawistną wojnę z cesarstwem. A ty... Cóż, wiesz już, jak wygląda wojna. Twoja babcia jest szalona, Olcho. Musisz zapomnieć o wszystkim, co ci powiedziała. Zapomnij o jej magii, jej opowieściach, zapomnij o wszystkim.

– Nawet o tym, że imperium zabiło ci ojca? – spytałem cicho.

Matka przez całe życie doskonaliła sieneńską sztukę panowania nad sobą, jakiej oczekiwano od każdej żony, więc szybko zdusiła w sobie gniew.

– Zwłaszcza o tym – powiedziała stanowczo. – Jestem pewna, że słyszałeś, że cesarz zna myśli Dłoni.

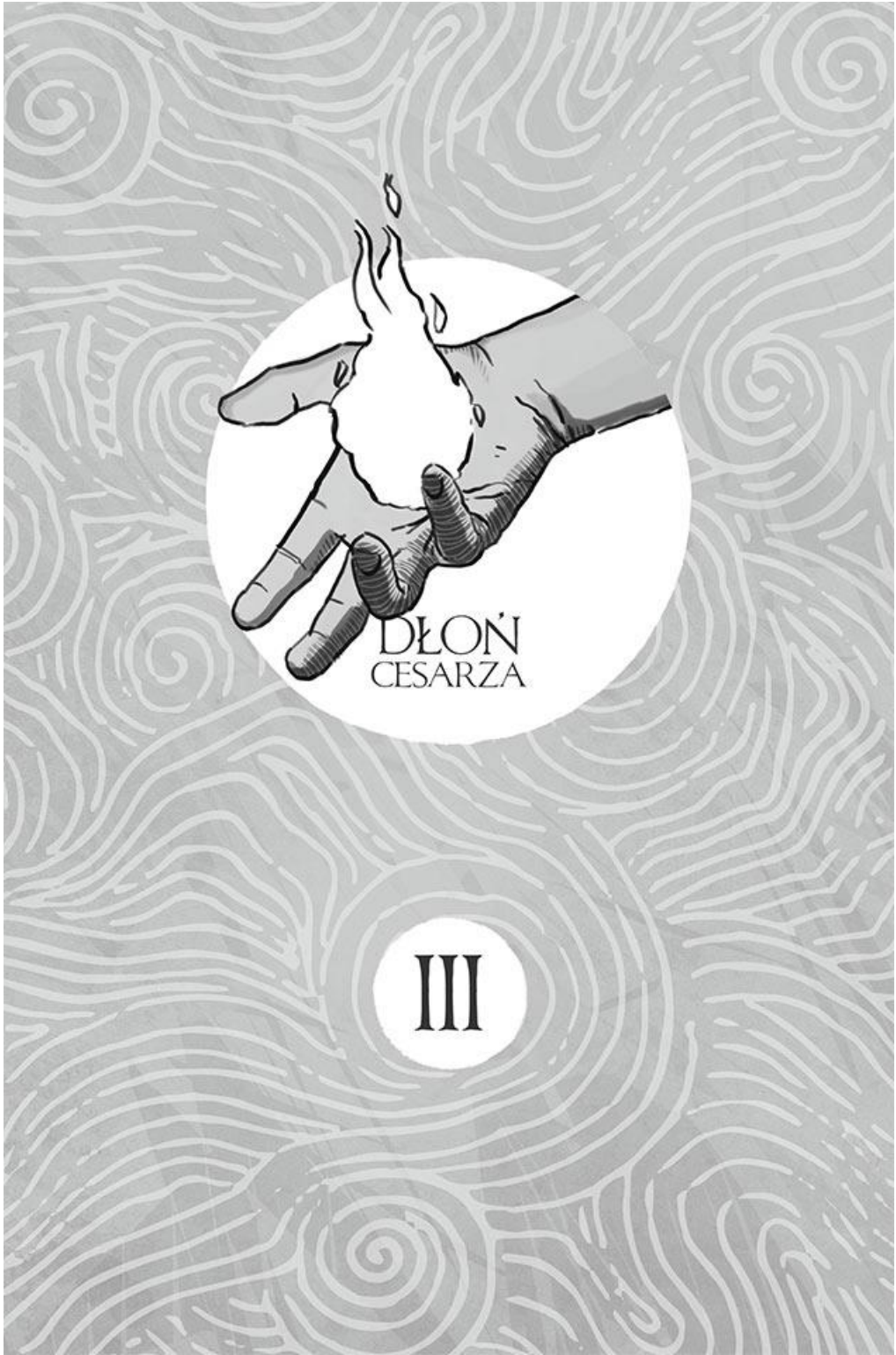
Niespodziewanie wszystkie nieźyczliwe założenia, jakie poczyniłem na jej temat, wydały mi się uzasadnione. Pomyślałem o innych poznanych Nayenkach – o babci, Wścieklej Wilczycy oraz jej córkach. Matka była znacznie słabsza od nich i tak pełna strachu.

– Kto z nas jest Dłonią cesarza? – spytałem. – Kto z nas wie na pewno, co cesarz robi, a czego nie robi?

– Tę plotkę słyhać na każdym kroku – odpowiedziała matka. – Z pewnością zawiera ziarno prawdy. Masz o mnie kiepskie zdanie, widzę to na twojej twarzy, ale nie masz pojęcia, czego musiałam dokonać, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo w świecie, który próbował nas zabić. An-Zabat leży daleko od Nayenu. To dobrze. Dzięki temu może szybciej zapomnisz o naukach babci.

– Matko, ja władam magią i dowodzę armiami. Któż w całym imperium mógłby czuć się bardziej bezpieczny? – Uśmiechnąłem się, okazując jej ciepło, którego nie czułem, a potem przeszedłem obok niej. – Dobranoc. Oboje powinniśmy się przespać.

Gdy znalazłem się w swoim pokoju, schowałem obsydianowy nóż w starym pudełku na pędzelki. Zapieczętowałem je woskiem i ukryłem na samym spodzie czarnej skrzyni, w której trzymałem kopie moich wypracowań egzaminacyjnych, zbiór zapisków słynnych mędrców podarowany mi przez Koro Ha oraz książki od Dłoni Przewodnika na temat języka i kultury An-Zabat. Pomimo ostrzeżeń matki moja wizyta w Świątyni Płomienia przyniosła oczekiwany efekt, bo po raz pierwszy od wielu nocy spałem mocno, niedręczony koszmarami. Zamiast tego śniły mi się cuda czekające na mnie na zachodzie w An-Zabat i w akademii, gdzie jeśli wierzyć Przewodnikowi, niektórzy uczeni nadal zgłębiali tajemnice magii. Jeśli istniała trzecia ścieżka ku magii i wolności, akademie była jedynym miejscem, w którym należało jej szukać. Obiecałem sobie, że zduszę mocno narastającą niechęć do imperium, byle tylko dopiąć swego.



Tron Tysiąca Ramion

Dwa miesiące później Dłoń Przewodnik i ja zsiadliśmy z pokładu okrętu wojennego Wichry Wielkiej Fortuny w porcie zwanym Rieczny Mur na północnym brzegu rzeki Sien. Spędziliśmy noc w domu miejscowego sędziego, po czym następnego dnia wsiedliśmy na Złotą Barkę, luksusową łódź, która przewoziła służących cesarza do Północnej Stolicy. Łódź zbudowano z intensywnie czerwonych desek, a każde wiosło ozdobiono złotym rytem. Kapitana oraz załogę wybrano spośród najbardziej odznaczonych weteranów Cesarskiej Floty, a wiosłarze, jak się dowiedziałem, byli chłopami powołanymi na roczną służbę u cesarza.

Przymusowe wcielanie do służby jeszcze nie dotarło do Nayenu, ale tu, w samym sercu imperium, nikt nie miał śmiałości wszcząć buntu.

Rzeka snuła się powoli, ale wiosłarze żwawo napierali na wiosła, dzięki czemu rozwijaliśmy niezłą prędkość. Napawałem się pierwszymi widokami Sienu. Dorastałem wśród gór, wzgórz i lasów, wśród cieni i istot kryjących się w ciemnościach. Tymczasem kraj, który przemierzaliśmy, był dla porównania płaski jak stół. Nieliczne wzgórza były łagodne i pokryte polami pszenicy, kukurydzy i słoneczników. Mijaliśmy rozległe osady, które brałem za wielkie miasta, ale Dłoń Przewodnik śmiał się ze mnie. Dowiedziałem się od niego, że to wsie, z których każda może mieć maksymalnie dwadzieścia tysięcy dusz.

Miasto otaczał las budynków, gęstniejący, w miarę jak płynęliśmy na północ. Potem, niczym łańcuch górski wyrastający na horyzoncie, pojawił się pierwszy zarys murów miejskich, ciągnących się na wschód i zachód pozornie bez końca. Żołnierze spacerujący między blankami wydawali się ledwie drobnymi plamkami na tle błękitnego nieba. Minęliśmy wznoszące się osobno baszty z balistami przystosowanymi do wyrzucania granatów, z których każdy mógł zniszczyć wielki okręt wojenny, a potem przepłynęliśmy pod wielkim łukiem bramy Fortecy Południowej Rzeki. Ostro zakończone pręty kraty były szerokie na dwóch mężczyzn stojących ramię w ramię.

Wyobrażałem sobie, że dotrzemy do Wiecznej Cytadeli, gdzie rezydował cesarz, jeszcze przed zmrokiem, ale miasto ciągnęło się bez końca. Długie pomosty do cumowania oraz doki wchodziły w rzekę to tu, to tam niczym połamane zęby knajpianego zabijaki. Rybacy zarzucali sieci z nabrzeża i wyciągali tyleż śmieci, co ryb. Inne jednostki Cesarskiej Floty wymijały kupieckie barki i luksusowe, lśniące złotem jachty, przystrojone w pawie pióra i ciągnące za sobą wstęgi jedwabiu. Nad ulicami miasta rozbrzmiewał zaś ogłuszający zgiełk, spowodowany przez wozy, bydło, sprzedawców, riksarzy, tragarzy noszących palankiny, żebraków i patrole straży. Tłumy ludzi i zwierząt przewalały się ulicami, wijącymi się przez ten miejski krajobraz niczym nitki gigantycznej pajęczyny. Tu i ówdzie dostrzegałem plamki zieleni oznaczające ogrody bogatych obywateli.

– Wystarczyłaby jedna dzielnica tego miasta, żeby pomieścić wszystkich ludzi z Nayenu – powiedział Dłoń Przewodnik i pogłaskał się po gładko ogolonym podbródku. Zadbał o wygląd, bo nie chciał zaprezentować się cesarzowi ze złej strony. – Nawet do zapachu można się z czasem przyzwyczaić.

Pałac zobaczyliśmy dopiero po południu następnego dnia. Jego dachy wznosiły się nad zabudową niczym fale płynnego złota. Skręciliśmy w kanał, który prowadził przez kolejną bramę, wykonaną z rzeźbionego w morskie smoki marmuru, po czym wpłynęliśmy do osobistego portu cesarza. Kapitan Złotej Barki wciągnął porporzec Dłoni Przewodnika i gdy opuszczono trap, na brzegu czekał już na nas palankin.

W drodze do pokojów gościnnych Dłoń Przewodnik omawiał labirynt budynków, w który się zapuściliśmy. Wieczna Cytadela była metropolią wewnątrz metropolii, równie wielką jak Żelazne Miasto, a zamieszkałą przez rodzinę cesarza, jego Głosy oraz jego Pięść, osobistą straż, składającą się

z tysiąca elitarnych żołnierzy. Przewodnik wskazał wznoszącą się w oddali wieżę obserwatorium astronomicznego Akademii Cesarskiej, a ja poczułem, jak moje ambicje ożywają. Obiecałem sobie, że któregoś dnia się tam znajdę, z dala od zawirowań politycznych i koszmarów wojny, i wreszcie będę mógł poświęcić się wielkim zagadkom świata, a przede wszystkim magii.

Palankin zawiózł nas do Ogrodu Strażnicy, który przyćmiewał swoim blaskiem nawet posiadłość Głosu Złotej Zięby. Małe domki, pawilony i altany wtapiały się w krajobraz szafirowych stawów, szmaragdowych krzewów i oszalałymi sztucznych klifów. Wszędzie spotkać można było jelenie, pawie i ptaki śpiewające. Zapach kwiatów mieszał się w powietrzu z wonią kadzidła. Tu nawet służący nosili jedwabie i aksamity.

Tylko imperium mogło otoczyć się takim zbytkiem. Tron Tysiąca Ramion emanował potęgą, dzięki czemu ze wszystkich krańców świata wracało do niego bogactwo, zdobyte dzięki podbojom i trybutom. Byłem pod wielkim wrażeniem, ale nie przestawałem zadawać sobie pytania, ile ludzi umarło tak jak Wilga, w błocie i w deszczu. To ich życie – oraz życie podbitych ludów – było ceną tego luksusu.

Dłoń Przewodnik usprawiedliwiał siennejskie podboje ideologiczną wojną wymierzoną w chaos, stanowiącą wysiłek w celu zjednoczenia ludzkości przeciwko pierwotnym bóstwom. Jak się czuł ze świadomością, że za fortunę, którą wydano na przystrojenie ogrodu dla gości cesarza, można by wyposażyć tuzin legionów? Spoglądał na to bez słowa, a ja nie miałem odwagi o nic zapytać.



– Pamiętaj, żeby oddychać – powiedział Dłoń Przewodnik. – I nie zwieraj kolan.

Siedzieliśmy na marmurowych ławkach w przedpokoju przed salą tronową wraz z kilkoma innymi petentami oczekującymi na audiencję. Trząsałem się z nerwów i skubałem krawędzie obszernych rękawów dworskiej szaty, którą dostałem od Dłoni Przewodnika. Co rusz muskałem palcami grzbiet książki z przekładami poezji zabatańskiej, którą spisałem podczas studiów nad tamtejszym językiem. Chciałem ją wręczyć cesarzowi w ramach podziękowania za mój awans.

Dłoń Przewodnik oraz Głos Złota Zięba nie rozpoznali moich wiedźnich znaków, ale cesarz był niemalże bogiem. Już czułem emanującą z niego magię. Wydawał się niczym potężna góra wyrastająca w samym środku naturalnego rozwoju struktury. W moim sercu odezwał się dawny lęk.

Inny młody człowiek, który siedział na ławce naprzeciwko nas, podniósł się i szybkim krokiem ruszył w stronę szerokiego wejścia, po czym niespodziewanie zwymiotował na marmurowych schodach. Poczulem nagle solidarność z nim.

– Widzisz? – szepnął Dłoń Przewodnik. – Odrobina nerwów to nic szczególnego. Wystarczy, że powiesz: „Ja, twój sługa, z pokorą wręczam ci ten prezent, cesarzu, i przyjmuję przydział na prowincję An-Zabat”. Ktoś odbierze od ciebie książkę. Cesarz być może zada ci kilka pytań, a potem będziesz mógł odejść. To proste.

Mówił ze swobodą i pewnością siebie, ale on też skubał rąbki swoich rękawów, niczym dziecko czekające na trudną rozmowę z ojcem. Z każdym skrzypnięciem zawiasów czy odgłosem rozlegających się echem kroków zerkał na wielkie drzwi.

Zacisnąłem palce na trzymanej na kolanach księdze. Oprawiono ją w błękitny jedwab, który łagodnie muskał moje blizny. Uświadomiłem sobie, że zaraz stanę przed obliczem żyjącego od tysiąca lat czarownika, władającego całym znanym światem i od pokoleń czczony jako żywy bóg. Jaką wartość mogłaby mieć dla niego prosta książeczka z przetłumaczonymi wierszami? Niemniej oczywiście tu liczył się gest, który znaczył tyle, że każda moja praca jest jedynie darem składanym u stóp władcy. Choć po prawdzie wcale nie martwiło mnie to, że wręczam mu dar w postaci mizernej książki. Dla człowieka skrywającego tyle sekretów co ja żadna konfrontacja z boskim bytem nie była łatwą sprawą.

Któryś ze służących zawołał mnie po imieniu, więc razem z Dłonią Przewodnikiem wstaliśmy i udaliśmy się za nim. Nasze kroki rozniosły się echem po marmurowej podłodze, gdy weszliśmy do sali tronowej przez ogromne, obite brązem wrota. Między kolumnami unosił się wonny dym cedrowy, układając się w mgliste kłęby pod wysklepionym sufitem. Lampy na stojakach napełniały wnętrze migotliwym blaskiem. Wśród kolumn stali w ciszy ministrowie imperialnego dworu, a za nimi

majaczyło pięć dziesiątek wojowników Pięści, osobistej straży cesarza.

Na podwyższeniu po przeciwnej stronie ogromnej sali ustawiono tron, a na nim zasiadał sam cesarz. Tron tworzyły nogi uformowane z polerowanego złota, a oparciem była talia oraz tors. Oczy z białych pereł, ze źrenicami z gagatu spoglądały na dwór, choć zdawały się wpatrywać w odległy, boski horyzont. Z miejsca, w którym uformowano barki tronu, wyrastało tysiąc ramion, ułożonych na podobieństwo piór w skrzydłach orła. Rozpościerały się od podłogi ku sufitowi, zasłaniając całą ścianę. Na dłoni każdego z ramion mieniły się srebrne linie tetragramu.

Który z nich reprezentuje mnie? – pomyślałem, pochłonięty nabożnym zachwytem.

Na posadzce leżały trzy wstążki – dwie czerwone i jedna żółta. Ukłękliśmy przed każdą z czerwonych, dotknęliśmy ich czołami i odliczyliśmy trzydzieści uderzeń serca przed powstaniem, a przy żółtej zamarliśmy w zgiętej pozie i czekaliśmy, aż cesarz pozwoli nam powstać.

Czułem na sobie ciężar jego obecności. Miałem wrażenie, że moje usta wypełnił popiół. Nigdy wcześniej nie czułem tak potężnej magii. Cesarz ani przez moment nie przestawał napełniać kanonu w całym imperium, a ja odbierałem magię transmisji jako wstęgi światła, unoszące się globy lub srebrną aurę. Istniał teraz tylko cesarz, jego tron i bezdenna fala magii, równie ciężka jak wszystkie oceany świata.

Jego głos zagrział wprost z tronu:

– Unieście wzrok, Dłoni Przewodniku i Dłoni Olcho. Spójrzcie na swojego cesarza.

Zrobiłem to, co mi kazano. Karmazynowa czerwień jego szaty przebijała spomiędzy złotych i srebrnych haftów, tak gęstych, że zdawały się ze sobą zlewać. Władca miał na głowie koronę uformowaną na podobieństwo rogów lwiej żmii. Pomiedzy brwiami wpleciono w nią złotą nić, na której zawieszono rzędy jadeitowych koralików, wypolerowanych tak, że jaśniały niczym zielone gwiazdy. Kołysały się lekko, trącane oddechem.

– Przybyliście po moje błogosławieństwo – rzekł cesarz.

– Tak, Wasza Wysokość – odparł Dłoń Przewodnik.

Obok cesarza stanął służący, młodzieniec o rysach tak delikatnych, iż wydawał się istotą ponadczasową. Zatrzymał się przede mną.

– Jestem... eee... jestem pokornym sługą – zacząłem, wyciągając dłonie ku młodzieńcowi. – Przynoszę skromny dar i pokornie... eee... przyjmuję przydział do prowincji An-Zabat, Wasza Wysokość.

Służący odebrał ode mnie książkę i zniknął wśród cieni za tronem.

– Przyjmujemy ten dar i życzymy wam bezpiecznej podróży – powiedział cesarz. – Nieście światło cywilizacji w odległe zakątki świata.

Cofnęliśmy się od tronu, by raz jeszcze ukłonić się przy czerwonych wstążkach. Jakiś służący wskazał nam boczne wyjście, prowadzące do ogrodu. Po dusznych kłębach dymu w sali tronowej blask słońca i świeże powietrze sprawiły, że poczułem się, jakbym budził się ze snu.

– Dobra robota, Olcho. – Dłoń Przewodnik poklepał mnie po plecach.

Wyślizgnąłem się spod jego dotyku.

– Nie kpij ze mnie.

– Nie kpię. Podczas pierwszego spotkania z cesarzem zemdlałem przy pierwszej czerwonej wstążce. No dobrze, napijesz się ze mną przed wyjazdem? Muszę wracać do Nayenu, a ty zaraz wkroczysz na własną ścieżkę.

– Nawet nie zajrzał do mojej książki – mruknąłem, ale podążyłem w ślad za Dłonią Przewodnikiem do naszych pokojów, gdzie spędziliśmy noc na picu i rozmowach. Relacja uczeń – nauczyciel znikła i byliśmy teraz kolegami. Miałem nadzieję, że gubernator An-Zabat, Głos Strumyk, oraz podległe mu Dłonie okażą się bardziej bezpośrednimi nauczycielami.

Gdy otworzyliśmy drugą butelkę wina śliwkowego, Dłoń Przewodnik zamarł z czarką w ręku.

– Wilga byłby z ciebie naprawdę dumny – powiedział niespodziewanie, a jego ironiczna mina naraz znikła. Nie było też śladu charakterystycznego lekkiego, ledwo zauważalnego uśmiechu.

Poczułem włochatą kulę w gardle i uniosłem czarzkę.

– Za pamięć o nim – powiedziałem.

– I za twoją przyszłość – dodał Dłoń Przewodnik. – Za cuda i wyzwania, które czekają na ciebie w An-Zabat. Obyś wrócił mądrzejszym i bardziej światowym człowiekiem.

Noc płynęła, a ja uświadamiałem sobie, że będę tęsknił za Dłonią Przewodnikiem. Choć nasza znajomość przeżyła gorzkie chwile, była częścią najlepszych lat mojego życia. Dłoń Przewodnik towarzyszył mi w każdym z długich, niekończących się dni w ogrodzie Głosu Złotej Zięby, jako kompan i nauczyciel, aż nadszedł mroczny kryzys naszej znajomości w Żelaznym Mieście. Czułem, że mimo wszystko będę dobrze wspominał te dni, nawet pomimo koszmaru wojny.

Miasto wiatru i wody

Obeliski An-Zabat wznosiły się niczym słupy podtrzymujące błękitną kopułę nieba. Srebrne wzory naśladowujące kształty, jakie wiatr wypisuje na wydmach, migotały w słońcu. Z każdego zwisały czerwone proporce z tetragramem cesarza, przypominając mieszkańcom miasta o tym, kto podporządkował sobie pustynię, którą oni zawładnęli w przeszłości.

Widziałem cuda Północnej Stolicy. Pływałem kanałami przecinającymi wielkie równiny zachodniego Sienu i na pokładzie wiatrowca przemierzyłem pustynię zwaną na mapach Pustkowiec Batir. Po tylu tygodniach wędrówki miałem się za człowieka światowego, ale nawet Tron Tysiąca Ramion bladł w porównaniu z tutejszymi obeliskami.

Załoga zwinęła wszystkie żagle z wyjątkiem tych, które zapewniały sterowność, i statek wiatrowy, napędzany łopatom, powoli dobijał do nabrzeża nadziemnego portu. Wiatromistrz odetchnął mocno i stanął na szeroko rozstawionych nogach. Nie udało mi się jak dotąd zrozumieć magii, którą władał. Wydawała się lekka i subtelna. Przypominała chłodny wiatr na karku. Jej wykorzystanie nie wywoływało wielkich zmian w strukturze świata. Pojedyncza fala czegoś, co przywodziło na myśl światło odbijające się od skruszonego szkła, przemknęła po tatuażach wijących się na jego ramionach. Pchnął wiatr w górę, a potem prosto w żagiel sterujący, by pomóc w wykonaniu zwrotu. Po chwili statek, zwrócony dziobem ku falującym wydom, znieruchomiał przy nabrzeżu.

Przyglądałem się wiatromistrzowi uważnie przez piętnaście dni podróży przez piaski. Cesarz miał w zwyczaju włączać magię każdego podbitego ludu do swojego kanonu, ale Zabatańczycy jako jedyni oparli się tym próbom, co tylko rozbudziło we mnie marzenia, by poznać ich moc. Wiedziałem, że nie będzie to prawdziwa, nieposkromiona magia, jaką poczułem przed naznaczeniem, ale żywiłem nadzieję, że uczenie się typów magii, które Dłoń Przewodnik nazywał prymitywnymi, może pogłębić moje rozumienie. Wiedziałem też, że są one równie potężne jak sam kanon. Liczyłem więc na to, że gdy rozpocznę pracę na stanowisku ministra handlu, znajdę okazję, by zaspokoić swoją ciekawość, a także zbadać naturę bogini An-Zabat oraz jej cud.

W palankinie przemierzyłem drogę przez miasto wprost do imperialnej cytadeli, której szerokie mury z piaskowca konkurowały z obeliskami o władzę nad niebem. Co kilka przecznic widziałem jakąś ruinę, bez wątplenia efekt działania granatów chemicznych czy magii bitewnej. Ze zdziwieniem przyglądałem się ludziom o brązowej skórze i jasnych włosach. Z miejscowego języka, którego uczyłem się od dawna, udało mi się wychwycić tylko kilka zdań, ale przemknęły mi obok ucha, równie pozbawione znaczenia jak trzepot skrzydeł ćmy. O wiele dziwniejsze wydawały mi się dromadery, ciągnące wozy lub dźwigające wielkie juki na garbach. Miałem wrażenie, że przyglądam się bestiom z obcej mitologii.

Wreszcie minęliśmy Błogosławioną Oazę, leżącą w sercu miasta, w cieniu cytadeli. Na środku placu wznosił się posąg Napheny, patronki miasta, tej, która przynosi deszcz i rodzi strumienie. Wykuto go z piaskowca, ale powleczono srebrem. Bogini trzymała urnę udekorowaną rubinami i szafirami, a na jej straży stało dwóch mężczyzn i dwie kobiety z długimi, zakrzywionymi ostrzami i tatuażami wijącymi się wzdłuż ramion. Stali nieruchomo, sami przypominając posągi, jakby stanowili część boskiej figury. Przypuszczałem, że żadne z nich nawet nie drgnie, dopóki ktoś nie spróbuje pohańbić bogini. Woda, migocząca jak klejnoty, opadała z pluskiem do stawu u stóp Napheny. W płytkiej, osłoniętej cieniami wodzie bawiły się dzieci. Cudem nie był tu jednak posąg Napheny, ale obfitość wody w samym środku wyschniętej, prażonej słońcem krainy. Próbowałem odnaleźć pozostałości magii, którą bogini posłużyła się przed setkami lat, ale wychwytywałem jedynie delikatne ślady pozostawiane przez wiatromistrzów z portu.

Na placu wokół posągu kipiał życiem wielki bazar, prawdziwy festiwal dźwięku, koloru i życia.

Kupcy zachwalali wszelkie rodzaje towarów importowanych z imperium i z krain na zachodzie. Widziałem migotliwe jedwabie i ptaki z barwnymi piórami, skomplikowane mechanizmy zegarowe, worki z przyprawami i drogie wina. Cyrkownicy i artyści występowali między straganami, wywołując ogłuszający aplauz i deszcz monet.

Największy tłum zgromadził się wokół kobiety, która wirowała i wykonywała oszalamiające salta, przez cały czas przerzucając haftowane srebrną nicią szarfy z ręki do ręki. Po plecach spłynął mi znajomy już chłodny dreszcz, gdyż wstrząsała powietrzem, by jej szarfy drżały i tańczyły. Przyglądałem jej się przez kilka uderzeń serca, próbując prześledzić oddziaływanie jej mocy na strukturę świata. Wyglądało na to, że wiatromistrzowie używali swojej magii nie tylko podczas wojny i żegluga.

Gdy zbliżyliśmy się do wielkiej kamiennej bramy cytadeli, zobaczyłem na murach ślady magii bitewnej oraz inne szczyrby, jakby wyżłobione w kamieniu przez ogromne ostrza. Na wieżach, niedawno wybudowanych w czterech rogach fortecy, stały wycelowane w miasto balisty, a między blankami chodziły patrole straży, uzbrojone w ciężkie kusze i pasy z granatami.

Odwrociłem głowę. Za bardzo przypominali mi Żelazne Miasto, a ja musiałem się skupić na teraźniejszości i przyszłości. O starych ranach, które zadano mi daleko w Nayenie, należało zapomnieć.



Przez dziedziniec cytadeli biegly wijące się kanały, które zasilaly płytkie stawy. Czaple o różowym upierzeniu, sprowadzone z południowego Sienu, brodziły wśród lilii. Krajobraz trawiastych wzgórz, zagajników z bambusami i porowatych wapiennych gładów wydobytych z odległych jezior ubarwiały pawilony wybudowane z importowanego drewna. Po podróży przez Pustkowie Batir i zakurzone, zatłoczone ulice podziwianie widoku sieneńskiego ogrodu w samym środku An-Zabat było surrealistycznym przeżyciem.

Gdy opuściłem palankin, podszedł do mnie chudy służący.

– Witaj, Wasza Ekscelencjo. – Skłonił się nisko. – Nazywam się Jhin i będę twoim służącym na czas pobytu w An-Zabat. Nasi ludzie zainoszą twoje bagaże do komnat. Ich Eminencje Dłoń Żar i Dłoń Alabaster oraz Jego Wysokość Głos Strumień czekają na ciebie.

Jhin był wysokim, szczupłym i ciemnowłosym mężczyzną. Przypominał mi Koro Ha i nagle poczułem tęsknotę za moim nauczycielem.

– Skąd pochodzisz, Jhin? – spytałem, idąc za nim w głąb ogrodu.

Służący pochylił głowę.

– Wszyscy jesteśmy sługami cesarza i obywatelami imperium, Wasza Ekscelencjo.

– Tak, ale każdy z nas skądś pochodzi – odparłem. Czuję się nieco skołowany, ale nie miałem pewności, z jakiej przyczyny. – Wystarczył mi jeden rzut oka na ciebie, żeby wiedzieć, że nie jesteś Sieneńczykiem, tak jak każdy człowiek od razu może stwierdzić, że ja pochodzę z Nayenu.

Moje słowa nie wpłynęły na postawę Jhina, który okazywał ten sam szacunek co wcześniej.

– Toa Alon od dawna stanowi prowincję imperium – powiedział. – Nie postrzegamy tych rzeczy tak jak wy w Nayenie.

Przypomniało mi się ostrzeżenie Koro Ha, które usłyszałem gdzieś na początku edukacji, że moja lojalność będzie poddawana ciągłym testom, a więc uznałem, że nie będę drażył tematu. Cóż takiego wydarzyło się w Toa Alon, że mieszkający tam ludzie byli tak przeczuleni na punkcie swojej lojalności?

Wkrótce dotarliśmy do Pawilonu Wznoszącej Się Pieśni, gdzie trzech mężczyzn spoczywało na kozetkach rozstawionych wokół wąskiego strumyka, który zakręcał na podłodze. Miejscowi chłopcy wachlowali ich pawimi piórami, a inni napełniali czarki łagodnym winem śliwkowym, stawiali je na papierowych tratwach i spławiali po wodach strumyka. Odpoczywający urzędnicy zdejmowali czarki z tratw i popijali.

– Witaj w An-Zabat, Dłoni Olcho – powitał mnie Głos Strumyk, gdy opadłem na czwartą leżankę. Był starszy od Głosu Złotej Zięby, a cesarski tetragram na jego czole połyskiwał wśród pociemniałych od słońca zmarszczek. – Zapewne jesteś zmęczony po podróży, a więc cieszę się, że do nas dołączyłeś, a Jhin i reszta służby zatroszczą się o twój bagaż. Zajmujemy się układaniem na zmianę

wierszy, przyda nam się odrobina nieróbstwa w gorące popołudnie.

– Choć dworska poezja raczej nie jest tu w cenie – zauważył Dłoń Żar. Jego ciemnoniebieski strój zdobił haft przypominający płaty pancerza. Dłoń uśmiechnął się do trzeciego z dostojników. – Przypuszczam jednak, że nie możemy się poddawać i nadal powinniśmy śnić o bardziej wyszukanym przydziale, co, młody Alabastrze?

Dłoń Alabaster zdjął okulary o mosiężnych oprawkach i zarzucił długie, jedwabiste włosy za ramię.

– Ja w istocie mogę dalej śnić, Dłoni Żarze, ale jeśli chodzi o ciebie, mam wrażenie, że An-Zabat jest szczytem twoich możliwości.

Szeroki uśmiech Dłoni Żara przerodził się w głośny rechot. Pogroził Alabastrowi palcem.

– Uważaj tylko na tego gagatka, Dłoni Olcho. W całym mieście nie znajdziesz człowieka, który miałby bardziej cięty język.

– Czy to nie odpowiednia pora, żeby Alabaster wyrecytował własne dzieło? – wtrącił Głos Strumyk.

Dłoń Alabaster obrzucił go złowrogim spojrzeniem, ale wyprostował się i przybrał wyniosłą pozę, idealnie nadającą się do wystąpienia. Kiedy zbierał myśli i szykował się do recytacji, Głos Strumyk przedstawił zasady gry. Każdy z uczestników musiał po kolei ułożyć i wygłosić wiersz. Jeśli pozostałym graczom przypadł on do gustu, zdejmowali czarkę z przepływającej tratwy. Jeśli uznali go za banalny, źle skonstruowany czy w ogóle nieudany, przepuszczali czarkę.

Wydawało mi się to dziwne, że cesarscy czarownicy w An-Zabat spędzają popołudnie na picciu, ale wytłumaczyłem sobie to tak, iż patrzę na drobną uroczystość z okazji mojego przyjazdu i powinienem czuć się zaszczycony. Poza tym rozpoczynanie znajomości od krytykowania ich zwyczajów byłoby po prostu nieuprzejme.

Dłoń Alabaster otworzył z trzaskiem papierowy wachlarz, na co służba przygotowała czarki oraz papierowe tratwy, a potem zaczął recytować.

*Trzy czaple zrywają się do lotu nad wodą,
Ich skrzydła lśnią srebrem blasku słońca.
Mój pędzelek się ślizga i rozmazuje tusz,
Tęsknota za domem nie ma u mnie końca.*

Zatrzasnął wachlarz, a Głos Strumyk podniósł czarkę z tratwy, ja natomiast sięgnąłem po drugą. Wiersz wiernie naśladował klasykę, ale był niezbyt sugestywny.

– Ha! Wygrałem! – zawołał Dłoń Żar. – Nasz gość ujął czarkę prawą ręką! Jesteś moim dłużnikiem, Alabaster! Że to niby leworęczny cudzoziemiec miał być, co? Ha, ha!

Spojrzałem to na jednego, to na drugiego. Nie spodziewałem się, że nagle stanę się tematem rozmowy. Dłoń Alabaster przewrócił oczami, patrząc na Żara, a potem obdarzył mnie przepaszającym uśmiechem.

– Wieści o tobie niosą się daleko – powiedział. – Jesteś pierwszym Nayeńczykiem wyniesionym do rangi Dłoni cesarza. Przesłano nam twój rodowód wraz z potwierdzeniem awansu oraz kilkoma innymi... notkami. Ja i Żar założyliśmy się, czy naprawdę jesteś mańkutom, czy to tylko przewisko, zważywszy na... cóż, niecodzienną lokalizację tetragramu.

– Jestem Nayeńczykiem po matce. – Siłłem się na żartobliwy ton, choć w głębi serca czułem zażenowanie przemieszane z gniewem. Przebyłem całe imperium po to, żeby na miejscu usłyszeć żarciki na swój temat? – Jeśli zaś chodzi o wasz zakład, jestem oburęczny. Mój nauczyciel zadbał o to, po tym jak odniosłem poważną kontuzję w dzieciństwie. – Pokazałem im prawą dłoń. – Pokaleczyłem się okruciami talerza. Czyżby ta część mojej historii została pominięta? Może zapomniano jej gdzieś w okolicach Północnej Stolicy?

– Walczyłem w Nayenie, wiesz? – wtrącił Dłoń Żar, jakbym w ogóle się nie odezwał. – Czy nadal toczą się potyczki z bandytami na wyżynach? Ha! Dłoń Przewodnik i Głos Złota Zięba nie radzą sobie z tą prowincją, co?

– To nie są zwykli bandyci. – Zduśłem ostre słowa oraz myśli o Wildze.

– Nie wzięłaś czarki – odezwał się Głos Strumyk, kierując swoje słowa do Dłoni Żara, a ten uniósł brwi, zaskoczony nagłą zmianą tematu.

– Oczywiście, że nie. Przecież to jego trzeci wiersz o tęsknocie za domem z rządu!

– Nie podoba ci się ten temat? – Alabaster spojrział na niego znad oprawek okularów.

– Nie – odparł Dłoń Żar, skubiąc haft na rękawie. – A poza tym wiersz był przestylizowany.

Alabaster spojrział na Głos Strumyka, szukając poparcia.

– Moim zdaniem był śliczny – rzekł Strumyk. – Dłoni Olcho, czy chciałbyś recytować w następnej kolejności?

– Tak, jasne! – oznajmił Dłoń Żar. – Posłuchajmy, na co stać naszego cudzoziemca.

Dłoń Żar uraził mnie już dwa razy. Odetchnąłem głęboko i skupiłem myśli, a służba przygotowywała kolejne tratwy z czarkami. Żar, Strumyk i Alabaster zaczęli się już niecierpliwić, gdy oznajmiłem:

Słodkie wino śliwkowe z butelki ścieka...

Otworzyłem usta szeroko. Czyżbym był dzieckiem, któremu inspiracji dostarcza to, co się dzieje dookoła niego? Służba przyglądała mi się uważnie, napełniając czarki i zastanawiając się, czy już skończyłem. Przetrzęsałem myśli w poszukiwaniu kolejnego wersu, próbując wpaść na coś genialnego, na coś, co zrobi wrażenie, ale nie będzie zbyt krzykliwe, coś, co będzie nawiązywało do klasyki, ale jednocześnie wyda się oryginalne. I do tego musiałem się pospieszyć! Dłoń Żar już bębnił palcami po blacie stołu.

Ogień w palenisku rozgrzewa zziębnięte kości.

Towarzysze, szlak przez góry nas czeka,

Lecz teraz usiądźcie, by mym winem się ugościć.

Ku mojemu zaskoczeniu cała trójka chwyciła czarki. Alabaster zakręcił własnym winem i zastanowił się.

– Rytm był nieco dziwny – mruknął, ale wypił.

Przez resztę popołudnia piliśmy wino i krytykowaliśmy swoje wiersze, a pod wieczór czułem się w ich towarzystwie na tyle swobodnie, by zrezygnować z podniesienia czarki, gdy Dłoń Żar po raz trzeci porównał włócznie legionu sienneńskiego z różkiem księżycy, i potem jeszcze raz, gdy Strumyk pijackim głosem wybelkotał idylliczny wierszyk o motylach. Po zmroku służba przyniosła nam tradycyjną sienneńską kolację, składającą się z wołowiny na pieprzu, pszenicznych klusków z grzybami oraz młodej kapusty smażonej z czosnkiem. Wszystkie składniki sprowadzono z ojczyzny, co bez wątplenia musiało sporo kosztować. Zjadłem kolację, następnie pożegnałem się, a Jhin zaprowadził mnie do komnat, równie przestronnych jak sala biesiadna mojego ojca.

Być może przyczyną był Dłoń Żar, który nadużywał budzącego złe skojarzenia słowa „cudzoziemiec”, a być może należało to tłumaczyć zwykłą tęsknotą za domem i zawrotem głowy wywołanym nagłym wejściem w nowe miejsce i nową rolę. Być może jednak powód leżał gdzieś głębiej. Niewykluczone, że należało się go doszukiwać w towarzyszącym mi przez całe życie problemie ze znalezieniem sobie miejsca, podsyconym przez moje mieszane pochodzenie, a teraz rozbudzonym cynizmem Dłoni Żara. Tak czy owak, gdy znalazłem się w zaciszu własnego pokoju, poczułem nagłą ochotę, by ćwiczyć Żelazny Taniec, czego nie robiłem od egzaminów. Wypity alkohol sprawił, że bez namysłu zacząłem odtwarzać pierwsze układy.

Po kilku krokach dotarłem do tej części tańca, która pozwoliła mi zabić strażników w Żelaznym Mieście. Chciałem wykonać uderzenie łokciem i wypad naprzód, ale wtedy moje ramiona nagle opadły. Co ja wyprawiałem? Dlaczego kultywowałem tradycję ludzi, którzy zabili Wilgę?

Niespodziewanie ukłuł mnie strach. Przypadłem do bagażu i zacząłem go dokładnie oglądać. Miałem wrażenie, że wszystko było w należytym porządku, ale musiałem mieć pewność. Wypakowałem tomy z filozofiami mędrców od Koro Ha, a potem przetrząsałem dokumenty i zwoje, aż natrafiłem na pudełko z pędzlami, w którym ukryłem nóż babci. Odprężyłem się, dopiero gdy zobaczyłem nietkniętą pieczęć na zamku.

Serce zwolniło tempo, a ja wszystko przepakowałem, umieściłem na kufrze nową pieczęć i padłem na łóżko. Wmawiałem sobie, że byłem zmęczony po długiej podróży i wypitym winie. Tak należało to wszystko tłumaczyć. Winem, które rodzi głupotę.

Leżałem jeszcze jakiś czas bez ruchu, a słowo „cudzoziemiec” unosiło się wśród moich myśli. Gdy wreszcie zaczął ogarniać mnie sen, uświadomiłem sobie, że spośród trzech obecnych czarodziejów moją edukacją najprawdopodobniej zajmie się Dłoń Żar.

Minister handlu

Następnego dnia rano, gdy tylko przestało mi huczeć w głowie, a żołądek się uspokoił, ruszyłem na poszukiwania Głosu Strumyka. Znalazłem go w Pawilonie Wpatrującego Się w Lilie, gdzie stał na wyspie w samym środku największego stawu w cytadeli. Z jego czoła tryskały strumienie światła przywodzące na myśl rtęć, a wyczuwalne wokoło ciężkie falowanie zdradzało, że zajmował się magią transmisji.

Zaczekałem na mostku przed pawilonem, aż światło przygaśnie i Strumyk zakończy swoją codzienną konferencję z cesarzem.

– Zrobiłeś wczoraj wrażenie na Dłoni Alabastrze – powiedział Głos Strumyk, gdy wszedłem do środka. – To niełatwa sztuka!

Podziękowałem mu i odruchowo dodałem:

– Nie bez powodu dostałem ten przydział w tak młodym wieku.

Głos Strumyk pogładził swoje ogolone policzki. Tetragram na czole migotał jak powierzchnia stawu.

– W rzeczy samej. I daleko zajdziesz, jak sądzę – powiedział. – Masz ten sam zapał w oczach co ja, gdy zostałem Dłonią jako młody człowiek. Najpierw służyłem w Toa Alon, wiesz? A, być może nigdy o tym nie słyszałeś. Toa Alon jest prowincją cesarstwa od tak dawna, że na nowszych mapach nie rysuje się już granic. To piękny kraj, pełen gór, bujnych lasów i świątyń z cudownie rzeźbionego kamienia. Wspaniała flora i równie cudowna fauna, choć niektóre gatunki są naprawdę niebezpieczne. Mieszkają tam również niezwykle uzdrowiciele. A raczej, rzecz jasna, mieszkali... – Urwał i utkwiał wzrok w wodzie.

– Nie mogę się doczekać, aż zacznę pracę – powiedziałem. – I powrócę do nauki. Zacząłem dopiero poznawać kanon pod okiem Dłoni Przewodnika. Być może, jeśli Dłoń Alabaster znajdzie czas...

– Do nauki kanonu przystąpisz w swoim czasie, Dłoni Olcho – rzekł Głos Strumyk. – Ta prowincja to bardzo wymagające miejsce i twoje obowiązki ministra handlu muszą wysunąć się na pierwszy plan.

– Oczywiście – odparłem.

Moim zadaniem, jak się później dowiedziałem, miało być opracowanie ceł i podatków, uporządkowanie systemu miar i wag, zarządzanie prawami do wydobywania minerałów na Pustkowie Batir oraz – co było najważniejsze – podtrzymywanie kruchej więzi między wiatromistrzami i sieneńskimi kupcami, którzy polegali na wiatrowcach.

– Pustkowie pożera karawany – mówił Strumyk, prowadząc mnie do Pawilonu Wiatru wśród Traw, gdzie miało znajdować się moje biuro. – Na każdym trzeci żołnierz, którzy maszerowali ze Sienu na podbój tej prowincji, dwóch umarło z pragnienia. Bez wiatromistrzów nie ma w An-Zabat żadnego handlu.

To rozbudziło moją ciekawość. Aby wykonywać swoje zadanie jak należy, musiałem nauczyć się jak najwięcej o wiatromistrzach i ich magii, łącznie z cudem ich bogini.

– Oczywiście będziesz działał przez pośredników – ciągnął Głos Strumyk. – Mamy tu prężnie działającą biurokrację i kupcy współpracują blisko z podległymi nam ministrami. Uznajemy za wielkie szczęście to, że większość naszych obowiązków można wykonać stąd, z tego ogrodu, choć Żar narzeka na ilość pracy papierkowej.

– Ale na pewno istnieją zadania, które lepiej jest wykonać osobiście w mieście – przerwałem, szukając jakichś uzasadnionych powodów, by wyjść za mury cytadeli. – Spotkania z wiatromistrzami czy innymi ważnymi miejscowymi, dla przykładu.

Strumyk zaśmiał się cicho.

– Jesteś teraz Dłonią cesarza. Jeśli masz sprawę do kogoś z miejscowych, powinieneś wezwać go tutaj. Udawanie się do nich doprowadziłoby do umniejszenia znaczenia twojego urzędu i byłoby poważnym pogwałceniem naszego kodeksu moralnego. Nie, wszystkie konieczne spotkania odbędą się tu, w tym ogrodzie.

Była to rozczarowująca wiadomość, ale nie pozwoliłem, by wpłynęła na mój nastrój. Dręczyło mnie zresztą inne, stosunkowo niewinne pytanie, na które Głos Strumyk z pewnością znał odpowiedź.

– Nie chcę, żebyś wziął mnie za człowieka bezczelnego – odezwałem się – ale nie rozumiem, dlaczego wiatromistrzowie mogą korzystać ze swojej magii. W każdym innym zakątku cesarstwa, nie licząc buntowniczej północy Nayenu, miejscowa magia została włączona do kanonu bądź zniszczona. Dłoń Przewodnik opowiadał mi o misji cesarza, który planował uwolnić ludzkość od chaosu wszczynanego przez dawnych bogów i jeszcze starsze przesady. Nasz władca chce zjednoczyć wszystkich pod swoim przywództwem. Czyż nie chcemy tego samego tutaj?

Głos Strumyk zatrzymał się na ścieżce i zmrużył oczy. Miałem wrażenie, że tetragram na jego czole również mi się przygląda, jakby sam cesarz usłyszał moje pytanie. Pamiętałem groźby Czystej Rzeki i ostrzeżenia matki. Nagle przyszło mi do głowy, że cesarz, choć nie zna myśli swoich Dłoni, z pewnością wie, o czym myśli każdy Głos. Dotarło do mnie, że być może uraziłem Strumyka, cesarza bądź ich obu, i zacząłem przygotowywać się do przeprosin.

– An-Zabat nie przetrwa bez handlu – powiedział powoli Głos Strumyk. – Otacza je zielone pasmo zasilane przez wody oazy, gdzie prowadzi się uprawy, ale miasto rozrosło się do tego stopnia, że nie może już samo się wyżywić. Sięgnęliśmy po zwyczajowe metody, żeby dodać magię wiatromistrzów do kanonu: łapaliśmy ludzi praktykujących tę sztukę, przesłuchiwalismy ich i tak dalej. Tymczasem przez rok do An-Zabat nie dotarł żaden statek wiatrowy i miasto o mało się nie zagłodziło. Kiedyś poznamy ich sekret, ale póki co trzeba z nimi negocjować.

– Nie zawiodę imperium – odparłem, nieco wystraszony ostrością jego słów.

Głos Strumyk pokiwał głową, a jego mina nieco złagodniała.

– Tak też myślimy.



Pawilon Wiatru wśród Traw był dosłownie zavalony książkami i dokumentami, a w każdej przestrzeni wolnej od szafek i regałów wisiały obrazy przedstawiające porośnięte lasem góry południowego Sienu. Pod oknem wychodzącym na północ stało biurko, a siedząc przy nim, widziałem zagajnik bambusowy, dający cień i prywatność. Na biurku znalazłem dzwonek do przyzywania służby, jadeitowe, ozdobione rytem winorośli ciężarki do przytrzymywania zwojów oraz miseczkę do ugniatania tuszu. W powietrzu czuć było zapach papieru oraz starego kadzidła, przypominający mi lekcje z Koro Ha.

Moja osobista akademia, pomyślałem.

Poczułem w sobie niepewność, gdy ciężar moich obowiązków ministra handlu, unaoczniony górą ksiąg i dokumentów, wreszcie spoczął na moich barkach. Życie i dostatek tego miasta – oraz znaczny fragment gospodarki cesarstwa – znalazły się w rękach człowieka, który poznał jedynie podstawy ekonomii. Pozostawało więc tylko zakasać rękawy i zabrać się do pracy w nadziei, że Dłoń Przewodnik nie polecił mi do awansu tylko po to, żeby śmiać się z mojej porażki.

Przeglądałem półkę po półce, co rusz mrużąc oczy, gdy przychodziło do odczytania niezwykle drobnego pisma, oraz kaszłac, gdy znad nieruszanych od lat papierów wzbijał się kurz. Ale w końcu zacząłem rozumieć gospodarczą sytuację An-Zabat. Niemalże cały dochód miasta opierał się na towarach luksusowych, które przewożono przez Pustkowie Batir. Wiatrowce zwoziły tu cenną kość i futra z mroźnej północy, olej palmowy, barwniki i przyprawy z zachodu oraz jadeit, jedwabie i ziarno z imperium po drugiej stronie pustyni. Wszystkie wiatrowce spotykały się w An-Zabat, by odpocząć, zaopatrzyć się w jedzenie i wodę oraz wymienić towary. Inwestorzy i spekulanci robili tu wielkie interesy, a podatki zbierane w An-Zabat były trzy razy większe od należności z całego Nayenu.

Znalazłem się więc w samym środku finansowej trąby powietrznej i musiałem zrobić wszystko,

co w mojej mocy, by dalej wirowała. Ba, musiałem sprawić, by obracała się szybciej i rozrastała przy tym, co było możliwe tylko dzięki życzliwości wiatromistrzów. Imperium podbiło An-Zabat, ale finansami i zaopatrzeniem miasta władali wiatromistrzowie.

Gdybym poradził sobie z tym zadaniem jak należy i gdybym znalazł sposób na przełamanie monopolu wiatromistrzów, cesarz z pewnością pozwoliłby mi wstąpić do Akademii Cesarskiej lub nawet zostać Głosem, a w najgorszym razie rozpoznawano by we mnie kogoś więcej niż tylko leworęcznego cudzoziemca. Żadne z tych rozwiązań nie oferowało sposobu na uwolnienie się z więzów kanonu i cesarstwa, ale każde z nich stanowiłoby dla mnie kamień milowy na mojej ścieżce. Były to jednak wzniosłe cele i wiedziałem, że nigdy ich nie osiągnę, jeśli nie skupię się na bieżących obowiązkach. Cierpliwość i pilność miały stać się kluczem do urzędniczego sukcesu i każda okazja, by udowodnić moją wartość, choćby i najbardziej żmudna, była kolejnym krokiem ku wolności.

Otworzyłem następną księgę rachunkową, zakaszlałem, zamachałem ręką, by odpędzić chmurę kurzu, i kontynuowałem pracę.



Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Uniosłem zażawione oczy znad księgi i uświadomiłem sobie, że w pokoju jest już ciemno. Nie zwróciłem uwagi na to, że zaszło już słońce, a praca pochłonęła mnie do tego stopnia, iż zapomniałem zapalić lampę. Kolejna seria stuknięć zmusiła mnie, żebym podniósł się z krzesła. Ostrożnie wyminąłem stos przejranych już ksiąg, który sięgał powyżej moich kolan, ale nadal wydawał się jedynie niewielkim mrowiskiem w porównaniu ze wzgórzem tomów wciąż czekających na półkach.

Rozpacz kazała mi się na moment zatrzymać. Jeśli tylko tyle udało mi się dokonać przez jedno popołudnie, przejrzanie całości zabierze...

Pukanie rozległo się po raz trzeci, wrywając mnie z bolesnych wyliczeń.

Jhin uklonił się, gdy otworzyłem drzwi. Do środka wpadł chłodny podmuch wiatru, a ja uświadomiłem sobie, że w moim pokoju zrobiło się duszno i cuchnęło potem. Nawet nie pomyślałem, by otworzyć okno.

– Och, Wasza Ekscelencjo – odezwał się Jhin. – Przepraszam, że przeszkadzam.

– Żaden problem – odpowiedziałem. Zaburczało mi w brzuchu i zarumieniłem się. – Przepraszam. Chyba zapomniałem, żeby coś zjeść.

– Pańskie oddanie jest godne podziwu – rzekł Jhin. – Dłoń Alabaster wysłał zaproszenie, żebyś spożył z nim kolację w Pawilonie Złotej Fortuny, ale mogę przysłać posiłek do twojego pokoju, jeśli...

– Z przyjemnością do niego dołączę – powiedziałem, chcąc wyrwać się z dusznego pokoju.

– Oczywiście, Wasza Ekscelencjo. – Jhin znów się uklonił, odwrócił na pięcie i ruszył przodem.

Głazy ustawione wzdłuż ścieżki doprowadziły mnie do wysokiego klifu z kolumn bazaltowych, sprowadzonych wiatrowcem z zachodniego Sienu. Pawilon Złotej Fortuny, w którym Alabaster urządził swoje biuro, znajdował się u stóp klifu. Wygięte ku górze okapy dachowe przystrojono złotymi medalionami z logogramami oznaczającymi szczęście i bogactwo. Z okna buchał zapach kadzidła, który zlewał się z bogatym aromatem kolacji przygotowanej przez służących Dłoni Alabastra.

On sam wstał, by mnie powitać. Jego biuro było urządzone podobnie jak moje – wzdłuż ścian ciągnęły się półki, uginające się pod ciężarem ksiąg, a między nimi wisały obrazy, przedstawiające poważne, melancholijne sceny – poszarpane klify wyłaniające się z mgieł czy pozbawione listowia gałęzie wiśni w zimie. Usiedliśmy przy stole. Za mną wszedł służący, który napełnił imbryk wodą z parującego czajnika.

– Co sądzisz o swoim nowym domu? – spytał Dłoń Alabaster, gdy służący wyszedł.

– Niewiele widziałem w drodze z portu, ale wszystko wydało mi się intrygujące – odparłem. – Przyznam jednak, że jestem nieco oszołomiony rozmiarem moich zobowiązań.

Miałem nadzieję, że być może przytrafi się okazja, by wyjść do miasta. Przyszło mi raz czy dwa do głowy, żeby wymknąć się na własną rękę, choć nie miałem pewności, czy mój przydział do An-Zabat nie był przypadkiem jeszcze jednym zawołowanym testem. Ale gdybym wyszedł w towarzystwie

innego dostojnika tej samej rangi, nikt nie mógłby mnie oskarżyć o łamanie zasad.

– Być może byłbyś w stanie załatwić nam wspólne wyjście. Oprowadziłbyś mnie po mieście i pomógłbyś lepiej zrozumieć poddanych, żebym w efekcie lepiej nimi zarządzał. Jesteś ministrem kultury, a więc zapewne znasz miasto lepiej niż ktokolwiek inny.

Alabaster zmarszczył brwi znad krawędzi filiżanki.

– Miałem na myśli ogród, Dłoni Olcho – powiedział. – Wziąłem cię za człowieka zainteresowanego literaturą. Na pewno bardziej niż Dłoń Żar. Włożyłem w urządzenie tego ogrodu mnóstwo serca, co było zresztą jednym z moich podstawowych zadań. Gdy pojawią się tu pierwsi kandydaci do cesarskich egzaminów, chcę, żeby się poczuli, jakby wkroczyli w samo serce Sienu.

Poczułem zażenowanie i frustrację – mój zamiar, by wyjść stąd i zobaczyć coś więcej niż to, co widziałem z muru ogrodu, został pokrzyżowany po raz drugi. Popijałem herbatę i zbierałem myśli.

– Ogrody w Nayenie odzwierciedlają górzystą naturę wyspy. Ich budowniczowie zachowują naturalne zbocza i baseny, choć Głos Złota Zięba nie szczędził pieniędzy, żeby dogodzić swoim kaprysom. Ten projekt jest bliższy klasycznym założeniom, co najwidoczniej spełnia twoje oczekiwania.

Alabaster wsunął okulary wyżej na nos.

– Wolałbyś, żebym urządził ogród na bazie piasku i skał?

– Twój projekt najwyraźniej świetnie pasuje do An-Zabat – powiedziałem, uświadomiwszy sobie, że chyba go uraziłem.

Dwóch służących wniosło tace z jedzeniem – zapiekana wieprzowinę, kluski w sosie z ostrym oraz smażone warzywa z czosnkiem. Alabaster skubał jedzenie w zadumie. Burczało mi w brzuchu, ale czekałem, aż sam zacznę jeść. Musiałem uszanować rolę jego jako gospodarza i moją jako gościa.

– Chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi, Olcho – odezwał się w końcu. – Głos Strumyk to człowiek zasługujący na szacunek, ale przepaść między naszymi rangami nie pozwala nam na przyjaźń. Ja i Głos Żar umiemy zaś współpracować, ale to wojowniczy prostak.

– Będę zaszczycony – powiedziałem, myśląc o Wildze. Czekał mnie tu huk pracy, ale nie chciałem być samotny. – Miałem zresztą nadzieję, że to ty będziesz kontynuował moją naukę posługiwania się magią, choć póki co nasza przyjaźń będzie się ograniczać do spożywanych wspólnie posiłków. Układy z wiatromistrzami wydają się dość złożonym zajęciem.

Alabaster machnął lekceważąco ręką i napełnił mi filiżankę.

– To niełatwa robota, ale nie zajmie ci dużo czasu, bo nie da się z nimi wiele robić. To gromada uparciuchów, którzy nie przyswajają żadnych nauk. – Otarł czoło chusteczką, a potem poprawił okulary na nosie i wyjrzał przez okno. – Dość już rozmów o tej przeklętej prowincji. Opowiedz mi o sobie, Olcho. Powinniśmy się poznać, jeśli mamy być przyjaciółmi.



Po miesiącu w An-Zabat zacząłem kształtować własną politykę. Nałożyłem nowe podatki na import zboża i przeznaczyłem dochód na budowę i wypełnianie nowych cesarskich silosów. Nazywałem to rezerwą strategiczną, zapasem gromadzonym na wypadek, gdyby wiatromistrzowie postanowili zamknąć porty i zagłodzić miasto.

Głos Strumyk się nie mylił – w istocie pracowałem na papierze i za pośrednictwem posłańców. Każdego dnia rano zastawałem nowy stos raportów na biurku, a pod koniec tygodnia dostarczano mi również księgę, w której podawano wartości tygodniowego importu oraz eksportu. Wypisywałem instrukcje dla moich podwładnych w Zarządzie Portu, Urzędzie Miar i Wag oraz w Ministerstwie Wpływów, opatrywałem je własną pieczęcią – pożegnalnym upominkiem od Dłoni Przewodnika – i wręczałem Jhinowi, który z kolei powierzał je kursującym po mieście kurierom. Nigdy nie spotkałem się z żadnym z moich współpracowników. Głos Strumyk utrzymywał, że takie spotkanie byłoby czymś zbędnym. „To nie barbarzyńskie królestwo, w którym ministrowie są ci posłuszni ze względu na siłę twojej osobowości” – powiedział, gdy podzieliłem się swoimi wątpliwościami. „To, kim jesteś lub kim oni są, nie powinno wpływać na wasze układy. W cesarskiej biurokracji jesteś dla nich starszym bratem, a ich obowiązkiem jest wypełniać twoją wolę”.

Razem z Alabastrem kontynuowaliśmy nasze miłe spotkania, choć zawsze miały miejsce w jego biurze lub w Sali Biesiadnej Słodkiego Nektaru, gdzie wśród koszy z lwimi paszczami unosiły się chmary kolibrów.

Po kilku tygodniach zaczął pokazywać mi wyjątki z listów otrzymywanych od swojej narzeczonej. „Czy jej słowa nie wydają ci się zdawkowe i pobieżne?” – pytał, pokazując mi wiersz jej autorstwa. Zawsze podnosiłem go na duchu, ale przeczuwałem, że moje rady na nic się zdają, bo sam nie miałem pojęcia, czym jest miłość.

Pod koniec drugiego miesiąca moja praca nabrała rytmu, a ja odkryłem, że codzienne zajmowanie się sprawami ministerstwa jest mniej wyczerpujące, niż sądziłem. Poranki zajmowało mi wysyłanie poleceń i raportów dla moich podwładnych, ale na ogół udawało mi się skończyć pracę w południe. An-Zabat było kipiącą życiem przystanią, ale sprawy, które trafiały na moje biurko, rzadko różniły się czymś od wcześniejszych.

Aż pewnego dnia, trzy tygodnie po stworzeniu zapasów strategicznych, na moim stole korespondencji znalazł się niecodzienny list. Autor pisał pewnie, bez wahania, ale zauważyłem brak wprawy, jak u każdego, kto nauczył się stawiać logogramy jako dorosły człowiek. Co więcej, nie zauważyłem tetragramu, po którym mógłbym zidentyfikować autora. Treść, zawarta w krótkich, ostrych zdaniach, była bezpośrednia i pozbawiona subtelności wymaganych w oficjalnej korespondencji cesarskiej.

Czcigodny ministrze!

Podatek, który nałożyłeś, jest dla nas nie do przyjęcia. Należy go unieważnić. Nie zapominaj, co się dzieje, kiedy cesarstwo pozwala sobie w An-Zabat na zbyt wiele.

Niżej widniało kilkanaście podpisów wypisanych fonetycznymi runami, ale nie rozpoznawałem żadnego.

Zadzwoiłem po Jhina, ale on również nie znał tych nazwisk.

– Zakładam, że są to bogaci armatorzy lub kupcy, a może nawet sami wiatromistrzowie. – W jego słowach nie było nic, do czego sam bym nie doszedł.

W Nayenie raz na jakiś czas zgłaszano podobne protesty. Dawało się je wyciszyć za pomocą kilku spotkań, drobnych darów i prostych gestów. Leczyliśmy straty, które poniosła kieszeń, podnosząc poczucie pewności siebie poszkodowanego. Przekazałem dziesiątki instrukcji moim podwładnym, każąc zidentyfikować ludzi, którzy podpisali się pod protestem, i dowiedzieć się, jak ich udobruchać, nie dając im przy tym tego, czego chcą. Jednocześnie poprosiłem Jhina, by podał obiad.

Posiłek przerwała mi znajoma sensacja – gorąco na skórze i chłód w płucach – oznaczająca efekty działania magii bitewnej. Potem rozległ się syk i trzask błyskawicy. Jhin dołał herbaty do filiżanki, z której przed chwilą trochę rozlałem.

– To tylko Dłoń Żar podczas treningu – uspokoił mnie sługa.

Zaintrygowany, porzuciłem posiłek w połowie i podążając za dźwiękami, udałem się na strzelnicę, gdzie wcześniej widziałem członków straży podczas treningu. Zobaczyłem tam Dłoń Żara, który biegał to w jedną, to w drugą stronę wzdłuż linii dla strzelców. Złote łuski jego zbroi połyskiwały w słońcu, gdy wyskakiwał w powietrze i strzelał z bata. W tej samej chwili magiczne wyładowanie rozsadziło jakiś manekin. Nadpalona słoma opadała wszędzie dookoła.

Żar zatrzymał się na mój widok.

– Dłoń Olcha! Czyżbyś wygrzebał się spod codziennego stosu papierków?

– Trochę mi zostało, ale to nic pilnego – powiedziałem. – Poczulem oddziaływanie magiczne w ogrodzie i nie mogłem powstrzymać ciekawości.

– Strumyk i Alabaster zapominają, że jesteśmy przede wszystkim żołnierzami – odparł Dłoń Żar, a jego bicz znikł z trzaskiem, gdy otworzył dłoń. – Spędzam tu popołudnia, chyba że zwycięży tęsknota za moją piękną żoną. Kiedy po raz ostatni trenowałeś użycie magii?

– Jakiś rok temu – przyznałem, myśląc o Wildze na splamionym krwią placu. – Choć właściwie chyba jeszcze wcześniej. Po prawdzie moje szkolenie nie zostało zakończone. Dłoń Przewodnik uznał, że powinienem powrócić do nauki w An-Zabat, i zasugerował, żeby jeden z was stał się moim nauczycielem.

– Cóż, nawet zapomnianą klingę da się naostrzyć – odparł Dłoń Żar i wskazał manekiny ćwiczebne. – Pokaż, na co cię stać.

Sięgnięcie do kanonu było równie łatwe jak podczas feralnej nocy w Żelaznym Mieście. Błyskawicznie odnalazłem labirynt kanałów, które przekazywały – i więziły – moc zdolną przekształcać strukturę wszechświata. W powietrzu pojawił się zapach cynamonu, gdy znów przeszła mnie magia. Poczulem jej ciepło, a potem chłód, aż wreszcie z mojego tetragramu wystrzeliła błyskawica, by rozszarpać manekina na pół.

Utrzymałem kanał otwarty, żeby uformować z magii ostrze, które z sykiem wystrzeliło z mojej ręki. W powietrze buchnęły cienkie strzępy słomianych ramion i nóg. Wyobraziłem sobie, że kukły mają twarze Wścieklej Wilczycy i Płonącego Psa, co rozbudziło we mnie wściekłość. Nad strzelnicą zawisł zapach ozonu i przypalonej słomy. Moje szaty ociekały potem.

– Wygląda na to, że magia przychodzi ci równie łatwo jak poezja. – Dłoń Żar ścisnął mnie za ramię. – Jeśli tam, na wschodzie, wszyscy jesteście tak utalentowani, nie dziwię się, że bunt nigdy nie wygasł do końca. Czwarty kanał to magia wiążąca, a piąty osłaniająca. Być może znajdę trochę czasu, żeby cię uczyć, jeśli...

– Dziękuję ci, ale powinienem skupić się na moich ministerialnych obowiązkach – odparłem, czując nieprzyjemne sensacje w żołądku.

Dłoń Żar przyglądał mi się przez moment z zauważalną dezorientacją.

– Myślałem, że chcesz kontynuować poznawanie kanonu – powiedział. – Gwarantuję ci, że Strumyk i Alabaster okażą się o wiele gorszymi nauczycielami ode mnie.

– Jestem tego pewien – odparłem i najprzejmiej jak umiałem wyslizgnałem się spoza jego zasięgu. – Ale ten pokaz uświadomił mi, jak wielkie mam zaległości i jak wiele muszę się jeszcze nauczyć. Powinienem przez jakiś czas poćwiczyć na własną rękę, zanim obciążę cię moją ignorancją.

Miałem wrażenie, że Dłoń Żar układa odpowiedź, ale nie dałem mu sposobności, by ją wygłosił. Podziękowałem za jego czas i odszedłem. Chciałem się uczyć, ale nie od niego i nie kanonu, bo w chwili, gdy do niego sięgnąłem, przypomniałem sobie o ograniczeniach, jakie posiadał. Cesarz nie miał zamiaru dzielić się z Dłońmi wiedzą i rozumieniem – on jedynie wręczył im narzędzia, by wypełniali jego wolę, nawet jeśli oznaczało to porzucenie przyjaciela na pewną śmierć.

Dłoń Alabaster wcale nie okazał się lepszym towarzyszem. Jego niekończąca się tęsknota za narzeczoną stała się z czasem męcząca, a w międzyczasie nabrałem przekonania, że nie robi w zasadzie niczego poza układaniem dla niej wierszy. Jako minister kultury powinien zajmować się przygotowywaniem An-Zabat do pierwszych egzaminów, ale podczas odwiedzin w jego biurze widziałem tylko drobne stopy korespondencji, zaledwie jedną dziesiątą tego, z czym ja musiałem się borykać każdego dnia.

Pewnego wieczoru, gdy czytał mi raz za razem miłosny kuplet, cierpliwość wreszcie mnie opuściła.

– Ilu nauczycieli sprowadziłeś do An-Zabat? – spytałem.

Zerknął na mnie znad okularów.

– Słucham?

– Czy wiesz już o jakichś obiecujących uczniach, którzy mają przystąpić do egzaminów? Poczyniłeś przygotowania, żeby sprowadzić tu nauczycieli nadzorujących ich przebieg?

– Ci prowincjonalni barbarzyńcy nigdy nie dorównają uczonym Sienu – odpowiedział. – Jakie znaczenie ma to, czy w tym przeklętym mieście w ogóle odbędą się jakieś egzaminy?

– Nayen swego czasu był taką prowincją – odparłem ostrym tonem, czując, że na policzkach pojawia mi się gorący rumieniec. Alabaster okazał mi dużo życzliwości, ale odnosiłem wrażenie, że podobnie jak Dłoń Żar miał mnie jedynie za cudzoziemca ze wschodu, choć wykształconego na tyle, by dotrzymywać mu towarzystwa.

– Nadal jest. – Alabaster wzruszył ramionami.

Wyszedłem bez słowa. Nie chciał mnie zatrzymać i nigdy mnie nie przeprosił, a ja straciłem nadzieję, że kiedykolwiek znajdę sobie w An-Zabat jakieś towarzystwo.

Tancerka

Zajmowałem się obowiązkami, ale życie stało się monotonne i powtarzalne. Jedyne urozmaicenie były samotne spacerunki po ogrodzie, które jednak tylko wzmagaly moje przygnębienie. Zagajnik bambusowy i migotliwe stawy pochłaniały ogromne zapasy wody, którą można by było wykorzystać do powiększenia zielonego pasa wokół miasta i osłabienia wpływów wiatromistrzów. Co więcej, wieczne lato w An-Zabat pozbawiało ogród pór roku. Znikł rytm wzrostu i więdnienia, a wraz z nim dynamiczna złożoność definiująca strukturę świata. Cóż takiego cesarstwo zyskiwało dzięki tej nędznej imitacji sieneńskiego ogrodu?

Monotonie mojego życia przerwało wreszcie gorączkowe stukanie do drzwi pewnego słonecznego poranka. Siadałem właśnie do pracy nad księgą rachunkową, gdy usłyszałem głos Jhina, który aż drżał z emocji.

– Nie chcę zwracać głowy, Wasza Ekscelencjo, ale... cóż... doszło do zamieszek przy bramie do cytadeli.

Otworzyłem drzwi, żeby wpuścić Jhina. Sługa miał szeroko otwarte, zaniepokojone oczy i ocierał pot z czoła.

– Co się stało? – spytałem.

– Wiatromistrzowie! Znaczą się ich przywódcy albo przynajmniej ci, którzy się za nich uważają! Są tutaj! – mówił Jhin. – Przy bramie! W wielkiej liczbie! Domagają się spotkania z tobą! A właściwie z ministrem handlu! Nie poprosili o...

– Podali powód?

– Nie, Wasza Ekscelencjo.

Przepchnąłem się obok Jhina. W głowie zawirowały mi liczne pytania, a serce biło mocno z ekscytacji po raz pierwszy od wielu miesięcy. Fascynowali mnie wiatromistrzowie i chciałem zacząć badać ich fenomen, ale jak dotąd mogłem im poświęcić rozczarowująco mało czasu. A teraz tu przybyli i domagali się audiencji. Odmówienie im możliwości rozmowy byłoby czynem nierozważnym, a do tego złamaniem zasad przyzwoitości. Wszak byłem ich starszym bratem w wielkiej rodzinie imperium i musiałem powitać ich z gościnnością.

Jhin mnie dogonił.

– Głos Strumyk, Dłoń Żar i Dłoń Alabaster również zostali powiadomieni – zawołał.

Przyspieszyłem. Chciałem dotrzeć do bramy, zanim znajdzie się tam Strumyk i uraczy mnie mową o tym, jak ważne jest, by cesarska biurokracja odegrała swoją rolę. Jhin dotrzymywał mi kroku, mrużąc coś pod nosem.

Wbiegłem na mury, przeskakując dwa stopnie naraz, i przepchnąłem się przez tłum strażników, którzy już łapali za kołczany i bandolety z granatami. Na placu przed bramą stało w półkrygu sześcioro Zabatańczyków – czterech mężczyzn o masywnych ramionach ozdobionych tatuażami oraz dwie kobiety. Jedna z nich miała miecz u boku, ale o wiele bardziej zaskoczyła mnie druga, którą poznałem po krótko przyciętych lokach oraz srebrnym szalu na ramionach.

– Czy to ciebie szukamy? – odezwał się jeden z mężczyzn, stary i siwowłosy, o potężnym głosie, który niósł się daleko, jak na pokładzie okrętu. Mówił po sieneńsku, z ciężkim miejscowym akcentem.

– Jestem Dłoń Olcha, minister handlu An-Zabat – odkrzyknąłem, choć mój głos w porównaniu z jego brzmiał niczym melodia grana na fujarce.

Siwowłosy wiatromistrz pokiwał głową.

– A ja jestem Katiz. Musimy porozmawiać. Może być tutaj, jeśli nie ma innej możliwości.

W tejże chwili na schodach za sobą usłyszałem kroki człowieka w zbroi i na murze pojawił się Dłoń Żar w błyszczącym pancerzu. Przyjrzał mi się, uniósł brew i założył ramiona, najwidoczniej

zadowolony z tego, że może odegrać rolę widza, który będzie mógł posłużyć się przemocą, jeśli coś schrzańię.

Wydarzenie przyciągało coraz więcej uwagi. W wejściach do uliczek zbierały się grupki ludzi, a inni wyglądali zza drzwi i z okien. Nie była to najbardziej sprzyjająca publiczność dla delikatnej rozmowy o gospodarce i polityce, do czego bez wątpienia miało tu dojść.

– Mój służący zaprowadzi was do sali audiencyjnej – powiedziałem. – Tam się spotkamy.

Katiz znów skinął.

– Wasza Ekscelencjo, toż to... – zaprotestował Jhin, ale przerwałem mu:

– Bądź tak dobry i zrób, co do ciebie należy. – Precisnąłem się obok niego i Żara, by zejść po schodach.

– Powodzenia, Olcho – rzekł Żar, a potem krzyknął: – Słyszeliście, co powiedział Dłoń! Otwierać bramę! Gwardia honorowa ma towarzyszyć służącemu! Ruszać się!

Strażnicy poderwali się do działania, a ja pogałem na tyle szybko, na ile pozwalała mi godność, w stronę sali audiencyjnej w sercu cytadeli. Zdążyłem zająć jedno z czterech krzeseł na podwyższeniu i narzucić szal oznaczający moją rangę, gdy pojawili się wiatromistrzowie, prowadzeni przez zdenerwowanego Jhina. Otaczało ich tuzin żołnierzy z dłońmi na rękojeściach mieczy.

– Przykro mi, ale nalegam! Zanim staniecie przed obliczem Dłoni... – mówił Jhin.

– Nie! – rzuciła kobieta po sienieńsku, a potem zwróciła się do Katiza po zabatańsku: – Nie pozwolę ci wkroczyć bez broni do jamy pełnej wrogów!

– Nie oczekuję tego – przerwałem w ich ojczystej mowie.

Wiatromistrzowie zamarli w pół kroku, zaskoczeni tym, że znałem ich język.

Młodsza z dwóch kobiet – tancerka, którą widziałem zaraz po przyjeździe do miasta – parsknęła śmiechem.

– Mówi, jakby miał usta pełne piasku – rzekła po zabatańsku. – Ale doceniemy to, że przynajmniej nauczył się naszej mowy. Władcy powinni w zasadzie wiedzieć, co takiego mówią ich poddani, prawda?

Jhin, który nie rozumiał ani słowa, przeniósł spojrzenie z kobiety z mieczem na mnie. W jego oczach widziałem błaganie.

– W porządku, Jhin – powiedziałem. – Zabierz straż na zewnątrz. Gdyby coś się działo, zawsze mogę sięgnąć po moc kanonu. Zresztą wątpię, żeby ci ludzie przyszli do cytadeli rozlewać krew. Dobrze przecież wiedzą, że to odbiłoby się na nas wszystkich.

Jhin zawahał się, ale złożył ukłon i wyprowadził wciąż czujnych strażników do ogrodu. Wiedziałem, że będą czuwać w pobliżu, na wypadek gdyby audiencja w istocie przybrała zły obrót.

Wiatromistrzowie rozstawili się dookoła mnie z założonymi rękami, emanując niecierpliwością. Ewidentnie nie nawykli do formalnych zasad rządzących życiem dworu.

– A więc – znów przemówiłem po zabatańsku, próbując spoglądać na nich z wyniosłością, choć w uszach czułem huk krwi – podzielcie się swoimi zmartwieniami, żeby imperium mogło się nimi zająć.

Tancerka zasłoniła usta.

– Proszę – powiedziała po sienieńsku. – Doceniamy to, że poznałeś język Pustkowie, ale myślę, że władamy twoją mową lepiej niż ty naszą.

– A naszym zmartwieniem jest właśnie imperium – wtrącił Katiz.

– A co konkretnie? – spytałem po sienieńsku, jak zażyczyła sobie tancerka, choć uraził mnie jej stłumiony śmiech.

– Wprowadziłeś nowy podatek – rzekł Katiz. – Ziarno. Wypełniasz nim silosy. Myślisz, że nie wiemy, co robisz? Myślisz, że nie rozumiemy twoich powodów?

Przypomniał mi się list otrzymany kilka tygodni temu i podpisany przez nieznane mi z nazwiska osoby.

– Otrzymałem waszą petycję – odparłem. – Czyżbyście byli niezadowoleni z wysiłków, jakie podjęliśmy, żeby ulżyć waszym troskom?

– Jakich wysiłków? – spytał Katiz. – Podatek trzeba znieść.

– Utrzymywanie rezerw ziarna jest powszechną praktyką – powiedziałem, a w duchu obiecałem sobie, że wyślę reprimendy urzędnikom odpowiedzialnym za rozwiązanie problemu. Nie zaszkodziłoby

nawet kilku zdegradować. – Taki zapas stanowi zabezpieczenie na okoliczność głodu, wojny, suszy...

– Suszy? – odezwała się tancerka. W jej głosie nadal pobrzmiwało rozbawienie. – W tak pięknym ogrodzie najwidoczniej łatwo jest zapomnieć, że w An-Zabat nie pada.

– Miałem na myśli suszę w głównych prowincjach imperium. – Ze wszystkich sił próbowałem utrzymać dyplomatyczny ton. – W takich sytuacjach rezerwa strategiczna ustabilizuje cenę ziarna i uratuje miejską biedotę przed głodem.

– Jeśli na wschodzie trwa susza, kupujemy na zachodzie – powiedział Katiz. – Tak to zawsze wyglądało. Bądźmy szczerzy, nie robisz tego ze względu na biednych. Robisz to po to, żeby móc znowu w nas uderzyć. Żeby móc nas zakuć w kajdany i nie ponieść konsekwencji, bo odbierzesz nam najważniejszą kartę atutową.

– Chodzi wam o to, że już nie będziecie mogli zagłodzić miasta, tak? – spytałem ostro. – Muszę chronić ludność przed zakłóceniami w dostawach żywności. Moim głównym zmartwieniem jest los mieszkańców An-Zabat.

– Mieszkańców An-Zabat – powtórzyła tancerka. – A co ty o nich wiesz? Czy kiedykolwiek widziałeś, jak żyją? Oni nie boją się głodu. Oni boją się was! Wyjdź do miasta, a ja pokażę ci mieszkańców An-Zabat.

Poczułem gorący rumieniec na policzkach. Jej słowa ugodziły mnie celnie i obudziły zarówno wstyd, jak i frustrację wywołaną życiem w ogrodzie. Miała rację, rzecz jasna, jednak moja izolacja wcale nie była moją winą, a jedynie kolejnym ograniczeniem, które narzuciło mi życie. Chciałem jej opowiedzieć o granicach wytyczonych przez Głos Strumyka. Chciałem sprzeciwić się jej oskarżeniom o indolencję, ale nie miałem odwagi otwarcie burzyć zasad kodeksu postępowania w trakcie audiencji.

– Wykazujesz wielką odwagę, grożąc temu, kto może skazać cię na śmierć. – Uwolniłem frustrację w nieco mniej produktywny sposób.

Kobieta z mieczem opuściła dłoń na rękojeść swojej broni. Poczułem, jak po plecach spływa mi dreszcz, gdy ktoś sięgnął po moc przywoływania wiatru, choć powietrze w sali pozostawało nieruchome.

– Coś podobnego! – odcięła się tancerka. – Naprawdę chcesz się przekonać, jak długo wytrzymają twoje rezerwy strategiczne?

– Atar, dość już tego – wtrącił Katiz. – Shazir, puść ten miecz. Nie przyszliśmy tu, żeby rozpoczynać wojnę, tylko po to, żeby utrzymać pokój.

– A jak twoim zdaniem mamy tego dokonać? – spytałem.

– Ty stworzyłeś problem i ty musisz go rozwiązać – odparł Katiz.

Rozważyłem jego słowa i wszystkie moje opcje, aż przyszło mi do głowy rozwiązanie.

– Nie mogę całkowicie zlikwidować rezerwy strategicznej – powiedziałem. – Bez względu na to, co sami uważacie, moje silosy odgrywają pozytywną rolę. To klucz do stabilności miasta i mur ochronny przeciwko wielu możliwym tragediom.

– Nie możemy pozwolić, żebyś je zachował – rzekł Katiz.

Zastanowiłem się.

– A więc wam je oddam – odparłem.

Wiatromistrzowie wymienili zdumione spojrzenia.

– Potraktujcie to jako gest dobrej woli – powiedziałem. – Mnie naprawdę zależy na bezpieczeństwie mieszkańców An-Zabat i zapewnieniu miastu dobrobytu. Nie zniosę podatku na ziarno, a moi agenci nadal będą napełniać spichrze, ale to wam przypadnie obrona zasobów i dysponowanie nimi.

Wiatromistrzowie przez chwilę naradzali się szeptem, a ja rozparłem się na krześle. Nie spuszczałem ich z oczu i jednocześnie zastanawiałem się, jak wytłumaczę to przed Głosem.

– Moim zdaniem to pułapka – szeptała Shazir po zabatańsku, choć na tyle głośno, że mogłem usłyszeć, co mówiła.

Katiz napomniał ją i powrócili do narady szeptanej. Atar przez cały czas wpatrywała się we mnie, a jej szmaragdowe oczy lśniły zainteresowaniem.

– Nie jesteś Sieneńczykiem – powiedziała nagle. – Skąd pochodzisz?

– Moja matka jest Nayenką. – Pokazałem jej lewą dłoń. – Jednak bez względu na pochodzenie

jestem Dłonią cesarza, czyż nie?

– Może – rzekła. – Ale żaden z nich nie zrobiłby czegoś takiego. Myślisz inaczej, Nayeńczyku, i pokazujesz mądrość, której brakuje cesarstwu.

– A kim ty jesteś, skoro stajesz u boku mistrzów handlu i magii, żeby negocjować ze mną? – spytałem. – Widziałem cię na bazarze, jak tańczyłaś dla pieniędzy.

Odpowiedziała mi uśmiechem, od którego serce na moment przestało mi bić.

– Jak już powiedziałam, niewiele wiesz o An-Zabat.

– Dobrze więc. – Katiz odwrócił się od innych wiatromistrzów i spojrzał na mnie. – To dobry kompromis, choć nie zgadzamy się, żebyś ingerował w prowadzoną przez nas dystrybucję ziarna. Być może uznamy, że należy wykorzystać rezerwy na sposoby, o których imperium jak dotąd nie pomyślało.

– Zgoda – powiedziałem i oderwałem wzrok od Atar. Nadal czułem posmak urazy, ale jednocześnie kręciło mi się w głowie i miałem wielką ochotę zobaczyć ją raz jeszcze w tańcu. – Pod warunkiem, że moi księgowi będą informowani o stanie rezerw i o tym, ile ziarna wyprowadzacie.

Katiz skinął i wyciągnął dłoń. Dwa pierwsze palce były lekko zgięte.

– A więc zgoda.

Zszedłem z podwyższenia, wyciągnąłem rękę i zahaczyłem jego palce własnymi. Atar uniosła brew. Niemalże słyszałem, jak mówi: „Władasz naszą mową. Nic więc dziwnego, że wiesz coś o naszych zwyczajach”.

Po załatwieniu interesów wiatromistrzowie opuścili salę audiencyjną. Atar wyszła jako ostatnia, a w proggu rzuciła mi jeszcze spojrzenie przez ramię, jakby po raz trzeci zapraszała mnie do miasta. Pozostawiła za sobą zapach lawendy.



Tuż po ich wyjściu Głos Strumyk wezwał mnie do Pawilonu Wpatrującego Się w Lilie. Podobnie jak wcześniej, z jego czoła emanował blask transmisji. Tym razem jednak Głos kazał mi podejść, zanim przerwał mentalną więź z cesarzem.

– Twoja pomysłowość nie ma granic – rzekł. – Wybacz swoim przełożonym, którym czasem nie udaje się w porę pojąć złożoności takiej strategii. Czy mógłbyś mi wyjaśnić, dlaczego przekazałeś wiatromistrzom naszą najlepszą linię obrony przed nimi? Zaznaczę, że to linia, którą sam stworzyłeś!

Ukloniłem się i przemówiłem nie tylko do Głosu, ale do samego cesarza:

– Nie mogę sobie wyobrazić, co by było, gdyby konflikt między cesarstwem a wiatromistrzami przerodził się w otwartą wojnę. Co by wówczas zrobili?

– Zamknęliby porty – odparł Głos Strumyk. – I zagłodziliby miasto. W przeszłości już to robili.

– W rzeczy samej – zgodziłem się. – Wówczas Dłoń Żar mógłby poprowadzić garnizon i zająć spichlerze, które tak sumiennie wypełniamy. Oczywiście ponieśliśmyby straty, ale wiatromistrzowie nie mają szans w starciach z naszymi legionami. Musieliby wówczas porzucić rezerwę strategiczną, a my byśmy ją przejęli i mogli wykorzystać zgodnie z przeznaczeniem.

– Mogliby też podpalić spichlerze – zauważył Głos Strumyk.

– Mogliby – zgodziłem się. – Ale nie zapominajmy o ludziach, Głosie. Mieszkańcy miasta mogą poprzeć wiatromistrzów, gdy ci strajkują i nie chcą żeglować, dopóki nie wypuścimy ich towarzyszy. Nie sądzę jednak, żeby obojętnie patrzyli, jak tamci będą palić dobre ziarno, podczas gdy dzieci w mieście płaczą z głodu. Jeśli mimo wszystko wiatromistrzowie spalą zasoby... Cóż, spiżarnia cytadeli jest zawsze dobrze wyposażona, prawda? Schowamy się za murami do czasu, gdy ogień płonących spichlerzy przeniesie się do serc Zabatańczyków, a ci staną po naszej stronie. Ciekaw jestem, jak długo wiatromistrzowie zdołają znieść nienawiść własnych rodaków.

– Za twoją sprawą znaleźli się w ślepym zaułku – stwierdził Głos Strumyk, przez chwilę krzywiąc się ledwie zauważalnie, jakby znalazł błąd w moim rozumowaniu, ale grymas na jego twarzy wnet przemienił się w szczery uśmiech. – Dobra robota, Dłoni Olcho. Cieszę się, że nie pomyliliśmy się, przekazując ci to stanowisko.

Ukloniłem się, bo usłyszałem w jego słowach echo wypowiedzi cesarza, a potem wymówiłem

się obowiązkami. Wracając do pawilonu, gdzie czekała na mnie praca przy dokumentach – i obowiązek spisania rozkazów przekazania spichlerzy wiatromistrzom – odkryłem jednak, że wcale nie czuję satysfakcji. Przez cały dzień prześladowało mnie przekonanie, że coś przeoczyłem. Coś w wyrazie twarzy Głosu Strumyka lub w politycznej sytuacji miasta. Z tyłu mojej głowy zaś unosiły się słowa tancerki: „niewiele wiesz o An-Zabat” – a oczami wyobraźni widziałem jej zaproszenie.



Pod koniec następnego dnia słowa Atar przerodziły się w nieustające echo odbijające się od ścian mojej czaszki. Prześladowały mnie podczas ślęczenia nad dokumentami i podczas spacerów po ogrodzie, a ja desperacko szukałem czegoś, czym mógłbym się zająć, by zapomnieć o niepokoju wywołanym wizytą wiatromistrzów.

W trakcie spaceru dojrzałem grupę odźwiernych taszczących skrzynie z różnymi zapasami, które pozostawiono przy bramie dla służby w murze okalającym ogród, i wtedy naszła mnie myśl. Patrzyłem na drogę do miasta, która nie wymagała przecież zgody Głosu. Codziennie musiały tędy przechodzić dziesiątki ludzi, dostarczających do ogrodu zaopatrzenie i zajmujących się korespondencją, która płynęła wartką rzeką między ministrami i naszymi podwładnymi. Powrót do ogrodu wydawał się nieco trudniejszy, rzecz jasna, ale w mojej głowie powstawał już plan.

Gdy wróciłem do siebie, najpierw wezwałem Jhina.

– Przynies mi jakieś ubrania w zabatańskim stylu – poleciłem, gdy stawił się na wezwanie. Robiłem wszystko, żeby zamaskować ekscytację spokojnym, lekko urażonym tonem głosu.

– Czy mógłbym poznać przyczynę, Wasza Ekscelencjo? – spytał.

– Odnoszę wrażenie, że są lepiej dostosowane do miejscowego klimatu niż te szaty. – Zamachałem rękawem. – W środku dnia w moim pokoju robi się naprawdę koszmarnie gorąco.

– Rozumiem. – Jhin pochylił nisko głowę. – Pragnę cię zapewnić, Ekscelencjo, że stroje zabatańskie w istocie świetnie się nadają na wyprawy na pustynię. Garderoba, którą dla ciebie wybrałem, składa się jednak z ubrań uszytych z najlepszego jedwabiu. Ubrania są przystosowane do miejscowego klimatu, a przy tym zapewniają należytą godność.

– Ale hafty nadal mnie drażnią – powiedziałem. – Nie nawykłem do tych srebrnych i złotych nici, wiesz? Czy zawsze muszę się ubierać, jakbym lada chwila miał przyjąć wizytę samego cesarza? Nie, wystarczy mi zwykły kaftan.

Jhin zamrugał. Widziałem, że jego wystudiowany spokój zaczyna się ulatniać.

– Czyżbyś chciał się ubierać jak służący, Wasza Ekscelencjo?

Westchnąłem i wplotłem do swojego głosu nutkę irytacji.

– Wszij kilka haftów złotą czy czerwoną nicią, jeśli naprawdę musisz.

– Ekscelencjo, ja...

– Jako mój służący masz mi przynosić to, o co cię poproszę, tak? – powiedziałem. – Dyskomfort przeszkadza mi w pracy, a to szkodzi interesom imperium. Byłbyś taki dobry i spełnił moją prośbę? Im prędzej przebiorę się w coś, w czym poczuje się nieco swobodniej, tym szybciej będę mógł powrócić do przeglądania tych nowych podatków importowych.

Po krótkiej chwili zawahania Jhin uklonił się i wyszedł, a wieczorem powrócił z naręczem ubrań pod pachą i miną znamionującą lekką porażkę.

Tej nocy ledwie zmrużyłem oczy, ale mimo to poderwałem się o świcie, żeby wdziać kaftan przyniesiony przez Jhina i wreszcie wyjść na miasto. Byłem tak podekscytowany, że o mało nie zapomniałem, by wziąć jeden z nieotwartych raportów z biurka. Nadal znajdował się w rulonie i nosił pieczęć nieznanego mi jeszcze nadawcy. Miał mi pomóc w powrocie – wszak kto zatrzyma człowieka niosącego zapieczętowaną przesyłkę dla Dłoni Olchy?

Starczyło mi przytomności umysłu, by wziąć również parę roboczych rękawic z otwartej skrytki z narzędziami dla ogrodników. Zwykli mieszkańcy An-Zabat z pewnością nie mogli rozpoznać mojej twarzy, ale widzieli tetragram na proporcach zwisających znad obelisków. Mój kamuflaż uzupełniłem spięciem włosów w ciasny kok, jak to zwykli robić chłopci. Nie sądziłem, by strażnicy przy bramie albo

inni służący mogli mnie teraz rozpoznać – zapewne nie raz widzieli moją twarz, ale nie przyszłoby im nawet do głowy, że mógłbym aż tak bardzo się upokorzyć.

Dwóch strażników przy bramie przepuściło mnie bez wahania, nie obrzucając choćby jednym uważnym spojrzeniem. Mimo to serce waliło mi jak młot kowalski, gdy pchnąłem wrota i wyszedłem na uliczkę, rozbrzmiewającą już odgłosami miasta.

Po ciszy, która panowała w odizolowanym ogrodzie, An-Zabat niemalże mnie przytłoczyło. Ubita ziemia pod moimi stopami emanowała gorącem. Ulicami przewalały się tłumy ludzi, zewsząd dobiegały głosy targujących się kupców. Ludzie spragnieni rozrywki oklaskiwali ulicznych cyrkowców. W miarę jak zbliżałem się do oazy, szum wody wypływającej z urny Napheny zagłuszał kakofonię dźwięków, a powietrze wypełniały zapachy przyprawionego mięsa, oliwy, soli oraz cukru, a także bydła, potu i ekskrementów.

Rozpocząłem zgłębianie kultury zabatańskiej od przyjrzenia się straganom z jedzeniem, które stały wszędzie na bazarze. Mój wzrok padł na jagnięcinę natartą czarnym pieprzem i przypiekaną do chwili, gdy z mięsa spłyną po rożnie soki. Potem zauważyłem czarkę z namoczonymi w solance oliwkami. Chodząc od straganu do straganu, napawałem się widokami na bazarze – przyglądałem się mężczyznom pochłoniętym targami nad belami sukna, sprzedawcy owoców, wpatrującemu się złowrogo w grupkę obdartych dzieciaków, i akrobacie, który żonglował nożami, podczas gdy jego małpka skakała wśród widzów z koszykiem, powoli napelniającym się monetami.

Przez jakiś czas stałem w cieniu Napheny i przyglądałem się rzeźbie. Posąg dorównywał wysokością migoczącym obeliskom, które górowały nad miastem, wyrastając, zdawałoby się, z każdego skrzyżowania. Jeśli wody Błogosławionej Oazy w istocie były owocem jakiejś starożytnej i cudownej magii, fontanna Nahpeny powinna wpływać na strukturę świata równie mocno jak magia cesarza, ale nie wyczuwałem żadnego oddziaływania.

Wynagrodziłem sobie rozczarowanie torebką daktyli maczanych w miodzie, po czym podjąłem wędrówkę przez bazar w nadziei, że po drodze olśni mnie jakieś rozwiązanie co do tajemnicy oazy. Niespodziewanie poczułem chłodny powiew na karku. Odwróciłem się i ujrzałem falę w powietrzu, niczym światło na szkle, a potem w słońcu zamigotały jedwabne szarfy.

Była to roztańczona Atar.

Ze spiralnych tatuaży, jakie miała na palcach, spływała moc, a jej dłonie tkwały wiatr, jakby był niemi materiału, przez co szarfy płynęły w powietrzu niczym istoty obdarzone życiem. Wpatrywałem się w nią z zachwytem, a wtedy naszły mnie dwa istotne wnioski. Po pierwsze, patrzyłem na osobę, od której mógłbym się uczyć – naprawdę uczyć! – z dala od sztywnych struktur kanonu. Druga myśl przeszła moje serce, gdy Atar zawirowała, rozrzucając włosy po szyi, a nasze spojrzenia się spotkały.

Zdziwiona, szeroko otworzyła szmaragdowe oczy, a w jej kolejnych ruchach wychwytiłem sztywność, którą można było przypisać wyłącznie zaskoczeniu i zmieszaniu, szybko jednak odzyskała rytm i dokończyła taniec. Ukłoniła się wiwatującym dziko widzom, a koszyk u jej stóp wypełnił deszcz monet.

Ani na moment nie spuściła ze mnie wzroku.

Czy moje życie potoczyłoby się inaczej, gdybym był w stanie się oddalić? Czy świat uległby wtedy zmianom?

Atar podniosła koszyk, a jej publiczność się rozeszła. Tancerka przemknęła przez tłum na ulicy z wdziękiem, jakby ani na moment nie przerywała występu, po czym stanęła obok mnie. Przechyliła głowę i zmrużyła oczy.

– Bądź pozdrowiony, ministrze handlu – powitała mnie po sieneńsku i potrząsnęła koszem z monetami. – Przybyłeś, żeby zebrać podatek od biednych ulicznych artystów?

– Liczyłem raczej na to, że dowiem się, dlaczego uliczna artystka dołącza do wiatromistrzów podczas negocjacji z imperium – odparłem po zabatańsku.

Roześmiała się, a jej śmiech pozostawił po sobie równie intensywny ślad jak magia.

– Jak już mówiłam, jest wiele rzeczy, o których nie masz pojęcia – odezwała się w ojczyściej mowie. – Choć muszę przyznać, że nie spodziewałam się, że przyjmiesz zaproszenie.

– Każde z nas jest kimś więcej, niż się wydaje – powiedziałem. – A ja, jak całkiem słusznie

zauważyłaś, mam wiele do nauczenia się o An-Zabat. Czy chciałabyś zostać moją nauczycielką?

– Myślisz, że nie mam nic ważniejszego do roboty, niż oprowadzać cię po mieście? – Spojrzała na mnie złowrogo, jakbym właśnie poważnie ją uraził.

Słowa uwięzły mi na języku. Nagła zmiana jej tonu oraz przedziwny, niepokojący zachwyt, jaki we mnie wzbudzała, całkiem wytrąciły mnie z równowagi, przez co nie potrafiłem wymyślić żadnej odpowiedzi. Atar zaś, widząc mój dyskomfort, znów wybuchnęła śmiechem, a potem odwróciła się na pięcie i ruszyła do miasta.

– A więc chodźmy – rzekła. – Na bazarze na próżno szukać głębszych prawd o An-Zabat.



Atar prowadziła mnie przez labirynt alejek i wąskich uliczek w głąb miasta. Wkrótce natrafiliśmy na pierwsze domy, które nosiły ślady sieneńskiego podboju – poszarpane wyrwy pozostawione przez magię bitewną, szczyrby po ostrzach, gruzy po granatach chemicznych. W rynsztokach płynęły ludzkie nieczystości. Na ulicach wciąż były tłumy, ale miałem wrażenie, że tym ludziom brakowało woli życia. Chodzili zgarbieni bądź kulili się na progach domostw z butelkami lub fajkami, z których sączył się słodki błękitny dym. Atar wcisnęła kilka monet w dłonie żebraków i uliczników. Ani myślała ukrywać bogactwo przyniesione z bazaru i nie wyglądała na taką, która boi się rabunku.

Ja zaś bezustannie walczyłem z pokusą, by rozejrzeć się dookoła, przekonany, że wszyscy ci ludzie noszą ukryte noże. Raz zerknąłem za siebie i dostrzegłem dwie barczyste postacie w białych kaftanach. Obaj mężczyźni byli uzbrojeni w miecze zwisające u pasów, a ich widok obudził we mnie lęk. Miałem wrażenie, że to współpracownicy Atar, którzy wymyślili sobie porwać Dłoń cesarza z politycznych pobudek. A może to byli zwykli bandyci, którzy właśnie wypatryli obcego w mieście, gotowi skoczyć na mnie, w chwili gdy znajdę się w ciemnej alejce?



Moje obawy rozwiały się jednak, gdy zerknąłem na nich po raz drugi. Zauważyłem oznaki, które obudziły we mnie inną paranoję. Skryte pod kapturami twarze należały bowiem do Sieneńczyków, a obaj mężczyźni poruszali się krokiem typowym dla pewnych siebie sieneńskich żołnierzy. Zauważyłem więc strażników z cytadeli, którzy dotarli w ślad za mną aż tutaj. Zbliżali się teraz, najwyraźniej wyczuwając tę samą nerwowość co ja.

Wyglądało na to, że mój fortel nie był tak udany, jak sądziłem. Czy to Głos Strumyk ich wysłał? A może Jhin? Mój służący w końcu sprawował jakąś kontrolę nad gwardią pałacową. Tak czy owak, przeczuwałem, że po powrocie czeka mnie niezręczna rozmowa z jednym bądź drugim, a co więcej, nie mogłem zrobić nic, by pozbyć się niepożądanego eskorty.

– Bieda zawsze tu była – powiedziała Atar, kierując moją uwagę z powrotem na miasto dookoła – ale An-Zabat nigdy wcześniej nie zostało tak gwałtownie ciśnięte na kolana. Ci ludzie mieli stałą pracę, nawet jeśli tyrali jako zwykli robotnicy. Jedynie wiatromistrzowie mogą żyć tak jak kiedyś.

Zatrzymałem się przy wylocie uliczki i wbiłem wzrok w dziecko na czworakach, śledzące z uwagą stertę śmieci. Spomiędzy odpadków wystrzelił nagle brązowy gryzoń. Dziecko dorwało go, ale zwierzątko wyrwało się i uciekło.

– Widziałem księgi rachunkowe. – Z trudem oderwałem wzrok od budzącego litość malca. – An-Zabat to znakomicie rozwijające się miasto. Przez żadną inną prowincję imperium nie przepływa tyle pieniędzy.

– Celnie to ująłeś – odparła Atar. – Pieniądze przepływają równie szybko jak woda w kanałach z Błogosławionej Oazy, ale niewiele ich zostaje. Po podboju odebraliście miejscowym kupcom prawo do prowadzenia handlu i przekazaliście je sieneńskiej konkurencji. Zabatańscy wiatromistrzowie kursują z towarami to w jedną, to w drugą stronę, a miejscowi pośrednicy skupują je i sprzedają na bazarze. I zapewne jest paru, którzy się dorabiają, ale to głównie Sieneńczycy gromadzą majątek. Wszędzie dookoła miasto umiera.

Szliśmy przed siebie i przyglądaliśmy się scenom rozpacz i cierpienia. Widzieliśmy dzieciaki bijące się o strzępy suszonego mięsa. Patrzyliśmy na ojców, którzy darli chleb na kawałki i rozdawali dzieciom, nie zostawiając dla siebie nic. Spoglądaliśmy na wychudzone matki, które tuliły dzieci, wpatrujące się w nas pustymi oczami.

Widziałem takie sceny w Żelaznym Mieście, ale tam trwało oblężenie. Cierpienie mieszkańców było skutkiem chaosu wojennego. Który z moich urzędników powinien mi napisać, że dzieci głodują godzinę drogi pieszo od Bazaru Barkowego, gdzie fortuny przechodziły z rąk do rąk?

Powinienem wszystko to wiedzieć. Widziałem księgi rachunkowe, znałem nazwiska importerów i eksporterów, którzy władali towarami na rynkach zabatańskich. Wszystkie brzmiały po sieneńsku.

– Przykro mi – powiedziałem.

– Z jakiego powodu? – Dziewczyna przechyliła głowę.

– Dlatego, że zapewne w jakiś sposób przyczyniłem się do tej sytuacji.

– Jesteś ministrem handlu. Stoisz w samym środku tej sytuacji.

Jej słowa dotknęły mnie do żywego. Poczułem, jak policzki płoną mi ze wstydu.

– Cesarstwo powierza ci zadanie, a ty je wykonujesz, Dłoni cesarza – ciągnęła Atar. – Zgodziłeś się na to, przyjmując swój przydział. Czyżbyś nie znał natury i konsekwencji swojej pracy?

Dokuczało mi poczucie winy. Przypomniałem sobie klasyczną „Rozprawę o bogactwie i pracy”, w której Wędrujący Wąskim Traktem napisał, że kupiec nie jest wiele lepszy od bandyty, jeśli jego bogactwo nie poprawia sytuacji chłopów i rzemieślników, stanowiących kręgosłup cesarstwa. Cóż takiego robiłem jako minister handlu, zbierając cła i podatki na ogród, w którym mieszkałem, i na luksusy Wiecznej Cytadeli? Czyż nie gromadziłem bogactwa, za pomocą którego mógłbym nakarmić te dzieci?

Spędziłem większą część życia we względnym dobrobycie, najpierw w ogrodach ojca, potem w posiadłości Głosu Złotej Zięby, a teraz w cesarskiej cytadeli w An-Zabat. Oczywiście wiedziałem, czym jest ubóstwo, ale w świecie, w którym każdy mógł poprawić swój byt dzięki sukcesowi w cesarskich egzaminach, łatwo można było je zignorować. Ale czy te nieszczęsne dzieciaki miały jakkolwiek szansę z rówieśnikami takimi jak Lotka czy ja, którzy poświęcili całe życie na naukę, których ojcowie zatrudniali wyszkolonych nauczycieli i którzy nigdy nie musieli przetrząsać sterty odpadków w poszukiwaniu czegoś do jedzenia?

Przypomniałem sobie Lu Czystą Rzekę, po raz pierwszy ze współczuciem. Zakrawało bowiem na okrutny żart, że chłopski syn niemalże dotarł na sam szczyt sieneńskiego społeczeństwa, gdzie wyprzedził go syn bogatego kupca.

– Zaskoczy cię to, że wielu ludzi w tym mieście nienawidzi cesarstwa? – spytała niespodziewanie Atar, ściągając mnie na powrót do teraźniejszości.

Staliśmy na pustym placu, gdzie kiedyś zapewne mieścił się targ. Teraz widziałem tu jedynie pył i ruinę, pustą i jałową w ciemniejącym zmierzchu.

– Mówisz tak, jakbyśmy to tylko my ponosili winę za ich cierpienie. – Coś we mnie nie pozwalało zgodzić się na tak jednostronną wersję wydarzeń. – Sama powiedziałaś, że bieda zawsze tu była. Czyżby przed nadejściem imperium An-Zabat było rządzone przez dobrotliwych królów, którzy aż się palili, żeby rozdać zawartość swoich spichlerzy między ubogich? A co z wiatromistrzami? Nadal dorabiają się na handlu, a ich walka z imperium doprowadziła do zamknięcia portów na rok. Czy pomogło to w czymś głodującym dzieciom?

– Wielu ludzi zginęło podczas walk. – Głos Atar stał się szorstki. – Niemniej ich śmierć była *naphnet*, a oni o tym wiedzieli. Byli gotowi zginąć dla wyższych wartości. Jeśli imperium zastąpi wiatromistrzów, nadejdzie koniec dla nas wszystkich.

– Ta wersja historii z pewnością służy wiatromistrzom – powiedziałem, marszcząc brwi. Nigdy wcześniej nie zetknąłem się ze słowem *naphnet*, choć rozumiałem je doskonale. Odnosiło się do bogini i do ofiary, którą poniosła, by stworzyć oazę.

– Ta wersja opiera się na prawdzie – odparła Atar. – Wiatromistrzowie podróżują daleko, Nayeńczyku. Wiedzą, co się dzieje, gdy imperium zaciska pięść.

Jej spojrzenie mocno skupiło się na czymś za moimi plecami.

– Pomogłeś ludziom, gdy wyrzekłeś się spichlerzy – powiedziała. – Była to dobra decyzja, a życzliwość, jaką nam okazałeś, jest jedynym powodem, dla którego oferuję ci te prawdy. Myślę bowiem, że istnieje cień nadziei, że mnie wysłuchasz. Bo to nie wszystko, co chcę ci pokazać, jeśli oczywiście nadal jesteś zainteresowany. Spotkajmy się na bazarze za dwa dni o zmierzchu. Przyjdź sam.

Przeszła przez pusty plac i skręciła w jedną z wąskich uliczek. Słońce już zaszło i miasto wydawało się pociągnięte czarnym i fioletowym atramentem. Gdy Atar zniknęła mi z oczu, odwróciłem się i dostrzegłem białe, bezkształtne postacie moich niechcianych strażników, czających się na skraju placu. Byli jedynymi ludźmi w zasięgu wzroku.

Westchnąłem i skinąłem, by do mnie podeszli.

– Mam nadzieję, że zwracaliście uwagę na mijane zakręty – powiedziałem. – Bo nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

Poskramiacz Ognia

Następne dwa dni ciągnęły się powoli niczym przeładowana barka. Poranna praca papierkowa jeszcze nigdy nie wydawała mi się równie schematyczna i rutynowa. Aczkolwiek z o wiele większą łatwością odczytywałem teraz znaki sienneńskiego dobrobytu i ubóstwa Zabatańczyków, choć powinienem był już dawno zwrócić na te rzeczy uwagę. Mój umysł zaprzętały dwie myśli, które krążyły wokół siebie. Z jednej strony cieszyłem się na rychłe spotkanie z Atar, a z drugiej obawiałem się reakcji Głosu na moją wyprawę do miasta.

O tym, co Głos myśli, dowiedziałem się po południu drugiego dnia.

Tym razem odwiedził mnie osobiście, co było wystarczającym powodem do obaw. Kończyłem już pracę wyznaczoną na ten dzień i zaczynałem planować wieczorną ucieczkę z cytadeli, gdy usłyszałem podekscytowany, ale też unижony głos Jhina. Potem drzwi się otworzyły i do środka wkroczył Strumyk.

– Dłoni Olcho – powiedział z uroczym uśmiechem na twarzy, wsuwając dłonie w rękawy szaty – dotarły do mnie plotki krążące wśród żołnierzy, jakobyś spędził dzień na włóczędztwie po mieście w towarzystwie jakiejś tancerki. Jak to możliwe, żeby tego typu informacje docierały do mnie z drugiej ręki, a nie bezpośrednio od ciebie? Zajmowałeś się wszak dość niecodzienną rzeczą.

Wynikało z tego, że to Jhin wysłał za mną straż, choć być może Głos Strumyk chciał ukryć to, że czujnie mnie śledzi. Jeśli drugie przypuszczenie było prawdą, dlaczego czekał aż dwa dni na tę konfrontację?

– Uznałem, że nie będę zwracał ci głowy takimi błahostkami – odparłem, przypomniawszy sobie linię obrony, którą zawnazawszy opracowałem. – Z całą pewnością nie jestem pierwszym ministrem handlu, który zainteresował się codziennym życiem i targowiskami rządzonych przez siebie ludzi. Tancerka zaproponowała mi wycieczkę po mieście, a ja się zgodziłem.

– I ta wycieczka doprowadziła cię do mało reprezentacyjnych dzielnic? – naciskał Strumyk.

– Tak się stało – przyznałem. – Jednak jeśli wolno mi zacytować Wędrującego Wąskim Traktem, uczciwy człowiek dojrzy piękno w najtrudniejszych do przyjęcia prawdach. Chcę budować politykę, która doprowadzi do rozkwitu tego miasta. Chcę, żeby osiągnęło dobrobyt, jakiego nikt wcześniej tu nie widział, Głosie Strumyku. Nie mogę więc naprawiać usterek i łagodzić krzywd, jeśli nie zobaczę ich na własne oczy.

– Niewykluczone, że masz rację – rzekł Strumyk. – Ale wcześniej już rozmawialiśmy o twoich wypadach do miasta i przedstawiłem swoje stanowisko bardzo wyraźnie.

– Nie była to oficjalna wyprawa ministra handlu bądź Dłoni cesarza – powiedziałem. – W żaden sposób nie uchybiłem prestiżowi swojego urzędu. Nie złamałem zasad moralności ani dobrego zachowania. Wszedłem, żeby ujrzeć miasto na własne oczy i móc je lepiej rozumieć.

– Uważasz raporty swoich podwładnych za niewystarczające? – spytał Strumyk. – A więc zwolnij ich i znajdź kogoś innego na ich miejsce.

– Istnieją rzeczy, które mógłbym zauważyć, a które mogłyby umknąć uwadze moich podwładnych – stwierdziłem stanowczo. – Powierzono mi tę funkcję, Głosie Strumyku, i muszę mieć możliwość wypełniania swoich zadań najlepiej jak umiem, a to oznacza szukanie odpowiednich informacji. Nie mogę wykonywać swojej pracy z ograniczeniami i jeśli nadal zamierzasz krępować moją swobodę, obawiam się, że moja ścieżka wnet się zamknie. Będę musiał złożyć rezygnację i poszukać innego stanowiska, choćby po to, żeby ocalić swoją reputację.

Głos Strumyk wpatrywał się we mnie, być może zastanawiając się, czy nie blefuję, a ja, znosząc jego spojrzenie, zadałem sobie to samo pytanie. Miałem jednocześnie nadzieję, że moja twarz nie zdradza objawów przyspieszonego bicia serca. Gdybym w istocie zrezygnował, istniało realne ryzyko, że ścieżka

do akademii zostanie dla mnie zamknięta na zawsze. Być może zostanę skazany na życie w jakimś odległym, choć spokojnym zakątku sienneńskiego imperium i już zawsze będę zajmował się układami handlowymi. Nigdy nie nauczę się posługiwać magią, nie mówiąc już o zgłębieniu jej tajników.

– Spodziewam się, że będziesz mnie informował – powiedział Głos Strumyk, a mnie zalała fala ulgi. – Nie chcę dowiadywać się o twoich poczynaniach z plotek, bez względu na to, co robisz. Jesteś człowiekiem młodym i nowym na swoim stanowisku, wykazujesz też dużo energii, co jest wspaniałą cechą. Rozumiem, że będę informowany za każdym razem, gdy w przyszłości podejmiesz podobne działanie?

– Oczywiście – zapewniłem. – Jeśli nie masz nic przeciwko, zamierzam wrócić do miasta dziś wieczorem. Wedle mojej przewodniczki to miasto obnaża niektóre swoje oblicza dopiero po zmroku, a ja chciałbym je ujrzeć.

Głos Strumyk zmarszczył czoło, choć nie objęło to płata skóry, na którym widniał tetragram.

– Nie wykluczam, że ona próbuje cię zwiść, Dłoni Olcho. To powszechna taktyka, która często okazuje się skuteczna wobec młodych ludzi, takich jak ty.

– Ja też tego nie wykluczam – odparłem, nieco zażenowany tym, że moje zainteresowanie osobą Atar zostało wspomniane z taką szczerością. – Ale zachowam zdrowy rozsądek, a jeśli coś pójdzie nie tak, jestem w stanie się obronić.

– A poza tym oczywiście zabierzesz straż.

– Jeśli nalegasz, Głosie Strumyku – powiedziałem ostrożnie. – Ci, którzy towarzyszyli mi ostatnio, nie byli nadmiernie dyskretni i obawiam się, że przy ich obecności miasto będzie się prezentować inaczej. Chcę ujrzeć miasto dokładnie takim, jakie jest.

– Czyj to pomysł? Twój czy twojej przewodniczki? – zapytał z zadumą Strumyk.

– Ona to zaproponowała – przyznałem. – A ja się zgodziłem.

– Nocna wędrowka po ulicach miasta w towarzystwie kobiety. – Głos Strumyk westchnął ciężko i pokręcił głową, a potem znów się uśmiechnął. – Nietypowe, że się tak wyrażę. Mam wrażenie, że takie zachowanie graniczy z pogwałceniem zasad należytego postępowania. Rozumiem, że zasłonisz tetragram, żeby uniknąć plotek o tym, że minister szwenda się z tancerką?

Na moich policzkach zagościł gorący rumieniec.

– Oczywiście – powiedziałem. – I...

Głos Strumyk uniósł rękę.

– Nie wiem, czy to jest szwendanie się, czy nie. Powtarzam tylko słowa Dłoni Alabastra. Nie musisz się przede mną z niczego tłumaczyć. Ja też kiedyś byłem młody, tak dawno temu, że trudno w to teraz uwierzyć. Sądzę, że w istocie obejrzenie tego i owego na własne oczy ma swoją wartość, nie tylko jeśli chodzi o raporty czy księgi rachunkowe. A więc proszę bardzo. Możesz prowadzić te... badania, jeśli naprawdę o to ci chodzi. Któż wie? – Jego głos nagle przybrał konspiracyjny ton. – Być może dziewczyna zakocha się w tobie, a nie wykluczam, że skrywa własne tajemnice. Wiatromistrzowie bez wątpienia spędzają z takimi kobietami mnóstwo czasu. Może więc wie coś, co przyda się imperium.

– Możliwe – przyznałem. – Dziękuję, Głosie Strumyku. Dowiesz się o każdym możliwym odkryciu.

Resztę popołudnia wypełniła mi pełna podekscytowania krzątanina, a o zmierzchu włożyłem plebejskie szaty, naciągnąłem rękawiczki i powiedziałem Jhinowi, by spodziewał się mnie dopiero jutro rano.



Atar siedziała na skraju Błogosławionej Oazy z koszykiem pełnym monet na kolanach. Wypatrzyła mnie w rzędniejszym tłumie i na mój widok jej twarz rozjaśnił uśmiech, co obudziło we mnie entuzjazm.

– Już miałam sobie pójść bez ciebie – powiedziała.

– Dłoń cesarza nigdy się nie spóźnia – odparłem. – Powinnaś być zaszczycona, że przybyłem na spotkanie z tobą, a nie wezwałem cię do sali audiencyjnej.

– Gdyby tak się stało, nigdy bym się nie stawiała. – Zeskoczyła z krawędzi fontanny. Jej loki podskoczyły, a monety zabręczały w koszyku. Spojrzała na tłum za mną i uśmiechnęła się z satysfakcją, gdy odkryła, że nigdzie nie czają się strażnicy. – Chodźmy. Jesteśmy umówieni.

Kręta ścieżka zaprowadziła nas do obelisku, który wyrastał z dachu sporego, dwupiętrowego domu. Na placyku przed budynkiem stał kosz z żarem, rzucający głębokie cienie na poznaczone bliznami ściany z piaskowca, noszące ślady pobieżnych napraw. Przy drzwiach stała na straży wysoka, barczysta postać. Nie rozpoznałem jej, dopóki nie wyciągnęła talwara z pochwy przy pasku.

– Odłóż to, Shazir – powiedziała Atar.

– Słońce odebrało ci rozum, Tancerko Wiatru? – spytała Shazir, która ani myślała wsunąć broń z powrotem do pochwy. – To Dłoń cesarza! Staliśmy w jego sali audiencyjnej raptem dwa tygodnie temu! Czemu go sprowadziłaś?

– On jest kimś więcej, niż nam się wydaje – sprzeciwiła się Atar. – I powinien zobaczyć, co zostanie utracone, gdy imperium zabije An-Zabat, tak jak zabiło każdą inną podbitą prowincję. – Oparła dłoń o ostrze Shazir i odsunęła je na bok. – A jeśli to do ciebie nie przemawia, potraktujmy go jako gościa Tancerki Wiatru. Ty jesteś Ostrzem Wiatru. Ty toczysz wojny, ale taniec to moja dziedzina.

Mina Shazir skwaśniała, ale kobieta odsunęła się i wepchnęła broń z powrotem do pochwy. Ja zaś poczułem, jak opuszcza mnie napięcie. Towarzystwo Atar było ekscytującym doświadczeniem, a eksploracja An-Zabat okazała się ciekawsza od wszystkich rzeczy, jakimi zajmowałem się od przybycia do miasta. Ale ani przez moment nie zapomniałem o tym, że znalazłem się wśród ludzi, którzy mieli wszelkie powody, by nienawidzić imperium. Chroniły mnie tylko wpływy Atar, moja sprawność w posługiwaniu się bronią i groźba cesarskiego odwetu.

W środku ujrzałem wielkie, przestronne pomieszczenie ze sklepionym dachem i ze schodami prowadzącymi na balkony, a także do mniejszych pokojów. Źródłem światła były lampy w czterech rogach. Wokół niskich stołów stłoczyło się kilkudziesięciu ludzi, a dwudziestu, może trzydziestu stało w kolejce ciągnącej się wzdłuż ściany. Na czele kolejki stał starzec, który nalewał ciekłą zupę do drewnianych misek. Na ścianie za nim widziałem jasną kobiecą figurę, co dawało do zrozumienia, że kiedyś stał tam posąg. Kilka kobiet w prostych sukniach koloru nieba pilnowało porządku i rozdawało monety ludziom wyglądającym na takich, którzy znaleźli się w większej potrzebie.

– Swego czasu była to świątynia ku czci naszej bogini – wyjaśniła Atar. – Nie każdy obelisk wyrasta z takiego miejsca, ale wiele z nich owszem. Gdy imperium walczyło z wiatromistrzami, odarli to miejsce ze wszystkich ozdób.

Budowla w niczym nie przypominała Świątyni Płomienia, ale gdy spojrzałem na sylwetkę na ścianie i wysoki, wysklepiony sufit, poczułem to samo przepełniające mnie lekkie oszołomienie, które czułem, gdy babcia po raz pierwszy zaprowadziła mnie w głąb lasu, żebym spotkał się z wilczymi bogami.

– Czytałem opowieści o Naphenie – powiedziałem. – Wiele ją różni od bóstw Nayenu, które są dzikie i niebezpieczne, a okrucieństwo okazują równie chętnie jak życzliwość.

– Była zwykłą kobietą, zanim stała się boginią – rzekła Atar. – Władowała tak wielką mocą, że zagrażała bogom, a więc zabronili jej sięgania po magię. Nauczyła nas jednak wszystkiego, co mogła, a w ostatnim akcie oporu podarowała nam to miasto i wzniosła się ku niebu, żeby rywalizować z bogami, którzy nigdy jej nienawidzili.

– To ona stworzyła oazę, nieprawdaż? – zauważyłem. – Fascynująca sprawa. Bez wątpienia dzieło magii, ale nie pozostawiło po sobie śladu w strukturze świata.

– W istocie fascynująca – odparła z nutką rozbawienia w głosie. – Katiz, wiatromistrz i właściciel tuzina wiatrowców, a także patron tego miejsca, karmi tu ubogich, żeby uczcić Naphenę. Robi to od wielu lat. Dzięki twoim spichlerzom porcje ostatnio są nieco obfitsze.

Atar podeszła do jednej z odzianych w błękit kapłanek. Ta wzięła od niej kosz z monetami i weszła po schodach na górę. Ja zaś zrozumiałem, że Katiz mnie wymanewrował. Gdyby wiatromistrzowie zyskali powód, by zamknąć miasto i spalić spichlerze, ludzie zrzuciliby winę na imperium, a nie na tych, którzy ich karmili. Uważałem się za sprytnego człowieka, ale racja leżała po stronie Atar. W istocie niewiele wiedziałem o An-Zabat.

O dziwo, te wnioski wcale mnie nie zaniepokoiły. Czułem jedynie znaną mi dobrze znośną gorycz po przegranej partyjce w kamyki z doświadczonym przeciwnikiem. To słodko-gorzkie uczucie przypomniało mi noce nad planszą i niepasującymi do siebie czarkami wina.

– Uśmiechasz się – powiedziała Atar. – Czyżby ten pokaz dobroczynności dotarł do twardego serca imperialnego ministra?

– Moim zamiarem zawsze było pomaganie innym. Cieszę się, że Katiz właśnie tym się zajmuje – odparłem szczerze.

Atar przyglądała mi się uważnie.

– To nie wszystko, co chciałam ci pokazać, Nayeńczyku. Pytałeś, kim jestem, skoro stałam u boku wiatromistrzów i negocjowałam z wami. Chcesz poznać odpowiedź na to pytanie?

– Tak.

Atar pokiwała głową i wyprowadziła mnie ze świątyni. Podążyłem w ślad za nią w głąb alejki, na której końcu znajdowały się ciężkie mosiężne drzwi, osadzone w masywnym bloku piaskowca. Za drzwiami zobaczyłem przejście prowadzące w dół. Atar zdjęła z haka latarnię i ruszyła przodem.

– Co to takiego? – spytałem, wciąż stojąc w wejściu.

– Nie boisz się chyba zmarłych, co? – zawołała Atar, a jej głos poniósł się echem.

Światło latarni ledwie przenikało cienie wokół nas, a tam, gdzie docierało, widziałem czaszki wyzierające z zagłębień w ścianach. Było zbyt ciemno, żeby stwierdzić, czy były prawdziwe, czy też wyrzeźbione, ale przyspieszyłem kroku, by trzymać się jak najbliżej Atar i jak najdalej cieni.

Szliśmy do momentu, w którym zaczęły mnie boleć stopy i straciłem poczucie czasu. Miałem wrażenie, że nasza wędrówka trwała długie godziny, aż dotarliśmy do kolejnych mosiężnych drzwi, a te otworzyły się na rześkie, suche powietrze pustynnej nocy. Staliśmy nad kanionem wykutym w piaskowcu, z którego dobiegały echa muzyki wygrywanej na piszczalkach, cytrach i bębnach. Na wschodnim horyzoncie widziałem aurę otaczającą obeliski An-Zabat. Pod nami natomiast w blasku księżyca w pełni i migotliwych gwiazd dostrzegłem mężczyzn i kobiety, którzy stali w kręgu wokół samotnej postaci, skaczącej i wirującej w rytm muzyki.

– Oto Dolina Władców – oznajmiła Atar. – Tu mieszkają starzy królowie An-Zabat.

Ściany Doliny upstrzone były okrągłymi kamiennymi drzwiami bez klamek. Atar zaprowadziła mnie do zgromadzenia. Widziałem, jak tancerz wracał do kręgu, a ktoś inny właśnie zajmował jego miejsce.

Podszedł do nas Katiz. Rozpoznał mnie, a na jego poważnej, beznamiętnej twarzy pojawił się grymas niepokoju.

– Przyprowaździłam nowego tancerza – rzekła Atar.

– Cesarskiego ministra handlu? – spytał Katiz.

– Wiesz, ile dobrego zdziałał – odparła dziewczyna.

Wiatromistrz przyglądał mi się z uwagą, gładząc dłonią gęstą brodę, która wokół ust wydawała się srebrzysta, a przy końcach miała kolor słomy.

– Cesarstwo lubuje się w podstępach – powiedział. – Ufasz mu?

– Nie do końca – rzekła Atar, a ja poczułem ukłucie bólu, które natychmiast zdusiłem, wyklinając się w myślach od głupków. – Ale tak jak twoją domeną są statki, moją jest taniec i chciałam mu go pokazać.

Katiz uniósł ręce na znak poddania się.

– Dobrze. Ale wszyscy, którzy przybędą do kręgu, muszą zatańczyć.

– Zatańczy – zapewniła Atar.

Wiatromistrz obrzucił mnie ostatnim, przeciągłym spojrzeniem i powrócił do swojego miejsca w kręgu. Kobieta w centrum skakała, błyskając bransoletami.

Atar złapała mnie za nadgarstek, a ja zadrżałem, nie tylko z powodu chłodu pustynnej nocy czy jej dotyku. Ludzie rozstąpili się przed nami.

– Umiesz tańczyć, nieprawdaż?

– Mam wrażenie, że powinnaś mnie o to spytać wcześniej – odparłem, oszołomiony widokiem skaczącej kobiety, dłonią Atar zaciśniętą na moim nadgarstku oraz zapachem miodu, lawendy i soli.

Wpatrywała się we mnie z otwartymi ustami, zarówno zaskoczona, jak i rozbawiona.

– Czy to ma oznaczać, że nie umiesz?

Wskazałem siebie zamaszystym gestem.

– A czy wyglądam na kogoś, kto umie?

Atar wybuchnęła śmiechem, a ja wyszczerzyłem się jak idiota.

– Cóż, Nayeńczyku. Myślę, że umiesz.

Tańcząca kobieta wylądowała z brzękiem bransolet po ostatnim skoku i powróciła do kręgu, a jej miejsce zajął mężczyzna po lewej. Wyjął talwar podobny do tego, który nosiła Shazir, i rozpoczął taniec, wirując i tnąc powietrze połyskującą szablą.

– To Ostrze Wiatru, wojownik władający wiatrem – wyjaśniła Atar. – Shazir też jest kimś takim. Kobieta tańcząca przed nim była zaś kupcem.

– Czy oni wszyscy władają wiatrem? – spytałem, zastanawiając się nad frazeologizmem. W sieneńskim nie było innego określenia na zabatańską magię, ponieważ imperium było zainteresowane tylko tym jej zastosowaniem.

– Wielu, ale są w mniejszości. Ci, którzy potrafią prowadzić wiatr, przewodzą w tańcu, ale tańców jest tyle, co profesji i zawodów, bo wiatr przecież popycha nas wszystkich. – Atar dumnie zadarła głowę. – Moim zadaniem jest znać wszystkie tańce, a potem ich uczyć.

Ostrze Wiatru wylądował w przykłęku i przeciął powietrze nad ziemią. Tam, gdzie przemknęła jego klinga, piasek podrywał się i kłębił w powietrzu, a ja czułem na plecach chłód magii.

Wojownik ustąpił miejsca młodej gospodyni domowej, dziewczynie tak szczupłej, że zacząłem się zastanawiać, ile jedzenia kryje jej spiżarnia. Tańczyła jednak z gracją i energią. Po niej pojawiła się pasterka. Później widzieliśmy rolnika, przedstawiciela profesji rzadkiej, jak na An-Zabat, i bardzo szanowanej, a potem wiatromistrza ze statku w porcie i tak dalej. Każdy taniec był wyjątkowy, a Atar zdradziła mi, że wszystkie są przekazywane z pokolenia na pokolenie.

– Zanim Naphena stworzyła Błogosławioną Oazę, nasi przodkowie przemierzali Pustkowie plemionami – dodała. – Gdy dwa plemiona się spotkały, ludzie tańczyli pod gwiazdami i dzielili się wodą, dzięki czemu poznawali się i zaczęli sobie ufać. Kiedyś każda dusza w An-Zabat знаła swój taniec i dzieliła się nim z innymi przynajmniej raz do roku, ale trudno jest dbać o tak wzniosłe rzeczy, gdy masz pusty żołądek i boli cię głowa z głodu.

Kolejny z tańczących rzucił się na piasek. Turlał się i wił, a potem wyskoczył i znów padł niczym morświn skaczący z fali na falę.

– A to kto? – spytałem.

– Dmuchacz szkła – odparła Atar. – Ludzie opowiadają, że pierwsze szkło zostało stworzone przez wielką żmiję, która mieszka na słońcu. Szklarze nieźle sobie teraz radzą, bo Sieneńczycy pożądamy ich dzieł.

Wskazała grobowce w ścianach doliny.

– Przed waszym przybyciem rządili nami intruzi z zachodu, a jeszcze wcześniej książęta kupcy, którzy płacili trybuty władcom koni z północy. Przed nimi był to ktoś, kto miał żołnierzy z włóczniami. Władcy się zmieniają, ale wiatr, bogini i jej ludzie pozostaną na zawsze.

Był to truizm, który miał upaść, z chwilą gdy imperium zdoła wprowadzić sztukę władania wiatrem do kanonu i odbierze wiatromistrzom ich monopol. Rozmyślałem o tym do chwili, gdy mężczyzna stojący po prawej zakończył swój taniec, wrócił do kręgu i klepnął mnie w ramię.

– Twoja kolej – powiedziała Atar. – Pokaż nam swój taniec, Nayeńczyku. Pokaż nam, kim jesteś.

Teraz wszyscy wpatrywali się we mnie. Pomimo wcześniejszych żartów pierwsze kroki okazały się powolne i niezgrabne, ale niełatwo zapomnieć ruchy wprowadzone do pamięci mięśniowej. Zacisnąłem powieki i przypomniałem sobie Świątynię Płomienia oraz babcię poprawiającą moją postawę i ułożenie kończyn. Dłonie zacisnąłem w pięści i zatęskniłem za drewnianymi kijami, których używaliśmy zamiast mieczy.

Żelazny Taniec nie miał nic wspólnego z wiatrem i nie polegał na wirowaniu czy kręceniu się wokół kręgu widzów, ale on również krył w sobie dziedzictwo ludu, który sprzeciwił się imperialnym rządóm. I może tu, wśród Zabatańczyków, mogłem odnaleźć pierwsze kroki nowej ścieżki – takiej, którą

sam sobie wybrałem. I która być może zaprowadzi mnie do sekretu błogosławieństwa Napheny oraz głęboko skrywanych prawd magii, jakie zawsze chciałem poznać.

Aby do tego doszło, Atar musiała zobaczyć we mnie kogoś, kim naprawdę byłem – kogoś więcej niż tylko ministra handlu, Dłoń cesarza czy sługę Sienu. Musiałem jej pokazać więcej niż komukolwiek wcześniej, nawet Wildze.

Wiedziałem, że wiatromistrzowie mnie nie zdradzą. Świadomość, iż w cytadeli przebywa renegat, mogła im tylko przynieść korzyść. Poza tym byliśmy daleko od miasta i moje oddziaływanie magiczne miało zniknąć, zanim Głos Strumyk zdoła je wykryć.

Mimo to w tym, co zaplanowałem, kryło się niebezpieczeństwo, które powodowało, że się wahałem. Bałem się, że coś przeoczyłem, że zbyt wiele ryzykuję. Miałem też niejasne przeczucie, że nie powinienem zbaczać z obranego w życiu kursu. Jednak nie było ono na tyle silne, by odwieść mnie od zamiaru. Wystarczyło, żebym obrócił głowę i przechwycił wzrok Atar, która przyglądała się mojemu tańcowi. W jej spojrzeniu dojrzałem szansę, zarówno tę przyziemną, jak i magiczną.

Gotowość do ponoszenia ryzyka jest wielką zaletą młodości, ale może się również okazać wielką słabością.

Gdy przechodziłem z jednego układu Żelaznego Tańca w drugi, moje pięści pozostawiały w powietrzu smugi światła i gorąca oraz zapach cynamonu. Płótno rękawiczek, które miałem na dłoniach – jednej naznaczonej przez imperium, a drugiej przez wiedźmę – spalało się, odkrywając moje ręce. Z ust zebranych wyrwały się westchnienia, a bębniarz stracił na moment rytm. Ale ja nigdy nie tańczyłem do rytmu bębna, więc nie zgubiłem tempa.

Wnet dotarłem do końca i nadszedł czas na ostateczny efekt. Jednym wymachem ramion strzepnąłem ogień zgromadzony wokół dłoni, a ten rozbryzgnął się i rozszedł po ziemi. Bęben zamilkł.

– Poskramiacz Ognia! – krzyknął ktoś z tłumu.

Z początku ludzie skandowali powoli, co przypominało pierwsze fale nadciągającego przypływu.

– Poskramiacz Ognia! Poskramiacz Ognia! Poskramiacz Ognia!

Chóralne okrzyki nacierały zewsząd z mocą spiętrzonej fali i rozbijały się o mnie. Zarumieniłem się, zaskoczony tym, co zrobiłem, a także reakcją pozostałych. Potykając się, wróciłem do swojego miejsca w kręgu.

– Poskramiacz Ognia! – wołali ludzie.

Atar uśmiechnęła się, chwyciła moją prawą dłoń i nachyliła się, żeby szepnąć mi do ucha:

– A więc w istocie jesteś kimś więcej, niż się wydawało. Myślę, że masz ciekawą historię do opowiedzenia. Ale zajmijmy się tym później, bo teraz nadeszła moja kolej.

I Atar, znająca wszystkie tańce An-Zabat, dała popis, który przyćmił mój, tak jak słońce przyćmiewa gwiazdy.



Gdy wszyscy już wystąpili, w środku kręgu pojawił się Katiz, trzymający nad głową szeroką mosiężną misę ozdobioną wijącym się srebrnym ornamentem, podobnym do tych na obeliskach i na posągu Napheny w Błogosławionej Oazie.

– Chłodny wiatr obiecał wodę! – krzyknął.

– Niech wszystko spływa do An-Zabat! – odpowiedzieli zebrani.

Wtedy Katiz uklęknął i wykopał płytką dziurę w ziemi, a potem umieścił w niej miskę. Jedyne jej brzeg wystawał ponad piasek. Starzec spojrział na mnie i zawahał się. Moja obecność stanowiła dla nich zagrożenie, nawet jeśli ujawniłem, że władam zakazaną magią. Widziałem, że zastanawia się i ocenia ryzyko, czy rzeczywiście mogę ich zdradzić. Wciąż podejrzewał, że jestem elementem wielkiego spisku cesarstwa, ale w końcu przemógł się i pozdrowił mnie płytkim skinieniem głowy. Był to drobny gest zaufania, poprzedzający ujawnienie sekretu równego rangą temu, którym sam się podzieliłem.

Z ciała Katiza popłynęła moc, która wniknęła w miskę, a potem głęboko w ziemię. Odczułem jej oddziaływanie i wiedziałem, że nie ma ono nic wspólnego z formowaniem wiatru, ale wykryłem tę samą

chłodną, odświeżającą właściwość. Do zagrzebanej w ziemi miski ściekała strużka wody. Ludzie zbierali się wokół Katiza w centrum kręgu. Jeden po drugim nachylali się, nabierali wody w dłonie i pili.

– Nie bądź taki zaskoczony – rzekła Atar. – Przecież w wodzie jest powietrze, a w powietrzu woda, nieprawdaż?

To, co tancerka wzięła za zaskoczenie, tak naprawdę było nagłym, niespodziewanym wnioskiem. Subtelna magia wpleciona w występ Ostrza Wiatru oraz znajomy srebrny ornament na misce Katiza stanowiły odpowiedź na pytanie, które nie dawało mi spokoju od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzałem Błogosławioną Oazę.

Odwróciłem się ku odległej emanacji An-Zabat i ujrzałem tam magię, która spływała po obeliskach i wnikała w ziemię pod miastem niczym delikatny wietrzyk na powierzchni czystego, niezmaconego stawu. Efekty wywołane przez cud Napheny okazywały się niezbędnym elementem, a w zasadzie źródłem wzajemnego oddziaływania między energiami oazy, zielonego pasa i ludzi miasta. Dopiero teraz, gdy wiedziałem, gdzie patrzeć, poczułem prastarą moc zakotwiczoną w obeliskach i posągu. Moc, która utrzymywała An-Zabat przy życiu.

– Chodźmy, Poskramiaczu Ognia – rzekła Atar i wzięła mnie za rękę. – Teraz nasza kolej, żeby się napić.

Kształtowanie wiatru

Przyniosłem kleik na ryżu i herbatę z żeń-szenia – rozległ się głos Jhina.

Usłyszałem stukot tacy stawianej na stoliku przy łóżku. Mój służący podszedł do okna, by odsunąć zasłony.

– Nie mam kaca – poskarżyłem się, mrużąc oczy, gdy do wnętrza wpadło światło późnego poranka.

– Nie wrócił pan do łóżka przed świtem – wytknął mi Jhin. – Trzeci raz w miesiącu.

Przez ostatnich kilka tygodni Jhin stawał się coraz bardziej bezczelny i traktował mnie jak rozpieszczone dziecko, a nie jak starszego brata w wielkiej rodzinie cesarstwa. Intelkt ostatnimi czasy nakazywał mi powątpiewać w pojęcia takie jak kodeks zachowania czy hierarchiczny szacunek, zwłaszcza po tym, jak na własne oczy przekonałem się, że pomagają one sienneńskim władcom oddzielić się od problemów zwykłych ludzi. Gdybym surowo trzymał się tych zasad, nigdy nie poznałbym prawdy o mieście. Mimo to spędziłem całe życie w społeczeństwie ściśle owych reguł przestrzegającym i ton służącego zaczynał mi przeszkadzać.

– Prowadziłem badania w mieście – poinformowałem go. – Zgodnie z ustaleniami, które poczyniliśmy z Głosem Strumykiem, przyglądam się gospodarce miasta na własne oczy, żeby lepiej kształtować jego politykę.

– Doprawdy? – spytał Jhin, rozstawiając naczynia. – Czy te badania przyniosły efekty?

– Widziałem dzieci polujące na szczury. Widziałem ojców i matki głodzących się, żeby ich dzieci mogły dostać choć kasek.

– Dzieci polują na szczury w wielu miastach, Wasza Ekscelencjo.

Złość na niego oraz na struktury imperialne, których z takim zacięciem bronił, powoli brała we mnie górę, mimo to udało mi się odpowiedzieć spokojnym tonem:

– Czyż mędrzec Wędrujący Wąskim Traktem nie napisał, że człowiek, którego bogactwa na własnych grzbietach dźwigali ubodzy, oraz złodziej, bogacący się kosztem innych, są do siebie podobni i zasługują na pogardę? A co z imperium? Co z... – Machnąłem ręką, by wskazać jedwabne pościele, dzieła sztuki na ścianach oraz zdobienia ze złota, srebra i jadeitu. – Co z tym wszystkim? Czy jestem lepszy od złodzieja, skoro mieszkam w luksusie, a dzieci głodują?

Moje słowa zawisły w powietrzu, a ja uświadomiłem sobie, jak absurdalnie musiały dla niego zabrzmieć. Ja również byłbym nimi zdziwiony, gdyby nie moje doświadczenia w Żelaznym Mieście i gdyby nie wszystko to, czego dowiedziałem się od Atar. Wiele zawdzięczałem też babci, która pokazała mi inny sposób patrzenia na świat, gdy byłem jeszcze zbyt mały, by móc to docenić.

Jhin zacisnął mocno usta, a gdy się odezwał, w jego głosie pobrzmiwała nuta ostrzeżenia, jakiej nigdy wcześniej nie słyszałem.

– Dlaczego jestem pańskim służącym, a nie trupem jak wielu innych uliczników w Sor Cala, Mieście Kamienia, gdzie przyszedłem na świat? Każdy z nas ma przed sobą ścieżkę, Ekscelencjo. Nie wszystkie są takie same i nie każda kończy się dobrze, ale naszym zadaniem jest podążać nimi wedle reguł, które narzucają na nas obowiązki i kodeks postępowania. Tę surową lekcję wyniosłem z Toa Alon.

Często spotykałem się z podobnymi argumentami na usprawiedliwienie hipokryzji imperium, ale nie tego chciałem teraz słuchać. Ścieżka Wilgi zaprowadziła go do śmierci w błocie Żelaznego Miasta, ale ów tragiczny koniec wcale nie był nieunikniony. Podobnie jak każdy rozkładający się liść i każde rosnące drzewo pomaga kształtować strukturę świata, każdy ludzki czyn formuje ścieżki, którymi wszyscy możemy podążać. Ludzie u władzy, tacy jak Głosy cesarza czy ministrowie handlu, mogą kształtować ścieżki jedynie mocą swojej woli. Nie chciałem przebijać się naprzód na oślep, jak wtedy, gdy sprowadziłem Wilgę do Żelaznego Miasta. Nie przyszło mi wówczas nawet do głowy, że mogę

zranić kogoś w moim otoczeniu.

– Cięży na tobie zmęczenie po nieprzespanej nocy, Wasza Ekscelencjo – powiedział Jhin. – Sugeruję, żebyś zrobił sobie dzień wolnego i odpoczął.

Skorzystałem z rady, ale wieczorem znów udałem się do miasta, gdzie spotkałem się z Atar. Opowiedziałem jej o moim nietypowym wychowaniu, kiedy to byłem rozdarty między naukami babci a wykształceniem sienieńskim, na co dziewczyna opowiedziała mi więcej o An-Zabat i jego mieszkańcach. Oczywiście tym, co intrygowało mnie najbardziej, była magia.

– Jak Naphena stworzyła oazę? – pytałem, gdy szliśmy w nocy po ulicach. Atar, jako Tancerka Wiatru, była powszechnie znana i szanowana, zarówno w tawernach, gdzie desperaci szukali ukojenia w winie, jak i w zakątkach portowych, gdzie ustawiali się ci, którzy nie mieli na sprzedaż nic oprócz swojego ciała. Przemieszczała się wśród nich swobodnie, dzieląc się to pieniędzmi, to dobrym słowem, ale ani razu nie oddalaliśmy się od cienia obelisku.

– To był cud – odparła. – Dzieło magii, które zaprzeczyło boskiej woli.

– Dobrze, ale jak? – indagowałem. – Czy to był akt podobny do owego napełniania miski, ale na większą skalę? I czemu ten czar nadal działa, wiele wieków po jej śmierci?

Atar wydawała się zdezorientowana moimi pytaniami. Nasze rozmowy stawały się coraz bardziej złożone, w miarę jak oswajałem się z zabatańskim i powoli dążyłem do płynności w tym języku. Mogłem już pytać o rzeczy, których Atar nie chciała ze mną omawiać w sienieńskim ze względu na brak słów o odpowiedniej głębi znaczenia.

– Równie dobrze mógłbyś spytać, dlaczego słońce wstaje, dlaczego wiatry trącają pustynne piaski lub dlaczego na Pustkowiu nigdy nie pada – powiedziała. – Naphena utworzyła tu na nowo prawa przyrody i zawarła swoją wolę w kamieniu obelisków. Sprawiała, że świat stał się inny.

Przyglądałem się górującemu nad nami obeliskowi. Stary piaskowiec był od stuleci smagany wiatrem, ale srebrne wzory lśniły jasno i wyraźnie, jakby stworzono je dziś rano. Teraz rozumiałem magię obelisków i czułem jej oddziaływanie. Czułem delikatne, chłodne dreszcze na ramionach, będące dowodem na to, że struktura uległa tu przemianie.

– Gdy byłem dzieckiem, posługiwałem się magią, choć nikt mnie tego nie uczył – powiedziałem.

– Zanim jeszcze babcia mnie naznaczyła, umiałem wyczuć działanie jej magii i sięgać po moc. Miałem wrażenie, że dosłownie wszystko jest w moim zasięgu. Przez całe życie próbuję to zrozumieć, a te obeliski – wskazałem najbliższy – to pierwsza rzecz, która przywołuje na myśl ogrom mocy, jaką wówczas czułem.

Nie wspominałem o samym cesarzu, którego nieustająca transmisja magii do Głosów i Dłoni niczym góra przebijała strukturę świata. Obeliski były cudem, ale nie wstrząsnęły mną do głębi, ani też nie napełniły mnie nabożnym zachwytem.

Atar potarła ramiona, na których widać było spiralne wzory tatuaży oznaczających jej magię.

– Mówisz o czymś, z czym też czasami się stykamy. Pojawiają się wśród nas dzieci, które czują oddziaływanie wywołane kształtowaniem wiatru. Zawsze są wybierane na wiatromistrzów bądź Ostrza Wiatru, ale zostają naznaczeni w młodym wieku. Sięganie po magię bez ograniczeń jest równoznaczne ze stąpaniem po ziemi, której zazdrośnie strzegą bogowie. To dlatego Naphena stworzyła pakt, żeby nasza magia została zasłonięta przed boskim gniewem.

– W opowieściach mojej babci bogowie sami przekazali znaki nayeńskim wiedźmom – rzekłem.

Atar zastanowiła się nad moimi słowami.

– Być może wasi bogowie są życzliwsi od naszych. Również są zazdrośni, ale przynajmniej gotowi przekazać wam ochłapy swojej mocy. Żyjąc na pustyni, wiemy, że niebo i piaski są w najlepszym razie obojętne wobec nas, a w najgorszym domagają się naszej śmierci.

Pomyślałem o wilczych bogach, o ich wykrzywionych pyskach i ognistych ślepiach, które tak długo przyglądały mi się z ciemnych zakątków koszmarów. Na szczęście zły sen nie powtórzył się od czasu mojej ostatniej wizyty w Świątyni Płomienia.

– Nie sądzę, żeby tak było – powiedziałem. – Może wiedźmy z Nayenu również miały opiekuna takiego jak Naphena, ale zdążyliśmy już o nim zapomnieć.

– Być może – dumiała Atar. – Ale jeśli to prawda, tym bardziej budzi we mnie głęboki smutek.

Nie wolno nam zapominać o tych, którzy próbowali naprawić ten świat. Chodź, Poskramiaczu Ognia. Jest jeszcze wiele rzeczy, które chciałam ci pokazać.



Kolejne miesiące upływały błyskawicznie. Za dnia jak zawsze kontrolowałam cła i podatki, dopasowywałam kursy wymiany walut i nadzorowałam przepływ dóbr trafiających do miasta i z niego wychodzących, a ostatniego dnia tygodnia wymykałam się z cytadeli.

Atar opowiedziała mi o swoim dzieciństwie jako córki dwojga wiatromistrzów. Jej ojciec zginął w walce z imperium, a matka, ranna i wygłodzona, zapadła na ciężką chorobę i opuściła ten padół niedługo po mężu. W wieku czternastu lat Atar została sierotą, odpowiedzialną także za swojego dziesięcioletniego brata. Matka przekazała jej podstawy kształtowania wiatru, ale nie miała żadnego wiatrowca, a w chaosie cesarskiej nagonki na wiatromistrzów, która skończyła się powstaniem, dziewczyna wylądowała na ulicy.

– Znałam własny taniec – opowiadała. – A innych nauczyłam się w Dolinie Władców. Tańcząc, mogłam wreszcie zarobić na wyżywienie, a gdy Katiz znalazł mnie na bazarze, cieszyłam się już niemalą sławą. Katiz przekonał więc Falmę, która była Tancerką Wiatru przede mną, żeby przyjęła mnie na uczennicę. Gdy zmarła, przejęłam jej zadanie.

– A gdzie jest teraz twój brat? – spytałam.

Spojrzała na horyzont.

– Niedługo po tym, jak zaczęłam tańczyć na bazarze, mój brat zniknął. Pomimo pomocy Katiza nie zdołałam go jak dotąd znaleźć. Być może, głodny i zdesperowany, uciekł, żeby dołączyć do załogi wiatrowca. A może zginął, zakłuty nożem przez bandytę albo włócznią przez cesarskiego żołnierza? Któż może wiedzieć?

Zaczelśmy na własną rękę odwiedzać Dolinę Władców, a Atar nauczyła mnie tańca zabatańskiego skryby, a potem tańca kupca. Pokazywała mi wszystkie kroki i śmiała się, gdy próbowałam ją naśladować, ale wszystko mi się myliło.

„Jeszcze zrobimy z ciebie tancerza, Poskramiaczu Ognia” – mawiała z uśmiechem i delikatnymi dotknięciami poprawiała mi ustawienie kolan czy ułożenie ramion. Parokrotnie miałem wielką ochotę, by popełnić jakiś błąd celowo, tylko po to, żeby zobaczyć jej zadumany uśmiech i dać powód, by stanęła bliżej mnie.

Pod koniec trzeciego miesiąca wykonałem w kręgu taniec żołnierza, czym wzbudziłem spory aplauz. A gdy wracaliśmy do katakumb, za jedyne światło mając blask księżycy i gwiazd, poprosiłem Atar, żeby nauczyła mnie tańca wiatromistrzów.

Dziewczyna zatrzymała się na ścieżce z piaskowca.

– To nie mój sekret, a więc nie wolno mi się nim dzielić – powiedziała, a potem dodała z łagodnym uśmiechem: – Ale nie rozpaczaj, Poskramiaczu Ognia. Pomogę ci zapracować na ten przywilej.

Gdy zbliżyliśmy się do mosiężnych drzwi, za którymi znajdował się tunel prowadzący do miasta, zobaczyłem, jak blask księżycy odbija się od jej loków. Spojrzała na mnie, a jej oczy wydały mi się pełne nieskończonej głębi, jak gdyby gdzieś w ich otchłani czały się wszystkie odpowiedzi, których szukałem przez całe życie.

Moją pierś wypełnił ogień i zadziałałem bez namysłu, jakbym podązał za impulsem, który dopadł mnie z zewnątrz. Złapałem ją za rękę i przyciągnąłem ku sobie. Atar zeszywniała, co natychmiast zgasiło we mnie ogień i zdusiło kielkującą dopiero nadzieję. Oczywiście, że nie pragnęła mnie tak, jak ja pragnąłem jej. Staliśmy się przyjaciółmi i choć poznała sekrety, które mogłyby skazać mnie na śmierć, nadal byłem ministrem handlu i Dłonią cesarza.

Nie byłem wyłącznie Sieneńczykiem, ale to się głównie liczyło.

Puściłem ją. Srebro tetragramu zamigotało w ciemności.

– Przepraszam – wymamrotałem, szukając słów, które mogłyby naprawić szkody wywołane moim impulsywnym zachowaniem. – Pomyślałem sobie, że...

– Co takiego sobie pomyślałeś, Poskramiaczu Ognia? – spytała ostro. – Że mogę zapomnieć, kim jesteś? Niektórzy z nas nauczyli się już panować nad swoimi żądzami, bo te jakże często mogą wpędzić nas w niebezpieczeństwo i narazić na oszustwo.

– Nie, ja tylko...

Słowa znów mnie zawiodły, co mi się na ogół nie zdarzało. Nie doszło do tego w Żelaznym Mieście, gdzie Dłoń Przewodnik o mało nie odkrył mojej tajemnicy, choć to on wyniósł mnie do rangi Dłoni cesarza. Kłamstwa przychodziły mi łatwo przez całe życie. Prawda – gdyż Atar okłamywać nie zamierzałem – okazywała się znacznie trudniejsza do wyrażenia.

– Od dziecka wszyscy układali plany za mnie – powiedziałem w końcu. – Babcia chciała, żebym walczył z Sieneńczykami. Ojciec chciał, żebym wzmocnił pozycję rodziny. Po odejściu babci nie miałem żadnego wyboru, musiałem podążać ścieżką prowadzącą prosto do cesarskich egzaminów i Dłoni Przewodnika, który mnie również uczynił Dłonią.

– Mogłeś odmówić.

– Naprawdę mogłem? – odparłem ostro, słysząc w jej słowach echo ultimatum Czystej Rzeki. Nabrałem głęboko tchu i odezwałem się znowu, tym razem dbając o to, by zachować spokojny głos, choć wzbierał już we mnie gniew. Przecież nie mierzyłem nim w Atar. – Babcia zniknęła jednej nocy bez zapowiedzi, żeby dołączyć do powstania. Nie zamieniła ze mną ani słowa, a już na pewno nie zaproponowała, żebym udał się z nią. Co miałem robić? Samotnie wyruszyć na północ, gdzie z pewnością złapaliby mnie bandyci i oddali ojcu w zamian za okup? Dopóki mieszkałem pod jego dachem lub w domu Głosu Złotej Zięby, nie miałem możliwości, żeby zdecydować, kim chcę zostać. Dopiero teraz odnalazłem tę wolność.

– A skoro ją masz – spytała Atar – jak ją wykorzystasz?

– Chcę zostać tutaj. Z tobą.

– Doprawdy? Poświęcisz komfort, prestiż i władzę, żeby walczyć o obcą krainę? Dlaczego?

– Chcę walczyć u waszego boku.

Atar spojrzała na odległą panoramę miasta, nad którą wzbijały się obeliski, wyraźnie widoczne na tle gwiazd i pustynnego nieba.

– Wspomogłeś miejską biedotę – powiedziała. – I za to jestem ci wdzięczna. Dziękuję ci też za opowieści o Nayenie, za to, że pomogłeś mi zrozumieć świat w szerszym sensie, i za wiedzę, że nie jesteśmy sami w wojnie przeciwko cesarstwu, ale tutaj zawsze byłeś gościem, Poskramiaczu Ognia.

– Mimo to nigdzie nie czułem się tak bardzo w domu jak tutaj.

– Naprawdę? – Przez moment wpatrywała mi się w oczy, aż ośmieliłem się nabrać nadziei. Moje zranione serce waliło głośno. – Nie jesteś pierwszym mężczyzną, w którego oczach zobaczyłam pożądanie. I przyznam, że sama również czuję echo tego uczucia. Ale to, czego pragniesz... – W jej głosie pojawił się smutek, choć napięcie mięśni mogło zwiastować gniew. – Naprawdę myślisz, że mogłabym zostać sieneńską żoną, zamkniętą gdzieś w twojej posiadłości?

– Oczywiście, że nie! Ja...

Atar zmrużyła oczy, a ja zdusiłem resztę słów.

– A więc chciałbyś, żebym porzuciła moich rodaków i podjęła walkę w Nayenie? – ciągnęła. – A może porzuciłbyś swoją wyspę i zebrał załogę wiatrowca? Naprawdę mnie kochasz, Poskramiaczu Ognia, czy kochasz ideał trzeciej ścieżki, ani sieneńskiej, ani nayeńskiej?

Chciałem się sprzeciwić. Chciałem bronić moich uczuć, tak jak broniłbym twierdzeń sieneńskiej doktryny, ale czułem, że przepaści między nami nie udałoby się zasypać argumentami. Czekająca na moją odpowiedź, ale gdy okazało się, że nie mam jej do zaproponowania nic oprócz ciszy, opuściła mnie. Stałem nieruchomo i ruszyłem, dopiero gdy znikła za mosiężnymi drzwiami. Podążyłem w ślad za nią, szukając słów, które wyraziłyby to, co czuję, słów, których nie umiałem znaleźć. Jednak odgłosy jej kroków niebawem ucichły, a ja samotnie wyłoniłem się w mroku przed świtem.



Tej nocy wracałem pamięcią do każdej chwili spędzonej z Atar w poszukiwaniu jakiegokolwiek

okruszka nadziei, którego mógłbym się uchwycić. Szukałem we wspomnieniach jej spojrzeń, dłuższego dotyku ręki czy zetknięcia się naszych ramion, gdy staliśmy w kręgu i czekaliśmy na naszą kolej w tańcu.

Następnego dnia zagłębiłem się w raporty handlowe, próbując znieczulić ból serca księgami rachunkowymi i mocną herbatą. Gdy wieczorem skończyłem pracę i stanąłem w obliczu kolejnej długiej, bezsennej nocy, w Pawilonie Wiatru wśród Traw pojawił się Dłoń Żar. Jhin nie zdążył go nawet zaanonsować. Żar omiótł pomieszczenie beztroskim spojrzeniem i opadł na krzesło.

– Rzadko cię ostatnio widuję – powiedział.

– Miałem mnóstwo pracy – odparłem nieobecnie.

Dłoń Żar pokiwał głową z mądrą miną.

– Słyszałem coś o tym. Kilka nowych podatków i rezerwa strategiczna, którą z jakiegoś powodu postanowiłeś oddać wiatromistrzom.

Przeszył mnie dreszcz, ale Dłoń Żar nie był na tyle bystry, by móc mnie przejrzeć.

– Ludzie w mieście głodują – odpowiedziałem. – Pełne brzuchy rzadko kiedy skłaniają do myślenia o rebelii.

– W każdym mieście ludzie głodują – sprzeciwił się Dłoń Żar. – Ale rozumiem, że cudzoziemiec ze wschodu zna się na buntach. Tak czy owak, nie dokończyłeś szkolenia z kanonu. Nie sądzisz, że pora się do tego zabrać?

Nie miałem już ochoty studiować kanonu ani walczyć o imperium, dla którego musiałbym się poświęcić, tak jak wcześniej zrobił to Wilga. O imperium, które zgodnie ze słowami swych mędrców szerzyło okrucieństwo w pogoni za pretensjonalnymi ogrodami i połączanymi pałacami, zostawiając za sobą jedynie ruinę i głód.

Ta wizyta jednakże była nagła i niezapowiedziana, co oznaczało, że Dłoń Żar nabierał podejrzeń.

– Masz rację – odparłem. – Chętnie odpocznę od roboty papierkowej.

Gość poklepał mnie po plecach i zaprowadził na strzelnicę, gdzie od razu zauważyłem, że coś się zmieniło. Słomiane kukły ubrano w kamizelki i luźne spodnie, jakie noszono w An-Zabat, a głowom wymalowano długie nosy i bujne loki, co było kiepską karykaturą naszych poddanych.

– Niezły dodatek, co? – powiedział Dłoń Żar. – Dziś rano zapędziłem służbę do roboty.

– Mam wrażenie, że to strata płótna i czasu – odparłem ostrożnie, na co Dłoń Żar wzruszył ramionami.

– Może i racja, ale dostarczyło mi to sporo radości – rzekł.

Zdusiłem wybuch złości.

Czy ludzie z An-Zabat to nie dzieci cesarza? Czy to w ten sposób wieńczysz swoje obowiązki wobec młodszych braci i siostr w wielkiej rodzinie imperium?

To jednak był test. Wyczułem go i choć nie znałem zasad, domyśliłem się, że wytknięcie jakichkolwiek wad w tej „rozrywce” – poza najbłahszymi – będzie oznaczało moją porażkę.

– I słusznie – stwierdziłem. – Nie powinniśmy się wzdragać przed żadnymi przyjemnościami życia, nawet tymi najprostszymi.

Otworzyłem dłoń i sięgnąłem do drugiego kanału. Pierwsza kukła rozpadła się w deszczu płonącego drewna i materiału.

Dłoń Żar parsknął śmiechem.

– Cóż za entuzjazm! – wykrzyknął. – Ale nie przyszedliśmy tu po to, żeby ćwiczyć magię bitewną. Pora poszerzyć twoją znajomość kanonu. Zamknij oczy, oddychaj głęboko i sięgnij do trzeciego kanału.

I tak oto zaczęło się popołudnie wypełnione absurdem i frustracją. Ze wszystkich sił próbowałem ujarzmić magię wiążącą, która okazała się toporna, nieporęczna i trudna do opanowania, niczym ciężar na plecach. Robiłem, co mogłem, żeby nadać jej kształt, jednak sznury światła, którymi ciskałem w manekiny, znikwały, w chwili gdy rozproszyłem uwagę. Gdy zadałem jakieś pytanie, Dłoń Żar prychnął, klepał mnie po plecach i zapewniał, że z czasem to wszystko opanuję, tak jak on kiedyś. Z pewną satysfakcją doszedłem do wniosku, że Dłoń Przewodnik wcale nie był najgorszym nauczycielem w imperium.

Po kilku zmarnowanych godzinach Żar zaproponował, żebym ćwiczył samodzielnie, a potem kazał, żebym go poinformował, gdy moje więzy będą utrzymywać się przynajmniej trzydzieści sekund.

– Do tego czasu nie ma co zawracać ci głowy bardziej subtelnymi technikami – rzekł lekceważąco.

Opuścił mnie, a ja przez jakiś czas dawałem z siebie wszystko, ale w końcu machnąłem ręką na trening i powróciłem do pracy papierkowej. Po ukończeniu zadań posłałem Jhina do Dłoni Alabastra z pytaniem, czy nie zjadłby ze mną kolacji w Sali Biesiadnej Słodkiego Nektaru. Wizyta Żara przypomniała mi bowiem o konieczności podtrzymywania więzi z mieszkańcami cytadeli, nawet jeśli mnie denerwowali lub zniesmaczali. Skoro miałem wykarczować sobie własną ścieżkę, musiałem najpierw odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia, aż do momentu, gdy będę mógł zerwać więzi z imperium.

Alabaster przyjął zaproszenie. Żaden z nas nie przeprosił za kłótnię, która zakończyła nasze ostatnie spotkanie, ale mimo to spędziliśmy kilka miłych chwil, omawiając najnowszą kolekcję dworskiej poezji, przyslaną przez jego narzeczoną. Nasza rozmowa kręciła się wokół miłości i tęsknoty, co tylko pogłębiło mój ból serca. Nosilem w sobie krwawiącą ranę i podobną zadałem Atar, sięgając po więcej, niż mogła mi dać.



Podczas kolejnej pełni – czwartej od czasu spotkania z Atar przy Błogosławionej Oazie – wyszedłem z cytadeli przez bramę dla służby i samotnie udałem się do Doliny Władców. Gdy wyszedłem z katakumb, od zbroczy doliny odbijały się już dźwięki muzyki. Nie podszedłem do kręgu – stałem w pewnej odległości i przyglądałem się, jak Atar wykonuje taniec, którego jeszcze nie widziałem. Płynnie przechodziła z jednej pozycji w drugą, a jej gracia znamionowała smutek, gniew i żal. Usiadłem na piasku, przyciągnąłem kolana do piersi, otoczyłem je ramionami i wpatrywałem się w tańczącą dziewczynę, oszołomiony głębią jej ekspresji.

Skąd przyszło mi do głowy, że ktoś taki mógłby mnie pokochać? Była przywódczynią swojego ludu, mistrzynią wiatru i tańca. Gdyby zechciała, mogłaby mieć kapitana najszybszego i najbardziej zwinnego wiatrowca w ich flocie. Ja zaś byłem kimś obcym, zwykłym Głupim Kundlem, sługą jej wrogów i człowiekiem, który nie był pewien swojego miejsca w świecie.

Jakiś cień zasłonił mi księżyc. Katiz stęknął i opadł na piasek obok mnie, oszczędzając jedno kolano.

– Atar nie miała pewności, czy wrócisz – rzekł.

Poczułem ucisk w piersi.

– A chciała tego?

– Myślę, że miała taką nadzieję. – Katiz nakrył mi ramię twardą, wielką dłonią.

W moim sercu ożył płomyk, a wraz z nim pojawił się nowy lęk.

– Odrzuciła mnie, do czego miała prawo.

– Myślę, że się boi, tak samo jak ty – rzekł Katiz.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem, ale w jego ogorzałej twarzy nie było ani cienia nieszczerości.

– Podczas pierwszej wizyty zatańczyłeś dla nas. Pokazałeś nam swoją magię, za którą Sieneńczycy skazaliby cię na śmierć. – Ścisnął moje ramię, a potem puścił je i odchylił się, krzyżując ramiona na szerokiej piersi. – Dlatego właśnie zacząłem ci ufać, Poskramiaczu Ognia. Nie znalazłeś jeszcze sposobu, żeby podjąć walkę z imperium, ale pokazałeś swoje prawdziwe oblicze i pomogłeś nam, a to wystarczy, jak na początek. A teraz – uśmiechnął się szeroko – Atar powiedziała mi, że chciałeś się nauczyć tańca wiatromistrzów.

Wyprostowałem się.

– I chcesz mnie uczyć?

– Tak – odparł Katiz. – Ale nie dziś. Krąg zbiera się po to, żeby dzielić się talentem, a nie żeby się uczyć. Zatańczysz dzisiaj, Poskramiaczu Ognia?

Po plecach spłynął mi dreszcz, gdy Atar przywołała wiatr i pozwoliła, by rozwinął jej szarfy. Wirowały wokół niej niczym latające węże, które przypadały do siebie, a potem się rozdzielały, by kręcić

się wedle własnego rytmu.

– Przepraszam – powiedziałem. – Nie wiem, czy podołam.

– Podołasz – nalegał Katiz i ruchem głowy wskazał Atar. – Tak jak ona. Szkoda, że jej nie widziałeś przez ostatni tydzień. Chodziła zgarbiona, zawsze z kwaśną miną. Nawet Shazir wolała trzymać się od niej z daleka. Mimo to przyszła, tańczy i dzieli się swoją prawdą. Ty również przyszedłeś do kręgu, a więc musisz zatańczyć.

Podniósł się i podał mi dłoń. Chwyciłem ją, ale nadal nie wiedziałem, co takiego zatańczę. Nie chciałem jednak urazić ani Katiza, ani innych ludzi w kręgu. Skoro przyszedłem, musiałem dać coś od siebie. Atar zakończyła swój taniec, w chwili gdy wraz z Katizem dołączyliśmy do kręgu. Spojrzała mi w oczy, a potem umknęła wzrokiem w bok.

Nagle wezbrała we mnie ochota, żeby z nią porozmawiać. Chciałem ją zapewnić, że choć nie czuje tego samego, co ja, nie chcę poświęcać naszej przyjaźni tylko po to, by zaleczyć bolejące serce. Być może w nieugiętej postawie tej dziewczyny, w jej hardej minie i zaciekłości, z jaką broniła swojej kultury i swojego ludu, było coś, co przypominało mi babcię, ale o wiele bardziej podziwiałem teraz Atar, niż jej pożałowałem.

Czy była to prawda, którą mogłem podzielić się w tańcu?

Nadeszła moja kolej. Wciąż nie miałem pewności, co pocznę, ale ruszyłem w stronę środka kręgu. Wśród moich myśli pojawiły się pierwsze kroki.

Rozpocząłem od układów Żelaznego Tańca. Był to pierwszy fragment wiersza, który chciałem stworzyć krokami i gestami, upamiętniając dzień naszego poznania i pierwszą noc przyjaźni. Później, w kolejności, której nauczyła mnie Atar, przechodziłem z jednego tańca zabatańskiego w drugi. Wykonałem elementy całego tuzina różnych tańców, opowiadając w ten sposób o spędzonych razem chwilach. Luźne, szerokie ruchy skryby. Wirowanie kupca na piętach. Precyzyjne skoki żołnierza. Wreszcie na koniec odtworzyłem taniec, który widziałem tej nocy w jej wykonaniu. Widziałem go tylko raz, i to z daleka, a więc nie było mowy o jakiegokolwiek precyzji. Ze wszystkich sił próbowałem naśladować jej piękno i smutek. Rolę szarf odegrały dwie smugi ognia, które splotły się w wirującej spirali, po czym rozpadły się i pomknęły wysoko ku niebu, niknąc w ciemnościach nocy. Magia sprawiła, że poczułem chłodny dreszcz, aż nagle pojawił się wiatr, który wydał parę szarf udekorowanych srebrnym haftem.

– Robisz to źle – rzekła Atar.

Złapała mnie za nadgarstki, ułożyła moje palce w odpowiedniej pozycji i taniec rozpoczął się na nowo.

– Naśladuj moje kroki – poleciła.

Zrobiłem, co mi kazała, choć nie zdołałem wykrzesać z siebie nawet cząstki takiej gracji i pewności siebie, jaką miała Atar. Jej wiatr mknął to w górę, to w dół, wciągając szarfy do tańca. Mój ogień skoczył im na spotkanie, otoczył je i uformował dwie spirale wiatru, jedwabiu i płomieni. Te zaś wirowały wokół nas, napełniając noc ciepłem i kolorami.

– Któregoś dnia Nayan wezwie cię do domu. – W jej głosie nie było ani odrobiny wysiłku. – To twoja ojczyzna. Twoja wojna.

– Któregoś dnia – wysapałem w odpowiedzi. – Ale nie dziś.

Zastanowiła się nad moimi słowami. Rozdzieliliśmy się w tańcu, a potem spotkaliśmy się w nim na nowo, a smutek wydawał się opuszczać jej kroki.

– A więc nie mogę ci obiecać nic ponad dziś – powiedziała.

– Wystarczy. – Serce biło mi szybko, nie tylko ze zmęczenia. – To więcej, niż śmiałybym marzyć.

Jej dłoń błysnęła, złapała moją i przyciągnęła mnie blisko. Mój świat przepełnił zapach lawendy, potu i miodu, a potem poczułem miękkość jej ust. Szarfy opadły i oplotły się wokół nas, zasłaniając tę chwilę intymności przed zebranymi, bo nią dzielić się nie chcieliśmy.

– A więc za dziś – szepnęła Atar. – I za nadzieję na jutro.



Tej nocy, gdy tancerze napili się z miski Katiza i wrócili do miasta, pozostaliśmy tam we troje. Naśladowałem kroki wiatromistrza, ale nie umiałem wykrzesać z siebie zwinności, a w ruchach moich rąk na próżno było szukać gracji czy siły. Żelazny Taniec nauczył mnie twardych ruchów, podczas gdy przywoływanie wiatru cechowała płynność i Katiz nie chciał nawet rozmawiać o magii, dopóki nie opanuję kroków.

Księżyc wisiał nisko i gdy po raz kolejny pomyliłem wstęp układu tańca wiatromistrzów, Katiz oświadczył, nie kryjąc frustracji, że nasza lekcja dobiegła końca. Bez słowa odwrócił się i znikł w tunelu prowadzącym do miasta. Ja zaś, wyczerpany do granic, opadłem na piasek, pozwalając, by chłodny wiatr, zwiastujący rychły świt, wystudził mi pot na czole.

Atar uśmiechnęła się do mnie. Zachodzący księżyc opromienił jej luźne loki srebrzystym blaskiem.

– Na to trzeba czasu – powiedziała, a potem położyła się obok mnie. – I sporo ćwiczeń. Pomogę ci.

– Dziękuję – wysapałem.

– Dzielenie się taką wiedzą jest moim obowiązkiem jako Tancerki Wiatru. – Wzruszyła ramionami.

– Nie tylko za to – odparłem, szukając odpowiednich słów, co w jej towarzystwie nie zawsze było łatwe. Z nikim nie miałem tego typu problemów, co być może było oznaką, że przejmowałem się nie tylko tym, co mogłaby o mnie pomyśleć, ale i tym, jak dobrze mnie zrozumie. Niewiele czasu spędziłem jak dotąd, próbując wyrazić prawdę. Nawet w rozmowach z Wilgą wznosiłem wokół siebie rusztowanie kłamstw. – Nie musiałas ze mną tańczyć – dodałem.

– To prawda – rzekła Atar. – Ale chciałam tego równie mocno, jak być z tobą dziś w nocy. Myślisz, że zostałam pomóc Katizowi tylko po to, żeby przyglądać się, jak młócisz naokoło rękami?

Zmarszczyłem brwi, na co Atar parsknęła śmiechem.

– Jak na człowieka zlanego własnym potem, dość łatwo urazić twoją dumę – stwierdziła.

– Jesteśmy na pustyni! – wypaliłem. – Tutaj ludzie są spoceni przez cały czas!

– Istotnie – zgodziła się ze mną – ale w An-Zabat rozumiemy to i się z tym godzimy, podczas gdy Sieneńczycy topią się w dusznych szatach.

– Czy nie pocałem się, gdy mnie pocałowałaś? – spytałem, ale natychmiast tego pożałowałem. Podczas pocałunku miałem wrażenie, że dotknęła mnie nowa, nieznaną mi magia i nie wolno o tym mówić, by wspomnienie tej chwili nie rozpadło się w pył.

Atar uśmiechnęła się, w jej oczach pojawił się psotny błysk, a po nim coś pełniejszego, dziwniejszego. Pochyliła się nade mną, aż poczułem jej oddech na swoim policzku.

– Do wschodu słońca pozostała jeszcze chwila – powiedziała. – Mamy więc czas na jeszcze jeden taniec.

Czułem łomot własnego pulsu. Wtedy Atar niespodziewanie zerwała się na równe nogi.

– Chodź, Poskramiaczu Ognia. Leżąc na piasku, nigdy się nie nauczysz.

Czułem oszołomienie i osobliwe rozczarowanie, z którym wolałem się nie mierzyć. Wstałem jednak i w ślad za nią powtórzyłem cały układ. To samo zrobiłem kolejnej nocy i następnej, aż cztery tygodnie później, znów podczas pełni, popisałem się tańcem wiatromistrzów, czym zasłużyłem sobie na tatuaże.

Zebrani w kręgu patrzyli, jak Katiz uciera tusz w wielkiej kamiennej misie, a potem ostrzy lotkę jastrzębia.

– Jak do tej pory jedynie trzykrotnie powierzyliśmy sekret władzy nad wiatrem przybyszowi z zewnątrz – powiedział. – Każdy z nich, podobnie jak ty, już władał wielką magią, gdy do nas przybył. Każdy z nich, tak jak ty, stracił własny lud i wszyscy zostali z nami na długie lata. Liczymy, że i ty to zrobisz.

– Pierwsze znaki znajdują się tu. – Atar musnęła trzykrotnie palcem skórę po wewnętrznej stronie mojego przedramienia, tuż pod łokciem. – Kiedyś dorobisz się własnego wiatrowca, a wtedy tatuaże pokryją całe ramiona.

Jej dotyk wywołał we mnie przyjemny dreszcz. Nie zdawałem sobie sprawy, że kiedyś doczekam

się kolejnych znamion, i cieszyłem się w duchu, że te były takie małe. Rękaw sieneńskiej szaty mógł je zakryć bez trudu, a ja musiałem stworzyć jakiś plan, by móc się wyrwać z cytadeli. Na szczęście od czasu wizyty Dłoni Żara nie wydarzyło się nic, co wzbudziłoby moją czujność. Nadal miałem mnóstwo czasu.

– Nie bój się okazać bólu – rzekł Katiz, co wywołało śmiech wśród zebranych tancerzy. – Każdy krzywi się przy pierwszych nakłuciach.

– Babcia naznaczyła mi dłoń kamiennym nożem. Nie sędzę, żeby to miało okazać się gorsze.

Katiz ukłuł mnie igłą i w istocie skrzywiłem się, tym bardziej że atrament wnikający w ranę piekł jak diabli. Atar musnęła dłonią moje ramię i ucałowała mnie w policzek. Gdy Katiz skończył, księżyc wędrował już w dół, ale wszyscy członkowie kręgu nadal przyglądali się chwili powstania nowego wiatromistrza.

– Przez kilka kolejnych dni oszczędzaj ramię – ostrzegł mnie Katiz. – A także, na litość Napheny, nie myj go, bo tusz się rozmaże.

Ledwie go słyszałem. W trakcie jak mnie nakłuwał i umieszczał tusz pod skórą, czułem pierwsze muśnięcia nowej mocy, chłodnej i uspokajającej, przypominającej magię uzdrowicielską. Wyczuwałem w niej jednak burzliwy prąd, kojarzący się z wyczarowywaniem ognia. Poczulem zawód, gdy uświadomiłem sobie, że przyzywanie wiatru, podobnie jak czarnoksiężstwo, również jest ograniczone, choć w sumie tego się spodziewałem. Każda forma magii, z którą się stykałem, okazywała się ograniczona kanonem bądź paktami zawartymi dawno temu z bogami.

Gdy Katiz skończył, zerwałem się na równe nogi i sięgnąłem po moc. Jej delikatne, niemalże niewidzialne oddziaływanie ciągnęło się za moją poruszającą się powoli ręką, a na dłoni zgęstniał podmuch wiatru. Pchnąłem go i poczułem, jak mknie naprzód.

– Spójrz tylko, Atar! – Podskoczyłem, uśmiechnięty szeroko. W głowie mi się kręciło, bo nowa moc, choć nie miała nic wspólnego z potęgą, której szukałem, okazała się przepiękna. – Potrafię przywoływać wiatr!

Podbiegła do mnie i razem tańczyliśmy z zefirami pustyni do chwili, gdy księżyc schował się za horyzontem.

Narzędzia imperium

We śnie wróciłem do Doliny Władców, ale samotnie i w ubraniach, które wraz z babcią zakładaliśmy podczas wizyty w Świątyni Płomienia. Podmuch wiatru poderwał piaski, a gdy burza się rozwinęła, ujrzałem wilczego boga Okarę, który stał na dnie doliny, tam gdzie tancerze formowali krąg, a Katiz czerpał wodę z ziemi.

– Cóż to za dom dla wilka? – spytał Okara.

Jego ślepią wpatrywały się we mnie znad poznaczonego bliznami pyska. Nie był już posągiem, ale żywym, oddychającym bogiem. Gdy natrafiłem na jego spojrzenie, uświadomiłem sobie z przestachem, że nie jest to wytwór śpiącego umysłu i że nigdy nim nie był. Za każdym razem to sam bóg mnie odwiedzał, by przemówić w moim śnie.

– Jestem tu szczęśliwy – zdołałem wykrztusić, wiedząc, że to kiepska wymówka.

Okara warknął, aż piaski zadrżały od jego gniewu.

– A więc zostań tu. Możesz sobie tu mieszkać jako wyrzutek i wnieść swój mizerny wkład w nadciągającą wojnę, ale chłopiec, który zmienił postać bez zawartego paktu i przyciągnął uwagę bogów, pożądał wiedzy, a nie szczęścia. Zapominasz już, ile osiągnąłeś, gdy twój umysł był elastyczny i niczym nieograniczony, jak u wiedźm z dawnych czasów, zanim związały nas swoim paktem? To przyzywanie wiatru wcale nie jest prawdą, której szukasz. To jedynie kolejna rama.

– A jak niby twoim zdaniem miałbym poznać te prawdy, skoro nie spotkałem jeszcze nauczyciela, który by je znał? – odciąłem się. – Od ciebie zaś słyszę jedynie zagadki i aluzje.

Poczułem się nagle lekki jak wiatr i w mgnieniu oka Błogosławiona Oaza pojawiła się przed nami, otoczona nie miastem, ale pustymi piaskami. Naphena stała wyprostowana pod gwiazdami i w zamglonym świetle snu wydawała się już nie wykuta z piaskowca, ale niemalże żywa.

– To jej szukasz, prawda? – spytał Okara.

– Ona nie żyje – odpowiedziałem.

– Tak, ale wiem o innej podobnej do niej, która mogłaby cię uczyć. To wiedźma z dawnych czasów.

Z pyska Okary wystrzelił strumień ognia, który rozniósł się po piaskach pustyni niczym wiatr znikąd. Owionął mnie, spalił moje ubranie i poparzył skórę. Zacisnąłem powieki, by ochronić oczy przed jego wściekłym naporem. W moim gardle zabulgotał wrzask.

Ogień opadł i odkryłem, że otaczają mnie kamienne kolumny. Cały ich las ciągnął się naokoło we wszystkich kierunkach, prosto w bezdenny mrok. Każdą zdobiły dziwne symbole wypisane w kolorze krwi bądź starej rdzy.

– To Kobieta Kości. Przebywa na północy Nayenu – mówił Okara – w świątyni, która nie jest świątynią. Odnajdź ją. Pakt nie pozwala mi zdradzić ci więcej.

– Masz na myśli to? – Uniosłem prawą rękę i pokazałem blizny wryte przez babcię. – To ten pakt? W jaki sposób wiąże on ciebie? Wiem tyle, że ogranicza nam możliwość czarowania, ale w jaki sposób blizny na ludzkim ciele wiążą boga?

– Dlaczego mam ci odpowiedzieć, skoro twoje działania sugerują, że pragnienie dotarcia do prawdy było jedynie twoją przelotną pasją? – Okara wpatrywał się we mnie złowrogo, po czym odwrócił się i wskoczył na wyższy poziom schodów świątynnych. – Odnajdź Kobietę Kości, jeśli zależy ci na prawdziwej magii, pełnej i potężnej.

I wtedy wilczy bóg znikł za bramą świątyni. W tejże chwili po schodach spłynął strumyk wody, błyskawicznie przeradzając się w potok, a potem w rzekę, która zbiła mnie z nóg.

Budziłem się powoli, jakbym wynurzał się z głębi oceanu. W mojej głowie nadal unosiły się strzępy snu. O co mu chodziło? Kim była Kobieta Kości? Nigdy o nikim takim nie słyszałem,

a nayeńskie legendy również o niej nie wspominały, ale może przez to słowa wilczego boga zabrzmiały jeszcze potężniej. Z pewnością mój uśpiony umysł nie potrafiłby stworzyć niczego, czego wcześniej nie znał. Przez krótką chwilę zastanawiałem się, czy podobnie jak Żelazny Szpon, pierwszy Król Słońca, nie zostałem wybrany przez bogów, by władać mocą.

Nie, to nie miałyby żadnego sensu. Dlaczego bogowie Nayenu mieliby wybrać służbę imperium, który zarzucił dawne tradycje i wyładował daleko od domu? Zresztą odszukanie Kobiety Kości wiązałoby się z powrotem do Nayenu, a ja miałem wiele powodów, by pozostać w An-Zabat.

Słońce wisiało już wysoko na niebie – wróciłem przecież z doliny o świcie – ale nie czułem zapachu herbaty, owsianki, gotowanych jajek i smażonego ciasta. Nie słyszałem też uwijających się służących, którzy szykowaliby moje pokoje do pracy. Zawołałem Jhina, ale nikt mi nie odpowiedział. Ubrałem się więc i podszedłem do drzwi, lecz okazało się, że są zamknięte. Szarpnąłem za klamkę i poczułem ciężar blokującej ją sztaby.

– Jhin! Co tu się wyprawia? – krzyknąłem.

Zakryte bandażami tatuaże śwędziały, ale przecież dopiero co zostały wykonane! Jak ktokolwiek mógł się o nich dowiedzieć? Wyobraziłem sobie Jhina, który pochyla się nade mną i odsłania rękaw mojej szaty.

– Służący Jhin!

– Dzień dobry, Dłoni Olcho – rzekł Alabaster przez szparę we framudze. Przycisnąłem oko do szczeliny, ale stał z boku i nie zdołałem go dojrzeć. – Choć nie wiem, czy nazwałem cię właściwym imieniem. Wszak Olcha to sienneńskie miano.

– O co tu chodzi, Alabastrze? – spytałem. Odetchnąłem głęboko, ale nie przyniosło mi to spokoju.

– Głos Złota Zięba wiedział o wszystkim od czasu zejść w Żelaznym Mieście, ale zawsze budziłeś podejrzenia – powiedział Alabaster. – Dłoń Przewodnik uchronił cię przed katowskim pieńkiem. Znalazł sposób, żeby cię wykorzystać. Szczerze powiedziawszy, obawiałem się, że nie zdobędziesz zaufania wiatromistrzów, ale twoje dokonania mnie zaskoczyły. Wiesz, jak karzemy za zdradę?

– Wypuść mnie, Alabastrze! – wrzasnąłem, jednocześnie pospiesznie analizując jego słowa i próbując odnaleźć w nich jakiś sens. – To nieporozumienie!

– Myślałeś, że uwierzemy, że wszystkie te drobne znaczkę ciągnące się wzdłuż linii papilarnych to pozostałości skaleczenia porcelanowym talerzem? – ciągnął Alabaster. – Masz nas za ślepców?

– Zaprowadź mnie do Głosu Strumyka. – Próbowałem wykorzystać każdą szansę. – Wszystko wyjaśnię. Uporamy się z tą różnicą zdań.

– Myślisz, że cesarz powierzyłby taką moc swoim Dłoniom, nie wiedząc, jak ją wykorzystają? – syknął Alabaster z jadem w głosie. – Dzięki symbolowi na twojej lewej dłoni cesarz towarzyszy ci przez cały czas. Być może nie zna każdej myśli i nie umie wejrzeć ci do głowy jak Głosowi, ale czuje każdą falę wywołaną przez twoją magię, bez względu na to, czy czerpiesz ją z kanonu, czy też nie.

– Nie wiesz, o czym mówisz...

– Gdy sięgnąłeś po swoją rdzenną moc w Żelaznym Mieście, a później tu, w An-Zabat, cesarz i jego Głosy odebrali ją jako skrzep w środku żył i arterii transmisji. Nayeńska magia na niewiele mogła nam się przydać, ale Dłoń Przewodnik uznał, że twoja ciekawość i głupota mogą okazać się narzędziem dla cesarstwa. Nie pomylił się. Nie wiedzieliśmy, w jaki sposób dasz sobie radę, ale udało ci się. Strumyk przyszedł do nas zeszłej nocy, w chwili gdy zawładnąłeś magią zabatańską, a cesarz dodał ją do kanonu. Wypiliśmy kilka toastów za twój sukces. Niebawem popłyną pierwsze wiatrowce pod imperialnym tetragramem i An-Zabat stanie się naprawdę naszą własnością. Dłoń Żar już ostrzy miecz. Mówi się o nim, że umie utrzymać ofiary przy życiu do chwili, aż zejdzie z nich ostatni strzęp skóry.

Oko Alabastra pojawiło się w szczelinie, a ja cofnąłem się nagle, tracąc równowagę.

– Do zobaczenia, przybłądo ze wschodu! – zaśmiał się. – Spotkamy się o świcie, gdy twoje cierpienie osiągnie punkt kulminacyjny i przyjdzie jego kres.

Dopiero wtedy, gdy siedziałem oszołomiony na podłodze, a w uszach nadal dźwięczał mi śmiech Alabastra, zrozumiałem wagę mojego błędu. Płotka, po którą sięgnął Czysta Rzeka, by mnie zastraszyć, okazała się tylko płotką, ale tkwiło w niej ziarenko prawdy. Wydawało mi się, że postępuję ostrożnie,

i miałem nadzieję dotrzeć do prawdy magii albo przynajmniej znaleźć miłość i zrozumienie. Okazało się jednak, że karty w tej rozgrywce są znaczone, i to od momentu, w którym Przewodnik umieścił tetragram na mojej dłoni.

Nie było jednak czasu na rozpacz czy zalewanie się łzami nienawiści do siebie. Nie było czasu, by rozważać kroki, które powinienem był podjąć, czy wnioski, które należało wyciągnąć. Musiałem ostrzec Atar, Katiza i innych wiatromistrzów. Miasto zostało utracone, ale oni nadal mogli uciec.

Podniosłem się z trudem i odnalazłem czarną skrzynkę z trzema żelaznymi zamkami, którą przywiozłem z Nayenu. Przycisnąłem do lewej dłoni obsydianowe ostrze noża mojej babci. Potrzebowałem magii, ale dopóki nosiłem tetragram, Głos Strumyk oraz sam cesarz wiedzieli o każdym rzuconym przeze mnie czarze, nawet gdy jednocześnie dodawałem go do kanonu. Stworzyłem ogień, gdy nosiłem tetragram, i w ten sposób zdradziłem jeden z największych sekretów Nayenu. Na szczęście wspomnienie poskręcanych kończyn i kruchych kości przeraziło mnie na tyle, że nawet nie pomyślałem o zmianie postaci. Wciąż istniały sekrety, których nie należało ujawniać.

Zaciskając zęby z bólu, zacząłem wycinać kanon ze swojej poznaczonej dłoni. Krew ściekała obficie, a studnia mocy, której obecność czułem od chwili, gdy nazaczył mnie Dłoń Przewodnik, znikła w jednej chwili. Spojrzałem na swoją okaleczoną rękę, będącą symbolem upadku tak wielu marzeń – marzeń Koro Ha, mojego ojca, moich własnych. Nie, nie był to jednak moment na uzalanie się nad sobą. Obwiązałem dłoń płótnem, przycisnąłem do piersi i zacząłem szukać wyjścia.

Drzwi były zamknięte na klucz, a do tego zamocowane łańcuchem i zastawione sztabą. Okiennice zatrzaśnięto i zabezpieczono od zewnątrz. Przez szczeliny między deskami dostrzegłem Jhina po drugiej stronie zagajnika bambusowego. Szedł z tobołkiem prania.

– Jhin! – zawołałem, waląc w okno zdrową dłonią.

Zaskoczony sługa niemalże upuścił niesiony ciężar. Rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt mu się nie przygląda, po czym podkradł się między bambusami do okna.

– Nie powinienem z tobą rozmawiać – szepnął. – Proszę, Dłoni Olcho, pozwól mi odejść.

– O co oni mnie oskarżają, Jhin?

– Mówią, że zdradziłeś imperium.

– Jak? Ukrywając to, że naznaczono mnie wedle nayeńskiej tradycji, zanim zrozumiałem, co to właściwie oznacza? Próbując poznać prawdę o mieście i chcąc pomóc jego mieszkańcom? Gdzie tu się kryje zdrada, Jhin?

Służący cofnął się, jakby miał mnie porzucić.

– Zdradziłeś zaufanie imperium, Olcho. Ukrywałeś sekrety...

– A ty zdradziłeś moje zaufanie – powiedziałem. – Ci ludzie przez dwa lata planowali mnie wykorzystać, żeby ukraść magię wiatromistrzów. Mogli dać mi szansę, żebym podjął z nimi współpracę, ale ukryli przede mną cały spisek. Wszyscy, łącznie z cesarzem, kiedy stanąłem przed jego tronem.

Jhin skrzywił się, ale mimo to nachylił się w stronę okna.

– Co się wydarzyło w Toa Alon, Jhin? – zapytałem. – Przeczytałem całą imperialną historię, ale w tym miejscu znalazłem lukę. Mówiłeś coś o lekcjach, które wiele cię kosztowały. Co wam zrobiło imperium?

Jhin zadrżał, ale przycisnął twarz do deseczek żaluzji. W jego oczach nagle pojawił się błysk.

– Gdyby imperium nie okazało litości, wszyscy bylibyśmy martwi i pogrzebani wraz z Kamiennymi Mówcami w ruinach Sor Cala. Kamienni Mówcy zataili wiele prawd przed swoimi rodakami i przed imperium, choć udawali poddanie się i ogłosili, że podzielili się swoją sztuką. Gdy imperium poznało prawdę... – Pokręcił głową. – Dłonie, a nawet Głosy... Twoja moc jest niczym w porównaniu z magią cesarza. To ucieleśniony bóg z legend skrywanych w mroku jaskiń, jeden z tych, których imion nikt nie pamięta, ale ich oblicza są wykute w kamieniu. Imperium nie podbiło Sor Cala! Sor Cala poddało się, jego władcy się poddali, a cesarz sam ukrył ten fakt.

– I nie zacząłeś nienawidzić przez to cesarza? – spytałem. – Nie darzysz go nienawiścią za tyle zniszczeń, za tylu zabitych ludzi?

Jhin nabrał głęboko tchu.

– Zostaliśmy ostrzeżeni. Miasto opustoszało. Zostali w nim tylko Kamienni Mówcy i garstka

tych, którzy nie chcieli odejść. Tylko oni stracili życie.

– A więc zabili grupę ludzi zamiast wszystkich. Nie powiedziałbym, że przyglądanie się, jak czyjaś moc niszczy mój dom rodzinny, to akt miłosierdzia.

– A czy oszustwo nie jest przestępstwem? – sprzeciwił się Jhin.

– Takim, które zasługuje na śmierć?

Jhin wzruszył ramionami.

– A czy ja jestem bogiem wykutym w kamieniu, żeby cię osądzać?

– A czy cesarz nim jest? Albo Głos Strumyk?

Urwał na moment, a ja bez wahania wykorzystałem lukę w jego obronie.

– Jakie przestępstwo popełnili wiatromistrzowie? Nigdy nie oszukiwali imperium. Chcieli tylko strzec sekretu swojej magii, żeby móc uchronić życie. Imperium zniszczyło Sor Cala, ale ocaliło Alończyków. Tutaj zniszczą Zabatańczyków, ale ocalą An-Zabat. Nie chcą ukarać nikogo za zbrodnię i nie chcą pomóc zniewagi. Zależy im jedynie na kontrolowaniu tras handlowych na Pustkowi. Czy za coś takiego warto zabijać?

– A czemu miałbym ci uwierzyć? – spytał. – Mam tylko twoje słowo, a jesteś przecież zdrajcą.

– Wiesz, że chcą mnie zabić. Jeśli niczego nie zrobisz, twój brak działania będzie oznaczał, że powinienem umrzeć. Jesteś bogiem wykutym w kamieniu, że stać cię na osady?

– A co niby miałbym zrobić, Dłoni Olcho? – Wpatrywał się we mnie złowrogo między deseczkami. – Mam podjąć walkę o ciebie i skazać na śmierć nas obu?

– Nie – odparłem. – Po prostu otwórz okno.

Jhin zmierzył wzrokiem szparę i zmarszczył brwi.

– Jest za małe!

– Mam na to sposób – powiedziałem. – Proszę, Jhin. Oszukałem imperium, ale mnie też wykorzystano. Jeśli źle postąpiłem, oni również. Dlaczego ja mam ponieść karę, a imperium może robić to, co zechce? I to tylko dlatego, że imperium jest potężne, a ja jestem słaby.

Jhin odwrócił ode mnie spojrzenie i wbił wzrok w sztabę, którą założono na okiennice. Nie toczyliśmy właśnie jednej z dysput filozoficznych, w jakich miałem wielką wprawę. Mogłem więc jedynie mieć nadzieję, że moje argumenty przemówią do jego poczucia przyzwoitości, choć sprawę komplikowało to, że Jhin, choć pochodził z Toa Alon, był również Sieneńczykiem.

– Trzeba rozwiesić te narzuty – mruknął pod nosem. – Zatechną się, jeśli nie wyschną.

I odszedł.

– Jhin! – zawołałem w ślad za nim. – Zrób to, co uznasz za słuszne!

Zatrzymał się w pół kroku i spojrzał za siebie. Miał napięte mięśnie, a na jego czole widniała głęboka bruzda. W oczach widziałem zamęt.

– Ja... ja muszę się zastanowić – powiedział w końcu i znikł.

Ja zaś miotałem się po pokoju i dusiłem w sobie nudności. Nawet gdyby Jhin zdecydował, że otworzy okno, nie zdołałbym się przez nie precyzować. Musiałbym być o wiele mniejszy.

Jakiś czas później – może godzinę, może więcej – usłyszałem zamieszanie za oknem. Szczęk stali i liczne kroki. W stronę bramy cytadeli wędrował uzbrojony po zęby oddział piechoty. Miałem wrażenie, że połknąłem kamień. Atar, Katiz i inni kształtujący wiatr mieli przeze mnie stać się obiektem nagonki i zostać wyrznięci. Zginą z przeświadczeniem, że ich zdradziłem.

Nie było czasu, by czekać na Jhina. Raz jeszcze rozejrzałem się po pokoju. Pozostawiono mi stosy książek, obrazy na ścianach i przybory do pisania. Uniosłem jeden z ciężarków i uderzyłem nim w okiennicę. Kilka deseczek pękło, ale zasuwa wytrzymała. Po czwartym uderzeniu zauważyłem, że ciężarek pękł – co za badziew – a przy piątym rozpadł się na dwie części.

Moja nadzieja umierała. Wiedziałem, że okno w pewnym momencie ustąpi, ale gdybym próbował ocalić Atar, ściągnąłbym zbyt wiele uwagi. Mogłem stworzyć ogień, by wyrwać się na wolność, ale ogień potrafi okazać się bardzo niebezpieczny i mało przydatny. Gdybym nadal władał magią bitewną, mógłbym rozwalić okno na kawałki. Poczuję się bardzo głupi i żałowałem swoich emocji, bo odcięcie się od kanonu oznaczało również pozbawienie się cennego narzędzia.

Ale kanon sam w sobie nie był magią. Ona była jak wilk uwolniony ze smyczy i pozbawiony

kagańca, ale wciąż trwający przy mnie. Wystarczyłoby go tylko oswoić.

I tak jak kiedyś sięgnąłem na ślepo po magię, która pomagała w transformacji, tak teraz wyciągnąłem rękę po magię bitewną. Miałem wrażenie, że idę po pustej równinie, gdzie kiedyś znajdował się ogromny pałac. Struktura świata nie uległa zmianie tak jak wtedy, gdy klęczałem w Świątyni Płomienia, ale miałem wrażenie, że dostrzegam teraz jedynie cienie wrażeń, przypominające nieśmiałe fale oddziaływania, stępione przez wieźmie znaki oraz długie lata korzystania z kanonu. Wymacałem drogę naprzód, ku słabemu poczuciu ciepła na skórze, ku chłodnemu powiewowi w płucach.

I nagle odnalazłem swój cel. Pochwyciłem magię, którą znałem jako bitewną, a wtedy ciepło na mojej skórze przerodziło się w gorąco ogniska, a powietrze w płucach stało się nieprzyjemnym zimowym powiewem. Magia ruszyła przeze mnie, a ja zaszczękałem zębami, przygryzając sobie język. Między palcami zaskwierczała błyskawica, która przeorała pokój. Po niej uderzyły następne, godząc we wszystko, tylko nie w okno.

Spanikowałem, gdy płomienie ogarnęły stosy papierów, a pomieszczenie wypełnił dym. Oddziaływanie magii było wręcz obezwładniające – miałem wrażenie, że wciśnięto mnie między dwie żelazne płyty, jedną zamrożoną, a drugą rozgrzaną do czerwoności. W wyobraźni ujrzałem Dłoń Żara, jak chichocze dziko, czując tę absurdalną falę oddziaływań i widząc dym unoszący się z mojego pokoju.

Zakrztusiłem się haustem dymu i zacisnąłem zęby, żeby powstrzymać szczęknięcie. Zamknąłem powieki i skupiłem się na strukturze świata. Czułem fale magii bitewnej, którą władałem. Pochwyciłem je niczym grzywę wierzgającego ogiera. To była moja moc – moja, a nie cesarstwa czy babci – i byłem gotów zrobić z nią wszystko, co chciałem.

Płomienie lizały już ściany wokół mnie. Zmrużyłem oczy, by móc coś dostrzec wśród gorąca i dymu, aż skupiłem wzrok na oknie i wyteżyłem swoją wolę. Tak jak wtedy, gdy próbowałem przywrócić Wildze życie, tak teraz wlałem w nią całe moje pragnienie, by pomścić siebie, ostrzec Atar i prosić ją o wybaczenie.

Ściany kanonu w niczym już mnie nie ograniczały.

Okno przeszła błyskawica. Żelazna sztaba rozpadła się na krople stopionego metalu, a okiennice zamieniły się w dymiące strzępy.

Po raz pierwszy od najbardziej przerażającej chwili w moim życiu sięgnąłem po moc pozwalającą na transformację. Każdy mięsień w moim ciele zwarł się, a potem rozluźnił, gdy przechodziłem w inną formę. Nie miałem czasu, by nacieszyć się sukcesem, na który tak długo czekałem.

Zatrzepotałem skrzydłami, skoczyłem na parapet i wystrzeliłem z dymu prosto ku niebu.

Obeliski An-Zabat

Unosiłem się na pustynnych prądach powietrznych i pomknąłem daleko za Dolinę Władców, nim pozwoliłem sobie na lądowanie. Jeśli Żar czy Alabaster podążali za śladami pozostawionymi przez moją magię, wyprowadziłem ich teraz daleko w pustynię. Zapadł już zmierzch, gdy wylądowałem i odwróciłem czar. Stojąc na słabych, drżących nogach, przypomniałem sobie, jak niosłem babcię ze Świątyni Płomienia, co obudziło we mnie bezbrzeżne współczucie. Cóż, mnie nie miał kto nieść, a więc ruszyłem niemrawym biegiem w stronę Doliny Władców.

Słońce już zaszło, ale piaski nadal emanowały ciepłem. Ssałem ślinę z wnętrza policzków, marząc o choćby odrobinie wilgoci, i żałowałem, że nie mam misy Katiza. Widziałem wielokrotnie, jak czerpał wodę z piasków, i miałem wrażenie, że mógłbym jakoś odtworzyć ten czar, choć ani Katiz, ani Atar nie podzielili się ze mną jego sekretem.

Gdy wreszcie dotarłem do doliny, moje kurcze przybrały na sile. Szedłem po ścieżce do klifu z piaskowca, ścigany mrocznymi spojrzeniami niezliczonych grobowców. Moja lewa dłoń była bezużytecznym kikutem, obwiązany zakrwawionymi bandażami, ale jakoś zdołałem otworzyć ciężkie mosiężne drzwi i zatrzaskać je za sobą. Nie miałem latarni, ale wyczarowałem nieco ognia – jęczyczek wążutki niczym palec, który nie pozostawiał więcej śladu niż nartnik na powierzchni kałuży.

Szedłem najszybciej, jak się dało, czasem wspierając się o ścianę, gdy nachodziły mnie spazmy. Poznaczone płaskorzeźbami ściany tunelu podrapały mi ramiona, a ciężkie cienie i wątle światło rzucane przez mój promyk zamieniały ryty w gromady demonów szczerzących kły z mroku. Czy były to stare, okrutne bóstwa An-Zabat? Czy one również miały wdrzeć się do moich snów, dręczyć mnie zagadkami i wabić ku nieznanym ścieżkom? Uznałem, że zaczynają mnie prześladować omamy wywołane pragnieniem, a moje myśli zatruło gadanie Jhina o bogach wykutych w kamieniu.

Skręciłem raz jeszcze i z ulgą zobaczyłem matowy połysk mosiądzu. Pchnąłem drzwi i wypadłem na uliczkę za świątynią Katiza. Pierwsze gwiazdy przeszyły już cieniutką powłokę, którą początkowo wziąłem za chmury – do momentu, gdy wyczułem zapach dymu i dojrzałem pomarańczowy blask na południu, nad nadziemnym portem.

Spóźniłem się. Drugi podbój An-Zabat już się zaczął.

– Atar! – krzyknąłem, choć w ustach miałem sucho, a język zamienił mi się w kołek. Kręciło mi się w głowie, ale mimo to wpadając na ściany i potykając się o sterty odpadków, biegłem w stronę obelisku, który wyrastał ze świątyni Katiza. – Katiz!

Drzwi do świątyni były otwarte. Atar i Shazir stały po obu stronach i pomagały ludziom wejść do środka. Z południa nadbiegła fala magicznego oddziaływania – najpierw gorąca, a potem zimna – po czym zajaśniała błyskawica i zagrzmiał piorun.

– Atar! – wysapałem, ale wtedy moją nogę przeszył kolejny skurcz. Potknąłem się, ale Atar złapała mnie i usadziła pod ścianą świątyni. – Dzięki niech będą mędrcom! Bogom! Naphenie! Dzięki bogini, że nic ci nie jest!

Spojrzała na moją okaleczoną dłoń, przyjrzała się twarzy i dotknęła policzków.

– Jesteś ranny! I gorączkujesz!

– Wróciłem z pustyni! – Złapałem ją za ramię. – Musiałem cię ostrzec!

– Shazir! Podaj wodę!

Dziewczyna skrzywiła się.

– Tancerko, on...

– Wody! Natychmiast! – Atar smagnęła Shazir wzrokiem, a ta spełniła polecenie.

– Ja musiałem... – Przełknąłem ślinę, na próżno szukając wilgoci w ustach.

– Nic nie mów, Poskramiaczu Ognia. – Wyciągnęła rękę, by pogłodzić mnie po czole, ale

zawahała się, a ja poczułem, jak przeszywa mnie zgroza.

– Wybacz mi – wychrypiałem.

Atar przyglądała mi się, jakby mogła wyczytać w moich oczach, czy jestem winny, czy też nie. Chciałem wszystko wyjaśnić, ale głos odmówił mi posłuszeństwa.

Shazir wróciła z miedzianym kubkiem. Za nią podążał Katiz. Atar przycisnęła mi kubek do ust. Woda piekła spękane wargi, ale okazała się cudownie mokra i chłodna.

– Co to ma oznaczać? – spytał Katiz. Jego twarz przypominała chmurę gradową.

– Powinniśmy go zamknąć i przesłuchać – oznajmiła Shazir. – W składziku...

– Czy wróciliby do nas, gdyby nas zdradził? – przerwała jej Atar. – Gdy odzyska głos, wszystko wyjaśni.

Bardzo chciałem udowodnić wszystkim, że tancerka się nie myli. Dopilem więc pospiesznie resztę wody i wyrzuciłem z siebie:

– Oni znają każdy rodzaj magii, którym się posługuję! – Mój głos odzyskał swoją moc, a więc dodałem: – Wiedzą, że zostałem naznaczony przez wiedźmę. Wiedzą też, że nic mnie tak nie fascynuje jak magia! Sprowadzili mnie tutaj, żeby mnie wykorzystać! Miałem wykraść dla nich umiejętność kształtowania wiatru, żeby mogli dodać ją do kanonu!

– I nie wiedziałeś o tym? – warknęła Shazir. – Jak to możliwe? Przecież szkolono cię w wykorzystaniu ich magii, prawda, Dłoni cesarza?

– Nigdy nie byłem do końca jednym z nich – odciąłem się, patrząc jej w oczy. – Przekazali mi moc tylko po to, żeby mnie wykorzystać!

– Zrobili z ciebie idiotę! – stwierdziła Shazir. – O ile, rzecz jasna, mówisz prawdę! Bo czemu mielibyśmy ci wierzyć?

– Bo przyszedł nas ostrzec – zauważyła Atar.

– Za późno. – Shazir odwróciła się do Katiza. – To, czy zdradził nas z własnej woli, czy nie, jest bez znaczenia. Nie możemy mu już ufać.

– Jego dłoń! – Atar ujęła moją lewą rękę i zaczęła odwijać bandaż. Gdy te spadły na ziemię, dziewczyna otworzyła szeroko oczy na widok mojej zmasakrowanej dłoni.

– Wyciąłem z niej tetragram – powiedziałem. – Nikt z Dłoni czy Głosów nie wie teraz, z jakiej magii korzystam, chyba że są na tyle blisko, żeby poczuć jej oddziaływanie. Nie jestem już ich narzędziem.

– Dla mnie to kolejne oszustwo! – Shazir uniosła ręce ku niebu. – Katiz, okażże rozsądek! Nie możemy ufać temu człowiekowi! Nie chcemy chyba stracić miasta?

– Miasto być może jest stracone, ale my wciąż mamy szansę – oznajmił Katiz. – Imperium wie już, jak kontrolować wiatr, ale Poskramiacz Ognia nigdy nie poznał sztuki czerpania wody. Nadal możemy odebrać im zwycięstwo!

Atar otworzyła szeroko oczy.

– Z urny Napheny płynie woda od setek lat!

– Ale może przestać – oznajmił Katiz. – A wśród nas jest wystarczająco wielu, którzy napełnili swoje cysterny i znają tę sztukę. Możemy wymknąć się na pustynię i pozostawić imperium wyschniętą skorupę miasta, ale gdy ruszymy, słudzy cesarza zorientują się, co robimy, i będą chcieli nas powstrzymać. Sieneńczycy mają broń, która może w okamgnieniu rozbić obelisk. Tą samą bronią zniszczyli przecież lata temu świątynię, a teraz rozwalają nią domy w mieście!

– My takiej broni nie mamy – powiedziała Shazir. – To nie plan, Katiz, ale marzenie, równie ulotne jak kropla rosy!

– Ja mogę zdobyć dla was broń – rzekłem. Plan Katiza nagle ułożył mi się w głowie w logiczną całość. Pamiętałem misę w Dolinie Władców i jej srebrny ornament, przypominający wzory, które widniały na górującym nad nami obelisku. Przypomniałem sobie również zbrojownię w cytadeli, przysadzisty budynek obok strzelnicy Żara. – Wiem, gdzie trzymają granaty. Dzięki mocy mojej babci jestem w stanie się tam przedostać i je dla was wykraść, jeśli się pospieszymy.

– Idiotyczny plan – warknęła Shazir. – A my bylibyśmy dwakroć głupszy, gdybyśmy się na to zgodzili! Powinam poderżnąć mu gardło, a my wszyscy już dawno powinniśmy być w porcie i bronić

statków!

Katiz skrzyżował ramiona, a jego tatuaże przesunęły się niczym pustynne wichry.

– Shazir, pójdziesz razem z nim – zdecydował. – Ty, Atar, również, jeśli chcesz. I weźcie dwóch najszybszych gońców. Taka jest moja wola.



Ulice wokół Błogosławionej Oazy były puste i panowała na nich cisza, jeśli nie liczyć odległego grzmotu magii bitewnej. Byliśmy na tyle daleko od strefy walk, że magia muskała mnie po skórze niczym opuszki palców. Wrażenie było nieznaczne, ale niepokojące. Prowadziłem Atar, Shazir oraz wybranych przez nią gońców ku bramie dla służby. Wszyscy mieli skromne stroje tragarzy i taszczyli skrzynie wypełnione szmatami, a ja miałem sienneńską zbroję, którą Katiz zdobył podczas poprzednich starć z imperium.

Przez ostatnie miesiące wielokrotnie wychodziłem i wracałem przez bramę dla służby. Wiedziałem więc, że na ogół stoi otworem i rzadko jest strzeżona. Była zresztą ukryta na końcu długiej, krętej uliczki, do której mało kto miał powód się zapuszczać, a więc lepszą ochroną była dla niej tajemnica niż klucz. Założyłem jednak, że starcia, które powoli rozchodziły się na całe An-Zabat, skłonią Sieneńczyków do wystawienia dodatkowych straży, i na to też się przygotowaliśmy.

Nabrałem głęboko tchu, żeby się uspokoić i skupić zmęczony umysł na zebraniu mocy. Miałem nadzieję, że moi sienneńscy koledzy są teraz zajęci gdzieś indziej. Tylko raz widziałem, jak babcia wykorzystuje moc, by zamienić się w jastrzębia, ale wydawało mi się, że po tę moc można też sięgnąć, żeby uzyskać subtelniejsze zmiany. Magia działała powoli, gdyż byłem nadal wyczerpany po biegu przez pustynię, ale w końcu rysy twarzy zaczęły mi się zmieniać. Moje ciało przekształcało się, aż zacząłem przypominać porucznika, który wyszedł do miasta na czele sił garnizonowych. Dobrze mu się przyjrzałem między deseczkami żaluzji. Gońcy patrzyli na mnie oczami otwartymi szeroko ze strachu.

Shazir splunęła z obrzydzeniem i potarła szczękę. Z pewnością czuła skurcze wywołane oddziaływaniami magicznymi.

– Obrzydliwa moc – stwierdziła.

Byłem skłonny się z nią zgodzić, i to nie tylko z powodu nieprzyjemnego uczucia towarzyszącego przekształcaniu ciała oraz kości. Drżałem na samą myśl o tym, że taka moc miałaby wpaść w ręce imperium. Wiedźmy i wiatromistrzowie potrafiliby przejrzeć fortel – czuli przecież oddziaływanie towarzyszące rzuceniu takiego czaru, ale byli też inni, którzy opierali się imperium bez użycia magii. Nie podejrzewając podstępu, młodzi buntownicy mogliby wyjawiać jakieś tajemnice przyjacielowi lub ukochanej, po czym ujrzeć, jak ci zamieniają się w Dłoń cesarza, gotowego aresztować ich za zdradę czy ukarać śmiercią na miejscu.

Atar spojrzała pochmurnie na Shazir, potem przepchnęła się obok nas.

– Bierzmy się do pracy.

Brama, zgodnie z moimi obawami, była zamknięta. Zapukałem, na co ktoś po drugiej stronie uchylił okienko. Pojawiła się w nim twarz Jhina, który przyjrzał mi się uważnie.

– Poruczniku? – odezwał się, a potem spojrzał na moich towarzyszy. – Czyżby Dłoń Alabaster o czymś zapomniał? Kim są ci Zabatańczycy?

Plan polegał na tym, by okłamać strażnika, wejść do środka, unieszkodliwić go i udać się do zbrojowni. Nie przyszło mi do głowy, że strażnikiem mógł być Jhin.

Nabrałem tchu i odwróciłem czar.

– Co... Co ty... – jęknęła Atar, czując falę słabnącej magii.

– Ja go znam – powiedziałem po zabatańsku, zbliżyłem się do okienka i odezwałem po sienneńsku: – Jhin, to ja. Olcha!

– Och, jasne, że go znasz! – krzyknęła Shazir. Złapała mnie za ramię i sięgnęła po miecz. – A więc o to chodziło z tym magicznym kamuflażem! On nas zdradził, Tancerko Wiatru!

– Zaczekaj! – rozkazała jej Atar, kładąc dłoń na ramieniu Shazir. – Przecież tamten też nie jest Sieneńczykiem. Niech się naradzą!

– Kim są ci ludzie? – spytał Jhin nerwowo. Nie uciekł jak dotąd, co dawało mi nadzieję.

– Jhin, przepraszam! – powiedziałem. – Potrzebuję twojej pomocy. Wiem, że nie chcesz brać udziału w wojnie!

– Uciekłeś – rzekł Jhin. – Dlaczego więc wróciłeś? Nie chcę być zamieszany w morderstwo, Olcho.

– Nie chcemy nikogo zabić – odparłem. – Ale nie mogę ci powiedzieć, na czym polega nasz plan. Myślę zresztą, że sam nie chcesz tego wiedzieć. Proszę tylko, żebyś otworzył bramę.

– Będą wiedzieć, że ci pomogłem – odrzekł służący. – Zabiją mnie!

– A więc ucieknij z nami! Wiatromistrzowie zabiorą cię do Toa Alon, jeśli chcesz, albo dadzą ci koję na którymś statku. Wszyscy opuszczają to miasto! Możesz zrobić to samo! Możesz zostawić imperium daleko za sobą!

– Powinienem cię wydać! – stwierdził grobowym głosem.

– Jhin, posłuchaj mnie – powiedziałem łagodnie. – Czy powstrzymałbyś zniszczenie Sor Cala, gdybyś mógł?

– Ja... – Jhin pokręcił głową. – Ja nie chcę obierać strony!

Południowe niebo rozciąła błyskawica.

– Dość tych pogawędek! – warknęła Shazir. – Atar, pozwól mi ich zabić, a potem pchnij swój wiatr i wyszarpnij te drzwi z zawiasów!

– Nie robiąc nic, stajesz po stronie tych potężnych! – naciskałem, porzucając nadzieję, że zdołam przemówić do jego sumienia. – Jeśli nie zrobisz nic lub co gorsza, pomożesz im, wygrają! Nie ma innego rozwiązania! Musisz wybrać! Imperium czy ci, którzy z nim walczą?

– Czy to tak stałeś się Dłonią cesarza? – spytał Jhin. – Komplikując to, co proste, i przekręcając wszystko słowami?

– Tak – odparłem. Bo tak było. Przekręcałem wszystko słowami i w efekcie wmówiłem sobie, że jedynym rozwiązaniem pozostaje służba imperium, dzięki czemu w jakiś sposób znajdę trzecią, neutralną ścieżkę. – Ale czy się mylę? – spytałem.

Jhin nabrał tchu.

– Nie, nie mylisz się, Olcho.

Rozległo się szcęknięcie zamka i brama stanęła przed nami otworem.

– Widzisz, Shazir? – powiedziała Atar, a potem wcisnęła jej do rąk skrzynię, by móc unieść własną. – Oczerniasz Poskramiacza Ognia.

Jhin zmierzył moich towarzyszy uważnym spojrzeniem, ale zapędził nas do środka, a tam wręczył mi pęk kluczy.

– Zaczekam tutaj. Zróbcie, co do was należy, a ja was wypuszczę.

– Dziękuję, Jhin – powiedziałem.

Przywołałem czar, który zamienił mnie w młodego porucznika, i skinąłem na Zabatańczyków. Ruszyliśmy przez ogród. Zgodnie z moimi zaleceniami Atar, Shazir i gońcy szli żwawo, ale się nie spieszyli. Gdyby ktoś nas zatrzymał, powiedzielibyśmy, że Dłoń Żar wysłał nas po dodatkowy zapas granatów, a Zabatańczycy zdradzili wiatromistrzów i służą nam za nagrodę, którą otrzymają po bitwie.

– Kto to był? – szepnęła Atar, gdy minęliśmy Pawilon Wznoszącej Się Pieśni. Płynący tam strumyczek wciąż bulgotał, zasilany przez rury ciągnące się z Błogosławionej Oazy, ale wydawał się osamotniony w ciemnościach. Nie paliły się tu żadne lampy, nie było papierowych tratw ani czarek z winem.

– Mój służący – odparłem. – Pochodzi z Toa Alon. Obiecałem mu miejsce na statku, gdy będzie już po wszystkim.

– Nie masz prawa obiecywać takich rzeczy – warknęła Shazir.

– Cisz! – syknęła Atar, a potem odwróciła się do mnie, jakby jej słowa skierowane były bardziej do moich uszu niż do Shazir, i powiedziała: – Na statku Katiza znajdzie się miejsce dla każdego, kto pomoże nam tej nocy.

Czułem, jak pulsuje we mnie ciepło, i zaczynałem zastanawiać się nad implikacjami jej słów.

– Atar – zacząłem, ale ktoś mi przerwał.

– Stać tam! Co to znaczy? Zabatańczycy w ogrodzie? – krzyknął jakiś strażnik po sieneńsku. Szedł ku nam z dłonią na rękojeści miecza. Strzelnica i arsenał znajdowały się za jego plecami. – Wyjaśnijcie mi to!

Zobaczyłem tetragram kapitana na hełmie i zaszalutowałem.

– Potrzebujemy więcej granatów w strefie walk, panie.

Strażnik spojrział na mnie, mrużąc oczy.

– A dlaczego nie masz latar... – urwał w pół słowa, a w jego oczach błysnęło zaskoczenie. – Porucznik Jasper? Przecież przyniesiono cię na noszach?

Shazir wyskoczyła naprzód szybko niczym wiatr. Przerzuciła skrzynię do jednej ręki i grzmotnęła żołnierza drugą. Z jej pięści strzeliła lodowata, pulsująca moc, równie gwałtowna jak kamień ciśnięty do stawu. Rozległ się trzask, hełm kapitana pękł, a z jego zmasakrowanej twarzy buchnęła krew.

– Głos Strumyk mógł to ujrzyć z drugiej strony miasta! – krzyknąłem, łapiąc ją za łokieć. – Jeśli już nie żyjemy, to przez ciebie!

Dłoń Shazir zaciśnięta na moim nadgarstku była zimna i twarda jak imadło.

– Ale znaleźliśmy się tu za twoją sprawą, Poskramiaczu Ognia!

Atar rozdzieliła nas i spojrzała na mnie złowrogo.

– Oddajcie mi klucze, bo najwyraźniej wolicie walczyć ze sobą niż z imperium.

Puściłem Shazir, a ta chwilę później uwolniła mój nadgarstek. Zaprowadziłem ich do arsenału i otworzyłem drzwi. Zabatańczycy wpadli do środka, a ja spojrzałem na sztuczne wzgórze, które oddzielało strzelnicę od Pawilonu Wpatrującego Się w Lilie. W każdej chwili na szczycie wzgórza mógł się pojawić Głos Strumyk, unieść rękę i zniszczyć nas serią błyskawic. Uwolniłem czar, który zmienił mi rysy twarzy. Nie było sensu ściągać na siebie uwagi.

– Poskramiaczu! – zawołała niespokojnie Atar. – Gdzie są granaty?

Poprowadziłem moich towarzyszy między stojakami z mieczami i włóczniami w słabym świetle latarni, które padało przez samotne okienko arsenału, aż wskazałem im drzwi oznaczone logogramem „niebezpieczeństwo” oraz „substancje łatwopalne”. Pokój za nimi cuchnął siarką i stęchłym powietrzem. Widziałem stosy skrzyń, a z haka na ścianie zwisało sześć bandolierów, do których już załadowano granaty.

Gońcy Katiza chwycili po dwa bandolierki każdy i przypięli je do pasów. Uścisnęli dłonie Atar i Shazir i ruszyli przez ogród ku bramie dla służby. Podałem Atar pozostałe bandolierki.

– Znajdź mnie! – powiedziała, patrząc mi w oczy, i wzięła granaty. – Kiedy padnie ostatni obelisk, Katiz i ja udamy się ku wydmom nad Doliną Władców. Znajdzie się tam miejsce na statku dla ciebie i twojego służącego.

Przyjąłbym jej zaproszenie, ale narastało we mnie przekonanie, że wilczy bóg miał rację i to nie było moje miejsce. Czy po tym, co powiedziałem Jhinowi, mogłem dalej stać bezczynnie i patrzeć, jak imperium gniecie Nayen pod butem?

– Znajdę cię – obiecałem, a dziewczyna ruszyła biegiem.

– Nie stój i nie gap się! Sieneńczycy palą moje miasto! – rzuciła z gniewem Shazir. Ukłękła obok skrzyni i próbowała ją podnieść.

– Upuść którąś z nich, a już nigdy nie będziesz musiała przejmować się imperium – powiedziałem. – Potrzeba nam więcej bandolierów.

Zacząłem się za nimi rozglądać, a w międzyczasie Shazir rozładowywała skrzynię. Każdy granat wydawał ciche stuknięcie, gdy stawiała go na glinianej podłodze. Kątem oka widziałem, jak wreszcie uniosła skrzynię i przechyliła ją to w jedną, to w drugą stronę. Kiwnęła z satysfakcją głową, gdy żaden z pozostałych granatów nie przemieścił się w słomie.

– Tracisz tylko czas, Poskramiaczu Ognia! – oznajmiła i ruszyła ku drzwiom.

Nagle owionął mnie żar, a w płuca wdarło się zimno. Ogłuszająca eksplozja wstrząsnęła światem i rozbiła drzwi na drzazgi. W jednej chwili uświadomiłem sobie, że leżę na podłodze, a nos mam pełen gipsu i dymu. Wokół mnie z cichym chrzęstem turlały się granaty, z których każdy w końcu znieruchomiał.

Skrzynie popękały, ale żadna nie przewróciła się na ziemię. Pod sufitem kłębił się gryzący dym.

Podniosłem się z trudem, zakrywając usta i nos rękawem. Macając po ścianie, chciałem dotrzeć do głównej izby zbrojowni.

Dłoń Żar stał tam nad poczeriałym trupem.

– Nie powinienem być zaskoczony tym, że wróciłeś. – Przystąpił nad ciałem Shazir. Z jego dłoni zwisał syczący magiczny bicz. – Głupota, odwaga i żądza zemsty to często spotykane cechy wśród przybłęd ze wschodu. A wydawałeś się człowiekiem tak dystyngowanym! Tak racjonalnym! Tak sieneńskim w sposobie myślenia!

Na stojaku obok mnie wisiały miecze. Zdołałem złapać jeden z nich, gdy Żar zamachnął się biczem, syczącą zmiłą oślepiającego światła. Odskoczyłem w bok. Drewno stojaka eksplodowało, a ostrza z brzękiem posypały się na podłogę. Ostrożnie wyminąłem przewrócone miecze i stos pogruchotanego drewna i gipsu. Przez wyrwę w ścianie widziałem gwiazdy i pomarańczową łunę nad miastem. Żar zamachnął się ponownie i bicz strzelił między mną a popękany murem.

– Nie powinienes być w mieście? – spytałem. – Od lat marzyłeś o tej bitwie.

– Stoczyłem ich wystarczająco wiele. To Alabaster potrzebował okazji, żeby się wyróżnić. Bez przynajmniej jednego zwycięstwa nikt go nie potraktuje poważnie w stolicy.

– Nigdy nie wydawaliście się nastawieni do siebie przyjaźnie. – Zrobiłem krok w jego kierunku.

– To tylko gra – odparł. – Nie ty jeden znasz się na oszukiwaniu.

Zamachnął się, żeby chlasnąć mnie biczem po nogach. Gdyby chciał, mógłby posłać błyskawicę prosto we mnie, ale zamiast tego wolał się pobawić.

– Wiedziałeś może, że przez cały ten czas, kiedy wydawało ci się, że pracujesz jako minister handlu, Alabaster przechwytywał każdą twoją decyzję? Pozwalał, żeby niektóre twoje pomysły przechodziły, bo chciał podtrzymać iluzję, ale to on wykonał większość prawdziwej roboty, na ogół w nocy, żebyś nie zauważył. Od samego początku byłeś naszą marionetką, przybłędo ze wschodu.

Oczekałem, aż Żar zamachnie się ponownie, a wtedy cofnąłem się ku pękniętej ścianie. Za jego plecami płomienie lizały już sufit i sunęły w stronę strzaskanych drzwi i stojących za nimi skrzyń. Nie mogłem się teraz przemienić! Musiałem najpierw odwrócić jego uwagę.

– Mam dość tej żalostnej obławy na ciebie – rzekł Żar, gdy znów się cofnąłem. – Jak na przybłędę ze wschodu, brakuje ci waleczności. Być może twoja sieneńska...



Opuściłem miecz. Świat wyostrzył się, gdy pchnąłem płomień prosto w twarz mojego przeciwnika. Żar zasłonił się aurą chłodu. Płomienie wyminęły go i przeistoczyły się w nicość na skraju czarodziejskiej tarczy.

Uśmiechnął się szeroko, gdy przygasł ostatni język mojego ognia.

– Magia osłaniająca, której mogłem cię nauczyć, gdybyś...

Gdy Dłoń Żar klęczał za tarczą, zrobiłem dwa kroki w prawo, w stronę wejścia do pokoju pełnego granatów. Przywołałem wiatr i pchnąłem go do środka, a potem rzuciłem mój trzeci czar. Zebrałem moc i zmieniłem postać, nie czekając, aż usłyszę szczęk spadających granatów.

Żar obrócił się ku drzwiom, a ja rozłożyłem skrzydła, by pochwycić w nie falę wybuchu. Ta

wyrzuciła mnie przez dziurę w ścianie prosto w przesyczone dymem niebo An-Zabat.

Usłyszałem za sobą ostrzegawcze okrzyki, a potem arsenał eksplodował, rozrzucając naokoło strzępy płonącego drewna i połamanej broni. Buchnęła fala mocy, co pozwoliło mi zareagować z wyprzedzeniem. Zanurkowałem ostro i uniknąłem błyskawicy, która wystrzeliła z ruin i przecięła niebo. Była tak jasna, że przyćmiła księżyc i gwiazdy.

Dłoń Żar stał wśród popiołów arsenału. Miał złamaną szczękę, nadpaloną twarz i bezwładne, poczerniałe ramię. Wlał swoją furię w kolejny atak, ale byłem już daleko i jego moc rozlała się niegroźnie po niebie.

Chwilę później ujrzałem błysk światła u stóp najbliższego obelisku. Huk granatów chemicznych wdarł mi się w uszy, w których nadal dzwoniło, a potem rozległ się zgrzyt kamienia trącego o kamień i jęk dartego metalu. Obelisk przechylił się na bok, sypiąc odłamkami. Czerwony proporzec z cesarskim tetragramem załopotał, gdy ogromny głaz wreszcie runął.

Potem zobaczyłem kolejny błysk i znów rozległ się huk pioruna, a po nim grzmot osypujących się kamieni. Później usłyszałem jeszcze jeden i starożytna, wszechpotężna moc wokół An-Zabat zaczęła przygasać.

Opuściłem miasto i sunąłem na prądach powietrznych ku Dolinie Władców. Padł następny obelisk, a Żar ciskał gniewem w zasnuwane dymami niebo.



Podążałem za śladami pozostawianymi przez magię Katiza i wreszcie wylądowałem na dziobie jego wiatrowca. Gdy wróciłem do ludzkiej postaci, Atar rzuciła mi się w ramiona i zasypała mnie pocałunkami. Trzymałem ją mocno przy sobie i wtulałem twarz w jej włosy, próbując znaleźć odpowiednie słowa na ich zapach, bym później mógł go przywołać choćby w wierszu.

– Myślałam, że zginąłeś! – wykrzyknęła.

– Dłoń Żar zabił Shazir! – powiedziałem.

– Jej śmierć to *naphnet* – odparła po chwili. – Zarówno jej, jak i wielu innych.

Wskazała gestem miasto. Z pożarów, które pochłaniały An-Zabat i nadawały kłębowi gryzącego dymu pomarańczowy poblask, nie wyłaniały się już żadne obeliski.

– Będą się zastanawiać, dlaczego zniszczyliśmy obeliski przed ucieczką – mówiła Atar, z naturalną gracją idąc w stronę dziobu wiatrowca.

Choć dopiero co zakończyła się bitwa, dziewczyna wciąż wydawała mi się tak piękna, iż nie marzyłem o niczym innym jak tylko o tym, by zanieść ją do kabiny i zacząć budować z nią życie. Wtedy mój wzrok padł na Jhina, który stał przy relingu i wpatrywał się w miasto.

– Poczułam magię Dłoni i usłyszałam eksplozję, gdy opuszczałam cytadelę – powiedziała Atar. Spojrzała mi w oczy i wzięła mnie za rękę, splatając swoje palce z moimi niczym ogień tańczący z jedwabiem. – Sprowadziłam tu twojego służącego. Wypełniłam obietnicę. Znalazło się miejsce zarówno dla niego, jak i dla ciebie.

– Atar...

Jak ja mogłem jej to wszystko wytłumaczyć? Ona jednak uśmiechnęła się tylko ze smutkiem i pochyliła, by pocałować mnie w czoło, a ja zrozumiałem, że nie ma potrzeby niczego tłumaczyć.

– Imperium posiadało moc kształtowania wiatru i choć urna Napheny wyschła, nadal będą próbowali pokonać Pustkowie – mówiła, muskając kciukiem linie na mojej prawej dłoni. Dotknęła zgrubień od trzymania pędzelka, potem czubków palców, a na końcu cieniutkich blizn po wiedźmich znakach. – Ich statki będą wolniejsze, bo muszą brać ze sobą odpowiednio dużo wody. Ale my możemy ją czerpać dzięki błogosławieństwu naszej bogini i zrobimy wszystko, żeby ich wędrówka nie przebiegała swobodnie. Jeśli zostaniesz, będziesz mógł nam pomóc w walce.

Spojrzałem na pustynię. Widziałem pomarańczowe wydmy, zdobione fioletowymi cieniami, falujące od horyzontu po horyzont. Inne wiatrowce, oddalające się w cztery strony świata, pozostawiały za sobą słupy roztańczonego piasku. Wśród moich myśli pojawiły się słowa Okary wypowiedziane w świecie snów.

Już wiedziałem, że nie istniała trzecia ścieżka przez świat. Wreszcie to zrozumiałem, choć ta wiedza powinna była do mnie dotrzeć jeszcze w Żelaznym Mieście, gdzie zmuszono mnie, bym walczył przeciwko ludowi mojej babci. Przeciwno moim rodakom. Służba imperium zawsze oznaczała stawianie czoła tym, którzy walczyli z cesarzem, i za każdym razem, gdy próbowałem myśleć inaczej, oszukiwałem sam siebie. Nie mogłem korzystać z owoców imperium, takich jak wykształcenie czy magia, i jednocześnie nie uczestniczyć w imperialnych podbojach. Mogłem tylko być narzędziem cesarza, z własnej woli bądź przez przypadek, chyba że poszedłbym w ślady babci. Chyba że sam chwyciłbym za broń.

Opór był jedyną ścieżką w stronę wolności.

Okara zaś zaproponował mi drogę ku mocy, o jakiej zawsze marzyłem, o ile zdecydowałbym się użyć jej przeciwko imperium. Kobieta Kości. Musiałem ją znaleźć i nauczyć się wszystkiego o magii. Musiałem zgromadzić moc, by walczyć o Nayen, który zdradzałem od tak dawna.

Niemniej oznaczało to porzucenie wszystkiego, co znalazłem w An-Zabat.

Odszukałem wzrokiem twarz Atar. Patrzyłem na krzywiznę jej policzków, na oczy lśniące szmaragdem, na kształtną szyję i zapamiętywałem to wszystko. Grawerowałem te obrazy w pamięci, tak jak kiedyś ryłem w niej doktryny i aforyzmy Sienu. Byłem gotów wyrzucić z głowy całą wiedzę, całą magię, wszystko, co dawało mi pociechę i bogactwo, by móc zapamiętać jej twarz.

– Moja bitwa nie odbędzie się tutaj – powiedziałem. – Moja babcia...

Atar przycisnęła czoło do mojego i westchnęła głęboko.

– Rozumiem – szepnęła.

Staliśmy razem, ramię przy ramieniu, trzymając się za ręce. Czulem napięcie w jej ciele, gdy patrzyliśmy, jak An-Zabat i życie, które w nim wiodła, znikają, by przerodzić się w odległą łunę na horyzoncie. Gdy nawet poświata przestała być widoczna, Atar nachyliła się do mojego ucha.

– Wiedz jedno, Poskramiaczu Ognia – powiedziała cicho. – Zawsze gdy będziesz tego potrzebował, znajdziesz miejsce wśród nas.

Zacisnęła mocniej dłoń na mojej, a potem ją rozluźniła. Odsunęła się ode mnie i odwróciła ku Katizowi.

– Wiatromistrzu! – zawołała. – Kurs na wschód!



Na skraju Pustkowie, gdzie z piasków wyrastały kolczaste krzaki, a z mgły na wschodnim horyzoncie wyłaniały się góry, wezwałem wiatr, który wypełnił moje skrzydła jastrzębia i poniósł mnie przez Sien oraz morze. Pożegnałem się ze wszystkimi Zabatańczykami i po raz ostatni podziękowałem Jhinowi, który jedynie skinął głową i powrócił do wpatrywania się posępnym wzrokiem w południe, ku Boskim Słupom i Toa Alon.

Wreszcie stanąłem przed Atar. Dotknęła mojego policzka i pochwyciła łzę, która się tam znalazła. Nie mogłem znieść wyrzutów sumienia, a serce znów podjęło wściekłą walkę z umysłem, ale nasz czas dobiegł końca. Była moją pierwszą miłością, zrodzoną ze wspólnych zmagania, ze wspólnej ciekawości, z rezonansu między dwoma sercami, splecionymi na krótką chwilę, nim struktura świata pchnęła je ku oddzielnym przyszłościom. Miłością, którą miałem zostawić za sobą, bo bóstwo z przeszłości wyznaczyło mi inne, ważniejsze zadanie.

– Bywaj, Poskramiaczu Ognia – powiedziała. – Nayen cię wzywa.



WIEDŹMA
Z DAWNYCH
CZASÓW

IV

Wracając do Nayenu, omijałem każdą, najmniejszą nawet osadę, a gdy nadchodziła noc, szukałem jakiejś polany czy porzuconej jaskini. Tam rozpraszałem magię, zwijałem się w kłębek i spałem przez kilka godzin bez snów, dręczony skurczami mięśni. Jadłem to, co ptaki drapieżne – wróble, króliki lub ryby – i zastanawiałem się, czy mógłbym długo tak żywić się jako zwierzę. Czy po powrocie do ludzkiej postaci zagrażały mi choroby oraz pasożyty, których nie bało się ciało ptaka? Wciąż zajmowałem tym myśli podczas dwutygodniowej wędrówki na wschód, nad sienieńskimi górami i dolinami rzek, by móc zapomnieć o poważniejszych problemach.

Czy moja babcia nadal żyła? Czy opowiedziała o mnie wujowi? Czy któreś z nich zechce mnie przyjąć po tym, co zrobiłem? Po Żelaznym Mieście?

Co pomyślałby Wilga na wieść o tym, że przystałem do jego morderców?

Zamartwianie się tymi sprawami do niczego mnie nie prowadziło. Moim podstawowym celem było teraz odnalezienie Kobiety Kości. Okara uważał, że wprowadzi mnie ona w tajniki magii spoza kanonu, magii większej od tej, którą władała moja babcia. Gdyby zaś okazało się, że ta kobieta nie istnieje lub nie zgodzi się mnie uczyć, postanowiłem, że dołączę do powstańców, o ile oni zechcą mnie przyjąć.

Gdy mknąłem nad falującym morzem, uważając, by nie natknąć się na cesarskie okręty wojenne, patrolujące cieśniny między Nayenem i kontynentem, zastanawiałem się nad tym, dlaczego bogowie się mną interesują. Być może byłem po prostu narzędziem, które wykradli imperium, a teraz chcieli wykorzystać do własnych celów. Albo wystarczała im wiedza, że można mnie wykorzystać. Babcia zasiała we mnie ziarno buntu już we wczesnym dzieciństwie. Atar je podlała, a Okara przybył, żeby zebrać plony.

Po dwóch dniach lotu dostrzegłem na horyzoncie znajome góry Nayenu. Bolało mnie całe ciało i miałem wielką ochotę wylądować na brzegu, znaleźć coś do jedzenia, rozproszyć czar i się przespać, ale nigdy dotąd nie spędziłem aż tyle czasu w obcym ciele. Nawet po jednym dniu skurcze i wyczerpanie były nie do zniesienia.

Wyteżyłem wszystkie siły i przemknąłem nad plażą, kierując się w głąb wyspy. Myślałem tylko o miejscu do wylądowania, jedynym bezpiecznym miejscu.

Zakończyłem lot w zarośniętym ogrodzie Świątyni Płomienia. Ołtarz był równie zimny jak w chwili, kiedy go zostawiłem. Moje pióra – które teraz stały się ubraniami – pokrywała warstewka morskiej soli. Ręce i nogi, a także pierś i plecy przeszywały mi gwałtowne skurcze, a do tego dosłownie padałem z nóg. Z największym trudem odepchnąłem znużenie, by móc otworzyć mosiężne drzwi i wyczarować płomień, który w jednej chwili rozpałił węgielki, jakby polano je naftą.

Potem zwinąłem się w kłębek i chłonąc ciepło, pomodliłem się o sen.



Obudziła mnie struga światła, która wdarła się przez dziurę w oknie. Nie miałem pojęcia, ile czasu upłynęło, poza tym, że czułem przemożne parcie na pęcherz oraz ogromny wprost głód. Wilczy bóg nie złożył mi wizyty. Nie miałem żadnych wskazówek oprócz tej, że mam się udać na północ. Na duchu podtrzymywała mnie tylko świadomość, że Okara nie wezwałby mnie z powrotem do Nayenu, gdyby nie miał wobec mnie planów i nie zamierzał mnie co do nich poinstruować.

Pierwszą z moich palących potrzeb można było łatwo zaspokoić, ale głód stanowił większe wyzwanie. Mogłem zmienić postać i zapolować – jak dotąd nie wystąpiły u mnie żadne złe konsekwencje ptasiej diety – ale byłem wciąż obolały po powrocie do ludzkiej postaci i nie chciałem

pogarszać swojego stanu.

Posiadłość mojego ojca znajdowała się ledwie parę minut drogi stąd, a ja wiedziałem, że jego spiżarnia będzie dobrze wyposażona, chyba że interes zaczął iść źle. Nie było to niemożliwe, skoro wypadłem z łask cesarza. Moi rodzice uniknęli represji za udział babci i wujka w nayeńskiej rebelii, ale byłem przekonany, że za moją zdradę przyjdzie im zapłacić. Wszak Wędrujący Wąskim Traktem napisał, że owoc, obojętne, kwaśny czy słodki, jest odzwierciedleniem gałęzi, która go zrodziła. Absurdalny pomysł, musiałem przyznać. W budowaniu mojej osobowości wzięli udział Koro Ha, babcia, Dłoń Przewodnik, Wilga oraz Atar. Matka i ojciec spłodzili mnie, to prawda, ale nie ukształtowali.

Zabrałem kilka książek pozostawionych przez babcię. Nie mogłem wziąć ich wszystkich, a więc wybrałem te, z których mogłem się nauczyć najwięcej o Nayenie, w tym mity i legendy o Królu Słońca i jego wojnie, jednoczącej skłócone prowincje w jeden naród. Byłem starszy, zdobyłem więcej doświadczenia i miałem inne nastawienie, dzięki czemu mogłem teraz inaczej spojrzeć na te opowieści, które i tak słabo pamiętałem. Liczyłem na to, że inaczej spojrzę także na ludzi, których uznałem za swoich rodaków.

Gdy wyszedłem ze Świątyni, zatrzymałem się przy posągu Okary. Wydawał się mniejszy niż kiedyś i bardziej zniszczony. Po jednej z jego nóg wspinało się pnącze, a grzbiet znaczyły ślady po ptasich odchodach. Ślepią posągu wpatrywały się we mnie z tą samą intensywnością, a pysk znaczyły blizny, które pamiętałem lepiej ze snów niż z dzieciństwa.

Przyglądając się bliznom Okary, przypominałem sobie o własnych. Odwinąłem pokryty krwią bandaż, którym zabezpieczyłem lewą rękę. Rana goiła się powoli, ale przynajmniej nie znalazłem śladu infekcji. Owinąłem dłoń paskiem oderwanym od rękawa i ruszyłem znaną sobie zarośniętą ścieżką.

Spotkanie z ojcem nie zapowiadało się na łatwe, zwłaszcza jeśli prześcignąłem wieści o wydarzeniach w An-Zabat. Zdawałem sobie sprawę, że będę musiał wytłumaczyć to, co tam zrobiłem i dlaczego. Przypuszczalnie czekało mnie wydziedziczenie, a jakakolwiek nadzieja na pogodzenie się zgaśnie, z chwilą gdy przystąpię do powstania.

A co z matką? Czuję obawę, że przeklnie mnie zapewne za to, że wybrałem tę samą ścieżkę co jej matka oraz brat, ale mimo to pamiętałem jej chłodną dłoń na moim rozpalonym gorączką czole, jej troskę i życzliwość. Nie była gruboskorną kobietą, a przynajmniej nie tak ją zapamiętałem.

Stadko wróbli z furkotem przeleciało nad murem ogrodowym, po którym tyle razy wspinałem się w dzieciństwie. Była późna wiosna, powietrze koilo chłodem, a tu i ówdzie unosiły się wąsy mgły. Czuję zapach zieleni i rosnących roślin, a moje serce przepełniła tęsknota za domem. Wyobraziłem sobie, jak ojciec zasiada w sali przyjęć i popija pierwszą tego dnia czarkę ciepłego wina ryżowego, czytając list od partnera w interesach z daleka. Być może matka siedziała gdzieś przy nim, nucąc, by sprawić mu przyjemność, co często robiła, gdy był w domu. W tej idyllicznej scenie pojawił się również Koro Ha, który czytał moje ostatnie wypracowanie, kręcąc przy tym głową i pisząc komentarze. Na stole stała herbata ze skórkami cytrusów oraz zupa z ostrych papryczek i świeżo złapanych ryb. Była tam też książka, którą musiałem przeczytać, było ciepłe łóżko i nie musiałem już walczyć w wojnach ani zastanawiać się nad motywacją bogów o zaciekłym wzroku.

Drżąc na całym ciele, nabrałem tchu, co sprowadziło mnie do rzeczywistości, w której byłem przecież uciekinierem i nie miałem co marzyć o powrocie do domu.

Zeskoczyłem z muru i syknąłem, gdy zaprotestowały sztywne kolana oraz biodra. Zanurkowałem w kępie wysokich, wonnych traw, rozglądając się, czy ktoś mnie przypadkiem nie zauważył. Dwie służące niosły wiadra w stronę strumienia na północnym krańcu ogrodu, a zarządca ruszył w kierunku samotnego pawilonu z księgą pod ręką, mamrocząc i kręcąc głową. Gdyby mój ojciec był w domu, z komina sali audiencyjnej buchałby dym, a wokół krzątałaby się służba, nosząc herbatę i drogie wina.

Przypuszczałem, że matka przebywa w swoich komnatach i czeka na wieczorny posiłek, który spożyje sama. Wedle zasad dobrego wychowania powinienem zagadnąć służącą i poprosić o audiencję, gdyż w przeciwnym razie nie miałbym prawa wstępu do jej pokoi. Jednak moja matka nie była wcale Sienenką i ja również nie. Dobrze poznałem zarówno babcię, jak i Atar, ale moją matkę zapamiętałem tylko jako osobę w szatach z jedwabiu, zdystansowaną i zatroskaną, jednak nieobecną w moim życiu, nie licząc jej zachowania podczas mojej choroby oraz naszej krótkiej rozmowy przed wyjazdem do An-

Zabat.

Drzwi do jej komnaty stały otworem. Matka była sama w domu, nie licząc służących, i nie musiała się od nich separować. Siedziała przy oknie w chłodnym świetle, przenikającym przez papierowe parawany. Służąca nalewała właśnie herbaty, podczas gdy matka przeglądała książkę z poezją. Jej włosy, tak czarne, że często zastanawiałem się, czym je farbuje, spływały dwoma strumieniami na ramiona, kręcąc się przy końcach. Skóra nabrała czerwonego odcienia, najbardziej widocznego na wysokich kościach policzkowych, ale wydawała się blada po tylu latach pod dachem.

Imbryk wyslizgnął się z palców służącej. Nie krzyknęła, ale jej usta drżały, gdy wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami. Złapała matkę za nadgarstek, a ta uniosła głowę i spojrzała w ślad za nią. Na mój widok poderwała się, ale na jej twarzy pojawiła się radość.

– Olcho! – Głos uwiązał jej w gardle.

– Matko! – powiedziałem. – Wróciłem do domu.

– Orchideo, przynieś jeszcze jeden imbryk – poleciła matka służącej. – I przekaz zarządczyni, żeby się nie przejmowała tym, który się stłukł. Powinam była was uprzedzić, że mój syn jest w drodze.

Dziewczyna posłusznie skierowała się w stronę kuchni. Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem i zapomniała się uklonić, ale szybko odzyskała panowanie nad sobą. Gdy znikła, matka podbiegła i objęła mnie mocno.

– Och, mój synu – zaszlochła. Jej ramiona były chude, ale ciepłe, a lzy zmoczyły kaftan, który miałem na sobie od opuszczenia An-Zabat, powalany teraz morską solą i ziemią, na której spałem od tygodni. – Byłam pewna, że już cię dopadli. Gdy tu przyszli... – Westchnęła i pokręciła głową, a potem wtuliła twarz w moje ramię. – Coś ty zrobił, Olcho?

Wiedziałem, co powiedzieć, żeby dowieść swojej niewinności, ale nie umiałem zebrać myśli, by zacząć mówić. Chciałem się rozplakać. Cierpienie matki również dopisałem do długiej listy przewinień imperium.

Służąca powróciła z imbrykiem zielonej herbaty pachnącej mchem. Matka wypuściła mnie z objęć i otarła oczy chusteczką.

– Postaw imbryk na stole – powiedziała i usiadła na krześle.

Ja zająłem miejsce naprzeciwko niej. Orchidea zerknęła to na mnie, to na nią.

– Wszystko w porządku, moja droga – dodała matka. – To tylko panicz Olcha przybył z wizytą, choć oczekiwałam go dopiero za kilka dni. – Nabrała tchu, by się uspokoić, i uśmiechnęła się. – Niezwykłe, jak szybko młodzi ludzie się zmieniają, prawda? No, biegnij już. Poczęstuj się imbirowym cukierkiem w kuchni.

Dziewczyna ukloniła się i opuściła pokój, choć nie miałem wątpliwości, że jej podejrzenia wcale nie przgasły.

Matka nalała herbaty. Spoglądała na filiżanki z fajansu i oddychała powoli, odzyskując panowanie nad sobą i zbierając myśli. Wytrzymałem ciszę przez moment, ale nie mogłem długo milczeć.

– Mam zamiar dołączyć do babci na północy – powiedziałem.

– Mów po nayeńsku – przerwała mi ostro matka, po czym postawiła przede mną filiżankę. – Oczywiście. Przecież nie masz już żadnych innych opcji, prawda? – Jej smutek powoli przechodził w gniew. – Sędzia przybył tu osobiście tydzień temu z zapieczętowanym listem od Głosu Złotej Zięby. Spaliłeś każdy most, który dla ciebie zbudowałam. Pogrzebałeś swój honor, wyrzekłeś się życia pełnego zaszczytów, a więc w istocie nie pozostało ci już nic poza śmiercią na polu bitwy.

– Matko...

– Kazałam ci mówić po nayeńsku! – warknęła. – Czyżbyś żył wśród służących tak długo, że stali się dla ciebie niewidzialni jak myszy czy karaluchy? Słuchają każdego naszego słowa i natychmiast wydadzą nas miejscowemu sędziemu, gdy wspomnimy choć mimochodem powstanie, Złamaną Kończynę czy Wrednego Lisa. Dziękuj mędrcom, że twój ojciec zatrudnił tych drogich służących z kontynentu. W przeciwnym razie nie mielibyśmy sposobu, żeby porozmawiać otwarcie.

– A więc dobrze. Będę mówił po nayeńsku. – Rozluźniłem pięści, a potem nabrałem tchu, choć wcale mnie to nie uspokoiło. – Matko, czy możemy porozmawiać o czymś innym?

– Nie mamy o czym mówić – odparła, popijając herbatę.

– Podążałem ścieżką wytyczoną mi przez ojca – rzekłem. – Ale teraz, gdy jestem już dorosłym człowiekiem, podejmuję własne decyzje. Imperium to okrutny system i sama o tym wiesz.

– Wybrałeś więc upór i agresję – powiedziała matka. – Tak jak twoja babcia i twój wuj. Głupim dziećmi.

– A ty poślubiłaś jednego z tych ludzi! – Byłem wstrząśnięty moimi własnymi słowami, ale nie umiałem ich już zatrzymać. Wylewały się ze mnie jak woda z pękniętej tamy. – Doprowadziłaś do tego, że stałaś się jego własnością i zamknął cię we własnym ogrodzie.

– Nie mów w ten sposób o ojcu ani o rzeczach, których nie rozumiesz!

– A ty będziesz się wypowiadać o moich wyborach, choć sama nigdy nie zostałam pchnięta na ścieżkę, która prowadziła do gniazda żmij?

– Pokochałam go, Olcho.

Patrzyłem w pusty kąt pokoju i próbowałem nie zgrzytać zębami.

– Pokochałaś go?

– Tak.

Przypomniała mi się Atar, jej determinacja oraz zaciekłość, a w moim sercu odezwała się głęboka, bolesna tęsknota. Potem pomyślałem o ojcu, prostym człowieku, który nazbyt kochał wino i nie przejmował się niczym poza srebrem. Moja matka naprawdę poświęciła własny lud dla kogoś takiego?

– A co takiego w nim pokochałaś?

Matka odstawiła filiżankę.

– Był przystojny i inteligentny – mówiła powoli. – Nigdy nie spotkałam mężczyzny tak błyskotliwego i dowcipnego. I choć nie nadawał się na poetę, prostota jego wypowiedzi trafiała wprost do serca. Obronił mnie, gdy do naszego miasta przybyli żołnierze szukający kobiet, a potem zrobił to ponownie, gdy rozpoczęła się oblawa na rodzinę Wrednego Lisa.

– Wyszłaś za niego dla własnego bezpieczeństwa. – Spojrzałem na nią, gotów rzucić jej wyzwanie, choć matka odwróciła głowę w stronę okna.

– Nie. Byłam już wówczas w ciąży. Twój ojciec mieszkał w Nayenie i robił tu interesy, na długo zanim imperium przysłało swoje armie. – Spojrzała na mnie ponownie, jej gniew ustąpił miejsca cichej frustracji. – Ale wiedziałam, że nadejdą. Twój ojciec nauczył mnie logogramów, a ja studiowałam mapy. Wiedziałam, że imperium rośnie bez ustanku i kiedyś nas pochłonie. Twoja babka i wuj marzyli, żeby się zemścić i przywrócić wielkość Tronowi Słońca. Bezsensowne mrzonki. Podbój był nieunikniony. Sam jednak miałeś stać się Sieneńczykiem dzięki krwi twojego ojca i otrzymać możliwie najlepszą edukację. Miałeś dostać wszystko, na co byłoby go stać. Uznałam więc, że nasza rodzina w ten sposób przetrwa, a nawet znajdzie dobrobyt w nowym świecie.

– Czyli poddałaś się jeszcze przed rozpoczęciem bitwy.

– Czy to babcia nauczyła cię myśleć w ten sposób? To dzięki niej widzisz wszystko jako bitwę? Świat się zmienia, Olcho, a my musimy się zmieniać razem z nim, żeby przetrwać.

– A kto pasował do ich świata lepiej ode mnie? – prawie wykrzyknąłem swoją ripostę. – Otrzymałem ich wykształcenie. Zdałem ich egzaminy. Walczyłem dla nich na północy i patrzyłem, jak najlepszy przyjaciel w moim życiu umiera w mękach!

Filiżanka w moich dłoniach pękła. Odstawiłem skorupę i przycisnąłem palec do skaleczenia na kciuku.

– Nie chciałem stać się ich wrogiem. Nie ja o tym zadecydowałem. Oni już wyciągnęli na mnie miecze!

Moje słowa zawisły w powietrzu. Matka popijała herbatę, a potem rozparła się na krześle i splótła palce.

– Twoja babcia również we wszystkim dopatrywała się prześladowania ze strony Sieneńczyków – rzekła.

– A ty jesteś na to ślepa! – Walnąłem pięścią o stół. Zacisnąłem zęby, gdy przeszył mnie ból, uderzyłem ranną dłonią. – Zapomniałaś już, co zrobiono twojemu ojcu?

Jej opanowanie zaczęło się kruszyć.

– A co to ma wspólnego z tobą? Nigdy nie powinnam była się zgodzić, żeby ona zaczęła cię uczyć. Mędracy, których poznałam, próbowali...

Jej wzrok nagle padł na moją dłoń. Krew sączyła się przez bandaż i skapywała na stół.

– To nic poważnego – rzekłem. – Gdy zrozumiałem, że imperium widzi we mnie jedynie narzędzie, wyciąłem tetragram ze swojej dłoni.

– Och, Olcho... Dlaczego? – Matka ujęła moją dłoń. – Przecież wszyscy jesteśmy narzędziami w rękach innych. Czasami nie mamy o tym pojęcia, ale dzieje się tak zawsze. Czytałeś przecież mędrców. Każdy z nas służy czemuś większemu.

Cofnąłem się, przepełniony nagle niechęcią. Moja matka była ślepa na okrucieństwo, nawet to, które wymierzono w jej własnego syna. Niespodziewanie przyszła mi do głowy okrutna myśl, którą wyrzuciłem z siebie bez wahania:

– Dlaczego mnie urodziłaś?

Zesztywniała, ale po chwili odzyskała panowanie nad sobą, a na jej oblicze powróciła matczyzna troska.

– A cóż to za pytanie? Ponieważ kochałam twojego ojca i chciałam mieć dziecko.

– Ale tylko jedno? A gdybym umarł? Przecież dzieciństwo to niebezpieczny czas, prawda? Większość sienieńskich żon rodzi swoim mężom dwóch lub nawet trzech synów, a do tego jeszcze gromadkę córek!

– Próbowaliśmy...

– Naprawdę? – Przeświadczenie o słuszności nadało moim słowom mocy, choć w sercu gęstniał smutek. – Mój ojciec mógł cię wyrzucić, gdy przyszli żołnierze. Byłoby to łatwiejsze, a na pewno bezpieczniejsze. Ty tymczasem dałaś mu syna, co poprawiło twoją sytuację i wyniosło cię w jego oczach!

– Precz od alkowy rodziców, niemądry chłopcze! – warknęła matka, ale ja nie przerywałem:

– Wszyscy jesteśmy narzędziami w rękach innych, czyż nie? Ojciec zrobił to, czego potrzebowałaś, a tym dałaś mu to, czego sam szukał. Ja zaś przydałem się wam w jeszcze inny sposób.

– Wynos się. – Jej głos był zimny, a oczy przypominały kręgi żelaza.

– Wyrzekniesz się swojego jedynego syna? – spytałem. – Choć w sumie klasyfikuję się już raczej jako problem. Nie na wiele mogę ci się przydać.

– Jak ona cię nazwała? Głupi Kundel, tak? – Matka poderwała się. Jej ręce drżały z gniewu, ale trzymała je przy sobie, panując również nad swoim głosem. – Należysz teraz do niej. Opuść posiadłość, zanim zostanie zmuszona posłać gońca po strażę sędzięgo.

Spojrzałem w jej zimne oczy, a wtedy cała furia i oburzenie opuściły mnie w jednej chwili. Poczułem w sobie pustkę. Nie tego pragnąłem.

– Matko – zacząłem po sienieńsku.

– Co, będziesz mnie dalej karcił? Będziesz mnie winił o to, że szukałam bezpieczeństwa? Że posłałam cię w drogę po pozłacanej ścieżce, jedynej bezpiecznej w tych trudnych czasach? Twoje oskarżenia to sztylety, które wnikają w moje serce, ale przywykłam już do ran. Idź. Tocz tę swoją głupią wojnę. Zostań narzędziem tej zasuszonej staruchy, którą przy życiu trzymają jedynie nienawiść i furia. Kiedy ktoś mnie spyta, gdzie jest mój syn i jak służy imperium, powiem, że nie żyje.

Przełknąłem żółć, a w głębi serca poczułem echo pierwotnego lęku dziecka, które nabiera przekonania, że matka je opuściła i nigdy już nie powróci. Z zaskoczeniem skonstatowałem, ile dla mnie znaczyła ta kobieta, której prawdy, nadzieje i lęki poznałem, dopiero gdy ją straciłem.

– Przykro mi, matko – powiedziałem. – Być może nie powinienem był do ciebie wracać.

– Nie – odparła stanowczo. Wpatrywała się we mnie przez długą chwilę, a potem opadła na krzesło, jakby moc jej furii nagle się wyczerpała. – Nie ma dla ciebie miejsca ani tu, ani nigdzie w imperium. Najlepiej byś zrobił, gdybyś uciekł daleko na zachód i nigdy nie wrócił. – Oparła się o stół i znów chwyciła moją lewą dłoń. – Ale cieszę się, że ujrzałam na powrót mojego syna, nawet jeśli to po raz ostatni. Moje serce będzie pękać z bólu każdego dnia na myśl o ścieżce, którą obrałeś, ale to dlatego, że cię kocham.

– Miłość matki nie powinna kojarzyć się z bólem.

Uśmiechnęła się, ale w jej oczach lśnił smutek.

– Tak zawsze było.

Nie umiałem w żaden sposób na to odpowiedzieć, ale nie było potrzeby. Siedzieliśmy w milczeniu, aż herbata wystygła, a popołudnie zamieniło się w wieczór. Orchidea powróciła, by powiadomić nas, że przygotowano kolację.

– Mam ją podać teraz czy później? – spytała.

– Teraz – odparła matka, a jej głos przerwał otaczający nas czar.

Gdy służąca odeszła, wstałem, uściśnąłem matkę po raz ostatni i odwróciłem się, by odejść.

– Olcho! – zawołała za mną, gdy znalazłem się na progu.

Spojrzałem za siebie i zobaczyłem, jak wyjmuję trzy srebrne taele ze szkatułki na stole. Wręczyła mi je, mówiąc:

– Znajdź doktora, który zajmie się tą ręką. To paskudna rana, a ty nie umiesz opatrzyć jej jak należy.

Obiecałem jej, że to zrobię, i wyslizgnąłem się z domu ojca. Przeskoczyłem przez mur, jak wiele razy w dzieciństwie. Nie udało mi się napełnić burczącego żołądka – choć narwałem morel z ulubionego drzewa ojca przy ścieżce – ale mimo to czułem satysfakcję. Odbylem rozmowę z matką i zrozumiałem ją, choć to zrozumienie przyniosło mi ból, którego sobie nie wyobrażałem.

Droga na północ

Księżyc jaśniał już w pełni, gdy dotarłem do Popielnej Polany, miasta znajdującego się najbliżej posiadłości ojca. Tego dnia urządzono jarmark i paru mieszczan rozmontowywało właśnie stragany. Zapytałem jakąś kobietę w średnim wieku, gdzie znajdę coś do jedzenia i nocleg.

– O noclegu nie ma mowy – odpowiedziała. – Ale może uda ci się znaleźć pustą ławkę czy kawałek podłogi w miejscowej gospodzie.

Dzięki jej wskazówkom dotarłem do szerokiego piętrowego budynku w centrum miasteczka, sąsiadującego ze stajnią. W oknach widziałem blask lamp, a ze środka płynęła muzyka grana na nayeńskich instrumentach – dwustrunowym banjo, flecie trzciniowym i bębnie ze skóry wołu.

Przez całą izbę gościnną ciągnął się stół, a na ławkach tłoczyli się rolnicy, kupcy i rzemieślnicy. Młoda kobieta powitała mnie uśmiechem, wytarła dłonie w fartuch i zaprowadziła mnie do miejsca na końcu stołu, gdzie miałem usiąść obok starego, ogorzałego rolnika i jego żony. Pokazałem jej jeden ze srebrnych taelów i dziewczyna otworzyła szeroko oczy. Przypuszczałem, że cała gospoda nie zarabiała tyle w ciągu miesiąca. Powiedziała pospiesznie, że w kuchni mogą zarząnąć dla mnie kurczaka, jeśli sobie tego życzę, ale odparłem, że nie ma takiej potrzeby. Zamówiłem miskę z najwyklejším jedzeniem na świecie.

Ciepło w pomieszczeniu i otwartość ludzi nijak się miały do życia, jakie znałem. Oczywiście niektórzy z obecnych mieli na sobie proste szaty, podczas gdy inni nosili jedwab bądź aksamit, byli tacy, którzy jedli ptasią pieczeń z bułeczkami, podczas gdy inni mieli jedynie miski ryżu i smażone warzywa ze skrawkami tłuszczu, ale stary rolnik wraz z żoną powitali mnie bez wahania, gdy zająłem miejsce obok nich, choć mój wygląd nie był zachęcający. Najbardziej zdumiało mnie jednak to, że mężczyźni i kobiety jedli razem. Widziałem podobne obrazki w An-Zabat, ale zrzuciłem to na karb odmienności kulturowej. Od dzieciństwa uczono mnie, że kobiety i mężczyźni jadają osobno, i zaskoczyło mnie to, że ledwie kilka godzin od posiadłości mojego ojca wszystko wygląda zupełnie inaczej.

Poczęstowałem gospodarza i jego żonę morelami, a ci wręczyli mi bułkę nadziewaną kapustą i wieprzowiną. Spytałi, skąd pochodzę, a ja w odpowiedzi rzuciłem kilka ogólników.

Stary gospodarz uniósł rękę, przerywając mi w pół zdania. Ani przez chwilę nie dał się zwieść historyjką, którą wymyśliłem, by wyjaśnić mój osobliwy, zużyty strój.

– Nie przejmuj się – powiedział. – Nie należę do tych, którzy wściubialiby nos w życie tych, których naznaczyła wiedźma.

Jakież było moje zdziwienie, gdy ujrzałem na jego dłoni blizny po nadaniu imienia.



Przed opuszczeniem Popielnej Polany kupiłem nieco mocnej roboczej odzieży, a mój kaftan przerobiłem na sakwę. Wiosna ustępowała już miejsca latu, a ja wędrowałem na północ od jednej gospody do drugiej, ciesząc się towarzystwem zwykłych Nayeńczyków. Czasami, podczas cichszych nocy, czytałem nayeńskie legendy i mity, które zabrałem ze Świątyni Płomienia.

Opowieści zainspirowały mnie do tego stopnia, że zacząłem układać własną historię, aby wujek i babcia zrozumieli krętą ścieżkę, którą obrało moje życie. Zacząłem od roku w An-Zabat, który opisałem jako pogoń za doświadczeniem, a w miarę trwania mojej podróży opowieść stawała się coraz dłuższa. Sięgnęła do dzieciństwa i dotarła przez Żelazne Miasto aż do chwili obecnej. Wkrótce miałem całą książkę, wypisaną na bambusowych deseczkach zbieranych na poboczu i wiązanych skrawkami płótna wydzieranymi z kaftana.

W każdej wiosce nadstawiałem ucha w nadziei, że dowiem się czegoś o powstaniu. Wiedziałem,

że nadal trwa, choć powstańcy podzielili się na dwie grupy. Jedna z nich, dowodzona przez Wściekłą Wilczycę, od dawna trwała w uśpieniu, ale druga, zwąca się Armią Lisa, wedle pogłosek rosła w siłę. Buntownicy gromadzili się wysoko w górach, w miejscu zwanym Twierdzą Szarego Mrozu, które nie istniało na mapach. Nazwa obudziła wspomnienia z dzieciństwa, a konkretnie: chwilę, gdy matka przepędzała swojego brata spod bram.

W pełni lata dotarłem do wsi, która zwała się Rzeczny Dąb. Było późne popołudnie, gdy znalazłem miejscową gospodę. Ku mojemu zaskoczeniu ujrzałem sienieńskich żołnierzy, którzy kręcili się przy stajni, pilnując koni swoich oficerów. W pierwszym odruchu chciałem iść dalej, do kolejnej wioski, ale potem zapytałem sam siebie, czy ci ludzie mogli rozpoznać we mnie zbiegłego Dłoń Olchę? Nie goliłem się od dwóch miesięcy i miałem na sobie chłopskie ubranie. Uznałem, że o wiele bardziej podejrzane byłoby, gdybym ruszył przed siebie, nie mając żadnej gwarancji, że znajdę schronienie przed zapadnięciem zmroku. Z szacunkiem pochyliłem głowę, na co któryś z żołnierzy burknął coś lekceważąco, po czym wniknąłem do izby dla gości.

W środku siedziało około dwóch tuzinów żołnierzy, którzy rozmawiali między sobą lub natrząsałi się ze śpiewaczek i służby. Ich nastawienie wydało mi się bardziej wrogie niż jowialne. Nie licząc grupki tutejszych dziewcząt, które śpiewały miejscowe piosenki, przygrywając sobie na fujarkach i bębnie, pozostałe kobiety w pomieszczeniu były służącymi. Zajmowały się noszeniem tac z jedzeniem lub napełnianiem czarek z herbatą czy winem, co w porównaniu z wcześniejszymi obserwacjami dotyczącymi roli kobiet wśród Nayeńczyków budziło we mnie niesmak. Nie mogłem sobie wyobrazić własnej babci – nie mówiąc już o Wścieklej Wilczycy czy Płonącym Psie – która godziłaby się na takie zniewolenie. Miałem wrażenie, że wszędzie tam, gdzie stawała sienieńska armia, docierała również sienieńska wizja roli kobiet, wprowadzana bez wątpienia mieczem. Nieliczni Nayeńczycy, którzy siedzieli przy drzwiach, pili jedynie herbatę i nie rozmawiali głośno.

Zatrzymałem się na progu, zaskoczony widokiem lekarza o krzywych nogach i brodzie splecionej w cienkie pasemka, który chodził między żołnierzami, oglądał ich odciski i mierzył puls. Doktor Sho wydawał się człowiekiem wyrwanym prosto z mojego dzieciństwa, nieskażonym upływem lat.

Usiadłem obok innych Nayeńczyków i przyglądałem się doktorowi przy pracy. Oglądał każdego pacjenta szybko, wręcz zdawkowo, ale stawiał diagnozę, wsuwał do kopert zioła wyjmowane ze sfatygowanej skrzynki, która postarzała się bardziej od niego, i wsuwał do kieszeni monety oferowane w ramach zapłaty. Wydawało mi się, że po zbadaniu ostatniego żołnierza usiądzie wraz z nimi – był jednak Sienieńczykiem jak i oni – ale doktor podniósł skrzynię i ruszył w stronę wolnego końca stołu. Jedna z kelnerek przyniosła mu ryż z wieprzowiną, a Sho pochłonął posiłek, nie unosząc głowy nad talerza.

Podszedłem, by usiąść naprzeciwko niego. Sho spojrzał na mnie z zimną wrogością, a potem raz jeszcze, tym razem z niepewnością.

– Czego chcesz? – spytał ostro.

Pokazałem mu lewą dłoń.

– Odniosłem ranę. Obiecałem matce, że poproszę doktora, żeby ją obejrzał.

Doktor Sho wsunął do ust kolejny kęs i żując, obejrzał dłoń.

– Będziesz musiał zapłacić.

W międzyczasie zdjąłem bandażę, a wtedy doktor otworzył szeroko oczy. W jego spojrzeniu błysnęła pewność.

– To ty! – sapnął. – Na tysiąc obsikanych mędrców, co ty tu robisz? I co ci się stało?

– Podróżuję – odparłem. – A ty? Jak to możliwe, że wciąż żyjesz?

– Jestem lekarzem – powiedział takim tonem, jakby inne wyjaśnienie nie było już potrzebne. –

Czy ty nie byłeś przypadkiem Dłonią cesarza? Och, nie udawaj, że usłyszałeś pochlebstwo! Doskonale pamiętam swoich najgłupszych pacjentów i szcycę się tym, że jestem na bieżąco z wydarzeniami w cesarstwie. – Spojrzał na moją ranną dłoń. – Choć przyznam szczerze, rzadko kiedy spotyka się kogoś tak głupiego jak ty.

– To długa historia – oznajmiłem. – Ważna w kontekście wydarzeń w imperium, ale nie sądzę,

żeby słyszało ją wielu ludzi w tej części świata.

– Zakładam, że niebezpiecznie będzie ją opowiadać w takim oto towarzystwie? – rzekł doktor i obrzucił ukradkowym spojrzeniem żołnierzy. – Dokąd zmierzasz?

– Na północ.

Doktor Sho pokiwał głową, maczając przy tym kosmyki brody w zupie.

– Czyli do powstańców?

– Może – odrzekłem i skinieniem wskazałem ranną rękę.

Doktor burknął coś pod nosem, ale przeniósł się na moją stronę stołu, by lepiej przyjrzeć się dłoni.

– Tak się składa, że ja również wybieram się na północ. Na ogół przeczekuję tajfuny w niewielkiej wiosce o nazwie Nora. Opatrzę twoją dłoń, a ty opowiesz mi po drodze całą historię.

Obłożył ranę kompresem, cuchnącym jak klatka po kurach, i obwiązał ją bandażem. Strupy natychmiast zaczęły swędzieć i piec. Chciałem się dowiedzieć, czego można było oczekiwać po tym lekarstwie, ale Sho zachichotał jedynie i dźgnął mnie palcem w żebra. Ponowiłem pytanie, ale wtedy doktor zamówił kolejną miskę ryżu.



Po drodze podzieliłem się swoją opowieścią z doktorem Sho. Jego nieskrywana niechęć do sieneńskich żołnierzy wraz z paroma dziwactwami sprawiły, że niespodziewanie zacząłem darzyć go zaufaniem, choć prawie wcale go nie znałem. Nie zadawał mi żadnych pytań i choć z początku chciał usłyszeć moją opowieść, nie był nią szczególnie zainteresowany i nawet nie mrugnął, słysząc opis śmierci Wilgi. Nie mogłem tego zrozumieć, bo dla mnie była to stara rana, która zawsze odzywała się bólem, gdy ją wspominałem. Zareagował, dopiero gdy doszedłem do ostatniej wizyty Okary we śnie i jego polecenia, żebym odszukał Kobiętę Kości. Parsknął wówczas śmiechem, który szybko stłumił.

– Słyszałeś o niej? – spytałem.

– Wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że lepiej z nią nie zadzierać – rzekł. – I z bogami również. Ale dla ciebie już chyba za późno, prawda?

– Skąd wiesz tyle o magii? Nigdy dotąd nie widziałem, żebyś po nią sięgał, a dłonie masz najwyraźniej wolne od znaków, choć wśród tych zmarszczek wszystko mogłoby się ukryć.

– Och, tak, kpij sobie ze starca. Znam wszystkie dolegliwości, jakie dręczą moich pacjentów, łącznie z magią. Nie jesteś jedynym Dłonią cesarza, którym się zajmowałem.

– A mimo to wolisz się trzymać z daleka od żołnierzy.

Doktor Sho wzruszył ramionami.

– Nie ustalaliśmy, że podzielimy się opowieściami, Głupi Kundlu. Ja wyleczyłem ci dłoń, a ty opowiedziałeś mi historię, która wraz z wieloma innymi będzie gromadzić kurz w zakamarkach mojej pamięci. Każdy z nas zrobił to, do czego się zobowiązał. Teraz jednak chciałbym usłyszeć inną rzecz. – Jego głos nagle spoważniał. – Dlaczego, na mroźne piekło, chcesz dołączyć do powstańców?

Wyprostowałem się.

– Imperium mnie zdradziło. Rozdarło rodzinę mojej matki, pogrzebało Sor Cala i zniszczyło An-Zabat.

– A także zapewniło ci życie w luksusie, o czym możesz zapomnieć wśród buntowników. Którzy, o ile dobrze pamiętam, zamordowali twojego najbliższego przyjaciela.

– To robota Wścieklej Wilczycy i jej córek – sprzeciwiłem się, niezadowolony z tego, że usłyszałem w jego głosie własne wątpliwości. – Moja babcia wraz z wujkiem nie mieli nic wspólnego z obłężeniem Żelaznego Miasta czy śmiercią Wilgi.

– Jestem lekarzem, a więc człowiekiem nawykłym do dawania rad, których nikt nie chce i na które nikt nie zwraca uwagi – powiedział. – Powinieneś poszukać własnej drogi przez życie, chłopcze. Rób to, co ja. Trzymaj się jak najdalej od tego zamieszania.

– Mam wrażenie, że to zamieszanie samo mnie znajdzie, nawet jeśli będę próbował uciec – stwierdziłem.

Doktor Sho burknął coś pod nosem, ale nie skomentował już mojej decyzji ani słowem.



Był to pierwszy słoneczny dzień od tygodnia, bo nad Nayenem przetaczały się już burze wczesnego lata, dzień ciepły i pozbawiony duchoty. Wśród gęstych, szerokich liści koron drzew nad naszymi głowami unosiły się rozśpiewane ptaki. Wkraczaliśmy w krainę wzgórz ciągnącą się na skraju górzyściej północy Nayenu, gdzie zginął Wilga, a ja miałem nadzieję odnaleźć Kobietę Kości.

Usłyszeliśmy turkot wozów i echo pokrzykiwań po sienieńsku, zbyt odległych, by je należycie zrozumieć, ale ostrzych i rozkazujących. Doktor Sho zszedł na pobocze i zdjął z pleców swoją skrzynię, co robił często, gdy mijał nas sienieński patrol. Im bliżej gór byliśmy, tym częściej miało to miejsce. Stałem obok niego i chcąc ukryć wnętrze lewej dłoni, przycisnąłem je do nogi. Wkrótce zza zakrętu wyłoniły się dwie dziesiątki żołnierzy. Kilku spośród nich, idących na tyle kolumny, wydawało się zgaszonych niczym skarcone dzieci. Poklepywali się po rękojeściach mieczy i krzywili, gdy łapali mnie na tym, jak się im przyglądam.

– Na co się gapisz? – warknął jeden z nich.

– Daj spokój, Rębacz – odezwał się jego towarzysz. – Kapitan wygarbuje nam skórę, jeśli zabijesz jeszcze paru miejscowych.

– Współczuję ostatniej wiosce, którą minęliśmy – rzekł doktor Sho, gdy patrol znalazł się poza zasięgiem słuchu. – Te łajdaki będą musiały się gdzieś zatrzymać, żeby przeczekać tajfuny, a pierwszy pojawi się lada dzień.

Spojrzałem na błękitne, bezchmurne niebo.

– Naprawdę?

– To cisza przed burzą – burknął doktor Sho. – Jak na wychowanka więdźmy, jesteś beznadziejny w przepowiadaniu pogody.

– Spędziłem większość życia pod dachem – powiedziałem i ruszyłem traktem w ślad za nim.

Za zakrętem ujrzelśmy krew na bruku, wyraźnie odcinającą się od zielonego mchu i szarego kamienia. Na boku drogi leżał pies. Bok jego głowy został zmasakrowany, a oko głęboko rozcięte.

– Łajdaki – syknął doktor Sho i splunął na ziemię. Przysunął dłoń pod nos zwierzęcia. – Oddycha, ale długo to nie potrwa. Szybko, pomóż mi! Nie chcesz chyba, żeby to nieszczęsne zwierzę zdechło?

Pies zaskomlał, gdy uniosłem jego głowę. Doktor Sho wytarł krew, co pozwoliło zobaczyć rany – długie, cienkie cięcia na pysku, które zgasiły prawe oko. Rozpoznałem te blizny, choć jak dotąd widziałem je tylko we śnie i na kamiennej rzeźbie, a nigdy na żywej istocie.

– Co, niedobrze ci się zrobiło? Takiś delikatny? – Sho przetrząsał szufladki swojej skrzyni. – Otwórz mu pysk.

Delikatnie rozchyliłem psie szczęki, a doktor Sho ułożył zwierzęciu kulkę ziół i łoju na języku, a potem masował mu gardło, aż pies przełknął lekarstwo. Kazał mi też przytrzymać zwierzę, podczas gdy on sam przystąpił do bandażowania ran.

– Jednooki dziki pies będzie miał ciężkie życie – powiedziałem, gdy doktor zakończył wiązanie bandażu.

Sho pogłodził zwierzę po karku.

– Zabierzemy go ze sobą. Podałem mu lek, który działa uspokajająco. Będziesz musiał go nieść.

Doktor Sho był człowiekiem nieprzystępnym i szorstkim, ale miał w sobie mnóstwo dobra, co zapewne zadecydowało u niego o wyborze zawodu. Ciekawe, że ci, których zadaniem było troszczenie się o innych – nauczyciele i lekarze – prowadzili wędrowny tryb życia, podróżując od pacjenta do pacjenta czy od ucznia do ucznia. Zastanawiałem się, co mówi to o samym imperium.

Czekaliśmy na drodze, aż pies zasnął. Okazał się cięższy, niż sądziłem, i wiedziałem, że spowolni nam wędrowkę, ale doktor Sho powiedział, że zbliżamy się już do Nory i dotrzemy tam przed zmierzchem.

Wczesnym popołudniem niebo zasnęły chmury. Wiatr przyniósł grzmot piorunów ze wschodu, a liście nad naszymi głowami ugięły się pod naporem deszczu. Wnet trakt stał się błotnisty, a wiatr

nieustępliwie szarpał nasze ubrania. W każdej kolejnej błyskawicy widziałem śmierć Wilgi.

Droga pięła się na szczyt wzgórza, a potem opadała w głąb doliny, gdzie odległe lampy migotały niczym klejnoty. Gdy znaleźliśmy się w cieniu gór, ciągnących się na wschodzie i północy, oraz wzgórz na południu i zachodzie, burza wydawała się tracić impet, choć wiedziałem, że dopiero nabiera mocy.

– Dobra kryjówka na czas sezonu tajfunów – krzyknąłem do doktora Sho. – Ale czemu nie spędzić tego czasu na południu?

– Och, przymknij się! – odkrzyknął.

Pies zaskomlał w moich ramionach, wystraszony piorunami i błyskawicami. Szepnąłem do niego pocieszająco i pogładziłem go po łbie.

Palisada otaczająca Norę oraz wznosząca się nad nią wieża strażnicza znów przypomniały mi Żelazne Miasto, tym bardziej że w ulewnym deszczu nie widziałem wiele więcej. Serce biło mi szybko, a głębokie oddechy wcale nie przynosiły pocieszenia. Pies zapewne wyczuł mój niepokój, bo wysunął język spomiędzy bandaży, by polizać mnie po dłoni.

– Wszystko w porządku – powiedziałem, jakbym chciał pocieszyć psa. – Już niebawem będziemy w bezpiecznym miejscu.

Wnet powitały nas okrzyki z wieży strażniczej – obrońcy wioski rozpoznali doktora, bo ornamenty na jego skrzyni były dobrze widoczne nawet pomimo mgły i deszczu. Brama otworzyła się, a jeden z wieśniaków zaprowadził nas do gospody, ciesząc się zapewne, że choć na chwilę może schronić się przed deszczem. Po drodze przekazał doktorowi wszystkie miejscowe plotki. Kilkoro dzieci i starców zapadło na letnią gorączkę, a cieśla spadł z dachu i złamał sobie nogę.

– Aha, a spotkaliście może oddział żołnierzy po drodze? – zapytał. – Co za banda! Połowa dziewcząt w gospodzie nie zbliży się do żadnego z nich z własnej woli i trudno im się dziwić. Dobrze, że sobie poszli przed rozpoczęciem burzy, bo utknęliby tu na resztę sezonu.

Zapewnił nas, że dla psa znajdzie się miejsce przy palenisku, a jeśli dojdzie do siebie i będzie chciał pracować, któryś z miejscowych weźmie go do siebie. Wieść sprawiła doktorowi sporą ulgę, ale ja nie miałem pewności, czy pies zostanie tu z własnej woli.

Gospoda w Norze liczyła sobie dwa piętra i była jak do tej pory największą, jaką widziałem. W izbie gościnnej stały cztery długie stoły, a w powietrzu unosił się zapach gotowanego mięsa, który wsiąkał w drewniane ściany. W kącie przygrywało kilku muzyków, ale gwar rozmów sprawiał, że słychać było jedynie najwyższe nuty wygrywane na flecie.

Doktor Sho i ja nie byliśmy jedynymi wędrowcami, którzy planowali przeczekać burze w Norze. Widziałem wędrownego kotlarza, który odłożył pracę nad garnkiem, by zjeść miskę potrawy. Obok siedział kupiec z kilkoma ochroniarzami, grający głośno w jakąś grę z grupą rolników, a dalej młoda kobieta w kowalskim stroju oraz – ku mojemu zdziwieniu – dwóch mężczyzn w sienneńskich mundurach. Podobnie jak wiele innych większych osad, Nora miała sędziego i garnizon, ale Sieneńczycy na ogół trzymali się z dala od miejscowych gospód. Tutaj przesiadywali wśród nayeńskich kobiet i nie dawali po sobie poznać, aby była to dla nich trudność.

Wspomniałem o tym Sho, gdy strząsaliśmy z siebie płaszcze i wieszaliśmy je obok wielu innych na kołkach.

– Miejscowy sędzia dokłada wszelkich starań, żeby Nayeńczycy żyli wedle swoich zwyczajów – odparł. – Urodził się tutaj i zapewne nawet przystąpił do tych samych egzaminów co ty.

Zaskoczyło mnie to. Zazwyczaj imperium wysyłało sędziów z rodzimych prowincji, kierując się zasadą, że brak związków urzędnika z ludźmi, którymi rządzi, redukuje okazje do korupcji czy faworyzowania miejscowych. Wiedziałem też, że sędzia wysłany na odległą placówkę chętniej trzyma się imperialnej doktryny i nie ulega miejscowym wpływom, co świetnie służy celom imperium. Ciekawiło mnie, który młody mężczyzna spośród naszej grupy kandydatów otrzymał tak niecodzienną posadę.

Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o tym wyjątkowym urzędniku, ale któraś z kelnerek zaprowadziła mnie do stołu po przeciwnej stronie sali, niedaleko muzyków. Nie dało się tam swobodnie rozmawiać, chyba że zaczęlibyśmy krzyczeć. Doktor Sho zresztą odstawił swoją skrzynię i przyłączył się do karciarzy. Kelnerka przyniosła jakąś starą derkę dla psa i ułożyła ją przy palenisku, za co

podziękowałem jej wylewnie, choć jej uprzejme skinienie sugerowało, że nie usłyszała ani słowa.

Nagle rozległ się głośny huk, a po nim zawył wiatr, co natychmiast przerwało rozmowy. Wszystkie kobiety jednocześnie zerwały się i pobięły ku schodom prowadzącym na piętro. W drzwiach stanął bowiem kapitan patrolu, który mineliśmy po drodze. Żołnierze wtargnęli do środka i wszyscy musieliśmy się przesunąć, żeby przybysze mogli zająć miejsce wokół paleniska. Grzmot piorunów i chlustanie ulewy skutecznie zniechęciły wszystkich Nayeńczyków do wyjścia. Zbili się w gromadę, zarówno miejscowi, jak i wędrowcy. Ja zaś nie chciałem zostawić psa, a już tym bardziej nie chciałem go przenosić. Doktor Sho opuścił karciarzy, którzy stracili zainteresowanie grą, i usiadł obok mnie.

– Rozgrzejcie się, ludzie – powiedział szorstko kapitan. – Powiadomię sędziego o naszym przybyciu. – Stanął przed jednym ze starszych Nayeńczyków, całkowicie ignorując kobietę, która przed jego przybyciem zarządzała kelnerkami w izbie gościnnej. – Przepraszam za kolejne najście. Moi ludzie potrzebują jedzenia i kilku butelek cienkiego wina. Gdy burza się skończy, ruszymy w dalszą drogę.

Człowiek, do którego się zwrócił – zwykły rolnik, w żaden sposób nieodpowiadający za izbę gościnną – pokiwał głową, choć widać było, że typowa dla Sieneńczyków manifestacja autorytetu nie zrobiła na nim wrażenia. Dowódca patrolu wyszedł z powrotem na deszcz, a trzaśnięciem drzwiami podkreślił tylko ciszę, jaka zapanowała w środku, teraz przerywaną jedynie zamieszaniem czynionym przez żołnierzy, którzy przeciągali ławy bliżej ognia i rozwieszali przemoczone peleryny. Jeden z nich, człowiek z krzywą gębą, którego widziałem po południu, zauważył psa, a potem doktora Sho i mnie. Uśmiechnął się drwiąco.

– Doktorze, my sobie tylko tak żartowaliśmy! – oznajmił. – Cóż za głupiec marnowałby leki na psa?

Roześmiał się i trącił łokciem kompana, który mu zawtórował, choć bez przekonania. Usiedli naprzeciwko nas. Doktor Sho spochmurniał, ale nic nie powiedział. Pierwszy z żołnierzy zachichotał.

– Co, humory wam nie dopisują? – spytał i zrzucił buty. – To może byś trochę popracował, co? Spójrz tylko na moje stopy! Obraz nędzy i rozpacz! – Pomachał palcami u nóg i znów parsknął śmiechem.

– Dziesięć miedziaków – odparł Sho.

– Co takiego? – Żołnierz przechylił głowę.

– Mam się zbliżyć do twoich cuchnących kulasów? Dziesięć miedziaków – powtórzył doktor.

– A teraz marzy mu się zapłata! – Żołnierz spojrzał na kompanów, którzy wydawali się równie rozdrażnieni jego słowami jak doktor Sho. – Leczy byle kundla za darmo, ale od dzielnego obrońcy imperium domaga się gotówki. – Pochylił się nad stołem i wycelował palcem w twarz doktora. – Dziwaczna lojalność, muszę przyznać. A może ten człowiek jest szpiegiem buntowników, co? Wiesz, co my robimy ze szpiegami? – Jego krzywy grymas nabrał zwierzęcych cech. – Pozadrościłbyś temu kundlowi!

– Z gęby ci śmierdzi, jakbyś popijał szczyny! – Doktor Sho odtrącił jego dłoń. – Na to też mam lek. Piętnaście miedziaków.

Twarc żołnierza poczerwieniała. Rozparł się na krześle i spojrzał na towarzyszy.

– Słyszeliście? Że mi niby z gęby śmierdzi? Ha! Dowcipniś z tego doktora. Ciekawe, czy nadal będzie się śmiał, gdy z nim skończymy.

– Dość już tego! – oznajmiłem, siłąc się na stanowczość, której nauczyłem się, dowodząc w Żelaznym Mieście.

Żołnierz szybko opanował zaskoczenie i przeniósł wzrok na mnie.

– A to kto? Twój ochroniarz? Ma ochotę zmierzyć się z całym oddziałem? – Zerknął z niepewnością na towarzyszy.

– Daj już spokój, Rębacz – mruknął jeden z nich.

– Pozwolicie, żeby ten łajdak obrażał cesarskie legiony? – Żołnierz udawał urażonego.

– Żaden z ciebie legion – powiedziałem, zmęczony jego głupotą. – Należysz do patrolu drogowego, a więc stoisz w hierarchii niżej od żołnierza garnizonu, bo ci dostają gorący posiłek co wieczór i śpią w suchych łóżkach. A teraz daj nam już spokój.

Twarc Rębacza, jeszcze przed chwilą czerwona, teraz stała się fioletowa. Zamachnął się, by mnie

uderzyć, a ja zasłoniłem się obiema rękami, co okazało się głupim błędem. Rębacz powstrzymał się bowiem od uderzenia i wybałuszył oczy, wpatrując się w moje dłonie.

– On ma wiedźmie znaki! – warknął zaskoczony. – I bliźnę na... Chłopaki, to wycięty tetragram Dłoni!

Niespodziewanie atmosfera w izbie znów uległa zmianie. Skrywane napięcie między Nayeńczykami i Sieneńczykami naraz przeobraziło się w naprężoną linię rozciągniętą między mną, doktorem i żołnierzami. Lina zaś pękła, w chwili gdy żołnierze sięgnęli po broń, a Rębacz złapał mnie za nadgarstek.

– Biegnijcie po kapitana! – wrzasnął ktoś.

Świat nagle się skurczył. Ta noc mogła się skończyć na tysiąc sposobów, ale przepędziłem je wszystkie, gdy w chwili ślepej paniki podjąłem fatalną, choć na pozór słuszną decyzję.

Wyczarowałem włócznie wiatru, którą pchnąłem prosto w oko Rębacza. Żołnierz padł na stół, a ja zerwałem się na równe nogi. Krzyki rozwścieczonych Sieneńczyków zlewały się z wołaniem przerażonych Nayeńczyków, ale ponad ten tumult wzbil się głos doktora Sho:

– Co ty, do kurwy, wyprawiasz?

Ja zaś parłem przed siebie i tańczyłem z wiatrem, tak jak kiedyś robiła to Shazir, zabijając w jej imieniu, w imieniu ludzi z An-Zabat, Nayenu i Toa Alon, których żywoty pękały w żelaznej garści imperium. Zabijałem w imieniu dziadka, który stracił życie, zanim go poznałem, i w imieniu babci oraz matki, które zostały zmuszone, by porzucić godność w imię bezpieczeństwa. Żołnierze w izbie gościnnej stali się symbolami imperium, a ja wreszcie mogłem się zemścić.

Smród krwi i nieczystości zlał się z aromatem potraw, tworząc obrzydliwą mieszankę. Dotarłem do drzwi, zostawiając za sobą kilkanaście trupów. Przed sobą nadal miałem ośmiu żołnierzy, z mieczami w garściach i przerażeniem na twarzach. Zatrzymałem się, zonglując ostrzami wiatru w dłoniach. Powoli uświadamiałem sobie, jakiej okropności się dopuściłem. Za moimi plecami Sho przypadał od jednego ciała do drugiego z rolką bandażu, szukając pulsu i przeklinając pod nosem.

Licząc z kapitanem i jego adiutantem, który udał się wraz z nim do sędziego, żołnierzy było dwudziestu czterech. Dwóch nadal brakowało.

Drzwi za mną otworzyły się na oścież i z deszczu wkroczyła do środka postać w szatach sędziego. Na policzkach widziałem znajome piegi.

Czysta Rzeka pobladł na widok rzezi, ale bez wahania stanął między mną a swoimi ludźmi. Kapitan chciał podążyć za nim, ale sędzia zatrzymał go gestem.

Przyglądaliśmy się sobie. Nasze losy przecięły się na moment w młodości, ale Czysta Rzeka zmienił się od tego czasu. Nie był już tym chudzielcem, który próbował mnie zaszantażować plotką. Jego twarz się zaokrągliła, przez co piegi wydawały się jeszcze wyraźniejsze. Nosił gęstą rudawą brodę, którą przystrzyżono starannie, by podkreśliła rysy twarzy. Miał na sobie jedwabie, podczas gdy ja nosiłem chłopski strój ubłocony na trakcie.

Czysta Rzeka powstrzymał się od drwin czy komentowania mojego upadku, ale ja czułem potrzebę usprawiedliwienia się przed nim, wytłumaczenia, w jaki sposób ten, kto pokonał go podczas egzaminów, stał się obdartym włóczęgą.

– Co ty wyprawiasz, Olcho? – spytał ostro Czysta Rzeka, który rozpoznał mnie bardziej po reputacji niż po wyglądzie. – Po co tu przybyłeś?

Kilku miejscowych przesunęło się ku drzwiom. Byli równie przerażeni jak Sieneńczycy, a ja uświadomiłem sobie, że musiałbym zabić wszystkich ludzi we wsi, by wieści o masakrze się nie rozniosły. Nie dawało to jednak żadnej gwarancji – wszak wnet trafiliby tu inni wędrowcy bądź patroli wojska w nadziei na ciepły posiłek przy ogniu, a wówczas wieści o moich wyczynach trafiłyby prosto do Głosu Żłotej Zięby.

Przez cały czas żyłem na krawędzi, a moje zadowolenie z siebie rosło, aż ześlizgnąłem się i spadłem.

– Nieźle się ustawiłeś – powiedziałem ze spokojem, choć mój umysł nadal gorączkowo poszukiwał sposobu na ucieczkę bez dalszego rozlewu krwi. – Kiedyś chętnie cię wypytam, jak ci się udało zdobyć posadę w Nayenie.

– Do tej rozmowy nigdy nie dojdzie – odparł Czysta Rzeka. – Jesteś mordercą i zdrajcą. Powinieneś być mnie posłuchać wiele lat temu. Opowieść o ambitnym kocie okazała się prorocstwem. Odkryli twój sekret, co zresztą przewidziałem.

– Wypuść mnie – powiedziałem. – Dość ludzi już tu zginęło.

Kapitan zeszytniał. Czysta Rzeka zatrzymał mnie, wyciągając dłoń.

– Wiem, że mógłbyś zabić każdego człowieka w tej wsi, zarówno Nayeńczyków, jak i Sieneńczyków, gdybyś tego zechciał – rzekł. – Ale chyba nie chcesz.

– Nie muszę – odparłem. – Wystarczy, że przebiję się ku wolności. Miejscowi nie będą mnie ścigać. Nie jestem ich wrogiem. Wypuść mnie, Czysta Rzeka, a nikomu nie odbiorę życia.

– Ośmielasz się grozić cesarskiemu sędziemu? – ryknął kapitan, choć drżące dłonie zdradzały jego strach. – Wasza Ekszelencjo, ten człowiek wyciął sobie cesarski tetragram! Spotka nas hańba, jeśli pozwolimy mu odejść!

Czysta Rzeka nabrał tchu, by się uspokoić. Wiatr i deszcz szarpały drzwiami za jego plecami. Przez tę krótką szaloną chwilę, gdy staliśmy w oczekiwaniu na przemoc, czułem przemożną zawiść. Zazdrościłem mu tego cichego życia i ciężkiej pracy, dzięki której miejscowi i przybysze mogli żyć obok siebie, rozumieć się nawzajem i widzieć w sobie ludzi, a nie wrogów. Gdyby całe imperium było rządzone przez ludzi takich jak Czysta Rzeka, niebawem bunt straciłby rację bytu. Nie trzeba by było niszczyć obelisków An-Zabat, a obiecujący młodzi ludzie nie umieraliby w cierpieniu pośród strug deszczu.

Gdyby Atar znała moje myśli, wzięłaby mnie za niemądrego optymistę.

Doktor Sho zaklął wściekle i podniósł się znad ostatniej ofiary.

– I co takiego zrobiłeś ze stanowiskiem, które mi skradłeś? – spytał Czysta Rzeka. – Zniszczyłeś obce miasto. Zwróciłeś gniew cesarza na własną ojczyznę. Sprowadziłeś agresję i przemoc w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą panował pokój. Nie zasługujesz na to, żeby puścić cię wolno, tak jak nie zasługiwałeś, żeby otrzymać tetragram.

– Zasłużyłem sobie na niego – powiedziałem. – I zapracowałem. Ale nie powinno mi być na nim zależeć. Żałuję też, że nie wysłuchałem twojego ostrzeżenia. Dobrze by było, gdybyś ty wysłuchał teraz mojego, jeśli chcesz, żeby nie doszło do dalszego rozlewu krwi.

Czysta Rzeka przyglądał mi się uważnie. W jego wzroku widziałem niedowierzanie i oburzenie, ale jednocześnie wyrachowanie. Zastanawiał się, co jeszcze może zrobić, by mnie zatrzymać i nie stracić przy tym życia. Gdy byliśmy młodzi, był gotów kłamać i układać intrygi, żeby zdobyć władzę. Za nic miał honor, gdy w grę wchodził pragmatyzm. Miałem nadzieję, że to akurat się u niego nie zmieniło.

– Nikt więcej nie musi już zginąć – powiedział stanowczo Czysta Rzeka i odsunął się, a potem dał znać żołnierzom, by zrobili to samo. – Idź więc, Olcho.

– A co z doktorem? – spytał oficer. – Przybyli razem.

– Doktor w niczym mi nie pomógł – odparłem. – Nie ma powodu, żeby go wyrzucać.

– Owszem, jest. – Sho zarzucił skrzynię na plecy i stanął u mojego boku, choć nie patrzył na mnie. – Przybyłem w twoim towarzystwie. Myślisz, że przyjaciele zabitych mi to wybaczą?

– Jeśli zostanie, zlincuje go tłum – rzekł Czysta Rzeka. – Niewykluczone, że i mnie zabiją, jeśli wcześniej sam nie skazę go na śmierć. Nie masz chyba na to ochoty, prawda? Doktor również musi opuścić miasteczko.

– Pozostało jeszcze jedno. – Podeszedłem do paleniska, gdzie leżał pies. Zwierzę nie spało, skamlało i drapało podłogę. Podniosłem go i ruszyłem ku ścianie, gdzie wisiały nasze peleryny, świadom tego, że żołnierze nadal trzymają dobyte ostrza. Czy wiedzieli, z jaką łatwością mogliby poderżnąć mi gardło? Byłem przekonany, że wciąż gorączkowo zastanawiali się, czy stał mogłaby skrzywdzić człowieka, który walczył za pomocą wiatru.

– A wszystko to przez psa – mruknął doktor Sho, gdy wyszliśmy w deszcz.

Kobieta Kości

Grzmot przetoczył się po niebie, a potem przecięły je błyskawice. Wzdrygnąłem się z lęku przed tym, że ktoś sięgnął po magię bitewną, ale na szczęście była to tylko burza. Pies wiercił się w moich ramionach. Wędrowaliśmy wspólnie od dwóch dni – mokry bandaż zsunął się z jego pyska jakiś czas temu, ale rany już nie krwawiły.

Nie zatrzymaliśmy się na odpoczynek od chwili opuszczenia Nory, a burza nie złagodniała ani na moment. Gałęzie drzew skrzypiały, wyginały się i pękały z trzaskiem pod naporem wiatru, wyjącego naokoło nas. Doktor Sho parł przez burzę przede mną, na skraju kolumny wiatrów, które wezwałem, żeby nas ochraniały. Utrzymywanie czaru było łatwiejsze od przywołania go, ale i tak kosztowało mnie to sporo sił, a widmowy chłód magii przeszywał mnie dreszczami. Struktura świata buntowała się przeciwko moim czarom i napierała na nie tak, jak ciało usiłuje wypchnąć cierń.

Przynajmniej nie musiałem się obawiać, że moje czary pozostawią po sobie wyczuwalny ślad. Jeśli ktoś z Dłoni wyczuł moją magię i miał ochotę wypuścić się za nami w tak straszliwą burzę, mogłem się tylko z tym pogodzić. Wiedziałem, że ruszą za mną tak czy owak. Nie mogli pozostać bierni wobec tego, co zrobiłem.

Wspomnienia zbryzganych krwią stołów i kończyn porzrzucanych jak łodygi bambusa pociętego kosą pojawiały się przed moimi oczami, gdy tylko zamknąłem powieki. Wystarczyło mrugnięcie, żebym wrócił do izby gościnnej.

Byłem tak młodym człowiekiem, a widziałem w życiu tyle agresji. Jakże łatwo było po nią sięgnąć, zupełnie jakby ludzki umysł reagował podświadomie. Mimo to przemoc nie rozwiązywała wielu problemów, a przynosiła tylko cierpienie.

Poślizgnąłem się. Pies sporo ważył, a więc błyskawicznie straciłem równowagę i przewróciłem się na ubłocony bruk. Straciłem koncentrację i mój czar się rozproszył, a wówczas wiatr uderzył w nas ze zdwojoną furją. Wyczerpanie, z którym zmagąłem się przez całą noc, a potem długi dzień, wniknęło głęboko w moje kości i czułem, że nie podniosę się już z tego błota.

Ciepły język dotknął mojego podbródka. Przewracając się, upuściłem psa, który przyczołgał się do mnie i odruchowo zaczął mnie lizać. Dźwignąłem się jakoś na równe nogi i obadałem żebra. Pies schronił się za mną.

– On może już chyba iść sam, co? – krzyknął doktor Sho. – Chyba nie ucierpiał aż tak bardzo. A co z tobą?

Pokiwałem głową, oddychając głęboko, by zwalczyć ból.

– Nie wiem, co wcześniej robiłeś, ale lepiej wróć do tego! – krzyknął starzec. – Wiatr szarpie za moją skrzynię, jakby to był żagiel!

– Musimy wydostać się poza zasięg burzy! – zawołałem, gdy odzyskałem dech. – Długo tego nie utrzymam!

– My już byliśmy poza jej zasięgiem! – odkrzyknął. W jego głosie pojawiła się wściekłość. – A teraz przez ciebie znów znaleźliśmy się na jej łasce. Jeśli rozłożymy namiot, może nas pochłonąć lawina błota, a dotarcie do najbliższej wioski zabierze nam w tym tempie przynajmniej jeden dzień! Odpoczywalibyśmy w ciepłe Nory, gdybyś nie... – Urwał, a na jego twarzy pojawiło się napięcie. Potrząsnął głową, a potem zakręcił dłonią. – Póki co to ty jesteś naszym schronieniem, chłopcze!

Sięgnięcie po magię było niczym wpakowanie dłoni w gęste, lepkie błoto, ale gdzieś tam kryła się umiejętność kształtowania wiatru. Sięgnąłem po nią i poczułem jej oddziaływanie – chłodny powiew, osobliwe doznanie pośród dusznej ulewy i wyjącego wichru. Działąłem powoli nie przez zmęczenie fizyczne, ale przez wyczerpanie umysłu oraz opór struktury świata.

Zacisnąłem powieki i odtworzyłem mój huragan, który zawirował i odepchnął napór tajfunu,

choć był wolniejszy i mniejszy niż wcześniej. Otoczyła nas cisza, jakbyśmy się znaleźli w oku cyklonu, choć nasza sfera ciągnęła się zaledwie na kilka kroków. Czar emanował jednak przeraźliwym zimnem, które wnikało w moje kości i przeszywało mnie nieustającymi dreszczami.

– Wyglądasz, jakbyś był chory – rzekł doktor Sho.

– I tak też się czuję – odparłem. – Nie wiem, czy uda mi się przywołać kolejny huragan.

– A więc postaraj się utrzymać ten – oświadczył mój towarzysz, poprawił paski na ramionach i ruszył naprzód.



Zapadły ciemności i choć letnia noc była ciepła, moje ciało nadal przeszywały dreszcze. Doktor Sho roztarł kilka ziół i ulepił z nich mokrą grudkę, którą przełknąłem, ale niewiele mi to pomogło. Burza nadal szalała wokół nas. Powstrzymałem napór wiatru, ale mogłem zrobić jedynie kilka kroków naprzód, po czym musiałem się zatrzymać, by nabrać tchu.

Pies gnał przed nami i bez lęku wnikał w burzę, po czym zawsze wracał ubłocony. Trącał moją dłoń poznaczonym bliznami pyskiem, jakby zachęcał mnie do zajęcia schronienia, które znajdowało się tuż za zakrętem.

– No dalej! – ponaglał mnie doktor Sho.

Położył mi dłoń na ramieniu, by pomóc mi zachować równowagę, po czym spojrzał na klif ciągnący się po lewej wzdłuż naszego szlaku. Były to skały zwieńczone ziemnym nawisem, który mógł się na nas lada chwila osunąć pod naporem wiatru i deszczu.

– Nie możemy się tu zatrzymać – powiedział. – Nie uda ci się zatrzymać jednocześnie tajfunu i lawiny. Musimy jak najszybciej się stąd wydostać.

Dzięki pomocy doktora zdołałem jeszcze wykonać kilka chwiejnych kroków w stronę zakrętu drogi, który oddalał nas od klifu. Powiedziałem sobie w myślach, że brakuje dosłownie kilku kroków, by móc usiąść w spokoju – na co miałem nadzieję – a może też się ogrzać.

Gdy dotarliśmy do zakrętu, pies szczeknął, a potem pomknął przed siebie i zniknął w zaroślach między dwoma sosnami, które kołysały się na wietrze, skrzypiąc głośno, jakby lada moment miały zwalić się na ziemię.

– Hej! – zawołał za nim doktor Sho, a potem zajrzał między mokre krzaki. – Co mu odbiło?

Pies wrócił po chwili. Stał między kołyszącymi się drzewami i znów szczeknął, po czym znikł w lesie.

– Nie ma tam nic oprócz ściany klifu! – oznajmił doktor Sho. – Założę się, że głupi kundel wywęszył jakąś padlinę na ścieżce jeleni.

Pies powrócił, łypnął złowrogo na doktora Sho, a potem na mnie, po czym tupnął parokrotnie przednią łapą, zaszczekał i odwrócił się w miejscu, lecz co rusz obracał łeb i oglądał się na nas.

– Głupi pies! – mruknął doktor Sho i machnął ręką, by go przywołać. – Chodźże tu, ty kundlu! Nie po to cię leczyłem, żebyś teraz miał wciągnąć nas w jakieś bagno!

Pies prychnął z urazą, a potem wbił we mnie długie spojrzenie pełne wyrzutu. Gdy spojrzałem w jego przecięte blizną, mleczone oko, nagle zakręciło mi się w głowie, zupełnie jak owej pierwszej nocy w Świątyni Płomienia, gdy stanąłem przed patrzącymi na mnie kamiennymi bogami.

Odsunąłem się od Sho.

– A ty dokąd? – zawołał za mną doktor.

Nie potrafiłem wytłumaczyć tego, co robię, bo głupio zabrzmiałyby zapewnienia, iż pokładam wiarę w tym psie, bo nosi te same blizny co bóg, który wezwał mnie na powrót do Nayenu.

– Najpierw mordujesz połowę patrolu, a potem wchodzisz w las w samym środku tajfunu! – krzyknął za mną Sho, ale wnet usłyszałem mlaskanie błota pod jego nogami. – Następnym razem dobrze się zastanowię, zanim wybiorę sobie towarzysza podróży.

Pies pędził przed nami. Gdyby nie czerwone pręgi przecinające jego pysk, nikt by się nie domyślił, że jeszcze kilka dni temu balansował na skraju śmierci. Błoto było śliskie, a teren się wznosił. Niebawem musieliśmy się czołgać, łapiąc się korzeni i łodyg. Pies zatrzymał się przed bazaltowym

klifem. Stał z wywalonym językiem i spoglądał na nas z oczekiwaniem.

– A nie mówiłem? – burknął Sho. – Wracajmy na drogę.

Pies znikł w tej samej chwili. Doktor wymruczał parę nieprzychylnych słów pod nosem, ale szliśmy dalej za zwierzęciem i wnet znaleźliśmy wąską szczelinę między dwoma sześciokątnymi kolumnami bazaltu. Jedna rosła prosto, a druga pod kątem, przez co spotykały się nieco nad moją głową. Nie widziałem żadnych śladów psa.

– To jaskinia, a nie gnijące truchło! – powiedziałem.

– Ale w środku z pewnością znajdziemy jakieś zdechłe zwierzę – oświadczył doktor. – A jak nie teraz, to później. Jaskinia w środku tajfunu! Pomysł równie głupi jak zamordowanie tuzina ludzi w jedynym mieście na przestrzeni wielu mil! Ta jaskinia to pułapka! Nie wyjdziemy stamtąd i utoniemy!

Jakby w odpowiedzi, ze środka dobiegło nas echo szczeknięcia.

– To schronienie – rzekłem. – I to nad ziemią. Woda nas nie dosięgnie, chyba że zaleje całą dolinę. Zajrzyjmy chociaż do środka.

– Skąd możesz wiedzieć, co tam znajdziesz! – powiedział Sho. – Może niedźwiedzia, a może coś jeszcze gorszego!

– Czy pies zaprowadziłby nas do jaskini niedźwiedzia?

– Mógłby nas zawieść w o wiele gorsze miejsce.

– Czego ty się boisz?

– Próbuję tylko logicznie myśleć!

– Ja jestem na to zbyt zmęczony – oświadczyłem i podążyłem za psem.

– Chłopcze! – zawołał doktor Sho, ale zignorowałem go.

Jaskinia była wąska, co spowolniało wędrówkę – trzeba było przywrzeć plecami do ściany i przesuwając się bokiem, ale przynajmniej zesliśmy z deszczu, co oznaczało, że mogłem rozproszyć magię. Doktor Sho jęknął i wcisnął się w szczelinę, gdy na zewnątrz na powrót rozszalał się wiatr.

– Mogłeś chociaż mnie ostrzec! – krzyknął.

Palce zimna, które zacisnęły się na moim ciele, wreszcie się rozluźniły. Poczułem ulgę, a potem znalazłem w sobie siłę, by wyczarować płomień. Uniosłem prawą dłoń i oświetliłem nam drogę.

– Chodźmy! – powiedziałem. – Tu jest sucho i mam wrażenie, że jaskinia za moment się rozszerzy.

– Dobra, dobra, jeśli dalej chcesz się nade mną znęcać – mruknął doktor. – Ale moich lekarstw nie zostawię.

Pchał i ciągnął swoją skrzynię, zdrapując z niej kilka zdobieć, ale udawało nam się zagłębiać coraz dalej. Na ścianach pojawiły się plamy czerwieni i brązu. Przysunąłem mój płomień bliżej i przekonałem się, że to drobne, niemalże abstrakcyjne figurki przedstawiające ludzi walczących z jakimś stworzeniem, które mogło być niedźwiedziem, przerośniętym wilkiem lub też groźną bestią z dawnych dziejów.

Jaskinia stała się dwakroć szersza, a potem poszerzyła się jeszcze bardziej. Zmieniły się też ściany – nie otaczał nas już bazalt, ale inne skały, starsze, znajdujące się w sercu góry. Wąska ścieżka wiła się przez las stalagmitów, a wokół nas tańczyły głębokie cienie.

– Uciekajmy stąd – odezwał się nagle doktor Sho. Mówił ledwie słyszalnym szeptem, który poniósł się wątląm echem po jaskini.

Już chciałem go zapytać, co go tak wystraszyło, gdy blask mojego ognia padł na psa, siedzącego u stóp jakiejś kobiety, wysokiej, ale zgarbionej. Jej oczy otaczała siateczka zmarszczek. Swoje długie białe włosy ozdobiła ptasimi czaszkami, a na ramiona narzuciła pelerynę utkaną z trawy, lśniąca w miejscach, gdzie wplotła w nią pióra wron i kruków.

– Czy któryś z was, głupców, wie może, kto was tu prowadzi? – spytała głosem równie głuchym jak otchłań jaskini.

– Pies – odpowiedziałem – naznaczony niczym wilczy bóg Okara.

– Ha! Tchórz, kłamca i podły łajdak z ciebie! – odparła kobieta. – Pies? Dobrze sobie. Nie drwij z niego, nazywając go psem! Nawet pomniki, które stawiali mu twoi głupi przodkowie, wydają się drwinąć! A przysługa, za którą mu dziękowali? Przecież to nic takiego?

Pies zamrugał na widok płomienia i prychnął.

Kobieta spojrzała na mojego towarzysza i obnażyła żółte zęby.

– Dawno cię nie widziałam, Sho.

Doktor skrzyżował ramiona na piersi i spojrzał na nią pochmurnym wzrokiem.

– Nawet się nie przywitasz? – spytała. – Cóż, prędzej czy później i tak się dowiem, jak się w to wplątałeś. – Skupiła uwagę na mnie. – A ty? Co ty właściwie wyrabiasz? Czemu szwendasz się po lesie i ciskasz magią naokoło jak kociak obsikujący drzewa w sezonie godowym?

– Powstrzymałem burzę – powiedziałem zaskoczony. – Okara kazał mi szukać Kobiety Kości.

Pokręciła głową, aż jej czaszki zaklekotały, a potem spojrzała ze złością na psa.

– Pakt już niczego nie oznacza?

Pies zaskomlał. Kobieta wywróciła oczami i wbiła wzrok we mnie.

– To mnie szukasz – powiedziała. – Zwracaj się do mnie... niech będzie Sycząca Kocica. Nosłam inne imiona, ale to idealnie pasuje do mojego nastroju.

Odwróciła się i weszła głębiej do jaskini, a ja zawahałem się, nie wiedząc, czy mam udać się za nią.

– Wciąż możemy zawrócić – mruknął Sho.

– Znasz ją? – szepnąłem. – Jeśli istnieją powody, żeby się bać, opowiedz mi o nich!

– Chłopcze, znalazłeś się w towarzystwie boga i wiemy z dawnych czasów. Wszystko jest teraz powodem, żeby się bać! Zwiewajmy stąd!

– Wolisz burzę od tej... Syczącej Kocicy?

– Nawet obdarcie ze skóry byłoby miłsze od jej towarzystwa.

– Dlaczego? – naciskałem. – Zawsze obwiniasz mnie o ignorancję, ale wcale nie dzielisz się wiedzą! Powiedz mi, dlaczego twoim zdaniem powinniśmy uciekać. Chcę też wiedzieć, skąd ona cię zna, a potem zastanowię się, co zrobić. Beze mnie i tak daleko nie odejdiesz.

Doktor Sho przestąpił z nogi na nogę i z irytacją pociągnął się za kosmyki brody.

– Jak sobie chcesz – oznajmiłem i podążyłem za Syczącą Kocicą.

Pies, o którym już myślałem tylko jako o Okarze, ruszył wraz ze mną. Chwilę później usłyszałem zrzędzenie doktora Sho, a potem od ścian jaskini odbiło się echo jego pospiesznych kroków. Robił wszystko, by za nami nadążyć. Sylwetka Syczącej Kocicy majaczyła już w mroku daleko przed nami. Nic nie oświetlało jej drogi, ale czy dla kobiety przyjaźniącej się z bogami mrok mógł stanowić jakąś przeszkodę?



– A więc podjąłeś decyzję – powiedziała.

– Nie zrezygnuję z takiej okazji. – Próbowałem zdusić w sobie lęk, który we mnie budziła. – Pragnę poznawać magię przez całe życie. Okara powiedział, że możesz mnie nauczyć i...

– Doprawdy? – Sycząca Kocica splótła ramiona na piersi i odwróciła się w naszą stronę. W drżącym świetle płomienia jej twarz wydawała się nieruchoma i popękana niczym gład. Okara schronił się za mną.

– Trochę już umiem – powiedziałem. – Byłem Dłonią cesarza, choć... – Pokazałem jej lewą rękę. – Choć wyciąłem z niej tetragram i wybrałem wolność. Gdy byłem dzieckiem i nie nosiłem jeszcze wiedźmich znaków, próbowałem zmienić postać. Poniosłem porażkę, ale mimo wszystko udało mi się

przywołać magię. Teraz zaś władam sienneńską magią nawet bez tetragramu, choć to surowa moc.

– Sien stał się imperium? – spytała. – Chyba zbyt długo tu siedzę. Z tego, co mi powiedziałaś, wynika, że jesteś człowiekiem wrażliwym, ciekawskim i lubisz ryzyko. Tylko pierwsza z tych cech to zaleta.

– Kiedyś lubiłem ryzyko znacznie bardziej.

Kobieta odrzuciła głowę do tyłu i ryknęła śmiechem tak głośnym, że stalaktytyomal nie popękały i nie pospadały nam na głowy.

– O, to dobre. Chyba będę musiała sobie to zapisać.

– Błagam, pomóż mi! – Nie mogłem pogodzić się z tym, że ta ścieżka również prowadzi do ślepego zaułka.

– A czemu niby miałabym zacząć cię uczyć?

– Bo jeśli ty się tego nie podejmiesz, sam zacznę zgłębiać sekrety magii. Pojęcia nie mam, ile szkód przy tym wyrządzą, ale... Ale ty chyba wiesz.

Staruszka zastanowiła się.

– Mam wrażenie, że to nie groźba, tylko dziecięce ostrzeżenie.

– Czy to oznacza, że będziesz mnie uczyć?

– Nie będę cię uczyć magii, dziecko. Pakt tego zabrania. – Ruszyła ścieżką przed siebie. – Ale czuję, że masz inne pytania, a ja muszę się czymś zająć do czasu, aż się rozpogodzi.

– Czym jest ten pakt? – zapytałem, zastanawiając się jednocześnie, na czym miałyby polegać jej lekcje, jeśli nie na nauce magii. – Okara również o nim mówił – ciągnąłem. – Mówił coś o tym, że więdźmy z dawnych czasów zawarły z bogami jakąś umowę, która ich ogranicza.

– Och, nas też ona wiąże, i to bardziej niż ich – powiedziała. – Tego chyba mogę cię nauczyć, ale jeszcze nie teraz. Lubię sobie usiąść, gdy muszę długo gadać.

Zagłębialiśmy się coraz bardziej w mrok jaskini. Sycząca Kocica prowadziła, ja szedłem za nią z Okarą przy nodze, a pochód zamykał mamroczący pod nosem doktor Sho. Malowidła na ścianach i stalagmitach stawały się coraz bardziej skomplikowane. Niektóre z nich przedstawiały sceny polowań, tak jak te przy wylocie jaskini, a inne tchnęły spokojem – pokazywały rodzinę zgromadzoną wokół ogniska czy stada rogatych zwierząt pasących się wśród drzew. Moją uwagę przyciągnęła siedząca postać, której głowę otaczał wachlarz wyrysowanych białą kredą symboli przypominających zaokrąglone błyskawice.

– Ty to namalowałaś? – spytałem kobietę.

Zerknęła gniewnie przez ramię, aż ptasie czaszki zagrzechotały.

– A ile twoim zdaniem ja mam lat?

Nie wiedziałem, co jej powiedzieć, ale kobieta zauważyła postać, która przykuła moją uwagę.

– To więdźma z naprawdę dawnych czasów – rzekła kwaśno. – Nie, te malunki znajdowały się już tutaj, gdy odkryłam to miejsce. Ci, którzy je stworzyli, umarli, na długo zanim przyszłam na świat.

– A co sprowadziło cię tutaj?

– Podróż o wiele dłuższa od twojej – odparła. – I na pewno nie opowiem ci jej, stojąc w samym środku jaskini, tym bardziej że siedzielibyśmy już przy ogniu, gdybyś nie zadawał tylu pytań.

– Ostrzegalem, że jestem ciekawski.

Weszliśmy do wielkiej pieczary. Sufit znajdował się tak wysoko, że blask mojego płomienia w ogóle do niego nie docierał, a gdyby nie echo i wyrastające z mroku stalaktyty, pomyślałbym, że idziemy pod nocnym niebem pełnym gwiazd.

W centrum pieczary wznosiła się kolumna w kształcie klepsydry, uformowana przez stalaktyt połączony ze stalagmitem. Jej powierzchnię pokrywały setki odcisków dłoni wszelkich kolorów i rozmiarów, zaczynających się przy podłożu i ciągnących daleko w mrok.

– Tak, tak, poruszający widok – mruknęła Sycząca Kocica. – Chodźcie. Mój dom jest niedaleko stąd.

– Skąd to się tu wzięło? – chciałem wiedzieć.

– Sho, da się coś zrobić, żeby on się zamknął? – spytała kobieta.

– Ignoruj go przez jakiś czas – polecił doktor. – Wówczas skupi się na przemyśleniach. To dobra

strategia.

– Przecież nie gadam aż tyle! – zaprotestowałem, a Okara zaskomlał. Uznałem, że okazuje w ten sposób solidarność ze mną, a nie popiera Syczącą Kocicę.

Las stalagmitów przerzedził się, a potem pojawiło się ciepłe światło, pochodzące, jak się wnet okazało, od tłącego się ogniska. Za nim stał skąpany w cieniach dom, wybudowany wedle dawnej nayeńskiej tradycji. Dach przykryto dachówkami podobnymi do tych, które kryły Świątynię Płomienia, a belki połączono za pomocą kołków i kleju, a nie gwoździ.

Obok ogniska leżała sterta czegoś, co w pierwszej chwili wziąłem za płaskie kamienie, ale gdy podeszliśmy bliżej, okazało się, że to kości. Patrzyłem na dziesiątki krowich łopatek, na których wyryto nieznane mi litery.

– Zanim zadasz jakiegokolwiek pytanie – szepnął doktor Sho – wiedz, że patrzysz właśnie na kości. A te czaszki to nowość. Nie tylko one zresztą.

– Do czego to wszystko służy?

– I znów pytania! – powiedziała Sycząca Kocica. – Nie chcę słyszeć ani słowa, dopóki czegoś nie zjem. Miałam już gotową zupę, gdy wtargnęliście do mojego domu, idioci jedni. Zupa jest co prawda cieniutka, ale naleję wam po kubku. To rosół!

Czaszki we włosach zagrzechotały, gdy odwróciła się i uśmiechnęła.

– Rosół z grzybów i kości!

Weszliśmy do środka. Wnętrze domu stanowił jeden pokój. W centrum stał żelazny kosz wypełniony wystygłymi węgielkami, a na ścianach wisiały dziesiątki łopatek z dziwnymi literkami. Znaczyły je długie, nieregularne pęknięcia. Nie dostrzegałem wśród nich żadnego porządku i nie miałem pojęcia, dlaczego wywiesiła akurat te, a nie inne, tym bardziej że niektóre nadawały się do wyrzucenia.

Zupa okazała się niewyszukana, ale treściwa i zaspokoila głód. Dręczące mnie pytania nagle stały się mniej istotne, gdy poczułem, że wreszcie mam pełny żołądek. Sycząca Kocica rozwinęła dla mnie słomianą matę i zachichotała, gdy wyciągnąłem się na niej, by zasnąć.

– Naprawdę chodziło ci o tego? – spytała, gdy Okara podszedł do mnie.

Pies szczeknął i ułożył się na moich plecach, na co Sycząca Kocica wzruszyła ramionami, a ja w ostatniej chwili świadomości przypomniałem sobie, że nie ostrzeżliśmy jej przed niebezpieczeństwem, które za nami nadciągało.



Mój umysł płynął przez poszarpany sen. Widziałem oceany ciskające wysokie, czarne fale, które zamieniały się w gorącą parę. Widziałem pękającą ziemię, zalewającą pierwotne lasy powodzią lawy. Widziałem ogromne postacie, które brnęły przez krainę zniszczenia, wycinając głębokie bruzdy w strukturze świata. Z ich głów były strumienie surowego światła.

Zbudził mnie suchy trzask pęknięcia i zapach przywodzący na myśl płonący kurz. W pobliżu chrapał Sho, który nawet we śnie trzymał dłoń na paskach skrzyni z lekarstwami. Podniosłem się, nie chcąc budząc Okarę, po czym wyszedłem z domu.

Sycząca Kocica kucała przy ogniu, wsuwając koniec długiej igły w żar. Drugą dłonią wzięła łopatkę ze stosu kości przy ogniu. Wyrysowane na niej runy przypominały sieneńskie logogramy, ale z niczym mi się nie kojarzyły. Przycisnęła rozgrzaną do białości igłę do środka łopatki. Buchnął gryzący dym, a potem kość pękła z głośnym trzaskiem. Sycząca Kocica przyjrzała się pęknięciu, mruknęła coś do siebie i cisnęła resztki w ciemność, gdzie z chrupotem odbiły się od jakiejś skały.

– Od dawna nie przebywam wśród ludzi – odezwała się, biorąc kolejną łopatkę – ale o ile pamięć mnie nie myli, gapienie się na innych uważane jest za grubiaństwo.

– Nie chciałem ci przeszkadzać – powiedziałem.

– A więc powinieneś dalej spać – odparła wiedźma. – Albo w ogóle tu nie wchodzić. A zanim zapytasz: próbuję zdecydować, co zrobić z tobą i z twoim... psem.

– Te kości przyniosą odpowiedź?

Staruszka pokiwała głową.

– Te runy są moim pytaniem, a pęknięcie jest odpowiedzią. Bywa, że odpowiedź to proste tak albo nie, jednak nie w tym przypadku. Czasem widzę odpowiedź i czuję ulgę. Czasem pojawia się żal, ale zawsze wiem, jaką decyzję podjąć.

– To wydaje się niepotrzebnie skomplikowane – stwierdziłem.

– Gdy świat był młody i ja także, więdźmy z naprawdę starych dziejów, które potrafiły wyczuć strukturę świata, ale nie rozumiały jej, sięgały po tę metodę, żeby odczytać jej wolę. Wierzyły, że należy dopasować działania do rezultatu wróżby, dzięki czemu unikną wielkich nieszczęść i będą dłużej żyć, co częściowo okazywało się prawdą. Dobrze jest wiedzieć, że wulkan wybuchnie, pojawi się plaga szarańczy czy rozpętają się pożary, ale nie zawsze uda się tego uniknąć. Taka wiedza to czasem bardziej przekleństwo niż błogosławieństwo.

– A mimo to nie zaniechałaś tradycji.

– Dokładasz wszelkich starań, żeby twoje pytania nie brzmiały jak pytania.

– Nie chcę cię przytłoczyć.

– Ale bez skrupułów wdarłaś się w moje życie, żeby domagać się wiedzy, której nie mogę ci dać.

– Bo pakt ci zabrania – stwierdziłem.

– Tak. – Przycisnęła igłę do kości. Obserwowała pęknięcia nieco dłużej niż poprzednio, a potem położyła łopatkę przy sobie i gestem zachęciła mnie, żebym usiadł. – Tą wiedzą mogę się podzielić, choć nie ma jej wiele.

Usiadłem naprzeciwko niej. Nie mogłem się oprzeć i spojrzałem na łopatkę, którą zachowała.

– Nie będę marnować ci czasu opowieściami o wojnie między bogami u zarania dziejów – rzekła.

– Wystarczy ci wiedzieć, że takowa wybuchła. Pokryła niebo błyskawicami, rozszarpała ziemię, podzieliła wody i wypełniła góry ogniem. W środku tego chaosu powstał rodzaj ludzki, bystrzejszy od zwierząt, zdolny odróżnić postęпки bogów od zachowań struktur natury i przerażony ich mocą. Wielu ludzi ze strachu błagało bogów o łaskę i przychylność, ale inni chowali w sobie gniew i szukali mocy, która mogłaby kształtować świat tak, jak czynili to bogowie. Nie musieli tej mocy szukać daleko, bo ludzkość przejęła boski pierwiastek. Mieli bowiem świadomość, a do tego możliwość rozważania opcji i dokonywania wyborów. Nie wszyscy z niej korzystali i prowadzili proste, niewyszukane życie, szukając przyjemności i unikając bólu, pod warunkiem, że nie wymagało to głębszego namysłu. Niemniej wśród tych, którzy korzystali z tych możliwości, narodziła się pierwsza wiedźma. Stało się to, gdy otworzyła oczy na świat i wyczuła jego strukturę, a potem zaczęła naginać ją wedle swojej woli równie łatwo, jakby zginała ramię. Nauczyła tej sztuki innych i wkrótce było ich tylu, że mogli rzucić wyzwanie bogom. Mogli zażądać, by ci przerwali swoją niekończącą się wojnę i położyli kres katastrofom, które siały zniszczenie. Oczywiście bogowie odmówili. Ich zdaniem byliśmy wszak prymitywnymi istotami. Czy ktoś zgodziłby się spełnić żądanie własnego psa?

Okara zaskamlała i Sycząca Kocica spojrzała na niego karcąco.

– Bogowie nie słuchali, a więc więdźmy z dawnych czasów wypowiedziały im bitwę, która zagroziła istnieniu całego świata. Gdy ten wydawał się tak kruchy, że dosłownie każde kolejne zakłęcie mogło go zniszczyć, bogowie i więdźmy spotkali się, żeby zawrzeć pokój i stworzyć pakt. Bogowie mieli zakończyć wojnę o dominację nad strukturą świata i już bezpośrednio nie ingerować w życie ludzi. W zamian za to więdźmy z dawnych czasów zgodziły się, żeby ich moc została zapieczętowana.

Wyciągnąłem prawą dłoń, by pokazać jej więdźmie znaki.

– A co z tym?

– To właśnie owa pieczęć – rzekła Sycząca Kocica. – Więdźmy z dawnych czasów nie chciały pozbyć się całej mocy. Bogowie zgodzili się, żeby wszyscy, którzy mają talent, mogli poddać się nauce, ale nikomu nie wolno było powierzyć pełnej mocy. Wybraliśmy więc ulubione moce i zaczęliśmy przekazywać je ludziom. – Wskazała igłą blizny. – To symbol paktu, który zawarłam z Okarą, Tollu i Ateri.

– Ale moja babcia władała mocą wykraczającą poza te ograniczenia. – Przypomniałem sobie chwilę, gdy przebudziłem się w jej ramionach po powrocie do ludzkiej postaci, obolały, ale żywy.

– Nie do końca – w mojej głowie poniosł się echem głos przypominający moje myśli, ale pochodzący z zewnątrz. Głos, który znałem z moich snów.

Okara leżał na progu domostwa Syczącej Kocicy i się nam przyglądał. Przecięte blizną oko migotało w blasku ognia.

– Ona odebrała ci magię, Głupi Kundlu – ciągnął głos. – Odbudowała strukturę świata do stanu sprzed momentu, gdy nagiąłeś ją do swojej woli. Pakt nie zabrania takich czynów, ale wysiłek o mało jej nie zabił.

– Ty możesz mówić? – zdziwiłem się.

Pies szczeknął.

– To bóg – wytknęła Sycząca Kocica. – Ale mówiąc, zbliża się niebezpiecznie do złamania zasad paktu, więc będzie się ograniczał. Jedno szczeknięcie za dużo, piesku, i... – Wycelowała w niego igłą i przeciągnęła ją po swoim gardle.

– Nie ja jeden naginam pakt – rzekł Okara. – Długo się ukrywałeś, Sycząca Kocico. Miałeś może przez ten czas oko na swoich rówieśników?

– A niby jak? – spytał doktor Sho, który wyszedł z chaty, pocierając szyję. – Siedzi w tej przeklętej jaskini od przynajmniej połowy tego tysiąclecia.

– Nigdy nie złamałam zasad paktu, a widziałam, jak wielu spośród moich uczniów ulega ambicjom i żądzy krwi – rzekła wiedźma. – Bogowie, zwierzęta, ludzkość... Nie, nikt nie potrafi długo pilnować pokoju. Zawsze gdzieś musi wybuchnąć wojna, a ja już mam tego dosyć. Ale wystarczy już o mnie. O czym gada ten pies?

– O cesarzu – mruknąłem. Ogrom jego mocy przyćmiewał nawet sny wilczych bogów.

– A co z nim? – Sycząca Kocica wzruszyła ramionami.

– On jest jednym z was – powiedziałem, choć wiedźma nie budziła we mnie nawet cząstki tej grozy, co władca imperium. – Tylko że został królem Sienu i zamienił swoje dominium w wielkie imperium, które podbiło zarówno tę wyspę, jak i wszystko, co leży na wschód od Pustkowiec Batir.

– Słyszałam o tym jego małym królestwie. Co z tego, że się rozrosło i pochłonęło sąsiadów? – Sycząca Kocica spojrzała gniewnie na Okarę. – Budowanie państw nie narusza zasad paktu.

– Ale on przekazuje moc Dłoniom i Głosom – rzekłem.

– Wedle paktu transmisja to magia przynależna Sienu – odparła Sycząca Kocica. – Jej celem jest komunikacja. A przynajmniej Doktryna, czyli wasz cesarz, wmówił to bogom Sienu.

– Ta magia w istocie idealnie nadaje się do rozległego królestwa – wtrącił się Okara. – Ale cesarz zaczął korzystać z niej w sposób, którego nie przewidzieliśmy.

– Jeśli złamał pakt, niech pozna waszą furię. – Sycząca Kocica machnęła lekceważąco ręką. – Co to ma wspólnego ze mną?

– Cesarz zakazuje miejscowych tradycji na podbitych ziemiach – stwierdził doktor Sho, rozsiadłszy się na stopniach domu wiedźmy. – Pomyśl tylko, Kocico. Dobrze wiesz, co sama zyskałaś dzięki paktowi. Zyskałaś bezpieczeństwo. Świat, który nie pękał w szwach. Czy zastanowiłaś się kiedyś choć przez chwilę, co bogowie mają z tego dla siebie?

– Przetrwali i tyle – rzekła wiedźma.

Doktor wpatrywał się w nią z obliczem ściągniętym frustracją. Wyczułem ukryte emocje w tej wymianie spojrzeń, co oznaczało, że oboje znają się nie od dziś, a ich znajomość nigdy nie przebiegała pokojowo. Czy doktor wiedział, że zastaniemy tu Syczącą Kocicę? Dlaczego chciał się trzymać od niej z daleka?

– Podczas gdy ty pilnowałaś swojego skrawka mocy, oni kontynuowali rywalizację – mówił dalej Sho.

Kim był ten dziwny drobny człowieczek i skąd miał tak wielką wiedzę o wydarzeniach z zamierzchłej przeszłości, które nigdy nie pojawiły się na kartach czytanych przeze mnie ksiąg? Mogłem go o to zapytać, ale wciąż złościł się na mnie za wydarzenia w Norze, a poza tym nie chciałem zmieniać tematu rozmowy. Po co mącić zastoje wody, skoro bez ogródek rozmawiali akurat o tym, czego przez całe życie chciałem się dowiedzieć?

– Pakt zakazuje prowadzenia otwartej wojny – mówił. – A więc zamiast rozciągać dominację nad strukturą, zaczęli ściągać ku sobie wyznawców i przenieśli własne wojny na pola bitew ludzkiej kultury.

– A więc bogowie Sienu przegrywają – powiedziałem. – W dzieciństwie znałem jedynie bogów

Nayenu. Ojciec nauczył mnie czcić cesarza i mędrców, a więc czarownika z dawnych czasów i jego sługusów.

Doktor Sho pokiwał głową.

– Tak, sieneńscy bogowie ponieśli klęskę. Mimo to granice Sienu bez przerwy się rozrastają.

– A szeregi Dłoni cesarza nieustannie rosną, a wraz z nimi kanon. – Zadumałem się. Wydawało mi się, że dostrzegam przebłyski wielkiej strategii cesarza, ale wciąż miałem wrażenie, że muszę lepiej zrozumieć zasady gry. – Gdy Doktryna zagarnia kolejne terytorium, kradnie magię. A przynajmniej tak twierdzi.

Nagle uświadomiłem sobie, że dzięki mocy transmisji cesarz może dodać każdą istniejącą moc do kanonu, co oznaczało, że może też nimi zawładnąć. Sam przecież należał do czarowników z dawnych czasów. Czemu więc tego nie robił? Czemu zadał sobie tyle trudu, by wykorzystać mnie do infiltracji wiatromistrzów, skoro mógł po prostu dać Dłoniom moc przyzywania wiatru? Ciekawiło mnie też, dlaczego przekazanie Dłoniom magii przeznaczonej dla Girzan czy mieszkańców Toa Alon nie było pogwałceniem paktu.

– On nie kradnie magii – rzekł Okara. – On kradnie pakt.

Potarłem przedramiona i pomyślałem o ukłuciu pozostawionym przez igłę Katiza.

– Pakt przekazuje władzę nad pewnymi aspektami struktury – opowiadała Sycząca Kocica. – Pakty zawarto za pomocą zaklęć starej magii, które utkano tak, żeby ograniczyć oddziaływanie wiedzy na strukturę. Dla przykładu – wskazała gestem Okarę – kiedy my zawarliśmy nasz pakt, zgodziłam się, żeby moi stronnicy zachowali jedynie umiejętność zmiany formy i tworzenia ognia. Stworzyłam więc zaklęcie oraz pieczęć i wycięłam je w ciele.

– A skoro narzuciłaś stronnikom ograniczenia, osłabiłaś ich. – Przypomniałem sobie umierającego w moich ramionach Wilgę i desperackie próby odnalezienia mocy potężniejszej od magii uzdrawiającej. Wiedziałem, że nigdy nie zapomnę nieprzeniknionego muru, który mnie zatrzymał. – Gdy Dłoń zostaje naznaczony paktem, a sięga po moc, Głos dowie się o tym. Wyczuwają każdą magię, którą posługuje się Dłoń, i dzięki temu mogą dodać ją do kanonu. Cesarz nie musi samodzielnie się jej uczyć i pogwałcać warunków paktu zawartego z sieneńskimi bogami.

Okara wstał. Jego sierść się zjeżyła.

– Czarownik czy wiedźma może nosić wiele znaków i wcale nie naruszać paktu. Sam o tym dobrze wiesz, Głupi Kundlu.

– Każdy rodzaj magii wchodzący w skład kanonu był dozwolony przez jakiś tam pakt – ciągnąłem. – Ale istniały one niezależnie od siebie. Tymczasem cesarz zbiera je jeden po drugim niczym elementy układanki, a do tego w każdej chwili może sięgnąć po moc transmisji i przekazać starą magię, dzięki czemu jego Dłonie staną się równie potężni jak wiedźmy z dawnych czasów.

Okara pomachał ogonem i szczeknął.

Sycząca Kocica końcem igły podrapała ziemię między swoimi stopami.

– To byłoby naruszenie paktu.

– Dlatego działa to w inny sposób. – Wyobraziłem sobie planszę do kamyków i powolny, nieustający napór na terytorium wroga celem ukrycia intencji.

Pies otrzepał się, przenosząc ciężar ciała z łapy na łapę. Z jego pyska dobywało się ciche skamlenie.

– Przykro mi – powiedziałem. – Nie rozumiem... Nie chodzi mu chyba o to, żeby na nowo rozpętać wojnę z bogami, co?

– Nie może mu chodzić o nic innego – rzekł Okara.

– Ale to oznaczałoby koniec świata!

– Nie jeśli uderzy szybko. – Sycząca Kocica dźgnęła igłą ogień. – Jeśli macie rację – jeśli! – cesarz zrobił tylko jedną jedyną naprawdę sprytną rzecz. Mianowicie znalazł sposób, żeby odtworzyć czarowników z dawnych czasów. Dzięki transmisji może zamienić dziesięć tysięcy zwykłych ludzi w armię czarowników dysponujących prastarą magią.

– Mówisz, jakbyś sobie tego życzyła – rzekł doktor Sho.

– Upływ czasu nie łagodzi starych urazów – odparła wiedźma. – Sam dobrze o tym wiesz.

– Ale jeśli mu się nie uda... – zacząłem.

– Cała ta rozmowa oparta jest na spekulacjach, i to jeszcze dostarczonych przez dziecko – burknęła Sycząca Kocica. – Och, nie obrażaj się. Żyję już bardzo, bardzo długo. Trzydzieści lat to naprawdę niewiele.

– Mam dwadzieścia trzy – mruknąłem.

– No to nie jesteś dzieckiem, tylko niemowlęciem! – prychnęła wiedźma. – Znam Doktrynę, twojego cesarza. Nie potrzebuję żadnych spekulacji. Nie postawiłby całego świata na szali dla drobnej zemsty. Okarę z pewnością boli utrata świątyni i wiedźm. Musisz wiedzieć, chłopcze, że twojemu bogu zależy wyłącznie na tym. To najstarsza ze wszystkich rywalizacji – współzawodnictwo między bogami.

Zastanowiłem się nad jej słowami i odniosłem wrażenie, że tonę w morzu nowych informacji. Nie umiałem pojąć ani bogów, ani wiedźm z dawnych czasów, ale istniało kilka pewników, których mogłem się uczyć.

– Nie jestem bogiem i nie interesuje mnie ich rywalizacja – odparłem. – Wiem tylko tyle, że widziałem dzieci polujące na szczury na ulicach An-Zabat. Wiem też, że to Zabatańczycy, a nie imperium, próbowali je nakarmić.

– Przemierzyłem całe to jego imperium i mogę powiedzieć tylko tyle, że chłopiec ma tu rację. Imperium to okrutny twór – wtrącił się doktor Sho. – Cechuje je osobliwe piękno, a jego kultury nie można nazwać pustą czy pozbawioną znaczenia, ale samo państwo jest skupione na sobie i obojętne na innych. Jest dokładnie takie, jaki kiedyś był Doktryna. Nie wiem, czy na pewno chce rzucić wyzwanie bogom, ale z pewnością planuje stworzyć świat wedle własnego pomysłu i rządzić nim po wsze czasy. I założę się, że nie jest to świat, w którym chcielibyście żyć.

Sycząca Kocica otworzyła usta, ale doktor Sho uciszył ją, unosząc rękę.

– Mogłabyś dalej mieszkać w tej jaskini i udawać, że nie obchodzi cię to, co znajduje się poza nią, ale kiedyś walczyłaś, żeby uchronić ludzkość przed kapryсами tych naprawdę potężnych. Czemu nie chcesz zrobić tego ponownie?

– A ja zawsze miałam cię za tchórza – mruknęła Sycząca Kocica.

– Och, nie mylisz się. Jestem tchórzem. – Doktor Sho pokiwał ciężko głową. – Ale jestem też lekarzem, a lekarstwo, które ci przepisuję, niekoniecznie przypadnie ci do gustu.

– To może ty zaczniesz mnie uczyć, skoro ona nie chce? – zapytałem.

Twarz Sho spoważniała.

– Wiem, że popełniłem błąd w Norze – ciągnąłem. – Ale...

– On nie może cię uczyć – przerwała mi Sycząca Kocica.

– Ze względu na pakt?

– Ze względu na to, że nie jestem czarownikiem – powiedział doktor Sho bez emocji. – Jestem lekarzem. Bardzo, bardzo dobrym lekarzem.

– To niemożliwe! – wybuchnąłem. – Żaden zwykły lekarz nie miałby możliwości zgromadzić takiej wiedzy!

– Jak już powiedziałem, jestem bardzo dobry w swoim fachu – powtórzył Sho i skupił uwagę na Syczącej Kocicy. – A moja przeszłość nie ma dla nas znaczenia. Liczy się jej decyzja.

Ogień strzelał, ale na szczęście pies się uciszył. Patrzyłem, jak Sycząca Kocica wpatruje się w płomień.

– Każdemu człowiekowi na świecie powinno pęknąć serce, gdy gdzieś zaczynają głodować dzieci – powiedziała wiedźma. – Ale bywa tak, że tego właśnie wymaga struktura.

Sięgnęła po kość, którą położyła obok siebie. Blask ognia odbijał się figlarnie od jasnej powierzchni, wypełniając cieniem pęknięcia i wygrawerowane runy.

– Nie udzieliłeś mi szczerzej odpowiedzi, gdy pytałam poprzednio – odezwała się w końcu. – Czemu chcesz się uczyć?

– Bo widziałem okrucieństwo imperium i chcę stawić mu czoła. – Pochyliłem się ku płomieniom. Pozwoliłem, by w moim sercu odżyła nadzieja.

Czaszki we włosach wiedźmy zagrzechotały.

– Nie. Szukasz magii od zawsze. Sam to powiedziałeś. Powiedz mi prawdę.

Zaschło mi w ustach. Poczułem się jak na cesarskich egzaminach, bo wystarczyła jedna odpowiedź na jej pytanie, by drzwi do lepszej przyszłości otworzyły się bądź zamknęły na zawsze.

– Babcia mnie naznaczyła – odparłem. – Czuję obowiązek, żeby...

– Nikt nie uczy się magii z obowiązku – parsknęła staruszka. – Masz jeszcze jedną szansę, chłopcze.

Prosiła mnie o prawdę. Czy to jej wystarczy?

– Gdy byłem dzieckiem, poczułem oddziaływanie magii babci – powiedziałem. – Było to prawdziwe przeżycie, istotne i namacalne, o wiele ważniejsze od jej lekcji i zajęć z moim nauczycielem. Przez całe życie zmagam się z ograniczeniami na ścieżkach, które zostały wybrane za mnie. Ja tymczasem chcę wytyczyć własną, z własnych powodów i w oparciu o moje własne rozumienie świata. A pierwszym prawdziwym krokiem jest poznanie magii, i to takiej, jaką była, gdy zetknąłem się z nią po raz pierwszy. Magii bez kanonu i bez paktów.

Sycząca Kocica przyglądała mi się przez dłuższą chwilę, a ja czułem, jak wzbierają we mnie mdłości. Byłem niemal pewien, że odmówi.

– Nie wolno uczyć magii spoza paktu – powiedziała. – Ale mogę ci pokazać strukturę. Mogę ci pokazać świat takim, jakim od dłuższego czasu chciałbyś go widzieć. A gdy go pojmiesz, mogę cię nauczyć tego, co zrobiła twoja babcia, żebyś znów odzyskał swoją postać. Pokażę ci, jak prawidłowo odtworzyć strukturę, żeby zniweczyć wpływ czarów twoich wrogów. Kto wie? Jeśli jesteś tak bystry, jak twierdzisz, może z moją niewielką pomocą sam zawładniesz starą magią.

Nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem.

Była gotowa podjąć się nauczania. Tutaj miałem uzyskać odpowiedzi na pytania, które prześladowały mnie od dzieciństwa. Poczułem falę ulgi, a potem gorące podekscytowanie.

– Jestem głodna – burknęła. – W domu mam wędzoną rybę. Możemy zacząć, gdy coś zjem.

Łopatka świsnęła, gdy wiedźma rzuciła nią przed siebie, i z trzaskiem odbiła się od czegoś w mroku.

Struktura świata

Nie, ty idioto! – warknęła Sycząca Kocica. – Nie próbuj jeszcze niczego robić! Skup się na tym, jak struktura ulega zmianie i przekształca się wokół płomienia!

Kłęczałem przy palenisku z oczami przewiązаныmi cuchnącą zgnilizną szmatą. Dłonie trzymałem na kolanach. Do jaskini wniknął pierwszy jesienny chłód, wywołując gęsią skórkę na moich ramionach i szyi. Skupiłem się na wrażeniu i analizowałem je do momentu, gdy podobnie jak ból kolan i zeszywniały kark, stało się częścią mnie.

Zimno – oraz gorąco omywające moją pierś i uda – było gdzieś na zewnątrz. Skupiałem się w pełni na wrażeniu, które było cieniem rzeczywistego świata rzuconym na ścianę mojej świadomości. Dreszcze, kurcze oraz ciężar, jakie odczuwałem wcześniej podczas rzucania czarów, również były cieniami. Pierwszym krokiem do zrozumienia struktury wedle słów Syczącej Kocicy było dostrzeżenie różnicy między rzeczą a cieniem, który również należało traktować jako własną rzeczywistość.

– Czujesz, jak płonie, choć nie powinno? – spytała. – Czujesz, że mamy ciepło, choć nie korzystamy z paliwa?

Jej głos wydawał się cichszy, jakby dobiegał z oddali. W wyobraźni widziałem kulę, twardą i gładką, jakby z jadeitu, a wokół niej obracały się miriady rzeczy w nieskończonym, oszałamiającym tańcu. Dotykałem ich za pomocą tego samego zmysłu, którym swego czasu obadałem ściany kanonu, i poczułem tę samą strukturę, którą poznałem jako dziecko, zanim otrzymałem wiedźmie naznaczenie.

Wyczułem obecność innej woli w strukturze. Przypominała mi żelazny pręt wystający z jakiegoś niewidocznego miejsca, poruszający się w przeciwnym kierunku niż ów taniec.

– Czuję to – powiedziałem.

– Dobrze – oznajmiła Sycząca Kocica, której głos również wydał mi się czymś obcym. – A teraz zgaś płomień.

Naparłem na ów pręt, ale był równie materialny i solidny jak ściany kanonu.

– Wypchnij go jak cierń – poleciła mi. – Wycuj świat takim, jakim chce być. Scal się ze strukturą.

Nabrałem głęboko tchu i otworzyłem szerzej swoją świadomość. „Połącz swoją wolę ze strukturą... Scal wolę ze światem takim, jakim kiedyś był i jakim nadal chce być”.

Istniały jednak rzeczy, których pragnąłem, a o których musiałem zapomnieć. Chciałem być na Pustkowiu Batir, na dziobie wiatrowca Katiza, walcząc z imperium u boku Atar. Chciałem się znaleźć w ogrodzie Głosu Złotej Zięby, by pić i grać w kamienie z jedynym przyjacielem z młodości. Mimo to widziałem tylko kruszące się obeliski i krew Wilgi na ziemi.

– Dość! – warknęła Sycząca Kocica.

Pręt zniknął, a wiedźma zerwała mi przepaskę z oczu.

– Do niczego się nie nadajesz, głupcze.

Otworzyłem usta, by się wytłumaczyć, ale Sycząca Kocica machnęła ręką, by mnie uciszyć.

– Mam już na dziś dosyć, ale ty będziesz ćwiczył dalej. Każdy nauczyciel, z którym do tej pory pracowałeś, przedstawił ci jedynie ograniczoną, wąską wizję tego, co możliwe. Musisz się nauczyć patrzeć dalej, bo nigdy nie zrozumiesz całości struktury. Wróć do początkowych ćwiczeń i pracuj, aż będziesz mógł wyczuć strukturę z otwartymi oczami i małpą wrzeszczącą ci do ucha. A ja zajmę się tym, co bym robiła, gdyby ten cholerny pies cię tu nie przywlókł.

Zauważyłem przynętę, ale i tak ją pochwyliłem.

– Czyli co?

– Spać – oznajmiła i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Zduśliłem frustrację, zacisnąłem powieki i spróbowałem otworzyć swoją świadomość,

powtarzając ćwiczenia z oddychania, które Sycząca Kocica przekazała mi na początku. Jako dwunastolatek zmieniłem postać instynktownie. Łatwo było wyobrazić sobie, że mogę zmienić siebie oraz cały świat myślą i siłą woli. Wiek i doświadczenie nauczyły mnie, że jest jednak inaczej, i ograniczyły mój umysł nieprzeniknionymi murami paktu i kanonu.

Po tylu latach wreszcie znalazłem kogoś, kto miał ochotę – i umiejętności! – by przekazać mi głębszą prawdę, która czaiła się na skraju mojego pojmowania i naigrywała się ze mnie. Być może kanon nie tylko ograniczał możliwość posługiwania się magią, ale przebudowywał również umysł, przez co pozostawałem ślepy i głuchy na tajemnice struktury. Bez względu na to, w jaki sposób Sycząca Kocica będzie chciała mi je teraz przekazać, być może nie będę w stanie ich pojąć. Była to przerażająca myśl, która wypełniła mój umysł gorącym i grzmotem piorunów, uniemożliwiając mi jakąkolwiek koncentrację.

Wstałem, masując obolałe kolana i zeszywniały kark, i ruszyłem ku wyjściu z jaskini. Gdy nie uczyłem się pod okiem wiedźmy i nie pracowałem nad opowieścią o moim życiu, którą zamierzałem przekazać wujowi, szkicowałem i katalogowałem jaskiniowe malowidła. Przyglądałem im się w blasku pochodni – bo Sycząca Kocica zabroniła mi wyczarowywać płomień, póki nie zgaszę jej własnego – i podziwiałem to, co przedstawiały. Widziałem ludzi z dawnych czasów, którzy mieszkali w tych jaskiniach tysiące lat temu i wiedli życie całkowicie inne od mojego, ale jednocześnie do niego równoległe.

W jaki sposób oni kształtowali strukturę? Który z ich wyborów wpłynął na nią tak bardzo, że powstał znany mi świat?

W wejściu do jaskini rozległy się kroki, a na kamiennej ścianie zamigotał blask innej pochodni, po czym zza zakrętu wyszedł doktor Sho. Jego sakwa była wypchana ziołami i innymi medykamentami, po które się wyprawił.

– Wygląda na to, że jeden z nas nie ma szczególnie wydajnego dnia – powiedział, widząc u mnie papier oraz węgiel do rysowania, które zabrałem z zaskakująco obfitego zapasu Syczącej Kocicy. – Ciągle nie udaje ci się zdmuchnąć świeczki, co?

– Mógłbym stworzyć płomień za pomocą starej magii, zmienić postać czy nawet sięgnąć po magię bitewną – odparłem – ale ona mi na to nie pozwala! Zmusza mnie, żebym próbował zablokować jej magię, ale nie chce mi powiedzieć, jak mam to zrobić. Ale przecież jest wiedźmą z dawnych czasów. Nikogo chyba nie dziwi to, że jej wola jest o wiele silniejsza od mojej.

– Bywały wśród wiedźm z dawnych czasów również i takie, które straciły wyczucie struktury – powiedział doktor Sho. – Prawie zniszczyły świat, próbując go uratować. Sycząca Kocica chce mieć pewność, że nie popełnisz tego samego błędu.

Spojrzałem na niego ze złością.

– Czy zwykły lekarz mógłby wiedzieć coś takiego? Nawet najlepszy? Kim ty jesteś? Powiesz mi wreszcie prawdę?

– A jestem ci to winien? – odciął się Sho. – Jak dotąd sam żyłeś wśród tajemnic, Olcho. Sam dobrze wiesz, że warto ich strzec.

– Myślisz, że nie możesz mi zaufać? – spytałem.

– Patrzyłem, jak zabijasz tuzin ludzi w Norze!

– Bałem się o życie! – odparłem. – Ale masz rację. Znam wartość tajemnicy, a ci ludzie rozgryźli jeden z moich sekretów.

– A w odpowiedzi ich pozabijałeś, dzięki czemu ujawniłeś ten sekret wielu innym ludziom, którzy nie mieli o nim pojęcia! – Sho odetchnął głęboko, ale gdy odezwał się ponownie, w jego głosie nie było już napięcia. – Być może kiedyś zasłużysz sobie na moje zaufanie. Póki co jesteś wciąż impulsywnym młodzieńcem, choć niebezpiecznie potężnym.

Najeżyłem się, słysząc zniewagę, ale byłem tak przybity, że nie chciałem się już bronić. Miał jednak rację, czyż nie? Dziesiątki porażek podczas pracy z Syczącą Kocicą tylko udowodniały, że brakuje mi kontroli.

– Żeby pomóc ci jakoś zapanować nad tą mocą, jestem skłonny nauczyć cię umiaru, dzięki któremu być może stanesz się bardziej godzien zaufania – ciągnął doktor Sho. Odstawił swoją sakwę

i usiadł obok mnie. – Powiedz mi, co ci nie wychodzi.

Prychnąłem i już miałem wygłosić sarkastyczną uwagę o tym, jak niby zwykły doktor miałby mi pomóc opanować magię, ale prawda wyglądała tak, że naprawdę potrzebowałem pomocy, a Sycząca Kocica mogła mnie uraczyć jedynie kolejną porcją surowej krytyki.

– Za każdym razem, gdy myślę, że już niewiele mi brakuje, zalewają mnie stare wspomnienia – wyznałem. – Raz za razem widzę śmierć Wilgi, jakby świat nigdy się nie męczył przypominaniem mi o tym. Bywa, że widzę przewracający się obelisk albo krew na stole w Norze.

Nakreśliłem parę linii, jakbym nadal pracował, jakby to wyzwanie słabości i frustracji tak naprawdę nie miało wielkiego znaczenia i doktor Sho powinien kontynuować swoją pracę, jakby nic się nie stało.

– Powiedziałaś jej o tym? – spytał cicho.

– Nie – westchnąłem.

– Nawet o Norze? – Sho wydawał się zaskoczony, gdy pokręciłem głową. – Chłopcze, przecież my przypuszczalnie ściągniemy sobie na głowę całe imperium.

– Sycząca Kocica da sobie radę z kilkoma Dłońmi – rzekłem.

– Ale nie o to chodzi! – Doktor szarpnął za swoją brodę. – Na bogów, czemu ty jej nic nie powiedziałaś?

– Jeśli będzie wiedzieć o wszystkim, co zniszczyłem za pomocą starej magii, prędzej mnie zabije, niż zacznie uczyć!

– Tyle myślisz o sobie, Głupi Kundlu – rzekł Sho. – Sycząca Kocica chodziła po tym świecie, zanim powstało imperium. Toczyła wojnę z bogami! Myślisz, że sama nie spowodowała szkód, których żałuje? Każdy z nas pozostawia po sobie ślad na tym świecie i często wiąże się to z destrukcją. W najlepszym razie możemy wówczas odpokutować.

– Jak mam odpokutować to, co wydarzyło się w An-Zabat? – spytałem ostro, jakby doktor mógł się wypowiedzieć w imieniu każdej osoby, którą zraniłem. – Jak mam zrekompensować to, co wydarzyło się w Żelaznym Mieście? Jak naprawić to, co zrobiłem Wildze? Imperium w tej chwili zapewne torturuje mojego ojca, a matkę trzyma zamkniętą w ciemnym lochu! Jak mam odpokutować coś takiego?

– Nie wiem – odparł bez emocji. – Ale jeśli myślisz, że będziesz mógł walczyć z imperium i nie zranić przy tym kilku osób, nie jesteś tylko głupcem. Ty cierpisz na urojenia!

– Co ty tu właściwie jeszcze robisz? – warknąłem. Zamiast ukoić moją frustrację, doktor rozbudził ją jeszcze bardziej. – Sezon tajfunów dobiegł końca! Wracaj do zarabiania miedziaków na prowincji! – wyrzucałem z siebie kolejne słowa, nie zastanawiając się nad nimi.

– Byłem z tobą w Norze – odparł. Pochodnie zamigotały, a ja nie byłem w stanie znieść jego spojrzenia. – Nie mogę wrócić.

Lekarz wstał i odszedł.

Zapomniałem o swoim szkicu. Patrzyłem na oddalającą się pochodnię, a na moim sercu zaciążył kolejny wyrzut.



Jesień ustąpiła miejsca zimie i zbocza wokół wejścia do jaskini pokrył śnieg. Przez większość czasu kuliliśmy się wokół kosza z żarem w domu Syczącej Kocicy. Wiedźma zgromadziła zapasy, ale nie przestawała narzekać, że wraz z Sho zmarnujemy je wszystkie przed nadejściem odwilży. Zmotywowało nas to do zastawienia wnyków w okolicznych lasach. Okara wyprawiał się na własną rękę i po powrocie zawsze oblizywał pysk, ale gdy pułapki okazywały się puste, często przynosił nam królika czy dzikiego indyka.

Skulony w chacie wiedźmy, przeczytałem ponownie autobiografię, zastanawiając się nad poprawkami, które mogłyby uczynić ją bardziej strawną dla mojego wuja. Opisałem, jak zostałem usidlony przez doktrynę i dogmaty, jak zwały mnie one na ścieżkę, której sam nigdy bym nie wybrał. Jednak taka historia wcale nie pomogłaby mi w połączeniu sił z powstańcami.

– Co to? – spytała pewnego wieczoru Sycząca Kocica, gdy siedziałem przy żarze i pracowałem

nad książką, czekając jednocześnie, aż doktor Sho nałoży potrawkę, której zapach rozchodził się po całej jaskini. – Widziałam cię już nieraz przy pracy. Opisujesz swoje niezliczone porażki życiowe?

Odłożyłem zapiski obok posłania, tam gdzie zawsze leżały.

– Coś w tym stylu.

Wiedźma prychnęła, opróżniła miskę i poprosiła o dolewkę.

– Zjedz coś, Kundlu – powiedziała. – Jest jeszcze wcześniej. Mamy sporo czasu na kilka kolejnych porażek, zanim położymy się spać.



– Myślałam, że mogłeś zmieniać już kilka lat po tym, jak puściłeś matczyne cyceki?

Sycząca Kocica chodziła po domu, a ja siedziałem w rogu i zastanawiałem się nad przyczynami, dla których znów nie udało mi się zgasić płomienia.

– Struktura świata jest po twojej stronie, chłopcze. Wszystko... – Zamachała ramionami, aż czaszki w jej włosach zagrzechotały. – Nie żartuję! Wszystko dookoła ciebie chce, żeby płomień zgasł. Tylko mnie zależy na czymś innym. Czemu jesteś taki beznadziejny?

– On próbuje, Kocico – burknął doktor Sho ze swojego kąta, gdzie po raz setny robił porządek w skrzyni.

– Byłabym chyba szczęśliwsza, gdyby nie próbował – odparła Sycząca Kocica. – Wstawaj i do roboty. Jeszcze jedna próba, a po niej następna, aż wreszcie zdmuchniesz płomień albo padniesz z wyczerpania.

Żelazny pręt znów przebił strukturę świata, gdy z palców wiedźmy strzeliły języki ognia. Zacisnąłem powieki. Bez trudu umiałem teraz otworzyć swoją świadomość i dotknąć jej woli. Problemem był dopiero kolejny krok – jej czar okazywał się równie nieustępliwy jak góra, choć poznałem już strukturę i wiedziałem, że nawet górę da się przesunąć.

Wiedźma kazała mi wyczuć świat takim, jakim chce być. Takim, jakim by był, gdyby nie naruszyła go swoją wolą, gdy wyczarowywała płomień. Nie chciała, żebym skupiał się na samym pęknięciu, ale na tym, co zostało naruszone. Na zdarzeniach, które miały miejsce od tej chwili. To, co się miało wydarzyć, było prorocstwem tego, co już się wydarzyło, a chwila obecna stanowiła jedynie pomost między nimi.

Pomyślałem o swoim życiu, o każdym ulotnym momencie, który wynikał z poprzedniego, przez co całość nie miała sensu bez poszczególnych elementów. Nie byłoby Głupiego Kundla, który uczył się magii pod okiem Syczącej Kocicy, gdyby Olcha nie trafił do An-Zabat. Nie byłoby Olchy w An-Zabat, gdyby nie ujrzał umierającego Wilgi. Byłem wszystkimi tymi chwilami i jednocześnie żadną z nich. Byłem pomostem między swoją długą, bolesną przeszłością i nieznaną przyszłością.

I tak jak kiedyś patrzyłem na Atar, by nauczyć się tańców An-Zabat, teraz poczułem rytm struktury świata i zacząłem analizować jego kroki. Stawały się dla mnie rozdziałami w historii świata bądź rozdziałami mojego życia. Żaden z nich nie miał sensu bez tego, który wydarzył się wcześniej. Gdy znów skupiłem się na żelaznym pręcie, nagle wiedziałem, co powinno znajdować się w jego miejscu. Czegoś jednak brakowało.

Rozumiałem strukturę. Wiedziałem, czym należało zastąpić ów żelazny pręt płomienia Syczącej Kocicy, oddziaływanie, które pozostawiła jej magia. Siłą woli napałem na strukturę, by ta wypchnęła pręt i znów stała się kompletna, ale mimo to poczułem opór – nie pręta, lecz struktury.

Płomień zgasł, jednak nie była to moja zasługa.

Wiedźma stanęła nade mną. Zaciskała mocno zęby i przechylała głowę w bok, a ja poczułem nie tylko jej przenikliwy wzrok, ale też puste spojrzenie czaszek w jej włosach.

– Dość już na dziś – powiedziała.

Skuliłem się na posłaniu, głęboko rozczarowany. I tak przez dwa miesiące.



Dawno nie spałem równie mocno, niedręczony żadnymi snami, a obudził mnie mokry nos dotykający mojej szyi i natarczywe skamlenie Okary. Podrapałem psa za uszami, ale ten cofnął się i znów zaskamlał.

– Co się dzieje? – zapytałem i wyczołgałem się spod wytartego, cienkiego koca. Wtedy poczułem ciężar, który włókł się przez strukturę świata. Wiedziałem, że zawsze go rozpoznam. Gdzieś na północnym wschodzie objawił się labirynt kanonu.

Nadchodził Głos cesarza.

W domu nie było nikogo poza mną i Okarą. Żar w koszu przygasał. Skrzynia doktora Sho stała obok jego posłania, tam gdzie zawsze od dwóch miesięcy. Brakowało tylko książki, w której opisałem swoje życie. Nigdzie jej nie widziałem.

Za drzwiami rozległ się trzask płomieni.

Sycząca Kocica siedziała przy palenisku. Podeszedłem do niej, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że czaszki w jej włosach przyglądają mi się uważnie. Wiedźma pochylała głowę, pochłonięta lekturą. Jej twarz przesłoniły cienie.

– Sporo runów tu naskrobałeś, chłopcze – powiedziała cichym, opanowanym głosem. – A może powinnam nakłuć je igłą i przyjrzeć się pęknięciom? Co ty na to?

Cóż mogłem powiedzieć? Nie wystarczało, bym sam pogodził się ze swoimi porażkami. Aby funkcjonować w świecie, musiałem zyskać aprobatę innych ludzi.

– Co sądzisz o tym, co napisałem?

– Wszędzie, dokąd się udasz, świat zmienia się na gorsze. Giną ludzie i upadają miasta – odparła wiedźma z bolesnym grymasem, jak u matki, która straciła dziecko. – Piszesz o zachowywaniu rzeczy takimi, jakie były, albo o głodujących dzieciach w An-Zabat, jakby ci naprawdę zależało. A myślisz, że te dzieci przetrwały upadek miasta?

– Nie – rzekłem. – Opłakuję je tak jak Katiz i Atar, ale ich śmierć to *naphnet*...

– Nie powtarzaj już tego słowa, bo wytnę ci język! – warknęła wiedźma. – Wiem już, kim jesteś i czego chcesz. Sądziłam, że szukasz prawdy, ale teraz widzę, że zależy ci tylko na mocy. Szukasz broni. Chcesz się zemścić.

– Ja chcę się uczyć, Sycząca Kocico. Naprawdę!

– Jak chcesz tego dokonać, skoro nosisz w sobie to wszystko? – Wiedźma pokręciła głową, zamachała książką w powietrzu i rzuciła mi ją do stóp. Bambusowe deseczki zagrzechotały. – Zastanawiałam się, dlaczego jesteś tak blisko, ale twoja wola jakoś nie wpływa na strukturę świata. Cóż, oto wyjaśnienie.

Poczułem zmianę w odległym ciężarze kanonu. Sycząca Kocica również zdała sobie z tego sprawę i jej oblicze spochmurniało.

– Nawet teraz ich bitwa cię rozprasza. Oceńłam cię zbyt wysoko. Twoja pierwsza odpowiedź okazała się szczerą. Nie powinnam nawet próbować cię uczyć.

– A czy nie możemy jednego pogodzić z drugim? – spytałem. – Czy nie może mną powodować zarówno pragnienie dotarcia do prawdy, jak i stawienia czoła imperium?

– A jakie znaczenie dla struktury świata ma to, który król zasiada na tronie i gdzie przebiegają granice na ludzkich mapach?

– Ale przecież sama walczyłaś w bitwach! Co z twoją wojną z bogami?

– Wówczas polem bitwy była sama struktura świata – rzekła Sycząca Kocica. – Walczyliśmy o to, żeby świat stał się bardziej zrozumiały. Żeby nadawał się do życia. Żeby nie ulegał zagładzie wedle ich kaprysów. O co zaś chodzi w tym konflikcie, który ty chcesz wesprzeć? Nie sądzisz chyba, że świat pod rządami Nayeńczyków będzie wolny od śmierci i okrucieństwa?

Znów poczułem falę oddziaływania magii bitewnej, która poruszyła strukturę świata, ale nie odpowiedziała jej fala wywołana przez czarnoksiężstwo.

– Powstanie, do którego chciałeś się przyłączyć, rozpada się – rzekła Sycząca Kocica. – Jeśli wierzyć temu, co sam napisałeś, toczą je konflikty i podziały. Wściekła Wilczyca i Wredny Lis. Sprzeczne ambicje, które zawsze prowadziły do rozłamów w sercu Nayenu. Chcesz wiedzieć, co właśnie czujesz? Magia imperium niszczy ściany Twierdzy Szarego Mrozu, w której przez jakiś czas trzymał się

twój wuj. Nie mam pojęcia, czy dalej tam siedzi.

– Ale przecież trwa zima! – powiedziałem, gdy świat zalała kolejna fala magii. – Nie poszliby na wojnę zimą!

Wiedziałem jednak, że nie mam racji. Przecież Sieneńczycy przemaszerowali przez Pustkowie Batir, choć dwie trzecie ich wojsk padło z pragnienia. Nayeńscy powstańcy, w przeciwieństwie do wiatromistrzów, nie kontrolowali handlu, nie zgromadzili bogactwa i nie mieli władzy. Dla imperium byli jedynie uciążliwością, którą można było tolerować bez przykrych konsekwencji.

Tak przynajmniej było, dopóki nie uciekłem, nie doprowadziłem do zniszczenia An-Zabat i nie zamordowałem tuzina ludzi w Norze. Cesarstwo przekazało mi moc, a ja wykorzystałem ją przeciwko niemu. Takiego upokorzenia nie mogli puścić płazem.

– A czemu cię to obchodzi, Głupi Kundlu? – spytała Sycząca Kocica. – Walczyłeś już z powstańcami i wedle twojej książki zabili ci jedynego przyjaciela.

– Myliłem się wówczas – odpowiedziałem gorzko, czując, jak kotłują się we mnie wstyd i złość. – Dopiero w An-Zabat dowiedziałem się, czym naprawdę jest imperium.

– A babcia nie powiedziała ci prawdy o nich tej nocy, gdy związała cię paktem? Wiedziałeś o wszystkim, a mimo to stałeś się cesarskim sługą, bo tak było łatwiej.

Czaszki wron zagrzechotały, gdy wiedźma pokręciła głową. Uśmiechnęła się równie ponuro jak one.

– Czarownik z dawnych czasów... Dobre sobie! Bogowie wyszli na głupców, skoro chcieli cię wykorzystać. Ciebie, chłopcze, nie stać na podjęcie choćby jednej decyzji!

– A co powinienem twoim zdaniem zrobić? – krzyknąłem łamiącym się głosem. – Usunąć się i pozwolić, żeby imperium robiło to, na co ma ochotę?

– Tak! – warknęła Sycząca Kocica.

Jakaś kłoda pękła w ogniu. Strukturę świata przeszła kolejna fala odległej magii i poczułem ucisk w żołądku, jak gdyby prawda, którą właśnie usłyszałem – gorzka prawda, nie ma co! – rozeszła się po moim ciele.

– Nie będziesz w stanie zaakceptować struktury świata, dopóki nie uświadomisz sobie, kim jesteś – ciągnęła Sycząca Kocica. Jej głos był już spokojniejszy, ale wciąż twardy i ostry jak skalpel. – To zaś oznacza, że musisz podjąć ważną decyzję. Nie możesz żyć w świecie tak, jak życzą sobie tego starsi, ani tak, jak popychają cię emocje czy też nakazuje kultura. Musisz zjednoczyć się ze strukturą i pojąć ją taką, jaka jest. Nie możesz pozwolić, żeby cokolwiek ją wypaczyło.

Odzyskałem wreszcie głos.

– I dasz mi taki wybór?

– Nie darzę cię nienawiścią, Głupi Kundlu, Olcho czy jak cię tam należy zwać – powiedziała wiedźma. – Budzisz we mnie jedynie frustrację i mam już dość twojego niezdecydowania. Twój umysł nie umie pojąć prawd, których szukasz, bo jest spętany kwestiami rywalizujących klanów i plemion, a do tego ograniczony paktem i kanonem.

Rozstawiła palce. Żelazny pręt jej woli wbił się w strukturę świata, gdy na dłoni wiedźmy pojawił się płomień.

– Zgaś ten ogień, chłopcze – rozkazała. – I zajmijmy się poważniejszymi sprawami.

Zrozumiałem, że pojawiła się przede mną ostatnia szansa. Zacisnąłem powieki i pozwoliłem, by moja świadomość opadła ku strukturze świata i przeobraziła się w kulę jadeitu, unoszącą się nad przypyłami i odpływami możliwości, nad ulegającym ciągłym przeobrażeniom tańcem wszechrzeczy.

Porzuć tę głupią wojnę. Wyjdź poza kanon i pakt, zapomnij o Sienie i Nayenie, nie myśl o tym, kto jest zdobywcą, a kto pokonanym, nie dbaj o rywalizujące ze sobą żywioły, które przytłoczyły większe prawdy. Cofnij się, rozszerz perspektywę i pojmij świat takim, jakim jest.

Wyczułem pręt stworzony przez wolę Syczącej Kocicy, która wyrzeźbiła swój płomień pośród falującej struktury. Poczułem następną falę odległej bitewnej magii, która przypominała mi, że za jaskinią toczyła się bitwa – nawet jeśli była nieistotna – a ludzie cierpieli. An-Zabat uległo zagładzie w wyniku starcia między pokonanym i zwycięzcą, starcia, które kosztowało Wilgę życie, dwakroć oddzieliło moją matkę od jej rodziny i zmusiło babcie, by mnie porzuciła.

To cierpienie musiało mieć znaczenie. Przynajmniej dla mnie.

Otworzyłem oczy i odsunąłem się od struktury. Twarz Syczącej Kocicy była płataniną cieni w blasku ognia i jej płomienia.

– A mimo to sama rzadko kiedy opuszczałaś tę jaskinię przez ostatnie tysiąc lat – powiedziałem.

– Kogo kochasz? Czyje cierpienie może cię tu poruszyć? Żyjesz tu sama ze swoimi kośćmi i niekończącymi się pytaniami.

– Szukasz zrozumienia czy też nie? – spytała Sycząca Kocica. – To przecież takie proste.

– Nie, to nie jest proste – sprzeciwiłem się. – Nie może być proste. Jak sama twierdzisz, żeby poznać strukturę świata, muszę najpierw wiedzieć, kim jestem. A jestem wnukiem Złamanej Kończyny. Jestem siostrzeńcem Wrednego Lisa. Uczniem Koro Ha i Dłoni Przewodnika. Ukochanym, choć przez krótką chwilę, Atar Tancerki Wiatru. Przyjacielem Wilgi. Zabójcą Chłodnego Szczenięcia. To ja stoję za masakrą w Norze i ja ściągnąłem imperium w te góry.

– Ja też kiedyś byłam wieloma osobami dla wielu ludzi – odparła Sycząca Kocica.

– Być może nadal byś nimi była, gdybyś się nie ukryła.

Spojrzała pochmurnie nad płomieniami.

– Wiąże mnie pakt.

– Tak jak wiąże cesarza?

Wiedźma wyduła wargę i wyglądała, jakby chciała przemówić, ale ja nie przerywałem:

– Jeśli mam wybór między zrozumieniem większych prawd a walką o to, żeby naprawić choć część swoich win, wybieram walkę.

Sycząca Kocica zacisnęła dłoń i zgasiła płomień. Ogień strzelał w palenisku, a ze stalaktytów nad naszymi głowami ściekała woda. Okara trącił nosem tył mojej łydki i zaskomlał. Sycząca Kocica spojrzała na niego z niechęcią.

– A więc idź – warknęła. – Bądź pionkiem bogów, jeśli chcesz, ale nie wracaj już tu.

Usiadła obok ognia, jakby już o mnie zapomniała. Ja zaś wróciłem do chaty i włożyłem książkę na bambusowych deseczkach i kilka moich przedmiotów do sakwy uszytej z kaftana. Ruszyłem w stronę zakrętu z malowidłami, ale spojrzałem za siebie i ujrzałem Syczącą Kocicę taką jak podczas naszego pierwszego wspólnego poranka, gdy siedziała przy ogniu, nakłuwiała kości w poszukiwaniu odpowiedzi i ciskała je w mrok.

Okara człapał za mną. Szedłem w stronę wyjścia, czując już ziąb dnia.

Doktor Sho siedział zgarbiony na przewróconym stalagmicie przy drzwiach i patrzył, jak nieliczne płatki śniegu wirują i osiadają na białych gałęziach sosen.

– A więc mimo wszystko to przeczytała – rzekł.

Zawahałem się z odpowiedzią. Okara zaskomlał.

– Przykro mi – odparłem. – Jeśli chcesz, jestem pewien, że powstanie...

– Przeczekam zimę tutaj, jeśli nie masz nic przeciwko...

– Dokąd się udasz? – spytałem. – Byłeś ze mną w Norze, pamiętasz?

Doktor wzruszył ramionami i znów się zgarbił.

– Świat nie kończy się na Nayenie. W Toa Alon również żyją lekarze. Jeśli tylko zdołam jakoś wślizgnąć się na pokład statku, nie sądzę, żeby ktoś mnie tam szukał. Poza tym wszyscy lekarze wyglądają podobnie i trudno ich zapamiętać, chyba że któryś z nich podróżuje w towarzystwie zbiega i przestępca.

– Przykro mi, doktorze Sho – powiedziałem z trudem, gdyż poczułem ucisk w gardle. – Próbowałeś mnie ostrzec przed tym wszystkim lata temu. Nie posłuchałem cię, a gdy spotkaliśmy się ponownie, przysporzyłem ci tylko kłopotów. Powiedziałbym, że mam nadzieję na spotkanie po raz trzeci, ale nie sądzę, żebyś to docenił.

Lekarz zachichotał ponuro.

– Chłopcze, jeśli pisane jest nam trzecie spotkanie, pewnie dojdzie do niego w lochu. – Wskazał północ. – Twierdza Szarego Mrozu znajduje się między tymi dwoma szczytami, jakiś dzień drogi stąd lotem wrony. – Zerknął na Okarę. – A co z nim?

Pogłaskałem psa i zmierzwiłem sierść między jego uszami, być może po raz ostatni w życiu. Nie

widziałem już knującego boga, który pojawiał się w moich snach i wywabił mnie z Pustkowiec Batir. Widziałem w nim tylko rannego wiernego górskiego psa.

– Polecę – powiedziałem.

– Mnie zaś chyba przyda się pies strażnik – oświadczył doktor Sho. – Jeśli będziesz chciał go kiedyś odzyskać, poszukaj mnie w Toa Alon. Jeśli lochy okażą się puste, dopytaj się, co się działo na placu egzekucji.

– Dziękuję, Sho. I powodzenia.

Uściliśmy sobie dłonie i wyszedłem na mróz. Niebo było czyste, jeśli nie liczyć kilku chmur, długich i postrzępionych jak linie wykonane pędzelkiem kaligrafa. Skierowałem się tam, skąd płynęło oddziaływanie magii bitewnej. Długie, samotne wycie Okary sprawiło, że się zatrzymałem, ale zmieniłem postać, wzbiłem się w mroźne niebo i poleciałem na wojnę.

Twierdza Szarego Mrozu

Fale oddziaływania magicznego, zarówno mocy sienneńskiej, jak i nayeńskiej, uderzały w strukturę świata i budziły chaos. W miarę jak się do nich zbliżałem, czułem je coraz wyraźniej i coraz częściej. Miałem nadzieję, że oddziaływanie wywołane moją przemianą zniknie w ogólnym zamieszaniu.

Lekkie górskie wichry przeniosły mnie wokół jednego szczytu i pchnęły ku kolejnemu, wyłaniającemu się z odległej mgły niczym grzbiet prastarej bestii. Lasy porastające zbocza przypominały jej futro, a skały pancerz. W dolinie między nimi rozciągał się bazaltowy płaskowyż, na którym zbudowano Twierdzę Szarego Mrozu. Mury fortecy wyrastały prosto z klifów, a prowadząca ku bramie grobla była wąska i kręta. Tłumy żołnierzy – na moje oko przynajmniej dziesięć tysięcy – wypełniały ogołoconą z drzew dolinę wokół płaskowyżu. Nad ich głowami łopotały proporce z tetragramem cesarza, pod którym znajdowało się inne imię. W pierwszej chwili nie rozpoznałem czyje. Nic dziwnego – logogram Przewodnika, gdy widziałem go po raz ostatni, zaczynał się od słowa „Dłoń”, a nie „Głos”.

Pod murami w zasięgu wypuszczanych z góry strzał zalegały liczne trupy, ale Szary Mróz również ucierpiał. Jedna z czterech wież całkiem się zawaliła, a pozostałe były osmalone i popękane na skutek użycia magii bitewnej oraz granatów chemicznych. Mury także zniszczono w kilku miejscach, a na grobli szalał pożar, który uniemożliwiał szturm na bramę, lecz jednocześnie zamykał obrońców w twierdzy.

Nadlatując, widziałem, jak ramiona cesarskich katapult robią wymach i ciskają granaty, które rozbijają się o mury i eksplodują ogniem. Fale magii przetaczały się po świecie, gdy w zamek trafiały kolejne błyskawice. Przynajmniej trzech czarowników przybyło, by dopaść mnie wśród powstańców.

Poczułem wielką ulgę na myśl o tym, że nigdy nie zmieniłem postaci, gdy nosiłem tetragram. Zachowałem tę moc dla tych, którzy wciąż przestrzegali paktu nayeńskiego. Wszak dobrze broniony mur nadal mógł wstrząsnąć imperium, pod warunkiem, że się nie rozpadnie.

Złożyłem skrzydła i zanurkowałem w stronę dziedzińca zamkowego. Gdzieś za mną uderzyła błyskawica, która wypełniła mi nozdrza zapachem piorunów. Potem poczułem oddziaływanie, które mnie zaskoczyło, bo nie należało do znanego mi kanonu, choć powinienem się tego spodziewać po wydarzeniach w An-Zabat. Wezwałem własny wiatr i otoczyłem się jego podmuchami. Wicher wysłany przez wrogów zderzył się z moją tarczą z impetem, od którego przetoczyłem się po niebie. Rozrzuciłem skrzydła, by uniknąć katastrofy, ale kolejny atak Sieneńczyków roztrzaskał się o kamień murów. Ja bowiem już nurkowałem nad dziedzińcem.

Powróciłem do ludzkiej postaci, w chwili gdy wylądowałem na zmarzniętym, zasypanym śniegiem podwórku. Zalały mnie skurcze, ale zdołałem się podnieść i odwrócić ku wymierzonym we mnie ostrzom mieczy i włóczni.

Uniosłem dłonie, by wszyscy ujrzeli blizny nadające mi imię oraz wiedźmie znaki, na co napięcie wśród obrońców nagle osłabło. Byli wychudzeni i mieli zaczerwienione oczy z braku snu. Nosili źle dopasowane pancerze, poznaczone plamami krwi i rdzą.

– Czarownik! – wykrzyknął jeden z nich, opuszczając broń. – Czyżby któremuś z posłańców udało się przedrzeć? Czy armia Wilczycy nadciąga?

– Jestem sam – odparłem. – Nazywam się Głupi Kundel, jestem wnukiem Złamanej Kończyny i siostrzeńcem Wrednego Lisa...

Miecz znów wystrzelił ku górze. Ostrze zatrzymało się przy mojej szyi.

– Słyszeliśmy o tobie – rzekł żołnierz.

– Zabierzcie mnie do mojego wuja – powiedziałem. – Przybyłem tu, żeby wam pomóc, jak tylko będę mógł.

Żołnierz skrzywił się.

– Wszyscy wiemy, jak wyglądała twoja pomoc w Żelaznym Mieście. Zwiążcie mu ręce. Król Słońca wymierzy mu sprawiedliwość.



Ciemność w korytarzach Twierdzy Szarego Mrozu usiłowały rozpędzić prychające, gasnące pochodnie. Fortecą wstrząsały stłumione eksplozje i uderzenia pioruna. Z gołych kamiennych ścian osypywał się kurz.

Otoczający mnie żołnierze zachowywali dystans i nie wypuszczali broni z ręki. Ich dowódca, którego rangi nie rozpoznałem, bo nosił zbroję skleconą z rozmaitych elementów i pozbawioną insygniów, prowadził nas przez szeroką salę, gdzie swego czasu zapewne zbierał się dwór. Na podwyższeniu brakowało jednak tronu, a podłoga nosiła ślady pozostawione przez krzesła i stoły, pospiesznie ściągane na barykady. Jakaś kobieta w zbroi lepszej od pancerzy prowadzących mnie ludzi stała na straży drzwi po przeciwnej stronie sali. Przyjrzała mi się uważnie. Jej oczy obrysowane były czerwonym makijażem.

– Kto to, kapitanie? – spytała.

– Jestem...

Nie dokończyłem, bo jeden z żołnierzy zdzielił mnie mocno. Splunąłem krwią i w myślach narzuciłem sobie milczenie. Postanowiłem, że zaczekam z wszelkimi wypowiedziami do chwili spotkania z wujem.

– To zdrajca Głupi Kundel – powiedział oficer. – Domaga się audiencji u Króla Słońca.

Kobieta cofnęła się gwałtownie i poczułem nagłą zmianę struktury, gdy sięgnęła po swoją magię. Nabrała tchu i odzyskała panowanie nad sobą, ale widziałem, że niewiele brakuje, by cisnęła we mnie ogniem.

– Zaczekajcie tutaj – oznajmiła. – Ogłoszę jego przybycie.

Otworzyła drzwi, za którymi znajdował się ogromny pokój ze stołem z mapą. Drewniane pionki symbolizowały toczącą się bitwę, co przywodziło na myśl rozgrywkę w kamienie. Spośród wielu mężczyzn i kobiet, którzy stali dookoła stołu, składając meldunki i kłócąc się o kolejne posunięcia, jedna osoba od razu zwróciła moją uwagę. Była to stara kobieta, zgarbiona i zdecydowanie bardziej pomarszczona niż kiedyś, ale nie miałem wątpliwości, że spoglądam na moją babcię.

Jej widok rozniecił we mnie nadzieję przemieszana z melancholią.

Obok babci stał człowiek, który najprawdopodobniej był Wrednym Lisem, choć bardzo się zmienił od czasu odwiedzin w posiadłości mojego ojca. Zbroja z żelaznych łusek świetnie na nim leżała, ale widziałem, że nosiła ślady wielu ciosów wroga. Nie miał ani korony, ani insygniów, które zdradzałyby, że jest pretendentem do Tronu Słońca, ale widziałem, jak inni obecni schodzili mu z drogi i z szacunkiem reagowali na jego spojrzenie czy zmarszczoną brew, co było sygnałem równie wyraźnym jak tetragram Głosu.

Młoda wiedźma, która pilnowała drzwi, podeszła do niego i wyszeptała mu coś do ucha. Zmarszczka na czole Wrednego Lisa pogłębiła się, a dłoń dotknęła pasemka siwizny w brodzie.

– Mamy gościa – powiedział, a gwar w pokoju ucichł natychmiast.

Kapitan popchnął mnie do przodu, a ja o mało nie upadłem – miałem wszak nadal związane ręce. Uniosłem głowę i natknąłem się na taksujące spojrzenie wuja.

– Powiedziałbym, że cieszę się ze spotkania, siostrzeńcze – oznajmił Wredny Lis – ale nie wiem, czy jakiegokolwiek nasze spotkanie może być powodem do radości.

Padłem na kolana i dotknąłem czołem podłogi.

– Muszę prosić o wybaczenie – powiedziałem. – Stoczyłem walkę z patrolem w mieście zwanym Norą. Te legiony szukają mnie.

– Wstawaj – rozkazał Wredny Lis. – Jesteśmy Nayeńcykami. Nie kłaniamy się sobie jak najeźdźcy.

Dźwignąłem się na kolana, a potem wstałem, wspierając się na mocnym ramieniu żołnierza, który

mnie eskortował.

– Tak czy owak, proszę o wybaczenie. Wychowano mnie wśród Sieneńczyków i znam ich zwyczaje lepiej od naszych własnych.

– A do tego masz wysokie mniemanie o sobie. – Wredny Lis wskazał mapy. – To nie polowanie na pojedynczego człowieka, ale próba zdławienia powstania. Bywało już, że Sieneńczycy nas otaczali, ale wtedy nasze wiedźmy i nasi czarownicy mogli przynajmniej uciec, żeby wzniecić powstanie gdzieś indziej. Teraz ci, którzy mieli ponieść wieści o bitwie, zginęli, gdy tylko wylecieli za mury. Zabito ich nie błyskawicą, ale wiatrem. Wygląda na to, że w trakcie swoich podbojów imperium skradło kolejną moc. Skoro więc znaleźli sposób, żeby uniemożliwić nam ucieczkę, chcą zakończyć tę długą wojnę podjazdową w jednej decydującej bitwie.

– A więc i za to proszę o wybaczenie – rzekłem. – Imperium skradło tę moc ludziom z An-Zabat, a ja odegrałem w tym rolę. Poznałem jednak wówczas w pełni okrucieństwo imperium.

– A po co tu przybyłeś? – spytał Wredny Lis. – Żeby zginąć z nami i zasłużyć na odkupienie?

– Jeśli tego ode mnie wymagasz, to tak. – Odnalazłem wzrokiem babcie, która mierzyła mnie twardym spojrzeniem. – Otrzymałem stosowne imię, wuju. Przez większość życia byłem głupcem i choć w końcu zdobyłem trochę mądrości, zapłaciłem za to słońną cenę. Wiem jednak, że to moje miejsce i muszę odpokutować za swoje błędy i złe decyzje.

– Moim zdaniem lepiej by było, gdybyś się trzymał z daleka – burknął Wredny Lis. – Jesteśmy tu uwięzieni, Głupi Kundlu. Czekają nas śmierć. – Uderzył otwartą dłoń w blat stołu, aż wszystkie drewniane pionki podskoczyły ze stukotem. – Nie układamy tu planów pokonania Sieneńczyków. Zależy nam już tylko na tym, żeby zwycięstwo kosztowało ich jak najwięcej. To jedyne, na co mamy nadzieję. Liczymy na to, że nasze przedśmiertne konwulsje zadadzą im głębokie rany.

Ściany zadygotały, gdy ponownie rozległ się łoskot eksplozji granatu.

– Co chwila obalana jest kolejna wieża – powiedział Wredny Lis. – Jeśli naprawdę postanowiłeś odwrócić się od najeźdźców i wesprzeć swoich rodaków, spóźniłeś się.

Jego słowa były niczym cios. Moja głupota znów zmieniła strukturę świata na gorszą.

– Ja również władam mocą wiatru – rzekłem. – Pozwól mi dołączyć do walki! Mogę osłonić ciebie i innych władających magią w trakcie ucieczki lub przynajmniej ściągnąć ich uwagę i zyskać dla nas trochę czasu.

– Myślisz, że mógłbyś sam jeden stawić czoła trzem Dłoniom cesarza? – Wredny Lis pogładził się po brodzie. – Rozszarpia cię na kawałki w okamgnieniu.

– Co nie będzie cię nic kosztowało – zripostowałem. – Proszę, wuju, daj mi spróbować!

– Chłopak jest silny – odezwała się babcia. Podeszła bliżej, wspierając się ciężko na sękatej lasce. Widziałem ją po raz pierwszy od prawie dekady i od razu spostrzegłem, że wojna oraz upływ czasu nie były dla niej łaskawe. – Zanim go naznaczyłam, wykazywał wielką wrażliwość na magię. Potrafił się nią posługiwać, choć nieumiejętnie. Jeśli ktoś spośród nas jest w stanie zatrzymać Sieneńczyków, będzie to on.

– Mówisz o nim, jakby był jednym z nas – rzekł Wredny Lis, krzyżując ramiona. – A nie jest.

– Spójrz na jego dłonie – oznajmiła babcia. – Widziałam je, gdy się uklonił. Nadal nosi wiedźmie znaki, ale tetragramu już nie ma. Podjął swoją decyzję.

Wredny Lis okrążył stół i silnym chwytem ręki złapał mnie za nadgarstek, obracając moją dłoń ku sobie.

– To syn twojej siostry – ciągnęła babcia. – Raz czy drugi zrobił z siebie durnia, ale dureń również może nauczyć się tego, co słuszne. Niech stanie między nami a imperium. Jeśli mu się uda, nasz opór być może przetrwa kolejne lata. – Wzięła głęboki oddech i wsparła się ciężko na lasce. – Jeśli zaś zawiedzie, cóż... Ma rację, nic wówczas nie tracimy. Poświęcamy jedynie szansę zatopienia kłów w cielsku imperium w chwili śmierci, a nadzieja na wyzwolony Nayen i tak umrze wraz z nami.

Wredny Lis puścił mnie i wrócił na swoje miejsce za stołem. Jeden po drugim podnosił drewniane pionki i stanowczym ruchem ustawiał je we właściwych miejscach na mapie. Papier tłumiał uderzenia drewna o kamień stołu.

– W porządku – rzekł. – Rozwiążcie go.

Nie uszło mojej uwadze, że kapitan zawahał się na moment, zanim przeciął więzy, ale po chwili już mogłem rozetrzeć obolałe nadgarstki i rozciągnąć zeszywniałe ramiona. Żołnierze, którzy mnie eskortowali, cofnęli się i skulili, jakby te drobne ludzkie gesty były groźnym zachowaniem demona.

– Dziękuję ci za zaufanie, wuju – powiedziałem.

– Ani słowa o zaufaniu, bo jeszcze sobie na nie nie zasłużyłeś. Niemniej moja matka ma rację. – Rozrzucił drewniane pionki. – Umrzemy kiedyś tak czy owak. Ale dzięki tobie przynajmniej zyskujemy szansę, żeby nadal żyć.



Wredny Lis wraz ze swą świtą dziewięciu wiedźm i czarowników zebrali się na środku dziedzińca. Płatki śniegu zsuwały się po ich niedopasowanych zbrojach. Każde z nich nosiło fetysze przypominające mi Syczącą Kocicę – pióra, kości małych ssaków bądź fragmenty zwierząt, w które się przeistaczali. Czyżby robili to na szczęście? A może chodziło im o to, by móc zidentyfikować zwłoki zwęglone po uderzeniu błyskawicy?

Zgromadziła się tam również szczupła armia Wrednego Lisa, nie licząc tych, którzy nadal pełnili straż na murach i wieżach, trzymając Sieneńczyków na dystans oszczepami oraz strzałami z łuków. Wuj chodził między nimi, ścisnął dłonie, klepał ich po ramionach i przekazywał słowa pociechy w obliczu śmierci.

W końcu stanął przy mnie, w samym środku ponurej gromady ludzi. Powiódł spojrzeniem po wszystkich, a potem odezwał się głosem tak donośnym, że zagłuszył grzmot piorunów i eksplozje granatów:

– Wielu z was od dawna walczy u mego boku – zagrział, a jego głos odbił się echem od kruszonych murów. – Wasze miecze nie raz piły sieneńską krew. Widzieliście, jak szczęście odwróciło się od nas, a mimo to przeżyliście. I wiecie, że choć wielu z nas padnie i zmiesza swoją krew z ziemią i wodą naszej ojczyzny, powstanie musi trwać. Nie będę wam obiecywał, że krew, którą dziś rozlejecie, zada imperium śmiertelną ranę. Nie będę też utrzymywał, że wasza śmierć jest konieczna. Wcale tak nie jest. Gdybyśmy wszyscy mogli wzbic się ku niebu i stąd uciec, tak by się stało. Niestety, jesteście tym, kim jesteście, a kaprys bogów rzucił was dziś tutaj, żebyście zmierzili się ze śmiercią. – Uniósł palec i spoglądał na swoich ludzi, spośród których wielu było przestraszonych. – Nie oznacza to jednak, że wasza śmierć pójdzie na marne. Nie, wcale nie. Staliście się cierniem w boku waszych prześladowców, podczas gdy mogliście się pokornie odsunąć i zgodzić na rządy silnych nad słabymi. Mogliście zapomnieć imiona tych, którzy żyli tu przed wami. Mogliście zapomnieć, kim sami jesteście, i żyć tak, jak sobie tego życzą Sieneńczycy. Umrzecie, owszem. Nie ma co do tego wątpliwości, ale zróbcie wszystko, żeby wasza śmierć okazała się dla wroga słoną ceną! Nadszedł czas, żeby wbić ten cień głębiej! Żeby zapłacić wrogowi krwią i cierpieniem za udrękę, jaką na nas zesłał!

Nie odpowiedziały mu tryumfalne okrzyki, ale strach w oczach zebranych zamienił się w determinację. Żołnierze zacisnęli dłonie na rękojeściach mieczy i drzewcach włóczni. Była to co prawda kiepska broń w walce z Dłonią, ale nadal można nią było zadać ranę, a przy odrobinie szczęścia nawet zabić.

– A więc nadszedł już czas. – Wredny Lis dotknął ramienia młodej wiedźmy, która wcześniej pilnowała drzwi.

Ta skinęła głową i w powietrzu rozszedł się zapach cynamonu. Dziewczyna zamieniła się w sowę.

– Siostrzeńcze, przetestujmy ten twój plan – Wredny Lis zwrócił się do mnie i do reszty świty. – Jeśli ona się przedrze, ruszemy za nią. Jeśli nie, za każdą kroplę jej krwi poderżniemy gardło jednemu sieneńskiemu psu.

Moja nauka pod okiem Syczącej Kocicy może i zakończyła się klęską, ale tak jak znajomość pędzla i tuszu poprawia jakość pisma, tak też znajomość struktury świata pozwala na lepsze czarowanie. Wyczułem strukturę okolicy, zapamiętałem obecność murów twierdzy i bazaltowego płaskowyżu pod nimi, a potem wezwałem wiatr i kazałem mu przemknąć łukiem nad umocnieniami. Z początku był to

delikatny powiew, ale przybierał na sile i porywał śnieg oraz kurz, tworząc wokół fortecy wirującą barierę. Stawał się coraz silniejszy, aż zaczął ściągać granaty ciskane na mury i odrzucać je w las. Wiatr ryczał wokół nas, głośniejszy od magii bitewnej i trąbek armii cesarskiej, które krótkimi dźwiękami ogłaszały alarm.

Kamienny labirynt kanonu zderzył się ze strukturą i pojawiły się nowe wiatry, wyczarowane przez wroga. Zderzały się z moim i szarpały za jego krawędzie, próbując go spowolnić lub nawet powstrzymać, choć stawał się coraz potężniejszy. Ja jednak znałem się na wiatrach lepiej od nich, a czar wyszedł prosto z mojego serca, stworzyłem go na potrzeby tej chwili. Był tworem autentycznym i prawdziwym, a nie echem odległej woli cesarza.

Pchałem moją burzę coraz wyżej, aż rozpędziła chmury, a wtedy dałem młodej wiedźmie znać, by zerwała się do lotu. Zatoczyła krąg wokół murów twierdzy, a ja odprowadziłem ją swoją wolą, tworząc drugi wiatr, podobny do pustynnego prądu powietrznego, który wypełnił jej skrzydła i poniósł wysoko, prosto przez oko cyklonu. Sieneńczycy wyczuli falę oddziaływania magicznego i cisnęli w ślad za nią wiatrem i błyskawicą, lecz moja burza pożarła ostrze i rozproszyła śniegiem magię bitewną.

Wytężyłem siły po raz ostatni i wypchnąłem wiedźmę poza zasięg mojej burzy, ku zimnemu, lodowatemu powietrzu, gdzie nawet Katiz nie zdołałby przywołać wiatru. Jej oddziaływanie magiczne słabło, gdy mknęła wysoko nad Nayenem i znikła na wschodzie.

– Odleciała! – powiedział Wredny Lis. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie.

Sieneńczycy niewiele mogli zrobić, by zatrzymać moją burzę, ale struktura świata napierała mocno, by powrócić do poprzedniego stanu. W moje ciało wkradało się zmęczenie, a burza zaczęła drzeć i słabnąć.

– Lećcie! – krzyknęła babcia. – Uciekajcie wszyscy! Chłopak nie utrzyma tej burzy długo!

Zapomniałem o całym świecie. Liczyły się dla mnie tylko burza, prądy powietrzne oraz potrzeba, by utrzymywać je w ciągłym ruchu. Świta Wrednego Lisa wystrzeliła ku niebu. Jedno po drugim czarownicy i wiedźmy pomknęli na skrzydłach zabatańskiej magii ku wolności.

– Teraz ty, matko! – Wredny Lis przekrzyczał burzę.

– Myślisz, że ci nieszczęśnicy ze swoimi mieczami i włóczniami zdołają sami zadać choć jedną ranę? – odkrzyknęła. – Gdy tylko opadnie wiatr, Dłonie cesarza wtargną na ten dziedziniec i zaczną ciskać błyskawicami. Zostanę tu i dam twoim żołnierzom szansę, żeby umarli z honorem!

– A co z tobą? – krzyczał Wredny Lis. – Sama mówiłaś, że trzeba przetrwać!

– Miałam na myśli ciebie, synu! – odkrzyknęła. – Ja jestem starą kobietą. Daj mi umrzeć z zębami zatopionymi w cesarskim gardle. Nie mam ochoty na śmierć w cuchnącym lochu!

Ucałował ją w czoło, a ja jęknąłem z wysiłku. Utrzymywanie wirującej burzy sprawiało mi coraz większą trudność.

– Bywaj więc, matko! – krzyknął Wredny Lis. – I ty również, siostrzeńcze! Pokazałeś, na co cię stać! Jeśli przeżyjesz tę bitwę, znajdź mnie, a być może kiedyś nauczymy się sobie ufać.

Mogłem odpowiedzieć jedynie skinieniem głowy. Wuj przeistoczył się w jastrzębia i zerwał do lotu. Zakręcił nad naszymi głowami, po czym pomknął w górę wraz z prądem powietrznym, a kiedy oddziaływanie jego magii zlało się ze strukturą świata, zacząłem rozpuszczać czar.

– Jeszcze nie, chłopcze! – Babcia stanęła obok. Ujęła mój podbródek i objęła mnie mocno, a ja poczułem wilgoć na jej policzkach. – Och, Głupi Kundlu! Och, moje dziecko. Wątpiłam w ciebie i żałuję, że tak się stało. Uratowałeś naszą nadzieję. – Ścisnęła moją dłoń i powiodła palcem po bliznach, które sama na niej pozostawiła. – Od chwili gdy nadałam ci imię, wymagałam od ciebie zbyt wiele. Niech więc to będzie moja ostatnia prośba. Pokaż im pełnię swojej mocy. Niech nasza śmierć stanie się legendą.

Pełnia mojej mocy. Wiatry An-Zabat, ognie Nayenu, a nawet błyskawice ze stepów girzańskich, choć wiedziałem, że ich moc została mocno ograniczona po wtłoczeniu w kanon. Sięgnąłem teraz po wszystkie te moce i splotłem je w jedno, tak jak wątki tych wszystkich ludów i krajów wplotły się w moje życie. Górne partie cyklonu rozpadły się, by po chwili uformować nie lej, ale prawdziwą kopułę wiatru. W samym środku szalejącego pandemonium wiatrów stworzyłem płomień, który rozprzestrzenił się i tańczył niczym duchy żywego ognia. Miałem przed sobą czystą strukturę, której nie ograniczał ani pakt, ani kanon. Zdobyłem się na jeszcze jeden wysiłek i umieściłem w niej wszystko

to, co mogłem przenieść z magii bitewnej. Powietrze przeszły błyskawice.

Zacisnąłem oczy, by nie patrzeć na rozszalałą ścianę światła wirującą wokół Twierdzy Szarego Mrozu. Dziedziniec zalewało gorąco, które topiło zamrzniętą ziemię i zamieniało ją w błoto. Padłem na kolana i wyrzucałem z siebie wszystko. Całą moją wściekłość, całą rozpacz, całą potrzebę odkupienia win. Moja magia jaśniała niczym gwiazda i przez chwilę cały świat dopasował się do niej.

Ostatnim wysiłkiem pchnąłem huragan wiatru, ognia i błyskawic prosto w dolinę między szczytami. Czułem w strukturze świata, jak stare sosny pękają od gorąca, a śnieg zamienia się w parę. Żołnierze wrzeszczeli, uciekali i umierali w topniejących zbrojach.

I potem wszystko się skończyło. Płomienie zgasły. Wyczarowane wiatry ucichły. Ostatnia błyskawica wryła się w ziemię. Struktura świata odbudowywała się kawałek po kawałku. Wiatry – tym razem te naturalne – zawirowały, rozbudzone nagłym przypływem ciepła. Przewróciłem się na plecy i wpatrywałem w bliznę, którą mój cyklon wyszarpnął w niebie, powoli zasklepiającą się, w miarę jak nadciągały chmury. Wśród podmuchów wiatru zawirowały płatki śniegu.

– Tak – powiedziała babcia, a ja poczułem jej dłoń na ramieniu, mocną i silną. – Tego długo nie zapomną.

Przytuliła moją głowę, a ja pozwoliłem sobie na odrobinę nadziei, że wszystko jednak dobrze się skończy. Że mój pokaz mocy przeraził Sieneńczyków. Że wuj w końcu powróci, obejmie mnie i pozwoli mi żyć wśród moich rodaków, tak jak zawsze miało być.

Na grobli za bramą rozległy się kroki oraz pokrzykiwanie po sieneńsku. Uniosłem głowę, gdy brama się otworzyła, a na dziedziniec weszło kilkanaście postaci. Na ich czele szedł człowiek, którego natychmiast rozpoznałem po cienkich kosmykach brody i po uśmiechu, lekkim, niedostrzegalnym, wymuszonym, bo on sam drżał z furii.

– Cóż – rzekł Głos Przewodnik. – Czy to aby nie nasz ambitny kot?

Dłoń Króla Słońca

Próbowałem powstać, ale byłem zanadto wyczerpany. Przewodnik zrobił kilka kroków w naszym kierunku, splótszy dłonie za plecami. Tetragram na jego czole lśnił żywym ogniem.

– Och, Olcho – rzekł Przewodnik. – Powinieneś być gdzieś się ukryć. Szukaliśmy cię i mieliśmy nadzieję, że cię tu znajdziemy, ale nabraliśmy pewności, dopiero gdy opadłeś z nieba. Jak zwykle zachowałeś się jak idiota.

– On nie tak się nazywa – odezwała się babcia po sieneńsku.

Przewodnik spojrzał na nią z pogardą.

– A to co? Jeszcze jedna wiedźma? – mruknął, a potem zwrócił się do ludzi, którzy podążali za nim: – To tylko stara kobieta. Nada się na pierwszy sprawdzian, prawda?

Spojrzałem tam, gdzie on, i zobaczyłem dwie znane mi twarze. Zawahałem się, gdy ujrzałem twarz Dłoni Żara, której lewa strona nadal była krwawą, niezagojoną ruiną, ale na widok drugiego z przybyszów poczułem, jak serce przeszywa mi lodowe ostrze. Znałem to oblicze. Setki razy spoglądałem w identyczne bystre oczy nad planszą do kamieni, ale sam przybysz był bledszy, szczuplejszy i nosił pozłacaną zbroję Dłoni. Spojrzał mi w oczy i zawahał się na moment, ale podniósł rękę na babcie.

Żar złapał Lotkę za nadgarstek.

– Obiecałeś mi zemstę, Przewodniku.

– I słowa dotrzymam – odparł Głos. – Ale Dłoń Lotka zasługuje na okazję, żeby się sprawdzić, nieprawdaż?

– Odpocznij, Głupi Kundlu. – Babcia łagodnie ułożyła moją głowę na ziemi. – Nadeszła moja kolej, żeby trochę ich poszczerbić.

Wyczarowała płomień, wlała go w swoją sękatą laskę, a potem cisnęła nią jak oszczepem w Przewodnika. Światem wstrząsnęła fala uruchamianego kanonu, gdy Przewodnik wzniósł tarczę z migotliwego światła. Laska rozpadła się na płonące węgle, ale Przewodnik musiał się cofnąć. Nim zdołał odzyskać równowagę, babcia wyskoczyła w powietrze, przeistoczyła się w jastrzębia i runęła na Żara.

Ten smagnął powietrze biczem, ale babcia zamieniła się w mysz i broń przecięła jedynie powietrze. Żar przetrząsnął kanon i zacisnął dłoń jak Ostrze Wiatru. Babcia znów się przemieniła i spadła na niego jako górski wilk. Zatopiła kły w jego gardle i całym ciężarem ciała cisnęła nim w błoto.

Dłoń Żar przetoczył się, tryskając krwią z ran, a babcia odwróciła się ku Lotce. Jej kły błysnęły, a w pysku gromadziła się piana zmieszana z krwią. Chłopak cofnął się, a mnie uderzyło wspomnienie Wilgi, połamanego i upokorzonego, zbryzganego własną krwią.

Krzyknąłem z rozpaczą. Nie chciałem po raz drugi patrzeć na śmierć przyjaciela.

Babcia zawahała się, jedynie na uderzenie serca, ale to wystarczyło, by Przewodnik sięgnął swoją wolą do kanonu. Znów poczułem falę oddziaływania przypominającą wstrzymany oddech i ciężar przygniatający mi ramiona. Strumienie światła wystrzeliły z jego palców i niczym łańcuchy skrępowały łokcie i kolana babci.

Mięśnie pokryte futrem szarym jak żelazo przeszyły konwulsje. Rozległo się wycie, przeciągłe i coraz bardziej przypominające ludzkie, gdy więzi z magicznego światła zaczęły się zacieśniać, zmuszając babcie do powrotu do naturalnej postaci. Swoją wolą sięgnęła po płomień w ostatniej, desperackiej próbie ataku, by pożegnać się ze światem tak, jak zrobił to jej mąż lata temu. Ale Głos Przewodnik przypadł do niej w trzech krokach i kopnął ją w szczękę. Babcia, wciąż pod postacią wilka, zaległa nieruchomo, a kolec jej magii, do tej pory tkwiący mocno w strukturze, zaczął znikać.

Obróciłem się na brzuch i wytężyłem mięśnie, próbując się podnieść i stanąć w jej obronie.

Usiłowałem odnaleźć moc czarnoksięstwa lub przywołać wiatr, ale całą swoją potęgę wlałem w huragan ognia i błyskawicy. Było mnie stać jedynie na stworzenie płomienia świecy, który załopotał na końcach moich palców, wyciągniętych w stronę Przewodnika. Ten, poczuwszy moje oddziaływanie, odwrócił się i spojrzał na mnie z politowaniem.

– Och, Olcho, biedny chłopcze, równie genialny, co głupi – rzekł, dobywając noża. – Chciałbym okazać ci litość, ale naprawdę nie mogę.

Obszedł mnie i kopnięciem odrzucił moją dłoń, krzyżując plan podpalenia mu szaty. Wbił kolano w miejsce między łopatkami. Delikatna dłoń złapała mnie za lewe ramię. Poczulem chłodne uklucie pod łokciem, potem eksplozję ognia, a na końcu ściekającą wilgoć. Głos Przewodnik puścił moją lewą rękę i złapał za prawą, by powtórzyć ciosy noża. Naraz uświadomiłem sobie, że pakt wiatromistrzów znikł. Pojawiła się ogromna pustka, która wydawała się pożerać wszelkie wspomnienia Atar i Doliny Władców, jak gdyby ta część mnie, która powstała w An-Zabat, została właśnie wycięta z mojego życia.

– Zaciśnij zęby! – powiedział Przewodnik. – Bo ostatni cios zaboli najbardziej.

W prawym nadgarstku eksplodował nieznośny ból. Nie mogłem się opanować – dziki wrzask wydarł się z moich ust i rozorał mi gardło, na długo zanim Głos Przewodnik zakończył swoje zadanie. Ostatnie cięcie zwiędziło pandemonium bólu, a potem poczułem kojące, drwiące ciepło magii uzdrowicielskiej.

– Przykro mi, Olcho – jego głos zabrzmiał niczym odległe echo – ale imperium ma jeszcze dla ciebie zastosowanie.

Resztki moich sił wsiąkły w rany, gojące się dzięki magii Przewodnika. Zawładnęła mną ciemność.



Obudziły mnie szcęk żelaza i krzyki rannych. Nie czulem bólu, choć to właśnie było moim ostatnim wspomnieniem. Pamiętałem właśnie ból oraz Wilgę stojącego nad ciałem babci.

Zamrugalem, oślepiiony blaskiem pochodni. Znów znajdowałem się w sali z mapami. Siedziałem na krześle, skrzepowany pasmami światła. Babcia leżała na blacie stołu, związana podobnie jak ja. Spróbowałem się podnieść, ale światło trzymało mnie równie skutecznie jak żelazne kajdany.

– Oto czwarta moc magiczna, a właściwie pierwsza dodana do kanonu. O wiele trudniejsza do opanowania niż ciskanie błyskawicami czy leczenie, ale znacznie bardziej użyteczna – rzekł Głos Przewodnik, który stanął między mną i stołem, trzymając niewielką jedwabną torbę oraz swój nóż.

Na widok noża spojrzałem na swoje ręce. Rękawy miałem zdarte, tatuaże wiatromistrza znikły pod płataniną nierównych blizn, a zamiast prawej dłoni miałem pomarszczony, różowawy kikut.

– Ostrzegałem, prawda? – spytał Głos Przewodnik. – Taki los spotyka każdego spośród Dłoni, który zawiedzie.

– Dlaczego nas nie pozabijałeś? – wychrypiałem z trudem, bo miałem wyschnięte, obolałe gardło.

– Zrobiłbym to, gdybym mógł, Olcho – rzekł Głos Przewodnik i położył torbę obok mojej babci. – Jak już mówiłem, za pomocą magii wiążącej można osiągnąć znacznie więcej, niż tylko powstrzymać ciało. Tak naprawdę wywodzi się ona z magii transmisji. Mąci wolę zatrzymanego i utrudnia mu korzystanie z magii, ale pozwala też zatrzymującemu wniknąć w wolę ofiary. To wystarcza, żeby prześledzić działanie każdej prymitywnej magii. Zawsze byłeś byстрыm uczniem, a więc zapewne już odgadłeś, że właśnie w ten sposób imperium uczy się magii podbitych ludów. Zabatańczycy okazali się odporni na tę metodę. Znosili wszelkie tortury, nawet jeśli kończyły się śmiercią, a mimo to nie zdradzali swojej magii. Na szczęście wiesz, że wypracowaliśmy pewne unikalne rozwiązanie, które pozwoliło nam i tak ją przejąć.

– Chcesz wyszarpnąć ze mnie moc? – spytałem, opadając bez sił. – Jaką moc? Nic mi już nie zostało. Wszystko mi zabrałeś.

– W wyczarowanej przez ciebie burzy widziałem błyskawice – rzekł Głos Przewodnik. – Nie jestem głupcem. Wyciąłem znaki twoich paktów, żebyś nie mógł z łatwością sięgać po znaną ci broń,

ale myślę, że mimo wszystko dasz mi to, czego chcę. Przecież zdolny z ciebie chłopak.

– A czego chcesz?

Na ustach Przewodnika znów pojawił się lekki uśmiech, tym razem zabarwiony gniewem. Wsunął dłoń do rękawa i wyjął niewielką miszkę, która błysnęła srebrem w blasku pochodni, gdy stawiał ją na stole między nami.

– Wody, Olcho. Tej ważniejszej z dwóch zabatańskich mocy. – Głos Przewodnik klasnął w dłonie, a potem skinął na kogoś, kto stał za mną. – Och, właśnie zapomniałem o zasadach gościnności! Napijesz się herbaty? Albo czegoś mocniejszego? Niestety, nie zabrałem ze sobą śliwkowego wina, które tak bardzo lubiłeś.

Jakiś żołnierz postawił tacę na stole obok mojej babci. Z dziobka imbryka unosiła się para, ale nie widziałem żadnych filiżanek czy czarek. Obok imbryka stała jeszcze butelka mocnego alkoholu z sorgo, jaki piliśmy razem z Wilgą pierwszej nocy naszej przyjaźni.

Pokręciłem głową i wybuchnąłem śmiechem, rozbawiony zarówno gestem Przewodnika, jak i absurdalnością tego żądania.

– Wielokrotnie widziałem, jak czerpią wodę na pustyni, ale nigdy nie nauczyli mnie tej sztuki.

– Och, raczej wątpię – powiedział Przewodnik. – Ale być może nauczyli cię też swojej powściągliwości i małomówności. Niebawem wezmę się do tego wyszarpywania, a wtedy okaże się, jak długo wytrwasz w swoim postanowieniu. – Wsunął dwa palce do jedwabnej torebki i wyjął ususzone nasiono. – To prosta roślina. Pełznąca winorośl popularna w Toa Alon. – Uniósł nasiono wyżej, bym mógł mu się przyjrzeć. – Mieszkańcy tej prowincji zwą ją *nor kuhol*, co oznacza mniej więcej „trupie pnącze”. Nie trzeba uczyć się ich języka, żeby pojąć pełne znaczenie tej nazwy: otóż ta roślina woli wyrastać ze zwłok niż z ziemi.

Ziarenko wpadło bezszelestnie do torebki. Przewodnik odłożył nóż i wziął do ręki imbryk.

– Trupie pnącze to pospolita roślina. O wiele trudniej jest znaleźć lek, który może oszołomić umysł, ale nie uśmierzyć przy tym bólu. Ten jednak, kto ma czas, żeby przetrząsnąć cały świat, może znaleźć wszystko.

Podniósł imbryk, a ja się wzdrygnąłem, ale Głos wyciągnął rękę ku mojej babci. Krew odpłynęła mi z twarzy.

– Już? – spytał Przewodnik. – Dłoń Żar byłby zawiedziony. No cóż. Ja osobiście wolę, gdy możemy się obyć bez wrzasków i rozlewu krwi.

Otworzyłem usta, desperacko przetrząsając myśli w poszukiwaniu sposobu, by ocalić babcię i nie zdradzić ostatniego sekretu i nadziei An-Zabat.

– To stara kobieta! – krzyknąłem. – Jak możesz ją torturować! Chronią ją zasady gościnności!

– Ale przecież nie jest Sienenką i odrzuciła imperium wraz z jego doktryną! – rzekł Przewodnik.

– Dajmy więc sobie spokój z moralnymi dysputami i przejdźmy do rzeczy. Pokaż mi, jak przywoływać wodę z ziemi, a kobieta nie ucierpi.

– Już ci powiedziałem! – krzyknąłem, rozpaczliwie szukając rozwiązania. Próbowałem sięgnąć po wiatr, ale studnia mocy znikła. Odwróciłem się ku sztuce czarnoksięskiej, a tam natrafiłem jedynie na pustkę. – Tego sekretu nigdy nie poznałem.

– Wielka szkoda. – Przewodnik chwycił babcię za szczękę, na której z boku rozlał się już siniec. Przystawił dziobek imbryka do jej ust.

Babcia naraz parsknęła i splunęła herbatą naokoło. Przewodnik ściągnął jej głowę do tyłu i przycisnął dłoń do gardła tak, że nie mogła oddychać, ale nadal była w stanie przełykać. Wlewał w nią herbatę, aż opróżnił imbryk, a potem odstawił go i sięgnął po nóż. Babcia dławiała się i miotała, szamocząc się z magicznymi więzami.

– Uzdrawianie to niejedyna moc z Toa Alon – mówił Głos Przewodnik. – Mamy stamtąd również kanał szósty i siódmy. To kraina obfitująca w czarodziejskie moce. Kanał szósty to magia wykrywania, dzięki której mieszkańcy prowincji kiedyś znajdowali cenne minerały w ziemi. Można jednak wykorzystywać ją do innych rzeczy. – Przesunął czubkiem noża po ramieniu babci, rozcinając rękaw koszuli, ale nie naruszając skóry. – Dla przykładu, ciało dysponuje różnymi węzłami. To tam lekarze szukają pulsu. Ból tam zadany może naprawdę wstrząsnąć.

Przez cały ten czas wisiał nad nami kanon magii, który wiązał Przewodnika z cesarzem i jego mocą. Wyrastał z niego żelazny kolec mocy Głosu, który wbijał się w strukturę świata i rzeźbił ją pod okiem cesarza. Nóż w jego dłoni zaczął delikatnie wibrować, coraz mocniej i mocniej, w miarę jak mijał łokieć.

– O, to tu – powiedział Głos Przewodnik i uwolnił magię wykrywającą. Wykonał małe nacięcie, na którym wykwitła kropelka krwi, a potem odłożył nóż. – Po podbiciu Toa Alon, gdy poznaliśmy już magię uzdrowicielską oraz wykrywającą i uznaliśmy, że miejscowi nauczyli się pokory, żyzne tarasy ogrodowe Sor Cala zaczęły schnąć. W prowincji pojawił się głód, choć nie taki jak teraz w An-Zabat. Uznaliśmy, że to klęska żywiołowa, choć dowiedzieliśmy się, że nie dotknęła ona rolniczych wyżyn prowincji, co uznaliśmy za osobliwość. Niedługo później złapaliśmy jednego z miejscowych kapłanów, który machał dłonią nad polami w blasku księżyca. W ten oto sposób odkryliśmy magię rolniczą, którą próbowali przed nami ukryć. Żaden inny rodzaj magii nie pomógł tak bardzo w rozbudowie imperium, choć co przykre, nadal potrzebuje on wody. W przeciwnym razie An-Zabat mogłoby rozkwitnąć i nie doszłoby do tych... nieprzyjemności. – Wziął ziarenko między palec wskazujący a kciuk i uniósł je nad skaleczenie, które zostawił na ramieniu babci. – To twoja ostatnia szansa.

– Możesz nas skazać na każdą możliwą torturę, ale nie zdobędę dzięki temu wiedzy, której nie mam – powiedziałem. – Musisz mi uwierzyć, Przewodniku.

– A niby jak? – odparł i wcisnął ziarenko pod skórę babci. – Kłamstwa, za którymi się chowałeś, przypominają wręcz maski Zmieniających Twarze!

Przewodnik rozcapierzył palce nad ramieniem babci, a jego wola wpłynęła w siódmy kanał kanonu. Srebrne linie jego tetragramu zamigotały, a potem zajaśniały niczym złociste letnie słońce. W pokoju rozszedł się zapach świeżego powietrza, krwi oraz wiosennej gleby. Z rany wysunęło się pnącze, które rosło na moich oczach, aż osiągnęło dojrzałe rozmiary i spłynęło na stół. Skóra na ramieniu babci falowała niczym wilgotna ziemia, w której przemieszczają się robaki. W jej gardle zbudził się jęk, który przeszedł we wrzask, a później w wycie, wypełniające pomieszczenie i odbijające się echem jeszcze długo po tym, jak Przewodnik uwolnił czar.

Ja również krzychałem. Błagałem Przewodnika, by przestał, zapewniałem go, że powiedziałem prawdę, że zdobywa się na bezcelowe okrucieństwo, które niczego mu nie przyniesie.

– To ty możesz zakończyć jej cierpienia. – Przewodnik pokazał mi srebrną misę. – Zabraliśmy ją z wraku pirackiego wiatrowca. Przypuszczam, że trzeba by ją zagrzebać w piasku, żeby zadziałała jak należy, ale tak czy owak, możesz uruchomić magię.

Nie mogłem oderwać wzroku od sponiewieranego ramienia babci i dziesiątek zielonych pnączy, które wyrastały z krwawiących ran na jej skórze. Wycie z bólu zostało teraz zastąpione stłumionym szlochem.

– Nie? – Przewodnik spojrzał na mnie krzywo, otworzył butelkę alkoholu i pociągnął długi łyk. – A więc wina za to wszystko spada na ciebie. – Otarł usta oraz kosmyki brody. – Jej ból bierze się z twojego uporu. Wyłącznie. Gdybyś tylko zechciał powiedzieć mi prawdę...

Z traskiem odstawił butelkę na tacę i znów sięgnął po nóż.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść – rozkazał, luźno trzymając nóż.

Kątem oka ujrzałem Lotkę, który zerknął na koszmar rozgrywający się na stole, a potem spojrzał na mnie, by wreszcie skupić uwagę na Przewodniku.

– Ostatni buntownicy złożyli broń – powiedział. – Zgromadziliśmy jeńców na dziedzińcu. Co mamy z nimi zrobić?

– Niech sobie poczekają – rzekł Przewodnik. – Chodź tu, Lotko. To ohydna lekcja, ale tak czy owak, powinieneś ją zaliczyć. Trzymaj staruszkę za ramiona i przygotuj magię uzdrowicielską.

Lotka stanął za głową babci. Jego dłonie drżały, gdy złapał ją za ramiona i przycisnął wijące się ciało do stołu, a Przewodnik zajął się drugą ręką babci. Patrzyłem na jego wibrujący delikatnie nóż i nagle przeszły mnie spazmy pozbawionego radości śmiechu.

– Bawi cię jej cierpienie? – spytał Przewodnik.

Pokręciłem głową i zdusiłem w sobie śmiech.

– Powiedziałeś mi, że cesarz chce zakończyć wojnę. Chce zaprowadzić trwały pokój. Czy on naprawdę wierzy w to, że w ten sposób zdoła wygrać? Wspinając się na coraz to kolejne poziomy okrucieństwa?

– Z nas dwóch to ty szydzisz z cierpień tej kobiety – powiedział Przewodnik. – Ja robię tylko to, co konieczne.

– Konieczne! – Znow zduśmiałem śmiech. Przecież to wszystko było wynaturzone! Wyrwane z wszelkich proporcji!

Tak, ponosiłem winę za cierpienia ludzi w Żelaznym Mieście i w An-Zabat, a także cierpienie mojej babci, konającej teraz na stole. Ale zrobiłem wszystko, co leżało w mojej mocy, by toczyć jak najlepsze życie w obrębie granic wytyczonych przez imperium. To te granice – doktryna, kanon, kodeks postępowania, zasady wychowania – były okrutne. Pomimo piękna sztuki i poezji imperium było definiowane poprzez swoje okrucieństwo. Czy istniał bowiem czyn bardziej brutalny od tolerowania – lub wręcz szerszenia – cierpienia tych, którym nie udało się sprostać standardom, i zabijania tych, którzy okazywali uczciwość?

Tak jak życie ustępuje przed śmiercią, a zima prowadzi do lata, tak brutalność będzie skłaniać do buntu długo po tym, jak kultury Nayenu, An-Zabat i innych podbitych ziem zostaną zapomniane. Takie były prawidła struktury świata.

I nagle zrozumiałem przykazania Syczącej Kocicy, abym połączył moją wolę ze strukturą. Nie chodziło jej jednak o bierny moment. Moim zadaniem miało być scalenie woli z koniecznymi wynikami każdego działania wchodzącego w skład współzależności rzeczy. Nawet z takimi, przed którymi chciałbym się uchronić lub które chciałbym zmienić.

I wtedy, nadal ze śmiechem, pozwoliłem, by moja wola się rozpadła. W jaskini Syczącej Kocicy wola ta przypominała kulę wypolerowanego jadeitu mknącą nad powierzchnią struktury. Teraz jednak wniknęła w jej głębię i spoglądała na nią. Jednak nie z góry, ale ze środka. Ja zaś stałem się świadkiem głębszej prawdy. Zrozumiałem, że cierpienie jest nieodzowne, bo stanowi zmrok nadciągający po każdym świcie. Ale okrucieństwo... Cóż, okrucieństwo jest ludzkim wymysłem, uzasadnionym przez doktrynę i kanon, ale bynajmniej nie czymś koniecznym.

– Będziesz się śmiał, słysząc, jak wrzeszczy z bólu? – Przewodnik naciął skórę babci w innym miejscu i wsunął ziarenko w skaleczenie. Żelazny pręt jego woli przesunął się po kanałach kanonu, które trwały niczym nadmorski klif naprzeciwko pulsujących fal struktury. Kanon był najeżdżcą. Artefaktem imperium.

Czułem w sobie przepływ mocy równie czysty jak w chwili, kiedy niezdarnie sięgnąłem po nią za pierwszym razem, jeszcze przed naznaczeniem przez babcię. Przeanalizowałem strukturę świata w tym pomieszczeniu i wykryłem brakujące kroki wiecznego tańca. Widziałem prawdy o świecie, jaki powinien być. I jaki byłby, gdyby nie kanon transmisji.

Cisnąłem swoją wolę o ściany kanonu, tak jak wtedy, gdy klęczałem nad ciałem Wilgi w Żelaznym Mieście.

„Zgaś płomień” – powtarzała Sycząca Kocica.

W tej chwili nie chodziło jednak o płomień, ale o sam kanon.

Cały świat był teraz po mojej stronie. Fale magicznego oddziaływania stawiały opór największemu naruszeniu struktury, jakim zawsze był kanon i kamienne ściany jego labiryntu.

Zespoliłem swoją wolę z desperacką próbą, którą podejmował cały świat, by uwolnić się od tej broni okrucieństwa i podboju. Od rzeczy, która nigdy nie powinna powstać. Wraz ze strukturą świata naparłem na ściany kanonu i poczułem, jak rozpadają się w pył.

Tak jak moja babcia usunęła kiedyś magię, która zamieniła mnie w coś pomiędzy człowiekiem a ptakiem, tak teraz ja zniszczyłem magię, która nawet tu, w odległym zakątku nayeńskich gór, wiązała Przewodnika z cesarzem i napelniała mocą kanon.

Światło, które mnie krępowało, nagle zgasło. Więzy babci znikły, co powitała rykiem bólu i wściekłości. Lotka cofnął się. Czułem, jak wola Przewodnika przemieszcza się po strukturze, ale bez ścian kanonu wyznaczających kanały magii błędziła teraz, ślepa i bezradna. Między jego palcami zamigotała pojedyncza iskra.

– Co to ma znaczyć? – Odwrócił się ku mnie, nadal przetrząsając strukturę. – Coś ty zrobił?

Stałem, tuląc do siebie kikut ręki. Straciłem pakt oraz kanon, przez co stałem teraz nagi przed strukturą świata. Nic mnie nie chroniło, ale też nic nie powstrzymywało. Umiałem już zdmuchnąć płomień. Umiałem zrobić znacznie więcej.

– Weź Lotkę i swoich ludzi i wynoście się stąd – powiedziałem.

Moja wola już rzeźbiła strukturę świata, tak jak robiła to Sycząca Kocica. Tak jak robiłem to ja sam wiele lat temu, co o mało mnie wówczas nie zniszczyło. Teraz jednak znałem się na magii znacznie lepiej – nie wiedziałem wszystkiego, ale umiałem już posłużyć się czarami, które Przewodnik próbował mi odebrać, nawet bez osłony paktu.

– Uciekajcie z Nayenu – ciągnąłem. – Władza cesarza już tu nie sięga.

Z tetragramu na czole Przewodnika buchnęło światło wyglądające jak płonąca rtęć. Pomknęło na zachód, by odnaleźć cesarza i jego kanon. Pozostawiony przez nie ślad przypominał rzekę, ale wystarczył jeden wysiłek mojej woli, by ją przegrodzić. Przewodnik zachwiał się i wzniósł nóż.

– To... – warknął. – To niemożliwe!

– Poddaj się, Przewodniku – rzekłem.

Przez usta mojego byłego mentora przemknął ledwie zauważalny uśmiech, który nagle przeobraził się w szyderczy grymas. Przewodnik rzucił się naprzód i ciął nożem, a ja odruchowo przybrałem pierwszą postawę Żelaznego Tańca. Poderwałem zdrową rękę i wykonałem uderzenie Ostrza Wiatru. Palce Przewodnika wyfrunęły w powietrze, tryskając krwią, a nóż z trzaskiem spadł na ziemię.

– Nie chcę cię zabijać – powiedziałem.

– Ja ty to robisz? – warknął, ściskając poranioną rękę, a potem sięgnął po magię bitewną. Poppełnił błąd, równie wielki jak ja w chwili, gdy postanowiłem zmienić postać. – Choć to bez znaczenia! Wyszarpnę ten sekret jak i każdy inny, gdy będziesz wrzeszczał i dygotał z bólu.

Jego błyskawica uderzyła w ścianę, pozostawiając głębokie, poczerniałe bruzdy w kamieniu. Inna rozbiła krzesło, do którego zostałem przywiązany, a kolejne przeszywały podłogę, ściany i sufit. Błyskawice mógłbym powstrzymać, podobnie jak zatrzymałem transmisję, ale powstawały tak szybko, że nawet nie marzyłem o udanej próbie. Wiedziałem, że zanim poznam ich oddziaływanie na tyle, by móc je zdeintegrować, któraś z nich zdąży zabić mnie, babcię czy Lotkę.

Wprowadziłem więc moją wolę w strukturę i zacząłem tkąć czar, który widziałem w An-Zabat, a potem na dziedzińcu, ale nigdy się go nie nauczyłem. Przeszył mnie chłód, gdy dotarło do mnie jego oddziaływanie i pojawiła się tarcza ze światła, która otoczyła Przewodnika. Błyskawice odbijały się rykoszetem od ścian, aż przestrzeń wewnątrz wypełniły dzikie wrzaski, gryzący dym i błękitno-biały płomień.

Przewodnik spojrział wreszcie na mnie. Jego szeroko otwarte oczy wypełniło przerażenie, a usta wykrzywił straszliwy wrzask. Lekki uśmiech znikł bez śladu, a wola rozbłysła po raz ostatni i wyparowała ze świata.

Świetlna zasłona rozwiała się i okazało się, że z Przewodnika została jedynie kupka kości i popiołu. Poczulem w sercu dziwny ból – żałowałem, że nie mogę opłakać jego śmierci – i odwróciłem się ku babci.

– Zabiłeś go – szepnął Lotka bez emocji.

Spojrzałem w jego przerażone oczy.

– Mógł rozproszyć ten czar – powiedziałem. – Ale nie zrobił tego. I dlatego zginął. Ja chciałem nas tylko osłonić.

Łatwo było teraz stwierdzić, jak należy zmienić świat. Skoro wiedziałem, czego naprawdę chcę, nietrudno mi było znaleźć odpowiednią magię, by dokonać tych zmian.

– Nie skrzywdzę cię, Lotko. Propozycja, którą przedstawiłem Przewodnikowi, wciąż jest aktualna. Zabierz swoich ludzi i odejdz.

Uniósł rękę, ale nie poczułem, by uruchomił swoją wolę. Przewodnik nie żył, a więc nie było już w okolicy Głosu, który mógłby przekazać Lotce moc. Wiedziałem, że będzie bezsilny aż do chwili, gdy Głos Złota Zięba zrozumie, do czego tu doszło, i zwróci ku nam swoją uwagę – oraz transmisję cesarza.

– Myślisz, że twój brat zgodziłby się na to? – spytałem, delikatnie dotykając pokaleczonego

ramienia babci. Ta jęknęła, ale nadal leżała nieruchomo. Jej oddech był płytki i chrapliwy. – Czy nadal chciałby walczyć o imperium, które zadaje tyle bólu?

– Nie wiem i nigdy się nie dowiem – wymamrotał Lotka. – Powstanie go zabiło. Nigdy nie będę miał okazji, żeby o to spytać.

– Tuliłem jego głowę, gdy umierał – powiedziałem. – I myślę, że prędzej wbiłby nóż w gardło Przewodnika, niż sam zgodziłby się wziąć udział w takich torturach. Podobnie jak ty, wcale nie mam pewności, ale wierzę, że nauczyłyby się dokładnie tego, co ja. Mam nadzieję, że ty również wyciągnąłeś odpowiednie wnioski. Zapytaj sam siebie, tak jak wtedy nad grobem Wilgi, gdy ostatnio się widzieliśmy, czy to wszystko wydaje ci się w porządku.

Trupie pnącze sprawiło, że ramię babci przypominało poskręcany twór z nabrzmiałego mięsa i lśniących kości, opleciony zielonymi pędami. Nie istniały leki, które mogłyby zaradzić czemuś takiemu, a magia uzdrowicielska odebrałaby jej wszelkie siły i doprowadziła do śmierci.

Tak jak lata temu w błocie Żelaznego Miasta sięgnąłem po magię potężniejszą od uzdrowicielskiej, tak teraz, gdy nie ograniczał mnie kanon, odnalazłem ją i przywołałem, a potem poczułem, jak oplata nas oboje.

Usłyszałem jakieś kroki, odgłos otwieranych drzwi i okrzyki po sienieńsku, ale nie zwracałem już na to uwagi. Moje myśli powróciły do zarośniętej ścieżki wiodącej do Świątyni Płomienia, gdzie babcia odnalazła moje zniszczone ciało, po czym je odbudowała. Teraz zrobiłem to samo. Dzięki magii, którą kiedyś znałem jako czarnoksięską sztukę Nayenu, przywróciłem ramię babci do poprzedniego stanu. Wyciągnąłem pnącza, które wpiły się w mięśnie i kości, i zagoiłem rany. A potem, gdy wielka moc lecząca zaczęła odbudowywać energię życiową babci, czerpiąc ją z mojej, poczułem przypływ słabości.

Struktura świata naparła na mnie, gdyż właśnie oszukiwałem śmierć – jedno z jej najsolidniejszych prawideł. Mimo to nie zawahałem się, wiedziałem bowiem, że struktura powinna odrzucić okrucieństwo Przewodnika i jednocześnie zaakceptować ten akt życzliwości. Świat musiał się jednak zmienić, a więc dlaczego nie miałby się zmienić na lepsze.

Znalazłem się na skraju wyczerpania i padłem bez sił na blat stołu. Złapałem babcię za rękę i położyłem się obok staruszki, obejmując jej głowę okaleczonym prawym ramieniem. Słuchałem, jak oddech staje się u niej coraz silniejszy.

Śmiertelne znużenie, wycieńczenie spowodowane oddaniem babci energii życiowej oraz rytmiczny, kojący oddech, który słyszałem, przeniosły mnie w miejsce między snem i jawą, gdzie nagle znalazłem się w towarzystwie bogów.

Stali dookoła stołu. Znałem już Ateri i Tollu – pamiętałem ich kamienne pyski i lśniące ślepia – ale inni byli obcy, rozpoznawałem ich tylko dzięki znajomości mitów. Mężczyzna z włosami i brodą z kosmyków chmury i z oczami lśniącymi jak gwiazdy był prawdopodobnie Niebiańskim Ojcem, opiewanym w wielu starych zabatańskich wierszach. Widziałem istoty przypominające góry o ludzkich kształtach, z lasami zamiast włosów i kraterami płynnego ognia zamiast oczu. Widziałem kobiety i mężczyzn z głowami zwierząt oraz istoty składające się tylko ze skrzydeł, które otwierały się niczym płatki wiecznego kwiatu. Byli jeszcze inni – dziwni, cudowni, przerażający – ale ja byłem zbyt wyczerpany, by czuć cokolwiek poza spokojem.

– On złamał pakt! – rzekł Niebiański Ojciec głosem suchym niczym pustynny wiatr.

– Należał do nas, zanim stał się jednym z was – rzekła Ateri. – To my zadecydujemy o jego losie.

Wskoczyła na stół. Z jej rozchylonego pyska buchnął żar.

Kobieta z końską głową odepchnęła ją na bok.

– Nie macie do niego prawa! – powiedziała do Ateri. – On złamał pakt z nami wszystkimi!

– Jaki pakt?

Okara w ciele górskiego psa wpadł przez drzwi i skoczył na stół, gdzie zatrzymał się obok matki. Spojrzał wyzywająco na każdego z bogów z osobna, a jego pokryty bliznami pysk rozchylił się, ukazując zęby.

– Dobrze wiesz jaki – warknęła Ateri. – I to nie jeden, ale wiele paktów.

– A gdzie są ślady wycięte na jego ciele? – spytał Okara.

Bogowie spojrzeli na bliznę na lewej dłoni, pocięte przedramiona i kikut prawej ręki.

– To czarownik z dawnych czasów – rzekł Niebiański Ojciec.

– Tak, ale nie był obecny, gdy zawierano pakt – sprzeciwił się Okara. – I nie nosi znaków. Jest więc wolny, co oznacza, że może sięgać po dowolną magię.

Ateri pokazała kły.

– Czy to twoja sprawka, przebiegły wilku? – powiedziała jedna z żywych gór. – Może więc to ciebie należałoby ukarać?

– Cesarz Sienu ma na sumieniu o wiele gorsze przestępstwa ode mnie – rzekł Okara. – W niego więc mierz palcem. Ten tutaj nie jest związany paktem, ale stoi po naszej stronie.

– Jak to naszej? – prychnął Niebiański Ojciec. – Przecież nie prowadzimy wojny.

– Widzieliście, jak ludy, z którymi zawarliście pakt, jeden po drugim padają ofiarą sieneńskiej agresji – rzekł Okara. – To wszystko robota Doktryny, a jego nie zadowoli podbój śmiertelników. On chce zniszczyć każdy stary porządek i zastąpić go własnym.

– To tylko twoje słowa – dobiegł głos z głębi rozkładających się skrzydeł. – Ale pomnij, że teraz, w tej strukturze świata, nie prowadzimy wojny.

– A co będzie w przyszłości? – naciskał Okara. – On może walczyć z Doktryną w naszym imieniu i nie złamie przy tym paktu. Może zakończyć ten konflikt, zanim wykipią morza i pęknie ziemia.

Wśród bogów zapadła cisza. Ateri groźnym wzrokiem wpatrywała się w syna, warcząc cicho, aż górski pies przypadł do ziemi.

– Skoro nie złamał paktu, nie możemy wymierzyć mu żadnej kary – odezwała się Tollu, córka Ateri i siostra Okary. Napięcie osłabło. – Pozwólmy mu żyć, ale uznajmy go za związanego paktem, podobnie jak wszystkie więdmy z dawnych czasów od tej chwili. Jeśli będzie uczył magii innych, odbierzemy mu życie.

– Zgadzam się – rzekł Niebiański Ojciec i znikł.

Bogowie jeden po drugim wyrażali swoją aprobatę i dematerializowali się, aż pozostali jedynie Okara i Ateri. Górski pies odwrócił się od wilczycy i trącił pyskiem mój policzek.

– Nie zachowuj się, jakbyś go kochał – rzekła Ateri. – Może i zrobisz z niego broń, ale nieporęczną. Nie zdziw się, jeśli ciebie zrani najmocniej.

Okara polizał mnie po policzku, a ja drgnąłem, rozbudzając się z półsnu. Nadal byłem słaby i czułem, że oddałem resztki mocy babci. Okara zeskoczył i wybiegł na zewnątrz, drapiąc pazurami kamienną podłogę. Usłyszałem jego szczeknięcie i zduszone przekleństwo.

Drzwi naraz stanęły otworem i do środka z powrotem wpadł Okara, tym razem z Syczącą Kocicą i jej stukającymi we włosach czaszkami. Kobieta rzuciła na mnie okiem i krzyknęła:

– Sho! On się prawie zabił! Chodźże tu! – Przypadła do stołu i wymierzyła mi siarczysty policzek. – Dość tego, głupcze. Chcesz, żeby się obudziła i uświadomiła sobie, że przykrywa ją twój wysuszony zewłok?

Uwolniłem czar. Byłem znużony, ale nie miałem już wrażenia, że moja krew jest dwakroć rzadsza niż wcześniej, a oddech o wiele za płytki. Babcia nadal wydawała się bardzo słaba, ale na jej policzkach pojawiły się rumieńce, sińce spłowiąły, a ramię było całe. Porozdzierane resztki pnącza leżały na podłodze.

Spojrzenie Syczącej Kocicy padło na ciało Przewodnika i ślady po błyskawicach na ścianach.

– A więc uratowałaś to przekłete powstanie, co? – spytała. – Zadowolony?

Zdołałem dźwignąć się na nogi i odkryłem, że w rzeczy samej czuję satysfakcję. Głęboką satysfakcję, jakiej nie doznałem od czasu zdania cesarskich egzaminów. Miałem wrażenie, że wreszcie osiągnąłem cel, do którego wiodła mnie ścieżka życia, raz za razem stawiając mi na drodze ciężki sprawdzian.

– Ilu przeżyło? – spytałem słabym głosem.

– Tyłu, żeby Sho miał co robić – odpowiedziała Sycząca Kocica, a potem wyjrzała z komnaty i krzyknęła: – Pospiesz się, ty stary draniu! Chcę wiedzieć, czy ta gaduła przeżyje, czy padnie trupem!

– Co ty tu robisz? – wychrypiąłem. – Myślałem, że już mnie skreśliłaś.

– Skreśliłam – odparła. – Ale nikt nie przeżyje tyłu lat, co ja, jeśli w pewnym momencie nie zaczniesz żałować swoich decyzji. Ta wydawała mi się kontrowersyjna, a więc naradziłam się z kośćmi.

– I kazały ci, żebyś mi wybaczyła?

– Nie. Ale ja nie zawsze ich słucham.

Doktor Sho wszedł do komnaty i cisnął skrzynię w kąt.

– Na tym dziedzińcu mamy dwudziestu ośmiu ludzi, z których wielu odniosło ciężkie rany – oznajmił. – Lekarz ma się zajmować tym pacjentem, którego ma przed sobą, a nie słuchać wrzasków kogoś, komu pszczoła wleciała pod szatę! Dlaczego mam rzucać wszystko, co robię, i zajmować się chłopakiem?

Podszedł do stołu, wyczuł puls babci, a potem wyciągnął rękę ku mnie. Odruchowo podałem mu prawą dłoń.

– Cóż, przynajmniej dobrze się zagoiło – stwierdził Sho. – Ale wolałbym zbadać puls na drugiej ręce.

– Mógłbyś odzyskać rękę dzięki mocy zmiany postaci – stwierdziła Sycząca Kocica.

Wpatrywałem się w pustkę nad różowym kikutem, podczas gdy Sho sprawdzał puls na lewej ręce. Wypuścił ją i wrócił do swojej skrzyni.

– Mógłbym – powiedziałem i nie wracałem już do tematu.

Sycząca Kocica skrzyżowała ramiona na piersi.

– Cóż, to twoje ciało, a sądząc po magii, jaką u ciebie wyczułam, dłonie nie na wiele ci się już przydadzą.

– Szkoda, że nie wiesz, jak cię nazywają żołnierze. – Doktor Sho wybrał garść ziół z kilku szufladek i ułożył je w glinianej miseczce, którą później nappełnił wodą z bukłaka. – Nawiasem mówiąc, to należy wypić na ciepło – dodał, podając mi ją.

Chwyćłem miseczkę zdrową dłonią i wyczarowałem płomień, który ogrzał ją od dołu.

– Co mówią?

– Że wyczarowałeś słońce, żeby obronić twierdzę – rzekł doktor, zajęty przygotowaniem porcji dla mojej babci. Spojrzał na mnie i z troską zmarszczył czoło. – Mówią, że to znak. Nazywają cię Królem Słońca.

– Wszystko im się pomyliło. – Przypomniałem sobie z rozbawieniem Dolinę Władców i ostatnią sytuację, w której otrzymałem nowe imię. – Mój wuj uciekł, ale nie wszyscy to widzieli. Może uznali, że został?

Kto chciałby mnie, człowieka, który popełnił tyle błędów, za swojego króla? Roześmiałem się, pokręciłem głową i upiłem nieco mikstury. Była gorzka, ale przynosiła ukojenie, a ja poczułem, jak z każdym kolejnym łykiem w moje ciało wnika coraz więcej siły.

Dziwne to wszystko, pomyślałem. Nawet po bitwie stoczonej za pomocą czarów jedynym sposobem na dojście do siebie jest odpoczynek oraz napar z ziół, które zrodziła struktura świata.

Doktor Sho i Sycząca Kocica spojrzeli na siebie, a Okara prychnął.

– Ona im wszystko wyjaśni – powiedziałem, pomagając doktorowi przytrzymać głowę babci. – Gdy się obudzi, wytłumaczy im, że jestem tylko Głupim Kundlem.

Koniec tomu pierwszego

Podziękowania

Tak jak każda inna książka, „Dłoń Króla Słońca” nie powstałaby, gdyby nie wsparcie, wpływy i pomoc kilku ludzi.

W pierwszej kolejności chciałem podziękować rodzicom, Jenny i Wardowi, którzy nie tylko mnie wychowali, ale zawsze zachęcali, bym rozwijał swoją kreatywność (nawet jeśli wojny w wyobraźni, które toczyłem przed domem, wyprowadzały sąsiadów z równowagi). Co więcej, to właśnie oni uczyli mnie przez większość mojego dzieciństwa, a więc to, kim jestem i co umiem, zawdzięczam głównie im.

Chciałem również podziękować braciom, Sethowi i Nathanowi, którzy są pełni pomysłów, imponują intelektem i zawsze służą inspiracją (oraz rekomendacjami muzycznymi). Z tego samego względu jestem wdzięczny Tomowi Schultzowi, który jako pierwszy człowiek na świecie z całkowitą pewnością siebie powiedział mi, że jestem artystą, a nie tylko kimś, kto pisze i rysuje dla zabawy. Chciałem też podziękować doktorowi Anthony’emu Clarkowi, mojemu uczelnianemu mentorowi, który pokierował moimi zainteresowaniami historią, dzięki czemu zacząłem tworzyć postać Wena Olchy.

Moi pierwsi czytelnicy – Jon Ficke, Erin Cairns i Don Allmon – zasługują na ogromną wdzięczność za ich uwagi, które pomogły mi uformować tę książkę od stanu larwalnego aż po obecny. Szczególne podziękowania należą się Scottowi H. Andrewsowi z Beneath Ceaseless Skies, pierwszemu redaktorowi, który wybrał moje opowiadania ze sterty na biurku i płacił mi minimum sześć centów od słowa.

Nietaktem byłoby pominięcie Joshuy Bilmesa, mojego agenta, który zasiadł ze mną na Worldconie w San Jose w 2018 roku i rzucił okiem na pierwsze pięćdziesiąt stron tej książki, a potem wytknął wszystkie popełnione błędy (do tego wskazał też to, co zrobiłem dobrze). Gdyby nie ochota, z jaką pochylał się nad każdą kolejną wersją powieści, nigdy by ona do was nie dotarła. Chciałem wspomnieć również Steviego Finegana, który znalazł dla tej książki idealny dom, oraz Brendana Durkina, mojego redaktora, który cierpliwie polerował „Dłoń Króla Słońca”, aż książka stała się jeszcze lepsza.

Na koniec chciałem podziękować mojej żonie Hannah, która sama jest wspaniałą artystką i cierpliwie (a czasem entuzjastycznie) słucha, jak opowiadam jej o trudnościach z budowaniem świata, jak rozbieram każdy wspólnie obejrzany film na czynniki pierwsze w nadziei, że nauczę się czegoś o tworzeniu fabuły, czy jak chodzę po mieszkaniu i gadam do siebie o mało ciekawym zwrocie akcji czy momencie w życiu bohatera, który jakoś nie pasuje do całości – i która kocha mnie nie na przekór temu wszystkiemu, ale, przynajmniej częściowo, właśnie dlatego. Ja też cię kocham.





J.T. Greathouse

pisze fantasy i science fiction od ukończenia jedenastego roku życia. Posiada licencjat z historii i filozofii oraz tytuł magistra z metod nauczania uzyskany na Uniwersytecie Whitwortha. Ukończył też drugi fakultet z kultury azjatyckiej. Spędził cztery miesiące na intensywnym kursie nauki języka chińskiego i kultury Chin na Uniwersytecie Minzu w Pekinie.

Jego opowiadania, często pod pseudonimem Jeremy A. TeGrotenhuis, ukazywały się w Beneath Ceaseless Skies, Writers of the Future 34, Deep Magic, Orson Scott Card's Intergalactic Medicine Show i innych miejscach.

Pracował również jako nauczyciel angielskiego jako języka obcego w Tajpej, księgarz w Auntie's Bookstore w Spokane i jako nauczyciel w liceum.

Obecnie mieszka w Spokane w stanie Washington z żoną Hannah i regałami pękającymi od książek.

KRONIKI
OLCHY

TOM
I

**KIEDY WSZYSCY CHCĄ, ŻEBYŚ BYŁ SPEŁNIENIEM
ICH OCZEKIWAŃ, TYM, CZEGO PRAGNIESZ
NAJMOCNIEJ, JEST ODNALEZIENIE SWOJEJ DROGI
I ŻYCIE WEDŁUG WŁASNYCH ZASAD.**

Nazywam się Wen Olcha. Nazywam się też Głupi Kundel.
Ojciec szykował dla mnie przyszłość w elitarnym gronie
Sieneńczyków służących cesarzowi. Babcia, która sama porzuciła
wszystko i dołączyła do nayeńskiego ruchu oporu, przygotowywała
mnie do walki z cesarskim imperium. Matka, ślepa na okrucieństwo,
chciała tylko tego, co bezpieczne i wygodne.

Mogłem spełniać cudze marzenia, mogłem walczyć wraz z jednymi
albo przyłączyć się do drugich. Mogłem patrzeć, jak ich wojna
pochłania kolejne ofiary. Ale nie mogłem przestać marzyć o magii.
Wolnej, przerażającej, fascynującej, dającej moc i potęgę.

Przez całe życie zmagalem się z ograniczeniami na ścieżkach, które
zostały wybrane za mnie. Opór był jedyną drogą ku wolności.

**TA HISTORIA MOŻE SKOŃCZYĆ SIĘ NA TYSIĄC
SPOSOBÓW – JA MAM ZA NIC
JE WSZYSTKIE.**



fabryka słów
WYDAWNICTWO